











DZIEŁA  
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH HOFMANOWÉJ.



DZIEŁA  
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH  
HOFMANOWEJ.

WYDANIE NOWE

pod redakcją

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

z dodaniem

ŻYCIORYSU I OBJAŚNIEŃ.

INSTYTUT

**DADAŃ I KRAJOWYCH ZAN.**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72.

00-340 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42**

TOM V.

WARSZAWA.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZÉJ KSIĘGARZY;

GEBETHNER I WOLFF.

MICHAŁ GLÜCKSBERG.

MAURYCJ ORGELBRAND.

G. SENNEWALD.

EDWARD WENDE.

1876.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 30 Апрѣля 1875 г.

1085

Druk J. Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr. 2406.



OPISY  
NIEKTÓRYCH OKOLIC POLSKI.

ORAZ  
WYKŁADY I PRACOWNIA



## OPIS PIERWSZY.

### OKOLICE WARSZAWY.

Wybierając się na małą w kraj nasz przejażdżkę, obiecałam ci, kochana Anielko, wierny jój opis. Obiecałam, i dotrzymuję słowa. Ach! jakże jedno i drugie wielu osobom płci naszej dziwném się wyda! „Obiecać opis podróży mil kilkunastu w Polsce, co większa, przyjechawszy dotrzymać słowa: to rzecz niepojęta. Cóż ona w tym opisie umieści? spytają się niektóre; cóż téż jest ciekawego w kraju naszym? jakież w nim zajmujące mogą się zdarzyć wypadki? jakież się nasuwają postrzeżenia i uwagi? Kto do Francyi lub do Anglii jedzie, ten obszerny dziennik pisać powinien; ale w Polsce, można bezpiecznie wyjechawszy z Warszawy usnąć sobie w powozie, obudzić się dopiero w godzinę popasu; wtedy stanąwszy w brudnej karczmie, czytać jaki francuzki lub angielski romans, a wsiadłszy napowrót do powozu, spać znowu, jeśli zła droga pozwoli.“ Niech tak mówią te, które obce i dalekie kraje zwiedziły, ja do takowój mowy żadnego nie mam prawa, nie byłam zagranicą; Polski chléb dotąd jadłam, nie oddychałam inném powietrzem; nie mogę więc być wybredną, ani niewdzięczną; nie mogę

pogardzać krajem, gdzie się urodziła, wzrosła; krajem, na który oczy moje ciągle w dzieciństwie patrzyły, a teraz bez ustanku młodość spogląda; w którym zbieram wszystkie moje wspomnienia, gdzie zasiała wszystkie nadzieje!... Nie mogę, i tak się już serce moje do tych uczuć wprawiło, iż jeśli pogarda ojczyściej ziemi, niechęć lub obojętność ku niej, mają być niemal koniecznym dla niewiast dalekich podróży owocem, ja nie chcę nigdy dalszych nad tę odprawić przejażdżek.

Niech mężczyźni, ludzie rozsądni i nieuprzedzeni, jeżdżą do obcych krajów, niech się tam ich umysł zbogaca nierównie wyżej niżli u nas posunięciem światłem; niech zrywają owoce pracy tyłu uczonych, korzystają z wynalazków i odkryć tych wieków; niech przywożąc do ojczyzny ten skarb wiadomości, stosować go umięją do naszych zwyczajów, położenia, charakteru; niech zamiast odstręczać nas od udoskonalenia przesadzonym opisem obcej oświaty i pomyślności, wskażą nam sposoby zbliżenia się do nich; z uwielbieniem, wdzięcznością i uszanowaniem patrzeć na ich chlubne usiłowania będą: ale ci wszyscy, którzy same tylko uprzedzenia, dziwactwa, pogardę kraju i języka z zagranicy wywożą, i my kobiety (które prócz kilku wyjątków) same mody, stroje i romanse do Polski zwozimy, siedzmy w domu, kiedy nas żadna konieczność do wyjechania nie nagli; wtedy nie znając piękniejszych krain, nasza nadobną nam się wyda, i przeto więcej kochać ją będziemy. A czyż nie całłem szczęściem kobiety, kochać przedmioty, w pośród których życie trawi?

O, luba Anielko! i wy młode jój rówiennice! niech was nie zajmuje żądza zwiedzania obcych krajów! niech między życzeniami, które lata spełnić dla was mają, nie będzie koniecznej chęci widzenia Paryża! Nie wzrastajcie w przekonaniu: że w Polsce nic dobrego, nic pięknego być nie może; że nie żyła ta, która umarła dalekich nie poznawszy kra-

jów; niech wam wystarczą ojców i braci waszych, Niemiec, Anglii, Francyi, Włoch opisy; a kiedy wam o nich opowiadać zaczną, pytajcie się skwapliwie o tamtych stron niewiasty? Odpowiedzą wam, że każda z nich rodziną ziemię swoją, język ojczysty nad wszystkie przekłada, i chlubi się z imienia, jakie jój Nieba nadały; że każda w tym kraju, który ją dziecięciem widział, całe życie mieszkać rada; że ledwie jedną na stu próżna ciekawość do opuszczenia domu przynagli. Bo czyżto zagranicą kobiéta się nauczy jak ma być dobrą Polką, żoną, matką, gospodynią? a wszakże niewieście innych nad te umiejętności nie trzeba. Po światło i nauki można, trzeba nawet do obcych się udawać, ale biada temu, który po cnoty jeździ zagranicę.

Wiém, kochana Anielko, że dobroczynne ręce pielęgnują i ciebie i rodzeństwo twoje; wiém, że wzrastasz w podobnych moim uczuciach i zdaniach, nie zgorszysz się przeto, ani obrazisz słowami temi; wymówki tym tylko przykre bywają, którzy się czują do winy, bo jak to mówią po prostu: *Prawda w oczy kole*; nie zdziwisz się także, gdy tak małej przejażdżki kilko-arkuszowy opis zobaczysz! Nie zabawiłby on pewnie tych, które piękniejsze kraje i rzeczy widziały, ale dla ciebie i dla podobnych tobie, będzie może miał wdzięk jaki. Może téż i starsze od ciebie niewiasty, te nawet które obce krainy znają, jeśli bez uprzedzeń do swojej wróciły, może mówię, z pobłażaniem pismo to przeczytają; bo swoje choć proste, milszém bywa od cudzych bogactw, a jak mówi ulubiony mój Karpiński:

Mile widziałem przyjmowane żeńce,  
Choć z pańskiej roli nieśli panu wieńce.

Nie będę więc tłómaczyć się dłużej i cokolwiek pamięć moja z téj przejażdżki zatrzymała, to wszystko pióro śmiało kreślić będzie.

Wyjechałam z Warszawy dnia 19 Sierpnia 1824 r., zu-

pełnie sama; miałam zatem czas do uwagi i rozmyślenia, a nie mając komu myśli moich powierzać, kreśliłam je ołówkiem w książeczce. I dobrze się stało; powiedziane, byłyby uleciały z wiatrem, napisane, zostały. Mówię *dobrze się stało*; a tymczasem nieraz bardzo źle się stanie, kiedy myśl jaka z wiatrem nie uleci; bo często nie warta, żeby ją pismo zatrzymać miało. Jeśli tu wiele z tego rodzaju znajdziesz, oskarżaj nie pisarza, ale okoliczności, które mnie zmusiły do odprawienia tój przejażdżki, samój, bez towarzysztwa. Wyjechałam w porę najwięcej ożywioną w naszym kraju, w porę żniwa.

Kto ciągle mieszka w mieście, a wychowywał się na wsi, ten jedynie wystawić sobie potrafi to mimowolne uczucie, którego się doznaje wyjechawszy w otwarte pole: łatwiej oddychać, głowa lżejsza, oczy więcej, a przynajmniej dalej widzą, jakieś zdrowie chwyta się tchnieniem, krew prędzej i miliej w żyłach płynie. Lubo w Sierpniu dzień był chłodny, deszcz kropił nad rankiem, ożywił przyrodzenie i uchronił jadących od nieprzyjemnego w drodze kurzu. W otwartym jadąc powozie, mogłam na wszystkie oglądać się strony, całe widzieć niebieskie sklepienie, i wszystkie miejsca, które mijałam. Nie wiem jakie są okolice Paryża i innych miast stołecznych, ale zdaje mi się, że warszawskie, przynajmniej od Mokotowskich rogatek bardzo przyjemne, bardzo, osobliwie od lat kilku. Nie masz prawie piędzi nieużytecznej ziemi: wszędzie domostwa, ogrody, pola uprawne lub sztuczne łąki, ulice sadzone, żywe płoty; Mokotów łączy się z Warszawą, Królikarnia z Mokotowem: ciągle jak gdyby ogrodem się jedzie.

Wyznam ci szczerze, kochana Anielko, że będąc w zamiarze opisania tój przejażdżki mojej, byłabym chciała w każdym ładniejszym zatrzymać się miejscu, wysiadać i przypatrywać mu się; ale mnie wstyd było służącego i woźnicy; wreszcie mimo największej ciekawości, jest podobno zawsze



w każdym jadącym jedna chęć, która wszystkie inne przewyższa: żeby jak najprędzej u celu podróży stanąć. Ta go najwięcej zajmuje, i nic go mocniej nie cieszy, jak kiedy od przychodzącego chłopca albo żyda, lub ze słupów stawianych przy drodze, dowiędzie się, że już kilka mil mu ubyło.

Tak to człowieka przeznaczeniem jest zawsze gdzieś dążyć; a lubo mu życie drogie i gdyby w mocy jego było, skąpo czasby mierzył, przecież zawsze do jakiegoś oddalonych pory wzdycha, nie myśląc nawet, że wtenczas starszym już będzie. Ja jednak w tej mojej przejażdżce nie często miałam pociechę dowiedzenia się, o ile bliżej jestem mego celu; bo jadąc prędko, przechodzących pytać się nie mogłam; co zaś do słupów drogowych, stoją prawda wszędzie, ale z przeproszeniem tych, do których to należy, prawie wszystkie bez napisu. Podobne te słupy do niektórych ludzi, pomyślałam sobie: zajmują miejsce w towarzystwie, a użytku z nich nie ma. Minawszy *Mokotów* i *Królikarnię*, cel tak częstych Warszawian odwiedzin, zbliżyłam się do miejsca dawniej *Roskoszą* dziś *Ursynowem* zwanego; tak go przezwiał od przydomku swego, jeden z pierwszych naszych pisarzy: tam, często opuszczając miejskie zabawy, słodczy ziemiańskiego życia kosztuje. Za lat kilkadziesiąt, mówiłam do siebie patrząc na tę miłą zagrodę, będzie jeszcze każdy z rozrzewnieniem ten lasek, ten domek odwiedzał.

W tych myślach dojechałam do *Natolina*, gdzie piękny ogród i pałac noszą piętno dobrego smaku. Do *Natolina* zdawało mi się, że ciągnie się jeszcze przedmieście Warszawskie, gdyż tyle razy spacerem zwiedzałam te wszystkie miejsca; ale dalej, już zupełna wieś przedstawiła się oczom. Tam dopiero ujrzałam żyjące i pełne wdzięku, pracy i nagrody rolników obrazy. Koło samej Warszawy, na polach lepiej uprawnych i od wiatrów osłonionych, wszystko prędkiej dojrzewa, dotąd też, ani jednego już kłosa na pniu widział nie było; lecz dalej zobaczyłam święto doroczne *żniwa* w ca-

łej swój okazałości. Tu kilkadziesiąt nachylonych dziewcząt i chłopaków, łańcuchem ukośnym zajmując pole, ścinało sierpem złotą pszenicę, każde na swoim zagonie; tam leżały gęste garście bujnego żyta, poległe jak trupy na pobojuwisku; tu znowu stał rychły jęczmień w gęstych kopach, a dziarskie parobki, biorąc czasem i po dwa snopy, ochoczo niemi wysokie nakładali wozy. Słowem, gdzie było spojrzeć, wszędzie ruch, praca, wszędzie ludzie na wzór mrówek krzątali się, żeby na zimę zabezpieczyć sobie byt i pożywienie; widziałam nawet starego rolnika orzącego ugór już na rok przyszyły, i ta pamięć na dalekie siewy obok obfitego żniwa, z pierwszego wejrzenia dziwną mi się zdała; była ona jednak oczywistym obrazem owój rozsądnej późnego wieku na dalsze lata troskliwości, która tak długo młodym szczególną i zbyteczną się wydaje.

Patrząc na tę powszechną i ciężką tyłu ludzi pracę, korcić mnie zaczęło, że wygodnie, nic nie robiąc, jechałam sobie: „Oceniam przynajmniej zachody wasze, pomyślałam; proszę Boga, ażebyście dobrze to ziarno przedali, a odtąd najprostszym kawałkiem chleba nie wzgardzę, pamiętając jak was wiele trudów kosztował.“

Już nie daleko *Góry* tkliwy żniwa ułomek, a oraz zebrany w krótkości obraz społeczeństwa postrzegłam przy drodze. Na małym polu, pięknym jęczmieniem okrytym, żęli gorliwie mężczyzna z kobietą; trzechletni chłopczyk zbierał skwapliwie wypadłe z rąk ich kłosa i do leżących już garści przykładał; a na miedzy, w płachcie na dwóch palach zawieszonj, bujało drugie dziecko. Długom się oglądała na nich, i to małe pole, może cała tój rodziny posiadłość, ta wspólna męża i żony praca, to dziecko już im pomagające, to drugie, prosty lecz wymowny obraz nadziei, bardzo długo myśl moją zajmowały. Przerwał te marzenia wjazd do *Góry*, tam konie wytchnęły, a ja czas miałam spisać za świeżej pamięci uczynione uwagi. Przypomniałam sobie,



podobno zapóźnie, żem nie nie zważała na wieś będące przy drodze, że żadnej nie wiem nazwiska; ale to wina słupów bez napisu, nie moja; pamiętam tylko, że wioski dosyć porządne, kraj zaś wcale piękny, wesoły, drzew wiele, a wspinała Wisła jakby igrając i drożąc się, to się chowa, to się pokazuje.

Miałam z sobą *Krasickiego* i *Święckiego*, i prawdziwą stało się dla mnie przyjemnością, czytać o miejscach, którem bądź z daleka, bądź z blizka widziała. Już teraz Góra nie na *coś*, ale na miasteczko wygląda; aż nadto się spełniły dowcipnego poety życzenia: ma kapliczek bardzo mało, a karczem nierównie więcéj; już śladu nie zostało owych pobożnych stacyi, domów Heroda i Piłata! Zawsze jednak Góra na Jerozolimę patrzy, bo Żydów w niej mnóstwo.

Ach! ci Żydzi! przekonałam się w téj przejażdżce, jak ich wiele w kraju naszym być musi; na całym gościńcu nikogom prawie nie spotykała, tylko synów Izraela: wozami, brykami, piechotą, porządnych, obdartych, starych, młodych; a kiedy cały lud wieśniaczy zajęty był ciężką pracą, oni się wlekli ze wsi do wsi, myśląc zawczasu jak wydrwić od chłopca ten kawałek chleba, który on krwawym potem oblewał..

Wielkim dobrogostem ten być musiał, co w rzędzie wróżb pomyślnych spotkanie Żyda umieścić; albowi téż za szczęśliwych czasów jego, tyle co dziś Żydów w Polsce nie było. Nie daleko od Góry ujechawszy, zdziwiłam się mocno, czując i słysząc, że znowu jestem na bruku; patrzę na jedną stronę, widzę nędzne lepianki, patrzę na drugą i spostrzegam wieże starożytnego zamku; poznałam dopiéro, że woźnica zbłądził i do *Czerska* mnie zawiózł: nie gniewałam się wcale o to. Czersk był kiedyś znaczném miastem, książąt Mazowieckich stolicą; w tym zamku królowa Bona mieszkała, na tych pagórkach rozciągały się winnice przez nią założone, z których wina było nie mało; rzemieślników, kupców, piwowarów, liczono bardzo wielu w mieście.

Dziś, z tój całej ludności zostało nędznych chłopków kilkunastu, z zamku trzy wieże i kilka muru ułomków a z całego przemysłu kuźnia; pocziwy kowal kując przed domem zobaczywszy nas, zaprzestał roboty, a z tą dobrocią ludowi naszemu wrodzoną przybiegł do powozu, mówiąc żeśmy zapewne zbłądzili, i wskazał nam najkrótszą do gościńca drogę. Dziwno mi było jechać jeszcze kawał spory, wążiuchną drożyną, wśród zboża, po bruku. Po tych kamieniach o które dziś tylko wozy chłopskie się obijają, wystawiłam sobie suwającą się dumnej Bony złocistą kolebkę: takie to odmiany i większe jeszcze, czas zmiennik przynosi. Dojechaliśmy wkrótce do gościńca; okolica wesoła, gdzieniegdzie lasy. Pod jednym z nich obaczyłam śliczną wioskę; zabudowania porządne, dom ładny, ogród spory, dziedziniec obsadzony, a wprost dworu z drzew ulica. Wiesz Anielko, iż przekonana jestem, że wszędzie szczęście znaleźć można, ale mam czy przesąd, czy urojenie, że go jednak najspadniej w pięknej wiosce zdybać; skoro mi się téż sposobność zdarzyła, dowiadywałam się pilnie jak się ta wieś zowie? kto w niej mieszka? Chcąc przynajmniej wiedzieć nazwisko tych szczęśliwych ludzi, dowiedziałam się, że wieś zowią *Potycz*; ale posiadacz daleki od szczęścia, bo słabe zdrowie pojechał aż do Berlina ratować: jakże pozory są mylne, z duszy życzyłam mu prędkiego ozdrowienia i powrotu, bo pojmuję, jak przykro być musi tak ładną wioskę opuścić! Za Potyczem piękny jest lasek, lubię bardzo jechać przez las, i nie śmięj się ze mnie Anielko, lubię rwać wszystkie kwiatki które w nim widzę; ale tą razą nie mogłam tój chęci mojęj dogodzić, i ludziom i koniom trzeba już było siły pokrzepić, ile że lubo w dzień chłodny, słońce dogrzewać poczynało. Patrzyłam więc tylko z daleka na owe kwiatki, które nigdy tak piękne się nie wydają jak kiedy ich rwać nie można; las był po części sosnowy, zważałam jak cienkie i proste iglaste drzewa opuszczały od dołu ga-

łęzie; widać było, że z każdym rokiem kilka sennie i opada a drzewa wieniec tylko zachowując bogaty, za słońcem gonią. Obraz to był oczywisty owoców jakie młodemu wiek przynosi; urojenia młodociane jak każdy niweczy, a umysł coraz dojrzały za prawdziwszém światłem goni.

O samém zupełnie południu stanęłam w *Konarach* gdzieśmy popasać mieli; właśnie w nędznym kościółku, dziad miejscowy na *Anioł Pański* dzwonił: miłym mi był ten odgłos, codzień w Warszawie o tój godzinie dzwon Missyonarski i Reformatów słyszę; przyjemnie mi było pomyśleć sobie że i w Warszawie, i w wielu innych miejscach, w teje samej chwili podobny temu odgłos się rozlega, i powołuje wiernych do pozdrowienia Świętej Dziewicy. Nie wiem jak ciebie, kochano Anielko, ale mnie niezmiernie zajmuje przedmiot, który wiem, że tysiące ludzi wraz ze mną słyszy lub widzi; bujna wyobraźnia maluje mi natychmiast, jak każdego przy odmiennych zatrudnieniach zastaje. Dzwon głoścący dwunastą, elegantkę w miękkim łożu budzi, a wyrobnikowi od kilku godzin pracującemu, chwilę spoczynku zwiastuje; ta, myśli czém zdoła zapełnić dnia resztę? ten, czy mu godzin wystarczy do ukończenia zamierzonej roboty?

W Konarach bardzo miałam wygodny popas; są w austeryi dwie izdebki gościnne, wcale porządne; tam powzięłam stały zamysł, że w jakąkolwiek podróż się wybiorę, zawsze trzy rzeczy mieć z sobą będę: książkę, poduszkę i kawę; w te opatrzona, najdalszą bez przykrości odbyć się podejmuję. Wyjeżdżając z Konar, ujrzałam wnet wesoły *Mniszew*; nie żal bynajmniej zapłacić dwa razy, bo i po moście na Pilicy, i po grobli Mniszewskiej dziwnie miło jechać. Mówiono mi, że w tém miejscu gdzie teraz powóz aż nadto prędko się toczy, przed kilkoma laty było prawdziwe bezdroże; za staraniem panów Höringów i troskliwością rządu, utworzyła się najprzyjemniejsza droga. Niedaleko ztam-

tą Pilica wpada w Wisłę; widać różnicę koloru wód ich, i długo, lubo już jednem płyną korytem, jeszcze się połączyć nie chcą. Tak kiedy odmienne charakterem zejdą się osoby, długo żyją razem, nim się ich zdania zjednoczą; szczęśliwe, jeśli w dalszym biegu w takiej zgodzie jak Pilica z Wisłą dojdą do wszystko chłonnącego morza... Po obiedzie równie jak rano przedstawiał się wszędzie oczom moim obraz żniwa, zawsze i zawsze spotykałam żydów, ciągle widziałam przyjemne okolice, ale Wisłę coraz rzadziej. Jadąc przez lasek osiczynowy, uważając drzewka niezmiernie gęsto rosnące, a przeto cienkie, żałowałam że tak marnieją, ile że każde jak trzcina proste, i pytałam się woźnicy, czemu im tak rość pozwolą? „Nie bez przyczyny to czynią, odpowiedział mi, bo z takich osiczyn najlepsze drzewce do dzid hulańskich. Ten lasek dostarczył ich już nie mało.“ — Skromne drzewka! pomyślałam sobie, już was nie żałuję! ale ktoś byłby się domyślił, że tak chlubne przeznaczenie wasze? Was Brodziński tkliwym poświęcił rymem; z wami igrają zręczni ułani nasi; widziały was dalekie kraje, uczuły moc waszą dalekie ludy; nie jedno z was próchnieje może dotąd nad brzegiem Tybru albo Tagu... Przejeżdżaliśmy potem przez *Ryczywół*, o którym już teraz milczyć nie masz potrzeby, bo wcale na porządne wygląda miasteczko. Dojeżdżając do *Kozienic*, trochę mi się przykrzyła droga, ale bo też piaski nieznośne; napróżno woźnica zacinał koni, i wołał na nich *Allons! Allons!* konie szły noga za nogą. Zawsze mi śmiesznie słyszeć to obce słowo z ust nie tylko stan-gretów ale chłopów naszych; może za kilkanaście wieków, jaki badacz starożytnych języków będzie sobie łamał głowę nad źródłosłowem tego wyrazu, i na tym fundamencie zechce z polskiej i z francuzkiej mowy pobratymcze porobić języki; a to niecierpliwość francuzka w czasie pamiętnych odwiedzin, jakich kraj nasz przed kilkunastą laty doznał,



ten wyraz upowszechniła. Kto wie czy wielu podobieństw językowych w odległych od siebie krajach nie taka jest przyczyna? Już się zmierzchało kiedym w Kozienicach stanęła, i dosyć byłam rada temu, że już tam nocować wypadało; naprzód podróż całodzienna cokolwiek mnie strudziła; a powtóre tyle słysząc i czytając o puszczech okolicznych byłabym się może bała w wieczór wilka albo dzika napotkać. Nazajutrz rano zapomniałam nawet o tój obawie; już wielkim tchórzem być musi, ten który się czegobądź w dzień boi; światło dzienne rozprasza i nocy i umysłu ciemności ileż razy doznałam, że wszelka niespokojność, sam nawet smutek ustaje, a przynajmniej się zmniejsza, za przyjściem dnia pożądanego.

Zdaje się, że tą codzienną nauką, tą tęsknotą za słońcem każdemu wrodzoną, Stwórca chciał nas przekonać, że ze wszystkich darów Jego, najpierwszém i najdroższém jest światło, ze wszystkich niedoli, najgorsza ciemnota. — Wschód słońca dosyć dawno przezemnie o tój porze nie widziany, ujrzałam w całym blasku wyjeżdżając z Kozienic; tyle mamy pięknych i poetycznych tego zjawiska opisów, że ani się poważę prostą moją prozą go wystawić; powiem ci tylko, kochana Anielko, że ile razy wschód słońca widzę, tyle razy dusza moja gdzieś daleko się unosi, a sercu się wydaje, iż postrzega obraz powrotu ukochanej osoby. W jój oddaleniu wszystko smutném i ponurém było; przybywa, jój obecność na wszystkie przedmioty blask szczęścia rzuca, wszystkiemu inną daje postać.

Droga z Kozienic do *Gniewoszowa*, nie bardzo przyjemna i nie znacząca; wiem że z całego jój ciągu żadna myśl w książeczce mojej nie pozostała; może też być, iż mając od Kozienic towarzyszkę podróży nie trzeba było milczeć, i wszystkie myśli moje powiedziane, uleciały z wiatrem. Do Gniewoszowa czyli do *Granic*, bo

razem są te dwa miasteczka, musieliśmy przyjechać bardzo rano; gdyż dopiero co się ocknęła gospodyni jednego z domów zajezdnych tego miejsca; ta skazówka czasu mogła jednak być mylną, bo gospodyni warszawianka, i z wielkiego tonu: przekonałam się o tém z jój narzekania na służących, którzy nigdy o niczém nie pomyślą, z serwantki w rogu izby będącej, której zakurzone słoiki po musztardzie całą były ozdobą, i z dwóch portretów na brudnej wiszących ścianie. Jeden wystawiał ją samą w niedzielnym zapewne ubiorze, z maleńkim synalkiem; drugi godnego jój małżonka w granatowym płaszczu, amarantowym aksamitem podbitym. W parę godzin po przejechaniu owój Granicy (jedynój za którą byłam) niesłychanie długich, bo tak zawsze pomалу idą konie kiedy się do celu podróży dojeżdża, zboczywszy z gościńca, stanęłam na miejscu, z kąd do Puław i do innych okolic dojeżdżać zamyslałam. Tam mnie czekały serca kochające, życzliwe mi osoby; rozmowy, zabawy nasze mało kogo zająćby mogły; a lubo dnie w tém miejscu spędzone niezatartą pamięć mi zostawiły, lubo nie wiem czy już kiedy w życiu tak wesoło bawić się będę? przecież ci u których gościłam, tak blisko są serca mojego, że o nich mówić nie śmiem. Ten opis, tobie Anielko przypisany, nie jest przecież dla ciebie samój; jest i dla innych rówieńnic twoich, z których większa część wcale mnie nie zna. Obojętnych rzeczy można obojętnym udzielać, ale co tyczy serca, zasłoną okryte być powinno, i nie radziśmy uchylać jój dla każdego. Nie weźmiesz mi więc za złe, że nie opisując ci dokładnie wszystkich zabaw i czynności moich, opowiem tylko com ciekawego w tamtych stronach widziała, a raczej co mnie jako nieświadomój ciekawém się zdawało?

Jedném z miejsc które najlepiej w pamięci mojej utkwiły, jest *Janowiec*. Prawda, że blisko przez dziesięć dni gdziekolwiek się ruszyłam, zamek ten pokazywał mi się,



a postać jego tak piękna i wspaniała, los tak smutny, iż żadnym sposobem obojętnym być nie może; każda niesprawiedliwość serce człowieka porusza, a nawet zimne i nieczułe głązy, politowanie obudzić potrafią, kiedy srogięgo i niezasłużonego obejścia doznają.

Janowiec jest to zamek bardzo starożytny, po lewój stronie Wisły, naprzeciw *Kazimierza*, na wysokości górze położony; był on dziełem dawnych i przemożnych w Polsce rodzin: Firlejów, Tarłów, Lubomirskich; pierwiastkowo, za Zygmunta I-go przez Piotra Firleja ruskiego wojewodę w mniejszym zbudowany kształcie, powiększonym i ozdabianym przez następnych posiadaczy został. Był on warowny, jak wszystkie owych wieków zamki, jakby stolicą obszernego klucza czyli hrabstwa, które rozciągało się o kilka mil w około, i do jednego należało pana. Przez trzy wieki stał jaśniejąc coraz nowym blaskiem; przed kilkudziesiąt laty sprzedany wraz z całym hrabstwem przez księcia Marcina Lubomirskiego, Piastkowskiemu podkomorzemu krzemienieckiemu, od niego raz ostatni ozdobionym i odnowionym został. Gmach ten okazały i ogromny, dwa mając dziedzińce, sal wielkich siedm, pokojów dziewięćdziesiąt ośm, piękne malowania na ścianach, marmurowe posadzki, kominki, kolumny, przedstawił oku miły i wspaniały obraz zamożności mieszkań dawnych panów polskich; takim go jeszcze przed trzynastą laty widziano: dziś zaś, bez dachu, bez okien, bez podłóg, zdaje się być budowlą przynajmniej od wieku opuszczoną; kawałka żelaza nie masz już w całym tym gmachu, marmurowe posadzki i schody, kamienne odrzwi, futra z okien, podstawy i wierzchołki kolumn, wszystko to znikło!...

Ani ci wyrazić potrafię, kochana Anielko, bolesnego uczucia jaki ten widok na mnie sprawił; kiedy czas wszystko niszczący budowę jaką zwolna obali, kiedy okryje te rozwaliny piętnem swoim, i widzieć można jak rok za

rokiem, kamień za kamieniem spadał, święte uszanowanie serce przejmuję, a widok ten lubo zasmucający, przykrych nie obudza uczuć; ale patrzeć na skutki dobrowolnego i świeżego zburzenia, widzieć ludzi wyścigających czas w sztuce niszczenia, obraz taki oburza, gniewa i żalem przejmuję.

Przechodząc już z niejakiem niebezpieczeństwem przez most zbutwiały, wchodząc z trudnością po zniszczonych schodach, własnym oczom wierzyć nie chciałam; nie mogłam pojąć jakim sposobem w tak krótkim czasie spełznąć miała kilku wieków praca? a tymczasem to zniszczenie jak złe każde olbrzymim postępuje krokiem, każdy dzień ogromną przynosi szkodę, i pewno w wielu miejscach na górze, ja i towarzysze moi byliśmy ostatni. Rysunek tego zamku *Świecki* na czele dzieła swego o *Starożytnéj Polsce* umieścił; dziś byłby odmienny i romantyczniejszy, bo nie tylko wewnątrz ale i powierzchu rozwalin ma postać.

Zgadywać trzeba w wielu miejscach dawny kształt jego pokoiów jużby się nikt niedorachował, zaledwie rozpoznać niektóre można. Rozpoznaliśmy jednak salę balową, po ganuku dla orkiestry w środku głównej ściany będącym; tam gdzie przed kilkunastą laty cała okolica głośno i ochoczo się bawiła, dziś spokojnie dzikie róże i poziomki rosną, jak gdyby przyrodzenie zawsze bogate, i zawsze wszystko ozdobić gotowe, zastąpić chciało choć w ten sposób owe żyjące róże i jagody, które tam niegdyś oczy świeżością wabiły. Nawet i ich wielbiciele wierny obraz pozostał, bo niedaleko ztamtąd złapaliśmy dwóch motylów. Zamknięte starannie w pudełeczka wraz z listkiem różanym, kto wie, może i zamek Janowiecki przetrwają?...

Są jeszcze malowania na niektórych ścianach w r. 1756 wykonane, nie źle się utrzymujące, pomimo powietrza i słońcy; w kaplicy niegdyś na pierwszym piętrze będącej, są głowy dwunastu apostołów wcale piękne. Dnia 29go Sierpnia zeszłego roku dziewięć z nich jeszcze całych widziałam; w poko-

jach i salach także gdzieniegdzie utrzymują się jako tako malowania; jest np. w jednej z wież, gabinet z oknami na trzy strony, w którym wszystkich bożków Olimpu rozpoznać można: ten gabinet musiał być śliczny; niezmiernie jasny i wesóły, widok z niego czarujący; z jednego okna spozstrzega się długą perspektywę przez las wyciętą, a na jój końcu ładny pałacyk, równie jak i las *Zwierzyńcem* zwany.

Pałacyk ten wystawił książę Marcin Lubomirski, ostatni tego nazwiska dziedzic Janowca w przeciągu kilku tygodni. Powodem do tego były piękne oczy młodej dziewczycy. Jeden z synów Augusta IIIgo królewicz Karol, książę kurlandzki, pokochał się w słynącej wdziękami i cnotą Franciszce Krasieńskiej; ona przez jedno lato bawiła w bliskim bardzo Janowca Opolu, u ciotki swojej księżnej Lubomirskiej, wojewodziny lubelskiej. Książę Marcin jój powinowaty a przyjaciel królewicza, chcąc go zbliżyć pozornie do przedmiotu enotliwego lecz długo kryć się muszącego kochania, zaprosił go i z braćmi do siebie na wielkie polowanie; a dogadzając rozrzutności swojej, nietylko sute wyprawił ucztę, ale i ten pałacyk umyślnie dla królewiczów wystawił. Mieszkali w nim przez cały czas łowów, a książę Karol jak mógł je przedłużał. I ten pałacyk dziś zupełnie opuszczony; w lasku niegdyś na około ogrodzonym, chowano wiele rozmaitego zwierza; dziś i śladu ogrodzenia nie ma; kilka ulic z grabinny sadzonych wśród niego, drzewa owocowe koło domu, świadczą że to miejsce było przed laty zamieszkałe i ulubione. Tak wszędzie smutne tylko tego co było wspomnienia!..

Będąc po kilka razy w tym lasku żałowałam, że drzewa mówić nie umieją; byłyby mi co powiedziały o pięknej Krasieńskiej i tklwym królewiczu... tak pytałam się ich nadaremnie, nawet śladu cyfry lub napisu na żadnym znaleźć nie mogłam. W jednej z sali zamku Janowieckiego, miały być na ścianach znakomitsze czyny książąt Lubomirskich pięknym pędzlem wyrażone; ale i te nie do rozpoznania;

więcej tam teraz napisów niżli malowań; niektóre pozostały po dawnych dziedzicach, drugie po zwiedzających te rozwaliny: czytałam między niemi i cudzoziemców nazwiska.

Dawniej pod kaplicą, a teraz w kaplicy jest studnia w kamieniu kowana; niesłychanie miała być głęboka, jak świadczy napis na ścianie; mierzona w 1821 roku, trzymała jeszcze 77 łokci głębokości, lubo już wtedy od 33-ich lat zawaloną była. Codzień niemal płytszą się staje, bo nie tylko czas ale każdy przychodzień nowemi gruzami ją zarzuca. Dziwnym jest odgłos rzuconego w nią kamienia, obija się bowiem o twarde boki z niezmiernym łoskotem; nieświadomemu wydawałoby się mogło, że się jakaś część zamku wali, i odgłos ten w zupełnej jest harmonii z całością, gdyż jest prawdziwie odgłosem zniszczenia... Niedaleko téj studni była dawniej kuchnia; zajmując miejsce trzeciego dziedzińca świadczy o gościnności dawnych tego zamku panów. Ognisko w środku będące ogromne; a jak podanie miejscowe niesie, przy niem przed wiekami dokuczliwego kucharza, kuchciki z wszelką wygodą w całości na rożnie upiekli. Wierz temu, albo nie, kochana Anielko, ale przyznaj, że z téj treści przedziwną możnaby ułożyć baladę.

Cały zamek janowiecki stoi na kamienno wapiennej górze; sam z tegoż kamienia jest zbudowany, a przeto ma dotąd jakąś schludną postać, i tém mniej znać na nim rdzę czasu. Pod nim kowane są niezmierne lochy, gdzie w największy upał zimno dech zajmuje; tam mieszczanie z Janowca (bo pod górą na której zamek stoi, jest miasteczko) składy mają mięsiwa i rzeczy. Ogród na powierzchni góry będący, zdaje się że był dosyć piękny, chociaż niezbyt wielki; są jeszcze owocowe i dzikie drzewa; bardzo nawet starą widziałam *akacyę*, może jedną z pierwszych, które sprowadzono do naszego kraju. Na końcu ogrodu są zabudowania, dawniej na stajnie przeznaczone; dziś jest to folwarczek który zowią *Manes*, zapewne z francuzkiego nazwiska *Manège*.



Z zamku i z całej góry, osobliwie też z owego *Manesu* widok rozległy i zachwycający; najprzód Wisła w całym swoim majestacie; po prawej jej stronie w odległości Puławy, wprost *Kazimierz* z rozwalinami zamku i śpiehlerzy swoich, drzew i ogrodów bogactwem, kryjący dzisiejsze spustoszenie i ubóstwo; dalej pasmo gór różnego kształtu i koloru, to drzewami obrosłych, to białych i nagich, wesołe Podgórze, kępy Zastowia i inne, a w odległości Tatry, Święto-Krzyzki klasztor i góra; po prawym zaś brzegu rozległe niwy, łąki, laski, olszyny, sady, ogrody, wiosek niezliczone mnóstwo; u samych stóp Janowiec z starożytnym kościołem i kilku starymi budowlami, i rzeczka mała *Nieciecz* czysta i kręta; w bok drugie pasmo gór, kępami jałowcu i berberysu okrytych; już czerwieniały wtedy jego jagody, i te góry zdawały się jakby kwiatami wieńczone. Pierwszy raz w życiu na takiej będąc wysokości, nieznanych dotąd doznałam uczuć. Nie dziwię się odwadze i wesołości górali; człowiek dostawszy się na szczyt jaki, pewnej dumy nabiera, i że się wspiał tak wysoko, i że tyle przedmiotów niżej od siebie widzi; wesołym zaś być musi, bo wszystko z góry pięknem się wydaje; żydzi nawet Janowieccy zdawali mi się porządniej ubrani.

Zszedłszy z góry obejrzelśmy kościół tameczny, i on ma ciekawości swoje, bogate ubiory i ozdoby; bardzo dawny, są w nim groby i figury kamienne Tarłów, i innych miejsca tego posiadaczy; jest w nim także prawdziwie drogi i rzadki pomnik. Jest to nagróbek położony jednemu z tych ludzi, których powołanie lubo ciche, jest wielkie; których cnoty źródłem są cnot rodzin całych, jednem słowem *Makarowicza* kanonika lubelskiego. Przyjazna ręka wyryła na tym kamieniu, że był czcicielem chwały Boga, ojczystym majątkiem kościół ten ubogacił, plebanią z gruzów podźwignął, był dobroczyńcą ubogich, ojcem poddanych, nauczycielem prawdy, cnoty i ludzkości wzorem, i przez lat trzydzieści cztery jak

najtroskliwszym Janowieckiej owczarni pasterzem; on zaś jeszcze lepiej ku trwałej sławie swojej uczynił, bo pamięć tych wszystkich zalet wyrył w sercach parafian swoich. Niekażdy wierzy nagrobkom, bo na wielu tyle jest kłamstwa, wreszcie zniszczyć go może świętokradzka ręka, a z nim i napis uleci; ale takowe ślady wiary wzbudzają i nie tak prędko przeminają.

Już blisko dwadzieścia lat jak umarł, a jeszcze go prostactwo z uwielbieniem wspomina: „O! dobrze to się działo za księdza Makarowicza (powiedział niedawno jeden stary gospodarz); było z umarłym przed cmentarz zajechać, nie targował się nigdy, broń Boże! o pogrzeb; zrobił wszystko uczciwie jak Bóg przykazał: świece zapalił, zaśpiewał; od bogatszych wziął co mu dali, od ubóstwa nic brać nie chciał, owszem wsunął jeszcze w rękę parę złotych, mówiąc: „Masz moje dziecko, daj to dziadowi i babom kościelnym; boć to ich chleb, niech ci nie klną. Ja Bogu dzięki obejdę się bez twojego datku“ Ten szczegół drobny napozór, może wyrażniej tego kapłana chwali, od najszumniejszej mowy; nie mniej także zalety jego maluje ów sposób mówienia tamecznych włościan, kiedy o cokolwiek dawniejszém wspominają zdarzeniu: „O! to się jeszcze stało za dobrych czasów, za życia księdza Makarowicza!“ Możnaż chlubniejszą pamięć po sobie zostawić? Prawdziwy to był zwolennik Chrystusa; jak święty Mistrz jego, *przeszedł dobrze czyniąc*; zapewne też teraz błogo duszy jego się dzieje!...

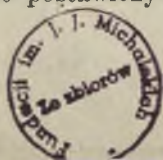
W kilka dni po zwiedzeniu Janowca, byłam w *Czarsolesie*, o dwie mile ztamtąd będącym; z prawdziwą przyjemnością przebiegłam to miejsce, gdzie blisko trzy wieki temu, mieszkał pierwszy z naszych poetów, dobry Polak i człowiek cnotliwy. Niepojętą jakąś skłonność do *Jana Kochanowskiego* czuję; z pomiędzy wszystkich z wieku Zygmunta pisarzy, jego najchętniej wystawiać sobie lubię. On długo był jednym z najszcześniejszych ludzi, tak świetną widział



ojczyznę, tak dbał o jój sławę, i to w sposób tyle do zdania mego trafiający. W czasie kiedy wszystkie oświecześnie narody pod przewodnictwem Erazma z Rotterdamu, mówiły i pisały językiem Wirgilego, kiedy uczeni Polacy nie dając się nikomu i w tój sławie wyprzedzić, wydali światu tylu sławnych pisarzy, lecz własnej ojczyźnie tyle wydarli światła, jeden tylko Kochanowski ścierpieć tego nie mógł.

Z tegoż samego Czarnolasu wołał na rodaków: że pierwój powinni być Polakami niżli Łacinnikami, a co czuł, czego żądał, dowodził tego przykładem; pisał w ojczystym języku tak wierszem jak prozą, pisownię polską poprawił, psalmy śpiewaka Syonu na polską lutnię przestroił, swoją nadobną Orszulę uwiecznił i na przydomek *Poety serca* zasłużył. Przymót dobry mąż, najtkliwszy z ojców, umiarkowany w życzeniach, życie jego, pisma, śmierć sama, dowodzą jak pięknie myślał i jak kochać umiał.

Przypatrując się owój skromnej zaciszy, którą on nad zgiełk dworu przełożył, słuchając szmeru liści drzew owego lasu, który miłszy mu bywał od poszeptów intrygi i pochlebstwa, powzięłam zamiar poznania bliżej tego sławnego męża, zebrania jakich tylko będę mogła o nim szczegółów; zajęta jestem właśnie teraz tą miłą pracą, i kto wie, może nie długo, kochana Anielko czytać będziesz prosty jój owoc. Dzisiejsza pani Czarnolasu, widać, że także wielce pamięć Kochanowskiego szanuje i ceni. Już oddawna dom z modrzewia, w którym mieszkał zniszczony, zostały się tylko gruzy fundamentów, i jak podanie niesie, narożnej i murywanój komnaty, gdzie najwięcej przesiadywał; z tych szczątków i na témże samém miejscu, ręka tój dobrej Polki udaną w gotyckim guście wzniosła kaplicę; w miejscu zaś gdzie stała owa rozłożysta i ulubiona lipa jego, będzie stał pomnik kamienny; piękny napis na dom, który on niegdyś nad drzwiami swemi wrył, i dziś dom Czarnoleski w bok dawnego postawiony zdobi; a jakby hołd oddając owój chęci,



którą miał Kochanowski rozkrzewienia światła, część domu tego obrócona jest na szkołę, gdzie dzieci wiejskie pod okiem dobroczynnej właścicielki, najpotrzebniejszych nabierają wiadomości.

Chciałoby mi się jeszcze dodać kilka drobnych szczegółów do tej pierwszej części tego opisu, ale i tak się lękam, czy ich już nie zanadto? dosyć więc będzie na ten raz.

## OPIS DRUGI.

### PRZEJAŻDŻKA W LUBELSKIE.

Zastów, 20 Maja.

Niedaleko Janowca i Kazimierza, na prawym brzegu Wisły, widać z daleka, jak gdyby gaj ze trzech stron wodą oblany; jest to *Zastów*, część jedna kilkomilowej kępy, której inne części Wilkowem, Czarną i Hotecką kępą zowią. Prawdziwie miłe to miejsce, utworzone niestałością Wisły, która odmieniając coraz koryta, odsypała ten brzeg, zamieszkały samemi kmiotkami, na całej swój przestrzeni nic oczom nie przedstawia prócz chatek, pól małych, sadów, drzew, łączek płotów, dróżyn, narzędzi rolniczych i rybackich, bydła, chłopów; zdaje się być jakąś zupełnie odrębną, czarowną krainą, drugą Oitony wyspą, Sielanek ojczyzną. Objeżdżając to miejsce, w ciągłym byłam zachwyceniu: a właśnie drzewa owocowe wstrzymane dotąd zimnem niezwyčajnym, kwitły wtedy jak najobfiej; wszystkie równie jak pola i łąki przybrane były w ów strój wesoły, godowy,

którym wiosna na tak krótki czas niestety! przyrodzenie zdobi.

Już na samym wjeździe do *Zastowia* odmienny jak wszędzie widok uderza. Na pięknej łące wznoszą się po obu stronach prześliczne wierzby, rzędami sadzone; a jadąc nieco dalej, widzi się nie wieś, ale osadę zupełnie romantyczną. Nie stoją tam bowiem chaty rzędem, ale porozrzucane są po całej kępie, a wszystkie mają kształt sobie właściwy; budowane na sypanych kopcach, dla wylewu Wisły, szczupłe są, a wysokie, gdyż pod dachem bywa skład zboża i owoców; każda zaś stoi w najładniejszym ogrodzie, bo każdy osadnik ma mnóstwo drzew owocowych i wierzb, łączkę, zagonów kilka; jego posiadłość jest ogrodzona; a od walnej drogi, wązka drożyna wśród porządnych płotów do jego mieszkania prowadzi. Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć w miejscu jedynie od kmiotków zamieszkałem, tyle drzew i owoców, tyle starania i przemysłu, tyle ruchu, weselości, swobody i życia. Zastów do dóbr narodowych należy i do Karczmisk, blizkiej wioski, pańszczyznę nie uciążliwą odrabia. Mając pana daleko od siebie i grunta dziedziczne, Zastowiaci myślą, że są wolni, a przynajmniej wiedzą, że co robią w posiadłościach swoich, dziatkom ich, wnukom się dostanie. Jest stu dwudziestu osady, na przestrzeni, która mili kwadratowej nie ma; a prawie wszyscy są bardzo majętni. Z wielką sposobnością do handlu, chwytają się go z zapałem, i on ich bogaci; owe owoce zimowe, zwłaszcza jabłka, które na jesieni do Warszawy na statkach przybywają, płodami są Zastowia i Hoteckiej kępy; nic dziwnego aby na jednej przejażdżce osadnik trzysta złotych zarobił, często zdarza się, że więcej; oni także okolice szczepami zasilają, a ozdoba i twórczyni tego miejsca, Wisła, choć czasem grozi mieszkańcom, często ich też i wspomaga; jeśli nie drzewem, to rybami, do łowienia których Zastowiaci są

nadzwyczaj zręczni; połów jesiotrów naprzykład zawsze im się najlepiej powiedzie.

Prócz tych źródeł bogactwa, mają jeszcze bydło, z którym jednak często, kiedy Wisła przybierze, w góry uciekać muszą; niektórzy odważniejsi zostają w czasie największych wylewów, sami siedzą w wyniesionych mieszkaniach, a bydłu robią mosty czyli tratwy, które uwiązane do wierzb wraz z wodą się podnoszą. Te wierzyby, które Zastowowi postać gaju nadają, są (jak w wielu miejscach w Sandomierskiem) ich największym domowym skarbem; *stodkiemi* zwane, bo taki jest w istocie smak ich liści, gałązek i kory, rosną dziwnie pięknie i wysoko; równie jak wszystkie wierzyby przyjmują się z gałązek; pięć łokci wysokie, na kilka cali grube w moich oczach sadzili, i kilka razy do roku sadzą, a sztucznym obcinaniem konarów, każdemu drzewu kształt wielkiego świecznika dają. Liście ich i kora są upodobaną bydła żywnością, pnie stare na opał służą, gałęzie na kołki i płoty i inne gospodarskie potrzeby; tyle im przynosząc użytku w domowym obchodzie, uznane zostały za najstosowniejsze dziewcząt wiano. I tak: kiedy któremu osadnikowi córka się urodzi, sadi gałęzi kilkadziesiąt, i już o jej los spokojny; bo gdy młoda Zastowianka trzydzieści wierzb mężowi w posagu przyniesie, za bogatą uchodzi.

Tych wszystkich szczegółów udzielił nam polowy tamtejszy, którego przy samym wjeździe nastreczono nam za przewodnika, i który jadąc wraz nami, ciągle prawił. Już ku końcowi naszej objazdki, przyszło mi zapytać się go o urządzenie Zastowia? kto tu przecie nad innymi przewodzi, kto sprawiedliwość wymierza? kto nareszcie najstarszy? Na te słowa wyprostował się, podniósł głowę, twarz jego rozjaśniała, a wskazując sam na siebie, rzekł. „Któżby nim był jeżeli nie ja?..: jestem więc, naprzód ja, ja który wystawiam dwór, rząd, pana, ja... boć wam zapewne powiadali, że jest *polowym*, dodał ze znaczącym uśmiechem; ja w ca-



łym Zastowiu najstarszy, a po mnie Radny, czyli Wójt.“ — Nie wiem czy był, czy jest gdzie człowiek, któryby mocniej był przekonany od tego polowego o znaczeniu swoim i więcej niém uszczęśliwiony... Widać, że duma nie zważa na miejsca i stopnie, chce tylko więcej znaczyć od blizkich siebie; wszystko jój jedno, czy ci, którzy ją otaczają są wysoko lub nisko, idzie jój o to jedynie żeby ona była wyżej.

Tenże polowy, jeszcze rozmowniejszy od chwili, w której nam udzielił tajemnicy swojej godności, opowiedział nam tak początek Zastowia: „Dawno, dawno, kto go tam spamięta kiedy, za jakiegoś króla, o którym już i *pamiętnika* nie ma i najstarsi zapomnieli jak się nazywał, był jeden człowiek bardzo ubogi, rybak z rzemiosła swego, miał żonę i dużo dzieci, a nie miał zagona ziemi; już w onczas kępę tę była odsypała Wisła, ale nikt jój jeszcze nie dowierzał; ten rybak przebrnął pierwszy przez miałą wodę, zbudował sobie domek, nasadził wierzb, łowił ryby, i było mu dobrze; obaczywszy to sąsiedzi, zaczęli się także tu gnieździć. Rybak ten nazywał się *Zasytów*; długo też ono miejsce Zasytowem zwano, aż nareszcie nie wiem zkąd przyszło do tego, że się *Zastowiem* zowie; ale niech się tam zowie jak chce, rzecz pewna, że tu chleb snadny i smaczny; z onego jednego też osadnika Zasytowa zrobiło się nas óto stu dwudziestu, i corazby więcej przybywało, jedno że już miejsca nie staje.“

Kiedy to mówił polowy, spojrzalam właśnie na Janowiecki zamek, który doskonale z Zastowia widać, a wspomniawszy na jego spustoszenie pomyślałam sobie: „Jakże trwalsze dzieła prostej pracy od pomników wyszukanego zbytku; kiedy w otchłani wieków zaginę szczątki przepyszego Firlejów mieszkania, zakład rybaka trwać jeszcze będzie!..“ Już teraz nawet i groźb Wisły Zastów się nie lęka; prawda, że go zalęwa, ale ten zalew nie trwa długo, i nie tylko że nie zarywa lądu bystra i niesforna rzeka



lecz owszem coraz go przyczynia. Pan polowy, choć na tak dostojnym urzędzie, przecież przekonany wraz z podwładnemi, że ją jeden Zastowiak, który za bardzo mądrego uchodzi, czarami od brzegów odpędził, i tyle jest zaufany w cudownej mocy tego człowieka, ile dumny ze swego urzędu. W całej téj okolicy, a podobno w całym kraju naszym, lud wiejski bardzo w czary wierzy, tysiączne ma zabobony i przesady. Sami tylko plebani, za pomocą rozsądku i wielkiej pracy, mogliby tę ohydną dla chrześcian ślepotę zupełnie wykorzeńić. Oby Bóg dopomógł im do tego chlubnego dzieła! oby iak naprędzój go dokonali!

Wojciechów, 20 Maja.

Prawie na pół drogi z Kazimierza do Lublina, w województwie Lubelskiem jest wieś należąca do hrabiny z Dzieduszyckich Morskiej, *Wojciechów*, w dosyć pięknym położeniu. Zastanowiły mnie w niej rozwaliny pałacu, więcj jeszcze rozwaliny wysokiej wieży; oglądałam ją z blizka, ale długo o jój dawném przeznaczeniu niczego dowiedzieć się nie mogłam. Właścicielka tu nie mieszka, pan ekonom z żoną był na odpuscie, karczmarz nawet dopiero od kilku tygodni w téj gospodzie osiadły, nic mi powiedzieć nie umiał. Byłabym wyjechała z Wojciechowa, w równój jak przyjechałam niewiadomości, gdyby nie był przyszedł do karczmy szewc tameczny. Lubię niezmiernie z prostemi ludźmi rozmawiać, i kiedy jestem w drodze, chwytam ku temu każdą sposobność; w tym celu na popasach i noclegach ile mogę, najwięcej, w izbie karczemnej siedzę, pytam się, badam, przyglądam; nieraz nauczę się czego, a zawsze ubawię. Tak się zdarzyło i w Wojciechowie. Ów szewc trochę okopcony, z roztarganą głową, z brodą zarosłą, w skórzanym fartuchu, z szydłem za pasem, okazał się bardzo mądry i w starożytności biegły; dowiedziawszy się o przed-

miocie mojej ciekawości, stanął przedemną, wziął się jedną ręką pod boki, i tak mówił przez nos: „Z przeproszeniem wielmożnej pani, ja tę rzecz wyjaśnię. Ta wieża nie wiem tak dalece kiedy i przez kogo *zainformowaną* była, ale to wiem, że już bardzo dawno. Jeszcze miasta naszego Lublina nie było, kiedy ta wieża już stała, i jak nieboszczyk mój ojciec powiadał, a słyszał to od dziada swego, tu się zjeżdżało dawniej obywatelstwo, i tu odprawiano *expedyte* sądy ziemskie. Dopiero to wtedy ustało, gdy książę jeden *zainformowawszy* Lublin, tam je przeniósł. Z ciekawości oglądałem tę wieżę, w środku, i znalazłem w niej *expedyte* nic.“

Zabawiła mnie jego powieść, a zwłaszcza makaronizmy, zapytałam się więc o owego księcia, który miał Lublin *zainformować*? on tak mi odpowiedział: „Był to książę jeden polski bardzo zamożny, miał on inne miasta, grody, ale w nich nie rad mieszkał, jedno upodobał sobie to miejsce, gdzie dziś Lublin stoi; dla tego, iż tam wielkie były stawy, a on rybołówstwo *expedyte* nad wszystkie uciechy przekładał; liny zaś nad wszystkie ryby lubił. W tém miejscu wówczas nic nie było, tak goło jak na mojej dłoni (i tu wyciągnął czarną i żylastą rękę); on książę wybudował więc sobie dom i mieszkał w nim często; dworzanie jego, służalcy także pobudowali domki; dosyć, że w kilkunastu leciech *zainformowało* się jakby małe miasteczko, brakowało mu jedno nazwisko. On książę, nie wiedząc zkąd je wymyślic, jednego razu kazał sić na największym stawie zarzucić, i powiedział do ludzi swoich: „Jakich ryb w tej sieci okaże się najwięcej, od nich nazwę to miasto.“ Wyciągnęli—zaglądają ciekawie, a tam *expedyte* jeden lin; a że onego księcia z dawna dla jego smaku w linach *Lubolinem* zwano, i lina jakby umyślnie dla niego wyciągnięto, miasto nazwano *Lubolin* i takby się dotąd zwać powinno; tymczasem zowiemy je *Lublinem*; bo to *expedyte* się dzieje, że co starzy tak za-

informują, młodzi inak przerobią.“ Na tém zdaniu skończyła się powieść szewca; sprawdzenie wniosku jego, zostawiam uczonym i pracowitym statystykom; jednak zdaje mi się, to podanie o linie bardzo godném zająć miejsce obok Lechowego gniazda orląt..

Lublin, 21 Maja.

*Lublin*, a podług wojciechowskiego szewca, *Lubolin*, miasto wojewódzkie, zdaniem uczonych, jest bardzo dawném i wiele pamiątek historycznych liczy. W pięknej leży okolicy, nad rzeką Bystrzycą, w kraju górzystym i żyznym; wieże trzynastu jego kościołów, starożytną i pobożną postać mu dają. W opisie Starowolskiego czytamy: „że, lubo nie jest tak obszerny, w tym jednak jest stanie, iż ani w domów wspaniałości, ani w wesołości położenia, zdrowości powietrza, ani w żyzności ziemi i obfitości wszystkich rzeczy, nie tylko do życia i wygody, ale do wspaniałości i zbytku, żadnemu w całym kraju miastu nie ustępuje. Ma bardzo wiele wspaniałych domów, kościołów i klasztorów, ma kolegiatę (dawny klasztor kk. Jezuitów); trzykroć na rok odprawuje targi, na które się zgromadzają Anglicy, Szkoci, Niemcy, Włosi, Persowie i Ormianie; odprawuje się tu Trybunał Koronny, zkąd szlachty bardzo wielka jest liczba.“ \*) Dziśby tego opisu nie można dosłownie do Lublina zastosować.

Ale téż od czasów Starowolskiego wiele klęsk poniósł: tu za Zygmunta III zawiązała się owa pamiętna domowa wojna, ów nieszczęsny rokosz Zebrzydowskiego; tu niespokojny i mściwy Feliks Herburt, zwyciężony od nienawistne-

---

\*) Opisanie Królestwa Polskiego za czasów Zygmunta III-go, przez Starowolskiego, str. 44.

go sobie domu Stadnickich, w złupieniu bogatszych kupców szukał wynagrodzenia strat w Przemyślskim poniesionych; tu w okropnych religijnych zatargach, wiele ludzi zginęło, wiele zburzono kościołów i spalono domów; tu nareszcie w roku 1655, kozacy mając na czele *Złotoreńka*, podstąpiwszy pod to miasto, zburzyli przedmieścia, najpiękniejsze gmachy spalili, zniszczyli go do tego stopnia, że w późniejszych wojnach szwedzkich, za Jana Kazimierza i Augusta II, nieprzyjaciel pastwił się tylko nad ostatkami dawniej ludności, nad szczątkami wspaniałych niegdyś gmachów i wielkich dostatków...

Dziś jednak Lublin, za staraniem opiekuńczego rządu, znacznie się podnosi; codzien nowych ozdób nabywa, dawne odzyskuje. Taką się szczycić będzie wkrótce, gdy otwartym zostanie długo zamknięty i zniszczony wspaniały kościół po-Jezuicki, dziś na kolegiatę przeznaczony, i z największym odnawiany staraniem \*). Mało jest zapewne w Polsce większych, piękniejszych kościołów. Malowania na murze przesliczne; oddany pod opiekę Św. Janowi Chrzcicielowi, sufit wystawia całą proroka tego i pustelnika historią, i prawdziwie zachwyca dokładnością rysów, żywością kolorów; z żalem postrzegłam malowanie ścian, zwłaszcza dolnych, mocno uszkodzone; za rządu austriackiego, w tej świątyni był skład zboża, a grube worki zatarły nielitościwie wyborne dzieło.

Krótko bawiłam w Lublinie, nie mogłam więc obejrzeć wszystkich jego ciekawości: i tak nie byłam ani w kościele Św. Michała, jeszcze zakładu Leszka Czarnego, ani w kościele Wizytek, który Władysław Jagiełło na pamiątkę zwycięstwa pod Grünwaldem wystawił; uważałam jednak szpital wojskowy w pałacu niegdyś Radziwiłłowskiemu będący,

\*) Trzeba pamiętać, że autorka pisała w r. 1827.

P. W.



a patrząc na niego myślałam o Barbarze, bo ona go Zygmun-  
towi Augustowi w posagu przyniosła; myślałam o hołdzie  
Albrychta księcia pruskiego w nim odbytym, a najwięcej  
podobno o *Janie Kochanowskim*, który stojąc tu przed Ste-  
fanem Batorym, wzywając sprawiedliwości dla zmarłego już  
przyjaciela, padł ofiarą zbytecznego wzruszenia, ofiarą przy-  
jaźni, i chlubne życie swoje zakończył.

Piękniejsze ulice Lublina są: Krakowskie-Przedmieście,  
Rynek staromiejski, Korzec; obeszłam je wszystkie: widzia-  
łam i Wieniawę *stawną piwnicami* \*), jeszcze w niej dziś  
mniej, niż za Krasickiego wina piją. A owój palestry, owój  
kontuszowój rzeszy, tak dowcipnie w *Doświadczyńskim* opi-  
sanój, nie widać wcale, i téj mi bynajmniej nie żal. Za-  
miast piwnic i palestry, Lublin ma teraz towarzystwa nauk,  
rolnicze, muzyczne i dobroczynne; ma salę teatralną, ale nie  
ma ani domu resursowego, ani publicznego ogrodu \*\*). Tra-  
fiłam właśnie na wjazd nowego biskupa JW. Dziecielskiego,  
byłam na nabożeństwie u Fary, słuchałam Mszy wcale pię-  
knie przez młodzież szkolną śpiewanój.

Pilaszkowice, 1 Czerwca.

Mało miejsc z równą przebiegałam przyjemnością; gra-  
niczące z Sobieską Wolą, dziś własność pp. Darowskich,  
było niegdyś letniem Jana III mieszkaniem. Są rozwaliny  
pałacu, w którym przesiadywał, a w nim cała jeszcze kapli-  
ca; jest ogród i podwórzec jego ręką założony, w nich lipy,  
które Willanowskie w wielkości przechodzą. Wieś sama

---

\*) Obacz wyjazd z Warszawy Krasickiego w Tomie II-im dzieł  
jego.

\*\*\*) Dziś Lublin ma Towarzystwo resursy i piękny bardzo space-  
rowy ogród.



w prześliczném położeniu; ciągnie się na wysokich i okrytych drzewami wzgórzach, nad głębokim parowem, czystą jak łąka, krętą jak wąż rzeką, Radomirką zwaną. Zabudowania dworskie są naprzeciwko wsi, równie piękny z nich widok, a zwłaszcza z miejsca gdzie stoi pałac i zjazd dawny był zajazd. Pałacu tego kształt szczególny, bo wązki a długi; rozporządzenie zaś jeszcze było dziwniejsze, więcej klasztorne niżli królewskie. Składał się z dużej sieni w środku będącej i z równoległej ale mniejszej kaplicy; po każdej zaś stronie było po sześć jednej miary pokojów, przeciętych wzdłuż domu wązkim korytarzem: tym sposobem było dwaście osobnych pomieszczeń w kształcie cel, każda miała drzwi swoje na korytarz i okno do dołu na dziedziniec lub ogród, z małą wystawą. Piętra nad nim wystawionego takież sam był rozkład, pominawszy to, że już drugiej kaplicy nie było. Piętro to nie wiadomo dlaczego drewniane (kiedy cały dom z białego kamienia tak pospolitego w tych stronach) przyspieszyło zgubę budowli: przeszło trzydzieści lat temu zgorzało wraz z dachem; nikt nie pomyślał o nowym, i mieszkanie walecznego króla poszło w rozsypkę przed czasem.

Z prawdziwem uczuciem wchodziłam do kaplicy, gdzie jeszcze dziś odprawia się nabożeństwo; w ołtarzu jest Matka Boska trzymająca ZBAWICIELA, w podobieństwie wszystkich Sokalskich i Częstochowskich; twarz wielka, ciemna, ale malowanie dobrze się utrzymujące. Ma ramy srebrne, też same co i za Sobieskiego; miała drugie drewniane \*), sporządzone w ten sposób, jak owe ołtarzyki, które za procesyą noszą; Jan III takie bowiem miał zaufanie w tym obrazie, że go brał z sobą do obozów, i na pole bitwy

---

\*) Te ramy przed kilkunastu laty niebaczny kucharz porąbał i spalił.

wynosić kazał. Kto wie, może był z nim i pod Wiedniem, bo z Pilaszkowic ruszył Sobieski przez Warszawę i Kraków, na tę pamiętną wyprawę. Pokazują tameczni mieszkańcy na podwórzu kilka rzędów lip przepysznych, pod którymi król Jan przed wyjściem, długie kazał zastawiać stoły i sutą ucztę żołnierzom swoim wyprawił; tam przemawiając sam do każdego, pijąc do nich ochoczo, zagrzewał ich dzielnie do tego męstwa i pośpiechu, które Europę zadziwić miały. Jakaż to musiała być wrzawa pod temi lipami! co za zapał! jakie krzyki! dziś głuche i posępne jak ci, dla miłości których nie jeden z tych żołnierzy już więcej do żony i dzieci nie wrócił!...

Może Sobieski wielkim politykiem nie był, może więcej nieszczęścia niż sławy na Polskę sprowadził, ale jednak musiał to być człowiek pełen pięknych, szlachetnych przymiotów, łatwy, przyjemny w pożyciu, i jak najlepszego serca. Tego serca widziałam i w Pilaszkowicach dowód. Wiąże się z tą wsią (jak zwykle w tych stronach województwa Lubelskiego), druga wioska, a raczej miasteczko. Sobieski wystawił go jedynie dla żon i dzieci tych żołnierzy, którzy szli z nim na wojnę; a ponieważ żołnierskie żony dawniej, a podobno i teraz *bazarkami* zowią, temu miasteczku *Bazarku* nazwisko zostało. Mieszkańcy mają dotąd przywilej od Jana III im nadany, który ich w mieszczan przetwarza, od wszelkiej pańszczyzny uwalnia. Do dzisiejszego dnia sami tam prawie rzemieślnicy mieszkają, a trzymający rolę, ten jedynie obowiązek mają, że ich dziedzic może posyłać w jaką chce drogę, i że ogród Pilaszkowiecki oczyszczać powinni.

W tym Bazarku jest dotąd mała kamieniczka; tył jej opiera się o kamienną górę, na której całe Pilaszkowice stoją. Było to niegdyś Piwnicznego króla Jana mieszkanie, i z niej jest wchód do sześciu wybornych lochów kowanych, gdzieby kilka tysięcy beczek pomieścić można. W pierw-

szym jest źródł jak najczystszej wody, który najprzód jak mówią, za piecem w mieszkaniu Piwnicznego się okazał, lecz zwróconym do lochu został. W tém miejscu Sobieski, który tak dzielnie z kielichem jak z Turkiem potykać się umiał, przesiadywał często, i jak wieść niesie, w największe upały, chętniej w winie niżli w wodzie ochłody szukał. W ogrodzie czworobocznym ze trzech stron ulicami lipowemi osłonionym, pokazywano mi kilka lip w półkoło sadzonych, na przeciwko królewskiego pokoju; tam była kanapa z darni, na której co dzień po obiedzie Jan III drzymał.

Przebiegając Pilaszkowice, opisując je w tym dzienniku, myśl moja tak żywo Sobieskim się zajęła, że abym tylko czas i zdolność ku temu miała, gdybym ukończyć potrafiła porozpoczynane już prace, chciałabym utworzyć obszerną powieść wziętą z czasów panowania jego. Ta epoka dziejów naszych, z której i materyałów jest dosyć, zdaje mi się bardzo stosowną do dzieła takowego rodzaju, ma nawet ową barwę rycerską, podobnym pismom tak stosowną. Żałuję mocno, że nie mam geniuszu, nauki, łatwości Walter Skota; najdalej za miesięcy dwa, miałyby publiczność *powieść historyczną z czasów Sobieskiego*. Ale tak—nic więcej uczynić nie mogę, tylko podać tę myśl zdutniejszym, a sama umieścić tu wierszyk przez króla Jana napisany, który 13-go Listopada 1694 roku, dał na pożegnanie wraz z obrazem Matki Boskiej, jedynaczce córce, Teresie Kunegundzie, wydając ją za elektora bawarskiego.

Idźże, gdzie niesie fortuna cię twoja,  
Z domu rodziców, jedynaczko moja,  
I z domu braci, za ojczyste progi,  
Bierz się do drogi.

Niech cię ta, co w swym pisze konsystorzu,  
Prawa naturze, niebu ziemi, morzu,  
Wszechmocna ręka, wzięwszy miłościwie,  
Wiedzie szczęśliwie.

Niewinny Jezus dla nas krzyżowany,  
 Niechaj cię przyjmie w swe otwarte rany,  
 I niechaj strzeże, zasłania i zbroi,  
 Z dobroci Swoi.

Panna i Matka za wiecznym przymierzem,  
 Niechaj cię składa niebieskim puklerzem,  
 I twą ojczystą na każdą godzinę,  
 Wzmacnia Janinę \*).

Spiesz, niech ci drogę bezpieczną gotują,  
 Za tobą oraz wiernie postępują,  
 Którym cię dało w moc zrządzenie Boże,  
 Anieli Stróże.

I którym w Polsce chwała wiekuista,  
 I w których dom nasz opiece korzysta,  
 Niechaj cię strzegą Patronowie święci,  
 Życzę z mej chęci.

Za ich modlitwą, prośbą i przyczyną,  
 Wszelkie cię niechaj przeciwności miną,  
 A Bóg obfite szczęścia, łaski, dary,  
 Zleje bez miary.

Błogosławieństwo, które w córkach, w synach,  
 Udziela niebo, miéj w tamtych krainach;  
 Życzęć pociechy z mych wnuków, twych dzieci,  
 Ojciec Jan Trzeci.

Gardzienice, 4 Czerwca.

Gardzienice wieś nad Radomirką, tąż samą rzeką, która Pilaszkowice zdobi, należała niegdyś do walecznego Stefana Czarneckiego. Są tu piękne rozwaliny zamku, gdzie on mieszkał. Przeszło trzydzieści lat temu, Kozaków będących tu pod dowództwem Kochanowskiego, zastanowił ogromny kamień gładzowy leżący w sieni; pewni, że skarby pod nim ukryte, unieśli go z wielką pracą; jakoż znaleźli skrzynię żelazną, a w niej siodło niezmiernie bogate, turkusami wy-

\*) Herb Sobieskich.



sadzane. Zapewne był to dar drogi Czarneckiemu za męztwo jego ofiarowany, albo też jakie pamiętne zdobycie... Ten zamek mógłby łatwo być mieszkalnym, mury jeszcze całe.

Krasnystaw, 6 Czerwca.

W tćm mieście obwodowćm, wcale porzćdnćm, po wićkszej czćsci murowanćm, napróżno szukałam szczćtkćw zamku, gdzie Jan Zamoyski wićził ksićżćcia Maksymiliana, gdy go wzićł w niewolę pod Byczynć; juź ich nie ma, chociaź dosyć jest innych rozwalin, zwłascza muru, który niegdys opasywał grćd cały. Jest i tu kościćł po-Jezuicki; ustępuje mało w wspaniałości i pićkności malowania lubelskiemu. Podobne sć nawet do siebie. Dotćd tćż tu była kolegiata i mieszkanie biskupa.

Krupce, tegoż dnia.

Jest to wieś o pćł mili od Krasnego Stawu, bardzo miła, z pićknym ogrodem, dziś do pp. Ciesielskich naleźćca; w którćj jest cerkiew i rozwaliny wspaniałej warowni. Jak mówić, dojść z pewnościć nie można, kiedy, przez kogo załoźonć była! Podanie niesie, że w nićj bronił się majćtny obywatel, od miejsca mieszkania swego *Krupć* nazwany, przeciwko Władysławowi Jagielle, którćgo krćlem polskim uznać nie chciał. Ta jego śmiałość i przydomek dały podobno powćd *Janowi Kochanowskiemu*, do następującćj słów igraszki:

Krćł Jagiełto bił Krzyźaki,  
I Pan Krupa chciał był taki;  
Na co się porwał nieboże:  
*Krupa Jagiła* być nie może.



Lat temu kilkanaście, jeszcze ten zamek był mieszkalny; ogień dach zniszczył, niedbałość dawniejszych posiadaczy dokonała reszty. Dziś są tylko mury zewnętrzne, środkowych już bardzo mało; po schodach miejsce gdzie były zostało. Gzyms piękny ozdobił niegdyś w około tę całą warownią, w czworogran zbudowaną, teraz po dwóch tylko jest bokach. Po jednej wieży czyli bastyonu są znaki, druga prawie cała, i na jej wierzchu bocian gniazdo sobie założył, jak gdyby chciał tę samotność ożywić. O! żałowałam, że rysować nie umiem: te rozwaliny, ta wieś cała, drzewa, woda, i Krasnystaw w oddaleniu, bardzo piękny składają widok... Wewnątrz warowni widać, że niegdyś były dwa dziedzińce, do dwóch jej boków przyczepione mieszkania; dwa drugie od południa i zachodu mają tylko ganki i strzelnice. Napisu, herbu żadnego nie ma, prócz wewnątrz na południowej ścianie rok 1608. Zapewne który posiadacz w tym czasie tę budowę odnowił...

O ćwierć mili od *Krupego* jest druga starożytna pamiątka, która mnie więcej jeszcze zajęła: w wielkim lesie, na wysokiej górze, wśród starych dębów i jodeł, wznosi się piramida; podstawą jej jest czworoboczna (jak się zdaje) kapliczka, z drzwiami od południa i czterema małymi z każdej strony okienkami; przez otwór, który czas w suficie wydrążył, widać, że piramida próżną jest wewnątrz; sowy, te przyrodzone świątyni śmierci kapłanki, gnieźdzą się w niej, i gdym tam zajrzała, jedna z nich zwróciła na mnie swe wyłupiaste oczy i jakby mówić chciała: „Czemu przerywasz to grobowe milczenie?“ Budowla ta bowiem zdaje się, że na grób jakiegoś dawnego wodza czy rycerza stawianą była; lud wiejski w tej okolicy to miejsce *grobiskiem* zowie, i wstręt ma do niego niezmierny, gniewa się gdy kto je odwiedza, drogi do niego zaorywa, mówiąc: „Poco budzić złego ducha, kiedy dzięki Bogu śpi spokojnie?“

Powiadają, że przed laty, gdy jakiś ciekawiec czy

niszczyciel zdjął podłogę, (której odtąd nie ma) okazał się loch ogromny obmurowany, i w nim jedna tylko trumna. Czytamy w dawnych kronikach, że „pogrzeby Słowian w lasach zwyczajnie bywały, gdzie grzebiąc swoje umarłe, mogiły z kamienia, nakształt piramid ku górze ułożonych umyślnie wystawiali.“ Może i ta piramida jest z owych jeszcze czasów zabytkiem? podstawa jój czyli kapliczka z kamienia, sama zaś z cegły, a szczyt z głazu, jakby czworoboczna głowa cukru. Bardzobym rada, żeby jaki badacz starożytności zwrócił tam swe kroki, i powiedział co to za pamiątka? Dzisiejsi Krupego posiadacze pomimo usilnych starań i zabiegów, nie odkryć, niczego dowiedzieć się nie mogli; powiadano mi jednak, że przeszłego roku, ktoś grzebiąc w gruzach leżących w około (gdyż bardzo już znać rękę czasu na tym pomniku) znalazł duży pieniądz srebrny; nie domyślając się jaką może być wartość takowej pamiątki przetopić go kazał... Miał być po jednej stronie napis nie czytelny, a po drugiej postać człowieka rozdzierającego lwa. Ten pieniądz możeby wiele był odkrył... Opodal od téj piramidy są kopane jakby szanice w dwa rzędy; może w potrzebie jakiej to miejsce schronieniem, miejscem obrony było.

Rybczewice, 8 Czerwca 1826 r.

Bawiąc dni kilkanaście w téj miłej wsi w województwie Lubelskiém będącej, której przyjemności i wzorowego gospodarstwa, dla tego jedynie opisywać nie śmiem, że jój właściciele zbyt bliscy serca mego, zwiedzając uprzejme jój sąsiedztwa, nadobne okolice, uczyniłam kilka drobnych postrzeżeń, nabyłam nieco wiadomości, zwłaszcza o wieśniakach tamecznych. Ten zbiór malenki dla starszych osób nicby nie miał ciekawego, ale tobie, kochana Anielko, i tym którym wyłącznie to pismo przeznaczone, może takowym się wyda, unieszczam go więc.

Małom oswojona z pięknymi okolicami, wzrosłam wśród płaszczyzn Mazowsza: nie byłam jeszcze w Krakowskim, nic zatem dziwnego, że mi się niezmiernie podobało Lubelskie. Te ciągle łańcuchy gór kształtnych, zarosłych parowów, ta obfitość drzew i wody, te urodzajne niwy, te piękne lasy, te wsie w wielu miejscach jednem pasmem się ciągnące, te romantyczne kmiotków mieszkania, musiały koniecznie zająć mnie przyjemnie. Przytém dla moich oczów nie ma miłszego widoku nad widok ogólnej swobody i obfitości; tak często mi się wydaje niższa klasa upośledzoną, iż wdzięczność mam prawdziwą okolicom przedstawiającym mi szczęście, jak dobro wspólne, do którego wszyscy ludzie zarówno są powołani. Podobało mi się więc Lubelskie i dla tego, że (przynajmniej ta strona którą ja zwiedziłam), nosi jakąś cechę owój ogólnej a tak miłej swobody i obfitości; tu, ładnej wiosce prawie na niczém nie zbywa, każda ma swój las, łąki, pola do wszelkich ziarn stosowne, źródle żywej wody, stawy, kamień, wapno, słomę, płótno, wełnę, miód, воск, owoce: rzeka Wieprz która ją oblewa, spław do Wisły łatwym czyni. Prócz tego uposażenia od natury, Lubelskie ozdabia jeszcze sztuka i staranie; może to z tój samój kraju piękności, która każde miejsce usposabia na ogród, może dla bliskiego Puław sąsiedztwa, bo dobry i piękny przykład wiele działa; może nareszcie dla oddalenia swego od stolicy, które ogranicza zabawy właścicieli i do ciągłego w wioskach mieszkania ich zagnała, ale nie widziałam jeszcze na wsi tak powszechnego zamięłowania ogrodów, tyle dbałości o porządne i wygodne mieszkania. Każdy dwór otoczony jest ogrodem, często bardzo ładnym.

Najmilsza rozmowa ziemianek Lubelskich o kwiatach, roślinach; jedna drugiej nasion, szczepów użycza; jedna przed drugą nowém odkryciem się szczyci; a nie kończą zabiegów swoich na kwiatach, dbają i o gruntowniejsze rzeczy, jako to: o dobre owoce, o smaczne i rychłe jarzyny,

warzywa. To zamięłowanie ogrodów musi mieć wpływ i na obyczaje; zdawały mi się łagodniejsze, miłsze niż gdzie indziej; zabawy, rozmowy w dobrym guście; ucho zaś moje napojone francuzczyzną towarzystw stolicy, lub grubą Mazurów wymową, nacieszyć się dosyć nie mogło czystością, płynnością, wprawą, z jaką tu wyżsi i niżsi ojczystym językiem się tłómaczą. Do tych wdzięków jeszcze jeden Lubelskie posiada, a tym jest obfitość starożytnych pamiątek. Często w jednomyślnym przeciągu, kilka jest miejsc sławnych; wymieniałam wyżej te, które mi się widzieć zdarzyło, ale nie wspomniałam jeszcze o śladach Aryańskich gmachów, a tych jest także dosyć. Ponieważ takowe po całej rozproszone są Polsce, a nie wszyscy (ja pierwsza) mają dokładne o Aryanach wyobrażenie, uprosiłam u świadomszych następującą o nich wiadomość.

*Aryanie* byli to kacerze, którzy w początku IV-go wieku Chrześcijaństwa, za panowania cesarza Rzymskiego Konstantyna, odłączyli się od powszechnego Kościoła, nie chcąc uznać równości trzech osób Trójcy Świętej. Znaczeni w liczbie, bogaci w ludzi, zakłócili spokojność pierwsiotkowego Kościoła; nie było jednak kacerstwa, któreby lepiej od prawowiernych zbijane zostało. W końcu IV-go wieku, osłabieni w liczbie i opinii, wygnani z państwa Rzymskiego przez Teodozjusza cesarza, po innych krajach Europy przytułku szukali, przechowując w nich zdania swoje aż do XVI-go wieku. W tym wieku tak w kacerzy obfitym, zjawił się we Włoszech Leliusz Socyn, który także przeciw Trójcy Świętej bluźnił, ale w inny sposób; zwolenników jego, których właściwie Socyanami zwać należało, przezwaną *Aryanami*. Socyn \*) wygnany z własnej ojczyzny, nie zna-

---

\*) Grób tego Socyna, jak donoszą pisma publiczne, miał być niedawno odkryty w okolicach Wojnicza w Galicyi.



lazszy bezpieczeństwa w Szwajcaryi, pod bokiem Kalwina puścił się z uczniami swemi na północ, gdzie sobie większą wolność i bezpieczeństwo dla siebie i dla nich obiecywał. Już w Krakowie od roku 1546, Spiritus, Holender, w domu Jana Trzecieskiego, zasady nauki *Aryańskiej* wykładał, i kilku ze znacznych obywateli na swoją stronę przeciągnął. Nie tylko więc Socyn znalazł w Polsce dla siebie i dla swoich wstęp wolny, a później bezpieczeństwo, ale wsparty przyjaźnią Franciszka Lizmanina, gorliwego Aryana, (lubo spowiednika królowej i najpoufalszego Zygmunta Augusta ministra), zachwiał górującą powagę Lutra i Kalwina, opiekunów znakomitych pozyskał, i wnet wielu zwolenników koło siebie ujrzał.

W roku 1556, niejaki Piotr Goncyusz ogłosił się naczelnikiem sekty *Aryańskiej* w Polsce. Tenże Goncyusz pierwsze rzucił nasiona *Aryanizmu* w Litwie, za pomocą Mikołaja Radziwiłła, wojewody wileńskiego; Synod Mordski tolerancję Aryanów zabezpieczył; ale niezadługo sejm Parczowski w 1564 roku i Lubelski w 1566, wywołał ich z kraju. Mogło się to tyczyć cudzoziemców, krajowcy też tego prawa stosować do siebie nie chcieli, a i cudzoziemcy nawet ośmieleni, poprzysiężonym przez Henryka Walezego i Stefana dla różnowierców pokojem, wrócili do Polski, 1580 roku. Pinczów, później Raków był ich stolicą; w ostatniem z tych miast była szkoła i drukarnia Aryańska. W r. 1637, za Władysława IV, sąd sejmowy kazał tej sekcji ustąpić z kraju, siedliska jej i kościoły obalać i niszczyć. Nie wypełniono jednak zaraz w skutku tego rozkazu; zostali Aryanie w kraju po większej części. Nieco później, za Jana Kazimierza, posądzono ich o związki z królem Szwedzkim, Karolem Gustawem; im przypisywano kłeski pod Warszawą, Tyńcem i Mogiłą. W roku 1658, Stany Sejmowe wywołały z Polski wszystkich wyznawców i obrońców tej sekty, pod karą śmierci i zabrania dóbr; dozwolono



im dwa lata do wyprzedania się. W tym przeciągu wyszli z Polski, jedni udali się do Węgier, drudzy ku Renowi, Brandeburgowi, Pomeranii, Holsztynowi; wielkie dostatki z kraju wywieźli \*). Polsce została tylko ich pamięć i gruzы licznych gmachów, które jednak niekiedy mylnie im przypisywane bywają, gdyż uczeni twierdzą, że nie wszystkie rozwaliny, którym po-Aryańskich przydomek dają, słusznie go noszą. Lud wiejski zupełnie mylnie mając o nich wyobrażenie, poganami, potężnymi nieprzyjaciółmi Polaków ich mieniąc, wiele rzeczy im przypisuje.

Ludowi wiejskiemu w Lubelskiém przypatrywałam się jeszcze pilnie niżli wszelakim rozwalinom; jednego ja jestem zdania z szanowną autorką *Pielgrzyma*, kmiotków naszych lubię i szacuję, a z wdzięcznym *śpiewakiem Wiesława*, powtarzam:

Rycerz to nie wielki,  
Ojczyźnie ubliża,  
Który nad stan wszelki  
Rolnika poniża.

Z wółkiem on w pokoju  
Uprawia nam błonie,  
Na koniku w boju  
Pośpiesza w obronie.

Jego to ciężarem  
Pan skarby dziedziczy,  
Na to on pod skwarem  
Ziarnkami dań liczy.

W pomoc kraju biegał  
Za pańskimi syny,  
Wszędzie on należał,  
Prócz zysku i winy.

---

\*) Obacz „Dzieje i Prawa kościoła polskiego“ przez księdza Teodora Ostrowskiego. Tom III.

Skutkiem tych zdań i wrodzonych uczuć, nigdy obojętnym okiem na lud nasz wiejski nie patrzę; dobry byt jego, wesołość, niepojęcie mnie cieszą, błędy i ciemnota martwią, zwyczaje zajmują. I jakżeby rolnicy i kmiotki, którzy większą część bogactwa naszego i ludności stanowią, obchodzić nas nie mieli? wreszcie czyżto nie u wiejskiego ludu przechowują się najdłużej, dawne narodowe podania i zwyczaje? Napływ cudzoziemczyzny, zmiany rządu, mało na nim działają; on może od kilkunastu wieków takiż sam, i ta jednakowość, lubo przeciwna pożądanemu dla całego rodu ludzkiego udoskonaleniu, ma przecież ten urok, tę powagę, którą zdobi się to wszystko, co ręki niszczącego czasu uchodzi. Ile więc mogłam, uważałam lud wiejski w Lubelskiem, i zdaje mi się, że ma więcej oryginalności i przymiotów od naszych Mazurów. Ubiór tu wprawdzie nie tak strojny jak u nas, kobiety prawie zupełnie biało, a raczej szaro się noszą; ale ten ubiór świadczy o ich pracowitości; bo zwykle, jak koszula, tak i spódnica i fartuch i *parcianka* \*) i *zawijka* \*\*) i owe na gładkim czepku owinięcie, które *zawojem* zowią, wszystko to jest z płótna własnej ich roboty. Podobnyż jest i letni ubiór mężczyzn; kapelusze słomiane sami sobie plecą, a na zimę używają sukna z wełny z własnych owiec, któremu nawet przyrodzony kolor brunatny zostawują.

Chaty ich takie jak w naszych stronach, ale niemal każdą sad cieni; prawda, że do tego sama ziemia im sprzyja; na polach rozsiane grusze i jabłonie, w lasach pełno drzew wiśniowych trześniami zwanych, nie trudno im więc o płonki; ale jednak umieją z tego bogactwa przyrodzenia korzystać; pszczoły powszechnie hodują, lnu i konopi sieją i obrabiają wiele. Mowa ich nierównie czystsza i piękniejsza jak na-

\*) Kaftan długi za kolana.

\*\*) Szal, ten wyraz mógłby i do naszych ubiorów być przyjęty.

szych chłopów; słyszałam z ich ust niektóre wyrazy bardzo właściwe, u nich pospolite, a które mnie niezwyčajnemi się zdały; i tak oni (że inne pominię) długie włosy *kosą* zowią, girlandę *równianką*, bukiet *snopkiem* albo *wiązką kwiatów*, wieś *siołem*, kompanię *dróżyną*, los *dolą*, dziewczkę, która ma po ojcu majątek *ojczewiczką*, garnek do mlęka *gludyszem*; kiedy się obłoki w chmury zbijają, mówią *batwani się niebo*, a jak pospolicie lud prosty czyni (w czém nierównie od oświeconych mędrszy) w potocznej mowie, mówiąc do drugiej osoby, zawsze używają liczby mnogiej, a nawet z wielkiego uszanowania i w trzeciej osobie dwoją. Podobno ten ostatni sposób mówienia i w innych stronach jest używany, ale mnie tu pierwszy raz uderzył.

Wyszędłszy rano na przechadzkę z gospodarstwem, spotkaliśmy młodego chłopca; pytają się go: „Cóż to twemu ojcu?“ „A wczora gnój nakładali na wóz, coś im w krzyżu pękło, padli jak nieżywi; zaniósłem ich do łóżka: dziś trocha zdrowsi, ale jeszcze stękają.“ Ja nie dosłyszawszy zapytania, i nie wiedząc o zwyczaju, myślałam w dobrej wierze, że oboje rodzice taki przypadek mieli. Może z powodu tego pierwszego wrażenia, ten sposób tłumaczenia się, ciągle śmieszny mi się wydawał; ale co w pierwszym, w tém staropolskiém *wy* niezmiernie smakuje, i pragnę z duszy, żeby go znowu kiedy powszechnie używano. Gdyby możne, znaczące, uczone osoby wzięły się za rękę, możeby się to i udało? a prawdziwie nie godzi się, ażeby zamiast ułatwienia w języku ojczystym listowej i ustnej rozmowy, ujarzmić się dobrowolnie, i ścieśnić myśli i usta, tym nieszczęśliwym *Pan i Pani, WCPan, WCPani*. Pewna jestem, że zarzucenie tego *Wy*, nie mało się przyczyniło do upowszechnienia nierównie w tém wygodniejszej mowy francuzkiej... Ale wróćmy do ludu wiejskiego w Lubelskiém...

Uważałam w nim także więcej niżli w naszych stronach uszanowania dla panów. Kiedy chłop koło dworu przecho-

dzi, choćby niebyło państwa w domu, zawsze czapkę zdejmie; ludzi, rzeczy nawet dworskie szanuje; cechuje go także wzajemna uczynność, smak w życiu towarzyskiem. Raz wracając wieczorem z przechadzki, postrzegłam na małym polku nie daleko wiejskiej chaty, z dziesięć kobiet sadzących rozsadę. „Cóż to znaczy?“ spytałam się. „To sąsiadki i kumoszki gospodyni téj chaty, odpowiedziano mi, dowiedziawszy się, że ona kapustę rozsadza, przyszły jój pomódz, bo tak wzajemnie czynić zwykły i to niemal przy każdej robocie. Nieraz w czasie żniwa, skończywszy pańską powinność, zbierają się parobki i dziewczki, i przy świetle księżyca idą do którego z gospodarzy. Tam razem z jego rodziną i czeladką, rzną mu ochoczo zboże; trwa to zwykle późno w noc, gdyż nie odejdą, póki wszystkiego nie położą; gdy już ostatnia garść na ziemi, gospodarz wyprawia im na tém samym polu ucztę, pierogi z tatarczanej mąki, kaszę jęczmieniową, daje im piwa, wódki. Kto chce mieć wyobrażenie wesołości i apetytu, niech słucha jak śpiewają i śmieją się przy téj dobrowolnej robocie; niech patrzy z jakim zajadają smakiem.

W zimie mają także miłe schadzki i zabawy. Obierają sobie dwie lub trzy chaty największe we wsi całej, i już codzień w wieczór do tych gospodarstwa się schodzą; tam dziewczki przędą na wyścigi, śpiewają, nowinki sobie szepcą, bajki opowiadają; tam i parobcy się schodzą; niektórzy przędą, drudzy siecie wiążą, powróśla kręcą; tam znajomości nowe, związki miłosne początek mają: wesołości miara nieprzebrana. Zabawa z pracą często do północy sen odgania. Tam bowiem i sypiają; słomy rozłożą w izbie i kładą się pokotem. Ażeby gospodarstwu nie być natrętnym, i na sucho nie pracować, zawsze w dniu poprzednim układają się z gospodynią, co ma gotować na jutrzejszą wieczerzę? i stosownie do tego przynoszą miarkę kaszy, mąki lub kartofli, kęs okrasy, szczyptę soli.



Parobcy ze swojej strony, zwłaszcza kiedy która dziewczka im miła, to piwem, to wódką częstują; każdy także pęczek drzazeg i wiązkę słomy dostarczyć obowiązany, i na tych schadzkiach pewno lepiej się bawią niżli na wielu herbatach; pewno nie narzekają na milczenie, lub oziębłość i obojętność rozmowy... Przez tydzień ostatni roku, chociaż bywają schadzki, nie przędą wcale, ażeby im się (jak mówią) z końcem roku nie wysnuła, i wszystko dobre nie skończyło.“ Bo już to na nieszczęście, przesądów, zabobonów, guseł i między włościanami Lubelskimi bez liku; wiara w czary, uroki, opętania, może mocniej w ich umysłach ugruntowana, od wiary w tajemnice religii; choroby bydła, dzieci, ich własne, wszystkie nieszczęścia nie ich winy, nie karzącego Boga, ale czarownic dzieło. Dziwnych sposobów używają na zniszczenie rzuconych uroków; między innymi, ludzi niebezpiecznie chorych, bez żadnej odzieży zagrzebują po szyję w ziemię; w innych razach gorzycą octem skropioną okładają całe ciało, i przekonani na pryszczę, które skórę wzniesą, że to *złe* wystąpiło. Mają także mocną wiarę, iż *zły duch* często postać wiatru przybięra; dla tego z trudnością namówić ich można do otwierania okien: bóle suche, paraliż, czasem i śmierć nagła, cugu powietrza częste skutki, mogły ich w to dzikie mniemanie wprowadzić. Może też to, jeszcze czasów pogańskich zabytki? Pamięć bowiem bożków mitologicznych utrzymuje się w ich pieśniach, a śpiewać niezmiernie lubią, zwłaszcza kobiety. Przy każdej robocie śpiewają i ten odgłos, chociaż nie zawsze dźwięczny, zawsze miły; gdyż śpiewanie uważa się zwykle jako wesołości oznakę; a tak przyjemnie widzieć wesołość w parze z ciężką pracą... Upodobanie ludu tego w pieśniach i obfitość ich, najlepiej się wydaje w czasie wesel, które tam odmiennie jak w Mazowszu bywają obchodzone.



## OPIS TRZECI.

## PRZEJAŻDŻKA W PODLASKIE.

Może z uprzykrzeniem dla ciebie, kochana Anielko, i dla innych czytelników *Rozrywek*, nawykłam w małych przejażdżkach moich, dziennik utrzymywać i udzielać im i tobie, prawie nic nie znaczących z niego wyjątków. Ale cóż robić? *nałóg jest drugą naturą*, zaniechać go trudno; musisz więc znowu wraz z innemi przyjąć z pobłażaniem to drobne pismo. Jeszcze, mniej od poprzednich, ma szczegółów i zalet, ale przynajmniej krótkie, znudzić nie będzie miało czasu.

Igań, 16 Sierpnia 1826 r.

„...Prawda, że bardzo mało w życiu mojem jeździłam i widziałam; prawda, że cel przyjemny téj mojej przejażdżki, trudy i niewygodę mógłby umilić, jednak nie przypominam sobie, abym mil dwanaście z mniejszym mozołem, i tak szybko przebyła, a zajechawszy na nocleg, równie czystą zastała izdebkę. Wyjechałam dziś z Warszawy koło dziesiątej z rana, a te słowa jeszcze przy świetle dzienném kreślę. Wyborna rzecz: *droga bita*, powóz się toczy jak po stole; spać można bezpiecznie, jadąc czytać, a nawet i pisać. Błogosławiłam troskliwość rządu, gorliwość obywateli; cieszyłam się i chełpiłam razem myślą, że jest już kilkadziesiąt mil podobnej drogi w Królestwie; bo mnie wszystko co widzę u nas dobrego, nie tylko cieszy ale i dumą napełnia a te uczucia podwoił jeszcze przypadek następujący. Mając z sobą nieodstępного przejażdżek moich towarzysza, *Krasickiego*, w *Uwagach* w tomie szóstym, na karcie 248 napadłam na artykuł o *drogach publicznych*; z niejakim

tryumfem czytałam dowcipne jego narzekania, na nieczułość ojców naszych w tój mierze; o którąby już ich następców obwiniać nie mógł; skwapliwie, w książce nakreśliłam te słowa: „*miłoś to czytać na drodze bitój naszej!*“ i serdecznie żałowałam, że jój Krasicki nie widzi, i jój użytków z swoim dowcipem nie głośi. Jakoż jak nieraz słyssałam, ta droga bita wiele korzyści przyniosła; przez nią województwo Podlaskie ożywione, zbogacone i jakby zdobyte dla stolicy zostało; dosyć żyzne i obfite, ale w wielu miejscach piaszczyste i od rzek spławnych dalekie: bardzo trudnym był dawniej dla mieszkańców jego, wywóz zboża i innych płodów; dziś to wszystko ułatwione: taka droga, rzekę spławną zastąpi. Jakże chętnie każdy jadący tym pochwałom wtóruje, bo gdyby nie ten gościniec, bez żadnego prawie wdzięku byłaby ta okolica; kraj płaski, położen pięknych, widoków nie ma; lecz czegoż nie nagrodzi podróżnemu łatwy pośpiech, miły cywilizacy i porządku obraz? wszędzie wioski zabudowane, kształtne domy drogowe, schludne gospody, słupy z dokładnemi napisami; wprawdzie mało odmiany, ale nieprzyjemności żadnej. Tę drogę w swój wygodzie i jednostajności przyrównaćby można do spokojnego, bez wielkich wypadków, ale mile płynącego życia; mało do opisu, mało do życzenia i...

Siedlce, 17 Sierpnia.

Lubo to miasto jest wojewódzkiem i wcale porządnem, przecież nie wielkie, i prawie całe drewniane. W małej liczbie murowanych gmachów, odznacza się ratusz na rynku, i trzy kościoły. Jest tu szkoła wydziałowa, przeszło trzy tysiące mieszkańców i sławne bułeczki. Ale więcej nad obecność zajmuje w Siedlcach przeszłość. To miasto nim go rząd nabył, było własnością Aleksandry z Czartoryskich

Ogińskiej, hetmanowej litewskiej, córki jedynej księcia kanclerza; i ten pałac zniszczony, ten ogród zaniedbany, w końcu zeszłego wieku siedliskiem był wesołości. Hetmanowa Ogińska, tak miała serce gościnne i polskie, że zupełnie smutnego stawiała się umysłu, i jakby słabą, skoro jój dom napełniony nie był gośćmi różnego stanu: im dłuższy nakryto stół jadalny, im większy widziała natłok i wrzawę, tém była weselszą, chociaż dla wieku raczej świadkiem niżli uczestniczką zabaw być mogła. Zjeżdżały się téż do Siedlec i ze Stolicy i z całej Polski, rodziny całe; te które już w pałacu i w oficynach pomieścić się nie mogły, najmowały sobie w mieście domki i tam mieszkwały po kilka miesięcy, codziennie w pałacu jedząc, pijąc i bawiąc się; jest jeszcze wiele żyjących osób, które chwile tam pędzone jak najmiliej wspominają.

Gościnność i smak w zabawach, nie były przecież jedyném Aleksandry Ogińskiej upodobaniem: urodziła się Czartoryską; dobroczynnością więc tchnąć jój serce musiało. Ubiegała się téż o pierwszeństwo w tym szlachebnym zawo-dzie z stryjecznym bratem swoim księciem generałem Czartoryskim; nie mając dzieci, nieszczęśliwych i potrzebujących obrała się matką: wiele rodzin podupadłych dźwignęła, wiele sierot wyposażyła, wielu, ze zdatnością do nauk ale ubogim młodzieńcom rękę podała, i wyszli na ludzi. Nie mało doznali od niej pomocy, opieki: Karpiński, Książnin, Kropiński i inni; wywdzięczyli jój się czém mogli, uwielbieniem i wierszami; przytoczę tu niektóre: lepsze dadzą od słów moich, dawnych Siedlec i ich pani wyobrazenie.

## KNIAŻNIN

*do Aleksandry z Czartoryskich Ogińskiej.*

Jeśli me pióro jest warte  
 Rysować przyjemne wzory,  
 Pani! racz przyjąć tę kartę:  
 Oto Siedleckie wieczory.

Gdzie sama dobroć panuje,  
 Pod wdzięcznym onój rozkazem,  
 Świat miłą postać przyjmuje:  
 Dom twój téj cnoty obrazem.

Od nudów zawsze daleka,  
 Tu rozkosz w pośród stodyczy,  
 Gdy pasmo uciech przewleka,  
 Bijących godzin nie liczy.

Gdy coraz nawój ma świeży,  
 Ni go uboczna rwie żądza;  
 Sercami rzeźwěj młodzieży,  
 Luba przystojność rozrządza.

. . . . .

Jeżeli twarze i oczy,  
 Duszy są rzetelne świadki;  
 Cały ten orszak ochoczy,  
 Jak dzieci koło swěj matki.

Widać tu różnicy mało,  
 Ani wzrok dumny, ni ostry;  
 Jak na kraj wolny przystało,  
 Wszyscy tu bracia i siostry.

Gość tu się codzień przemienia,  
 Wzgląd niechybiony nikomu;  
 Odjeżdża pełen wielbienia,  
 I przykład wiezie do domu.

Rodak tym wzorem szczęśliwszy,  
 Sobie i drugim żyć umie,  
 A cudzoziemiec tu bywszy,  
 Lepiej o Polsce rozumie.

. . . . .

---

## KARPIŃSKI do tejże,

*na domek wiejski Aleksandrów, zbudowany w miejscu  
 dawniej niedostępnem.*

Cóżto za siła tym krajem włada!  
 Co wśród żywiołów nierządu,  
 Wieczystym bągom z ufnością gada:  
 „Weźcie kształt wody i ładu.“

Silnym postrachem gad uderzony,  
 Dawne opuszcza siedliska,  
 I w oddalone wlekąc się strony,  
 Krwawemi cętki połyska.

Na jego miejsce ciepłe zórawie,  
 I od południa ptak mnogi,  
 Łabędź i strojne zleciały pawie,  
 Zaległy wodę i drogi.

Tam cicha cnota ma swe schronienie,  
 Kiedy się z tłumu wyrwała;  
 Ona nad blaski przekłada cienie,  
 Byle coś Nieba dojrzała.

. . . . .



Tam się zdaleka podróżny zwrócił,  
 Ani go bierze ochota,  
 Do domu, który dawno porzócił:  
 Tak miło bawić, gdzie cnota.

Tam z między tylu, znajomych pieniem,  
 Pędząc najstodszą godzinę,  
 Śpiewał też także pod drzewa cieniem,  
 Pasterz, co kochał Justynę.

Aleksandra z Czartoryskich, hetmanowa Ogińska, umarła dnia 28 Sierpnia 1798 roku, mając lat 68. Na jakiś czas przed ostatnią chorobą, w miejscu, gdzie wznosił się ów domek wiejski Aleksandrów, w którym gościł i brat jej cioteczny, król Stanisław Poniatowski, kazała wystawić udaną kaplicę i tę na grób swój przeznaczyła. W niej dotąd jej zwłoki spoczywają z pięknym napisem; zniszczona przez zaniedbanie i powódź, odnowioną została nakładem księcia generała Czartoryskiego, i teraz w dobrym utrzymana jest stanie.

Biała, 21 Sierpnia.

Już 17 Sierpnia przejeżdżałam przez to miasteczko obwodowe, do ksiąząt Radziwiłłów należące; ale ponieważ wtedy dążyłam do drogich mi osób, a sercu tak łatwo nad ciekawością wiaść górę, dopiero dziś zwiedziłam go dokładnie. Samo miasteczko nieszczególne, zastanawia tylko przechodnia pałac, jak mówią, bardzo dawny; budowa jego dziwna lecz nie piękna. Brama wchodowa najwięcej uderza: czoło jej dosyć smakowne, ale ozdoby już nieco zniszczone; widać jeszcze po obu stronach postacie rycerzy, a w górze litery D. O. M. Sama jest sklepiona, długa przynajmniej na sto kroków i kręta, co ją ciemną czyni; prowadzi do dziedzińca *czworobocznego*, znacznej wielkości; jeden bok

składa pałac o trzech piętrach, mający z obu stron galerią z oknami na wylot, a na rogach wieżyczki; drugi bok po prawej ręce od wschodu, długa oficyna; trzeci po lewej, krata żelazna z gęstymi słupami i bramą do ogrodu; czwarty, dwa budynki oddzielne, a wśrodku nich wysoka wieża z zegarem, pod którą jest właśnie otwór owej dłuższej i krętej bramy. Obeszłam cały pałac zewnątrz i wewnątrz; dół cały prócz dwóch sal sklepiony, górne pokoje widać że były paradniejsze; jest jedna sala ogromna, wysoka na dwa piętra, rzeźbiarską ozdobiona sztuką, ale figury niezmiernie ciężkie; musiała to być sala balowa; u góry prawie wkoło są otwory, zapewne dla widzów. Jest wiele osób które ten pałac mieszkalnym widziały; za księztwa Warszawskiego dawano w nim bal świetny, i dziś chciano z niego jaki użytek uczynić, ale nie pozwalają tego porysowane mury; i mówią że rozwalony wnet będzie.

W oficynie jest kassa i archiwum obwodowe. W ogrodzie nie bardzo obszernym, stoi budynek *grotą* nazwany; pomnik zepsutego smaku, wysadzany muszlami; w saloniku są różne płaskorzeźby z mitologii, między innymi Perseusz uwalniający Andromedę. Naprzeciw tego budynku jest kompas ogromny, ale już upłynęły te czasy, kiedy godziny wskazywał. Za pałacem wznosi się mała i nie bardzo kształtna kapliczka, drzewami ocieniona; cały pałac i z dosyć znaczną przyległością, opasany jest podwójnymi wałami i oblany wodą, która już w wielu miejscach zarosła: znać, że był obronny... W wieży i w budowlach nad bramą urządzonych, są więzienia i dziś nieszczęśliwych pełne; lecz już nie gwałt i przemoc jak dawniej, ale sprawiedliwość je zaludnia. Brzęk kajdan godnie odpowiadał temu, co nam w tym gmachu starzec ośmdziesiątletni rozpowiadał... Lubom zapisała te szczegóły w dzienniku moim, bo mogłyby podać treść do zajmującej choć okropnej historycznej powieści, powtarzać ich tu nie śmiem. Nie dla Ciebie ko-

chana Anielko; ani też dla dzieci, takowe obrazy... Wiek wasz, nie trzeba postrachem występku, ale raczej wdziękami cnoty ku dobremu prowadzić.

O ćwierć mili od Biały, jest przyjemna wioska *Rozkosz* przezwana; dawniej książąt Radziwiłłów, dziś do PP. Michałowskich należąca. Był tam pałacyk wystawiony umyślnie przez jedną z księżen tego domu dla Piotra Wielkiego, który przejeżdżając przez Polskę, trzy dni w nim gościł. Kilkanaście lat temu jak umarła w Biały sądziwa kobieta; ta wówczas dziecięciem będąc, trzymana była do Chrztu przez monarchę i księżną. Księżna ta, której bardzo długo *Rozkosz* była miłą, owdowiawszy poszła drugi raz za męża, a na kilka lat przed śmiercią, w późnym wieku wstąpiła do klasztoru. Nie wiem czy to nie będzie ta sama *siostra Taida*, którą w prostocie i niewinności swojej, *Elżbietka Rzeczycka* tak uwielbiała?.. Jeszcze jeden szczegół o pałacu w Biały: w dzień kiedy ostatni jej dziedzic, książę Dominik Radziwiłł zaciągnąwszy się do wojska, w samym kwiecie wieku umarł we Francyi, szczególne zdarzenie chciało, iż z wielkim łoskotem, spadł i pogruchotał się orzeł czarny (herb tego domu) rozpostarty nad drzwiami. I jak nam mówił, wyżej wspomniany starzec: „już po tej przepowiedni wiadomość o zgonie książęcia, nie zdziwiła nikogo, lubo zasmuciła wielu, bo był to pan z dobrém i wspaniałém sercem.“

Janów, 23 Sierpnia.

To miasteczko nie wielkie, zalecające się dziś piękném stadem królewskiem; dawniej musiało być większe i świetniejsze, bo tu było mieszkanie biskupów Łuckich, a w kościele katedralnym, bardzo starożytnym, są dotąd ich groby. Wiedząc o tém, jechałam do Janowa skwapliwie. W liczbie biskupów Łuckich był *Adam Naruszewicz*, ów mąż tyle

zasług w naukach ojczystych mający, który pierwszy prawie dał popęd do głębokich badań w dziejach narodu polskiego, który był tém dla historii naszej, czém Kopczyński dla języka, jakby prawodawcą, wskrzesicielem i wzorem; którego nareszcie jako poetę, razem z Sarbiewskim, obok Krasickiego niektórzy mieścili. Żywo więc byłam zajęta jadąc do Janowa; niewymowne mnie napełniają uczucia, ile razy się zbliżam do znanego pisarza: to imie jego jeszcze tak głośnie na ziemi, kiedy duch już z niéj znikł oddawna; te słowa i wyrazy czytane od wszystkich, kiedy już zmartwiały usta co je mówiły, ręka która je kreśliła; te zaszczyty i pochwały, od niego już ani widziane ani słyszane; pamięć téj nieochybnéj dla każdego z ludzi kolei: wszystko to przejmuję mnie nad moc wyrażenia. Jednak w kościele Janowskim mniej jak zwykle w takim razie przejęta byłam; w całym tym gmachu, jeden tylko założyciel jego biskup Kobielski, uczczony został nadgrobkim. Naruszewicz zaś nie ma nawet skromnego napisu; zwłoki jego spoczywają w lochach kościelnych, ale żaden pomnik nie mówi tego przychodniom.

Zawiedziona tém i zasmucona, żałując w téj chwili że mu go wystawić nie mogę, szukałam jakiego wynagrodzenia. Nie dla niego bynajmniej, bo któż po Czackim, Ossolińskim, Mostowskim, Lelewelu, Gołębiowskim, Bentkowskim, coś sławie Naruszewicza dodać potrafi? ale dla saméj siebie i tak pomyślałam: Nie mogę w tym odwiecznym gmachu wznieść pamięci Naruszewicza kosztownego z brązu lub marmuru pomnika, ale mogę w ulotném pisemku skromny hołd mu oddać, przemawiając o nim do tych kochanych odemnie dzieci; mogę w ich usta imie jego włożyć, przejąc ich zasługami tego męża w dziejopisarstwie, udzielić im wyboru poezyi jego. I tak uczyniłam, a ta praca miłą mi była, i nie wiele mnie kosztowała zachodu. Uczeni i światli znawcy, już spisali szeroko Naruszewicza zalety; z wypielegnowanych przez nich kwiatów, jam tylko prosty



ułożyła wieniec: ten tobie kochana Anielko, i innym młodym czytelnikom Rozrywek poświęcam.

---

## OPIS CZWARTY.

### PRZEJAŻDŻKA W KRAKOWSKIE.

(w r. 1827.)

---

Kiedy kilka miesięcy temu, wybierałam się na nową w kraj nasz przejażdżkę, i to z większą jeszcze niż zwykle radością, bo do Krakowa i okolic jego, prosiłaś mnie kochana Anielko, abym ci znowu jakie szczegóły o niej przywiozła. Obiecałam chętnie, bo lubię dla ciebie, i dla podobnych tobie pisać o ojczyźnie naszój. Chcąc zaś dotrzymać danój ci obietnicy, w całym ciągu téj miłej przejażdżki kreśliłam codziennie to wszystko, co oczy moje uderzyło, utkwilo w pamięci, lub serce zajęło. Z tego kreślenia ubierał się zapas nie mały, daleko większy niżeli w latach poprzednich; bo jakież bogate i drogie dla nas zwiedzałam miejsca! widziałam polską Szwajcaryę, byłam w klassycznej ziemi naszój, gościłam dwa tygodnie w owym Rzymie ojczystym... Jakież to było obszerne pole do obrazów, postrzeżeń i uwag, do nabycia wiadomości, a nadewszystko jakie źródło uczuć i myśli?... Lecz teraz, kiedy odczytuję mój dziennik, chcąc mu nadać jakiś skład i porządek, kiedybym go rada jakkolwiek godnym ogłoszenia uczynić, w prawdziwym jestem kłopotcie: zdaje mi się, że w nim nic nie ma,



a przynajmniej ani połowy tych wspomnień i wrażeń, które w sercu mojem i w umyśle ta przejażdżka zostawiła; ani jednej cząstki tego, coby o téj krainie pamiątek było do powiedzenia; i w téj chwili przekonana jestem, że udzielać go tobie i drugim nie warto.

Tyle jest uczonych i pięknych opisów Krakowa i okolic jego, a w moim dzienniku same drobnostki; wszyscy niemal, i ty Anielko, znasz wybornie te miejsca; rozsądniejby więc było nie tykać rzeczy, już nieraz opisywanych i prozą uczoną i wierszem nadobnym, rzeczy już znanych powszechnie... Ale z drugiej strony, jakże nie dotrzymać danéj obietnicy? jak się oprzeć chęci ozdobienia Rozrywek wspomnieniem tyłu chlubnych pamiątek? jak nie uledez własnemu żądaniu powtórzenia chwil tak miło i tak prędko zbiegłych? Myśl, pędzel i pióro mają tę własność, że nam umieją powtórzyć to, co już minęło; są one poniekąd jakby zwierciadłami przeszłości. Mnie téż dobrze było w téj przejażdżce: tyle nowych dla siebie, tyle zajmujących widziałam i słyszałam rzeczy; tylem słodkich uczuć i wrażeń doznała, że prawdziwą będzie dla mnie rozkoszą, przedstawić ją sobie od początku do końca, i tym sposobem powtórzyć ją, użyć jéj raz jeszcze. Jeśli więc nie dla twojéj i czytelników przyjemności, to dla własnéj dotrzymuję słowa, i udzielam téj nowéj pracy. Ale zapowiadam i tobie Anielko, i wszystkim co mnie czytać będą, że to nie jest wcale ów dobitny, dokładny, zajmujący opis Krakowa i okolic jego, którego jedynie od uczonych albo od poetów wymagać można; jest to owszem prosty, drobiazgowy dziennik czterotygodniowéj przejażdżki, skreślony naprędce i prawie od ręki; obraz nie tego, co było do widzenia, ale tego, com ja widziała; opis nie tego, coby tam do opisu się znalazło, ale tego, co dla mnie było dostępném, i o czém wspomnieć się godziło; słowem, jest to pisemko dla tych jedynie przydatne, dla których wyłącznie piszę: dla dzieci.

w Sobotę 12 Maja, 1824 r. w Głuchowie.

Pierwszy artykuł mego dziennika nie będzie wcale zajmujący; piszę go jedynie dla tego, żem sobie postanowiła pisać go na każdym noclegu i popasie i w każdym znaczniejszym miejscu. Wyjechawszy z Warszawy około piątej z południa, dopiero o cztery mile od niej jesteśmy, trudno więc było widzieć co ciekawego. Prawda, że wyjazd ze stolicy przez drogę *Krakowską* zwaną, jest śliczny; ale już moje oczy do téj drogi przywykły, bo co często widzimy, na to zważamy mało; prawda że jadąc przez *Raszyn* i pola jego, wiele się ciśnie myśli i wspomnień, — ale te wszystkim nam wiadome i wspólne; prawda, że o milkę ztąd, w wiosce *Woli*, miłe zdarzyło nam się spotkanie, ale pamięć jego w sercu zachować tylko należy: a zatem nic już więcej na ten raz do zapisania nie mam, co jest bardzo dobrze: i dla mnie, której spać się chce, i dla przyszłych tego dziennika czytelników, którzyby przy dłuższej gadaninie usnąć mogli.

13 Maja po południu, w Nowém Mieście.

Już dziś żniwo było nieco obfitsze; wyjechawszy z noclegu zatrzymaliśmy się w *Grójcu*, wcale porządnej miejscinie, pamiętnej Piotrem Skargą, który tu pierwsze szkoły odbył, a podobno i tu się rodził; w dalszej drodze podobał mi się w *Betzku* kościół i cmentarz, podobała mi się *Stara wieś*; zajęły mnie dowody troskliwych starań leśnictwa naszego, tak w opłotkach, w tych twierdzach utrzymujących piaski, jak w zasiewaniu lasów; a nareszcie zajęło mnie bardzo miejsce popasu naszego, zkąd to piszę, i gdzie już parę godzin upłynęło mile. Pałac i ogród na dosyć znacznej górze, nad spławną i nadobną Pilicą położonéj; most,

porządne zabudowania. Kościół z klasztorem OO. Kapucynów, rozległy widok na łąki, lasy i pola, czynią *Nowe Miasto* bardzo przyjemnym.

Obchodząc ogród, który mi Lubelskie przypomniał ogrody, gdyż są w nim góry, parowy, laski same z siebie rosnące; myślałam o nigdy nieodżałowanej kasztelanowej Lanckorońskiej, która tak lubiła to miejsce, i chętnie w niem u brata swego, starosty Swidzińskiego, po kilka miesięcy gościła. Żałowałam, że tu nie zostawiła jakiej pamiątki, choć drzewa lub kamienia ze swoim imieniem; żałowałam także, iż terazniejszej właścicielki \*) nie było w domu. W jej niebytności słowiki nas przyjmowały; nigdzie ich tyłu i tak pięknie śpiewających nie słyszałam, a zdawało się, iż rade temu, że ich ktoś z upodobaniem słucha, w chwilach naszego odpoczynku siadały na najbliższych gałęziach, i patrząc na nas, napełniały powietrze odgłosem dźwięcznych pieni. Jeden szczególnie śpiewał z godzinę; jeszcze mi brzmi w uszach ta luba śpiewaka wiosny harmonia. Jeżeli w Grodku taki miały głos piękny słowiki, jak w Nowém Mieście, nie dziwię się, że Król Jagiełło, zasłuchawszy się późno w noc ich śpiewu, tak mocno przeziąbł, że z tego umarł. Ja z towarzyszką mojej przejażdżki na podobne niebezpieczeństwo narażoną nie byłam, bo chociaż w Maju, jest dziś przeszło dwadzieścia stopni ciepła.

Tegoż dnia, w wieczór, w Rozwadach.

Chcieliśmy zjechać na noc do Końskich, ale nie było można dla wielkich piasków. Prawdę powiedziawszy, ta cała droga z Warszawy nie bardzo spora i ciekawa; jednak nam

---

\*) Rozalia z Swidzińskich, Małdachowska wojewodzina.

wcale nie była przykra; i chociaż te okolice nie słyną pięknnością, przecież upatrywałyśmy gdzieś i ładne widoki: bo przy tak wdzięcznej porze, jaką jest wiosna i jeszcze tegoroczna, tak wczesna i ciepła, wszystko powabu nabiera. Jużto kto chce, żeby mu kraj jaki dobrze się wydał, niech go zwiędza na wiosnę; wiosna jest tém dla natury, czém młodość dla życia: wszystko w téj porze nadobne i miłe. Ja téj zasady trzymam się ile mogę; już nie pierwszy raz w Maju wyjeżdżam; bo nawet wygoda łączy się z przyjemnością: w drodze nie ma ani kurzu, ani błota; w karczmach much i robactwa; dzień długi: zgoła, przedziwnie, przytém jeszcze choć cokolwiek wiosny życia dotykając, umiem dosyć rzecz każdą na dobrą stronę obracać, odkryłam więc piaskzystej drogi zaletę. Jadąc tak zwolna, bardzo wygodnie czyta się i pisze; dziś wpadły mi w ręce Hymny przez panią Barbould po angielsku napisane; w ich tłumaczeniu francuzkiem przeczytałam je wszystkie: nadzwyczaj mi się podobała ta wzniosła prostota, ta czysta pobożność; a chcąc je widzieć także w ojczystym języku, w ustach dzieci polskich, natychmiast wzięłam się do przekładu; jeśli będzie piasków więcej, (co nam obiecują) niezawodnie, nim dojadę do Krakowa, te Hymny przełożę. Ale nie same piaski, opóźniła nas także i *Drzewica*, zabrała przynajmniej godzinę; bo jadąc same, wolne jak ptaki powietrzne, kołmi najętymi, i jadąc nie w pilnych sprawach, ale jedynie dla zaspokojenia ciekawości, stawamy gdzie tylko nam się podoba, często dla zrywania kwiatów po drodze. Stanęliśmy więc i w Drzewicy.

Było to miasteczko niegdyś zamożne w kuźnice żelaza, bogate i znane; dziś zniszczone, spustoszone, na mieszkanie łotrów wygląda, i wstrętem przeraża. Szkoda jednak wielka, bo położenie, jak na te okolice zwłaszcza, dosyć ładne i korzystne. Jest kościół jeszcze za Władysława Łokietka założony, są rozwaliny zamku, który już za Starowolskiego był



dawny \*). Zwiedziłam wszystko pilnie; pierwsze to dopiero miejsce od Warszawy, które nosi jakąś cechę starożytności; którego rozwaliny niezupełnie ręce ludzkiej, ale i ręce czasu przypisać można. Badałam mieszkańców i organisty o szczegóły; czegom się dowiedziała, com widziała, wiernie zapisuję. Zamek jest duży, czworoboczny, z czterema wieżami na rogach, gotyckiej i starownej architektury; widać że był obronny i wodą otoczony wkoło: i teraz płynie pod nim rzeczka Drzewica, ale kanałów bitych już tylko ślady; założyli go bardzo dawno Ciołkowie, z rodziny w Polsce znakomitą, później od tego miejsca przezwani Drzewiccy.

Po ich zejściu zamek ten był użyty na klasztor PP. Franciszkanek; trzynaście lat temu zgorzał: zakonnice przeniesione zostały na drugą stronę Święto-Krzyskiej góry, Ś. Katarzyny zwaną, a spustoszone mury stały się postrachem mieszkańców; tam bowiem, według niektórych, złe duchy, według innych źli ludzie ukrywać się mają. Jako Polki, a zatem odważne, zwiedziłyśmy śmiało każdy zakątek; nie popełniwszy ani zdrady ani zbrodni, nie bałyśmy się złych duchów: nie mając przy sobie klejnotów i pieniędzy, źli ludzie nie wzbudzali w nas trwogi. Mury zamku zdają się jeszcze mocne, i może przy nie wielkim nakładzie, mógłby on znowu być mieszkalnym i użytecznym. Już też podobno zjawia się nabywca, który i jego i Drzewicę całą do porządku przyprowadzi: daj Boże! serce boli, patrząc na okropne skutki nieładu i marnotrawstwa! potrafią one głąz pożyć i skruszyć żelazo. Kościół nie wielki, dziwacznej budowy, lecz ma swoje ciekawości. W ołtarzu po lewój ręce od wcho-

---

\*) Szymon Starowolski, za czasów Zygmunta III, wydał opisanie Polski w łacińskim języku; dzieło to przełożone zostało na język ojczysty roku 1765.



du, jest obraz Ś. Jana Złotoustego \*) z tym napisem: „W tym kościele głowa moja złożona r. p. 1504. d. 27 Stycznia, od Macieja Drzewieckiego, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego.“ I w rzeczy samej, w kryjówce ku temu sporządzonej jest głowa świętego, lana ze srebra, w niej ukryta czaszka, twarz dobrze wyrobiona i pełna wyrazu. Pod chórem zaś są dwa nagrobki marmurowe; jednego, po prawej stronie będącego napisu odczytać dokładnie nie potrafiłam, gdyż litery już po części zatarte; domyśleć się też trudno było, bo po łacinie; a ja, mimo pochlebnego mniemania zbyt na mnie łaskawych, mniej jeszcze znam ten klasyczny język od organisty drzewieckiego: ten mocno moją ciekawością zdziwiony, a nie chcąc się dać ubiedz w naukowym zawodzie kościecie, pracował tyle, że wspólném staraniem doszliśmy, iż tam od roku 1564 leży Jakób Drzewicki rycerz, który bił się dzielnie, dojrzałej śmierci ofiara. Drugi nagrobek więcej mnie oświecił, napisy wyraźne i prawie wszystkie po polsku; w około tylko łacina: ale tej treść, zdaje mi się, żeśmy wraz z organistą odgadli—taka jest:

„Tu pochowany wielmożny i urodzony Adam Drzewicki z Drzewicy, Starosta Inowłodzki, z wnukiem swoim Adamem, a synem urodzonego Jędrzeja; zszedł z tego świata roku 1604, wieku swego 45.“

U góry zaś są te wiersze:

Grzech pierworodny zniósłszy Panie, z siebie,  
Idę do Ciebie, który mieszkasz w Niebie.

---

\*) Ś. Jan Chryzostom (Złotousty) przewany tak dla rzadkiej wymowy, był rodem z Antyochii, z rodziców pogańskich; chrzest przyjął z rąk biskupa Melecjusza; wiele doznał i wytrzymał prześladowań; umarł w Cae-rogradzie, r. 407. Ciało jego leży w Rzymie, w kościele S. Piotra.

## A w środku co następuje:

Gdzie są ojczyste groby i leżą przodkowie,  
 Tam też złożyli kości pobożni ojcowie  
 Adama Drzewickiego; jednak one przymioty  
 Żywią jego przed ludźmi doskonałe cnoty.  
 Dasz słusznie, czytelniku, jemu to w nagrodzie,  
 Że cnota ulubiła gniazdo w tym narodzie.

Słońce już zachodziło, gdyśmy z Drzewicy wyjechali, a okropne piaski nie dozwalały pośpiechu; nie można już było korzystać z nich i pisać, ale jednostajność drogi przerwało nam miłe zejście się z flisami wracającymi z wyprawy. Lubię niezmiernie tych rzecznych żeglarzy naszych, są oni może zarówno z morskimi odważni, wytrzymali; ich powołanie, niebezpieczeństwa, przygody, trudy na jakie naraża lekkość ubioru, zwinność konieczna, dają im pewny krój romantyczny; i nasi polscy Walter-Skotowie nie powinni by ich przepominać w swoich balladach i powieściach. Zdaje mi się, że przy dokładnem poznaniu ich obyczajów, flis mógłby znaczną grać rolę i w narodowym romansie. Jakkolwiek bądź rada byłam temu spotkaniu. Jużeśmy cały ich tabor w Nowém Mieście widzieli, bo tam znaczną ilość soli dostawiwszy, szczęśliwie wracali do domów; jużeśmy kilku zdybywali w drodze; ale tu pięciu z nich przyłączyło się do nas, a jeden zaczął rozmawiać. Chociaż jeszcze młody, szedł zawsze najpierwszy; żywe oko czarne, włos ciemny i gęsty, dorodna i śmiała postawa, ubiór porządny, przypomniały mi ów obraz flisa w Klonowiczu: \*)

W szerokiej krajce, pięknej, przekobiałej,  
 Z nowym przysiekiem, w magierce zuchwałej;  
 Czupryna k'rzeczy, biała szarawara:  
 Kto idzie? wara!

---

\*) Sebastyan Klonowicz, urodzony w r. 1551, zmarły w 1608, znakomity poeta, napisał wierszem poema: Flis, albo spuszczenie do Gdańska.

Nie zdziwiłam się więc bynajmniej, kiedy w ciągu rozmowy odkrył nam, że jest rotmanem, czyli dowódcą tych wszystkich flisów; że miał ich teraz dziewięćdziesiąt z sobą, a miewał czasem i więcej, i że Kazimierza Gędziora jak zły szeląg, tak cesarscy i królewscy znają. Opowiadał to wszystko z godnością, ale bez dumy; i tak szedł boso, buty i tłomoczek niosąc na kiju i plecach, jak i jego podwładni. Zapytany zkąd jest, czy z tantéj strony Wisły, z Galicyi? — Nie, odpowiedział, jam z wolnej ziemi krakowskiej, królowi polskiemu służę. — Musicie być bardzo bogaci? powiedział mu nasz woźnica. — Bogatym jest, bom zdrów z łaski Pana Boga! wyrzekł natychmiast. — A nie przykrzy się wam to flisowskie rzemiosło? spytałam. — Gdzietam! zawołał, jestci wprawdzie mitręgi dosyć, człowiek nie dołpi, nie dojé, często w wodzie kieby ryba pluskać musi; ale za to jak doprowadzi szczęśliwie oną sól do mety, rad temu i wesół, kieby go kto na sto koni wsadził. — A w domu długo odpoczywacie? — Jak najkrócej, wielmożna pani; człek stawi się przed starszyzną, kobiécie i dziatkom gościniec odda, rozpowié kumom w karczmie flisowskie dzieje, trocha się dowié co się w wiosce stało, i dalej rusza gdy jedno może... A ktoby się tam za piécem na sucho osiedził, kto raz wody i wędrówki skoштуje?

Gdyśmy tak i podobnie z Kazimiérzem Gędziorem rozmawiali, towarzysze jego czyli podwładni, sporszym idąc po piasku od koni krokiem, wyprzedzali nas z wielkim wstydem woźnicy; nie było ich widać, bo już ciemności zapadły, ale rozlegał się po wieczornéj rosie odgłos wesółych ich pieśni: wtém ucichły nagle, a po kilku chwilach jazdy, dostrzegliśmy ich klęczących przed małą Matki Zbawiciela kapliczką, niedawno wystawioną przy drodze; kląkł z nimi Kazimierz Gędzior, i my wysiadłszy z powozu, uklękłyśmy także. Nie pamiętam, ażebym kiedy modliła się gorliwiéj. Jeszcze mam w sercu to błogie uczucie, jeszcze widzę tę

małą kapliczkę, jaśniejącą w niej lampę, ten wieczór cichy i ciepły, i tych flisów w bieli; obraz ten, acz prosty i może nie wart wspomnienia, zostawił mi wrażenie słodkie, które mi pewno sny bardzo przyjemne sprowadzi.

14 Maja, w południe, w Końskich.

To miasto obwodowe, w województwie Sandomierskiem, ozdobione przez rodzinę Małachowskich, do których należy, dawniej było siedzibą Odrowążów, którzy tu w roku 1120 kościół założyli; ten, z ciosu zbudowany, stoi dotąd. Całe zaś miasto jest wcale porządne, budynki po większej części murowane, ludność znaczna, traktyernia dobra, bułki smaczne. Różni tu mieszkają rzemieślnicy, osobliwie stelmachy; wchodziłam do ich składów i śliczne widziałam powozy. Bryczki konieckie nawet za granicą słyną; fryszerek i kuźnic jest kilka; żelazem tu wyrobioném znaczna część Polski opatrzona; ale nie byłam w żadnej kuźnicy; upał niezmierny, mówią, że jest 26 stopni ciepła: sama myśl o ogniu i o rozpaloném żelazie przeraża jak gdyby obraz piekła w Dancie. Za ledwie miałyśmy dosyć odwagi i siły, ażeby obejrzeć ogród; bardzo piękny, chociaż natura nie wiele tu sztuce pomagała. Widać w nim dowody smaku i starania założycielki \*); trawniki nadzwyczajnej gładkości, roślin i kwiatów wiele; ławki, spoczynki, bramy kształtne i gustowne, napisy ładne, kilka z nich polskich. Miejsce *szczególne* nazwane, w końcu ogrodu będące, gdzie ciekawi podróżni imie swoje zapisują: jest to chatka wiejska różnemi ozdobiona sprzętami. Widziałam tam i smutne pamiątki; bo też często cieszyć się trzeba samém tylko szczęściem

---

\*) Anna z Stadnickich, Małachowska kasztelanowa.



wspomnieniem; widziałam, mówię, włosy i wieniec córki właścicielki, pełnej wdzięków, cnót i przymiotów, zgasłej w kwiecie wieku z powszechnym żalem \*): znałam ją; sta-nęła mi w oczach młoda, piękna, nadobna, jak ją raz ostatni ujrzałam, i smutek mnie ogarnął.

Tegoż dnia, w wieczór, w Kielcach.

Już więc jesteśmy w województwie Krakowskiem; już też kraj daleko piękniejszy; od samych Końskich ta odmiana zwolna [ale widocznie oczom jadących się przedstawia: coraz wyższe góry, gęściejsze lasy, częstsze strumienie, miłsze widoki; a od *Mniewa*, wcale pięknej włości, oczywiście kolor ziemi się zmienia i objawia ową krainę, gdzie dobroczynna natura nie syta skarbami, które w oczach naszych sypie, równie potrzebne ukryła w swém łonie. Jakoż od Mieczysławów aż do dzisiejszych czasów, ta niezmeńczona i zawsze płodna matka, użycza tu Polsce obfitych rud żelaza, ołowiu, srebra, galmanu, cynku, różnego koloru marmurów, gipsu, kamienia wapiennego, który i do rzeźbiarstwa jest zdatny, glinę ognio-trwałą, węgiel kamienny, rudy miedziane i inne zapewne bogactwa, których przepomniałam; bo któż kiedy wszystkie dary dobrej matki zliczył?

Dziś, dzień pracy, widzieliśmy więc jadąc mnóstwo robotników, zwłaszcza zaczawszy od Bobrzy, gdzie wielki kanał kopią, i zmieniają koryto rzeki tegoż nazwiska. Niezmiernie mnie zajął widok téj pracy górniczej, tak zupełnie nowy dla mnie: te stosy ogromne miedzi w kawałach przy

---

\*) Karolina z Małachowskich, hrabina Pacowa, zmarła we Francyi w roku 1822.



drodze sterczące, te kładki na szczyt gór wysokich i w głąb ich prowadzone, to mnóstwo pracujących mężczyzn i kobiet, ta niezliczona liczba taczek z góry na dół, z dołu na górę wiezionych: wszystko to wystawiło mi jakieś przygotowania do wielkiej i nadzwyczajnej budowli i nie wiem dlaczego zdało mi się, że jestem w słynnym niegdyś Egipcie, i widzę jak synowie Izraela koło wzniesienia piramid pracują.

W *Miedzianej górze*, wsi tak zwanęj, bo na miedzi stoi, widziałam bardzo porządne osady górników, i ciągle do samych Kielc dowody ich pracy; wszędzie wnętrzości ziemi rozprute, i skarby dobywane z jęj płodnego łona. Pojmuję bardzo, że ten, który się zna, albo komu poznać się na tych rzeczach wypada i przystoi, nie mógłby przejechać przez te okolice nie wstąpiwszy nigdzie. My jednak nie zatrzymałyśmy się w żadnym miejscu; nie miałam tak nikogo znajomego i znajęcego się, sama zaś mniej jeszcze obeznaną jestem z ziemięrodztwem niż z łaciną. Ale jeśli kiedy bracia twoi, Anielko, wybiorą się w tę stronę, radź im, niechaj dokładnie te kopalnie zwiedzają, i wypytają się o wszystko; płci męskiej więcj umieć od naszej koniecznie należy, a uowe widoki nowe myśli tworzą, rozprzestrzeniają nasz umysł, tę prawdziwą, tę niezaprzeczoną człowieka własność i dziedzinę, która wiele ogarnąć może, bo świat ten cały, i dalej jeszcze... Prawdziwie, że ten chyba, kto nigdy nie wyjechał z Mazowsza, sądzić może, iż Polska jest krajem, który nie myśli z bogacać nie umieć, w którym nic więcj do widzenia nie ma prócz siejby i żniwa. Przejechawszy się nieco dalej, odkryć można rozmaitość, nie taką jak za granicą, ale przecieź niezupełnie pozbawioną wdzięków i korzyści.

Tak wczesnie zajechaliśmy do Kielc, żem i dziennik ten napisała, i całe miasto obeszyła. Po Lublinie, z miast wojewódzkich, które dotąd widziałam, to najokazalsze mi

się wydaje; dojeżdżając do niego z góry piękny widok przedstawia, bo leży na pochyłości wzgórza, wśród gór i lasów z jednej strony, pól i łąk z drugiej. Zamek dawniej biskupi, dziś rządowy, o czterech wieżach, kilka dawnych kościołów, starożytną postać mu dają; rynek ma wcale piękny i obszerny, domy zajezdne, bruk dobry; było dotąd siedliskiem dyrekcji i szkoły górniczej, dziś do stolicy przeniesionej: ma drukarnią i litografią świeżo założoną \*).

To miasto już siódmy wiek jak stoi; założył je, wśród lasów, Gedeon, herbu Gryf, biskup krakowski, w roku 1172; miał to być kapłan bardzo gorliwy i dobrze swemu krajowi życzący; on wiele się przyczynił do zrzucenia z tronu, nieprawnie przywłaszczonego sobie, chytrego Mieczysława Starego, a posadzenia na jego miejscu prawego Kazimierza, którego Sprawiedliwym przewzano; on także wznosił i kościół katedralny tutejszy, który zwiedziłam; blachą żelazną pokryty, ale nie szczególnej architektury, nie zdawał mi się zawierać nic osobliwego, prócz pięknego nagrobku matki Tomickich \*\*) i wielkiej marmurowej tablicy, zewnątrz przy drzwiach wchodowych będącej. Na tej tablicy wyryte są złotymi literami następujące przedmioty: abecadło, liczby, cztery prawdy, dwa najważniejsze przykazania, miary krajowe, wagi, zgoła cały kurs nauk i wiadomości prostego kmiotka. Była to myśl księcia prymasa Poniatowskiego i za jego rozkazem wykonana; powiadano mi tu, że są podobne tablice we wszystkich kościołach, będących niegdyś pod jego bliższym zarządem: piękna myśl, godna naśladowania; jednak ten widok pewnym smutkiem mnie przejął: taki mały poczet tych wiadomości, tak mało nawet zabie-

---

\*) Trzeba pamiętać że autorka pisze w r. 1824.

\*\*) Jeden z Tomickich, Piotr, biskup krakowski i kanclerz koronny, bardzo się wślawił nauką i cnotami, umarł roku 1535.

rający miejsca, a przecież nie mieści się w umyśle i w sercu wszystkich? Jakżeto wielu kmiotków naszych tych liter nie zna! ilużto ludzi, których czyny dowodzą, że nie znają tego przykazania: „Kochaj bliźniego jak siebie samego“...

Zamek podług niektórych przez Gedeona biskupa, podług drugich przez Zadzika założony, był dawniej ozdobny rzeźbiarstwem i malowidłami; ma tam być dotąd kilka historycznych obrazów, godnych widzenia dla przedmiotów, które wystawiają. Wszystko to za Austryaków niszczało; dzisiejszy rząd uczynił zamek ten mieszkalnym: nie wiem jaki jest wewnątrz, ale zewnątrz bardzo smutny.

16 Maja, w Brześciu.

W téj wiosce pod Pińczowem, gościmy mile dzień drugi: jutro w dalszą ruszamy podróż. Droga z Kielc dotąd wcale piękna, ale niegodziwa; ani pojmuję, co się tu dzieć musi na jesień i wczesną wiosnę, ale bardzo rozumiem, że słyną pińczowskie błota. Tu jadąc nie można było ciągle pisać, a nawet i czytać, bo miejscami tylko piasek, a zresztą doły i góry; jednak przekład Hymnów już do końca zmierza, i zapewne pierwój będzie w ręku twojem, Anielko, od tego dziennika \*). Uwielbiam Horacego cierpliwość, który dzieła swoje (jak wszystkim wiadomo) przez lat dziewięć po ich napisaniu trzymał w ukryciu; ale w niczem tak i w tém naśladować go nie umiém: co tylko napiszę, po krótkim czasie do druku idzie; jest to źle i dobrze, bo z czém mierném czekać bardzo długo, to już i żadnej wymówki nie ma...

---

\*) Te hymny były wydane, pod tytułem: „Rozmyślań religijnych.“

Goszcząc tu dzień drugi, starałam się uchwycić szczegół jaki do zapisania; najwięcej mi mówiono o Busku; jest to narodowe miasteczko, ztąd niedaleko; samo bardzo dawne, bo jeszcze w 1200 roku założono w nim klasztor PP. Norbertanek, ale niedawno wślawione wodami słono-siarczanemi. Mają to być kąpiele ledwie że nie cudowne, wszystkie własności wody morskiej zawierają w sobie, i nad podziw skutecznie działają na artretyczne bóle, reumatyzmy, i tak zwane skrofuliczne choroby, tyle dziś zagaśzczone. Wielu rodziców wozi tam i posyła dzieci, wiele osób zjechać się ma tego lata; sławny Malfatti z Wiednia kilku rodzinom niemieckim używać tych kąpiei kazał; życzeniem jest tylko powszechném, ażeby rząd tyle baczny na dobry byt kraju, zwrócił i na Busk ojcowskie i troskliwe oko; ażeby chorzy i słabi mogli tam znaleźć wygodę dla nich koniecznie potrzebną, której dotąd nie mają wcale; drożyzna nawet jest tak wielka i domostw tak mało, że niektórzy dukata na dzień za pomieszkanie płacić muszą (w r. 1824). Coraz więcej się przekonywam, że natura wcale nie była dla Polski macochą, i u nas są wszędzie rozlane macierzyńskie jój dary...

Przypatrywałam się także ludowi wiejskiemu w tych stronach, obchodzić on przecie wszędzie każdego powinien; składa tak znaczną część ludności, tak wielką jest gałęzią ogromnego ludzi szczepu, że ci nawet, którzy się wielkim światem zowią, bardzo mali są przy nim w liczbie. Wiesz też dobrze, kochana Anielko, że gdziekolwiek jestem, zwracam zawsze na lud wiejski moją uwagę; w najpowabniejszej okolicy, zawszebym rada odkryć mieszkańca, z nim się rozmówić, widzieć dobry byt jego: bo serce człowieka przed wszystkiém szuka brata swego, i nie dosyć mu na pięknej natury obrazach, kiedy tego, który jest jój celem i ozdobą, w pomyślnym stanie nie widzi. Nie miałam téj pociechy z Kielc jadąc: lud chociaż dorodny, zdawał mi się bardzo ubogo ubrany, a widok mieszkań jego, tych nieszczęsnych



dymnic, ranił mi serce. Prawie nigdzie nie widziałam kominów; wszędzie dym nie ma dla siebie otworu, tylko napełnia izbę całą, wszystko smoli i czerni, i wychodzi jak może, okopconym dachem, drzwiami, oknem. Aż mnie gryzie w oczy na samą myśl o tych chatach zadymionych; ciemnota jest też tu kalectwem bardzo pospolitém, osobliwie ta którą *kurzą ślepotą* zowią; dotknięte nią osoby nic nie widzą, skoro słońce zajdzie; a przykład jednych nic drugich nie uczy; nie chcą nawet przypisywać tych smutnych skutków prawdziwej przyczynie; owszem takie mają w dymie upodobanie, że kiedy stosownie do dobroczynnych rządu nakazów, który właściciel w nowém domostwie komin mурowany im wystawi, zatykają jak najszczelniej otwór, żeby koniecznie dym ulubiony rozchodził się po izbie, i ciepło wraz z nim nie uciekło. „Tak ojcowie nasi żyli, mówią, tak my urodzili się i wyrosli, a dobrze jest i było!“

O! nieszcześnie przesady! niepojęte w zadawnionój ciemnocie upodobanie! jakże jeszcze mało posunięta między wieśniakami naszymi oświata? Ale czemuż im się dziwię? czyż podobnych uprzedzeń i u wyższych znaleźć nie można? Nie boiż się panicz dumny, ażeby, gdy gmin uniejętnym będzie, jego szlachecki rozum nie uleciał? nie boiż się autor, żeby gdy drugi w sławę urośnie, jego z dymem nie poszła? nie boiż się nie jedna panna, kiedy drugie w stan małżeński wchodzi, żeby mąż dla niej przeznaczony nie znikł? Nie boiż się... ale dosyć tych przykładów; podobno wiek, naród każdy, równie jak i człowiek, ma swój przesąd, któryby snadnie do dymnic tutejszych zastosować można.

17 Maja w wieczór, w Skalbmierzu.

Otóż dziś dopiero poznałam, co to jest Krakowskie? tak pięknych okolic jeszcze nie widziałam. Słusznie też do-



piéro za Nidą lud tutejszy prawdziwe *Krakowskie* naznacza; to zupełnie kraj inny; już ani czytać, ani pisać nie mogłam, ani na złe nie zważałam drogi, tylko patrzyłam ciągle, to w prawo, to w lewo, a wszędzie nadobne i coraz nowe przedstawiały się widoki. Tu ciągnęły się i sterczały góry różnego kształtu, rozmaitej wysokości, jedne bliżej, drugie dalej, trzecie u samych obłoków; te piaszczyste lub wapienne, tamte gęstą trawą odziane; inne znowu zagonami zbóż rozmaitych jakby kobiercami ozdobne, albo też uwieńczone drzewem. Tu rozłożona była obszerna dolina, nie jednym krętym strumieniem przecięta, ożywiona nie jedną wioską, nie jednym gajem zielona. Tam znowu las gęsty i ciemny, zdawał się od wieku dla dzikiego tylko dostępny zwierza; tu okazywała się z daleka wązka nad brzegiem przepaści, albo ciasna wśród wąwozu drożyna. Już tam niepodobnaby przejechać! mówiliśmy, a wnet wjeżdżaliśmy na nią, i zajęte pięknością widoków, na myśl nam nie przyszła jakabądź trwoga. Bo do tych wszystkich powabów łączył się jeszcze czas najmilszy; powietrze wieczorne chłodne i ciche, słońce jak zwykle nad zachodem jasne rzucające światła, a nie gorące; harmonia wiosenna i wiejska, gdyż słowiki, skowronki, makolągwy, sikorki i inne ptaki, mieszały śpiewy swoje z odgłosem fujarek. Widziałam nie jednego pastuszka, jak bydlę pilnując siedział na krawędzi wysokiego wąwozu, w czerwonej krakowskiej czapeczce, i dął w świeżo ustrugane muzyczne narzędzie. Może przed godziną, myślałam sobie, ta gałązka liściem okryta, zieleniała w milczeniu na macierzystym konarze, a teraz, ścięta i wydrażona, głośne tony wydaje... Podobnie sława z ludźmi czyni: nie jeden dopiero głośny po niedoli i zgonie.

Ale przez dzisiejsze poobiedzie nie tylko nas zajmowały pięknosci przyrodzenia (które ile są zachwycające w istocie, tyle czcze i nieodpowiednie w opisie), zatrzymywałyśmy się w Pińczowie i w Młodzewie, badając tam jak wszędzie

i gmachy i ludzi. *Pinczów*, miasto prywatne, leży nad Nidą; jest to śliczna choć niezbyt długa w swoim biegu rzeka; bo wychodzi z łona ziemi w Mokrzku, a już pod Korczynem łączy się z Wisłą, byt i imie tracąc; podanie miejscowe nie sie, iż dawnymi czasy płynęła sobie skromnie bez nazwiska; ale przed laty, niedaleko jój wesołych brzegów, mieszkała piękna i tkliwa dziewczica: imieniem Nida; pokochał ją rycerz mężny, Olbromem zwany, i Nida oddała mu chętnie niewinne serce, przyrzekając oddać wkrótce i rękę. Lecz rycerz mógł być mężnym, ale stałym nie był; wnet powabniejszą od narzeczonej wydała mu się płocha Zedzilia; ujarzmiony jój wdziękami, tkliwą Nidę opuścił; słaba choć stała kochanka nie mogła ani przeżyć tego ciosu, ani pozbyć się miłości: słowiańska Safo, rzuciła się w nurty sąsiedzkiej rzeki, i w nich koniec życia i cierpień znalazła. Lud okoliczny, ujęty tą smutną przygodą, uwiecznił pamięć dziewczicy, zowiąc jój imieniem rzekę, w której utonąła. Nie wiem czy z téj, czy z innéj przyczyny, wpatrywałam się w czyste wody Nidy, jak gdybym sądziła, że mi przyniosą piękne ciało zdradzonej dziewczicy. Lubię niezmiernie dawne podania, czy prawdziwe, czy bajeczne; one życie przedmiotom nieczułym nadają: szczerą mam wdzięczność dla tych, co je wygrzebują \*), i bardzo rada, kiedy i mnie coś takowego odkryć się zdarzy.

Z równą pilnością, choć z mniejszym wdziękiem, patrzyłam na Pinczów; dziś nie bardzo to osobliwe miasto, zwłaszcza, że w niem żydów drugie tyle co chrześcian; ale zawsze zdoła je piękne położenie, a pamięć przeszłości ceny dodaje. To miejsce bowiem sławne niegdyś było; założyli Pinczów Oleśnicy, i do nich przez czas długi należał. Sławny za Władysława Jagiełły, Zbigniew biskup krakowski

---

\*) Wiadomość o Nidzie czerpana z *Pszczółki krakowskiej*.

i kardynał, wystawił tu kościół i klasztor OO. Paulinów; ale za Zygmunta Augusta rodzina ta odstąpiła wiary swych ojców, i złączyła się z różnowiercami. Mikołaj Oleśnicki, dziedzic ówczesny Pinczowa, dał tu przytułek Stankarowi, sławnemu wówczas nowych zdań stronnikowi; a za jego naleganiem, oddaliwszy z klasztoru i kościoła OO. Paulinów, te miejsca na schadzki jego zwolenników przeznaczył. Tu, w roku 1555, odprawił się pierwszy zбір polskich różnowierców, tu oni Pismo Święte na ojczysty język przelali; przekład, który potem wyszedł z druku w Brześciu litewskim, nakładem Radziwiłła Czarnego; tu zgoła, prawdziwy był nowój wiary przytułek, dopóki Myszkowski biskup krakowski, nie nabył Pinczowa od Oleśnickich: wtedy różnowiercy przenieśli się do Rakowa, a Zygmunt Myszkowski, dziedzic biskupa, marszałek koronny, który wysłany od Zygmunta III po Konstancję, córkę cesarza niemieckiego, zaślubił ją imieniem monarchy, otrzymał przywilój ordynacyi, czyli margrabstwa na Pinczowie. Był Pinczów w ręku Myszkowskich, dopóki nie wygasły obie linie męzkie; wtedy ta ordynacya weszła przez córki w dom Wielopolskich, który nią dotąd się szczyci.

Zamek Pinczowski, założony przez sławnego Zbigniewa z Oleśnicy, miał być bardzo wspaniały; były w nim piękne pokoje, marmury, malowidła, łaźnia; wznosił się na górze, równie jak i sąsiedzkie, winnicami okrytój, panował miastu, a widok z wież jego tak był rozległy, że dobre oczy Kraków dostrzedz mogły: w nim Jan Kazimierz, w czasie nieszczęsnej ze Szwedami wojny, pierwsze nowiny pomyślane odebrał. Dziedziczka Pinczowa, margrabina Wielopolska, przed dwudziestu kilku laty, rozebrać kazała ten zamek, i wystawiła sobie pałacyk w nowym guście pod górą, który jeszcze stoi. Kościołów jest tu dwa, i zniszczona kaplica ś. Anny na górze, zkąd widok przepyszny. Nigdziein jeszcze tyle nie widziała figur, jak w Pinczowie i okolicach

jego; czyby to katolicy za powrotem swoim do tego miejsca chcieli licznymi dowodami odniesione zwycięstwo i różnicę wyznania okazać? czy też to owoc nabożeństwa późniejszych czasów? tego nie wiem, ale to wiem, że tych figur jest nadto, bo niektóre straszne.

Może o milę od Pinczowa, jest wioska *Młodzewa*, głośna w okolicy kościołem, gdzie jest wielbiony obraz cudowny Matki Zbawiciela. Kościół ten nie stoi przy drodze, długo do niego iść trzeba pod górę, ale nie żał trudów. Bardzo jest piękny i wspaniały, cały z gładu; ma smakowną facyate, którą zdobi pięć figur kamiennych. Psuje tylko ogólny widok dzwonnica brzydka i ciężka, przez kogoś wiele nabożeństwa, ale żadnego gustu nie mającego, w roku 1779 zbudowana, jak świadczy napis. Widząc niedaleko kościoła plebanię porządną, ogródek starannie utrzymany, ośmieliliśmy się wezwać duchownego tych miejsc pasterza—przyszedł, z uprzejmością polską oprowadził nas po kościele, i udzielił żądanych szczegółów. Kościół ten wystawiony był, nie ma i stu lat, przez Myszkowskich, w miejscu stariej kaplicy, na uczczenie wspomnianego obrazu; ten obraz jest w wielkim ołtarzu, podobny do wszystkich tego rodzaju. Prócz tego, jest ołtarzy ośm; malowania wydały mi się wcale nie złe, osobliwie św. Walenty, w czasie morowej zarazy podający komunię umierającej kobiecie, która napół leży, wśród ludzi albo już umarłych, albo konających; postawa, niemoc tej kobiety, okropna barwa śmierci na twarzy i całej osobie rozlana, jedno dziecko umarłe koło niej, drugie jeszcze zdrowe, którego trzymać nie ma siły, ale przynajmniej rękę na niém położyła; a nadewszystko wyraz świętego pragnienia, usta napół otwarte, głowa podniesiona, wzrok wlepiony w podawany jój przez kapłana pokarm życia: wszystko to silnie przemawia, i widzę jeszcze ten obraz przed sobą.

Wróciwszy z kościoła, zmęczone przechadzką, chciały-



śmy się czém posilić i ochłodzić; a widząc przy drodze dwóch ludzi przybijających łąty na dachu nowej chatki, spytałyśmy się: czyby nie można dostać gdzie śmietany? Wybiegła natychmiast z chaty dorodna i młoda kobieta; miłemi słowy, miłym uśmiechem nas powitała; ten uśmiech odkrył dwa rzędy zębów nadzwyczajnej białości; ale nas rozśmieszyła jój twarz i odzież zupełnie gliną zwalana, i podobneż ręce. „Wybaczą imościulki, wyrzekła wtedy, ale o to *mój*, z bratem kończy chatę na łeb na szyję, bo nie mamy gdzie mieszkać, a ja pomagam mu jak mogę, i wylepiam ściany. Niech imościulki wejdą przez łaskę swoją, i zobaczą, jakie będzie walne domostwo. Matka wnet śmietany przyniesie.“ Weszłyśmy; pan żaden, widząc wspaniały swój pałac przy ukończeniu, nie mógłby go z większą pokazywać radością. „Tu będzie piec, i spory zapiecek, bo tu Matki siedziba; tu będzie przegroda na komorę.“ A komin? spytałam się skwapliwie; wszak dymnicy u was nie będzie?— „Doradzając nam dymnicę sąsiedzi, ale pono wyprowadzimy komin jak się należy.“ Tu zaczęłyśmy utrzymywać ją jak najwymowniej w tym zamiarze, przedstawiając wszystkie złe dymnic skutki, i obiecała święcie, że komin będzie. Wyniosła nam potém przed chatę miskę wybornój śmietany, a gdy już do pożegnania przyszło, prosiła usilnie, żeby jój nigdy nie mijać, przejeżdżając: „Niech imościulki pamiętają, chata nowa przy samėj drodze, św. Wincenty przed chatą, a w chacie Gandarżyna.“ Jeśli byś kiedy przejeżdżała przez Młodzewę, kochana Anielko, wstąp do téj chaty, zobacz czy nie ma dymnicy, i powiedz mi.

O Skalbmierzu, gdzie dziś nocujemy, chyba z Koszkwii co napiszę; spodziewamy się tam stanąć jutro na południe; już było dobrze ciemno, gdyśmy przyjechali, nie więc nie widziałam. Mamy izdebkę bardzo porządną, i nucimy sobie ciągle piosnkę dobrze ci znaną:



A zkądżeśto w tój sukmanie—w tój sukmanie,  
 Od Skalmierza—Mości panie.

. . . . .

28 Maja w Niedzielę, z Koszkwi.

Stanęliśmy tu onegdaj w południe; nie będę jednak opisywać ci, Anielko, uprzejmości szanownej gospodyni miejsca tego, serca z jakim nas przyjęła, i jak nam tu dobrze; wymówka moja niech będzie w słowach, które już w podobnym razie wyrzekłam: „Obojętnych rzeczy można wszystkim udzielać, ale to, co serca się tyczy, zasłoną okryte być powinno, i nie radziśmy uchylać je dla każdego.“ Nie wchodząc więc w żadne podobne szczegóły, wspomnę ci o Skalbmierzu, i o reszcie drogi naszej. Wstałyśmy ze wschodem słońca, a nim się ludzie nasi wybrali, obeszłyśmy całe miasto. Już wszystko było w ruchu, bo miasteczka w Krakowskiem zdają się być raczej zamożnemi wsiami; Żydów w nich nie ma, przeto nierównie miłsze jak w innych stronach, miłsze także od wiosek tutejszych, bo bez tych nieszczęśliwych dymnic. Dziwno mi było widziéć wiejskie kobiety nad straganami; lud tam (równie jak prawie wszędzie Nidę przejechawszy) piękny, dorodny, rozmowny; mowa choć trochę przeciągnięta, czysta i wyraźna; ubiór daleko porządniejszy niżli w okolicach Kiele: znać po wszystkiém, że już blisko stolica. Kolor kafowy najwięcej używany przez mężczyzn, a krój ich sukman, z tym kołnierzem w zęby, doprawdy, że ładny; możnaby go do naszych sukien przyswoić. Kobiety starownie ubrane, najwięcej w bieli; spotkałyśmy kilka dziewczek ze skopkami mléka bardzo przystojnych, a te, co w oknach stojąc przed małym jak dłoń zwierciadłem, plotły sobie warkocze, lub chustki wiązały, mogłyby za wzór czerstwości i zdrowia malarzowi służyć. Jedna szczególnie tak była piękna, i z takim tóż staraniem

ubiór swój kończyła, żeśmy umyślnie pod jej dom parę razy podchodziły.

Cały Skalbmierz bardzo porządny i wesoły, nic się nie dziwię, że w nim Zygmunt August przemieszkować lubił; rzeka Nidzica, która tam płynie, przecinając go kilkakrotnie, życia mu dodaje. Byłam i w kościele, był to Piątek; śpiewano więc i wcale nie źle, zwłaszcza mężczyźni. Lubię niezmiernie śpiew w domu Bożym; stosownie jest, żeby do Boga inaczej przemawiać jak do ludzi, i przesąd to bezwątpienia, ale pewna jestem, że śpiew snadniej od mowy niebiosa przebija. Kościół zdaje się bardzo dawny, lecz budowa jego wcale nie ciekawa: ołtarzyków, obrazków, ozdób bez liku; wszystkie jednak z liczby tych, o których najlepiej zamilzczyć. Podobał mi się tylko nagrobek jakiegoś Antoniego Dobińskiego, z roku 1766, w ściany zewnętrzne kościoła wmurowany; bo czy może być w jakim napisie słów mniej, a wyrazu więcej:

Żyłem, bo chciałeś;

Umieram, bo każesz:

Zbaw, bo możesz.

- Przebiegając w tej chwili dziennik mój od początku, postrzegam, że w nim najwięcej wspomnień o nagrobkach, i o kościołach; bo też prawdę powiedziawszy, nie było wiele innych po drodze pamiątek. Wreszcie w kraju każdym groby i świątynie są najdawniejszym, najznakomitszym pomnikiem, równie jak śmierć najdawniejszą przygodą, uczucie religijne najznakomitszym zabytkiem człowieka.

Ze Skalbmierza do Iwanowic, widoki ciągle piękne, góry coraz wyższe, drogi coraz gorsze; ale chociaż powóz zdawał się już nieraz gotowy do wywrotu, zawsze go wstrzymała zręczność wprawnej woźnicy, a nawet i chód nawykłych już do gór koni; zważałam, że zwłaszcza zstępując, zupełnie inaczej stąpają jak mazowieckie: z najspadzistszej

góry tak umieją wstrzymać powóz, iż nawet nie znają tu zwyczaju zakładania hamulca, tak używanego w Lubelskiem, gdzie góry nierównie mniejsze. *Iwanowice*, włość o dwie już tylko mile od Krakowa, w ładnej równinie leżąca, bardzo mi się podobała. Dom i ogród właścicieli, przy gościncu będący, zdaje się być zupełnie roztoczonym, dla przyjemności podróżnych, krajowidokiem angielskim; dom zajezdny bardzo porządny, ale nie jest to przecie owa gospoda, której w Hipolicie Boratyńskim \*) opis tak obszerny, której ściany tyłu znakomitych wypadków świadkami były. I kościół zupełnie inny; dawny musiał być nierównie większy i wspanialszy. Krótko bawiłyśmy w Iwanowicach, bo nam się śpieszyło do Koszkwki; droga do niej śliczna i lasy i góry.

Gdyśmy na jedną z najwyższych wjechali, woźnica stanął, a wskazując na lewo, zawołał: *Oto Kraków!* Pielgrzymowi, który ślubował odwiedzić grób Zbawiciela, nie może się wydać miłszym krzyk przewodnika: *Oto miasto święte!* Powstałyśmy w mgnieniu oka z okrzykiem radości; ja wspierałam się jak tylko mogłam najwyżej, i ani potrafię wypowiedzieć com uczuła, obaczywszy nareszcie to lube miasto, gdzie już tyle razy myśl moja była, które tyle razy w mojej wyobraźni widziałam. Zdawało mi się mniejsze, niż w tych snach na jawie, ale niemal równie piękne. Prawie wraz z zamkiem postrzegłam mogiłę Kościuszki; woźnica pokazał nam na przeciwniej stronie mogiłę Krakusa, i tak razem kolebkę, majestat, grobowiec ujrzałam: zdało mi się, że widzę rozwiniętą przed sobą kartę dziejów naszych...

W tém miejscu pokazał nam także woźnica wysokie Tatry, które jakby za ramy temu obrazowi służą i zupeł-

---

\*) Hipolit Boratyński, romans historyczny z dziejów polskich, przez Aleksandra Bronikowskiego w języku niemieckim napisany, scena otwiera się w Iwanowicach.

nie z obłokami się łączą; dzień mieliśmy jasny, widać było zatem wybornie i Babią górę ze swoim śniegiem, i białe chmury, które bliżej nas od gór były, a przechodząc z wolna, zdawały się jak wielkie cienie zgasłych bohaterów, których Kraków w swoich murach widział. Z trudnością nam przyszło oderwać się od tego miejsca; a gdy już powóz ruszył, gdy znikł widok cały, z uśmiechem i z westchnieniem każda wyrzekła: *widziałyśmy Kraków*.

Rozmaite myśli i wspomnienia rozerwały okolice coraz piękniejsze; już łańki skał nigdy odemnie nie widzianych, ukazywały się gdzie niegdzie; już dojeżdżałam do Koszkwii, już byłam blisko owęj doliny, którą Szwajcaryą polską przewano, owęj sławnęj *doliny Prądnika*, który zmieniając przydomek według wiosek i miejsc, koło których przebiega, i Koszkiewskiego także imie nosi. W samęj wsi jednak nie płynie; inna zastępuje go rzeczka. *Koszkiew* śliczna, otoczona rzędem gór, umajona wieńcem drzew najpiękniejszych; nigdzie nie ma takich brzóz; równają się wzrostem olszom i dębom; a jak wierzby płaczące tak spuszczają do ziemi długie gałęzie; ślicznie patrzeć kiedy wiatr, kołysząc niemi i drzącym ich liściem, odsłania białą i gładką korę: zda się widzieć udatną i skromną dziewicę, która rozpuściła długie i gęste włosy, chcąc się ukryć przed oczyma wszystkich. Ale prócz brzóz, ma Koszkiew inne ozdoby.

Na jednęj skalistęj górze wznosi się zameczek, wystawiony przed stu laty przez starostę Jordana; w nim on raz króla Augusta III przyjmował; troskliwa właścicielka utrzymuje go starannie, nie mieszka w nim przecież, bo szczupły bardzo, a zajazd niewygodny: prawda, że często trudno pojąć, jak ojcowie nasi mało potrzebowali mieszkania i wygod zbytkując obok tego w innych mniej dziś cenionych rzeczach. Na drugięj górze jest kościół bardzo porządny, także przez tegoż Jordana zbudowany; dziś właśnie w nim byłam: śliczny był widok ludu wychodzącego z nabożeństwa, i rozpierchłe



go po tych górach, między drzewami. Nie wiem jak moje oczy przyzwyczajają się napowrót do równin Mazowsza; tu gdzie stanąć, to obraz nowy; gdzie spojrzeć, to przedmiot godny opisu poety; ile razy w pięknej okolicy jestem, tyle razy żałuję, że nie malarzem albo poetą: jest żywa ochota uwiecznić pędzlem widok czarowny; nie dowierzamy pamięci; jest chęć mocna ozdobić rymem i poezją proste uwielbienia wyrazy.

Ale czemuż żałuję, że nie jestem poetą? choćbym największym ozdobiona była talentem, mogłabym nadobniej opisać te miejsca, jak Franciszek Wężyk w swoim ślicznym poemacie *Okolice Krakowa*? Czytaj, Anielko, jak o Koszkwi śpiewa:

Jakkolwiek jest potężna ciekawości władza,  
 Słodki mus, widząc Koszkiew wstrzymać się doradza;  
 Oto dwóch gór sąsiedzkich wabi mnie przełamek:  
 Na jednej z nich jest kościół, a na drugiej zamek;  
 W obudwóch innych zalet wzrok dostrzeże baczny:  
 Ten przyjemny prostotą, a ten z gruzów znaczny.  
 Ostatni nie wziął grodu kształtu, ni nazwiska,  
 Oba szczupłe, osobne, patrząc na nie z blizka;  
 Lecz gdy kto o rzut z procy krok oddali rączy,  
 Zda się, że ścisły węzeł od wieków je łączy.  
 A ten dom nie wysoki, lecz kształtny i schludny,  
 Ni nadto w zgiełk wepchnięty, ni nadto odludny;  
 Powabny z swęj prostoty, gustu i porządku,  
 Nie nosiż istnej cechy pani swęj rozsądku?

Tu się piękność objawia w kształcie niepoślednim,  
 Dłuższa góra na zachód usłała się przed nim,  
 A brzozy na jęj łonie spoczywać ochocze  
 Przystroiły jęj głowę w powiewne warkocze.  
 Tędy słońce, gdy ziemskie opuszcza siedliska,  
 Drżące światła promienie przez gałęzie wciska;  
 A gdy na łono morza okrąg spuszcza blady,  
 Tędy żegna mieszkańców szczęśliwej osady.

O! gaiku, na wdzięcznej osadzony górze,  
 Niech od ciebie z daleka pomijają burze!



Niech bystra łona twego powódź nie rozdziera,  
 Niech drzew twoich mordercza nie gwałci siekiera;  
 Niech wilk rzadkie po tobie odprawia wędrówki,  
 Niech igrają ostrożnie pod twym cieniem krówki!  
 By z nich która swawolna w zapomnieniu srogiem  
 Nie ubodła drzewiny ostrym swoim rogiem;  
 By te brzozy w wiek późny mogły nieprzerwanie  
 Okrywać wdzięcznym cieniem dobrą miejsc tych panię!

Ach! ktokolwiek tu dni kilka zabawi, łączy swoje życzenia z życzeniami poety; jakaż to w téj pani jest gościnność uprzejma i szczerą! jaka dusza piękna i tkliwa! jak tu wszyscy nią szczęśliwi się zdają! ale zapominam, że nie takowego mieścić tu nie miała—niechaj to w sercu zostanie.

22 Maja we Wtorek, w Koszkwie.

Jeszcze nie miałam w mojem życiu dnia równego wczorajszemu, w żadnym tyle pięknych i zupełnie mi nieznanym nie widziałam i nie słyszałam rzeczy. Byłam w owéj sławnej dolinie Prądnika; zwiedziłam Grodzisko, Pieskową skałę, Ojców; pierwszy raz stopa moja weszła na góry tak wysokie; pierwszy raz widziałam skały i tyle cudów natury; oczy od rana do późnego wieczora zajęte były i zdziwione; ucho chwyciło różne powieści, z ust wychodziły prawie ciągłe pochwały, a w umyśle tysiączne roily się myśli: sen smaczny i nieprzerwany, czarującą władzą swoją powtórzył i pomieścił te wszystkie wrażenia tak silnie, że obudziwszy się o wschodzie słońca, sama rozróżnić nie umiałam, co było na jawie, a co mi się śniło? Wstałam więc co tchu, a kiedy jeszcze śpią wszyscy, siadam i piszę; bo chcę jakiś porządek w myśli moje wprowadzić; bo się lękam, ażeby prawda w raz z marzeniem nie uleciała mi z pamięci. Kto chce kwiat urwany z natury malować, śpieszyć się powinien, bo kwiat zwiednie! Oto wiązka, wczoraj z takim trudem po lasach

i górach zbierana, już się zmieniała! śpieszmy się, żeby tak z wspomnieniami mojemu nie było.

Jeszcze w Niedzielę w wieczór stanęło, że nazajutrz rano wyjedziemy z Koszkwii na te romantyczne odwiedziny i tak się też stało. Nie wiem wcale w tej chwili, przez jakie jechałyśmy wioski, to wiem, że zła była droga, piękne widoki, i żeśmy stanęły w Skale, z kąd już prawie ciągle szłyśmy piechotą. *Skala*, miasteczko prywatne, dosyć porządne, bez żydów, jest jakby wstępem do tej czarownej okolicy, już bowiem nad Prądnikiem leży. Ludzie nic bez przychyny ani głoszą, ani sławią; ten strumień nie przywłaszczał sobie chwały, której używa; równego trudno gdzie widzieć: czysty, szybki, kręty, głęboki, zdaje się, że króluje w tej okolicy; sądzićby można, iż dla niego, jak niegdyś wały morskie dla ludu Bożego, rozstały się te góry i skały w równej odległości; że dla tego żeby mu płynąć było wesoło i mile, usłana ta piękna dolina, zasadzone te drzewa, te wioski osiadły; a on wdzięczny im za względów tyle, odzywa się po gładkich kamykach, pieści się z brzegami, płynie jak my żyć powinniśmy, płynie dobrze czyniąc: to obraca papiernie, młyny i tartaki; to rybakowi wyborne pstrągi w sieć wrzuca, to nadstawia sam swe przezroczyście wody ku trzód i pasterzy ochłodzi. Takim na wstępie luby Prądnik mi się okazał, takim widziałam go ciągle. Lecz nie długo szłyśmy wesołym jego brzegiem; opuszczając go ale przeto nie tracąc z oczu, wstąpiłyśmy zwolna, stawając często dla użycia pysznego widoku, na wysoką skalistą górę, zupełnie ciemnym lasem obrosłą, z jednej tylko strony dostępną, *Grodzi-  
skiem* albo *pustynią św. Salomei* zwaną.

Nosiła ona dawniej przyrodzoną sobie nazwę *Skaly*: w roku 1228, Henryk Brodaty, książę wrocławski, ubiegając się z Konradem księciem mazowieckim, o opiekę nad małoletnim Bolesławem, synem Leszka Białego, a raczej o rządzenie Polską, chciał mieć w bliskości stolicy stanowi-

sko, zkądby mazowieckie napady mógł gromić, i ze Szlązkiem łatwe utrzymywać związki; na téj więc wysokiej i niedostępnej skale, wśród lasów i przepaści, wystawił gród warowny, Długą Skalą albo Kamieniem zwany: bronił się w nim Konradowi dzielnie; ale syn Księcia Mazowieckiego, Bolesław szczęśliwszy od ojca, dobył go w roku 1325. Gdy już z pełnoletnością Bolesława, Wstydliwym zwanego, ustały zatargi o opiekę, i grodu skalskiego odstąpił Książę Mazowiecki, zmieniło się téj warowni przeznaczenie: niespokojną siedzibę śmiałych i dzielnych rycerzy zajęły lękliwe i słabe dziewice; o mury, do szczęku zbroi, do gwaru wesołych biesiad lub krwawych kłótni nawykłe, obił się odgłos pieśń i modłów niewieścich; miejsca na ścianach, gdzie hełmy i puklerze błyszczały, zakryły długie lniane zasłony i świętych obrazy. Dla siostry Bolesława Wstydliwego, dla pobożnej Salomei stała się ta odmiana. Ta królewska dziewczica jeszcze była dziecięciem, kiedy już tyle objawiała pobożności, że ojciec jój, Leszek Biały, i matka Grzymisława księżniczka ruska, mawiali do siebie: Tę dziewczeczkę zupełnie Bogu poślubić należy. Ale okoliczności krajowe inaczej zrzędziły. Jędrzej król węgierski zapragnął, ażeby Salomea daną była za żonę synowi jego Kolomanowi i groził Polsce wojną, gdyby na to nie przystano. Posłaną więc została do Węgier, mała jeszcze wówczas dziewczeczka; ażeby dla większego na potém przywiązania, wraz z przyszłym małżonkiem rosła. Bawili i uczyli się razem, a królowna większą miała od królewicza do nauk ochotę.

Gdy już doszli oboje do przyzwoitego wieku, weszli w śluby małżeńskie; po śmierci zaś króla Jędrzeja, Bela, syn jego starszy, osiadł na tronie węgierskim, a Koloman wziął Królestwo Halickie na Rusi: tam świątobliwie wraz z żoną dwadzieścia pięć lat przeżywszy, zginął w potrzebie z Tatarami Mongolskimi; wdowa jego, nie pocieszona po téj stracie, a razem chcąc dopełnić dawnego rodziców i wła-

snego serca życzenia, umyśliła oblec szaty zakonne. Zrodzona na polskiej ziemi, w niej umierać chciała; porzuciwszy więc Halickie, przybyła do Polski; w Zawichoście klasztor św. Klary założyła, i wyrzekła w nim śluby zakonne. Nie do końca jednak życia gościła w tém mieście, nowa klęska przypadła wówczas na Ojczyznę naszą: częste były napady Tatarów; dla nich, jak wiadomo, nie świętém nie było; troskliwy więc o siostrę Bolesław nakłonił ją, żeby się przeniosła wraz z towarzyszkami do niedostępnego grodu, Skałą czyli Kamieniem zwanego. Uczyniła to chętnie Salomea, założyła tam kościół pod opieką św. Maryi Magdaleny, i w tém ustronném miejscu, w modlitwach, postach, w przykładzie cnót wszystkich, siedm lat przeżyła. W roku 1267, dnia 10 Listopada, w czasie Mszy, w kościele, wpadła w ciężką i boleśną chorobę, w której była bardzo cierpliwą, ale zaraz blizką śmierć przepowiedziała. Gdy jęj siostry mówiły: „Nic ci nie będzie: Bóg cieszyć się nam tobą jeszcze pozwolił“ ona odpowiada: „Sobota to przyszła pokaże.“ Jakoż w Sobotę umarła, i gdy już ostatnie wydawała tchnienie, zdało się siostronom przy jęj łożu stojącym, jakoby widziały jasną gwiazdę z ust jęj wychodzącą \*). Przez czas jakiś spoczywały zwłoki św. Salomei w małej kapliczce, będącej niedaleko domku, gdzie zupełnie samotne dni często pędziła; 1 Czerwca 1268 r. przewiezione zostały z wielką okazałością do Krakowa, i złożone w kościele Franciszkanów, gdzie dotąd spoczywają.

Tyle wiedząc i słysząc o św. Salomei, ciekawa byłam oglądać pustynię, ogród i kościół, gdzie siedm lat ostatnich spędziła; ale doszedłszy na szczyt skalistej góry, obaczyłam tylko mały kościółek, trzy lub cztery zniszczone kapliczki, i kilka posągów. Taką kolejną miejsce to się zmieniło. Za-

---

\*) Obacz Żywoty Świętych ks. Piotra Skargi.



konnice św. Klary mieszkały tu tylko do roku 1320, w tym czasie przeniesiono je do Krakowa, do klasztoru przy kościele św. Jędrzeja; wtedy mury grodu Henryka i kościoła Salomei opuszczone zostały, i wnet, jako wszystkie dzieła sztuki, których ręka ludzka nie strzeże, poszły w rozsypkę. Lud prosty, przywykły rzecz każdą właściwym choć często grubym oznaczać wyrazem, te szczątki starego grodu przeważał Grodziskiem, i to przezwisko dotąd temu miejscu służy. Długo nic tu nie było, prócz rozwalin dzieła sztuki, i zawsze jednostajnych piękności natury; ale w roku 1642, zakonnice św. Jędrzeja, dziedziczki miejsca, wzniosły mały kościółek, pod tytułem Wniebowzięcie Panny Maryi na Skale; gdy i ten schylał się ku upadkowi, ksiądz Piskorski, professor Akademii Krakowskiej, wystawił własnym kosztem kościół, kapliczki, i posągi dotąd będące, w roku 1677. Kościółek nie jest szczególny, zdobią go tylko piękne marmury, wykute ze skały, na której stoi; na cmentarzu wznosi się pięć posągów kamiennych, opartych na murze, który go ogradza; te posągi z napisami w języku łacińskim wyobrażają: Kolomana, króla Halickiego, męża św. Salomei; Bolesława Wstydliwego; św. Kunegundę żonę jego; Henryka księcia Wróclawskiego, i św. Hedwigę. Wprost zaś bramy wchodowej jest na podstawie i słupie kamiennym posąg św. Salomei; na czterech bokach podstawy te napisy:

1. B. Salomeae virginii, reginae Haliciae, Poloniae principi patronae.
2. Fratris pudici regia liberalitate Fundatrici, Heri, piaequae matris.
3. Hic annos vixit septem, totidemque resurgens post menses, tumulo reddita Cracoviae, corpore abiit noleus, avita presens mente remansit. Fronde tibi simul hic virgula floret Aron.
4. Adorate in monte sancto ejus petrae refugium. (\*)

---

\*) Staralam się pilnie o wytłumaczenie tych napisów, ale znawcy powiedzieli mi, że musi być w nich jakiś układ słów i mistyczność, która zrozumieniu przeszkadza; jakoż dosłowny ich przekład nie zupełnie objaśnia.

Za cmentarzem jest domek, gdzie dwa groby a raczej ich miejsca; w jednym z nich leżały czas jakiś, jak mówią zwłoki Ś. Salomei. Tam jest także mieszkanie pustelnika, bo od dawnych czasów zawsze tu, jako w miejscu samotném i niedostępném, sędziwy pustelnik gości; dzisiejszy jednak wcale niezajmujący: nie stary, nie poważny i nie wiele powiedzieć umie; piękniej, odpowiedniej być musiało, kiedy przemieszkiwał w tój pustyni Alexander Sobonowski, dawny niegdyś żołnierz i oboźny hetmana polskiego, a potem samotny pustelnik; on tu dnie trawił nad rozważaniem dzieł Boga, Pismo święte wierszem ozdobił; umarł. 1644, i może to jego ten grób drugi. Są jeszcze ślady schodów kamiennych, które sam ułożył, i po nich schodził czerpać wodę z Prądnika. Kto wie jaki powód go zagnął do obrania samotnego życia, zakosztowawszy zgiełku obozów? nie mogę jednak żałować go bardzo, bo tu tak pięknie.. Przed drzwiami tego domku stoi pomnik; na otwartém postawiony miejscu, mógłby dobrze się wydawać: jest to obelisk z granitu, którego podstawą jest słoń, także z jednego kamienia. Niżej tego domku jest jeszcze drugi Ś. Salomei domek, gdzie różne napół wytarte napisy. Cała ta posada smutna, ale bardzo zajmująca; widać jeszcze szczątki muru, który broził jedyne do tój warowni przystępu; już w wielu miejscach wiatry warstwami ziemi go przykryły, i już wspaniałe dęby rosną na tych kamieniach, o które obijały się nieraz

- 
1. Błogosławionej Salomei dziewicy, Królowej Halickiej, Polski głównej Patronce.
  2. Brata Wstydlwego królewską szczodrobliwością założycielce, Pana i pobożnej Matki.
  3. Tu żyjąc lat siedm, i po tyluż powstając miesiącach, zwrócona grobowi w Krakowie, ciałem odeszła niechętna, obecną myślą pozostała. Zieloną tobie równie tu gałązką kwitnie Aron.
  4. Czczycie na górze świętej jēj skaliste schronienie!

stopy czatujących żołnierzy, po których przechadzały się z wolna modlące się dziewice.

Z tych stron téj skały jest przepaść głęboka, ale prawie wszędzie zakryta krzewami i drzewem; z zadziwieniem postrzegłam tu bzu włoskiego bardzo wiele; nie wiem ktoby go nasadził tyle: może wiatr przyniósł z kąd nasienie? — Nie wiem czy źle czy dobrze, że młodym chłopcem nie jestem, bo zostałabym na resztę dnia w pustyni Ś. Salomei, tam nad brzegiem téj przepaści, na téj skale niedostępnej, w cieni tych wspaniałych dębów, patrząc na dolinę Prądnika rozłożoną w nizinie, jakby błogosławionych kraina; byłabym napisała elegię, dumę, legendę, balladę, sama nie wiem co, ale coś wierszen, i coś pięknego, bo sam urok miejsca i smętność jego natchnęłyby mnie konieczne. Ale tak, poszłam w dalszą drogę z miłemi towarzyszkami, i szłyśmy długo przez wspaniały las jodłowy. Nie ma takich jodeł w naszych stronach, a jodła śliczném jest drzewem, i właśnie w téj porze najpiękniejsza; zwykle jest ciemna i smutna, teraz zaś, jakby stosując się do całego przyrodzenia, barwę jasną i wesołą przybrała; wypustki tegoroczne świeżą swą zielonością, ten pozór jój nadały; zdało mi się, że widzę obraz poważnych i przyjemnych starców, którzy otoczeni hożą młodzieżą, wesołość jój dzielą.

Z tego lasu, rosnącego na jednej z gór składających osłonę doliny Parądnika, (właściwiej mówiąc parowu), odkrywały nam często jój widok czarowny szerokie wyrąby dla ułatwienia spuszczenia drzewa poczynione; góra bowiem tak jest spadzista, że zwalona na jej szczycie jodła zsuwa się za lekkim popędem w samo łono doliny, gdzie ją zaraz do tartaków lub innego przeznaczenia chwytają; nie jeden tamtych okolic pastuszek siedząc śmiało, podobnie z góry na dół zjeżdża: mieszkańcy krajów górzystych muszą koniecznie być śmielsi od zalegających doliny, bo im się nastreczają częste doświadczenia, wymagające odwagi.

Idąc ciągle przez ten las jodłowy, zrywając nieznanne w naszych okolicach kwiaty, zaczęłyśmy z wolna zstępować na dół: las ten nieznacznie się rozrzedził, i wstąpiłyśmy na nowo w dolinę Prądnika: tu już ten strumień Pieskowej skały przydomek nosi, jak i wieś koło niego osiadła; tu szłyśmy ciągle nad brzegiem, wpatrując się pilnie w te wody czyste jak serce niewinne, szybkie jak szczęścia godziny; rachować można było kamyczki będące na dnie, ścigać okiem cętkowane i chyże pstrągi, które na widok nasz kryły z pośpiechem czorwone swoje skrzydła pod brzegi. Ale oderwać musiałam oczy od tego widoku, żeby patrzeć na skały, które coraz większe i wspanialsze w rozmaitych kształtach, po prawej stronie rzeki rzędem się wznoszą. Wielkie dzieło natury, pierwszy raz dokładnie widziane, niepojęte sprawia wrażenie; ani więc wypowiedzieć mogę, jak mnie zajęły te góry z głazu, te niepożyte wiekami przyrodzenia budowy, te; jakby wały rozlukanego morza nagle skamieniałe. Ich ogrom i stałość uroczyście do mej duszy mówiły, że wciąż dotykałam się ich słabą ręką; a ich nieporuszoność przemawiała do mnie o wiecznej ich Stwórcy trwałości. Dziwna postać niektórych zajmowała mnie też mocno; upatrywałam w nich nawet różne podobieństwa, ale tak blisko mnie były, że znikało wnet złudzenie: do podobnych wrażeń mroku i oddalenia potrzeba. Lecz tu już dobra zaczęła się droga, wsiadłyśmy więc do powozu; szczęściem, że odkryty, używać było można ogólnego widoku, prawie tak jak idąc pieszo; jednak prędkiej zniknął, ile że dolina czyli parów w tém miejscu w obłąk się składa.

Żałowałam mijanych widoków, a pragnęłam chciwie nasuwających się znowu; podobna dziecięciu, któremu żal puścić jednego cacka, a chciałoby przecież uchwycić drugie; w tém będąc położeniu, na większym jeszcze doliny zakręcie, ujrzałam nagle i zupełnie niespodzianie całą *Pieskową skałę*, i zapomniałam o wszystkiém. Pasma nowych, wyższych



i dziwniejszych jeszcze skał, góra wysoka i rozległa, na nięj zamek wspaniały, po drugiej stronie las bukowy, najświeższej zieloności, w środku Prądnik, już tu daleko szerszy, bo staw napełnia, most kształtny, krzyż z wizerunkiem Zbawiciela na skale, a najbliżej oka, sławna pałka Herkulesa, albo jak mówi Wężyk, Krakusa; onto:

Święcąc bogom narzędzie dzielnego rzemiosła,  
Tu utkwił swą maczugę, która w ziemię wrosta.

Cały ten widok, jakby czarodziejską rószczką zgotowany, prawdziwie mnie zachwyił. Lubię, jak w pismach tak w widokach, te myśli niespodziane, te nagłe obrazy, które razem i podobają się i dziwią. Pieskowa skała jest z ich liczby, dla tego też wielkie wrażenie na przychodniu czyni. Widok jęj piękny z dołu, jeszcze coraz piękniejszym się staje wstępując na górę, na której zamek stoi. Ten zamek zwiedziłyśmy jak najdokładnięj, i to z prawdziwą serca rozkoszą. Cześć za to dziedziom jęgo! wdzięczność od wszystkich Polaków, zacnym Żegoty Zaprzańca potomkom! godni są pięknego godła szlachectwa, którym on ród swój oznaczył, owego *konia* wiernego; gdyż tak, jak pierwszy z ich szczepu, pamiątki po ojcach szanować umieją. (Pisane w r. 1824). Bo nie wiem czy ci wiadomy, kochana Anielko, początek herbu Wielopolskich z Pieskowej skały?

Za jednego jeszcze z Piastów, przed rokiem 1080, żył szlachcic bogaty: Toporczykiem zwany od herbu swojego; miał trzech synów, Sędziwój był najstarszym, Nawój średnim, a najmłodszym Żegota. Dwaj starsi w samym kwiecie wieku poszli z nieprzyjaciołmi ojczyzny wojować, Żegota młody jeszcze został przy ojcu sędziwym. Ale wnet młodzieńcowi obmierzył ten domowy spoczynek, zapragnął świata, i błagał rodzica, żeby mu w świat ruszyć pozwolił. Wzbraśniał długo starzec, prosili zasłużeni dworscy; kochanym był

Żegota więcéj daleko jak dwaj bracia jego, bo i dłużéj w domu gościł, i lepsze miał serce. Nareszcie ojciec i domowi zaprzestali prób i przełożeń; Żegota tak chciwie świata pragnął, dozwolili mu więc jechać. Nim ruszył, opatrzył go starzec w cały rycerski rynsztunek; na tarczy wyryczał znak szlachectwa i rodu, dwa nakrzyż topory; a wybrawszy ze stada dzielnego konia białego, dał go synowi, i rzekł: „Jedź na nim, i na nim powracaj; niczém nie splam tych znaków; a czy zastaniesz czy nie zastaniesz ojca, błogosławieństwo jego i Boga będzie zawsze z tobą!“

Pojechał młody Żegota, zwiedził państwa dalekie, na- był wiele nauki, więcéj jeszcze sławy, a napatrzywszy się tego świata, którego tak żądał, po kilkunastu léciech za pragnął wrócić do ojca i rodzinnéj ziemi. Wraca; lecz cóż zastaje? ojca w grobie, a niecných braci w jego majątku; wita się z nimi: nie znają go; przyznaje się do krwi, imienia, rodzeństwa, znak na tarczy ukazuje: zapierają się aby kiedy brata mieli; domaga się części po ojcu: o tém sobie i mówić nie dadzą. Wskrósł przejęty i taką złością zdziwiony, Żegota szuka świadków; znaleźć ich nie może: powyganiali bracia starych dworskich i zasłużonych ojca domowników; rozeszli się w różne strony szukać chleba i młodego panicza. Rozmyśla smutnie sierota. U obcych jak swój był przyjmowany; czyżby u swoich miał być jak obcy? „Niczém nie splamiłem tych znaków, mówi nareszcie spoglądając na tarczę: błogosławieństwo ojca musi być ze mną. Już jego wprowadzie tu nie ma, opuszczony jestem, zaparli się mnie bracia, ale są jeszcze bracia Polacy, jest Bóg w niebie, król sprawiedliwy na tronie.“ A dosiadając tegoż samego konia białego, sławy i niedoli wiernego towarzysza rusza do stolicy i przed królem staje.

Wymownym jest głos uciemionych, trafia on do prawego serca, trafił i do serca monarchy. Żegota wnet i świadków znalazłszy, uzyskuje wymiar sprawiedliwości; rozkaz

królewski zmusza braci do zwrócenia mu części należnej po ojcu, do uznania go za brata. Lecz on z kolei uznać ich nie chce, niecnym braci się zapiera, gardzi wspólnym z nimi herbem: „Bądźcie wy sobie dwaj jak chcieliście!“ woła i z swojej tarczy dwa zrywa topory. „Moim znakiem, mówi dalej niech będzie odtąd koń mój poczciwy, *stary koń* mój, ostatni dar ukochanego ojca, wierniejszy od braci przyjaciel, a dla pamięci rodzica i sieroctwa mego, *topór* samotny na hełm mój złożę!“ I takim jest dotąd herb jego potomków: koń biały w czerwonym polu, a na hełmie topór. Żegotę przewano najprzód Zaprzańcem, dla tego że i bracia jego i on braci się zaparł; z czasem ten przydomek zmienił się w Szafrança.

Ale Żegota (któryby snadnie mógł być bohaterem historycznej powieści, jak już jest pięknej dumy Franciszka Wężyka) nie był Pieskowej skały dziedzicem; zamek ten jeszcze wtedy nie istniał; postawiony podobno przez Kazimierza Wielkiego, na tej wysokości skały *pieszkową* przewanej, bo *pieszko* tylko czyli pieszo dostąpić do niej można było; dostał się dopiero późnemu Żegoty potomkowi. Był to Piotr, Szafrancem już zwany, w wielkim znaczeniu będący; panowie węgierscy skrzywdzili go; Piotr chciał się pomścić i byłoby przyszło do okropnej walki, lecz panujący wówczas w Polsce Ludwik król węgierski, przebłagał go, ofiarując mu w wieczym darze zamek na Pieskowej skałe. I w dobre ręce dostał się ten dar wspaniały; potomkowie Piotra musieli go nawet znacznie rozszerzyć, bo dotąd część jedną starym, drugą nowszym zamkiem zowią, i wątpię, aby mógł być w całej Polsce równie dawny pomnik lepiej zachowany; nie tylko zniszczenia żadnego, ale w tych stu pokojach, w tych obszernych krużgankach, które od dziedzińca na dwóch są piętrach, w tych lochach podziemnych, nigdzie cieniu zaniedbania lub nieporządku dostrzedz nie można: wszędzie dowody starannej i troskliwej ręki, dowody, które mnie

razem i cieszyły i rozczulały. Tak nie wiele już mamy podobnych zabytków, tak mało kto szanować je umie, iż widok takowy żywém uczuciem serce polskie przejmuje.

W części nowszej zamku jest sześćdziesiąt pokojów mieszkalnych, obstawionych porządnymi sprzętami; kaplica bardzo piękna, pokoje właścicieli (gdyż tu co rok kilka miesięcy mieszkają) ozdobione w staroświeckim smaku, ale tём stosowniej do całości; obrazy rodzinne dziadów, naddziadów, wiszą po ścianach, jedwabném lub papierowém obiciem okrytych (1824 r.). Zajął ciekawość moję jeden z tych obrazów: jest to wizerunek młodej zakonnicy, wspaniałej postawy, czarnych oczu pełnych żywości, z orężem w ręku. Oprowadzający nas murgrabia powiedział, że to była Wielopolska, w dawnych czasach żyjąca, która od młodości czując w sobie rycerskiego Żegoty ducha, przebrała się po mężku, i poszła walczyć z nieprzyjaciołmi ojczyzny. Czas jakiś słynęła z mężstwa i odwagi, a nikt nie wiedział, że to nieustraszone ramie do kądzieli stworzone; ale nareszcie wykryła się tajemnica: bohaterka wstydem przejęta, rzuciła szyszak i zakonne oblekła szaty, nie chcąc już widzieć świata i ludzi. Nie długo żyła w klasztornej zaciszy, męczył ją więcj ten spoczynek od rycerskich trudów; na pamiątkę jej przygód, z orężem ją w trumnę włożono, z orężem wystawił ją malarz. Murgrabia z wielkim moim żalem, nie umiał nam powiedzieć, ani jej imienia, ani roku śmierci. Rodziny przechowujące w domach wizerunki długiego naddziadów szeregu, powinnyby mieć i księgę, w którejby zapisane były tych osób imiona i przygody, rok ich urodzenia i zejścia; podobne księgi, dla każdego miłe, prawdziwymby skarbem dla autorów były!..

Z mnogich sprzętów, które nam pokazywano, został mi w pamięci stolik z gruszkowego drzewa, na którym w środku stary koń Żegoty wyrźnięty, a w około przedmioty myśliwskie. Jest to robota Hieronima Wielopolskiego, w. ko-



nieszego, który bardzo lubił i stolarkę i polowanie; jest jeszcze cały pokój zastawiony narzędziami, których używał. Zamek Pieskowej skały musiał być niegdyś wyborną warownią, zamyka bowiem w sobie wszelkie wygody: młyn, kuźnię, składy ogromne; studnia wykuta w opoce tak jest głęboka, że najsilniejszy człowiek jedenaście minut wiadro pełne ciągnąć z niej musi; ale też woda zimna, wyborna i zawsze obfita. Są nawet dwa ogródki owocowe, do których po czterdziestu kilku schodach i po dachu się idzie; bo jak Semiramidy ogrody, są jakby napowietrzne. Widok prawie ze wszystkich znaczniejszych pokojów przepyszny, na dolinę Prądnika, na skałę i na tę maczugę Herkula czy Krakusa, która znacznie szersza u góry niżli u spodu, zdaje się, że cudem tam stoi, tego zamku strzeże, i rękę niszczącą czasu od niego odwraca. Ach! niechże go tak strzeże przez długie jeszcze wieki! niech troskliwa nad nim opieka właścicieli, przejdzie wraz z nim aż do najpóźniejszych Żegoty potomków!...

Murgrabia pokazywał nam także głęboki loch podziemny, *Dorotką* zwany, podobno dla tego, że Dorotką zwała się ta, która tam pierwsza życie skończyła; przestępcy, spuszczeni do tego lochu, skazani byli na zamorzenie głodem... Nie lubię takich pamiątek; nie mojem zdaniem tak nie uniża i nie upadła rodu ludzkiego, jak przemysł i dowcip człowieka w sztuce pastwienia się nad braćmi; nie chcę na opisie takiego pomniku nieoświeconych wieków, opisu Pieskowej skały zakończyć — wolę zatrzymać myśl moją na Zofii Oleśnickiej, która tu w wieku XVI mieszkała, a natchniona miejsca pięknnością i sercem pobożnem, wdzięczne składała rymy; została po niej aż do naszych czasów *Pieśń nowa*, drukowana w r. 1556.

Z żalem i z trudnością oderwałam się od tego miejsca, naturą, sztuką i staraniem upięknionego; zamyka już i kończy czarującą dolinę Prądnika; ale większy jeszcze byłby

zał mój, gdybym nie była wiedziała, że ukaże mi się jeszcze ta dolina w całym swym uroku w *Ojcowie*.

Do Ojcowa ruszyliśmy przez las bukowy prześliczny; pierwszy raz widziałam tego rodzaju drzewa: zieloność ich i gładkość liścia jest nie zwyczajna, zwłaszcza teraz, kiedy świeże po długim śnie zimowym powstały, a drzewa jak dzieci najpiękniejsze po ranném ocknieniu. Jadąc ciągle może milę drogi, zawsze a coraz inaczéj pięknej, ujrzelśmy nie bardzo daleko od siebie Ojcowski zamek na skale. Odrazu nie uczynił na mnie wrażenia jakiego oczekiwałam, bo w tym zamku jedna tylko okrągła wieża jest piękna i wspaniała, i zdaje się być dawnych wieków świadkiem; reszta wystawia rozwaliny nowoczesnego pałacu. Nic tam nie ma starożytnego, i to całe zniszczenie, nie czasu, ale niedbalstwa nosi piętno. Już nam nie dano nawet zwiedzać pokojów, mówiąc, że i zewnętrzne ściany grożą upadkiem; ja przynajmniej weszłam na górę, do której niegdyś po moście wygodny był przystęp i przyjazd, a stanąwszy u stóp wieży, na gruzów stosie, obaczyłam dopięro piękność Ojcowa; bo ta nie jest w zamku, ale w widzianej z niego dolinie: wtedy uznałam prawdę tylu pochwał i tylu opisów.

Wystaw sobie Anielko, zupełne miasto olbrzymie, z opoki stawiane; bo tu już nie po jednej stronie ogromnego parowu ciągną się skały, ale z obudwóch sterczą w kształcie wspaniałych i dziwacznych domostw; nie można nawet dojrzeć końca tego synów Tytana grodu, a wierzchołki skał, wysokimi jodłami okryte, nieba sięgają. Wieś cała Ojcowska, dalsze zabudowania, ogrody, i ten Prądnik jeszcze tu piękniejszy, zdają się być siedliskiem istot drobnych, ale ulubionych potężnemu Bóstwu, które przez wzgląd na ich słabość tak warowną dało im osłonę. Napatrzeć się nie mogłam tego widoku; a żałując, że z okien pałacu, przed kilkunastu laty zamieszkałego, używać go już nie można, obszedłszy przynajmniej dziedziniec i zajrzawszy w środek

wieży, zeszłam na dół. Wabił nas też na drugiej stronie Prądnika w sadzie, pod ogromną skałą, widok bardzo miły po tak czynnym poranku, widok zastawionego stołu: przy smacznym obiedzie rozmowa była przyjemna, najwięcej o miejscach widzianych, o trwałości tworów przyrodzenia, o niestałości dzieł ludzkich. Bo ta skała, na którą patrzyliśmy, zawsze taka sama i niewzruszona, już nie jeden dźwigała zamek, nie jednymi okrytą była rozwalinami. W początkach XII wieku tu stała warowna twierdza, pod zarządem wojewodów krakowskich będąca, a jej mury były świadkami łez pięknej dziewczicy, słusznej kary okrutnika, a nareszcie dwojga małżonków szczęścia. Posłuchaj tej zajmującej powieści.

Między odwiecznymi lasami, ku źródłom Warty i Pilicy, o kilka mil ztąd, w stronie północnej, wznosił się wspaniały zamek Ogrodzieńcem zwany, którego dziś jeszcze widzieć można szczątki. Panował wtedy Polsce mężny Krzywousty; bronił on dzielnie granic państwa, rozszerzał je nawet, i trwożę wzbudzał w postronnych. Kiedy obcy się boją, swoi mogą być bezpieczni; bez najmniejszej też obawy, z nielicznym dworem, w samotnym Ogrodzieńca zamku, mieszkała cudnej urody, ale smutna dziewczica; wszystkie kwiaty wiosny były na jej twarzy, a żałobna kryła ją zasłona. Wityslawą ją zwano. Już dawno umarł jej był ojciec, ale po matce nie dawno zgasłej, jeszcze łzy jej płynęły, jeszcze obca strojnym szatom, radości i szczęściu, zwlekała od dnia do dnia chwilę, w której zaślubić ją miał wybrany od jej matki, wybrany od jej serca kochanek, Piotr Szczebrzyc. Matka na łożu śmiertelném rękę jedynaczki z ręką młodzieńca złączyła, i na obie własne pokładła obrączki, dzień ślubu woli zostawując dziewczicy; a nimby jej przy ołtarzu święty małżeństwa obrzęd dozgonnego przydał opiekuna, mianowała nim wobec domowych rodzzonego brata swego, a wuja tonącej we łzach Wityslawy. Któżby podobny wybór mógł

zganić? Ale ludzić nas umieją blizkie krwi związki; często inaczej niż wszyscy krewnych naszych widzimy i nie znamy ich wcale, i ta nieszczęsna siostra wcale brata swego nie znała. Był nim ów głośny Skarbimir wojewoda krakowski i hetman królewski; hardy, popędliwy, okrutny, długo w łaskach u króla dla śmiałości i odwagi, ale już tych łask nadużywający, i już równie królowi nie miły, jak sobie i poddanym obrzydły. Rzadko on odwiedzał siostrę w jej Ogrodzińcu; nie dla serc takich lube rodzinne związki; ale przed pół rokiem, na kilkakrotne jej wzywania, zjechał na zamek z licznym orszakiem. Przedstawiła mu z dumą macierzyńską swą córkę nadobną, którą on dziecięciem po raz ostatni był widział; dla niejto najwięcej ona go wzywała, bo już blizką grobu się czując, polecieć ją pragnęła rodzzonego wuja opiece: „Już nie ma ojca, mówiła, wnet i matki mieć nie będzie; wy, bracie, ojcem i matką jej bądźcie!”

Słuchał Skarbimir słów tych z przymileniem twarzy jego nie zwyczajném, i coraz z większém na dziewicę patrzył zajęciem; zajęły go urocze i niewinne jej wdzięki: takich nie widział ani w stolicy, ani w Prusach, ani między Czechami, z którymi wojował; nie bacząc więc na pokrewieństwo tak blizkie, ani na wieku różnicę, zapalił się ku Witysławie najgorętszą miłością. Nie wyjawiał jednak téj miłości bogobojnej matce, nie zwierzył jej niewinnej dziewicy, ubarwił ją owszem cnotliwą powłoką; lecz niecierpliwie zgonu siostry wyglądał... Nie bawił niecnota w Krakowie, tylko przy wojsku, kiedy przybył goniec z tą pożądaną dla niego wieścią; dołączona była do niej i wiadomość o wyborze małżonka dla osierociałej Witysławy, i prośba od niej do opiekuna i wuja, aby raczył jak najprędzej zjechać do Ogrodzińca.

Skoro zdano Skarbimirowi w obozie sprawę o tém poselstwie, zapominając powinności hetmana, ruszył pędem strzały do zamku sieroty. Przybywa. Witysławę nad grobem matki zastaje: nie zważając na świętość miejsca, mi-



łość jej występłą oświadcza, mówi o władzy i o prawach swoich, a dogodzenie żądaniom jego, albo śmierć wybierać jej każe. Dziewica truchleje, jednak śmierć wybiera. Skarbimir porywa ją z rodzinnego zamku, wiezie do tego, który tu pierwszy stał na tej skale, i pod jego był strażą; nieszczęsnego zaś Szczebrzyca w kajdanach wiezić każe. Używając różnych sposobów do zniewolenia Witysławy, już w jej oczach chce śmierć zadać kochankowi, jeśli mu powolną nie będzie. Dziewica się waha. Wtém niespodzianie, jak grom niebieski, wpada do zamku dzielny Krzywousty na czele zbrojnych, bo już był w gniewie na Skarbimira; zszedłszy go na tém nowém bezprawiu, gromi go, wyrzuca, iż w łaskę króla ufając, więcej już sobie niżli król pozwala. A gdy dumny wojewoda, jeszcze hardością swoją gniew pana rozjątrza, rozkazuje mu wylupić oczy, odbiera buławę i województwo, a dla wiecznej pamięci zbrodni jego i przestępstw, na zawsze wojewodów krakowskich poniża, i czego przykładu nie było, kasztelanom daje przed nimi pierwszeństwo, nieszczęsnych zaś kochanków bierze pod swoją opiekę. Przerażona doznaniem ciosy, obrazem tak nowym dla siebie występku i zbrodni, trwożliwa Witysława chce wstąpić do klasztoru; prośby kochanka, nalegania króla zmieniają jej zamiar: łączy ich wiecznym węzłem Krzywousty, zamek ten nadaje; a oni, wdzięczni niebu za doznaną opiekę, stawiają w bliskości klasztor i kościół: stał do roku 1654, wtedy Szwedzi złupili go i spalili.

Nierównie krócej stał zamek, świadek trwogi, szczęścia i miłości Szczebrzyków; już za Władysława Łokietka gruzami okrywał opokę: kiedy ten król nieszczęśliwy uciekać musiał przed Wacławem Czeskim, w zwałonych murach jego, w jaskiniach i pieczarach tych skał, szukał nędznego schronienia. Pomny na to ojca tułactwo, godny syn jego, Kazimierz Wielki, co gdy osiadł na polskim tronie, tyłą zamkami kraj nasz opatrzył, i tutejszy na nowo wymurować

kazał; w nim przemieszkiwał niekiedy, i nazwał go najprzód *Ojciec u skały*, a potem Ojców. Prawie z pewnością twierdzićby można, że dziś stojący jest już trzecim, to jest daleko późniejszych czasów dziełem, a sama tylko okrągła wieża, grodu Kazimierza szczątkiem. Patrząc jak i ten trzeci upadkiem grozi, i już wcale mieszkalnym nie jest, porównywaliśmy z nim Pieskową skałę, bolejąc nad niedbalstwem starostów\*).

Po obiedzie, rzuciwszy ostatnie wejrzenie na skałę, gdzie stał przytułek Szczebrzyców i gród Kazimierza, poszliśmy piechotą przez dolinę, a potem wznosząc się nieznacznie w górę, weszliśmy w las jodłowy, głęboki, ciemny i gęsty; przed chwilą tak wesołą i piękną widziawszy naturę, przyznaję, że mnie to nagłe przejście prawie strwożyło: nie było tam słychać miłego ptasząt śpiewu, wrony tylko i inne ponure ptaki krakały, i ciężkiem szeleściły skrzydłem. Był to wstęp wyraźny i wymowny do jakiegoś wspaniałego, lecz pęsnego miejsca; spuściliśmy się na dół schodkami z darni i z kamienia; zwolna las rozrzadzać się zaczął, a sterzące skał ułamki miejsce drzew zajęły: zboczyliśmy nieco w lewo, i ukazał nam się wśród urwisk, otwór mały w skale. „To królewska jaskinia, powiedział nam przewodnik, tak zwana, bo w niej król Łokietek krył się przed Czechami!“ \*\*) a to mówiąc w kaganiec suchych drzazg nakładł, skrzesał ogień, i weszliśmy do tego ponurego mieszkania, ręką przyrodzenia sporządzonego, które kolejno bywało schronieniem

\*) Ambroży Grabowski, w szacownem dziele: *Opis miasta Krakowa i jego okolic*, które w tej całej przejażdżce nieodstępniem mi było, przedziwną z powodu zniszczenia zamku Ojcowskiego przytacza anegdotę: „W początkach rewolucyi francuzkiej, na pokojach u króla Stanisława Augusta, rozmawiano o zburzeniu Bastylii, i o trudach przy rozwaleniu tego zamku podjętych. „Najjaśniejszy Panie! rzekł na to Jezierski kasztelan łukowski, z dowcipu sławny: Francuzi powinni byli zażądać od nas kilku starostów, a byłiby sobie oszczędzili tak wielkiego mozołu.“

\*\*) Niektórzy dają jęj ten przydomek od odwiedzin Stanisława Augusta, ale poprzedni wniosek więcj jest upowszechniony.

nieszczęścia, niewinności, zbrodni, a nareszcie tajemnicy i smutku. Te godła nosiła ostatnia z ofiar, szukających w tej ciemnej jaskini przytułku i ukrycia.

Jeszcze żyją w dolinie Ojcowskiej tacy, którzy ją pamiętają (w r. 1824); z tej liczby był nasz przewodnik, pokazywał nam też skwapliwie miejsce. Gdzie było jej łóżko, czyli z suchych liści posłanie, kamień, który składał sprzęt jej cały; i w podobnych wyrazach opowiedział nam jej dziwną historję: „Już będzie temu lat z pięćdziesiąt, jam był dzieciakiem, ale żyli oboje rodzeni moi, kiedy zaczęli ludzie gadać, jakoby w tej królewskiej jaskini coś przemieszkowało. Jedni mówili, że to złe lichy, drudzy, że dusza pokutująca, inni, że złodzieje; aż nareszcie dziątek dwoje rybaka Ojcowskiej pstrągarni, przybiegło razu jednego do matki, a dużo szczebiocąc powiedziały nakoniec, że biegając po tych oto skałach, obaczyły niedaleko jaskini prześliczną pannę, zapewne księżną przebraną; one zlekły jej się najprzód, ale ona zawołała na nie łagodnie: pokazała im kwiatki i zbliżyły się zwolna tak dobrze, że mówić z nią mogły; ona ich się pytała: jak się zowią? czy mają ojca i matkę? czy umiejają pacierz? i dała im po obrazku. „Oto są, matulu, powiedziały, a ta śliczna panna tak zupełnie była przebrana, jak na tych obrazach stoi, jedno, że daleko śliczniejsza!“ Matka spojrzała wtedy na obrazki, i obaczyła wizerunek Św. Salomei. „Wielki Boże! krzyknęła, a to wam pewno sama Św. Salomea się objawiła! Pustyniać jej niedaleko!“ I dalejże poczęła chodzić od kumy do kumy, i wnet wieść się rozeszła, że Św. Salomeja, ona wielka korony Polskiej patronka, tu przysła, i coś złego czy dobrego krainie chce obznajmić. Jedni temu wierzyli, drudzy nie wierzyli; ale wielu było takich, którzy chodzili z umysłu na te skały, chcąc to cudo obaczyć. Nikt tego nie mógł dokazać; ledwie czasem jak wiewiórka w lesie, tak mignął się między urwiskami habit szary, owój panny; razu tylko, jeden pastuch, który umarł

niedawno, przyjrzał jój się dobrze: jeszcze słońko nie było weszło, a ona już zbierała sobie jagody, ale skoro chłopaka spostrzegła, zerwała się kieby łania i znikła, obaczył tylko, że była słusznego wzrostu, precudnej urody i jak śnieg biała.

Odtąd nikt ją żywą nie widział prócz dzieci, od dzieci nie stroniła, owszem wabiła je do siebie, i to nie jedno rybackie, ale z całego Ojcowa, które się nawinęło; i ja nieraz choć mały wonczas dzieciak, bywałem tam z innemi. Wynałazła dolinkę dosyć obszerną w skałach, gdzie ją z nizkąd widać nie było, tam sobie i mały nasadziła ogródek, i tam nam przychodzić kazała; wisiał nad tą dolinką kamień ogromny, i nie wiedzieć kiedy urwał się, i zaległ ją całą; ale wtedy wolne było zupełnie miejsce, i my tam chętnie do niej chodzili: młodszych z nas uczyła pacierza, starsze czytać i katechizmu, bo miała i książki; do wszystkich mówiła mile, napominając nas, żebyśmy dobrzy byli, Boga i rodziców słuchali, a wtedy zawsze płakała; mówiła nam także często, żebyśmy starszych naszych prosili, aby jój nikt drogi nie zachodził, bo ona nie żadna święta, owszem grzesznica, nic nikomu uczynić nie może, gdyż sama nic nie ma, bardzo jest nieszczęśliwa, chce tylko, żeby nikt o niej nie wiedział, żeby tu umrzeć mogła spokojnie. Jak się tak przekonano, że to ani duch, ani święta, tylko sobie jakieś nieszczęśliwe i pobożne paniątko, zaczęły jój matki przysyłać różne rzeczy do jedzenia: to chleba, to séra; ona z wielkim zajadała smakiem, dzieląc się jednakowoż zawsze z nami: dotąd korzonki i owoce leśne całą jój strawą były.

Minęło tak lat parę, bo i przez zimę niebożatko w tój jaskini biędowało; aliści rozeszła się wieść jednego lata, że sam król, ciekawy naszych skał i naszego Prądnika, zwiedzać będzie z wielkim dworem tę całą dolinę, i że królewską jaskinię dla niego wyczyszczą i oświecą. Skoro usłyszała od dziątek pustelnica, że król tu zjedzie, tak gdzies



znikła, że ani oko ludzkie jój nie ujrzało. Król był i pojechał, już i gadać o tēm zjawisku przestano, a jój jeszcze widno nie było. Nareszcie wróciła, ale pamiętam, że wróciła bardzo blada i jakaś słaba; już nas dzieci nie tak często do siebie wabiła, a gdy przyszło uczyć które, nie mogła wiele mówić, bo jój dech zapierało. Jak nastaly pierwsze mrozy, gorzej jeszcze zasłabła; wnet też przyszły srogie zimna i zawieruchy, przez kilka dni nikt do niej nie chodził; aliści przychodzimy: nie ma jój, szukać wszędzie: nie ma nigdzie; szukają i starsi: nie znajdują wcale; żal wielki w Ojcowskiej dolinie, bo ją bardzo pokochały dziatki, a za dziatkami rodzice; nareszcie wieść przychodzi, że niedawno do klasztoru PP. Bernardynek w Krakowie, ktoś już po północy słabiuchno zadzwonił, furtyanka się przebudziła, ale nie słysząc nic więcej, myślała, że sen taki ją trapił. Nazajutrz dopiero otworzywszy furte, zastała przed drzwiami leżącą bez duszy młodą kobietę, w szarym habicie: była to nasza biedna pustelnica... już jój się docucić nikt nie mógł. Panny Bernardynki bardzo się przelekły i zafrasowały: dano znać do urzędu, przyszli różni panowie; ale nikt niebożątka nie poznał; przyjechali tu i do nas, pytali się wszystkich, przetrzęśli jaskinię, ogródek, książki polskie i francuzkie jakie znaleźli zabrali, ale nigdzie ani jój imię, ani jój nazwisko nie stało: zapewne ona wszystko zakonnikom opowiedzieć chciała i w klasztorze umrzeć, jak Bóg przykazał, ale jój się nie udało niebodze, snadź dla srogięgo zimna i wielkiej ciała niemocy...

Pochowano ją uczciwie, nie wiedząc kogo, i do dziś dnia nikt nie wie, kto ona była; mówią, że jedna tylko pani z Pieskowej skały ją znała, i że tam czasem potajemnie chodziła pustelnica, ale ta cnotliwa pani umarła także, nie powiedziawszy nic nikomu. U nas tu wszystkim widziało się i widzi, że to musiała być jakaś księżniczka, a stare kobiety dotąd szepczą, że ją jakowaś miłość okrutna do pustel-

niczego życia przywiodła. Panie Boże! świeć nad jęj duszą, boć to była żywy anioł z nieba!“ Po tém prostém opowiedzeniu, jaskinia życia i wdzięku dla mnie nabrała; chodziłam po całej, prosiłam żeby mi oświecili każdy zakątek, a chodząc, myślałam ciągle o tęg tajemniczeg i nieszczęśliwęg istocie; ile to ona razy zmierzyła swemi krokami tęg pieczarę; jak ją znać musiała dokładnie; w milczeniu i cichości, jakie tam panują, jak musiała przysłuchiwać się pilnie tym kroplom wody, spadającym zwolna ze sklepienia: może nieraz z jęj oczów łzy z większym pośpiechem spadały... I ja nie wątpię, że jakaś przygoda serca ją tu przywiodła, ale kto ona była? zkąd się tu wzięła? kto był tęg miłości celem? Jakby dobrze było, gdyby kto chciał wysledzić tęg tajemnicę, możnaby z tęg treści zajmującą ułożyć powieść: może w Pieskowej skale co o nięj wiedzą?

Wyniosłam z jaskini, na pamiątkę Ojcowa, a może więcéj jeszcze na pamiątkę pustelnicy, odtrąconą przy mnie od sklepienia dużą stalaktytę; długi czas mija, nim się takowa utworzy: może ta, którą mam, jeszcze za życia tęg nieszczęśliwęg tworzyć się zaczęła. Gdyśmy wyszły z jaskini, już lekki mrok okrywał dolinę; wtedy dopiero skały nabrały dziwnych postaci. Przewodnik pokazywał nam tęg różne, i wyliczał ich nazwiska: to *kopuły* i *popiersia Wreborza*, to znowu *łaskawca*, *piłarzowej skały*, i inne jeszcze, których dojrzeć trudno było \*). Rozbujaną mając nieco wyobraźnię, łatwom wierzyła wskazywanym przez niego podobieństwom, a nawet upatrywałam nowe. Skały mają jakowąś styczność z obłokami; po zachodzie słońca, wpatrzywszy się w niebo, któż dzi-

---

\*) Ktoby chciał szczegółów o skałach Ojcowskich, niech odczyta artykuł o Ojcowie, w Pszczółce Krakowskiej, opisanie województwa Krakowskiego przez Ł. G., w Kalendarzyku politycznym na rok 1824; i Ner 4-ty Dziennika podróży.

wnych zjawisk nie widzi? Skał, w tém silniejsze działanie, że raz upatrzone podobieństwo już się nie zmienia, jak to z obłokami się dzieje; różne téż upatrywałyśmy kształty i postacie: między innymi, jest nad samą jaskinią zupełna olbrzymia ręka, dłonią do przechodnia obrócona; wszystkie palce są w miejscu swoim i do miary, mały tylko trochę oddalony. Ta ręka niezmiernie zrobiła na umyśle moim wrażenie; stała mi przed oczyma w czasie powrotu do Koszkwii, i jak sobie teraz przypominam, i w snach moich grała jakąś rolę. Te sny teraz, kiedym już prawdę od nich odłączyła, wyraźniej w umyśle moim się kreślą; istotnie, że mi się śniło coś o początkach doliny i rzeki Prądnika: muszę wolnym czasem te marzenia zebrać i ułożyć, a jeśli zechcesz, przyniosę ci kiedy w darze powieść z nich bajeczną.

Dnia 23 Maja 1827 roku, w Krakowie.

Już więc jestem w Krakowie; stanęliśmy tu przed chwilą na rogu Wiślniej i Ś. Anny ulicy, w domu Koszkiewskiej pani, która z gościnnością Polki i z sercem matki puścić nas od siebie nie chciała; już więc jestem w Krakowie: ledwie sama dowierzam temu, jestem więc w tém mieście starożytném, w téj stolicy i w tym grobie królów naszych; w tém gnieździe tylu wielkich i uczonych ludzi; w tych murach, które świadkami były tak wielu zwycięstw, tryumfów i sławy? A powinnabym uwierzyć że jestem w Krakowie po uczuciu jakiego doznaję... te ulice tak nieładne, ten rynek taki ogromny a cichy, owa wieża samotna; pomnik dawnego ratusza, te Sukiennice wielkie ale posępne, te budy niepozorne, sam ten dom naprzeciwko moich okien, niegdyś wspaniałe Jana Zamoyskiego mieszkanie, dziś tak świeży i elegancki! wszystko to inne, wszystko to mi przykre. Z daleka nierównie wspanialszym i weselszym się wydawał; przy-

rodzenie zawsze jednakowe; zachował więc Kraków, jeśli nie świetność i wielkość stolicy, to przynajmniej szczęśliwe i nadobne położenie swoje...

Nie myślę wchodzić nigdy w spory i badania, kto i kiedy go zakładał? czy imię ma od Krakusa, czy od kraków nad ciałem nieżyjącem krakania? czy powstał w wieku siódmym czy dawniej? ale jakibądź był założyciel jego, i kiedybądź żył, przyznam mu chętnie, wraz ze wszystkiemi, że odpowiednią dla wielkiego miasta obrał posadę. Kraków jest rozłożony na obszernej dolinie, którą upiększają: Wisła, urodzajne niwy, gęste wioski i drzewa, a od południa opasany łańcuchem wzgórków ułożonych w obłąk, Lasotki czyli Krzenionki zwanych, a za niemi, jakby starsze przyrodzenia córy, nierównie wyżej niebotyczne Karpaty się wznoszą. Nasza Warszawa piękną jest, od Pragi tylko ją widząc, a Kraków z każdej strony dobrze się wydaje; ale wjechawszy nierównie mniejszy i uboższy, a zwłaszcza smutny i jakby umarły... Takie przynajmniej jest pierwsze wrażenie, jakie na mnie uczynił.

Tegoż samego dnia, w wieczór.

Trudno uwierzyć, jak w parę godzin umysł człowieka zupełnie odmienić się może; kiedy zajęta byłam smutnym przeszłości wspomnieniem, gościnność mieszkańców Krakowa, tak słusznie chwalona i tak uprzejma, wciągnęła nas w miłe i świetne wieczorne zgromadzenie; i mnie, zatopioną w myślach o dzielnych Jagiellach, poważnych Zygmuntach, przedstawiło się nagle towarzystwo dobrane, zabawy przyjemne, któreby w salonach Paryża miejsce mieć mogły; uleciało odrazu smutne wrażenie, zapomniałam że jestem w dzisiejszym Krakowie; bo nietylko dzieci, ale i dorosłych umysł podobny do zwierciadła: gotów on co chwila inne odbijać przedmioty.



Dnia 24 Maja, we Czwartek.

Dziwne jest i zmienne działanie imaginacyi ludzkiej: wczoraj umysł mój zachmurzył się widokiem Krakowa, potem rozweselił nagle, gdy zajęta jedynie przyjemnością towarzystwa zapomniałam gdzie jestem; dziś czuję zupełnie w jakim miejscu goszczę, a przecież miło mi i błogo. Podobno pierwszy téj zmiany początek winnam, anibyś zgadła czemu, Anielko? winnam *dzwonowi Zygmunta*. Dziś obchód święta w Niebowstąpienia Zbawiciela; ten dzwon największy w całej Polsce, dar dla Katedry od Zygmunta Igo, uderzanym tylko bywa w dni wielkich uroczystości; obudził mnie dźwięk jego nadzwyczajnie donośny i miły, który jak poważna harmonia po całym Krakowie się rozlega. Słuchałam z uszanowaniem tego uroczystego dawnych wieków odgłosu; myślałam sobie, że i późne pokolenia tak go słuchać będą... i spoiło się miłe w moim umyśle wspomnienie z nadzieją...

Sposób spędzenia dnia całego, osoby i przedmioty widziane, dopełniły słodkiego wrażenia. Najprzód byłam w najpiękniejszym i w największym kościele, jaki mi się kiedykolwiek widzieć zdarzyło, w kościele Panny Maryi, w rynku. Gotycka jego budowa, u nas wcale niepospolita, uderza i przyjemnie wpada w oko; jest kształt nadobny i pewna śmiałość w tych dwóch wysokich wieżach, które mi przypomniały poniekąd widziane meczetów i minaretów rysunki. Gruntowność i trwałość gmachu całego mile zaspokaja; mojem zdaniem, jak jest przyjemnie człowieka znakomitego w kwitnącém oglądać zdrowiu, tak i gmach pożyteczny i piękny miło w pomyślnym widzieć stanie; lubiny na jutro mieć zabezpieczoném to, co dzisiaj raduje; słodko nam pomyśleć sobie, że jak my teraz, tak po nas drudzy używać téj przyjemności będą. Tę pożądaną pewność wzbudza widok kościoła Panny Maryi, tak jest trwale i starownie zbudowany, i w tak

dobrym stanie, że ręczyłoby można, iż późne prawniki tych, którzy dziś są dziećmi jeszcze, dziwić się nad nim będą.

Udawszy się dziś do tego kościoła, dla nabożeństwa, nie dla zaspokojenia ciekawości, weszłam ubocznymi drzwiami; widziałam tylko że obszerny, wspaniały, starożytny i piękny; ale zajęta modlitwą szczegółom jego nie przypatrywałam się wcale, odkładając to na dzień inny. Trudno jednak było nie spojrzeć czasem na osoby zgromadzone; strój wyższej klasy przedstawił mi Warszawę, bo wyższa klasa wszędzie niemal ta sama, ale w ubiorze niższej znaczną widziałam odmianę: zajęły mnie owe mieszczeńskie tutejszych ogromne czepce złote, i te staroświeckie jubki z tęgiej materii, może już nie nowe za tryumfalnego wjazdu króla Jana; obok tych ciężkich ubiorów, dźwiganych z powagą przez sędziwe matrony, wydawały się dobrze młode, w haftowanej koszuli, z wieńcem na głowie, koralami na szyi i świetnym stanikiem dziewczęta; przedziwnie wyglądał dziarski parobek krakowski, z kółkami u pasa, z podkówkami u butów, i z tą postawą ochoczą zawsze do kieliszka i do hołubca gotową. Nie wiem czy mi się tak zdało, czy też tak było w istocie, gdyż często od wewnętrznego usposobienia zależy barwa otaczających nas przedmiotów, ale nabożeństwo z niezwykłą odprawiane było uroczystością i powagą.

Piękne są obrzędy wiary naszej, lecz wymagają w sprawiających je wielkiej bacności i zupełnego przejęcia się ich ważnością. Szanowny pasterz dyecezyi krakowskiej, godny Kadłubków, Odrowążów, Oleśnickich, Maciejowskich, Tomickich następca, wezwał nas do siebie na obiad; prócz słodczy, jakiej doznaję zawsze, widząc z bliska sławnego z uczuć i z pism Polaka, męża, który tak uświetnił imię swoje, że już bez tytułów i godności powtarzać je wolno \*),

---

\*) Zaszczyt ludziom czyni ten zwyczaj, iż do nazwisk wstawionych z trudnością dodawać tytuły przychodzi. Któż z nas nie mówi po prostu:

miałam jeszcze tę przyjemność, żem oglądała z uwagą *pałac Biskupów krakowskich*, trzymający słusznie znakomite miejsce między zajmującemi tego miasta pomnikami. Jest on bardzo obszerny; czoło jego stoi przy Franciszkańskiej ulicy, a tyły na Wiślną wychodzą; niewiadomy założyciel, (może Prochor, Włoch, pierwszy biskup krakowski, za Mieczysława,) to jednak pewna, że uległ wielu odmianom, przetrwał nie mało smutnych kolei, i nieraz już był z gruzów dobyty i stawiany jakby na nowo.

W r. 1647, Piotr Gębicki biskup krakowski, po którym wiele podobnych pamiątek zostało, nadał mu okazalszą postać; w tój trwał blisko półtora wieku; ale w czasie zaburzeń krajowych prawie opuszczony, potrzebował w r. 1798 zupełnego podniesienia, którym ówczasowy biskup Turski się zajął; lecz jego praca wnet znikła: obrócony na szpital wojskowy, niszczał prawie zupełnie, kiedy Woronicz, zasiadłszy w r. 1816 na tój katedrze, tak dla niego stósownej, wydobył go z tego smutnego stanu, podniósł i ozdobił jak go dzisiaj widzimy. Naczelną część pałacu (bo trzy poboczne nie mogły być tylko od dalszego zniszczenia zabezpieczone) jest prawdziwie narodowém ustroniem, gdzie w licznych małowidłach i dowcipnych wynalazkach zbiór chronologiczny dziejów polskich, stan obecny miasta Krakowa i wiele ojczystych pamiątek widzieć można. Tam niedosyć godziny, dłuższy czas poświęcićby należało, na przypatrzenie się dokładne temu mnóstwu pomników, na ocenienie tylu pomysłów; a jeszcze każdy z łatwością dostrzedz może, iż więcej nierównie było myśli w bogatej wyobraźni, która treść tych obrazów pędzłowi podawała, niżli w tych murach zmie-

---

Woronicz, Niemcewicz, Śniadeccy, i t. p. Jest to jakby mimowolne świadectwo, że więcej wartość osobistą od pożyczanej cenimy, i w miarę, jak sława rośnie, ujmujemy tytułów.

ścić się mogło; bo w tém wszystkiém co tu widać, przebija, obok serca Polaka, nie znający granic gieniusz poety twórcy *Sybilli*. Tu miejsca próżnego nie ma, najnniejsze użyte zostało.

Zaraz w dwóch wstępnych pokojach są widoki okolic Krakowa; z upodobaniem na Ojców, Pieskową skałę patrzyłam, z większém niżli na Tyniec, Czarne i Bielany, których nie znam jeszcze; niezawodną jest, lubo dosyć szczególną prawdą, że miłsze nam są obrazy, wspomnienia miejsc dobrze znanych, niżli obcych zupełnie; chociażby tu ciekawość górę brać powinna nad pamięcią: czyby to uczucie skutkiem było miłości własnej, która woli raczej napotkać to, co już wie, niżli dowiedzieć się czego nowego? czyli téż owocem jest jakiejś tkliwości? bo jednak każdemu im więcej znany przedmiot, tém miłszy obraz jego. Wchodzi się z tych pokojów do sali *krakowską* zwanęj. Na suficie jest postać Minerwy trzymającęj w jednęj ręce herb Krakowa, trzy wieże a w otwartęj bramie środkowęj orzeł biały z rozszerzonymi skrzydłami, w drugięj księgę ustawy nadanęj mu przymierzém wiedeńskiem w r. 1815. Gzyms pod sufitem wkoło idący, przedstawia wizerunki osób, które skład polityczny nowego rządu zaczęły; nadto szereg członków kapituły i akademii krakowskiej, artystów tego miasta, naczelników handlu i kupiectwa, nareszcie założycieli Towarzystwa dobroczynności. Na ścianach zaś jest dwanaście obrazów różnęj, ale zawsze narodowęj treści: *turg zbożowy* na Kleparzu, przedmieściu najhandlowniejszém Krakowa; *wiślany sptaw* na Kazimierzu, drugięj połowie miasta, żydowską zwanęj; *kopalnie węgla* w Jaworznie, tak ważne dla Krakowa, który, mało lasów posiadając wkoło, węglem ziemnym opala się i ogrzewa; *ruda żelaza* na Siewierzu; *kopalnie marmuru* w Dembniku; *olkuskie* dziś wodą zalane; *Wieliczka*, owo miasto podziemne z soli; *kopalnie siarki* w Sworszowicach, i *miedzianęj góry* niedawno przezemnie



z wierzchu widziane; nareszcie trzy pomniki dawnych zwyczajów, z których jeden, *obchód strzelców krakowskich*, już ustał od r. 1787, dwa inne, z roku na rok się odnawiając jak liście na drzewach, nabyły jakiegoś rodzaju wiecznej trwałości; temi są całej Słowiańszczyźnie wspólne *Sobótki i Konik zwierzyński*, o którego opis dokładny postarać się muszę.

Z tej sali przeszedłszy pokój błękitny, posiedzeniom towarzyskim przeznaczony, okazuje się druga sala pod imieniem *trzech monarchów* opiekunów dzisiejszej Rzeczypospolitej krakowskiej; obrazy, godła i napisy stósowne ją zdobią; z jej okien, równie jak i z poprzednich, widok jest piękny na zamek królewski i dawną katedrę, a ten widok jest sam wymownym obrazem... Przyległy pokój, który niemal *całe dzieje Polski* obejmuje, jest przecięty kolumnadą na dwie części: na głównej belce wiążącej kolumny jest wyobrażenie Assarmota, urojonego moze, ale przecież zajmującego narodów sarmackich patryarchy, który niemal wznosząc się na obłokach, rozmnożonym pokoleniom swoim szerokie na Północy kraje w podziale przeznacza. Widok jego przywiódł mojej pamięci owo sławne w duchu wieszczym *błogostawieństwo*, którego wiersz każdy od lat już wielu utkwiał głęboko w moim umyśle. Towarzyszyły mi ciągle te piękne wiersze w oględzinach tego pokoju; kiedy obejrzawszy na kolumnach nakreśloną epokę dziejów naszych, *bajeczną* zwaną, od czasów Assarmota do Mieczysława, spojrzałam na poczet królów Polski, kiedy zatrzymałam wzrok na Chrobrym, a w ścianach widziałam Kazimierza stanowiącego zbiór uchwał w Wiślicy, albo ukończenie pod Chocimem srogiego z Turkami zapasu, niezliczone inne pamiątki wielkości naszej i sławy; z końca zeszłego wieku, z początków teraźniejszego obrazy, powtarzałam sobie strofy Assarmota. Szkoda że ich tu wypisać nie mogę... ale znane są powszechnie.

Jest jeszcze sala *warszawską* zwana, gdzie wystawione widoki piękniejszych jój okolic; bardzo pilnie im się przyglądałam, wzór tak dobrze znając; z niej przechodzi się do pokoju szanownego gospodarza: pracy, zatrudnieniom urzędu jego i spoczynkowi jest przeznaczony. Obok łóżka umieszczony jest wielkiej rzadkości obraz Świętej Rodziny, przed którym królowa Jadwiga zwykle się modliła. Pięknego jest wcale jak na ów wiek pędzla; malarz niewiadomy, ale świętokradzka ręka dodała później wyobrażenie klęczącej królowej, i tym dodatkiem bardzo się obraz zespecikł. Smuci mnie, kiedy widzę czasy późniejsze psujące dzieła i prace dawniejszych, zamiast je doskonalić; nieraz jednak widok takowy oczom się przedstawia, i ludzie dosyć podobni do owego pielgrzyma, który przez dziwne nabożeństwo tak ślubował iść do Rzymu, że ciągle robił trzy kroki naprzód a dwa wstecz; nie ma potrzeby mówić jak nudną i długą była ta podróż; ale czyż każdy z nas podobnemu nie ulega błędowi? jakże często dzisiejsze postępowanie gasi wczorajsze zasługi, a cnoty i naukę dziś z pracą zbierane, gotowiśmy jutro zmarnować. Ale wróćmy do opisu.

Całe to przerobienie naczelnój części pałacu biskupów krakowskich, te liczne malowania, których i połowy nie wymieniałam \*), w zakresie czternastu niespełna miesięcy zostały wykonane; trzeba była na to, aby obfita wyobraźnia poety zesła się z pracowitym pędzlem malarza, ażeby i jeden i drugi serce i umysł rzeczami ojczystymi mieli przepełnione. Malarzem był Stachowicz Michał, o którym wiele mi powiadano. Rodem z Krakowa, tu wychowany i wyuczony, niezmiernie rzadką w Polaku odznaczył się cechą;

---

\*) Ktoby chciał dokładniejszego wyobrażenia tego pałacu, niech przeczyta jego opis w wspomnionem już dziele Ambrożego Grabowskiego, str. 145.

czego nam nikt dotąd nie zarzucił, to jemu zarzucić wypada: jak gdyby angielska krew w jego żyłach płynęła, tak pogardzał wszystkiém co obce; nie chciał nigdy jechać za granicę, żeby tam nabyć doskonałości w swój sztuce, wyłącznie przywiązany do rodzinnego miasta, ledwie w ostatnich latach życia dał się namówić do odwiedzenia Warszawy. Nie mając serca potępiać w nim tego przywiązania, acz przesadzonego, do ojczyściej ziemi; pragnąc z duszy, aby to, co w nim za daleko było posunięte, inni choć w części przyjęli, wraz z znawcami ubolewam nad tém uprzedzeniem. Stachowicz miał znaczny talent i pracowitość niepojętą; Kraków pełen jest płodów jego pędzla, niektóre prawdziwą mu czynią zaletę: przy dobrych mistrzach i doskonałych wzorach, byłby mógł stanąć w równi z pierwszymi malarzami Europy. Jakkolwiekbądź, żal mi, że już nie żyje, byłabym ciekawa poznać człowieka z takim sposobem myślenia, choćby dla tego, że trudno spotkać podobnego; postaram się przynajmniej o życia jego i prac wiadomość, i ozdobię nią kiedy moje pisma.

Po obiedzie przyszła myśl jechania do Łobzowa; ucieszyłam się mocno: tyle wspomnień z tém miejscem się łączy; tyłu widział królów! Założony przez Kazimierza W. ulubioném był jego mieszkaniem; tam bliżej był chłopków swoich, tam oni wolniejszy jeszcze, niżli do zamku mieli przystęp, tam poznawał zbliżka lud swój i jego potrzeby. Ale niestety! przeznaczenie miejsca tego nie było przykładowe; nie dla siebie on bowiem, ani téż dla żony wznieść kazał ten pyszny pałac: założył ogród bogaty w kanały czystej wody, kąpiele, rzadkie drzewa, rośliny, zwierzęta, i jakby nowy Eden utworzyć pragnął. Wielcy ludzie ludźmi są przecież, i zwyczajnie na świetne ich cnoty cień nieprzyjazny błędy i wady rzucają; może dla ochronienia ich samych od zbytcej dumy, może dla okazania jak słabą istotą jest człowiek. I Kazimierz więc miał słabości swoje:

Ten, który zamków tysiące zostawił,  
 Gdy chlebem głodnych obdarzał;  
 Ten, co gmin prosty z jarzma wybawił  
 I z bydła ludzi postwarzał.

Ten to, co prawa gdy swoje nadał,  
 Gwałty możniejszych uśmierzył;  
 Co chociaż w długim pokoju władał,  
 Granice państwa rozszerzył.

Z Krzyżaki pokój co zawarł z chwałą,  
 Co zbił Jadźwingi, Litwiny;  
 Co Ruś do Polski przyłączył całą,  
 Jeńcem był pięknej dziewczyny.

I gdyby tylko jednej, lecz z kolei różne w tém sercu niestałém gościły. Jednak zdaniem wszystkich, najdłużej zajmowała Kazimierza piękna Esterka z Opoczna. Była to żydówka; ale któż temu winien jakim się urodzi: podanie przecież niesie, iż błędy swoje i zapomnienie cnót niewieścich wynagradzała choć w części dobrocią, pokorą, litością. Wiele dobrodziejstw Kazimierza przez jęj ręce przeszło, do wielu powodem się stała; na ród swój pamiętna (choć my za tę pamięć nie bardzo jęj wdzięczni być możemy), wiele mu wyrobiła przywilejów, i za jęj przyczyną nie jedna izraelska rodzina do znacznych przysła bogactw. Wychwalaną téż była od braci swoich, równana z ową sławną Esterą, której niegdyś synowie Izraela wybawienie swe winni byli; opiewana od uczonych rabinów i wierszem i prozą. Dla nięjto wzniosł się Łózbów, a przynajmniej ozdobił; bo według Bielskiego, powstał właściwie dla Rokiczany, Czeszki niepospolitęj cudności: tam Esterka lat kilka spędziła, tam, gdy umarła, król mogiłę usypać jęj kazał\*).

---

\*) Niektórzy utrzymują, że opuszczona od Kazimierza Esterka w nędzy życie skończyła, a nawet, że pogardziwszy nią krewni, z okna



W Łobzowie, a przynajmniej w poblizkich pałacu domostwach, ukrywał się rozkochany Wilhelm, w czasie zaślubin Jadwigi i koronacyi Jagiełły; tam i Zygmunt August mieszkać lubił z nadobną Barbarą; Stefan Batory tyle w tém miejscu miał upodobania, że zupełnie pałac podniósł; zawczesną porwany śmiercią, dokończenie tego dzieła Zygmuntovi III zostawił: ten je dokonał, i tak jak gdyby sławę założyciela chciał zatrzyć, a swoją ugruntować, wszędzie aż do przesycenia herb swój (niefortunne snopki), zamiast zwyciężkich orłów umieścić kazał. Następcy również w wdziękach tego ustronia smakując, Łobzowski pałac utrzymywali starannie; w jego murach Jan III, chcąc iść na odsiecz Wiedniowi, czekał na gromadzące się wojska. Tyle wspomnień przywiązanych do Łobzowa, zwiedzenie jego czynią Polce przyjemném; jechałam więc pełna radości i myśli, a nade wszystko Kazimierzem Wielkim zajęta.

W tę stronę jadąc bardzo blizkie są rogatki, a za niemi zaraz wieś, *Czarną* zwana; jest ona jedną ze czterech \*), które nazwisko ogrodów krakowskich noszą. Tak urodzajnego i uprawionego gruntu jeszcze mi się widzieć nie zdarzyło, ani też obrazu tak pomyślnego uwieńczenia pracy. Było to już nad wieczorem, jutro targ jak zwykle w Piątek: wszystko więc, co tylko żyje w tej wiosce: mężczyźni, kobiety, dzieci, a wszyscy dorodni i porządnie ubrani, zajęci byli przygotowaniem towaru: jedni oblegli wysokie i obszerne zagony, i wrywali z tej czarnej i tłustej ziemi nadzwyczajnej wielkości jarzyny i warzywa; drudzy napełniali kosze ogromne i nosili je nad brzeg Rudawy, która tu kilkoma

---

w nocy ją zepchnąwszy, w Kazimierzu nad Wisłą o śmierć ją przypawili. Byłaby to słuszna jój płochości kara, ale nie jest dowiedziona.

\*) Te cztery wioski są nazwane: Czarna wieś, Łobzów, Nowa wieś i Krowodrza.

kanalami płynie; już tam siedziały schylone niewiasty i plu-  
kały te dary wiosny w nurtach rzeki; ożywiały jeszcze  
wszystko gromady dzieci, które nie nie robiąc najczynniej-  
sze były, bo nieustannie biegały z ogrodów do wody, z wo-  
dy do ogrodów. Cieszył mnie ten widok, wyznaję gminność  
moję; zagon ziemi dobrze uprawny, czerstwe i wesołe chło-  
pki zbierające pomyślnie owoc ciężkiej pracy, jeszcze mi  
więcej sprawiają przyjemności od pięknego obrazu lub posą-  
gu: tu widzę wysilenie sztuki, tam dobroczynność przyro-  
dzenia; tamto przyjemność, to zaspokojenie we mnie rodzi.  
Może też ten widok i dla tego mi był miłym, że zgadzał  
się z myślami mojemu; w tej obfitości i w tym pomyślnym  
bycie kniotków, zdało mi się postrzegać ślady stopy Kazi-  
mierza; wystawiałam sobie, że może tu nieraz błogi cień je-  
go się błąka, a chociaż to jeszcze nie był Łobzów, w ka-  
żdym wieśniaku chciałam upatrzeć potomka poczciwego Bró-  
zdy, za owych czasów wójta tej wioski.

W takich marzeniach stanęłam na miejscu, i nie ma-  
ło byłam wzruszona rzetelnym widokiem, który mi się przed-  
stawił. Prawda, że pałac Łobzowski w jak najlepszym jest  
stanie, z gruntu odbudowany; prawda, że podobno nie było  
innego sposobu zachowania go od zniszczenia, ale przecież  
spada wyobraźnia jakby z obłoków zastając w tém ustroniu  
Kazimierza i tyłu królów kawiarnię; czytając w miejscu,  
gdzie może leżał statut Wiślicki, cenę portera i ponczu...  
O! niezmierna jest różnica między wzrokiem oczu i wyobraźni;  
wiedziałam ja dobrze, iż w Łobzowie nie zastanę ani króla  
Kazimierza, ani Rokiczany i Esterki; mówiono mi nawet  
pierwój, że tém jest teraz dla Krakowian, czém dla nas Wiej-  
ska Kawa; przecież wszedłszy tam, umysł mój zupełny miał  
zawód. W zgasłej nawet, a drogiej nam piękności, jeszcze-  
byśmy ślady wdzięków spotykać chcieli... W Łobzowie nie  
prawie tych pierworodnych wdzięków nie przypomina; ogród  
jest tegoczesny, lipy, choć dosyć piękne, nie bardzo stare,

jak mówią za któregoś z Augustów sadzone. Ślady łązni, i duży kopiec trawą porosły, *mogiłą Esterki* zwany, jedynie dawne przeznaczenie miejsca tego przypomina; utrzymują przecież niektórzy, że i ta mogiła niesłusznie przywłaszczone nosi nazwisko, że ciało pięknej żydówki nie spoczywało tam nigdy; gdyż kiedy król Poniatowski, zwiedzając Kraków i pomniki jego w 1787 r., kazał szukać w tym kopcu jakich pamiątek, nie znaleziono najmniejszego śladu. Czyżby nie mogło się zdarzyć, iż trumna, zapewne z kruszcu będąca, z czasem spuściła się głębiej niżli rozumiano? Bo ja wyznać tu muszę, nie jestem i być nie chcę z liczby niedowiarków historycznych; podania ludu nietylko mnie zajmują, ale i wiarę wzbudzają, i może to źle: ale tyle mam w nich upodobania, żebym nawet nie rada być przekonaną, iż mogiły Esterki, Krakusa i Wandy nie są ich mogiłami. Dlaczego ujmować wspomnień, kiedy one są naszym najmilszym żywiołem?

Chociaż dziennik mój dzisiejszy już dosyć długi, przecież wspomnieć ci muszę Anielko, o jednej rodzinie Łobzowskićj, tém bardziej, że szczegóły o niej mam od ukochanej tobie osoby. Kiedy piękna Rokiczana panowała nad sercem Kazimierza, a jak mówią niektórzy, nawet tajemnym związkiem małżeńskim złączoną z nim była, miało jój się wydawać czasem, że nad światem całym panuje i wszystko ulegać jój winno: kobieta łatwo przyjmuje uludzenia.... Z okien komnaty swojej śliczny miała widok na ogród Łobzowa i na Kraków; jedna tylko nędzna lepianka na zawadzie jój stała: im więcej posiadamy, tém mocniej małą przykrość czujemy. Razu więc jednego, kiedy król był daleko, Czeszka wydaje rozkaz, ażeby chatę zburzono; należała ona do Szymona Zbroi, ubogiego zagrodnika, a niegdyś za króla Łokietka odważnego żołnierza: nie mógł się oprzec dworskićj czeladzi, uległ przemocy i został bez dachu i chleba. W niedoli swojćj tak smutnie nucił:

Na wojnie tylem lat bywał,  
 Czemużem na nięj nie zginął?  
 Czemuż mnie oręż pominął?  
 Jużbym dziś w ziemi spoczywał.

Wygnaniec dziś z mego domu,  
 Co mi po ojcu się dostał:  
 Czemużem w polu nie został,  
 Czemuż dożył tego sromu?

Wygnany pójdę sierota,  
 Obrońca niegdyś narodu,  
 Umierać z żalu i głodu,  
 Jak biedny ńędzarz u płota \*).

Ale nie tak się stało: skoro król powrócił, Bródza wiedząc dobrze, iż nikomu za panowania Kazimierza ciemnić kmiotków nie wolno, stawił przed nim skrzywdzonego i oskarżył Rokiczaną; Kazimierz zrazu wierzyć nie chciał, lecz gdy się o rzetelności skargi przekonał, o dawniej żołnierza służbie dowiedział, natychmiast krzywdę nagrodził. Zbroja sownie obdarzony, w miejscu ńędznej chatki i pary zagonów, wnet się ujrzał panem domu porządnego i kilku prętów ziemi; z ubogiego zagrodnika gospodarzem został zamożnym; majątek jego wraz z imieniem przetrwał lata i zaburzenia ojczyzny: znikły Piasty, wygasł ród Jagiełłów, i Wazów niestało, a potomstwo Zbroi trwa dotąd i składa jednę z najznakomitszych rodzin Łobzowa.

Dzisiejszy Zbroja, starzec już sędziwy, pamięta dobrze, iż z królem naddziad jego przestawał; kiedy w r. 1816, w Sukiennicach krakowskich był świetny bal z powodu ogłoszenia Rzeczypospolitęj, on w sutęj kierezyi i w nowęj cza-

---

\*) Ta piosnka wyjęta ze zbioru pod tytułem: „Pieśni narodowe i Sielanki,\*\* przez Stanisława Bratkowskiego; w tym roku wyszło z druku to przyjemne dziełko (1827).



pece czerwonej, przystąpił do małżonki szanownego prezesa senatu, i polski taniec z nią otworzył. Choć majętny, ma przecież ten rozum, że się nie wstydy stanu rolniczego i chłopka przydomku, owszem chlubę w nich znajduje; niedawno ktoś go namawiał, ażeby synowi, który do szkół chodził i uczył się dobrze, pozwolił odstąpić pług: „Co? zawołał, ja miałbym patrzeć na to, jak syn mój ze stanu swego wyjdzie, i zaprze się dawnego Zbrojów imienia? chłopem ci on jest wprawdzie, ale odwiecznym i szanowanym; gdyby frak przywdział, rolę opuścił, a nawet i szlachcicem został, byłby dzisiejszym, pośmiewiska godnym.“ Syn równie bacny jak ojciec, chętnie za tém zdaniem idzie; trudni się na przemiany rolę i furmanką, a nie szukając żony w wyższych stanach, pojął niedawno dziewczkę z Łobzowa. Czy cię nie cieszy jak mnie, Anielko, kiedy widzisz ludzi zaspokojonych stanem swoim, nie sięgających wysokich stopni. Dążyć coraz wyżej w doskonałości moralnej i umysłowej, a losu dary chować jak nam się dostały, to według mnie cała szczęścia tajemnica.

Dnia 25 Maja, w Piątek.

Dziś tylko ogół, czyli zwierzchnią postać Krakowa poznałam; obeszlęśmy rynek i znaczniejsze ulice, zwabił nas téż i Kazimierz zamieszkały przez żydów; prawda, że wszystkie towary bardzo u nich tanie, ale oni jeszcze nieznowniejsi od naszych: byliśmy także w kilkunastu domach miłych i uprzejmych miasta tego mieszkańców. W istocie tu wraz z innemi pamiątkami dawniej Polski i gościnność się przechowała; kto by śmiał mówić, że już niestało Polakom téj cnoty, którą słyngli niegdyś, niech tu przyjedzie, a wnet przekona się inaczej. Jabym Kraków jój świątynią nazwała, bo tu ona niezawodnie prawdziwa, tak naturalną

i przyjemną się okazuje; widać, że z serca pochodzi, bo prosto do serca trafia: zdaje się przyjeżdżającemu, iż wszystkie osoby, które tu widzi, już znał dawniej, że je odzyskuje napowrót i jest wśród krewnych i przyjaciół. Ani się dziwię, że wiele osób z upodobania Kraków na mieszkanie obiera, z iluż względów tu dobrzel... Lecz zapominam, żem dziś miała zewnętrzny tylko dać opis tego miasta.

Już to przyznać należy Warszawie, że daleko piękniejsza, większa, ludniejsza; ale Kraków bardziej ma starożytną postać, i tak w okazałości budowli, jako w rozporządzeniu wystawienia okazuje, że był zakładany według planu i przeznaczony na stolicę królów. W Warszawie najmniej powabne jest Stare Miasto; rynek mały, uliczki wąskie, pałacu żadnego. Katedra jak najstaranniej ukryta, sam zamek królewski jedynie ze strony Wisły, i to po terażniejszym ozdobieniu wspaniały. Tu zaś przeciwnie, Stare miasto najpiękniejsze i całe właściwie stanowi; gdyż zresztą same tylko są przedmieścia. Środek zajmuje rynek, który co do obszerności i regularności, nie tylko Warszawie, ale jak mówią, wielu miastom zagranicznym pierwszeństwo odbiera. Jest zupełnie czworoboczny, kilka gmachów w sobie mieści, a jednak do 20,000 ludzi objąć może; boki jego czyli połacie składają się z bardzo porządných domów, wszystkie murywane, wysokie, przynajmniej na trzy piętra, a niektóre obszerne, piękne i sławne: takim jest szczególnie dom narożny od ulicy Św. Anny, niegdyś Jana Zamoyskiego, pod baranami zwany (na którym z żalem już nie zastałam baranów); takiemi są jeszcze pałac Spiski i Krysztofory cnotliwego Tarnowskiego, teraz złączone; takim nareszcie dom Wierzynka, owego mieszczanina i szlachcica, dziś dom Dembińskich, i od nich do porządku przyprowadzony. W środku zaś jest gmach sławny, Sukiennicami zwany, jest dosyć szczególny, gotyckiej budowy, wąski a długi; pod ciągłym i gruntownym sklepieniem jest ogromny korytarz, czyli sala,

180 łokci długa, 18 szeroka, 7,000 osób pomieścić mogąca; po obudwóch bokach są sklepy, i kiedy ten gmach był całkowicie zajęty i utrzymany porządnie, można go było prawdziwie nazwać handlu przybytkiem. Wystawić sobie tylko te sklepy towarami napełnione, wielkimi rozjaśnione oknami, w środku różnego narodu sprzedających i kupujących, a widok byłby wspaniały: jeszcze piękniejsze, choć nie tyle użyteczne wejrzenie przedstawia, kiedy dla obchodu jakiej szczególnej uroczystości, miasto salę tę rześisto oświeca i gustownie ubiera.

Wybudowanie gmachu tego, lubo przez niektórych Bolesławowi Wstydliwemu przypisywane, daleko powszechniej Kazimierzowi Wielkiemu przyznają, i mnie to zdanie więcej przekonywa. Tamten długo wprawdzie panował, lecz burzliwe za niego były chwile; kłótnie w czasie małoletności z powodu opieki, srogie Tatarów spustoszenia kraj wpełniały; Rusi, Litwinów, Jadźwingów napady ziemię polską niszczyły, i dopiero ku końcowi, obcy przychodnie zaludniać Kraków poczęły, krzewiąc zwolna przemysł i handel. W tych więc czasach tak ogromna budowa, tak wielki zakład byłby nad siły i nad potrzebę; gdy za Kazimierza, po starośmę Łokietka zagospodarowaniu, w błogięj ciszy, do świetniejszego bytu wszystko wielkimi dążyło krokami, i panowaniu jego łatwo przypisać wszystkie dawne i użyteczne ziemie naszej zabytki. Już cztery i pół wieku od zgonu tego króla minęło, a jeszcze zawiść i czas nie pożyły wszystkich dobrodziejstw jego. O! słodka i zachęcająca myśli! nietylko dla siebie ale i dla drugich nie umieramy zupełnie! kto tyle szczęśliwy, iż braciom co dobrego uczynić potrafił, żyje w najpóźniejsze pokolenia, żyje w najlepszej części istnienia swojego, w tém co dla kraju uczynił; czynić dobrze braciom jest więc nieśmiertelność zyskiwać: zyskuje ją tym sposobem duch nasz w lepszej krainie, zyskują czyny na

ziemi. Nazwisko Sukiennic nadaném zostało temu gmachowi od przędzy na sukna, której bywał składem.

Za Sukiennicami, w bok ich czoła, ogromny kawał rynku zalega, wspomniany już kościół Panny Maryi; opodal stoi mały kościółek Św. Wojciecha, topolami obsadzony, a przed siedmią laty wznosił się jeszcze ratusz okazały wielu wspomnieniami pamiętny; ale oddawna pustkami stojąc, zaczął iść w zupełną rozsypkę, i w r. 1820 rozebrany został. Wieża tylko, pięknej budowy i prawie równiej jak wieże Panny Maryi wysokości, ocalała, stoi teraz opuszczona i samotna, przykre i zatrważające czyniąc wrażenie; za nią z jednego boku zamożnych Sukiennic, i po części do nich przyczepione, uderza mnóstwo niekształtnych bud kramarzy i przekupniów, które bardzo rynek szpecą; ktoś dowcipny dziś właśnie to trafne o téj części rynku krakowskiego zrobił przystosowanie: „Wystawia ona, powiedział, obraz rzetelny Polski w ostatnich wiekach; król stał sam bez podpory, bez związku z narodem, jak wieża ratusza; zamożnej szlachty, której zawsze było dobrze i szeroko, obrazem Sukiennice; a drobna, wraz z pracującym gminem, te budy niekształtne, ubogie, wzgardzone.“ Gdyby możność rządu Rzeczypospolitej krakowskiej, z jego chęciami się równała, wnetbyśmy widzieli wieżę ratusza zjednoczoną z Sukiennicami przez trwałą i stosowną budowę, któraby na ten sam użytek jak teraz budy służyła; wtedy i dla oka, i dla dobrze myślących (jeżeli przystosowanie dalej ciągnąć zechcemy) wieleby rynek zyskał; już nawet w téj mierze podane były myśli przez znawców: może doczekamy się ich wypełnienia.

Obchodząc rynek, myślałam o uroczystościach, o wielkich wypadkach, których był świadkiem: tu królowie nasi, zasiadłszy na wyniesionym tronie, hołd od lennych książąt, przysięgę na wierność od większych miast państwa odbie-



rali; tu 12 Czerwca 1583 r., odprawiły się gonitwy i uczyły wesela Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną... Tu, gdzie kto spojrzy, gdzie stąpi, wszędzie wspomnienia, pamiątki. Z rynku jedenaście ulic na przedmieścia prowadzi, te są: Floryańska, Ś. Jana, Sławkowska, Szczepańska czyli Teatralna, Świecka, Ś. Anny, Wiślna, Bracka, Grodzka, Sienna i Mikołajska.

Z tych niektóre są bardzo regularne i proste, a ulica Grodzka, do zamku czyli grodu wiodąca i dla tego tak nazwana, chociaż nie tyle foremna jak inne, jest najdłuższa i najludniejsza—przy niej są najokazalsze sklepy, zwłaszcza pana Morbitzera. Prócz tych cenniejszych ulic, jest dziesięć postronnych mniejszych; między wszystkimi zaś są uliczki poprzeczne, łączące je z sobą, jak np. w Warszawie Kapitulna, Orla, i t. p.; te zowią przecznicami i tak są zapisane na rogach. Przedmieścia w liczbie ośmiu: Stradom, od strony południowej, za ulicą Grodzką, gdzie jest wielki gmach, w czasach austriackiego rządu na komorę celną przerobiony, z klasztoru i kościoła Ś. Jadwigi; Kazimierz, Rybaki, Smoleńska, Zwierzyniec, Piasek, Kleparz i Wesola, tak nazwana dla przyjemnego położenia. Do tych ośmiu przedmieść należało dawniej dziewiąte, na prawym brzegu Wisły leżące, Podgórze, w podobieństwie jak nasza Praga; ale dziś w obcych rąku, osobne składa miasteczko i smutnie wygląda.

Z tych przedmieść, Kazimierz najlepiej poznałam. Dawniej było miastem osobnym, zbudował je także Kazimierz Wielki, na miejscu wsi Bawół zwanój, i tam żydów osadził, którzy dotąd w części jego się roją; leży na wyspie otoczonej głównym korytem Wisły i kanałem, Starą Wisłą zwanym. Wykopany został z rozkazu i nakładem króla dobroczyńcy; tak o tém dziele jego pisze Bielski: „Roku 1362 był głód wielki, niejedno u nas w Polsce ale wszędzie. Pokazało się było zboże piękne na polu z przodku, ale w miesiącu Czerwcu mrozy i srogie niepogody wszystko zasię pokaziły. Je-

dnak król Kazimierz jako był opatrzone, miał pełne stodoły i śpichlerze zboża w każdym imieniu, których na ten czas ruszył, i za małe pieniądze ludziom potrosze wszystkim udzielał, przez zły czas chcąc je przechować; a którzy pieniędzy nie mieli, tedy odrobić musieli. Jakoż na ten czas robili mu ze strawy, zamki, mury, groble, przekopy; i ów przekop koło Kazimierza zrobiono wteczas, w który część Wisły wpuszczono, aby nim sól, drzewo i inne rzeczy pławiono \*).

Na tym przekopie, czyli kanale, teraz bardzo piękny i kosztowny most kamienny stawiają. Część Kazimierza, żydami osiadła, dosyć dziwnie wygląda; jest to pół wsi, pół miasta: wszystko razem brudne i nie ciekawe. Będąc dziś w kilkunastu znaczniejszych domach, miałam sposobność obejrzeć je wewnątrz; i te zupełnie inne jak w Warszawie nie bardzo obszerne, nie ma ogromnych sieni, przedpokojów salonów; ale za to wszędzie rozkład wygodny, mury mocne, wykończenie starowne, ozdoby miejscowe wieczyste, jako to gzymsy, odrzwi, kominy, posadzki: widać że wszystkie były domami zamożnych ludzi, którzy je stawiali zwolna i gruntownie, dla samych siebie i ku wygodzie.

Dnia 26 Maja w Sobotę, po południu.

Czynnym i miłym był poranek dzisiejszy, chociaż najwięcej smutnych obudził uczuć; dziś dopiero prawdziwie zwiedzać Kraków zaczęłam, i z porządku rzeczy wstąpiliśmy najprzód na górę Wawelu. Wymówić jój nazwiska obojętnie nie można; cóż więc być na niój?

Góra Wawelu wznosi się prawie w samym środku Krakowa, nad brzegiem Wisły; dziwną jest rzeczą zkąd w tak

---

\*) Kroniki polskiej, księgi wtóre kart. 236.

rozległej dolinie wzięła się ta wysoka i samotna skała? zdaje się, że sama natura szczyt jęj na dźwiganie grodu przeznaczyła. Krakus go miał wystawić najpierwszy, po zabiciu sławnego smoka, którego jamę dotąd tam pokazują; Bolesław Wstydlivy mieszkanie to poprzedników swoich rozprze-strzenił, stosownie do stanu ówczesnego umiejętności wojen-nych umocnił, a dla pomieszczenia dworzan gmachami całą górę zabudował. Utrzymują, że do Kazimierza W. zamek ten był drewniany i nikiemny, dopiero on kamienny wy-stawił, i znacznie ozdobił. Zygmunt I, prawie zupełnie wznosił go na nowo, gdyż już dawne mury padały, ale nie-długo po tém odnowieniu uszkodził go mocno pożar w roku 1536, i odtąd jeszcze dwa razy stał się pastwą płomieni: ostatnie swoje dźwignienie winien Augustowi II.. Nakładów-by trzeba niesłychanych, ażeby go znowu okazałym uczynić; nie ma tam bowiem ani śladu owych izb i sal ogromnych, gdzie posłowie zagraniczni przyjmowani byli, księżęta hołd oddawali, niezliczonym poddanym sprawiedliwość wyrządza-no; nie ma znaku tych pokojów królewskich, w których się naradzał Kazimierz z Wierzyńkiem, Batory z Zamoyskim; ani dojść można, gdzie była komnata Jadwigi, tajemny świad-ek jęj poświęcenia i modlitw; gdzie Elżbieta, Kazimierza Jagiellończyka żona, czterech królów wykołysała, gdzie Bar-bara z żalem szczęśliwe miłością życie gasnącém widziała.

To mieszkanie królów obca ręka na koszary zamieniła; każda więc sala większa na kilka mniejszych przerobiona została; szerokie podwoje zamurowano, a gdzie były wspa-niałe marmurowe kominy, tam są teraz drzwi nikiemne; wielkie okna gotyckie przeistoczono w małe kwatery, dziś tęg wysokięj i niegdys tak wspaniałęj budowie zupełnie po-stać zamku odjęły. Dwóch tylko sławnych w dziejach poko-jów widziałam ślady: izby senatorskięj sądownęj i komnaty Zygmunta Augusta, *kurzą stopą* zwanęj. W piérwszęj pozos-tało jakie takie wyobrażenie dawnięj używanych sufitów

czyli pował, a które mi w tój przejażdźce piérwszy raz widziéć się zdarza; jest to pułap z belek, ale te belki są misternie złocone i malowane, a między niemi wyrabiane sztuką snycerską różne ozdoby, zwykle w czworoboki; tak w tój sali sto było takowych czworoboków, a z ich środka wychylało się sto głów męzkich i niewieścich, kształtu rozmaitego, w kolorach naturalnych i właściwych ubiorach. Wiadomą jest anegdota, iż gdy raz sędzia niesłuszny wyrok ogłaszał, jedna z tych głów przemówiła i wyrok zmienionym został..

Nazwisko komnaty, *kurzą stopą* zwanój, ztąd pochodzi, że jest w wieżycze na podmurowaniu skarpowaném wzniesionój, która ten kształt ma sobie nadany. I ty, Anielko, i ja nieraz w dzieciństwie mojm słyżałam jak mówiono: po przesileniu dnia z nocą, przybyło dnia na kurzą stopę! myślałam wtedy, że chciano wyrazić tym sposobem jak go pomału przybywa; ale źródło tego przysłowia jest inne. Wieżyczka, o którój mowa, jest położona na wschód; nad jěj oknami są herby Królestwa; nazajutrz po przesileniu dnia z nocą, pierwsze światło słoneczne rzuca promienie na tę wieżę, nie odbijającą ich przez zimę całą. — Murgrabiemu miejsca tego, a oraz przewodnikowi naszemu, o to szło jedynie, żeby nam wystawić porządkiem, jaką koleją szły dawniej sądy i kara winowajców; dziwna rzecz, jak ludzi prostych najwięcej okropność zajmuje, jak bajecznymi powieściami zwiększać ją usiłują! zaprowadził nas więc naprzód do izby, gdzie był stawiany zbrodniarz, potem gdzie zamknięty, nareszcie gdzie słuchany i sądzony; potem gdzie się spowiadał na śmierć, a na ostatku do lochu czyli Dorotki, miejsca, gdzie się wyrok spełniał. Według niego, Dorotką zwano machinę żelazną, w podobieństwie kobiety zrobioną, która gdy objęła osądzzonego silnemi ramionami, dusiła go tą prawdziwie piekielną pieszczotą. Nie chce mi się wierzyć temu okropnemu podaniu; tak srogi wynalazek w południo-



wych krajach mógł wreszcie być używany, ale nie u Polaków, którzy okrucieństwem nigdy głośnymi nie byli. Więcej zatem od tej przesadzonej powieści, zajął mnie dostrzeżony napis na drzwiach wieży, w której winowajców więziono; nożem wyryte te znalazłam słowa: *Jan Wolski tu od dnia 17 Kwietnia do 20 Maja 1578 r. odpoczywał*. Krótki to zapewne przeciąg czasu, ale długi dla tego, który cierpi, i cierpi niewinnie; a bez wątpienia nie był występny: zbrodniarz ani odpoczywa, ani też ryje chętnie swego imienia, radby je ukryć przed światem całym!... Coby to był za Wolski dopytać się nie mogłam ani doczytać. W owym czasie był kanclerz Wolski, ale Piotr nie Jan, i wątpię żeby tu siedział.

Skończyliśmy nareszcie te przykre oględziny, nie wchodząc wszędzie; żaden napis, żaden obraz nigdzie mi w oczy nie wpadł. Gdzieniegdzie herby potrzaskane, w jednej sali sprzęt pogrzebny Kościuszki: oto całe zamku dzisiejszego ozdoby. Skończyliśmy te oględziny obejściem krużganków; kształt ich przypomniiał mi Pieskową skałę, zdaje się jakby ten sam budowniczy dawał rysunek obojga; tutejsze utraciły wiele z dawniej piękności przez podparcie, jakiego słupy kamienne wymagały koniecznie; ale w nich będąc, wystawić sobie przecież mogłam, że jestem w przybytku królów: wspinała się i obszerne. Stanął mi w oczach poważny Zygmunt I, gdy tu witał Jana Tarnowskiego, wracającego z bitwy pod Obertynem; snuć mi się zaczęli Bony i Zygmunta Augusta dworacy; ale te marzenia wnet znikły, kiedy, chcąc iść do katedry, nie znalazłam już tego przejścia, którym ci królowie ziemscy do świątyni Króla królów przechodzili: wszystkie odbiegłe na chwilę wrażenia wróciły z podwojoną mocą... lecz wnet spłonęło wszystko, za wejściem do *katedry*.

Tam wstąpiwszy, przeszłam jakby cudem do świetnych czasów Polski; skromna powierzchowność tej świątyni, nie wiele obiecująca, tém więcej niespodzianym przepychem za-

dziwia. Przybytek Boga i zmarłych szanowanym był przecież, i w nim pozostały oczywiste dowody, jakim cały zamek był niegdyś; ta świątynia w pomyślnym stanie będąca, zamozna, bogata, święta, uroczysta, i jakby jakaś wieczystością oznaczona, obok tego spustoszonego zamku będąca, a nawet z nim spojona, wystawiła mi obraz tej człowieka części która nie ginie; a kiedy zamek jest jakby wielkim trupem kamiennym, katedrę duszą Wawelu nazwałoby przystało. Uznana jest powszechnie za najwspanialszą ze wszystkich świątyń krajowych, nie dla swój obszerności, bo wcale wielką nie jest, ale dla marmurów, ozdób, pamiątek, i dla tej jakiejś uroczystej postawy, która uszanowaniem i czcią duszę przejmuje. Ten kościół odpowiada zupełnie wyobrażeniu o Krakowie, i przez to samo mile zaspokaja; w nim będąc, wystawić sobie łatwo, że tu modlić się przychodzili królowie i bohaterzy, tu, idąc gromić nieprzyjaciół Ojczyzny, Boga zastępów o pomoc błagali; tu, wróciwszy zwycięzcami, składali Mu znaki tryumfów: tu nareszcie legły ich popioły. Zdało mi się, że widzę młodą Jadwigę, klęczącą przed wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela, przed którym modlić się lubiła; że wnet przyjdzie do Zygmuntofskiej kaplicy cnotliwa Anna Jagiellonka, i z upodobaniem na swe dzieło patrzeć będzie. Ten cały przybytek błogiem uczuciem serce moje napełnił.

Opisu dokładnego katedry ani żądaj odemnie, Anielko, trzebaby na to poświęcić jój wyłącznie cały czas pobytu mego w Krakowie; ktoś to powiedział i słusznie: „że gdyby żadnej nie było pisanój historii krajów polskich, ściany jój i marmury w większej części poznaćby ją dały;“ a ksiądz Sołtyk z samych pomników i napisów tego kościoła dziełko utworzył \*). Wspomnę więc tylko o jój założeniu i wzroście,

\*) Dziełko to jest pod tytułem: *Series monumentorum ecclesiae cathedralis cracoviensis.*

i o grobowcach królewskich; tych pominąć nie można, lubo już nieraz opisywane były; moje o nich wspomnienie tę przynajmniej nowość mieć będzie, że niektóre napisy łacińskie po polsku umieszczę: zdaje mi się, że uczynię tém przysługę osobom płci mojej i dzieciom zwiedzającym katedrę, bo przykro bardzo nam nie łacinnikom czytać, a nie rozumieć napisów ciekawych; nie zawsze się też zdarzyć mogą, jak mnie dziś, grzeczni i uczeni przewodnicy, którzy tę nieumiejętność zastąpią.

Katedrę Krakowską założył według niektórych Mieczysław I, z tytułem arcybiskupstwa, później zaniedbanym, i na prośby Dąbrówki oddał ją opiece Ś. Wacława; inni zaś wzniesienie tej budowy Władysławowi Hermanowi przypisują. Syn jego Krzywousty podniósł jej mury i dwie wieże przydał; a gdy pożar dzieło tych monarchów spustoszył, Nanker biskup krakowski odbudował kościół ten w kształcie w jakim jest dotąd, co świadczy napis łaciński, nad wielkimi drzwiami tej treści:

.Kościół ten strawiony ogniem, Nanker Szlązak, Biskup Krakowski  
w tym kształcie odnowił. Następni pasterze i kapituła.  
to ze wspólnych dochodów, to własnym ozdobili nakładem R. P. 1330

Kazimierz Wielki miał szczególne w z bogacaniu tej świątyni upodobanie, może dla tego, że w niej zwłoki ojca spoczywały; każde Niebios dobrodziejstwo przyniesionym tu darem okupywał: pokrył dach cały blachą, sklepienia malowaniem i złotymi gwiazdy ozdobił, a nawet umierając przeznaczył krzyż złoty drogiemi kamieniami sadzony. Przykrycie atoli przez niego sprawione czy ogień pożarł, czyli też rdza zjadła, bo to, które dziś katedrę osłania, jest darem Piotra Gębickiego biskupa krakowskiego w r. 1643; ten ze swoją hojnością kryć się nie chciał, gdyż cyfra i herb jego na dachu wyryte, z daleka mówią o niej przychodniom. Zdaje się, że od czasów tego biskupa kościół

katedralny żadnej uderzającej nie podpadł odmianie, ani uszkodzeniu, owszem z bogactwami go niemal codziennie pomniki i popioły. Te w oczach moich prawdziwy jego skarbiec stanowią; wyrazić nie zdołam, co serce moje czuło, jak rośl umysł, kiedy, będąc tam dziś rano, wystawiłam sobie: ilu królów, małżonek ich, ilu znakomitych ludzi ciała tu spoczywają; tyle niegdyś znacząc na świecie, teraz w proch rozsypane, czekają w milczeniu, równie jak prostych kmiotków zwłoki na wiejskich cmentarzach, wielkiego dnia zmartwychwstania... Ale nie było wiele czasu na dumanie, ciekawość do zwiedzania nagliła; obeszlśmy wszystkie sześnaście kaplic, przypatrzyłam się dwudziestu sześciu ołtarzom, oglądałam z kolei królów grobowce, a jeszcze przekonana jestem że wielu szczegółów nie widziałam; czuję, że często do katedry wracać będę i codziennie w niej bywałam, gdyby Kraków był stałym dla mnie siedliskiem. Lecz otóż obiecane królewskie grobowce; umieszczę je lat porządkiem, chociaż nie tak w katedrze wzniesione; i gdyby kto, zwiedzając ją, tej kolei chciał się trzymać, niechby się przygotował na nieustanne z jednego końca na drugi bieganie.

Mówią dziejopisowie i świadczą niektórzy uczeni, że tu spoczywają zwłoki Bolesława Kędzierzawego, Kazimierza Sprawiedliwego, Białego i Czarnego Leszka; wierzę temu, bo nie mam w niczym do niedowiarstwa prawa, ale ci królowie pomników tu żadnych nie mają. *Najdawniejszym* jest Władysława Łokietka, nie daleko ulubionego ołtarza Jadwigi, przed drzwiami zakrystyi. Grobowiec ten jest kamienny, bez napisu; są tylko na nim wyobrażenia kilku osób znacznie uszkodzone; w prostocie jednak swojej nosi niezaprzeczoną odległych wieków cechę. Przypatrywałam się mu długo, kryje on szczątki tego króla, który ze wszystkich, jak miemam, najwięcej mocy duszy posiadał. Mały wzrostem, wielki umysłem, dla niedoli zdawał się zrodzony; w niej siłę ducha rozwijał, i żadną nigdy nie



zraził się przeciwnością. On dał pierwszy początek zjazdom narodowym czyli sejmom, on ocucił w stanie szlacheckim większą chęć powszechnego dobra, on ogłaszał ustawy, strzegł sprawiedliwości, nieład naprawiał; jemu Kazimierz swoją sławę, Polska swą wielkość najwięcej winna; bo zostawił państwo zagospodarowane i kwitnące. Umarł r. 1333 i sam grób dla siebie w kościele na zamku obrał; zapewne, syn ten pomnik mu wystawił.

Bywał on zawsze z ciekawością odwiedzany; kiedy w r. 1655, Karol Gustaw król szwedzki, zdobywszy Kraków, oglądał tę świątynię, zatrzymał się nad tym grobowcem. Był z nim właśnie Starowolski \*), a mając przytomnym los obecny Jana Kazimierza, który chroniąc się przed najezdnikiem, tułaczem był w własném Królestwie, wymówił z uczuciem: „I ten król był wygnany z państwa, a potem na tron powrócił.“ Zrozumiał myśl jego Karol, i rzekł z przekąsem: „Lecz wasz Jan Kazimierz nigdy nie powróci.“ A Starowolski dodał tylko nachylając się: „Bóg jest cudowny, i szczęście zmienne.“ Prawdę tego zdania skutek okazał. — *Drugim*, ale zupełnie w przeciwnéj stronie będącym, jest grobowiec Kazimierza W., także bez napisu, lecz nierównie okazalszy, kratą żelazną otoczony. Na trumnie czworobocznej z kamienia, pod baldachimem na słupach opartym, leży posąg tego króla, w koronie, według świadectwa Długosza z podobieństwem twarzy zrobiony; rysy znaczące i szlachetne. Stał mi w pamięci obraz pogrzebu jego, który prócz wspaniałości miał tę ozdobę, że wzniecił płacz i narzekanie powszechne obecnego ludu; tak, iż zdawać się mogło, że same tylko zostały sieroty; a jak świadczą dawne rękopisma, długo kmiotki, gdy im się źle działo, a do

---

\*) Szymon Starowolski wielu dzieł w języku łacińskim autor, zwłaszcza Obrazu stanu politycznego i jeograficznego Polski.

tronu przystępu takiego jak dawniej nie było, na ten grób zanosili skargi i łzy swoje. — *Trzecim* z kolei lat, jest piękny prostotą, zajmujący popiołami, grób Jadwigi; jest on w samych stopniach wielkiego ołtarza; napis na nim taki:

Jadwiga, Ludwika Węgierskiego i Polskiego Króla córka,  
Kazimierza Wielkiego wnuczka,  
Władysława Jagiełły żona,  
zmarła r. p. 1399.

Pod tym kamieniem czeka dnia ostatniego.

Nie ma królowej a może i Polki sławniej, któraby tyle i tak słusznie zajmowała umysły; ja do Jadwigi zupełną czuję słabość, dzielą to moje uczucie i drudzy; już nie jednego utworu piśmiennego przedmiotem była i jej przygody znane powszechnie. Daleko od niej, bo zupełnie na drugim końcu kościoła, po prawej stronie wielkich drzwi wchodowych, w kaplicy od Elżbiety Austryaczki założonej, jest *czwarty* grób królewski, grób męża Jadwigi, Władysława Jagiełły. Grobowiec ten, bez napisu, z czerwonego marmuru szwedzkiego, pięknej rzeźby, świadczy o posuniętych sztukach w kraju naszym; posąg na nim leżący ma także mieć podobieństwo twarzy; patrzyłam chwilę na tego pogromcę Krzyżaków, na tego książęcia, któremu tyłu i tak dobrych winniśmy królów, na tego nowego, a tyle gorliwego chrześcijanina. Książdz Sołtyk w zbiorze swoim tak o nim powiada: „Książę ten był dziedzicznym w Litwie. Wyparłszy się bałwochwalstwa, wziął na chrzcie imie Władysława, pojął za małżonkę Jadwigę; 1386 roku na królewską godność wyniesiony został. Poskromiwszy rozruchy różnowierców polskich, wrócił do Litwy, niosąc do niej światło, które sam z Nieba otrzymał, kapłana i książęcia obowiązki pełnił, bo gdy nie było świadomych języka, sam za-

sady wiary wyjaśniał, świątynie wznosił, mową i przykładem Litwę do zamięłowania prawdziwej religii zachęcał. Ztamtąd wróciwszy, Hussytów, Królestwo Czeskie ofiarujących mu, ze wzgardą odprawił, mówiąc; „Trudne jest nad tymi panowanie, którzy jarzmu kościoła ulegać nie chcą.“ Krzyżaków gdy nie mógł zniewolić, pokonał; poległo ich na placu 40,000. Wołochy, Mołdawię do Polski przyłączył, wewnętrzne niezgody uśmierzył; nikt nadeń wyższym nie był ani sławą czynów, ani panowania powagą. Trzymał ster państwa przez lat 48, umarł roku 1434, zostawiwszy następcą syna Władysława III, który walcząc z chwałą przeciw Amuratowi samowładcy Turcyi, położywszy trzy tysiące barbarzyńców, sam pod Warną poległ.“

Tego zbyt śmiałego króla popiołów tu nie ma; rozwiął je od dawna wiatr pod pamiętną Warną, za słuszną poniekąd wiarołomstwa karę... Ale prócz tego Jagiellończyka, wszystkich prawie innych i żon ich spoczywają tu zwłoki. Najprzód powiedziéć należy o pomnikach dwóch jeszcze małżonek Jagiełły: Elżbiety Pileckiej i Zofii księżniczki ruskiej. Pierwszy bardzo skromny jest w kaplicy Mansyonarską zwanéj, obok ołtarza tajemnic, ale tak ukryty, że go ledwie oko szukającego dostrzedz może. Była to już trzecia żona Jagiełły, bo po śmierci Jadwigi pojął był Annę, córkę hrabi cylyjskiego, wnuczkę Kazimierza W.; trzeciemu temu związkowi sprzeciwiał się bardzo Senat, gdyż Elżbieta Pilecka była Polką, wynieść mogła nad inne rodzinę swoją; prócz tego była wdową już po trzecim mężu, Granowskim kasztelanie nakielskim, a niegdyś piękna, „subtelna i cudna, wtedy była stara i od suchot wyschła.“ Podobała się przecież Jagielle, lecz po trzech latach życia umarła i pod tym grobowcem złożoną została.

Z namowy brata Witolda, we dwa lata po jéj śmierci pojął za czwartą żonę: Zofję, córkę Jędrzeja księcia kijowskiego. Mówią że Witold wystawił sobie, nie wiadomo dla

czego, że ta pani potomstwa mieć nie będzie, i że po bezdzielnym bracie, jemu tron Polski się dostanie; tymczasem Zofia, nadzwyczajną płodnością obdarzona, syna po synie rodzić zaczęła. Omylony w nadziejach Witold szukał zemsty. Przekupił dwie panny służebne królowej, Katarzynę i Elżbietę Szczekockie, rodzone siostry; te oskarżyły Zofią o niewierność. Już król podejrzliwy miał odesłać nieszczęsną żonę do Litwy, kiedy przecie za namową Senatorów odstąpił tego zamiaru; królowa oczyściła się przysięgą a sześć pań najpierwszych z jej dworu potwierdziło tę jej przysięgę. Zofia przeżyła zazdrośnego męża; umarła dopiero w r. 1461, i pochować się kazała w kaplicy Ś. Trójcy, którą sama założyła; ta kaplica jest pierwszą od wchodu po lewej ręce; grób kamienny niezbyt okazały, przecieź mnie zajął: zapewne w niedoli swojej przychodziła często w to miejsce smutna królowa, i pocieszała się świadectwem sumienia i nadzieją śmierci. Oskarżonej niewinności miejsce właściwe — grób i oblicze Boga.

W tej samej kaplicy, gdzie leżą zwłoki Jagiełły, w pięknym i już *siódmym* z kolei grobowcu z porfiru, spoczywa syn jego Kazimierz Czwarty. Był on podobno lepszym ojcem, mężem, panem, aniżeli królem; zbywało mu na mężstwie i naukach, nie umiał utrzymać powagi; ale był przykładny i łatwy w domowem pożyciu, łaskami i dobrodziejstwami szafujący; tą słodyczą i hojnością tyle sprawił, że jeśli w czasie czterdziesto-letniego panowania nie zjednoczył zupełnie Litwinów z Polakami, uchronił ich przynajmniej od rozerwania. Troskliwym był o wychowanie dzieci, i szczęśliwym w ich postanowieniu; z sześciu synów, których miał z Elżbiety Austryaczki, czterech było królami, piąty blizki godności papieżkiej, szósty świętym; córki zaś związkami małżeńskimi spokrewniły znaczną część Europy z domem Jagiellońskim. I Matka tych synów i córek, szanowna Elżbieta, spoczywa w tej samej kaplicy, którą dla uczczenia



zwłok męża i ojca wzniosła, oświadczając przy śmierci chęć być obok nich złożoną. Jeżeli dać życie trzynastu dziatkom, jedenaście wypiastrować zdrowo i wychować bogobośnie, być wierną mężowi, kochaną od niego, i na wysokim stojąc szczytce, cichemi tylko słysząc cnotami; jeżeli to mówię jest spełnić godnie zawód niewiasty? któraż godniejsza sławy i pomnika od Elżbiety?

Ze schyloną głową, uwielbieniem przejęta, stałam nad jej grobem: bo we mnie żaden mocarz świata tyle uszanowania nie wzbudza, ile cnotliwa liczniej rodziny matka. W chwale, w oklaskach, w pochlebstwie, ileż on miał swych świętych trudów wynagrodzenia? jej ciche cierpienia, prace i ofiary, najczęściej innego świadka prócz sumienia i Boga nie znały. Trzeci z rzędu syn jej, Jan Olbracht, który po ojcu panował, jej staraniem wystawiony ma pomnik w kaplicy św. Jędrzeja; już to *dziewiąty* z kolei grobowiec; wierzcho jego okrywa nawpół wydatna osoba króla z marmuru: umarł on bezżenny w Toruniu, apopleksyą ruszony, w roku 1501. „Był urody wysokiiej, płci czarniawej, miał uczenie nie złe, bawił się czytaniem, zwłaszcza historyjki rad czytał, krasomówca był wielki; hojny, dowcipny, śmiały, ale nie fortunny. Królował lat ośm, miesiący ośm“ \*). Brata i następcy jego, Aleksandra, tu zwłok nie ma; po pięcioletniem panowaniu zachorował w Wilnie i tam umarł. Kanclerz Jan Łaski chciał do Krakowa prowadzić ciało jego, ponieważ o to sam za żywota prosił, ale panowie Litewscy tyle przemogli, że go pochowano w Wilnie, w kościele św. Stanisława, w kaplicy, gdzie już leżał brat jego Kazimierz święty; powodem im była obawa, aby gdy oni wszyscy z ciałem króla do Krakowa pojedą, Gliński nie ogłosił się wielkim księciem litewskim. Jeden więc to jest z królów polskich, który dotąd w Wilnie leży.

\*) Kronika Bielskiego str. 491.

Lecz w całej katedrze i bezwątpienia w Polsce całej, nie ma kosztowniejszej, mocniej zajmującej *kaplicy*, nad tę, gdzie są grobowce Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki. Nosi tytuł kaplicy Wniebowzięcia N. Panny, albo Rorantystów, ale zowią ją zwykle królewską, *Zygmuntowską*, lub też Jagiellońską. Założył ją Zygmunt Stary i na miejsce swego pogrzebu przeznaczył, dokończyła godna córka jego, Anna Jagiellonka. Zamknięta jest piękną mosiężną balustradą, zbudowana cała z ciosowego kamienia w kształcie doskonałego czworoboku, przez Bartłomieja Fiorentino, którego nazwisko czytać można w kopule. Dach jej nawet jest osobliwy i bardzo kosztowny; miedziany w karpioną łuszczkę i tak grubo pozłacany, że ani czas, ani złe pory jeszcze blasku jego nie przyćmiły. Ołtarz cały srebrny, malowania jego, wystawiające różne z Pisma Św. zdarzenia, rzadkiej piękności; kolory ich i styl cały odznaczają szkołę włoską; obraz sam jest darem Zygmunta III, który lubił podobną zabawić się pracą. Nagrobek starego króla jest wprost ołtarza, z czerwonego marmuru szwedzkiego, pięknej rzeźby; leży na nim posąg jego naturalnej wielkości, twarz ściągła, wyrazu pełna, włosy długie; lecz szczególną jest rzeczą, że bez brody tu wystawiony, kiedy ją miał tak piękną i okazałą. Jakżebym rada była widzieć na skroniach jego ów różany wieniec \*), którym chętnie zdoił poważne swe czoło, lubą oznakę słodkich i łagodnych jego rządów, i spokojności duszy z jaką umierał.. Na grobowcu jest napis w tych słowach:

Zygmunt Jagiełło

Król Polski, Wielki Książę Litewski,

---

\*) „Król Zygmunt był urody krasnej, włosy długo nosił, w lecie w wieniec różanym rad chadzał.“ Bielski, str. 586.

Tatarów, Wołochów, Rusi, Prusaków  
 zwycięzca,  
 Ojciec Ojczyzny,  
 pod tym grobowcem, wspaniale przez siebie wzniesionym,  
 spoczywa.

Poniżej tego pomnika jest takowyż Zygmunta Augusta, z napisem téj treści:

Zygmuntowi Augustowi  
 Polskiemu Królowi, Wielkiemu Litwy  
 i Sarmacyi Księciu i Panu,  
 Książęciu przenikliwemu w radzie, ostrożnemu w czynach,  
 łagodnemu w obyczajach, łaskawemu w pożyciu,  
 Anna, infantka Polska,  
 bratu zasług pełnemu  
 swoim kosztem położyła,  
 i własnymi skropiła łzami.

Obok tych grobowców jest pomnik téjże Anny, która chciała być pochowaną obok drogiego ojca i brata; napis podobny:

Anna Jagiellonka, Zygmunta I córka,  
 z rodu Jagiełłów ostatnia,  
 Stefana Batorego, Wielkiego Króla dostojna małżonka,  
 religijna, pobożna, w trzech bezkrólewicach zgody rękojmia;  
 wspólnego losu śmiertelnych pamiętna,  
 ten grobowiec popiołom swym wzniosła.  
 W ciągu życia całego słynęła chwałą wszystkich cnót królewskich.  
 Tę kaplicę złożonym dachem ozdobiła, uposażywszy ją hojnie.  
 Zgasła 9 Września r. 1594, wieku swego 73,  
 z wielkim żalem Zygmunta III i całego Królestwa.

Ta kaplica, poświęcona pamiętce trzech tak znakomych osób, ulubiona im póki żyły, a teraz kryjąca ich zwłoki, przejęła mnie czarodziejskim urokiem. Kiedy nam jeszcze pokazano własnoręczne Anny roboty, obrus cały w sztuczne i delikatne kratki, przód ołtarza, na którym żywot Matki Zbawiciela kolorowym jedwabiem wyszyty; kiedym przeczytała kilka jój listów tak prostych i miłych, znikło mi z pamięci półtrzecia wieku; zdawało mi się, że do tych dawnych przeniosła się czasów; widziałam, jak na stopniach tego ołtarza modlił się pokornie sędziwy Zygmunt, jak po śmierci ojca i brata Anna tu zatrudnienia i pociechy szukała. Nie miałam ochoty wyjść z tej kaplicy, a wyszedłszy, długo jeszcze patrzyłam na będące nad jój drzwiami obrazy; dwa boczne wystawiają Annę raz w królewskim, drugi raz we wdowim ubiorze; środkowy sławnego jój ojca, jak zwykł był chodzić w ponsowej szubie z sobolami, i tę drogą pamiętkę, powtórzenie oblicza dobrego króla winniśmy troskliwej Annie: ona przysłała ten wizerunek z Warszawy, w tym celu, aby zdobił ulubioną jój kaplicę, a gdy ksiądz Zajac, proboszcz jój, doniósł, że umieszczony, tak mu odpisała: „Obraz, któryśmy posłali, iż gotów radzi to widzimy. A co W. T. nań wydał, aby Sebastyan Montelupi zapłacił, list do niego posyłamy. Ten obraz, jakośmy pierwój wolę swą oznajmili, chcemy, aby na témże miejscu stał, gdzieśmy kazali. A iżby się mu nie kłaniano, niechaj zawdy zakryty będzie, a nigdy go nie odkrywać, chyba iżby kto bardzo się go napierał widziéć... Z tém was Panu Bogu poruczamy, któremu się za nas módlcie, a obrządku kaplicznego jako przystoi pilnujcie.“ Dan w Warszawie dnia 19 Czerwca r. 1586 \*).

---

\*) Oryginał tego listu, wraz z wielu podobnemi, jest starannie zachowany w Zygmuntowskiej kaplicy.



I ja ten świstek papieru, który już półtrzecia wieku ma blisko, miałam w ręku! te słowa wyszłe niegdyś z ust Anny czytałam! jakże ten list długo ją przetrwał, ileż wieków po nas, którzy go dziś czytamy, trwać będzie!... Taką to może włókno lniane mieć trwałość? taką nieśmiertelność ulotnemu słowu wątle piórko daje! I jak tu nie cenić, nie szanować napisów, listów, wszelakich piśmiennych pamiątek; one przedłużają byt człowieka na tej ziemi, łączą nas z tymi co już zgasli, obecnymi i jakby żywymi czynią tych, których pochłonęła wieczność. Ja wiem, że ta kaplica tak mocne na mnie uczyniła wrażenie, że w tej chwili niemal założyłbym się gotowa, żem znała obu Zygmunatów, oraz godną ich córkę i siostrę. Ztamtąd z kolei wypadło pójść znowu przed wielki ołtarz, i przypatrzeć się *trzynastemu* grobowcowi. Poświęcił go Zygmunt I, pamięci brata swego, kardynała, który 35 lat przeżywszy, umarł roku 1503. Napis tej treści:

Tu leży Fréderyk, Kazimierza Króla świetna  
Latorośl, wysoka wielkiego domu nadzieja.  
Świątobliwością byłby stanął na najwyższym szczyśle,  
- Gdyby przedwczesna śmierć nie wyrwała mu tego zaszczytu.  
Lecz gdy okrutny los tak przeznaczył,  
On zniósł śmierć stale, rzucił świat i teraz mieszka pomiędzy  
gwiazdami.

Nie daleko tego grobowca, bo w kaplicy Mansyonarskiej, gdzie skromny Elżbiety Pileckiej nagrobek, jest wspinały pomnik Batorego, tym napisem ozdobiony:

Stefanowi Batoremu, Królowi Polakiemu,  
W pokoju i w wojnie Wielkiemu,  
Sprawiedliwemu, pobożnemu, szczęśliwemu zwycięzcy,  
Infant i Połocka wybawcy,  
Anna Jagiellonka, Królowa Polska,

Najdostojniejszemu Mężowi.

Umarł w Grudniu r. 1586, panował lat 10, miesiący 7, dni 12.

Nie zbyt w odległym miejscu od Zygmuntofskiej kaplicy, jest zupełnie podobna, ale przecież uroku tamtej nie mająca, *kaplica Psalterystów* zwana, której jednak częścią przydomek *Wazów* nadają. Tam leżą popioły trzech królów z tego szczepu i żon ich; tam spoczywają zwłoki dwóch jeszcze synów Zygmunta III i Konstancyi Austryaczki: Jana Alberta biskupa krakowskiego i kardynała i Karola Ferdynanda, biskupa płockiego. Ściany tej kaplicy czarnym marmurem wyłożone, smutkiem napełniają, i słusznie: od pierwszego króla z tego szczepu, snuć się zaczęło pasmo żałoby naszój, i dziejopisowie od niego epokę *Polski upadającej* znaczą.

Wybacysz mi więc, Anielko, że ani napisów powtórzę, ani się bardzo nad opisem tej całej kaplicy rozszerzę... Treści Władysława IV nagrobku z ukontentowaniem słuchałam, bo w nim wiele jest prawdy; Jan Kazimierz zaś i z żoną Maryą Ludwiką ma pomnik kosztowny, przez Jana Trzebickiego, biskupa krakowskiego wystawiony; ten król godzien był pochwał, które tak hojnie ojcu i braciom dawał: za panowania jego, jak gromy z czarnej chmury nieszczęścia się sypały; on przecież długo znosić je umiał, i dopiero wtedy, gdy kraj ocalił, tron opuścił. Nie powinien był może porzucać go wcale; zdaje się jednak, że nie uczynił tego kroku przez oziębłość dla rodzinnój ziemi; on tak kochał Polskę, że gdy się dowiedział o jej hańbie, o wzięciu przez Turków Kamieńca Podolskiego, umarł ze wzruszenia. Ciało jego sprowadzono do Krakowa, do kaplicy Wazów, serce zostało w Paryżu, w kościele świętego Germana, wspinałym ozdobione pomnikiem.

Przypatrzywszy się grobowcowi Jana Kazimierza, z liczby królów naszych, których kocham najwięcej, szukając już *dwudziestego* z rzędu grobu Michała Wiśniowieckiego, skwapliwiej zapewne niżli on tronu szukał, wrócić znowu trzeba było do wielkiego ołtarza; tam z zadziwieniem, w jednakowém ukryciu, i prawie jednake pomniki dla niego i dla króla Jana ujrzałam; zwyciężony i zwycięzca mająż ważyć zarówno? oburzyła mnie zrazu ta niesprawiedliwość; ale jak mówią uczeni, nie jest ona tak zbyt uczynna: Sobieski nie wiele dobrego uczynił krajowi, raczej mu zaszkodził; w jego panowaniu sława tłumi głos prawdy, a ujęci odwagi i męztwa urokiem, nie widzimy niebaczości i szkody, jaką przyniosła. Nie zawsze to użyteczne co świetne; nie każdy bohater romansu dobrym jest królem... Prócz tego pomnika jest tu jeszcze przy kaplicy św. Stanisława chorągiew, która o Sobieskim przemawia. Biskup krakowski, Małachowski, taki na pięknym marmurze wyryć kazał napis:

„Chorągiew ta Ottomańska zabraną była przez niezwyciężonego króla, w samych W. Wezyra namiotach; na ołtarzu św. Stanisława, osobliwego opiekuna i patrona Królestwa, złożona i poświęcona. Jan to Trzeci, aby upadku bliższej sprawie chrześcijaństwa dopomógł, dnia 19 Sierpnia, roku zbawienia 1683, polską broń ku Wiedniowi, od 300,000 barbarzyńców obleżonemu, pomyślnie obrócił. Za Boską pomocą, przez niesłychane męztwo, tegoż roku, dnia 12 Września, nieprzyjaciela pogromił, w tryumfie cały obóz zabrał. Wybawca Wiednia zniósł zgubne obleżenie, wawrzynem, krwią wyborowego wojska Ottomanów zboczonym, skronie swe uwieńczył. Strygonium, Setyn, i wiele innych miejsc Leopoldowi cesarzowi odzyskał... Na cześć Wszechmocnego zawiesił na Watykanie nigdy tam nie widziane dwie tureckie chorągwie; trzecią zaś w tej swojej królewskiej kaplicy złożył, aby tém troistém wielkich zwycięstw świade-

ctwem Najświętszej Trójcy oddał chwałę, i przyszłe wieki nauczył, że w zwycięztwach nie było większego nad wielkiego Jana.“

Po Sobieskim, August II tu jeszcze leży; pomnik dla niego jest *dwudziestym trzecim* z rzędu, i ostatnim; syn jego umarł w Dreźnie, następca syna w Petersburgu, i tam ich ciała zostały.

Skończywszy zwiedzanie i opis grobowców królów naszych, przejęta smutkiem, iż nie wszystkich zwłoki są tu zebrane, zastanowiłam się nad *kaplicą św. Stanisława*. Jest ona w środku kościoła, przecina widok i zmniejsza świątynię; ale podobno w tém mniemaném uchybieniu sztuki była chęć naprawienia jęj omyłki, bo nieraz złemu większemu złem mniejszém staramy się radzić; budowa katedry nie jest regularna, wielki ołtarz nie wpada wprost drzwi wchodowych, kaplica tę wadę zasłania. Wystawioną była kosztem Marcina Szyszkowskiego biskupa krakowskiego, który na tę dostojność w roku 1616 wstąpił. Na ołtarzu stoi srebrna trumna z wypukłą rzeźbą, w niej zwłoki świętego; aniołowie z takiegoż kruszcu na barkach ją swoich unoszą.

Ołtarze w całej świątyni są bardzo piękne, niemal wszystkie marmurowe; nie nawykła do takich bogactw, dziwiły mnie; obrazy niektóre także pochwały godne: wiele jest pędzla *Tadeusza Konicza* rodem z Krakowa; syn bardzo ubogich rodziców, dzieckiem będąc, oddanym został do posług w kuchni Andrzeja Załuskiego biskupa krakowskiego, tam węglem na ścianach kreślił różne wyobrażenia: nie uszły te jego próby oka bacznego kapłana, dostrzegł w nich zdatność wrodzoną; z kuchni do szkół go przeniósł, później własnym kosztem do Włoch wyprawił. Konicz nie zawiódł nadziei opiekuna, okazał się godnym dobrodziejstw; wrócił do kraju należycie wyćwiczony w malarskiej sztuce; w kilkunastu kościołach Krakowa zostawił dowody swego talentu i pracowitości; po śmierci Załuskiego pojechał do Rzymu, gdzie



go sztuki nadobne wabiły, i tam życia dokonał. Jakże to często talent w głębokim ukryciu czeka tylko zachęty i popędu. jak ów krzemień, który długo leży bez światła, a za uderzeniem żelaza skry sypie i ogień roznieca.

Obejrzawszy jeszcze naprędce różne biskupów, rycerzy, panów, nagrobki, z których wiele godnych jest uwagi, a między innymi *Sotłyka* biskupa krakowskiego, i nie dawny włoskiej rzeźby Michała *Skotnickiego* pomnik, udaliśmy się do zakrystyi dla obejrzenia *skarbcu*; choć już bardzo przepleniony, ma jeszcze wielkie bogactwa i prawdziwie piękne rzeczy. Najkosztowniejsza jest głowa św. Stanisława, oprawna w złoto, i drogiemi kamieniami wysadzana; tak jest ciężka, że jej unieść trudno; są monstrance bardzo drogie, jedna Zygmunta III-go ma być roboty; są i infuły paradne, miednice, nalewki, krzyże; jest i ten, który Kazimierz W. testamentem katedrze zapisał; są ozdoby kościelne, roboty nie jednej królowej, zwłaszcza Anny Jagiellonki i Jadwigi: te mnie najwięcej zajęły, jako i pałasz księcia Józefa Poniatowskiego, prosty, nie kosztowny, ale wydał mi się prawdziwie szacowny i drogi: był to dar wojska po ukończonej 1809 r. wyprawie. Wisi także w tém schronieniu płaszcz koronacyjny Stanisława Augusta...

Byliśmy i w *kapitularzu*; jest to sala, w której kapituła, mając na czele biskupa, miewa posiedzenia swoje; od kilku już wieków wszystko w niej w tym samym zostaje porządku: ten sam stół, te krzesła, ten krzyż; takowa starożytność wzbudza uszanowanie. Przeszliśmy ztamtąd do *biblioteki kapituły*; ograniczona co do liczby, bo inne księgozbiory znacznie wzbogaciła, ma jeszcze osobliwości rzadkie: byłabym tam chętnie gościła dłużej, bo dawne księgi i rękopisma coraz więcej mają dla mnie powabu, ale już czasu niestawało. W archiwum jednak zatrzymaliśmy się blisko godzinę; rozpatrzeć się w niem warto: zajęła mnie szczególnież wielka księga nadań i przywilejów dla katedry krakowskiej,

przez książąt i królów polskich, z rozkazu Zygmunta Augusta w r. 1647 spisana; zaczyna się od nadania z roku 1228, kończy się bardzo tkliwym napisem Stanisława Augusta w r. 1787. Widziałam listy papieżów, spis dobrodziejstw czyli darów katedrze uczynionych, w trzech ogromnych tomach ręką Długosza wypracowany; widziałam dwie tegoczesne pamiątki, ale które nie mniej mnie obeszły: wszystkie dowody autentyczności zwłok księcia Poniatowskiego i Kościuszki. Na zwiedzaniu archiwum nie skończyliśmy oględzin katedry; pobudziła nas ciekawość do wstąpienia po schodach nie bardzo wygodnych na wysoką *wieżę*, w której jest ów sławny dzwon Zygmunta: miło mi było widzieć go z bliska, dotykać się tego ogromu: tak jest wielki i ciężki, że nigdy poruszany nie bywa; do serca przywiązane są liny, i tém bujają i dzwonią; jest na nim wyobrażenie herbów Litwy i Polski i rok 1520. Już więc czwarty wiek rozpoczął.

Zszedłszy z téj wieży obeszliśmy jeszcze całą górę Wawelu, a tak jak w katedrze żal mój ukojonym został wspaniałym i uroczystym jéj widokiem, tak tu rozjaśniło smutny i przerażający obraz zamku, czarodziejskie na około wejrzanie; trudno sobie coś piękniejszego wystawić; zwłaszcza z miejsca *rondelem* \*) zwanego: ztąd Kraków prawdziwie wspaniały i zachwycający. Tu dopiero objęłam ogół, zracho- wałam wieże kościołów i przypatrzyłam się Wiśle; nie tak wspaniała i królująca jak pod Warszawą; bo téż dopiero w małej części innemi wzbogaconą rzekami. W Wisłę do jéj ujścia w morze Bałtyckie siedmdziesiąt siedm rzek wpada, a Rudawa, która z nią w samym Krakowie się łączy, dopiero jest siódmą z rzędu \*\*).

\*) Rondel, rondelet, wyraz dawny, w architekturze wojskowej okrągły szaniec wyrażający.

\*\*) Obacz ulotne bezimienne pisemko: *Wiadomości o handlu Krakowa*.

Tak pan zamożny uszanowanie w nas wzbudza bogactwy swemi, a nie pamiętamy, wiele to pracy i dostatków innych w jego majątek wpłynęło. Nasycić się nie mogłam pięknoscią widoku; troskliwość rządu Rzeczypospolitej krakowskiej, a w szczególności gust i gorliwość hrabi Straszewskiego, który tym upiększeniom przewodniczy, codzień nowych ozdób tej części miasta dodają; Wawel dawniej prawie niedostępny, stanie się wnet miejscem najmilszej przechadzki, a czarujące w około widoki rozweselą tych murów pójność, podobnie jak nieraz miła nadzieja smutną obecność rozjaśnia. W ciągu mego pobytu w Krakowie, ile mi czasu zbywać będzie, poświęcę go na przebywanie w katedrze, na przypartywanie się tym widokom... W Bogu i w naturze zawsze pociechy i piękności źródło...

Dnia 26 Maja w wieczór, w Krakowie.

Jeżeli poranek dnia dzisiejszego był czynny i bogaty w wspomnienia, po obiedzie nie mniej pamiętnym mi będzie: odwiedziłam mogiłę Kościuszki. Wracając od niej, zboczyliśmy umyślnie, żeby być w miejscu Lipka zwaném. Jestto skromna lecz porządna wyrobnika posada, na wzgórzu niedaleko Wisły będąca, ozdobiona pięknym ogródkiem i odwiecznymi lipami, z pod których widok jest zajmujący \*). Wabiło mnie w to miejsce słodkie uczucie. Ta, której nie tylko za siebie, ale więcej niż za siebie, żywą wdzięczność winnam, w czasie smutkiem pamiętnym, w r. 1812, w cieniu tych lip pociechy szukała; świadczy o tém tkliwy napis jój pióra na kamieniu wyryty:

---

\*) Dziś jest własność znanego w piśmiennictwie Walerego Wielogłowskiego.

Kiedy się wszystkie smutki na mą duszę zlały,  
 Kiedy bolesnym czuciom ulgi szukać chciałam;  
 Miejscem mego dumania był ten zakąt mały:  
 Nadzieje i pamiątki z sobą tylko miałam.  
 Pocięchy moje były uczuciów niewinność,  
 Piękne niebo, i szczerza mieszkańców gościnność.

Winnam więc była odwiedziny miejscu temu, a listek, z największej lipy urwany, będzie należał do drogich pamiątek wywiezionych z Krakowa.

Dnia 27 Maja, w Niedzielę.

Ktokolwiek w większym jest mieście, stara się poznać artystów w niém zamieszkałych, i ja toż samo umyśliłam uczynić w Krakowie. Nasze miasta dalekie są zapewne w téj mierze od zagranicznych, ale jest powab, który w oczach niektórych zdobi i upięknia wszystko; ten powab odgadniesz łatwo, Anielko. Artysta, którego dziś pracownią zwiedziłam, pan Peschke, Czech z nazwiska, Polakiem jest z serca i talent swój zupełnie narodowym przedmiotom poświęcił; uczeń sławnego Franciszka Smuglewicza, przedsięwziął dokończyć to, co mistrz zaczął tak pięknie: znaczniejsze rysy dziejów naszych przedstawił w rysunkach; ma ich pięćdziesiąt; wszystkie wydały mi się zajmujące, niektóre bardzo ładne: zapisałam sobie treść ich, i wybaczysz, że ją w tym dzienniku szczegółowo wypiszę. Może przypadkiem szczęśliwym, ten spis zachęci kogo możnego do ułatwienia zacnemu Autorowi zebrania prenumeraty, i udzielenia publiczności pracy miłej i użytecznej. Te rysunki połączone z obrazami Smuglewicza \*) kilkoma jeszcze uzupełnione, złożyłyby nieoceniony

---

\*) Znane są powszechnie piękne ryciny dziejów ojczystych Franciszka Smuglewicza.



zapas do nauczenia się jak najprzyjemniej dziejów Polski; byłyby skarbem, zwłaszcza dla dzieci, którym najłatwiej przez oczy do pamięci trafiać. Szkoda tylko, że litografia, sztycharstwo sztuka, (równie podobno jak wszystkie inne) tak jeszcze nisko u nas stoją. Wkrótce jednak podnieśćby się mogły, i postawić nas w tym względzie na równi z innymi narodami; gdyby rodzice i dzieci wspólnie do tego przyłożyć się chcieli: wszak Polakom, jeżeli nie więcej, zapewne nie mniej od innych narodów Opatrzność zdatności do wszystkiego udziela? Cóż więc nam na przeszkodzie stawa, że w niczem co sztuk nadobnych się tyczy, obcych dogonić nie możemy? niech mi wolno będzie tę przyczynę bez urażenia nikogo wyjawić: oto niedorzeczna ambicja.

Jakże mało u nas tak rozsądnych rodziców, którzyby syna w tym celu chowali, ażeby został artystą lub rzemieślnikiem wyższego rzędu; nie jeden szlachcic, mający kawałek ziemi, choćby zadłużony, myśli, że ród swój takowem postępowaniem upodli, i w tém przekonaniu dziatkom rość daje; po większej części i rodzice i dzieci nie przed sobą nie widzą, prócz trzech powołań: urzędu, szlif i roli; majątniejsi rozumieją, że te jedynie im przystoją; ubożsi, że w tych wyłącznie podnieść się, wsławić i zbożać można. Dobroczynny rząd, który powołuje i przypuszcza zarówno wszystkie stany do nabywania światła, zasługuje na słuszną nagrodę, ujrzenia w kraju różnych znakomitych talentów, za pomocą których, ani wzywać obcych, ani wstydzic się przed nimi niemiałby potrzeby. Tymczasem podobno dotąd zabieg jego najwięcej napełniają bióra, a dobrych mechaników, budowniczych, malarzy, rysowników i t. p., poczet bardzo zwolna się powiększa. Gdyby jednak każdy chciał się zastanowić, jak te powołania są miłe, szlachetne, zajmujące, jakie to szczęście mieć kawałek chleba pewny i niepodległy, jak żadna godziwa praca nie hańbi człowieka, jak w każdej wsławić się, co więcej, użytecznym być można; jak zarówno

nie znieważa wzięść pieniądze za własnych rąk pracę, jak za żyto lub pszenicę, możeby odmieniło się to zdanie tak szkodliwe pięknym sztukom i wyższym rzemiosłom. Plan powszechny i odwieczny edukacyi tak domowej jak publicznej, jest więcej dobroczynny, niżeli my korzystać z niego umiemy; to udzielanie wszystkich rodzajów nauk i umiejętności, to ćwiczenie w rozmaitych talentach, które czasem zbytęcznym zdawać się może, ma cel probowania zdolności dziecięcia i śledzenia w niem do czego z natury dostało usposobienie? Rodzice więc, którzy, odkrywszy w dziecku dar jaki szczególny ale w ich oczach gminny, nie rozwijają go przez ambycyą, krzywdę czynią nie tylko dziecku w szczególności, ale i ogółowi, dla którego ten dar mu jest dany; psują zamiary Opatrzności, a na wzór nieużytecznego sługi z Ewangelii zakopują *talent*, na korzyść osobistą i ogólną im powierzony.

Przy posuniętej u nas oświacie, czas byłby, ażeby czczerby i ubieganie się za tytułami nie pozbawiały kraju talentów użytecznych, i rodzaju sławy, do której dążyć nam wolno. Zwłaszcza dla rodziców nie zbyt majątnych, a licznem gronem dziatek obdarzonych, jakażby to była ulga, gdyby stosownie do wrodzonych zdolności syna, obierali mu zawczasu (tak jak za granicą czynią), które z tych wyższych rzemiosł; gdyby on rósł w tym widoku, wszystkie nauki, ćwiczenia ku niemu kierował, gdyby się oddał duszą i sercem swój sztuce i za punkt honoru założył sobie wydoskonalenie się w niej: ilużby tym sposobem czynnych, użytecznych, szczęśliwych ludzi przybyło! ilużbyśmy mieli wkrótce, tak jak cudzoziemcy mają, wzorowych we wszystkich rodzajach artystów. Ale my nie bardzo lubimy przejmować od obcych co dobre; dla tego też prócz kilku wyjątków, mamy tylko artystów z przypadku lub z potrzeby, na wszystkiem nam zbywa, i w najmniejszem przedsięwzięciu tyczącem się sztuk nadobnych tysiąc staje trudności. Daruj Anielko, ten

ustęp może zbyt śmiały, niech mu wybaczyć raczą rodzice i dzieci; wysunął on się mimowolnie z serca przepełnionego czystymi chęciami dobra powszechnego \*). A teraz wróćmy do rysunków p. Peszke. Oto spis ich wierny; nie mogąc ich wystawić jak są, wdziękiem sztuki ozdobne, opiszę przynajmniej niektóre z dawniejszych, słowami poczciwego kronikarza Bielskiego; późniejsze zaś wyrazami tegoczesnych pisarzy.

R. 964. 1). *Ślub Dąbrówki z Mieczysławem*, w obecności licznie zebranego ludu.

R. 1039. 2). *Kazimierz Mnich*, kiedy w bitwie z Jądzwingami, goniąc ich, spracował się tak bardzo, że go rycerski jeden człowiek prawie martwego do namiotu przyniósł.

R. 1073 — 1076. 3). *Małgorzata Zembocka*, w wieży z dwiema siostrami. O téj Bielski tak pisze: „W on czas młódź na wszystkie zbytki się udała, a cnotliwe białogłowy wysiedzieć w domu nie mogły; przeto Małgorzata Zembocka, Mikołaja rycerza żona, widząc rozpustę takową, zamknęła się na wieży przy kościele w Zembocinie, o milę od Proszowic, z dwiema siostrami, i tamże sobie strawę ciągnęła powozem, i nie chciała ztamtąd wyjść, aż ujrzała męża swego.“

R. 1094. 4). *Bolesław Krzywousty*, lat 9 mający, na wojnie obok hetmana Sieciecha wśród rycerstwa. „W obozach okazała się w dziecięciu chęć wielka do spraw rycerskich; sam jeździł na straż z drugimi; w nocy nie spał, w dzień mało; piciem i jedzeniem skromnym się obchodził; nic mu zimno ani gorąco przykrém nie było, tak, iż nad obyczaj dzieciński wszystko czynił.“

R. 1105. 5). *Krzywousty na polowaniu*. „Bolesław wesół z frontowego powodzenia Skarbimierza przeciw Pomorzanom, wsiadł na koń ze stem rycerzów na myślistwo, aby

---

\*) Przypominamy, że autorka pisała ten ustęp przed 1827 r.

gdzie zwierza nadjechali, bo tam tego dosyć było w dąbrowach; natrafili na trzy tysiące Pomorzan, a oni się skradali cicho przez lasy, jakoby mogli oskoczyć naszych, gdy sobie podwesela. Bolesław, chociaż widział lud nie mały, uciekać nie chciał, ale upomniawszy swoich, uderzył na nie; tam posiekli pod nim konia Pomorzanie, a on przesiadłszy się na innego, nie wrócił do swoich, aż trzydziestu ze sta rycerzy zostało. „Skarbimierz tam oko stracił.“

R. 1109. 6). *Hab Dank*. Cesarz niemiecki, Henryk, posłowi Krzywoustego podawał do pokoju ciężkie warunki. Poseł trząsnął na nie głową. Przetoż cesarz, chcąc go ustraszyc, przywiódł do skrzyni otworzonej, pełnej czerwonych złotych, mówiąc: „Mam ja czem pana twego ustraszyc.“ Poseł nasz Skarbek, zdjąwszy z palca sygnet swój złoty, wrzucił go tam i rzekł: „Idź złoto do złota; niczem to u nas, gdyż więcj my się w ostrém żelazie kochamy niż w złocie.“ Cesarzowi było to w podziwieniu, i rzekł po niemiecku *Hab Dank!* i ztąd ten herb tak u nas zowią.“

R. 1137. 7). *Podział Polski przez Krzywoustego*, czyn niebaczny, wielu nieszczęść przyczyna. „Bolesław rozdzielił za żywota syny swoje; starszemu Władysławowi dał ziemię krakowską, sieradzką, Szląsk, Pomorze; Bolesławowi Mazowsze, Dobrzyń, Kujawy; Mieczysławowi Gniezno, Poznań, Kalisz; Henrykowi sandomierską ziemię, Kazimierzowi dzieciątku nic. A gdy panowie napominali, aby mu też co naznaczył, powiedział tak: „Zaż nie rozumiecie, kiedy cztery koła w wozie będą, że musi tam kto na wozie siedzieć.“ Ten obraz pięknie jest ułożony; otaczają książęta śmiertelne łoże ojca, żal na wszystkich jest twarzach, dziecię tylko Kazimierz, na rękach piastunki, patrzy z zdziwieniem.

R. 1146. 8). *Krystyna korząca się przed braćmi męża*. „Była to cesarska dziewczka z niemieckiego narodu, nieprzyjaciela Polaków, ustawicznie też męża swego Władysława, a syna Krzywoustego, wiodła, aby bracięj swój pobrał pań-



stwa, mówiąc z narzekaniem: „Nie na okęsone królestwo mnie tu dano, ale na całe; albowiem ja, będąc tak zacnego rodu, mogłam była lepiej zawdy za męża iść, i za takiego męża, coby miał królestwo swe spełna.“ I tak dobrze podżęgała słabego męża, że aż do wojny między bracią przyszło; książęta wzięli Kraków, Krystynę zastali na zamku; ona tam korzyła się przed nimi, a oni jęj nie czynili przykrości żadnej, owszem w uczciwości mieli, i pozwolili jechać z dziećmi za mężem, który już do Niemiec był uciekł.“

R. 1262. 9). *Leszek Biały i Goworek*. „Po śmierci Mieczysława Starego, wszyscy jednostajnie Leszka, syna Kazimierza Sprawiedliwego, monarchą mieć chcieli, ale tym obyczajem, jeżeli Goworka od siebie wypędzi. I z tym posłali do Leszka; rozmyślał się on i pomyślił tak sobie: „I miałby dla mnie dobry a zasłużony człowiek być wygnan i zelżon niewinnie! Boże tego nie daj, abym ja to miał uczynić.“ Wtém przystąpiwszy Goworek przed Leszka mówił: „Dla mnie jednego, mój panie, nie opuszczaj królestwa, bo masz do niego sprawiedliwość nad inne; mnieć Bóg pożywi; zjechawszy do cudzej ziemi, będę się wszędzie miał dobrze: azaż mnie wiele trzeba, zwłaszcza staremu, który już lada kiedy umrę?“ Ta życzliwość wzruszyła jeszcze bardziej Leszka, iż nie chciał odstąpić Goworka, starego sługi swego.“

R. 1331. 10). *Bitwa Lokiecka pod Połowcami*. W dzień Ś. Stanisława, trwała od wschodu słońca do wieczora, w niej jak piszą 40,000 Krzyżaków porażono.

R. 1331. 11). *Lokietek i Saryusz*. „Nazajutrz po przeważnej pod Połowcami bitwie, król jeżdżąc po pobojowisku ujrzał Floryana Saryusza, herbu Koźle rogi, który będąc ukłuty spisami, tkął w się jelita; stanął król nad nim, żalując go i mówiąc do swych: „To ten wielką mękę cierpi!“ Odpowiedział Floryan: „O królu, nie toć jeszcze męka, ale kto ma złego sąsiada we wsi.“ Z téj przyczyny dał go król leczyć,

a gdy się wyleczył, hojnie obdarzył; snadź by się mógł pozbyć złego sąsiada.“

R. 1331. 12). *Szamotołulski przeprasza Łokietka*. R. 1331, król złożył z starostwa, czyli z hetmaństwa Wincentego Szamotołulskiego, a syna swego Kazimierza na tém miejscu postawił, o co on rozgniewany, uciekł się do Ludera, mistrza Krzyżaków, do Malborga, namawiając go, aby wojował a pustoszył polskie krainy, chcąc mu w téj rzeczy służyć. Wielkie klęski i bezprawia wynikły z téj zdrady... Łokietek nie wiedząc już jako czynić inaczéj, posłał tajemnie do Wincentego, i upominać go kazał: aby pamiętając na gniazdo swe w którém się urodził i wychował, zmiłował się nad strapioną ojczyzną swą, rozwodząc mu to, że acz Bóg nie zarazem, ale przecie kiedyż tedyż zemści się téj krwi niewinnéj i tych zniewag nad nim... Ktemu żeby uważył swój gniew być niesprawiedliwy; gdyż wolno to królowi dać swe komu chce.“ Gdy posłowie Wincentemu to powiedzieli, i przejeżdżanie u króla obiecali, on westchnął i zapłakał, i przyrzekł Krzyżaków odstąpić. Jakoż dotrzymał, i do zwycięztwa pod Połowcami, zdradziwszy Krzyżaków, wiele dopomógł. Król za tę posługę winę mu odpuścił i do czci pierwszój przywrócił. Ale rycerstwo mając przeciwko niemu (jako naprzeciw zdrajcy) serce zakrwawione, rzucili się nań na jednym zjeździe, i ukłuwszy go między sobą, zabili. A tak zapłatę swą wziął za swój zły uczynek.“

13) *Krzyżaków bezprawia*.

R. 1347. 14). *Kazimierz w Wiślicy*. „R. 1347 złożył król Kazimierz sejm walny w Wiślicy, na którym ustanowił prawa w Polsce, któremi się jeszcze i dziś sądzimy. Tenże wiele zwyczajów złych tam zniósł.“

R. 1384. 15). *Wjazd Jadwigi do Polski*. „Prowadzili królownę dwa duchowni, i panów świeckich węgierskich niemało, z wielkim dostatkiem i ochędóstwem. Gdy tedy

nasi usłyszeli, iż królowna jedzie do Polski, jechało co żyło do Krakowa, a drudzy téż do granic wyjeżdżali przeciwko niéj. Także przyprowadzono ją z wielką radością do Krakowa. Była to białogłowa tak cudna, jako jedna Helena.“

R. 1410. 16). *Nadesłanie dwóch mieczów Jagielle.* „Kiedy już król obozując pod Grünwaldem zabierał się do bitwy, przyjechali doń od pruskiego mistrza dwa posłowie z tarczami, na jednéj był orzeł czarny o dwu głowach, a na drugiéj gryf, którzy, gdy byli przyprowadzeni przed króla, mówili w te słowa: „Sławny Królu, mistrz pruski Ulryk posłał ci oto dwa miecze, jeden tobie, a bratu Witołdowi drugi na pomoc, abyś sobą nie trwożył, a śmieie się z nim potykał; a jeśli ciasne pole masz, chcieć ustąpić swego miejsca.“ Król z pokorą ono poselstwo przyjął, i westchnąwszy ku Panu Bogu, rzekł: „Aczci mieczów mamy dostatek, wszakże i te weźmiemy, które mogą się nam przydać na waszego mistrza.“ I kazał wziąć one miecze od nich, które jeszcze i dziś są w skarbcu.“

R. 1430. 17). *Ogłoszenie Władysława Jagiellończyka na Króla węgierskiego w Budzynie.*

„Węgrowie będąc w wielkich trudnościach, obrali królem młodego Władysława, Króla Polskiego, do którego posły swe wyprawili: on długo się wzbraniał od téj drugiéj korony, ale nareszcie przyjął i puścił się do Węgier z pocztem ludzi dosyć nie małym. Gdy się dowiedziano że jedzie, ludzi wielkość z miasta wyszła; wyszli księża z processyami, wyszli mieszczanie, i jak nowego króla w miasto wprowadzili, a potém na zamek.“

19). *Hołd Księcia Pruskiego Zygmuntovi Augustowi.* „Na Sejmie Lubelskim, dnia 19 Lipca 1569, Albrycht Fryderyk Margrabia Brandenburgski, wtóry książę Pruski, hołd i przysięgę Królowi Augustowi na majestacie siedzącemu uczynił. Tamże go król i inszych wiele przy nim na rycerstwo pasował.“

20). *Stefan Batory urządzający wojsko regularne.*

R. 1592. 21). *Jan Zamoyski przed Zygmuntem III,*  
w czasie sejmu inkwizycyjnego.

R. 1606. 22). *Śmierć Jana Zamoyskiego.*

R. 1611. 23). *Żółkiewski przed Zygmuntem III.*

24). *Chodkiewicz dający własne pieniądze na zapła-  
cenie żołdu zbuntowanemu wojsku.*

R. 1621. 25). *Przymierze z Turcją przy zwłokach  
Chodkiewicza zawarte.*

R. 1656. 26). *Gdy Szwedzi chcieli wkroczyć do War-  
szawy, Marya Ludwika od własnego powozu wyprzedz rozka-  
zuje konie, zaciągnąć niemi armaty i razić niemi nieprzy-  
jaciół.*

27). *Corka Czarnieckiego iegnąjąca ojca.*

28). *Czarniecki pod Monasterzyszkami.*

„Bohun rotmistrz zamknął się w warowném mia-  
steczku Monasterzyszcze; przystąpił natychmiast Czarniecki  
pod miasto i pędem na oblężenców uderzył; już sam wódz  
bez hełmu, bez żadnej zbroi, na czele rycerstwa stanął na  
wałach, rozrzucono parkany, i twierdza już w ręku naszych  
bydź miała, gdy fatalny wystrzał przeszył mu twarz na  
wylot; kula wyrwała podniebienie; zwalony na ziemię, gdy  
krew spiekłą wyrzucił, przyszedłszy do zmysłów, zapytał:  
a miasto czy wzięte? odpowiedziano, iż trwoga o jego życie  
przymusiła naszych do wstrzymania szturm; wzruszony ża-  
lem i gniewem, znowu krew potokami wyziewać zaczął.  
Uwięziony dla niebezpieczeństwa nieraz potem wspominał,  
iż ból jego niczem był porównany z boleścią, którą mu wy-  
darcie pewnego już zwycięstwa sprawiło.“ (Niemcewicz Śp.  
III. str. 488.)

29). *Sobiesku wita synów.*

R. 1695. 30). *Chrzanowskiój mężtwo.* „Dowodził  
w Trębowli Samuel Chrzanowski, a że napominał go Ibra-  
him przez list, aby się poddał, odpisał mu na to jak naj-



dotkliwiej i bronił się do ostatniego. A gdy 30 osób ze szlachty naradzało się względem poddania się dla niepodobieństwa dalszej obrony, zbrojną ręką przywiódł ich do innej myśli, gdy go żona o tém przestrzegła. Jednakowoż kiedy znaczne były w wałach przełomy, już sam rozpaczając, zaczął się wahać dowódzca. Ale tu żona jego, z dwoma nożami w ręku, stanęła przed nim, grożąc mu, że go zabije jednym a siebie drugim, jeżeli dalej bronić się nie będzie.“ (Bandtkie Tom. II. str. 105.)

R. 1683. 31). *Wyjazd Jana III pod Wiedeń.*

32). *Zwycięztwo pod Wiedniem.*

R. 1699. 33). *Marcin Kątski w Kamieńcu.* „Pamiętny traktat Karłowicki, trudem i znojem Małachowskiego dokończony, wracał Polakom Kamieniec z Podolem; Kątski Marcin, jako naówczas generał artylerji miał obowiązek odebrać urzędownie tę fortecę i zbrojownię. Oddawał mu ją ze strony Turków jeden Aga, a wprowadziwszy Kątskiego między lochy prochami napełnione, wściekłością rozjadowany z utraty takiej zdobyczy, rzucił między prochy zarzewie ognia, aby i siebie i Kątskiego i cały Kamieniec w gruzach zagrzebał. Kątski nie zmieszany, porwał ten zarodek tysiącami śmierci i rozwalin iskrzący się, i dał mu spokojnie na ręce swojej dogorzeć. Ośłupiał barbarzynie na widok szlachetności i odwagi Polaka, który jednem skinieniem i miasto i krocie ludzi uratował. (Woronicz. R. T. P. N.)

R. 1808. 38). *Stanisław Małachowski ofiarujący w zastaw dobra swoje.* „Kiedy brakowało w skarbie pieniędzy na zadatek za sól potrzebną dla kraju, on dobra swoje za milion zastawił, aby skarb od straty uchronić.“ (Chodkiewicz. Żywot St. Mał.)

R. 1809. 39). *Śmierć Macieja Sobolewskiego pod Almonoad w Hiszpanii.*

I kilka innych pięknych czynów, które, lubo może

w poczet dziejów nie wchodzą, przecież Polaka zająć powinni, bo mu przedstawiają cnoty rodaków; z téj liczby są dwa następujące obrazy: jeden jeszcze o marszałku Małachowskim, drugi o starościcu Karpiu, treść ich godna wiecznej pamięci.

41). *Małachowski wynagradzający mimowolną krzywdę.* Stanisław Małachowski wcześniej powołany został do piastowania znakomitych urzędów; w kwiecie wieku został referendarzem koronnym: téj godnej posadzie sądownictwo i opieka ludu miejskiego i rolniczego dawnymi prawami poruczoną była. W ciągu tego urzędowania Małachowski uwiedziony z innemi sędziami w assesoryi, obrotem jednego patrona, a więcéj jeszcze dla nieprzewidzianych w czasie sprawy dowodów, wydał dekret, który sam potem z wielkim dla siebie żalem uznał za niesprawiedliwy; chcąc nagrodzić to mimowolne uchybienie, posłał natychmiast po skrzywdzoną stronę, kilkadziesiąt tysięcy, o które spór szedł, z własnej szkatuły zapłacił. Malarz wydał tę chwilę.

42). *Ostatnie chwile Starościca Karpia.* Rodzina tego imienia znakomitą jest w Litwie, zaszczyt wielki jój przyniósł młodzieniec tu wystawiony. Śmierć nieubłagana w kwiecie wieku; bo w 27m roku życia go porwała, ale odkrył tę znaną sercom cnotliwym tajemnicę przedłużenia najkrótszego życia, pełnemi ludzkości czynami. Umierając bezżenny, nadał znaczne summy Akademii Wileńskiej, pałac w dobrach swoich Janiszkielach oddał na szpital z zapisem kilkukroć sto tysięcy; znaczne summy rozdał między domowych, włościan uwolnił, i ani ludzkość, ani on sam narzekać na krótkość życia nie mogli, bo je napełnił cnotą.

Prócz tych, widziałam jeszcze u pana Peszke wiele portretów pisarzy naszych, kilka allegorycznych obrazów, olejno malowanych.

Widziałam także zbiór nader ciekawy, któryby może snadniej od pierwszego mógł być publiczności udzielony:

*zbiór ubiorów polskich*, od najdawniejszych do dzisiejszych czasów, troskliwie zbierany z pomników rzeźby i malarstwa. Przy dzisiejszym tak chwalebny do powieści historycznych popędzie, zbiór takowy bardzoby się przydał.

Wysłałam z pracowni pana Peszke, przejęta ku niemu wdzięcznością i szacunkiem, i szczere składając życzenia, ażeby jak najrychlej wszyscy mogli korzystać z szacownych prac jego. Jakżeby pożądaną i korzystną było rzeczą, gdyby mógł przyjść do skutku zamiar kilku lubowników sztuk nadobnych, zebrania się w jedno grono, jak przyjaciele nauk się zebrali; oświadczenia, wspierania, zachęcania się wzajemnego: wtedy troskliwe zabiegi rządu byłyby uzupełnione, talenta wzrastające miałyby szkołę smaku i zachętę, dojrzałe uzyskałyby spokojność użytkowania z prac swoich. Ale ja coś daleko od mego dziennika odbiegam, — winnam ci jeszcze, Anielko, reszty dnia dzisiejszego opis; zeszła jak najmilej, odebrane dowody uprzejmości nie zatrą się nigdy w mojej pamięci, i już przewiduję, że ten pobyt w Krakowie, na zawsze do najmilszych wspomnień życia mego należeć będzie.

Dnia 28 Maja, w Poniedziałek rano.

Ileżto miłych zamiarów, ile słodkich nadziei znikło w tym poranku, ilużto młodych i dzieci, a za nimi i rodziców przykrego zawodu doznało! Zwyczajem jest tu odwiecznym, że raz w rok, w Maju, cała młodzież akademicka i szkolna ma sobie dany jeden dzień wolny; w nim, o wschodzie słońca, uczniowie idą lub jadą z muzyką do Bielan; tam rektor wyprawia im ucztę, tam do wieczora bawią się wesoło; za nimi pośpiesza część większa mieszkańców Krakowa różnego stanu, i ta wesołość i ludność, złączona z pięknnością miejsca i pogody, tworzy widok zapewne równie przyjemny, jak naszych Bielan Warszawskich. Lecz

któż nadziei ufać może? rzecz tak mała do zniweczenia najpewniejszej wystarczy. Wczorajszy wieczór był śliczny, cały niemal Kraków (i ja do tej należałam liczby) usnął w miłej pewności *majówki*; tymczasem dziś niespodziany deszcz wszystko wspanak obrócił; a jeszcze nie zaczął padać od wschodu słońca, i wielu poszło: teraz na dzień cały się zabrał. Żal mi bardzo tej młodzieży i tych dzieci; tem bardziej, że wiek ten jeszcze z zawodami nie obeznany: późniejszy to dopiero wie dobrze, iż nadzieje im piękniejsze, tém łatwiej nikną, i nie tak się temu dziwuje.

Wstrzymana w domu niepogodą, opiszę ci, Anielko, co wczoraj z powodu *majówki* o różnych dorocznych obchodach krakowskich słyszałam; lubię takowe obrzędy, radabym żeby je szanowali wszyscy: za ich pomocą zesze wieki stykają się z terażniejszym, a on jakby rękę przyszłości podaje. Wreszcie, rodzą się one ze zdarzeń ważnych i są żywymi ich obrazami. Ludzie zawsze taką mieli potrzebę udzielenia następnym pokoleniom tego, co doznali sami, że póki im w tém staraniu pędzel i pióro nie pomagały, powtarzali zdarzenia mową ustną i naśladowaniem; ztąd początek dawnych podań i obchodów dorocznych; ztąd pochodzi także, iż z oświeceńszych czasów nic takowego nie mamy; bo pamięć ma tak dzielnych pomocników w księgach i sztukach nadobnych, że innych nie potrzebujemy. Szanujmyż więc tém pilniej tę po naddziadach puściznę, bo już do niej bez wątpienia żaden nie przybędzie zabytek. Z dorocznych obchodów tutejszych przechowane są, jak wszędzie w całej Słowiańszczyźnie, *Sobótki*, czyli palenie ogniów w wieczór Śgo Jana, *Rękawka* i *Konik* zwierzyński. — Inne jako to, *Kurek* i *Comber* już zaginęły. *Rękawki* obchód przypada w trzecie święto wielkanocne; wtedy cała niemal ludność krakowska; idzie lub jedzie na drugą stronę Wisły do mogiły Krakusa; podanie niesie, iż w dzień takowy zaczęta, czy ukończoną była. Obchód zaś ten, jako i mogiłę dla tego zowią *Rękawką*, że



podług twierdzenia niektórych, w szerokich, jak dawniej nosili *rękawach*, a jak chcą drudzy, *rękami* naniósł lud wdzięczny i przywiązany ziemię na ten grobowiec. Wieśniacy okoliczni w równej liczbie z Krakowianami się cisną, rano mszy słuchają w pobliżkiej kapliczce, a przez resztę dnia obozują, i weselą się wśród tańców i śpiewów; tłumy chłopców trzymają jakby w oblężeniu górę, na której stoi kapliczka; przytomni rzucają im orzechy, jabłka, bułki, pierniki; a oni na złamanie szyi puszczają się za temi zdobyczami, spychając i przeskakując jeden drugiego. Wszystko to razem składa widok ożywiony i wesoły, mile święta Wielkanocne kończący.

Zdarzenie które obchód *Konika* dorocznie powtarza, jest późniejsze, więcéj téż o niém szczegółów. W oktawę Bożego Ciała, skoro procesya od kościoła Panny Maryi na rynku się ukończy, wszyscy przytomni śpieszą przez Bracką, Wiślną i Franciszkańską ulicę, na równinę za Biskupim pałacem będącą; tam przychodzi zwolna zgromadzenie czyli bractwo *Włóczków* \*) i stawa w zupełnym porządku. Wtedy, przy okrzykach ludu, ukazuje się od wsi Zwierzyńca człowiek po tatarsku ubrany, w zawoju, w żółtych butach i z wielką buławą w rękę; udaje jakby jechał na posuwistym rumaku, w istocie zaś pieszo drabuje na z ręcznie przy-

---

\*) *Włóczkowie* są to ludzie trudniący się spalaniem drzewa na Wiśle; posiadali oni odwieczne prawo spuszczenia drzewa do miasta z miejsca zwanego *Przystanie*; ztamtąd już nikomu nie wolno było prowadzić je dalej, — ten przywilój dany im został w nagrodę waleczności. Jedność i miłość wzajemna są głównym tego bractwa obowiązkiem: na pogrzebowym obchodzie każdego z członków wszyscy znajdować się powinni. Z żup solnych Wieliczki pobierali corocznie na suche dni po dwie beczki soli, oprócz zwyczajnych wynagrodzeń za przeprowadzenie drzewa na rzecz królewską. Dziś zostało im tylko imię; a i to najczęściej w Rybaków bywa przekształcone. Mają dotąd chorągiew z Orłem białym. (Pszczółka Krak. Tom II, k. 193. R. 1820).

strojonym koniku z drzewa; huczna muzyka go otacza. Wielkiego krzyku i popłochu jest przyczyną, bo gdzie największa ciżba, tam się ciśnie i wspina, a niechących mu się ustąpić, buławą, siercią wypchaną, rozgania i bije; narreszcie, złączywszy się z bractwem Włóczków, stawa na ich czele, i z powagą uwieńczonego zwycięzcy jedzie na przedmieście Zwierzynieckie, do gospody, dziś pod Mogiłą zwanój, i tam wódkę i piwo, od PP. Norbertanek z Zwierzynca przygotowane, z licznymi towarzyszami zapija.

Stósownie do podania ludu, taki dziwnego zwyczaju tego początek. Około r. 1281, za panowania Leszka Czarnego, Tatarzy już po trzeci raz plondrując Polskę, podsunęli się aż pod Kraków, który za Bolesława Wstydliwego dwa razy ich ogniem i mieczem spustoszał. Właśnie w oktawę Bożego Ciała, kiedy procesya od P. Maryi rynek obchodziła, kilku przełęcznionych z brzegów Wisły mieszkańców przybiega z wielkim krzykiem, wołając: „Tatarzy weszli do miasta, rabują Zwierzyniec; wpadli do klasztoru PP. Norbertanek, i wnet tu przybędą!“ Złękli się wszyscy, osłupieli, i nikt nie wiedział co począć; ale jeden z Włóczków, odważny i śmiały, porwał za chorągiew swego cechu i krzyknął mocnym głosem: „Bracia! za mną! uderzmy na tych zbójców! wnet ich wypędzimy!“ Te słowa obudziły uspione naglém wrażeniem męstwo; każdy porywa broń i bieży za dzielnym przewódcą. Zwycięstwo uwieńczyło te usiłowania, wypędzeni Tatarzy, wódz ich i wielu żołnierzy zabici. Wdzięczny i radośny lud, ubrawszy naczelnika swego i wybawcę w suknie zabitego jego ręką hetmana Tatarów, zaprowadził go w tryumfie przez Zwierzyniec do biskupiego pałacu, przy niezmiernych całego pospólstwa okrzykach. Chcąc zaś przechować pamięć wybawienia i zbawcy, lud wymyślił doroczny ten obchód, a wdzięczne panny zwierzynieckie obowiązały się dostarczać piwa, wódki i pewną kwotę pieniędzy. — Ten obchód ponawia się dotąd, już blisko od sześciu wie-

ków. Jak mi powiadano, terażniejszy jeździec konika zowie się Kulisiewicz, ma już lat przeszło sześćdziesiąt, ale pełen jeszcze żywości i siły; jest jednym z przedniejszych Włóczków, i w prostej linii od owego wybawcy Krakowa ma pochodzić.

Zarzucony już *Kurek* był jednym z najświetniejszych obchodów; sprawiało go towarzystwo czyli szkoła strzelecka, której podobnych wiele dotąd w Niemczech widzieć można. Zapewne i do Krakowa ten zakład przez Niemców, a przynajmniej za ich przykładem był wprowadzony; dowodem tego niemieckie nazwisko *Celestetat* (Zielstadt), dane miejscu, gdzie uczniowie tej szkoły ćwiczyli się w strzelaniu do tarczy. To nazwisko dotąd nosi część miasta, gdzie była niegdyś Mikołajska brama. Corocznie zgromadzała się szkoła strzelecka, z nią mnóstwo ciekawych na rynku. Tam wystawiano tarczę wyobrażającą wielkiego koguta, kurkiem zwanego; ubić go było celem uroczystości. Król i dwór cały, panowie najmożniejsi, nieraz bywali temu obchodowi przytomni, a znakomita młodzież puszczała się w zawody z strzelcami. Ubijający skrzydła, ogon i łeb kurka, dostawali w nagrodę półmiski cynowe z wyobrażeniem tych samych szczegółów; kto zaś ostatnią szczelinę tarczy ustrzelił, ten przy hucznych oklaskach, królem kurkowym był mianowany; cała szkoła strzelecka i wielki orszak ludzi odprowadzał go w tryumfie z muzyką i weselem do domu; jeden z członków niósł przed nim kurka srebrnego, który aż do następnego roku, wraz z tytułem króla, u niego zostawał.

Król kurkowy tak wielkie w nagrodę wdzięczności swojej odbierał przywileje, iż rząd w roku 1765, wolał je zmienić na dar pieniężny 3,000 złp. wynoszący; następny zniósł zupełnie i płacę i obyczaj, a teraz nietylko obrzęd ustał, ale i towarzystwo strzeleckie znikło \*). Ostatnim królem był

---

\*) Będąc w Krakowie w roku zeszłym, widzieliśmy cały obchód tej uroczystości, oraz tryumfalny pochód obranego króla; o ile wieny,

Stanisław Piątkowski, obywatel Krakowa; w rękach jego rodziny jest dotąd srebrny kurek, godło nietrwałej i już zgasłej wielkości; pozostali zaś członkowie strzeleckiej szkoły śpiewają piosnkę, która, jak mówią, czasów Zygmunta Staroego sięga, i piosnką braci kurkowych się zowie; oto kilka z niéj strof:

A dalejże kozernicy!  
 Krzeszcie kurki u rusznicy;  
 Który postrzeli koguta,  
 Temu zabrzmi wdzięczna nuta.  
 A kto kurka zbije,  
 Wiwat, król niech żyje!

A dalejże kozernicy!  
 Wsypcie prochu do rusznicy,  
 Niech będzie suchy, siarczysty,  
 Posuwisty i strzelnisty.  
 A kto . . . . .

A dalejże kozernicy!  
 Wbijcie kulkę do rusznicy,  
 Niechaj będzie okrągłuchna,  
 Smagła jak weselna druchna.  
 A kto . . . . .

A dalejże kozernicy!  
 Wprawiajcież się do rusznicy,  
 A gdy przyjdzie czubić Turka,  
 Popamięta pies na kurka.  
 Bóg da! te b. . . . .  
 Król kurkowy zbije  
 i t. d.

---

uroczystość ta powtarza się corocznie; odbywa się zaś w tak zwanym Strzeleckim Ogrodzie. P. W.



Tegoż dnia, w wieczór.

Ustał deszcz po obiedzie, nieoszacowana gospodyni nasza, troskliwa, ażebyśmy każdej przyjemności Krakowa użyły, namówiła nas na dopełnienie przejażdżki do Bielan. Już majówki nie było, rozpierzchła się młodzież, nie zastałyśmy nikogo; ale czekały nas nieodmienne piękności przyrodzenia, któremi droga cała i samo miejsce ozdobne. Bielany pod Krakowem równie jak nasze pod Warszawą, są klasztorem i kościołem księży Kamedułów; położenie ich nawet zbliżone: i tu, i tam Wisła, las i góra; ale są to zupełnie dwie siostry podobne do siebie, z których jedna bardzo piękna, druga tylko tyle, że ładna: Bielany krakowskie są siostrą piękniejszą. Góra wysoka i zarosła, las z dębów, buków i jodeł odwiecznych, przepyszny; widok na Wisłę, Tyniec, Lanckoronę, Tatry, Karpaty, rozległy, rozmaity, malowniczy. Warszawskie za to wybornością drogi przechodzą krakowskie,—bo co do tych, dostać się trudno, zwłaszcza po deszczu; lecz któż nie wie, że:

Miła do róży ścieszka,  
Choć za cierniami mieszka.

Nie wiem kto jest twórcą Kamedułów reguły, było zapewne człowiek surowy i wstrzemięźliwy, bo im mówić i jeść mięsa zakazał; obok tego musiał oceniać piękności natury: ilem widzieć i słyszeć mogła, zawsze dla tych zakonników samotnych, lecz nadobnych miejsc dobierają. Łatwo pojąć, że wesole położenie mieszkania, może głuche jego milczenie ożywić, bo odmienność widoków zastępuje niejako nowinowość, a wdzięki przyrodzenia tyle myśli podają, tak unoszą wysoko duszę, iż człowiek wśród nich nie czuje zapewne samotności. Mnie tak się podobały Bielany, ten widok czarujący, te domki schludne i wygodne, te ogródki takie ładne i tak bogate w kwiaty, a nadewszystko ta sa-

motność i to milczenie, że w uniesieniu szczerze się zapytałam przewodnika: „Czy gdzie Kamedulek nie ma?“ „Zaden twórca zakonów tak okrutnym nie był, ażeby miał zakazać kobietom mówić!“ odpowiedział. Te słowa wesołym śmiechem zapął mój przerwały. Nie mam ja żadnego powołania do samotnego życia; sądę, że wśród ludzi można wieść dni milsze, ale przecież są podobno dla każdego chwile takie, w których chciałoby się mieć daleko od ludzi domeczek mały, gdzieby nikt przyjść nie mógł, gdzieby można przepędzić godzin kilka w zupełnej samotności i milczeniu. Domki Kamedułów przedziwny mają rozkład; w każdym jest w środku sień spora, po jednej stronie izba z dwoma oknami, po drugiej kapliczka i skład, a każdy domek jest w ogródku. Przyznaj, Anielko, że to wabić może.

Mikołaj Wolski z Podhajec, marszałek w. koronny, za panowania Zygmunta III wystawił ten klasztor i kościół, i z zagranicy sprowadzonych Kamedułów osadził tu w r. 1609. Kościół jest wspaniały, obszerny, wiele w nim marmurów, i czystość wielka. Malowania niektóre wcale piękne: w wielkim ołtarzu jest obraz Wniebowzięcia Matki Zbawiciela, pędzla pracowitego Stachowicza, bo dawny wraz z dachem kościelnym i wielu sprzętami spłonął r. 1814. Niegdyś raz tylko na rok, w dzień 19 Czerwca, wolno było kobietom być w tym kościele, lecz teraz zwolniało to surowe prawo. Domków jednak płeć nasza zwiedzać nie może bez pozwolenia biskupa. Dawniej był fundusz, i dotąd jest miejsce na czterdziestu księży; dziś z będącymi w nowicyacie jest tylko dziesięciu. Tu i umarłych mieszkania mogłyby wabić żyjących: nie widziałam jeszcze nigdzie tak porządných i czystych grobów. Pod kościołem jest, jakby druga świątynia: w niej chowani są kolejną zakonnicy. Imię, nazwisko, rok urodzenia, przyjęcia sukni klasztornej i śmierci, składają napis cały. Krótko, bez szczegółów, ale przynajmniej czysta prawda: mało nagrobków tym przymiotem szczyć się może.

Jadąc do Bielan zboczyliśmy trochę, żeby wstąpić do prawdziwie romantycznej ustroni, do ładnej wioski *Przegorzaly* zwanój. Wiész dobrze, Anielko, kto w niej w tój porze mieszka; wiész także, iż między powodami radości mojej, gdym się wybierała do Krakowa, była nadzieja oddania hołdu cnotliwemu obywatelowi, który w czasie zbyt krótkiego urzędowania potrafił tyle zrobić dobrego, tyle serc zobowiązać, że trwają dotąd i trwać będą na zawsze, w kraju i w pamięci, ślady mądrości i dobroci jego; cieszyłam się, że zobaczę z blizka ten przechowany wiernie obraz owych dawnych patryarchów, którzy „drogą cnoty do sędziwości doszli, których wieńcem starości są cnotliwe dzieci, i dzieci tych dzieci;“ ale od czasu jak kosa śmierci ścięła z tego wieńca kwiat pierwszy \*), kwiat tyle wszystkim miły, mąż ten szanowny obcych widywać nie chce. Nie miałam więc szczęścia go widziéć; już dzień ten cały był przeznaczony zawodom. Jednak to przeznaczenie zmieniło się w wieczór, wezwana do miłego towarzystwa, spodziewałam się zabawić dobrze i zabawiłam się przedziwnie.

Dnia 30 Maja, we Środę.

Obok najmilszych i towarzyskich przyjemności, któremi nas otaczają uprzejmi nad wszelki wyraz mieszkańcy Krakowa, ledwie przez te dwa dni znalazł się czas do obejrzenia dokładnego *akademii krakowskiej*, jój biblioteki, gabinetów i kościoła. Akademia Jagiellońska ma za sobą lat powagę, urok wspomnień i cechę starożytności, a chociaż nie przedstawia oczom owych wielkich gmachów, do

---

\*) Feliks Pomian hrabia Łubiński, były minister sprawiedliwości, najstarszego syna z dziesięciorga dzieci w zeszłym roku utracił.

których nas przyzwyczaiły budowle nowożytnych, do umysłu i serca przemawia. Przy dosyć wązkiej stojąc ulicy, przy ulicy Św. Anny, jest ścieśniona, i tém samém przypomina wieki kiedy stawianą była. Zaraz przy wejściu, po lewej ręce, wpada w oczy i zadziwia siedząca w małej celi drewniana figura. Będzie ci miło zapewne, kochana Anielko, wiedzieć szczegóły jakie o życiu osoby, którą ma wyobrażać? masz więc skrócony jój żywot z dzieł wymownego Skargi wyjęty.

„Jan Kanty urodził się w krakowskiém biskupstwie, w miasteczku Kenty, r. 1412, z uczciwych rodziców Stanisława i Anny; w młodości, karmiąc się przykładami domowej pobożności, nasienia wielkich cnót w sobie pokazywał. Oddany do akademii krakowskiej, prędko nietylko w naukę, ale i w obyczaje uczciwe chrześcijańskie podraستاł, i wszystkim był wdzięcznym i miłym kwiatem młodości. Niedługo zgodnym głosem nauczycieli swych pochwalony, bakalarskim pierwój, a potém mistrzowskim tytułem ozdobiony został. Wiele czytając, i te pożytki w młodych głowach i sercach rozmnażając pomyślnie, godnym stał się wezwania na ustawiczną robotę, na objęcie katedry teologii. Na niej pilność wielką i życzliwość ku słuchającym okazywał, i przyjął wnet święty stan kapłański. Wtedy codzień przeczystą ofiarę sprawując, błagał Boga za swoje i ludzkie grzechy, codzień więcej od świata się odrażał, do nieba przychyłał. Zaczął pędzić surowsze życie, ale uprzejmie serce swoje oddawał Stwórcy, i nic więcej nie pragnął, jedno mocną miłością do Boga się przypoić, i pełnić wolę Jego. Po kilkunastu latach umyślił pójść do Ziemi Świętej i grób Zbawiciela odwiedzić; dostawszy towarzystwa téjże samej myśli, wybrał się do Jerozolimy, żadnemi trudnościami na ziemi i morzu ani niewolą u Turków, odstraszyć się nie dając. Wziąwszy pozwolenie i błogosławieństwo od biskupa, puścił się tedy w oną daleką drogę; chociaż mógł jechać, nie używał koni,



ale tłumoczek swój niosąc, szedł pieszo, póki ziemi stało. Zaszedł nareszcie zdrowo na miejsce, i uwielbił Zbawiciela, tam gdzie On dla nas poniżenie i śmierć srogą poniósł. Przemieszkawszy w Jerozolimie czas niejaki, śmiał i Turkom przyganiać, i do prawdy zbawiennęj ich przywozić; poczem wrócił do domu zdrowy, i za ten przejazd szczęśliwy, choć tak daleki, Boga na ojczystej ziemi wychwalał. Odpocząwszy z utrudzenia, zapragnął jeszcze w Rzymie Apostołów groby nawiedzić, i chodził tam po kilka razy; wielkie trudności w pracy podróżnej podejmując za każdą drogą, dóbr duchownych i pociech w Bogu przysparzał.

„Wróciwszy do prac w akademii, nauczał znowu Pisma Świętego i ciągle do końca żywot bogoboju prowadził. Żył w doskonałych cnotach, bogactw nie pragnąc. Dano mu plebanią w Olkusz, ale on ten urząd prędko złożył, i wolał nauczać w Krakowie. W modlitwie był ustawiczny, w cierpliwości łaskawy, w wierze stateczny, w miłości gorący, w pokorze niski, w rozmyślaniu tajemnic wysoki, w oczekiwaniu mocny, w wstrzeźliwości osobliwy. Jedzenie jego tylko do podpory ciała było; suknia do nagości okrycia, sen krótki, łóżko ziemia goła, a niedźwiedzia skóra w wielkie chyba zimna go zagrzewała. Na schadzkach i rozmowach z uczonymi, gdy mu się co żywiej powiedzieć trafiło, przypomniawszy to sobie nazajutrz w celi swojej, szedł do tych, których obrażonymi być mniemał, i mówił: „Idę do służby Bożej, proszę, odpuscście mi, jeżeli was jakim słowem przykrém obraził.“ To zdanie

Conturbare cave, non est placare svave,  
Infamare cave, nam revocare grave \*).

powtarzał bardzo często, i na ścianie je pisał. Miłosierne

---

\*) Strzeż się obrazić, nie łączno bowiem przebłagać;  
Strzeż się zniesławić: odwoływać przykro.

uczynki nieprzestannie sprawiał \*), potrzebnym pomoc dając, smutnych ciesząc, gości i pielgrzymów przyjmując, więźnie nawiedzając. Co rok kupował szaty i obuwie dla ubóstwa i rozdawał je, a trafiło się nieraz, że spotkawszy w zimie bosego nędzarza, dawał mu własne trzewiki, a okrywając gołe nogi swoje spuszczeniem płaszcza, śpiesznie do domu powracał. Gdy przyszedł czas zejścia jego, będąc już i w lata i w dobre uczynki pełnym, zachorował; w ciągu choroby często miał w ustach tę modlitwę: „Najwyższy Boże Ojcze! źródło wiecznej sprawiedliwości, który z niewymownej dobroci swój wszystko tworzysz, początkiem i przyczyną pierwszą natury wszystkięd będąc; który niezmierną mądrością i opatrnością swoją wszystko umacniasz, rządzisz, ożywasz, uskramiasz i wzbudzasz; któryś jest Bóg jeden w Trójcy, prowadź mnie przez nieobjęte miłosierdzie Twoje, wysługi i mękę najmilszego Syna Twego do siebie i do szczęśliwego końca; lubom dla grzechów moich niegodny, abym Cię w królestwie Twojem wychwalał i dziękował na wieki.“ Opatrzywszy się świętym wiatykiem, upominał towarzyszków swoich do spólnej miłości, pobożności i wszystkich uczciwości. Umarł r. 1473 w samą wigilią Bożego Narodzenia, z wielkim wszystkich żalem.“ Wszak prawda, Anielko, że teraz ta starożytna figura nabrała ceny w twych oczach; lubię przechowaną pamięć cichój i pokornój cnoty, lubię opis życia człowieka, który nic więć nie czynił, jak to, co czynić był powinien: bo kto czas jakiś pożyje, widzi, że i to nie małą bywa pracą i sztuką.

---

\*) Wyczytuję w dziele ks. Pruszcza, „Klejnoty miasta Krakowa etc“ następujący o Janie Kantym szczegół: „W kolegium akademickim, Juristarum rzezonem, zrobił fundusz wieczysty, z przykazem, żeby profesorowie tego kolegium wspólnie jadal, i zawsze u stołu mieli ubożego, równą swojej porcyą mu dając; wchodzącego do izby jadalnej, witać kazał temi słowy:

Pauper venit: Christus venit.

Uboży wchodzi: Chrystus wchodzi.

Po drugiej stronie wchodu do akademii jest ołtarz, przed którym Jan Kanty się modlił. Dziedziniec akademicki nie bardzo obszerny, ale zdaje się, że od początku założenia ten sam; zupełnie starożytną postać mają te krużganki — nie wspaniałością ale wiekiem uszanowanie wzbudzają; wystawić sobie można łatwo, że temi samemi schodami chodził niegdyś młody jeszcze, a już zamyślony Kopernik, chciwy nauki Gdańszczanin, i tylu innych, którzy, pracując ochoczo i pilnie w młodości, przynieśli w wieku dojrzałym tyle zaszczytu ojczyźnie, i rozslawili po świecie tę pierwszą i główną szkołę polską; bo cóż więcej wslawić może szkołę nad uczonych i cnotliwych uczniów? „Przesławna zaś akademія krakowska (są to słowa Skargi), królów polskich szczęśliwa fundacya, korony téj ozdoba i Kościoła podpora, jako dobre drzewo dobrych wiele owoców w mężach sławnych, których błogosławiona pamięć zostaje, rodziła i rodzi; którzy żywotem chwalebnym, nauką i pracą, na zniwie Bożém i wychowaniu młodzi lata swoje trawiając, pomocne nam do zbawienia i cnót wysokich zostawili przykłady.“ Dziejów akademii można powziąć wyobrażenie w *sali Jagiellońskiej*. Jest to gmach bardzo zajmujący, a nawet i piękny; są w nim zabytki starożytne, jako to: okna wielkie gotyckie w małe szybki, a w miejscu sufitu powała w czworoboki, z których środka wychodzą róże złote rozmaitego kształtu; tam od wieków odbywają się narady, posiedzenia, wszystkie uroczystości akademickie. W ostatnich czasach prawie zupełnemu ta sala uległa zniszczeniu, ale starania gorliwego obywatela, księdza Sebastjana Sierakowskiego, przywróciły całość temu dziełu królów, téj drogiej po dawnych wiekach pamiętce, a pod jego światłem przewodnictwem, pędzel Stachowicza, w jedynastu obrazach na ścianie malowanych, wystawił akademii dzieje.

Wiadomo każdemu, że ta szkoła główna pierwszy byt swój winną Kazimierzowi W. On widząc, że młodzież pol-

ska początki tylko nauk biorąc w ojczyźnie, jeździć musi do Włoch i Francji dla doskonalenia się w nich, idąc za przykładem cesarza Karola IV, który w r. 1360 akademię w Pradze założył, postanowił toż samo w Krakowie uczynić. „Niech będzie, rzekł, w stolicy naszej nauk przemożnych perła, aby wydawała męże dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót świetne, i w różnych umiejętnościach biegłe. Tam niech będzie wylewne źródło, z któregoby pełności mogli czerpać wszyscy, wyzwolonemi naukami napoić się pragnący.“ A idąc za radą Jarosława Bogorii arcybiskupa Gnieźnieńskiego, sprowadził uczonych z postronnych krajów, zbudował piękne gmachy w wiosce Bawół zwanéj (dziś Kazimierz); wyznaczwszy téj nowéj akademii miejsce, rząd, bezpieczeństwo i dochody, nadał jéj publicznie dyplomata, w Maju r. 1364, które ówczesny papież Urban V, potwierdził przywilejem swoim, wymawiając tylko, ażeby teologii w téj szkole nie uczono. To mądrego króla nadanie treścią jest *pierwszego* w sali *Jagiellońskiego* obrazu.

Ale zakład każdy w zawiązku swoim pilnéj wymaga pieczy; w sześć lat po założeniu akademii umarł Kazimierz; niedbały Ludwik, jego następca, nie troszczył się o nią bynajmniej: już gasła w poranku swoim ta światła narodowego pochodnia, kiedy piękna i cnotliwa Jadwiga rozżarzyła ją dobroczynną ręką, i skłoniła męża do uzupełnienia tego dzieła. Najprzód jako troskliwa matka, dostrzegła, że położenie wsi Bawół było niezdrowe, choroby pomiędzy mistrzami i uczniami sprawiało; umyśliła więc przenieść akademię w środek miasta; zaczęto wznosić niedaleko rynku dziś jeszcze stojące gmachy; Jadwiga klejnoty, dochody swoje w nie sypała, i nieraz przychodziła doglądać sama ich wzrostu. Przedstawiwszy następcy Urbana, Bonifacemu IX, że Litwa, gdzie dopiero nasienie wiary wrzucono, potrzebuje prędko być obsadzoną rodowitemi teologami, nakłoniła go do uchylenia zakazu poprzednika, i katedra teologii otwar-



tą została w Krakowie. Zawczesna śmierć nie pozwoliła Jądwidze dożyć tego dnia pięknego, w którymby przeniesienie akademii ujrzała; zgasała przed samem tych gmachów ukończeniem: mąż jój, chcąc uczcić pamięć żony, prawie w rocznicę jój zgonu, r. 1400, przeprowadza akademią do Krakowa. Ta uroczysta i wspaniała procesya jest przedmiotem *drugiego obrazu*.

W *trzecim* Jagiełło instaluje akademią; w *czwartym* zapewnia jój byt i przywileje przez kanclerza państwa; a w *piątym*, siedząc w téjże samej sali jego imieniem uczczonój, jest świadkiem, jak Piotr Wysz z Radolina, biskup krakowski, otwiera katedrę prawa kanonicznego, i pierwszą swą lekcję w obecności licznych daje słuchaczy. *Szósty obraz* wystawia mogiłę Krakusa, a na niej doświadczenia fizyczne czyni ów tajemniczy Twardowski \*), który i za życia i po śmierci nie znany, póki żył za czarnoksiężnika ucho-

\*) Taka zdaje się być najprawdziwsza Twardowskiego historia. W początkach XV wieku skończył szkoły w akademii krakowskiej; bystrością swego geniuszu wzniosłszy się nad rówieśników, dla różnych postrzeżeń i doświadczeń fizycznych, lubił przesiadywać na Krzemionkach i mogiłę Krakusa, a ztąd wnieśli, że miał tam szkołę czarnoksiężką i porozumiewał się z czartami. Obyczajem owych wieków, udał się na wędrowkę do obcych krajów, i zaraz w Polsce urosła bajka, że go czarci porwali; tłómacząc nazwisko swoje przydomkiem *Fest*, twardy, mocny, które przerobiono na *Faust*, obiegł pod nim większą część Niemiec, osiadł w Moguncyi, i tam, jak chcą niektórzy, stał się jednym z wynalazców drukarskiej sztuki. Na starość wrócił do ojczyzny; ztąd w Niemczech rozgłoszono także, iż czas układowi jego z duchami piekielnymi naznaczony upłynął, i uległ swemu losowi. Być bardzo może, iż pierwsze druki krakowskie, o które dziś wątpliwość, jego są dziełem. Jego mienią być także autorem *Godzinek*, dotąd po kościołach śpiewanych, i jak mówią tą pracą wybawił się od przemocy piekła. Bądź co bądź, Twardowski jest jednym z zajmujących bohaterów naszej romantycznej starożytności, i Mickiewicz go uwiecznił w swojej wybornej balladzie.

dził, a dziś do sporów między uczonymi jest powodem. *Siądmy obraz* podzielony na dwie części. W *pierwszej* czterech członków Akademii przyjmuje czterech delegowanych od stanu rycerskiego, których sejm elekcyjny, r. 1375, wysłał radząc się i pytając téj szkoły głównej, za kim jest: za Batorym czy za cesarzem? *Druga* część wyobraża rektora z professorami w urzędowych strojach, czekających na wprowadzenie delegacyi; mile zajmuje umysł to szukanie rady i zdania u mądrych w tak ważnym wyborze: ten krok zaszczyca i naród, który go uczynił, i zgromadzenie, które się godnym okazało takiego zaszczytu.

Z treści *ósmego obrazu* możnaby zajmującą powieść utworzyć. W d. 30 Listopada 1384 r., miała akademia rektora mianować, i padł wybór na Marcina z Pilzna. Jak zwykle w takowym razie, było publiczne nabożeństwo w dawnym akademickim Ś. Anny kościółku, a panująca wówczas Anna Jagiellonka obecna mu była; bo ta dobra królowa każdym ważniejszym wypadkiem się zajmowała. Znając dobroć jęj serca i wyrozumienie, gdy wychodziła z kościoła, nowy rektor wraz z profesorami ofiarował jęj skromną ucztę akademicką. Przyjęła jak najchętniej, siadła do stołu, a tyle była szczęśliwa radością przyjmujących ją, iż w czasie uczyt zdjęła bogaty łańcuch z swęj szyi, i prosiła, ażeby go zachowano w Akademii, na wieczną dnia tego pamiątkę.

*Dziewiąty obraz* jest najpiękniejszy. Za panowania Zygmunta III-go, Akademia poniosła znaczny uszczerbek w swych prawach, gdyż król ten uchylił jęj opieki, a wspierał nią świeżo sprowadzone do kraju szkoły jezuickie. Przejęci tą krzywdą professorowie, wyjednałszy posłuchanie u króla, stawają przed nim; na czele ich jest rektor Jakób Nejmanowicz. Ten w tkliwęj przemowie losy Akademii przedstawia, przywodzi na pamięć mądrego Salomona, który, gdy dwie matki do jednego przyznawały się dziecięcia, umiał rozpoznać prawdziwą; i to wyrzekłszy, na stopniach tronu

składa ustawy, przywileje Akademii, godło jój, dwa berła, i tę szkołę główną jako rozwiązana uważa. Zygmunt tknięty, Salomonem się na ten raz okazuje, prawej matce oddaje dziecię, dawne przywileje powraca, a w zakład dalszej przychylności trzecie i własne berło do dawnych dołącza. Odtąd *trzy berła* herb czyli godło Akademii krakowskiej stanowią. *I dziesiąty obraz* tej szkole głównej zaszczyt przynosi. Kiedy za czasów nieszczęsnego Jana Kazimierza, w r. 1655, Karol Gustaw najechał Polskę i wziął Kraków, Akademia nie podpisała warunków poddania się tego miasta; a w roku następnym, zawsze wierna prawemu królowi, nie chciała złożyć przysięgi wymaganiej dla Gustawa przez szwedzkiego rządę, Pawła Wirtza! Zwycięzca, rozparty w krzesle, pogląda z zdziwieniem na niezachwianych w wierności mężów, naprzeciw niego siedzących.

*Jedynasty obraz* i ostatni, wystawia smutny widok rabunku biblioteki Akademii przez Szwedów; skarbów wówczas zabranych i tam i po całej Polsce, dotąd poszukują w Sztokholmie gorliwi i uczeni rodacy.

Z tej sali, którą zdobią jeszcze godła wszystkich nauk i kunsztów symbolicznie wystawione, różne napisy, wizerunki sławnych najprzód uczniów, potem mistrzów tej Akademii, przeszliśmy do jój *Biblioteki*.

Wysoko cenię tę gałęź skarbów ludzkich; owe składy myśli tylu wieków; i do mnie bibliotekarze nie mogą mieć żalu, jaki dowcipnie w swych dziełach do niektórych wyrażają gości. Ja, tak jestem szczęśliwa kiedy wejdę do zamożnej biblioteki, tak zdumiona tém mnóstwem ksiąg, tak chciwa, ażeby choć iskierkę światła wynieść z tego ogniska, że nie pytam się, nie mówię, tylko patrzę i słucham; tak i dziś uczyniłam, będąc w tej najdawniejszej w kraju naszym publicznej bibliotece; tém bardziej, że nietylko jój ciekawą byłam, ale i szanownego jój dozorca i opiekuna. W zwiedzeniu księżnic naszych, mam szczęście, którego nie

jeden zazdrościć mi będzie; warszawską pokazywał mi *Lelewel*, a krakowską *Bandtkie!* Mąż ten tyle znany literackiemu światu, tyle zasłużony naukom krajowym, kocha zupełnie ojcowskiem uczuciem bibliotekę, która jemu poniekąd odzyskanie bytu winna; kocha ją nawet z pewnym do drugich żalem, iż mało kto zarówno z nim ten skarb drogi ocenia. Z tego co on nam dziś mówić raczył, z tego co dawniej z dzieł jego i *Lelewela* wyczytałam, pozwól Anielko, że ci ułożę rys krótki historii biblioteki Akademii krakowskiej \*). Wszak miła dzieciom wiadomość o skarbach ojczystych.

Chwilę jój zawiązania uczony *Bandtkie* odnosi do czasu, w którym przez *Jagiellę* do Krakowa, Akademia przeniesioną została, to jest do r. 1400 i króla tego za prawdziwego założyciela téj głównej szkoły uważa; tyle bowiem znikczemniało za niedbałego *Ludwika* dzieło *Kazimierza*, że zupełnego potrzebowało wznowienia. Biblioteka zawiązała się z darów; najdawniejszym z dochowanych dotąd jest dar *Jana*, syna *Andrzeja* z *Nissy*, *Listy ś. Pawła*, w roku 1166 przepisane; tą drogą z bogacała się ciągle; fundusze bowiem pieniężne tak zawsze były szczupłe, że nic kupować nie mogła. Darów tych nie składali bynajmniej królowie; pierwsi z rodu *Jagiellów* nie znali się bardzo na naukach: wszak dopiero synowie *Kazimierza Jagiellończyka* uczyli się po łacinie; dwaj starsi, *Jan Albrycht* i *Aleksander*, choć dosyć uczeni, nie mieli czasu myśleć o księgach; trzeci z nich, *Zygmunt I*, w *Wilnie* swoją bibliotekę założył; *Zygmunt August* temu podobnież miastu zebrane przez siebie księgi i rękopisma zostawił. *Zygmunt III* świadczył tylko *Jezuitom*, *Władzy-*

---

\*) Ktoby chciał dokładniejszej wiadomości, niech czyta historią biblioteki uniwersytetu *Jagiellońskiego* w *Krakowie*, przez *J. S. Bandtkie* i *Joachima Lelewela*, tom drugi *Ksiąg bibliograficznych*.



sław IV nigdy nie miał pieniędzy i już w Krakowie nie mieszkał. Jan Kazimierz co innego miał do myślenia; wreszcie za jego panowania, już francuzczyzna dwór polski zajęła; następni królowie niczém także do jój z bogacenia się nie przyłożyli: pomnażały się więc jedynie jój skarby hojnością niektórych panów, tak duchownych jak i świeckich, zwłaszcza dawnych Akademii uczniów, a najwięcej zapisami professorów. Ci równie przez życzliwość jak przez sumienność zapisywali jój przy śmierci wszystkie księgi i rękopisma przez życie zebrane; mówię przez sumienność, dla tego, że zwykli byli pożyczać z biblioteki Akademii, a oddawać zwyczajnie nie mieli: dopiero na łożu śmiertelném ruszało ich sumienie, i w chęci wynagrodzenia dołączali do oddanych i własne w darze. Znać, że nałóg pożyczania a nie oddawania był zawsze niektórym Polakom właściwy; jednak według świadectwa szanownego Bandtkiego, wyrodziła się zupełnie w tój mierze od ojców dzisiejsza młodzież akademicka, która tak troskliwie zwraca bibliotece pożyczane w niój książki, iż w przeciągu lat kilkunastu żadna w jój ręku nie zginęła.

Długo, bo do początków XVI-go wieku, nie było ogólnego ksiąg składu, każdy wydział nauk miał osobny zbiór ksiąg i rękopismów sobie właściwych; dopiero 4 Marca 1517 roku, Tomasz Obiedziński podał myśl wyporządzenia dwóch sal, na wspólną bibliotekę i dał na to zł. 60 \*); inni professorowie poszli za jego przykładem i wnet uzbierała się potrzebna summa: te obie sale dotąd korpus biblioteki stanowią, i nazwisko *Obiedzińskiego* noszą. Z salami zaczął się większy biblioteki porządek: przyszła do pułek i do pulpików, do których księgi szacowne, a dla ogromu swego miej-

---

\*) 60 zł. ówczasowych, wyrównywiają dzisiejszym 800, podług tablic w dziele Czackiego o prawach pol. i litew.

scowe, łańcuszkami przytrzymywano; zaczęły się téż w tym czasie księgi rozmnażać przez upowszechniające się codzienniej używanie druku \*).

Już i Kraków miał swoje drukarnie \*\*), łatwiejszém więc zostało ksiąg nabywanie, ważniejszą sprawą strzeżenie ich; miała więc w owym czasie i w następnych latach biblioteka Akademii krakowskiej prefekta, kuratorów, kustoszów, prowizorów swoich, i w pomyślnym była stanie; ale z elekcyjnym rządem, jak kraju, tak i jój los się odmienił; zwłaszcza po śmierci Batorego, gdy wszystko upadać zaczęło, Akademia i jój biblioteka wielki cios poniosła. Później, w czasie wojen szwedzkich i kozackich, znacznie ucierpiała; przy niedostatku starania i baczości reszta ksiąg pozostałych butwiała, psuła się; pulki i pulpity spróchniały, księgi padały na ziemię: wtedy ówczasowi bibliotekarze zapakowali w skrzynie część znanych i nieznanych, najdroższych i mało wartych zabytków, i stały te skrzynie od r. 1700, lub 1699, do r. 1774. W tym czasie ks. Putanowicz został bibliotekarzem, i on pierwszy zaczął troskliwiej o księżnicy téj myśleć. Nastąpiła téż w kraju pora dla nauk pomyślniejsza; już w pierwszej połowie XVIII-go wieku, Załuscy i inni o ich wskrzeszeniu myśleli; nie doszedł jednak tyle ten wpływ dobroczynny do biblioteki Akademii, ile z ogólnego popędu spodziewać się można było.

Zdaje się, że Stanisław August miał zamiar przenie-

---

\*) Sztuka drukarska, do której od początku XIV-go wieku potrzebne czyniono odkrycia, jako to: rycie na drzewie i metalu, wynalezioną była właściwie w Strassburgu i Moguncyi, przez Guttenberga, Fausta i Schoefera. Pierwsza księga drukowana z wyrażeniem daty, dotąd znana, jest Psalterz z roku 1457-

(Lelewela Bib. Ks. tom I, k. 15).

\*\*\*) Są ślady jako drukował w Krakowie Ginter, Zainer r. 1465. Lelewel k. 71).

sienia Akademii krakowskiej do Warszawy, — mniej więc dbał o stan jej pomyślny; jednak za wstawieniem się biskupa Sołtyka, zwróciła i na nią oczy pamiętna ówczasowa Kommissya edukacyjna; brat króla książę Prymas, okazał się wielkim Biblioteki opiekunem, a wybór uczonego Ks. Jacka Przybylskiego, na zastąpienie zmarłego Putanowicza w r. 1784, zdawał się bardzo trafny. Jednak mąż ten zajęty tłumaczeniem klasyków łacińskich, przytém słabego zdrowia, nie mógł tyle uczynić ile smutny stan biblioteki wymagał; a w r. 1797, gdy Astryacy Kraków objęli, oddano ten urząd Anzelmowi Spejzerowi, który go zachował do śmierci, mając pomocnika w uczoneym Wojgcie, który go potem zastąpił; po odjeździe Wojgta, w r. 1808, zawiadywał czas jakiś biblioteką ks. Markiewicz, a w r. 1811 objął posadę szanowny i gorliwy Bandtkie dzisiejszy Bibliotekarz (1827 r.); już on był znany ze swoich prac bibliotekarskich w Wrocławiu: w Krakowie jeszcze z większą dał się poznać chlubą. W jednych salach Obiedzińskiego, panował jaki taki porządek, ale w innych komnatach żadnego ładu nie było: książki rozszarpane, rozdwojone, stosami leżały: najdroższe zabytki zarzucono, a porządných katalogów nie było. Z wielką i niezmordowaną czynnością, z narażeniem zdrowia i wzroku, po dziesięcioletniej pracy, Bandtkie urządził całą tę książnicę. „Z obumarłej i próchniejaczej, stała się żyjącą, odświeżoną, czerstwą; z przestarzałej słabości dzwigniona do młodzieńczego wigoru, z nieładu trafiła do porządku \*). Pomagali mu w tej pracy gorliwi i uczeni mężowie: Józef Sołtykiewicz, Feliks Radwański, Florjan Kudrewicz. Nie dosyć na tém, jeszcze obrotom szczęśliwym powierzanych sobie funduszów i ksiąg wymiana, z bogacił niezmiernie bibliotekę krakowską; dziś liczy ona z okładem

\*) Lefewel Bibl. Ks. Tom. II. kar. 172.

2,100 rękopismów, przeszło 35,000 dzieł, do 20,000 rozpraw i zeszytów.

Między rękopismami ma dzieła klassycznych starożytnych pisarzy, między drukami wiele *inkunabulów* czyli dzieł najpierw drukowanych, po wynalezieniu tój nieocenionój sztuki; ma atlasy i niemały zbiór kart geograficznych, zwłaszcza Polskę wyobrażających. Szanowny Bibliotekarz, któremu ktokolwiek nauki miłuje, i chwałę narodową ceni, wdzięczność i szacunek winien, pokazywał nam niektóre osobliwsze rękopisma i księgi. Nie wszystkie zostały mi w pamięci, ale przynajmniej o niektórych wspomnąć mogę. Zastanowiła mnie bardzo księga ogromna, znana pod tytułem *Libri Magni*; była jedną z tych, które na łańcuszku trzymano, długo uważali ją wszyscy za dzieło Twardowskiego, a jako na owoc czarnoksiężnika pracy, jedni z wstrętem, drudzy z bojaźnią patrzyli; tymczasem dowiedziona jest rzeczą, że taka księga, która rodzaj Encyklopedyi w sobie zawiera, jest dziełem *Pawła z Pragi, Zidka*, nominata Ołomunieckiego, spisana koło r. 1459, nad którą zapewne kilkanaście lat pracować musiał. Głosiła długo sława o tój księdze, że z niój *wszystkich rzeczy* nauczyć się można, a jednak Paweł Zidek, uczeń Akademii krakowskiej a Czech rodem, choć pisał i inne księgi w ojczystym języku, w takim był niedostatku, że tak o sobie w jedném miejscu wspomina. „Ja Mistrz, Doktor najstarszy krakowski, wiedeński, padewski, bonoński, czeski, tak w Pradze teraz jestem uciśniony, że pies wie swoje miejsce i bydło, a ja go nie wiem.“ Tak to nauka i uczone tytuły nie zawsze chleb dawały!

Zajął mnie także swoją pięknoscią rękopism na pergaminie, *Pliniusza starszego historia naturalna*, dalej *listy Pliniusza do Wespazjana*, z napisem jako darował bibliotece tę księgę, w r. 1471, wielebny Ojciec ksiądz Jakób z Sienna, a kupił w Bononii za 64 florenów czyli dukatów:



uż wtenczas księgi płacić umiano. Zajęły mnie jeszcze wię-  
cój, jako zabytki ojczyzste: *Zbiory kazań* dwóch sławnych  
mówców za panowania Jagiełły, *Mikołaja Wigandy* i *Pawła*  
*z Zatora*; pierwsze spisane koło r. 1407, drugie późniój;  
mają to być tylko zarysy kazań po łacinie nakreślone, mó-  
wione zaś były do ludu po polsku: byłoby rzeczą ciekawą,  
gdyby kto dziś zajął się ich wypracowaniem, zwłaszcza  
gdyby się starał prostotę mowy ówczesnej zachować. Pawła  
z Zatora kazanie, na pogrzebie Jagiełły miane w r. 1434  
wspominane jest jako tkliwe i rozrzewniające. Widziałam  
jeszcze *Niesieckiego Herbarz* pomnożony przypisami własno-  
ręcznymi *Krasickiego*; ten byłabym rada zabrać z sobą choć  
na dni kilka, ale tak nie mogłam nic schwycić.

Z znacznej liczby rękopismów i ksiąg rzadkich, jesz-  
cze jedna została mi w pamięci. Zawiera ona wpisy wielu  
królów i sławnych ludzi, szkoda tylko, że od r. 1775 obró-  
cono ją na księgę gości, i bez wyboru wszyscy zostawiali  
w niej swe nazwiska, dopóki się nie napełniła. Tytuł jój  
następujący: „Quarta pars metricae incorporatorum Universi-  
tati crakoviensi Principium;“ to jest *Czwarta część metryki*  
*wcielonych do Akademii Książąt i celniejszych osób*. Jaka szkoda,  
że trzech powyższych nie ma; w pierwszej musiał być ów pod-  
pis Władysława Jagiełły, o którym w historii Akademii  
jest wzmianka: możeby się tam ręka Jadwigi i Kazimierza  
W. znalazła. I dwie średnie musiały w sobie znakomite  
imiona zawiierać; w pozostałej, która do 97-jej stronnicy  
szacowne mieści podpisy, król Henryk Walezy najpierwój  
się wpisał; po nim Stefan Batory, Anna Jagiellonka, Jędrzej  
Hrabia z Tenczyna, inni Panowie, Zygmunt III, Władysław  
IV, wtedy jeszcze królewic, Konstancya macocha jego, Ma-  
ryna carowa z ojcem i matką, różni sławni mężowie polscy  
między którymi i wielki Zamoyski, cała rodzina Sobieskich.  
Niektóre z tych wpisów ozdobiono wieńcem i pochwałą,  
i byłoby do życzenia żeby część początkowa téj księgi wy-

litografowaną była. W natłoku późniejszych podpisów są niektóre bardzo drogie: widziałam imię Kościuszki, króla Saskiego, księcia Józefa Poniatowskiego.

Pakazywał nam także szanowny bibliotekarz bullę kanonizacji Ś. Jana Kantego, o którą starano się od r. 1655 do 1767, i która przeszło sto tysięcy talarów kosztowała. — Dotykałam się z uszanowaniem bereł srebrnych, owego Akademii godła, myśląc przez wiele rąk szanownych piastowane były; piękne, kształtne, mają napisy swoje.

Jak zewsząd gdzie wiele pamiątek ojczystych, książek i papierów, tak i z téj biblioteki z żalem wyjść mi przyszło, w podobnych tylko razach mężczyznom zazdrosczę, — zarazbym wróciła do tego nauk skarbcu, a uzbrojona w papier i pióro chwytałabym ciekawe i dokładniejsze wiadomości, — ale kiedy należę do płci, której tylko nawiasem uczoną być wolno, i ty Anielko, i czytelnicy muszą być tym nawiasowym opisem zaspokojeni.

Zwiedziłyśmy także wszystkie ciekawsze gabinety: fizyczny, chemiczny, mineralogiczny, w którym jest zbiór bardzo piękny kruszców, kamieni i innych tego rodzaju osobliwości, — dar księdza Sołtyka. Kiedy widzę podobne zabytki, cieszę się, że i ta gałęź bogactw sztuki i natury wielbicielew znalazła, ale oraz się dziwię, bo wyznam szczerze, iż nad djament najrzadszy przekładałam każdą dobrą książkę, każdy rękopism szacowny. W każdym z tych gabinetów byliśmy przyjmowane i oprowadzane przez szanownych profesorów, z tą uprzejmością i tém pobłażaniem, które ludzi grzecznych i prawdziwie uczonych cechują. — W szkole rysunków widziałam obraz tuszem robiony ręką Smuglewicza, wystawiający Arystyda, czyli sąd skorupkowy, i pierwszą myśl obrazu Ś. Piotra przez Czechowicza \*) rzuconą, którą potem na większą miarę wykonał.

---

\*) Jeden ze sławniejszych malarzy Polaków.

Mówiono mi, że jest przy Akademii tutejszej wiele *burs*, czyli zakładów dla ubogich uczniów, tak z dawnych jak z późniejszych czasów, bo zawsze byli między Polakami ludzie dobroczynni. Najznacniejszy zakład jest Nowodworskiego, Kawalera maltańskiego, który majątny a bezzenny, dopomagając ubogiej młodzieży, wypłacił się krajowi; do tego zakładu biskup krakowski, Zadzik, dodał fundusz na 30-tu uczniów, pamiętając, iż z biednych rodziców zrodzony, uczył się w bursie Nowodworskiego, i naukę w niej nabytą, doszedł do majątku i znaczenia. Jeśli wielcy i bogaci z urodzenia panowie nie zawsze są dobroczynni, mniej to jeszcze dziwić może; oni zgadują tylko drugich potrzeby: ale ci, którzy opieką innych i własną pracą do godności i majątku dojdą, jakże chętnie braci wspierać powinni. Do wielużto czynów ludzkości pobudza to proste przypomnienie: i ja byłem ubogi — i mnie rękę podano.

Na zakończenie odwiedzin Akademii, byłam w jej kościele, opiece Ś. Anny oddanym i niezmiernie mi się podobał. Jest podanie, iż na tém miejscu była dawniej bóżnica, ale gdy z téj ulicy Żydów wypędzono, przerobioną została na kościół akademicki; stał tak długo; w nim Anna Jagiellonka rada bywała; ale zniszczony był i groził upadkiem: rozebrano go więc, a w tém samém miejscu biskup Małachowski, w r. 1689, kamień węgielny założył téj świątyni, która dziś się wznosi, i tak mile w oczy wpada i do serca przemawia. Nie mogę wypowiedzieć, jaki powab ma dla mnie; prawda, że łatwo podobać się może, bo piękna, smakowna, na podobieństwo kościoła Ś. Jędrzeja w Rzymie stawiana; ma wcale nie złe malowania, zwłaszcza obrazy w chórze, piękne marmury, śliczne płaskorzeźby, lecz prócz tego wszystkiego, ma jeszcze swój osobny urok. Przeznaczona od wieków na zgromadzenie pobożne, na modły ludzi poświęconych naukom, nosi na sobie piętno jakiegoś wyższego hołdu niesionego Stwórcy, hołdu, który największy

rozum i geniusz ludzki składać powinien chętnie przed tém źródłem światła, którego sam jest tylko promieniem, iskierką. Prócz wielu nagrobków professorów i uczonych, mieści w sobie ten kościół dwa znakomite grobowe pomniki. Jednym jest wspaniały grób Jana Kantego, drugim pamiątka tkliwości ks. Jabłonowskiego dla Kopernika. Na podstawie z czarnego marmuru, muza astronomii z brązu wieńczy popiersie sławnego męża jedną ręką, a drugą trzyma tarczę, na której dwie gwiazdy: Tarcza Sobieskiego i Ciołek Poniatowskich; po jednej stronie jest glob ziemski, po drugiej świat według układu Kopernika; na podstawie u góry te słowa: *Sapere auso* \*), a niżej między herbami Akademii i Krakowa ten napis:

Nicolaus Copernicus  
Patriae, urbis, Universitatis  
Decus, honor gloria \*\*).

Będąc w tym kościele, ogarnęło mnie życzenie, ażeby wszyscy znakomitsi uczeni polscy mogli tu spoczywać po zgonie, a przynajmniej tu mieć swe pomniki.

Wieczorem udaliśmy się do miejsca bardzo przyjemnego za miastem, które dawniej *Prądnikiem królewskim* zwano; tam obok pięknego niegdyś pałacu, były na téj bystrzej rzece stawy, rybołówstwo królów, miejsce gdzie często po swych trudach wytechnienia w niewinnej zabawie szukali. To siedlisko rozrywkom przeznaczone tak niszczało, jak i gmach w którym narodami rządzili; przed kilkoma laty

---

\*) Temu, co się mądrym być ośmielił.

\*\*\*) Mikołaj Kopernik

Ojczyzny, miasta, Akademii

Ozdoba, zaszczyt i chwała.



nabyła je z Wawrzeckich wojewodzina Badeniowa, ozdobiła kształtnym pałacykiem, i ogród założyła gustowny:

Z dawnych miejsca wielkości mały został szczątek,  
 Świadek ojczystej chluby i polskich pamiątek;  
 W nichto smutnych rozwalin przeszły blask jaśnieje:  
 W nim Krakowianie ojców swych czytają dzieje.

Na drodze z Krakowa do tego miłego miejsca, jest karczma do niego należąca, *Pocieszka* nazwana, która w wielkiej u pospólstwa jest wziętości i imie swoje tej całej ustrojni nadała.

Dnia 31 Maja, we Czwartek.

Poranek dnia dzisiejszego oddany był pięknym sztukom, reszta miłej zabawie; zwiedziłyśmy zajmujące pracownie dwóch amatorów i jednego artysty. Tym jest Wojciech Stattler, młodzieniec już powszechnie ze swego talentu znany. Rodem z Krakowa, okazywał z dzieciństwa wielką do rysunku zdadność, oddał się zupełnie tej sztuce, i w r. 1818 wysłanym został do Rzymu kosztem rządu: tam, gdy po długim naśladowaniu wzorów najlepszych mistrzów, zaczął sam nowe dzieła tworzyć, *głowa starca*, pędzla jego, ściągnęła uwagę sławnego Thorwaldsena, i takie mu dał w języku włoskim świadectwo: „Niniejszém zaświadczam, iż p. Wojciech Stattler, rodem z Krakowa, z powołania malarz, poświęca się zupełnie sztuce swojej, do której okazuje zdadność i skłonność, czego dowodem są dostatecznym prace jego przezemnie widziane, za moim powrotem do tej stolicy; w nich dostrzegłem nagłych postępów coraz większe wróżących; przeto oświadczam, że na opiekę rządu zasługuje swego, i pewny jestem sławy jaką sobie i ojczyźnie przyniesie. Co dla lepszej wiary podpisuję, stwierdzając własną pieczęcią.“

WOJCIECH THORWALDSEN,  
 Professor w Akademii Ś. Łukasza.

Rzym, 27 Czerwca 1821 r.

Stattler wkrótce potem wrócił do ojczyzny; oglądała Warszawa na dwóch wystawach prace jego; dziś w jego pracowni widziałam portret z natury robiony, tak podobny i tak wykończony, że m była w zadumieniu: widziałam i śliczne rysunki. Teraz młody ten artysta wyjeżdża napowrót do Włoch, kosztem hrabi Artura Potockiego, i wątpię nie można, że ziści słowa Thorwaldsena i życzenia rodaków.

Dnia 1 Czerwca w Piątek, w Krakowie.

Już z dwóch tygodni na pobyt w Krakowie przeznaczonych zaledwie dni kilka zostaje, a tyle jest jeszcze do widzenia rzeczy, tyle miłych zabaw, że wszystkiemi więc koniecznie potrzeba naglić; ja nad tą koniecznością niezmiernie boleję: ten pośpiech nie dozwala mi użyć, tak jakbym chciała, to jest używać zwolna chwil tyle przyjemnych. Czemużto najczęściej tak w życiu się zdarza, że kiedy nam dobrze, śpieszyć się ze wszystkiem wypada, i czas tak leci; a kiedy źle—nic nie nagli: godzina za godziną się wlecze. Tak nieraz przy wesołej uczcie naglą biesiadnika, by spełnił tchem jednym czarę wybornego trunku; a gdy go choroba przycisnie, po kropli wysączać mu każdą napój gorzki i niesmaczny. Ale nie ma czasu na porównania, trzeba ci kochana Anielko, jak najspieszniej dzień dzisiejszy opisać.

Wczoraj stanęło, że jutro pojedziemy do Wieliczki, a dziś zwiedzimy kilka kościołów, szkołę klasztoru Ś. Jana i ogród botaniczny. Wszystko to dopełnionem zostało, ale też od szóstej zrana byliśmy w ruchu. Kraków niezmiernie zamożny w relikwie, w klasztory, kościoły, cudowne podania; nierównie zamożniejszy w tym względzie nietylko od Warszawy, ale podobno od wszystkich miast północnej Europy: z tego też względu niegdyś drugim Rzymem był zwany. Trudno pojąć jak w mieście tak mało obszernem, tyle

być mogło klasztorów i kościołów; w r. 1650 było ich 65, dziś jest jeszcze 43, ale też kilka zamkniętych. Pojechaliśmy najprzód na Kazimierz, i tam pierwszym odwiedzionym kościołem był Ś. Stanisława na Skałce, który na samym brzegu nowój Wisły jest położony.

Tu wyobraźnia moja przeciwnego niż zwykle doznała wrażenia; pewna byłam, że ujrzę małą, smutną, staroświecką, opuszczoną kapliczkę, w której przez śmiałego króla święty biskup był zabity, a tu zobaczyłam okazały kościół, do którego wchód piękny po schodach kamiennych; po prawej stronie sadzawka wyłożona głazem z takimże gankiem w około; na środku wody figura kamienna Ś. Stanisława z Piotrowinem; drzew dużo: słowem, wszystko razem piękne, a widok zajmujący i wesoły. Kościół ten kilka razy zmieniał postać, a nawet nazwisko; mówią że dawniej na wzgórku skalistym, na którym stoi, był czczony Świst i Poświst, bogowie Słowian; Mieczysław wystawić na nim kazał kaplicę pod opieką Ś. Michała; w tej to kaplicy, 8 Maja 1079 r. poległ Szczepanowski; stała nietknięta czas długi, i dopiero w roku 1472, za staraniem Długosza \*), wystawiony został, oddany pod opiekę Ś. Stanisława, i księża Paulini przy nim osadzeni; zdaje się, że i ten zniszczał, i za panowania Władysława IV zupełnie odnowionym został. Wielki ołtarz ozdobiony dosyć pięknym obrazem Ś. Michała, Konicza roboty. Po prawej ręce jest ołtarz, jak podanie niesie, ten sam, przy którym Ś. Stanisław był zabity; ale kropli krwi na murze już dostrzedz nie mogłam; marmurów wiele; odpustów bywa dosyć;

---

\*) Jan Długosz, w łacińskim języku Longinem zwany, przyjaciel Zbigniewa Oleśnickiego pasterza krakowskiej dyecezyi i kardynała, wykonywacz jego woli ostatniej, krakowski kanonik, przed zgonem na arcybiskupstwo lwowskie mianowany. Trzech królów po sobie następnym, a synów Kazimierza Jagiellończyka nauczyciel, dziejopis polski, żył od

w dzień 8-go Maja odbywa się corocznie uroczysta processya z katedry, i głowę Świętego kosztownie oprawną, którą w skarbcu przez cały rok chowają, w ten dzień tu przynoszą. Było dawniej w zwyczaju, że królowie polscy, w wigilią koronacyi, uroczystą także do tego kościoła odprawiali processyę.. W grobach leżą bez nagrobku i napisu zwłoki Długosza; ten sam los spotkał pierwszego z naszych dawnych dziejopisów w Krakowie, co późniejszego w Janowie.

Ze Skałki udałyśmy się na Zwierzyniec do kościoła Augustyanów. Założony w r. 1162, przez Jana, herbu Gryf, opatrzony przez Gedeona biskupa krakowskiego, odnowiony w początkach XVIII-go wieku przez Dorotę Kącką, księżę Norbertanek, musiał być kiedyś wspaniały, ale dziś zniszczony; w samej świątyni, zupełnie ogołoconej, ptaszki tylko gnieźdzą się krociami, a gdzieś tam w ścianach tkwią jeszcze i sterczą grobowe kamienie; widziałam jeden strzaskany, któremuś z Jordanów na wieczną położony pamiątkę, zawód mają wielki ci, którzy na wieczność dzieł ludzkich rachują... Obok tego zniszczenia dobrze się wydają krużganki, bo wiele świątyń krakowskich są jakby kościołami w drugim kościele, ponieważ otoczone wielkimi korytarzami, w których także są ołtarze i groby. Część krużganków Augustyańskich utrzymywana jest starannie przez mieszkające obok Norbertanki; nie spotkałam żadnej, ale po świeżości kwiatów zdobiących ołtarze, po jasnym kilku lamp świetle widać było, że dopiero co ucichł w tych posępnych gmachach głos nabożny ich śpiewu. Lecz i tych krużganków połowa niszczeje. Zajęła mnie jedna kaplica, której sklepienie upada, z kilku ułomków dawnego napisu w języku polskim doszłam, że w r. 1400 Adam Grzybowski, kupiec napadnięty od zbójców, ślubował, że jeśli wyratowanym będzie, wystawi Matce Zbawiciela kaplicę: ocalał, wystawił i w niej pochowanym został; spodziewał się zapewne, że to sklepienie popioły jego do ostatniego dnia osłaniać będzie, a to sklepienie upada...



Kościół Bożego Ciała, który zwiedziłyśmy potem, bardzo mi się podobał: wesoły, jasny, ozdobny, dobrze utrzymany, marmury wspaniałe; może téż takim po opuszczonych Augustyanach mi się wydawał, bo na takowych porównaniach wiele zależy. Na podwórzu wznosi się wiąz odwieczny, wspaniała, w prawdziwej jest harmonii z świątynią. Piękne i stare drzewo stać nie może na właściwszem miejscu, jak obok domu modlitwy; sam widok jego myśli religijne podaje: ten cień, ta opieka, wzbudzają wdzięczność; ta trwałość, to przeżycie tylu pokoleń ludzkich, wbija pokorę: a kiedyż serce bliżej uczuć należnych Bogu, jak kiedy pokorne i wdzięczne? Kościół Bożego Ciała, dziś farny, założony był przez Kazimierza W. w r. 1347, zbogacony przez Jagiełłę, dokonany przez prałatów kanoników, którzy mieszkają przy nim, a z których każdy jakby z obowiązku nowej dodaje mu ozdoby.

Pokazywano nam monstrancję, pierwszy powód do jego założenia, równie jak i ciało błogosławionego Stanisława Kazimierczyka: ten żył w tym zakonie, a umarł r. 1545. W tym kościele dziwnie mi się podobała kazalnica złocona i pięknej roboty, ma kształt małego okrętu; te słowa są nad nią wyryte: *I usiadł w łódź i nauczał rzesze*. Zapragnęłam w téj chwili, żeby odezwał się z tego miejsca jaki godny zwolennik owego Mistrza co nauczał z łodzi: jaki Mościcki, Birkowski lub Skarga, żeby z niej powtórzył te święte nauki, których ludzie słuchając niegdyś z zdziwieniem mówili: *Nigdy człowiek nie mówił, jak ten człowiek mówi*.

Wychodząc z téj świątyni z miłem i uroczystem wrażeniem, stanęłam z memi towarzyszkami, chcąc raz jeszcze przypatrzeć się wspaniałemu więzowi; wtém płacz jękliwy obił się o nasze uszy: spoglądamy w około, wychodzić się zdaje z małej kaplicy czyli kruchty do kościoła przyczepionej; biegniemy, jakież widok nas uderza? ciało bez duszy dwunastoletniej dziewczynki, koło niej kilka kobiet płaczą-

cych, z pomiędzy których po najwyższym stopniu boleści matkę znać było. Z ich słów przerywanych tegośmy się dowiedziały. Ta kobieta, matka kilkorga dzieci, uboga wdowa, z pracy rąk żyjąca, mając wspólne z drugą rodziną mieszkanie, gdy jój najstarsza zachorowała córka, trzymać jój u siebie nie mogła; namyśliła się więc, żeby ją oddać do szpitala; człowiek jakiś litościwy podjął się zanieść chorą; matka otuliwszy ją jak najlepiej szła obok, dziewczynka biedna stękała: wtém właśnie na moście starój Wisły, nie daleko tego kościoła, jęknęła mocniej i nagle ucichła. Dreszcz zimny przeszedł dźwigającego ciężar, krzyknął, stanął; odsłoniła matka chusty okrywające twarz dziewczynki, i obaczyła martwą córkę... Trudno opisywać dalej tę okropną scenę. Uprosiła matka litościwego człowieka, żeby zaniósł jój dziecię do najbliższego kościoła, i księża tutejsi pozwolili w tój kruchcie złożyć to ciało. Dziś wraz z sąsiadami ubrać je przysła, a jutro skromny odprawi się pogrzeb. Jeszcze słyszę płacz i narzekania tój biednej kobiety: „Mój kwiatczku, mówiła, mnieć to było nie tobie umierać? jeszcze się nie nażyła niebogo!“ „Nie będzie ona nigdy tak płakała, jak ty płaczesz,“ powiedziała jój na słuszną pociechę osoba z nami będąca; jednak łzy jój płynąć nie przestały. Jak tóż to łatwo, puściwszy się między ludzi, spotkać się z nieszczęściem, i jak ta śmierć zawsze taż sama, zawsze jedna, na rozliczne sposoby człowieka zdybuję: każdy umiera, ale niemal każdy inaczej...

Ztamtąd udałyśmy się jeszcze na Stradom, do kościoła Bernardynów; mniej piękny od wielu innych tu będących, słynie malowaniami; mają być pędzla Franciszka Leksyckiego, Bernardyna, rodem z Krakowa, i znawcy upatrują w nich wiele zalet. Ogromnych tych obrazów trzy się znajduje: jeden wystawia *niesienie krzyża*, drugi *ukrzyżowanie Zbawiciela*, trzeci najpiękniejszy, w wielkim ołtarzu, *wieczerzę Pańską*. Może z przyczyny złego światła, albo tóż uszkodze-

nia, nie mogłam rozeznąć dobrze wszystkich szczegółów. Spoczywa w tym kościele ciało błogosławionego Szymona z Lipnicy, w trumnie marmurowej czarnej, z posągami nie bardzo kształtnymi. Po lewej ręce od wchodu jest obraz *tańca śmierci z ludźmi*; chociaż myśl jego filozoficzna i bardzo zgadzająca się z dopiero co zdybanym nieszczęściem, przecież ten widok nas rozśmieszył. Składa się z kilkunastu obrazków: śmierć bierze w taniec i króla i wojewodę, i chłopca i żyda, i młodych i starych, a pod każdą parą jest napis wierszem polskim prawdziwie pocieszny; musi to być praca dwóch rodzonych i zgodnych braci, z których jeden pędzłem, drugi piórem bazgrał; nie trzeba zaś i daty szukać, ażeby zgadnąć, że to jest godne dzieło początków zeszłego wieku.

Wróciwszy z tych kościołów, udałam się do *szkoły klasztoru ś. Jana*. Wychowanie jest dla mnie przedmiotem niezmiernie zajmującym, zwłaszcza wychowanie dziewcząt; już od lat dziesięciu, chęć dopomożenia cokolwiek matkom i nauczycielkom w tym pięknym zawodzie, celem jest wszystkich prac i zabiegów moich, troskliwie pytałam się więc o zakłady edukacyjne tutejsze, a dla pośpiechu nie mogąc jakbym rada zwiedzić wszystkie, byłam przynajmniej w jednym i bardzo mi się podobał. Sam początek jego piękny. W pierwszych latach XVII wieku, dosyć znakomita i majątna niewiasta, Zofia Czeska, doznała wielu nieszczęść, straty osób najdroższych: zamiast rozpacz i zniechęcenia, jako prawdziwa chrześcianka, chciała upatrzeć i upatrzyła wdzięk w tém ogołoconém na pozór życiu: szukała i znalazła w niem słodycz i pociechę, bo użyteczną stała się bliżnim. Zebrawszy kilka niewiast podobnych sobie to niedolą, to uczuciem, oblekła wraz z niemi suknię zakonną, pod tytułem: *Ofiarowania Matki Zbawiciela*, zakupiła dom i w r. 1623 otworzyła szkołę dla ubogich dziewcząt, zwłaszcza dla sie-

rot. Wspólnie z towarzyszkami uczyła je czytać, pisać, religii i robót kobiecych. Spłynął mile dni jęj ostatek, zagoiły się rany, nagrodziły straty; bo zawsze jest szczęście dla tego, który użytecznym być umie; zakład przez nią uczyniony trwa dotąd, zwiększony darami różnych dobroczynnych osób, dziś jest pod opieką rządu, a zakonnicom pozostał od założycielki *Panien Czeskich* przydomek.

Parę godzin bardzo miłych przepędziłam w tęg szkole: przyszliemy w czasie lekcyi; jest do stu uczennic, na trzy klasy podzielonych; wszystkie bezpłatnie odbierają nauki; nie ma innych mistrzów prócz zakonnice albo młodych panieliek w tęgże szkole z dzieciństwa wyuczonych: już nie jedna z takowych po tym praktycznym kursie wyszła na dobrą guwernantkę albo ochmistrzynię. Stósownie do postępu światła, dziś więcéj nauk tu jest udzielanych, niżli w pierwszych założenia tęg szkoły początkach; obecną byłam lekcyom historyi polskiej, rachunków, przez młode zakonnice dawanym: z rzetelną radością słuchołam dokładnych zapytań nauczycielek i trafnych odpowiedzi uczennic. Tak miło patrzyć na użyteczne istoty, na owoc pomyślny ich pracy.

Po obiedzie zwiedziliemy *ogród botaniczny*; rektor akademii krakowskiej Kazimierz Stęplowski zapisał pierwsze 5,000 złp. na ten zakład; dopełniły go inne zapisy, i urządził go za panowania Stanisława Augusta Jan Jaśkiewicz. Zachował dotąd pierwotny kształt swój, tylko rozszerzonym został; nie może co do położenia i rozległości równać się z Warszawskim, ale przecież ma wiele drzew i roślin rzadkich tak w szklarniach, jak w gruncie: wysokie tulipanowe drzewa i różne osobliwości, których nieszczęściem nazwiska, lubo kilkokrotnie od grzecznych przewodników powtarzane, wyszlynęły mi się z pamięci. Są one bez wątpienia zapisane wszystkie w szacowném dziele sławnego w kraju



naszym botanika \*), który w dobrach swoich, w Niedźwiedziu, ma mieć zasobniejszy jeszcze ogród i szklarnie. Żałuję niezmiernie, że krótkość czasu nie dozwala mi zwiedzić tak ciekawego miejsca; widziałam jednak najpiękniejsze kwiaty z ogrodu szanownego tego męża, widziałam nadobne jego córki. W ogrodzie botanicznym krakowskim jeden uważałam szczegół, którego w warszawskim nie ma: dosyć duża sadzawka, gdzie hodowane są wodne rośliny.

Z *obserwatorium*, na wniściciu do ogrodu stojącego, przypatrywaliśmy się podobno więcej ziemi jak niebu! Ja wierzę wszystkiemu co astronomowie o gwiazdach mówią, z wielkiem jestem dla ich nauki uwielbieniem, ale sama nie w nadziemskiej przestrzeni dojrzyć nie mogę; więcej zatem nad planetę Marsa zajmował mnie widok Krakowa, mogiły Wandy, Krakusa, a między niemi bieląca się Wieliczka, której skarby i dziwy jutro niezawodnie oglądać będę. Obserwatorium tutejsze, które przez czas jakiś Jana Śniadeckiego posiadało, założone było za Stanisława Augusta, podług rysunku Feliksa Radwańskiego.

Miła zabawa w przyległym ogrodzie, powrót do domu piechotą, w celu poznania téj strony miasta, wszystko mnie przekonało, że przydomek *Wesolój*, który to przedmieście nosi, zupełnie jest zasłużony; pocieszyłam się nawet po stracie odniesionój rano. Zacząwszy od dnia przyjazdu mego do Krakowa, nosiłam wszędzie z sobą *książeczkę pamięci*, gdzie kreśliłam zaraz na miejscu: daty, nazwiska, szczegóły, myśli, wrażenia, słowem *notulki*; ta książeczka dziś przy zwiedzaniu kościołów, nie wiem jakim sposobem zginęła: najtroskliwsze szukania nie zwróciły dotąd téj zguby, mało znaczącój

---

\*) Stanisław Wodzicki prezes senatu R. P. krakowskiej, autor dzieła pod tytułem: „O hodowaniu, użytku, mnożeniu i przyjmowaniu drzew, krzewów i ziół celniejszych ku ozdobie ogrodów, przy zastosowaniu do naszej strefy“.

dla znalazcy, dla mnie bardzo ważnej, i aż nadto pewna jestem, że się już nie znajdzie; zrazu zmartwiona, w ciągu dnia zastanowiwszy się, upatrzyłam pociechę: *nie ma tego zlego, coby na dobre nie wyszło*, dawne mówi przysłowie; na wszystkie więc niedokładności, uchybienia, daty nierzetelne, szczegóły przepomniane lub opuszczone, których każdy nie mało w tym opisie dostrzeże, będę miała przedziwną wymówkę: *zginęły mi notatki*; a tak w przygodzie szkodliwej na pozór będzie tego dziennika obrona. Lecz już czas udać się do spoczynku, jutro bardzo rano jechać mamy do Wieliczki.

Dnia 2 Czerwca w Sobotę, w wieczór.

Wracam z *Wieliczki* zdumiona; nie, kto tam nie był, wyobrazić sobie tych dziwów nie potrafi, to zupełnie świat inny; ale będę się starała, kiedy nie można miejsca tego słowami wystawić, opisać ci przynajmniej odwiedziny jego. Przejechawszy Wisłę, kraj znacznie się zmienia; zajmuje jednak niedaleko drogi stojąca *mogiła Krakusa*, po drugiej stronie ładny *Prokocim*. Sama Wieliczka, lubo dosyć porządne miasteczko, nie objawia przecież niczém skarbów ukrytych w jej łonie; kto nieświadomy mógłby przejechać przez nią, nie domyśliwszy się niczego; równie jak przechodzimy nieraz koło mędrca, nie zgadując po mało znaczącej twarzy, jakie bogactwa dusza jego mieści. Tak pod stopami mieszkańców spokojnej, prostej Wieliczki jest ogromny przestwór jakby miasto drugie, i blisko tysiąc ludzi, o tyleż łokci w głąb ziemi zagrzebanych, kopie skarby istotnie potrzebniejsze i dobroczynniejsze od złota; bo wszyscy, bogaci i ubodzy, zwierzęta nawet, są ich uczestnikami; skarby więcj korzyści przynoszące od sławnych min Potozu, i to już więcj niż od siedmiu wieków. Gdyż dowiedzioną jest

rzeczą, iż mimo podania gminu, które Ś. Kunegundzie \*) odkrycie soli w Wieliczce i Bochni przyznaje, te kopalnie znane już były przed 1105 rokiem; i w tym już czasie Krzywousty Benedyktynom Tynieckim dochód na nich zapewnił.

Godząc podanie ustne z dowodami piśmiennymi, sądzą dziejopisowie, iż od niepamiętnych czasów sól tam kopano, ale w czasie pierwszych napadów tatarskich zaniedbano robót, które może za prośbą i nakładem Kunegundy rozpoczęte zostały. Jakoż zapewne oddawna ludzie wiedzą, że po obu stronach grzbietu gór Karpackich ciągnie się pas ogromny soli, blisko 200 mil długi, a na kilkadziesiąt szeroki: utwór i skarb, któremu podobnego na całej kuli ziemskiej dotąd nie odkryto. W ciągu tego pasu, gdziekolwiek sięgnąć, wszędzie soli dostrzedz można; w niektórych miejscach rzeki z niej łoże mają, a sterczące jej skały pokazują się z wody; w drugich, miasta, wsie, gaje, stoją na słonej powierzchni, czasem tak mało ziemią przysutęj, że fundamenta na domy w soli kuć trzeba. — W całym tym pasie jest kopalni 58; najdawniejsze w Siedmiogrodzkiej ziemi, jak mówią przez Rzymian zaczęte; najświetniejsze zaś w Wieliczce; w całej nawet Europie ona pierwsze miejsce zajmuje, tak dla czystości i wielości soli, jako też dla wspania-

---

\*) Adam Szreter Szlązak, w księdze wydanej w Krakowie 1553, r. pod tytułem: *Salinarum Vileicensium descriptio*, już jako gminną powiatkę następujący szczegół przytacza: „Bolesław Wstydlivy zaręczył sobie przez postów Kunegundę w Węgrzech; ta oblubienica, nie chcąc u ojca brać żadnego posagu w złocie i srebrze, prosiła go tylko na wyjeździe, aby jej to darował, coby równie bogaczom i ubogim służyć mogło. Zezwolił ojciec, a Kunegunda, pojechawszy do żup węgierskich, ślubną tam obrączkę wrzuciła. Stanąwszy potem w Krakowie, kazała się wieść po jakimś czasie do Wieliczki, a gdy za jej wolą kopać tam zaczęto, znaleziono sól, a w pierwszej sztuce rzuconą obrączkę.“

łych robót podziemnych; owa Francya, Anglia, które Polskę w tylu rzeczach przechodzą, przynajmniej w tém ustąpić jej muszą: one najwięcej warzoną solą się żywią \*). Doprawdy i dla nas było hojne przyrodzenie; dało nam chléb, sól i żelazo; ale nie umieliśmy użyć sprawiedliwie tych darów; kazaliśmy większej nierównie połowie narodu ten chléb uprawiać, téj soli z potem dorabiać się czoła, a zamiast nagrody trzymaliśmy ją w najopłakańszej niewoli; mniejsza zaś jadła je darmo \*\*) i marnowała, a jej podziałem była swawola, bo żelazo wyłącznie drzeczyła; niém osłaniała długo swe gwałty, póki nareszcie zanurzone w napojach nie zardzewiało... I jakże miały te dary dochować się w całości? Lecz wróćmy do odwiedzin Wieliczki.

W przyjemném, z pięciu osób złożoném towarzystwie, otrzymawszy od Dyrekcyi górniczej pozwolenie i przewodnika, oświadczywszy że nie chcemy iść schodami tylko na linie spuszczać się, poszliśmy do otworu kopalni, miejsca, które na szopę wygląda; w środku jest otwór w kształcie ogromnej studni, i nim zstępują robotnicy i ciekawki; zajrzawszy w tę ciemną głębinę, którą się ma przebyć, mimowolny dreszcz przechodzi; pióro, podane do zapisania nazwiska swego w księdze ku temu sporządzonej, drży

---

\*) Są główne dwa rodzaje soli kuchennej zwanéj: k o p a n k a, która w bryłach z ziemi się dobywa, i w a r z o n k a, którą z wody słonej warzą — Pierwsza tak obfita w Wieliczece, dzieli się tam na trzy gatunki: z i e l o n a, zwykle nieczysta, mniej słona, jeszcze wiele części ziemnych mająca; s z y b i k o w a, która pod nią dopiero się znajduje i jest znacznie lepsza; i o c z k o w a t a, zupełnie biała, przezroczysta, najpiękniejsza; ta leży porozrzucana w pokładach glinianych kopalni, w kształcie sześciennych kryształów.

Grabowski, kar. 234

\*\*) Czytać można w przywilejach dawnéj szlachty: „Szlacheckie dobra, mają sobie wyznaczoną sól suchodniową, a każdy szlachcic bez kosztu może zawsze jeść z solą.“



z lekka w rękę, a długie płócienne koszule, w które oblekają podróżnych dla oszczędzenia sukien, zdają się być przypomnieniem ostatniego śmiertelnego ubioru. Jednak przemaga ciekawość, i każdy mówi śmiało: „Już ja spuścić się muszę.“ Ludzie tameczni zabierają się do pracy, konie których nie widać, obracają wielkie koło; za tą pomocą okręca się gruba lina w około walca, i wychodzi z otworu napowietrzny powóz, w który wsiąść trzeba; są to szelki z powrozów, zaczepione u węzłów liny, w niejakiéj od siebie odległości, po trzy lub cztery w jednym rzędzie; — ten powóz staje, zasłaniają otwór studni deskami, siadają naprzód chłopcy ze światłem, przy nich górnik z laską w rękę, dla utrzymania równego kierunku, a w wyższych rzędach podróżni; siedzenie bardzo wygodne i pewne, zwłaszcza, iż każdy trzyma się liny rękami. Gdy wszyscy usadowieni, rozsuwają deski, dają znak, żeby konie ruszyły i lina się spuszcza. Nie można opisać miłego uczucia w czasie téj podróży, jest w niém coś idealnego, w podobieństwie do owych snów przyjemnych, kiedy się marzy, iż szybkim i jednym lotem powietrze porzemy; ani przyjdzie myśl żadnej bojaźni: żalu tylko się doznaje, czując, że już popęd wolnieje, że już grunt blisko i wysiadać trzeba. Bo tylko do pierwszego piętra na linie spuścić się można; do dwóch drugich schodami albo po drabinach iść trzeba; należy zaś wiedzieć, że tu wszystko przeciwnie jak na ziemi: najwyższe piętro pierwszym się zowie, najniższe ostatniém.

Stanąwszy i wysiadłszy bez szkody, zabraliśmy się do pieszej podróży; znikło wnet słabe światło dzienne, które przez otwór widać trochę było, i uczułam, że już zupełnie jestem pod ziemią, że inném oddycham powietrzem, na innym jestem świecie. Jakoż prawdziwie wszystko tu odmienne, a wszystko jednostajne; natura wszędzie tak różnaita, w tém miejscu zawsze taż sama. Światło słońca nigdy tu nie dochodzi, pory nigdy się nie zmieniają; czy na ziemi

dzień jasny, czy noc ponura, czy wiosna lubym tchem wieje, czy skwar słoneczny dopieka, czy dżdże jesieni wskroś przejmują, czy mróz ściął wszystko: tu zawsze głębokie ciemności, światłem tylko lamp i kagańców rozjaśnione; tu ciągle powietrze czyste, chłodne, jednakowe. Na ziemi tyle niezliczonych przedmiotów, — tu jeden, wiecznie jeden; wszystko co widzisz, czego się dotykasz, na czém stąpasz nawet, jest solą, bo ściany ogromne tych długich ulic, te filary wspaniałe, te schody niezliczone, te stosy bałwanów czyli beczek, te góry okrucichów, wszystko to jednego rodzaju, jednego koloru: wszystko z soli. Ludzie tu zupełnie także odmiennie wyglądają; najprzód migające się światło lamp i kagańców inną barwę, wyraz ostrzejszy im daje, głębokie cienia rzucając; powtóre, postać robotników jest niezwykajna; pół koszuli całą ich odzieżą, nogi, ramiona i piersi nagie, a to żeby soli gdzie chować nie mieli; ta ich postać, te kagańce wszędzie poprzyczepiane, nawet do tacek, któremi sól wożą, wszystko jakąś nową zupełnie krainę wystawia; i dobrze powiedziano, że tu Dant do swego Piekła mógł być szukać obrazów. Patrząc na trudną tych robotników pracę, nie jednego przejąć może zadziwienie nad śmiałością owęj znikomęj przez się istoty, która, słabą ręką wątle ująwszy narzędzie, z garstką prochu \*) porywa się na kruszenie opok, na gór obalanie. Zamiary jęj równie jak myśl granic nie znają — zdaje się, że ich dokonać nie zdoła, tymczasem przemysłem i pracą wszystko zwycięża bo jest w jęj umyśle iskra boskiego gieniuszu, jest w sa-

---

\*) Dobywanie soli jest zupełnie rodzajem kamieniarskiej roboty sól odrywa się od masy sztukami, ławy czyli kłapcie zwanemi; za pomocą kilofów, drągów, klinów i innych narzędzi żelaznych; albo też wysadza się prochem strzelniczym, który się w otwory w soli wykute nasypuje, ziemią iłowatą mocno zabija, z zostawieniem tylko knota do zapalenia.

mój jej wytrwałości nieśmiertelnego ducha piętno. Prawdziwie, że tu będąc nie można się obronić od pewnego odurzenia; a umysł, to zdziwiony, to przejęty, nieraz wątpić gotowy, czy rzeczywista prawda, czy ułudzone marzenie jest przed nim?

Idzie się ciągle, i idzie, godzinę, drugą, trzecią i szóstą, to wązką, to szeroką galeryą, to wygodnemi schodami, to na dół, to w górę, zdaje się, że to królestwo nocy granic niema. O! jakże dobroczynnym darem Opatrzności wydaje się tu światło; samo kieruje, prowadzi w tej otchłani a na myśl o wygaszeniu jego włosy na głowie powstają; chciałabym tu zamknąć na czas jakiś dzieci gardzące światłem nauk; a zręcznym przystósowaniem tego, co pod ziemią i na ziemi bez oświecenia się dzieje, wpoić w nie wstręt do ciemnoty. Ale gdzie umysł największego doznaje zdziwienia, gdzie najwięcej ocenia światło, to w miejscu a raczej w otchłani, *Kloską* zwaną: „tam, stanąwszy namoście, gdy spojrzysz w górę, dojrzeć nie możesz szczytu tej niezmiernej wysokości; gdy oczy spuścisz na dół, lękasz się na widok bezdennej przepaści; a kiedy przewodnicy twoi rozbiegną się, jeden stanie przy tobie, drugi wejdzie na górę, trzeci na dół się spuści, i rozpalą nowe ognie i rozniecą swe pochodnie, dziwisz się, że coraz więcej, dalej, wyżej, przestrzeni spostrzegasz, a jak w bajkach wróżek tak ci się wydaje, że rośnie przed tobą świat czarnoksiężki, że już końca jego niema.“ \*)

Podobnie dziwnego uczucia się doznaje, zobaczywszy w tym podziemnym państwie, lecz nie na samym dole, dość

---

\*) Ten obraz zupełnie rzetelny jest pożyczony, i chętnie to wyznaję. Młodzieniec jeden zwiedzał niedawno Wieliczkę i opisał ją w swoim dzienniku; jego pióra ten wyjątek. Młodzieniec ten jest głuchoniemy, nie miał innego nauczyciela prócz matki.

obszerną sadzawkę; jeziorem ją zowią, i dają przydomek szczególny *przykos*; złożona jest z wód, które przesączając się ponikami, z powierzchni ziemi, przez pokłady piasku i gliny, sprowadzone są w to miejsce kanałami, dla ochrony robót górniczych. To jezioro więc jest głębiej niż obszerne, woda jego brunatna i słona; zwykle w dość wygodnym promie wożą po niém podróżnych. Gdyby przewoźnik ubrany był jak ów starożytny Haron, a przynajmniej miał brodę i kosę, możnaby w zupełném być ułudzeniu, iż owe blade postacie, w tych białych koszulach, w pośród nocnych ciemności, są to dusze zmarłych, które przez Acheron do drugiego przepływają świata; ja wiem, że płynąc zdawało mi się przez chwilę, że już na ziemię nie wrócę; wróciłam jednak, i z wielką radością: jeszczeby mi żal było w tę daleką puścić się podróż. Piękną jest także sala Łętów zwana, gdzie zwykle illuminacye, a nawet i bale bywają; bo kiedy osoby z rządu Panujących zwiedzają te kopalnie, wszystkie galerie, sale, korytarze, Kloska, są rześcisto oświecone; odgłos muzyki rozlega się po ogromnych sklepieniach i obecni są w zachwyceniu. Żałuję mocno żem na podobną nie trafiła chwilę, lubo zdaje mi się, że wielość światła, ludzi, osób wystrojonych, musi to miejsce podziemne i szczególne, podobném czynić do naszych mieszkań zwyczajnych; a wtedy, jeżeli na blasku zarabia, na oryginalności traci.

Godną widzenia jest jeszcze kaplica, niedaleko głównego wchodu będąca, opiece św. Antoniego oddana; cała jak wszystko w soli wykuta: ołtarz, posągi świętych, filary, kazalnica, wszystko z soli; jest tu równie posąg Augusta II, z jednéj bryły urobiony; ale przez długi napływ wilgotnego z zewnątrz powietrza nikań we wszystkich twarzach znaczniejsze rysy, i z osób robią się słupy: co to może ręka czasu. W téj kaplicy raz na rok, w dzień św. Kunegundy, Msza bywa; a tak, jeżeli ją ukrzywdzili dziejopisowie, odejmując jój zaszczyt odkrycia tych kopalni, ma w tym odwie-



cznym zwyczaju niejaki wynagrodzenie. Raz tylko w rok odbywa się w téj kaplicy nabożeństwo, gdyż zupełną jest bajką, ażeby tu robotnicy mieszkać mieli; codzien wieczorem wychodzą, spuszcza ją się rano: w święta nie ma nikogo, konie nawet nie są tu wiecznie, wyciągają je skoro większa na górze robota; zagranicznym to podróżnym już od niepamiętnych czasów w nałóg weszło, dziwy i nieprawdę o Polsce pisać; a Polacy, którzy często o swoim nawet kraju wolą w obcych księgach czytać, te baśnie powtarzają.

Dotąd w kopalniach Wieliczki trzy są piętra, lecz może z czasem i czwarte wykują; natura ich bowiem jest taka, że im głębiej posuwają górnicy swe prace, tém czystsza sól znajdują; a nigdzie jeszcze od spodu nie pokazała się woda, prócz kilku nie wielkich źródeł, i te kopalnie śmiało najsuchszemi w całej ziemi nazwać można; zwłaszcza że im głębiej, tém mniej wilgoci. W opisach Wieliczki dawnych i późniejszych (a było ich już bardzo wiele) czytać można różne polskie nazwiska *szyb* czyli *okien* kopalni, uczczone pamiątką wielkich królów, sławniejszych mężów; ja ani jednego dostrzedz nie mogłam; wszędzie obce napisy, a nawet w obcym języku: jedna kaplica, która przecież imię Zygmunta nosi: zawsze największa w przybytkach Boga trwałość i pocięcha...

Czy te kopalnie doczekają skończenia świata, czy też zawałają się wkrótce? tego sami uczeni przewidzieć nie umieją; powtarzają jednak wszyscy, że tu wielkiej bacznosci potrzeba, ażeby dobrze podpierać wiszące sklepienia; z dawnych szyb już niektóre się zapadły; teraz, zdaniem znawców, lepiej sobie radzą niżli przedtém; niegdyś podpierano wykonane galerye kasztowaniem z drzewa, czego jeszcze w wielu miejscach widać ślady, co było i kosztownie i na przypadek ognia niebezpiecznie: teraz ogromne filary z soli zostawują odpowiadające takimże słupom w piętrach niższych. Trzebaby chyba koniecznie jakiego Samsona, ażeby

jeden z tych filarów uchwycił i takowe obalił. W zamian, już kilka razy te kopalnie uległy pospolitstszemu, ale nie mniej okropnemu nieszczęściu—pożarom. Sama imaginacya wzbrania się od wystawienia sobie tego, co tam dziać się musiało, w tych straszliwych chwilach; jak trudny ratunek, jak niepodobna ucieczka; a jak ten ogień samowładnie rozpościerać się musiał po tych ogromnych galeryach, wszędzie wybuchać i pożerać wszystko. Jedno z takich przejmujących zdarzeń opisał wymownie Wężyk, w wspomnianym już odedmie poemacie:

Ledwie mijał rok trzeci, gdy po bratnim zgonie  
 Zawładnął mądry Zygmunt na pradziadów tronie,  
 Trafem, czyli niedbalstwem, ogień zapomniany  
 Gdy się wkradł między długie z smolnych sosen ściany,  
 Całą minę ogarnął lotem błyskawicy!  
 Już dym zgubny poczuli zbledli rzemieślnicy,  
 Już nieuchronnej śmierci patrzą w oczy z bliska;  
 Przepalone do gruntu runęły sklepiska:  
 Srożeje moc okropna zaciekłych płomieni,  
 Giną w strasznych męczarniach ludzie umęczeni.  
 Huk ognia, krzyk cierpiących, trzask nie zwykły gromów,  
 Z głębi ziemi do miejskich przenosi się domów;  
 Słyszac to, znikły serca i ludzie zadrzeli.  
 Lecz kto w minach zawartym pomocy udzieli?  
 Kto wesprze otoczonych zaciekłą pożogą?  
 Kto w pałające żary śmiałą skoczy nogą?  
 Przecież jawią się tacy! Nad gmin otrętwiały  
 Wyżsi chęcią, duszami, i przecuciem chwały,  
 W głąb jaskiń rozognionych spadają bez trwogi;  
 Kościelecki z Betmanem. Ludzież to, czy bogi?  
 O cnoto, wzgardą życia i męztwem hartowna!  
 Któryż czyn wspaniałością waszemu wyrówna?  
 Szli sami w kraj podziemny ogniem rozgorzały,  
 Przez gęste kłęby dymów i wrzące upały;  
 Szli, a w sercach pożarem niestrawionych ludzi  
 Konającą odwagę ich przytomność budzi.  
 Zagrzani wzorem mężnych biorą się do dzieła,  
 Wnet się wściekłość płomieni łagodzić poczęła;

Już leżą z paszczy ognia wydobyte drzewa,  
 Już na żary stłumione woda się rozlewa;  
 Stygną z posad odwiecznych wyruszone ściany,  
 Gaśnie trudem nadludzkim płomień pokonany.

Kościeleckiego i Betmana posągi byłabym rada widzieć w kopalniach Wieliczki; należała im się ta nagroda, zwłaszcza Betmanowi, który już starzec sędziwy, tyle pomimo wieku męztwa, ludzkości i przytomności umysłu zachował \*). Ale jakże to wielu godnych i cnotliwych mężów w kraju naszym, którzy czekają na pomnik. Lecz czyste powietrze kopalni apetyt wzbudza, nie można tam bawić nad pięć lub sześć godzin; zabraliśmy się więc do powrotu; dobrze że są przewodnicy, bo nic łatwiejszego jak zbłądzić w tym labiryncie, i mówiono nam (czemu snadno uwierzyć), że lat kilka uczęszczać do tych sklepień trzeba, chcąc się z nimi obeznać zupełnie. Doszedłszy do otworu, wsiedliśmy znowu w napowietrzny powóz; do samego końca wszystko tu przeciwnie jak na ziemi, daleko miléj iść na dół jak w górę; zupełnie przykrego doznałam uczucia, jak nas zaczęli wywyższać—ale za to jakaż była radość, gdyśmy wysiedli, gdy nas ogarnęło ciepłe, żywotne powietrze, gdy jasność dnia oczy uderzyła, ludzie w zwyczajnej ukazali się postaci i barwie. Dziękowałam Bogu, że nie w ziemi ale na ziemi żyć mi przeznaczył; a przez kilka godzin nic nie widziawszy prócz brunatnej soli, niepewnego światła, okropnych ciemności, niebo zdawało mi się błękitniejsze, drzewa i pola zie-

---

\*) W r. 1510 w Wieliczce, w górach solnych jeden górnik ogień zapuścił, czém się wiele ludzi podusiło; a gdy się żaden ku ratunku tam spuścić nie ważył, Andrzej Kościelecki, żupnik natenczas, z wielkiém sercem wdał się w to niebezpieczeństwo; za nim Seweryn Betman rajca krakowski, mający 90 lat, który Kościeleckiego już dymem prawie zaduszonego ożywił, i potem za obudwu czerstwością ogień ugaszon i zawaleniu gór się zabiegało.“

(Bielski str. 516).

leńsze, wszystko piękniejsze. I obiad przedziwnie smakował, chociaż nagle zebrana i gwałtowna burza głużyła nas prawie swoim łoskotem. Jak dziwno było pomyśleć sobie, że prostopadle pod stopami naszymi spokojnie kują sól robotnicy, nie słysząc bynajmniej grzmotów i wiatru...

Po obiedzie gdy deszcz ustał, poszliśmy obejrzyć powierzchni składy, maszyny, roboty; najdłużej zatrzymało nas przypatrywanie się wyciąganiu wody z jeziora będącego w kopalniach; tę zawsze w jednej mierze utrzymywać muszą, bo inaczej rozlewałaby się; zbyt dużą więc wylewają ogromnymi wiadrami, które tam spuszczają takim sposobem jak ludzi po linie; kwadrans czasu potrzeba nim wiadro spuści się, wróci i z wielkim łoskotem wodę pieniącą wyleje; pytałam się troskliwie: co z tą wodą się dzieje? odpowiedziano mi, że marnieje; wyboryby jednak warzonka z niej być mogła, i choć mi tłumaczyli że nie wypada takiego czynić z niej użytku, mnie jednak żal było, i jest do tąd téj wody.

Kościół wielicki murowany, ale nie piękny i nie okazały—zdziwiło mnie to; w samém łonie tak hojnych Opatrzności darów, na kosztownej opoce stojący, powinienby dom Boga być piękny. Jednej nawet ofiarki z soli na ołtarzach nie widziałam, a ślicznych rzeczy tu dostać można z téj, którą *oczhowatą* zowią: książek, krzyżów, baryłek i t. p. O dochodach, jakie z żup wielickich mieli dawniej Królowie Polscy, żal wspominać, bo terazby nierównie mogły być większe; jednak one zawsze stanowiły część znaczną ich intraty. Królowe tu swoje oprawy miały zapisywane. Tytułem pensyi, jałmużny, darów pobożnych, opłacano ztąd wiele; był to poniekąd mały skarb królewski, i bodajby większy w podobnej był zostawał obfitości. Ale temu dostarczało przyrodzenie dobroczynne, tamten poddani raczej wypróżniać jak napelniać chcieli.

Za powrotem deszcz nas spotkał, nie mogliśmy, jak był



zamiar, wysiąść na mogiłę Krakusa. Stanąwszy w Krakowie, dobrej słuchając rady, lubośmy zmęczenia nie czuły, udałyśmy się do kąpieli, bo jednak, kto tę część kopalni wielkich obejdzie, którą zwykle ciekawym pokazują, przynajmniej milę drogi ujdzie. *Lazienki krakowskie* są bardzo porządne; jest ich trzy, a wszędzie kąpiel tylko złoty kosztuje. Wszystko tu przynajmniej o połowę taniej jak w Warszawie: towary, żywność, rzemieślnicy, pomieszkanie; *dorożki* nawet za pół-złotka równie doskonale jak Warszawskie za złoty wytrzęsą. Przyczyna tej taniości, jak mówią jest w tém, że dostatek wszystkiego wielki, a ludność mała; przytém miasto wolne, cła nikt nie opłaca. Z taniości potrzeb do życia, nie wiele jednak Krakowianie, zwłaszcza bogatsi korzystają, bo nierównie wystawniej żyją jak w naszej stolicy, i kiedy tańczące nawet wieczory Warszawskie obchodzą się herbatą i lodami, tu na każdym suta i smaczna wieczerza być musi. Ryby, jarzyny, cukry i ciasta wyborne; dzieciom a nawet i starszym, Kraków z tego względu zasmakować może. Ale dziwię się prawdziwie, jak wróciwszy z Wieliczki, o czém inném mówić mogę? wymówka moja niech w tém będzie, że właśnie w tej chwili jem wyborne rogaliki, jakich w Warszawie nie pieką.

Dnia 3 Czerwca, w Niedzielę, w południe.

Po wczorajszém zmęczeniu tak nam się spało wybornie i długo, że zaledwie zdążyłyśmy wybrać się w czas na nabożeństwo do katedry; napróżno, jako w dzień Zielonych Świątek, dzwon Zygmunta się odzywał, nie był od nas słyszany. Chociaż już nieraz byłam w katedrze po owém dokładném jój zwiedzeniu, dziś pierwszy raz przytomną byłam uroczystemu nabożeństwu. Miłyż to i wspaniały widok! Ten biskup taki poważny, to duchowieństwo tak liczne, te

ozdoby, ubiory, których każdy szczegół jest kosztowną, starożytną i drogą pamiątką, wszystko to razem przejmuje, zachwyca, i żadne miejsce nie ma równiej władzy przenoszenia mnie tak zupełnie w wieki chwały naszój.

Wychodząc z katedry, naczelna opiekunka tutejszego *Towarzystwa Dobroczynności* raczyła nas oprowadzić po salach ubogimi zamieszkałych; użytą na to została część jedna zamku, w której nie byłam przy ogólném jego zwiedzaniu: tym sposobem choć przeistoczona, i do smutnych porównań myśl wiedzie, uniknie przynajmniej zniszczenia. Towarzystwo to, na wzór Warszawskiego zawiązane, daje schronienie i utrzymanie przeszło czterystu ubogim i schorzałym; podobała mi się myśl jedna, która nie wiem czy gdzieindziej jest używaną: każda sala nosi nazwisko swego szczególnego opiekuna lub opiekunki, które wielkimi literami przy wchodzie jest wyryte. Ci opiekunowie obowiązani są zajmować się nią wyłącznie; łatwiej więc każdemu dopilnować porządku, wygody, kilku lub kilkunastu ubogich miłość własna wraz z sercem skłania ich ku temu, żeby w téj sali dobrze się działo: wreszcie ubodzy w niej zamieszkałi, w potrzebach swoich wiedzą do kogo prosto i skutecznie się udać. Rozrzewniła mnie szanowna przewodniczka nasza, we wszystkich salach tak tkliwie zalecała, żeby się modlono za jój siostrę bardzo chorą; a gdy weszła do sali imieniem téj ukochanej siostry nazwanój, sypnęła garść pieśniędzy, i ledwie wymówić potrafiła te słowa: „Dzieci! módlcie się za matkę waszą!“ Dołączyłam i ja w duchu najszczerszą modlitwę za obie te siostry; bo wiem dobrze, iż w takowym razie, nie wiadomo przy kim boleść większa: przy chorym, czy przy zdrowych? \*).

---

\*) Nie podobało się niebu wysłuchać tych modlitw. JW. z Wodzickich Potulicka, w kilka tygodni potem z smutkiem powszechnym

Tegoz dnia w wieczór.

Dzisiejsze poobiedzie w liczbie najmilėj, najużyteczniej spędzonych, bez namysłu kładę; jeszcze cała przejęta, rozrzewniona jestem; zupełną potrzebę czuję opisania tego com widziała i czuła, wylania na papier radości, rozczulenia mego. Już mi to kilka osób mówiło, że w Krakowie, jako w stolicy niegdyś zamożnej hojnego narodu, wiele było i jest dotąd zakładów, zwyczajów dobroczynnych, i że godną byłoby sprawą możnych przyjaciół ludzkości i narodowej chwały, wznosić, dźwignąć niektóre, a miłém zatrudnieniem dla mniej obdarzonych poznać i opisać wszystkie. Nie mogąc dla tego nieszczęsnego pośpiechu, oddać się tak miłej pracy, prosiłam o wskazanie mi choć jednego najużyteczniejszego zakładu, i jednogłośnie *Bractwo miłosierdzia* wymienioném zostało. Zwiedzenie jego dokładne przeszło wszystko com o niem słyszała, i musisz mi wybaczyć, Anielko. jeśli ci go w drobnych nawet szczegółach wystawię; jeśli nietylko o jego założeniu, ale o ustawach, o dalszych przygodach, o dzisiejszym stanie obszernie mówić będę. Nad niczém z takiém polubieniem nie rozwodzi się pióro moje, jak nad obrazami narodowej enoty. Tak miło, kiedy tych przykładów nie trzeba szukać w wyobraźni lub gdzie daleko, lecz nasunie się wzór żyjący i własny.

*Bractwo miłosierdzia* jest zakładem bardzo dawnym, i tém droższym: przyjemną jest bowiem myśl, że przed wiekami byli już u nas ludzie dobroczynni, i że ich dzieła lat

---

zakończyła swe życie. Tkliwa jej siostra zaledwie nie padła ofiarą żalu po tój stracie. Te dwie czcigodne panie, przywiązaniem wzajemném i cnotami, przedstawiały zupełnie powtórzony obraz wojewodziny Granowskiej i kasztelanowej Lanckorońskiej. Pozostałej jednogłośnie i słusznie dają przydomek *Krakowskiej Polanieckiej*. Możeż być piękniejsza pochwała!

tyle przetrwały. Za panowania Stefana Batorego, sławny i już czterdziestoletni wtedy Piotr Skarga Jezuita, bawiąc w Rzymie, dowiadywał się o istniejących tam dobroczynnych zgromadzeniach czyli bractwach, przekonywał się naocznie o ich pożytku, chcąc takowe zbawienne ziarno wrzucić w bujną ziemię ojczyzną. Przeznaczony przez wyższych swoich do opowiadania słowa Bożego w Krakowie, przybył tam i zachęcać począł mieszkańców do założenia dobroczynnego *Bractwa*, dla wstydzających się żebrać; kazań jego najczęściej miłosierdzie było osnową, a zdarzenie drobne przyspieszyło zamierzonego dzieła spełnienie. Dnia 7 Października 1584 roku, wchodził Skarga do kościoła Św. Barbary, Jezuitom oddanego, gdzie często kazywał, kiedy w kruchcie kobieta rzewnie płacząca, do nóg mu się rzuciła. Była to żona ciężko chorującego stolarza, matka trojga dzieci, zwano ją Magdaleną Walentą (bo dochowały księgi brackie jój imie), w największym znajdowała się niedostatku. Łzy jój, słów kilka wymownie nędzę malujących, przejęły wskrós duszę litościwego kapłana; przyrzekł jój pomoc, a boskim duchem natchniony, wstąpił na kazalnicę: nigdy mowa jego tak tkliwą i unoszącą nie była; nigdy jeszcze tak żywo nie malował ucisku, nędzy, potrzeby i zasług miłosierdzia i dobroczynnego związku; były w niej i te słowa: „Wszyscy miłosiernymi bądźmy, bo bez tój cnoty żadna się Bogu nie podobą. Bez miłości nie waży nic, ani czystość, ani post, ani sprawiedliwość. Na tę cnotę wszyscy są obowiązani.

„Nie wszyscy mogą pościć, długo się modlić, za Chrystusa krew rozlewać, ale wszyscy mogą być miłosiernymi, aby ludzkie nędze bliźnich swoich, oddalali pociechą, płaczem, żalem, pieniędzmi, pomocą, radą. Nie możesz dać wiele, aby brat twój nędzy nie cierpiał, daj mało. Nie możesz dać pieniędzy, daj radę, upomnienie, naukę, słowo dobre i pocieszające. Jeśli mówić nie będziesz, płacz z płaczącym; jeśli płakać nie możesz, żałuj brata twego, a jużes



wypełnił rozkazanie. Ty, któryś jest zdrowy, pomóż schorzałem; któryś nie upadł, wspomóż leżącego; któryś bogaty, nie opuszczaj ubogiego: nie czekaj, abys sam na sobie poznał, co to jest cierpieć nieludzkosc innych, i jak to dobrze nie zamykać miłosierdzia upadłemu!“ Ledwie skończył, aliści otoczyli go słuchacze, wynurzyli chęć szczerą wykonania jak najprędzej słów jego; zaraz w tym dniu zawiązało się z siedmiu osób *Bractwo miłosierdzia* dotąd trwające, a pierwsze łyzy składkami jego otarte, były łyzy strapionej Magdaleny. W parę tygodni potem, gdy liczba braci coraz się zwiększała, darów przybywało, gdy już obmyślił im Skarga domostwo (kamienicę obok kościoła Św. Barbary, w której dotąd zostają), wykończył oddawna już układane urządzenie, i na dniu 28 Października 1584 r. towarzyszom je podał... Cóż lepszego uczynić mogę jak umieścić to pismo w skróceniu; lecz ile możności własnymi Skargi słowy! Szacowném jest, jako dawny zabytek pobożności, prostoty i mowy ojczyściej.

## Urządzenie bractwa miłosierdzia w Krakowie.

### POWINNOŚCI BRACI.

„Tego bractwa i osób, które Bóg do niego zebrał i zbierać na potem będzie, takie przedsięwzięcie i koniec jest. Na cześć Bogu i na pomoc zbawieniu swemu, które na miłości najwięcej, i na czynieniu miłosierdzia nad bliźnim zależy, opatrować chcą z spólnej jałmużny, ludzi, domowém ubóstwem, a zwłaszcza niemocą strapionych, którzy się żebrać wstydzą, a pomocy znikąd nie mają... Każdego z braci i sióstr przedniejszych powinności jest siedm:

1) Modlić się codzień do Boga, aby nam dał serce miłosierne, ubogim i strapionym cierpliwość.

2) Co miesiąc wtórej Niedzieli słuchać nabożnie (jeśli można, razem) mszy śpiewanej, prosząc Boga, aby wszystkim braciom i siostram dał gorące serce do wypełniania siedmiu uczynków miłosiernych.

3) Dwakroć do roku spowiadać się razem i Najświętszy Sakrament społecznie przyjmować, a to w Niedzielę wtórą Lutego i Lipca. A którzy w Krakowie obecni nie są, toż czynić mają tam, gdzie im da Bóg być na ten czas.

4) Każdy brat i siostra ma dawać jałmużnę do skrzynki dwojaką. Jedną tygodniową na tydzień, taką jakiej się kto wstępując do bractwa podejmie, wedle swego przemożenia, i w rejestr wpisać. Drugą dobrowolną: gdy komu Bóg da serce do miłosierdzia gorętsze, albo gdy mu się na czem od Boga poszczęści.

5) Mężczyźni bractwa co tydzień w Niedzielę po obiedzie schadzać się mają, na wzbudzenie serc swoich ku miłosiernym uczynom, na rozmyślanie o nędzy ludzkiej i naradzanie o jej poratowaniu; tam i składki czynić się będą. Na tych schadzkach każdy bywać winien z nabożeństwa, a na miesięcznej, która bywa po mszy brackiej, z powinności.

6) Co tydzień dwóch braci do jednego szpitala i więzienia iść mają, nawiedzając ubogich i więźniów, przynosząc im jałmużnę świecką i duchowną. A białogłowy też to czynić mają; ale nie z powinności, nie wszystkie, jedno, które chcą i mogą.

7) Gdy tego potrzeba jest, osoby płci męskiej tego bractwa na to naznaczone, powinny stać u kościoła Ś. Barbary, albo gdzieindziej prosząc jałmużny, jako i zebrać u osób możnych, gdzieby nadzieja była pomocy; a tej posługi wstydzić się nie mają, ale ją sobie za wielką u Boga cześć poczytać, gdyż Zbawiciel nasz stał się dla nas ubogim,

abyśmy ubóstwem Jego ubogaceni byli. Tak też i nam, przykładem Jego, piękna rzecz stać się ubogimi, aby nasze ubóstwo bliźnich wspomódz mogło.“

---

#### POSTANOWIENIA BRACTWA.

Ponieważ na świecie nie masz rzeczy tak potężnej, tak porządnej, któraby niedozorem, niepilnością, za czasem zaniedbana, a zatém i zaniechana być nie miała; zdało się *Bractwu miłosierdzia* rzeczą potrzebną, a jakoby za głowę i filar postanowienia swego, obierać sobie *Protektora* \*), któryby ratunkiem, radą, życzliwością i powagą swoją bractwu był pomocny; a oraz pobudką, wzorem i przykładem do miłości Boga i bliźniego.

*Powtórę*, mieć powinno *Ojca duchownego*, któregoby obierał starszy *Societatis Jesu* w Krakowie, któryby radą, upominaniem, modlitwą, bractwo wspierał, bywał na każdej schadzce, i pierwsze zasiadał miejsce, a na każdy miesiąc przy mszy brackiej zalecał na kazaniu ludziom, bractwo i pożytki jego.

*Potrzebie*, mieć musi *Starszego*: ten ma być duchowny albo świecki, któryby na ten urząd zdał się godniejszym... Ma to być mąż poważny, stateczny i baczny, któryby osobliwie to bractwo miłował, pomnożenie jego i sławę do serca brał, coby miłosiernym był na ludzką nędzę, u braci miał powagę i dobre słowo; żadnego zgorszczenia nie dając, na obyczajach i pobożności bez przygany; w sprawach pilny, dozorny, czujny, rządny, w wykonaniu dzielny i state-

---

\*) Tym zwykle bywał biskup krakowski.

czny; w wydaniu jałmużny baczny, ostrożny, nieskwapliwy, ani do wierzenia prędki, raczej rozmyślny i leniwy; pamiętny na przyszłe czasy, które nie zawsze jednakie być mogą. Powinnością jego być ojcem, sędzią, przykładem braci, stróżem porządku, rządcą, wykonawcą, ale bez dozwoleń innych urzędników brackich i radnych nic ważnego nie czynić. *Radni* zaś powinni być wybrani z bractwa, ludzie roztropni, miłosierni, bogobojni. Obowiązkiem ich na każdej schadzce bywać, radzić o dobru bliźniego; mają też upominać i Starszego, za poradą Ojca duchownego, gdyby w czem nie dosyć czynił powinności swojej.

*Poczwarte*, ma być *Pisarz* umięjętny, rzeczy brackich świadomy, pilny i bractwu życzliwy, i żadna schadzka bez niego miejsca mieć nie może; u niego porządek cały, wszelkie rejestra. Pierwszy, w którym są spisane osoby bractwa płci obojęd i czas przystania ich; wtóry, w którym spisane być mają jałmużny tygodniowe i doroczne, na jakie się kto obowiązał. Trzeci, w którym ma być przychodów i odchodów pilny zapis. W czwartym, zwyczajne, powinności, akta brackie, ile rzecz dla pamięci następców braci potrzebować tego będzie.

*Popięte*, ma być *Szafarz*, człowiek pobożny, roztropny i nieskwapliwy; na nim wiele bractwu zależy. Jego powinność jest pieniądze naznaczone ubogim roznosić; ma z sobą brać drugiego z bractwa i z nim pospołu jałmużnę oddawać. Nim zaś oddadzą pieniądze, winni ubogiego pocieszyć, napomnieć, np. podobnemi słowy: „Bractwo miłosierdzia nawiedza cię w Bogu i cieszy nędzę twoją, chcąc z tobą płaczącym płakać. Prosi cię i upomina, abys sobie o dolegliwości twój nie tęsknił, ale z nięj umiał uczynić pożytek duszy twojój, żebyś sobie cierpliwością jednał łaskę Boga i obmywał grzechy twoje. Pomnij, iż Bóg ciebie z miłości jako syna ćwicząc, chce sobie mieć i dobrym uczynić. Maluczką jałmużnę posyłać bractwo, którój chęiej użyć jak od samego



Boga posłanej. Jeśli małej rzeczy wdzięcznym będziesz, da ci Pan Bóg więcej... za bractwo prosz, żeby dobrze czynić nie ustawało.“

Oddawszy tak jałmużnę, winien Szafarz na pierwszej schadzce zdać sprawę z czynności swojej. A gdyby nie zastał ubogiego godnym jałmużny, może ją wstrzymać i znowu radę o tém na schadzce uczynić.

Nakoniec mają być *Wizytatory*, ludzie nie leniwi do dobrych uczynków, którzy ubogich odwiedzać będą we dwóch; a wybrawszy się wstąpią najprzód do kościoła, modląc się, żeby im Bóg ukazał nędzę prawdziwą; aż i tu w Krakowie gęste są kościoły, opuścić tego nigdy nie mają. Z wielką pilnością mają czynić urząd swój; uważając, iż się im poważna rzecz zleca, aby jałmużny brackie dobrze się obracały, godnym i potrzebnym dawane były, a niegodni opatrzenia nie brali, i żeby się téż przykład dobry ludziorz z opatrnego szafunku dawał, i sława bractwa się szerzyła... Na zalecenia żadne nie dbać nie powinni, tylko aby się wszystko działo z porządkiem, szczerze, bez affektów: aby nie ludziorz, ale ludzkim potrzebom i nędzom dla Boga dogodziło się. Niech pierwój odprawują chorych, anizeli zdrowych, pierwój tych, co z nieszczęścia zubożeli, niżli tych, którzy sami przyczynę dali; pierwój tych, co mają wiele dzieci, niżli tych, co mniej albo nie; pierwój tych, co dobrze żyli, niżli tych, co źle; pierwój tych co sami jałmużnę czynili, gdy mieli z czego, niżli tych, którzy nie czynili.

„*Urzędnicy* obierani być powinni na schadzkach większością głosów, ale siedmiu tylko ma być elektorów. Obierani mają być, a przynajmniej potwierdzani co rok.

„*Skrzynka bracka* ma być chowana na miejscu bezpiecznym; do której niech będą dwa klucze: jeden przy Starszym, drugi przy Szafarzu; utworzoną być nie ma, okrom schadzki i bez innych urzędników; wszystkie pieniądze bractwa, wszystkie jałmużny i dochody w nią kłaść się powinny.

„Kiedy kto chce przystać do bractwa, o zachowaniu jego mają dać świadectwo bracia, którzy go znają; mają mu być podane powinności, odebrana obietnica wykonania ich i zgody; a wtedy pisarz wpisze go do rejestru, i naznaczy wiele dawać na tydzień przyobiecał.

„Powinien być jeszcze sługa bracki; człowiek stateczny, wierny, trzeźwy, niezawadliwy, któryby zawsze w domu siedział, w kamienicy brackiej mieszkając; i wszystkiego pilnował. Ten pewną zapłatę kwartalną naznaczoną niech ma.

„Inni urzędnicy żadnej płacy i dochodów mieć nie będą, prócz wzajemnych całego bractwa modlitw; na tych z dzięką wielką przestać mają, gdyż dla chwały Boga i odpuszczenia grzechów swoich te prace przyjęli.“

---

#### O KOMORZE POTRZEBNYCH, KTÓRĄ ZOWIĄ BANKIEM POBOŻNYM \*)

„Między miłosiernemi uczynkami, jest téż jeden pilnie od Boga nam zalecony: pożyczanie pieniędzy darmo, bez lichwy, ludziom ubogim i potrzebnym. O czém sam Zbawiciel u Łukasza Ś. tak mówi: „Czyńcie dobrze i pożyczajcie, niczego się ztąd niespodziewając, a będzie wielka zapłata wasza, i będziecie synami Najwyższego.“ Toż samo przedtém i w Starym zakonie rozkazywał; ale rzadko się temu przykazaniu dosyć od ludzi dzieje; bo albo nie mają, albo nie chcą; a drudzy, jeśli pożyczą, zysku ztąd

---

\*) Podanie jest, że Jan Paweł Campanus prowincyał Jezuicki, pierwszy złożył na ten bank złotych 10 ówczesnych, co wynosi Zł. 85 gr. 20 dzisiejszych. Z tak drobnego zakładu urosł, jak zobaczymy dalej, do przeszło dwóćć sto tysięcy złotych dzisiejszej monety.

szukają; zaczęm bardzo wiele ludzi, w ostatecznej potrzebie swęj pożyczając pieniędzy u żydów, i u niektórych nieuczynnych chrześcian, przez lichwę do nędzy przychodzą. Przetoż bractwo to, dla poratowania ubogich wstydlivych, rozmaita nędzą domową trapiionych, założyło *komorę potrzebnych* czyli *bank pobożny, mons pietatis*, tym umysłem, ażeby darmo, bez lichwy wszelakięj, na fanty, pewne rzeczy ruchome, pieniądze pożyczane były. Te pieniądze z jałmużn bractwa, z legatów od ludzi bogobojnych ku temu odkazanych, dostarczane będą. Lecz iż każdy dobry uczynek bez porządku prędko niszczeje, przeto to pobożne założenie ma swoje przepisy, które dochować i onych z pilnością przestrzegać, bractwo dla zasługi u Boga przyobiecało.

„Urzednicy *komory potrzebnych* być mają: naprzód Starszy bractwa, powtóre dwóch Radnych i dwóch Pisarzy, obieranych większością głosów; obowięzuje się ich sumieniem: aby nigdy od nikogo żadnego zysku, ani podarków za pożyczanie pieniędzy nie brali, a gdzieby się na którym co takiego pokazało, tedy bractwo, oczyszczając się, powinno zaraz inne urzedniki postanowić. Na pisarzach wszystek porządek i szafunek komory jest włożony. Pieniądze, fanty odliczać, na swém miejscu chować, i oddawać swych czasów mają; tego z pilnością doglądając, aby każdy fant na miejscu sobie właściwém leżał. W rejestra wszystko porządnie spisywać; co, kiedy, komu, wiele się dało, mianując. Skład téj komory ma być w sklepie warownym w skrzyniach, od których klucze Pisarze, Starszy albo Radni mieć mają, i oni tam tylko chodzić mogą i rzeczami komory rozrządzać. Iżby oszukanie jakie w fantach zastawnych nie było, mają być z bractwa szacunkarze, ludzie znający się i dobrego sumienia, którzyby fant każdy sprawiedliwie ocenili. Pieniądze nie mogą być pożyczane dłużej jak na rok; poczem każdy zastawnik winien swój za-

staw wykupić, oddając pożyczone pieniądze; gdy rok przejdzie a nie wykupi, jeszcze sześć niedziel czekać; lecz gdy nie przyjdzie, fanty spisawszy na karcie, wraz z ich słuszną ceną, na tablicy w kamienicy bractwa przybić, nikogo nie mianując, czyjeby te fanty były; chcącym kupić przedać, pilnie zapisawszy w rejestrach summaryusz expozycyi i aukcyi. A cokolwiek w fantach przedanych nad pieniądze dane zastawnikom zbędzie, oddać im albo ich potomkom; w przypadku gdyby ich ani potomków nie było, wrzucić te pieniądze do skrzyni i pilnie zapisać to pomnożenie.

„Dwa razy w rok deputacya z sześciu braci złożona ma odprawiać rewizyę komory, fantów i rejestrów; téj niech będzie Starszy obecny, dwóch z kapituły katedralnego kościoła, i dwóch panów radnych krakowskich, ku temu uproszonych, a do bractwa nie należących. Liczbę dostateczną z szafarstwa tego uczyniwszy, dowody porządku tego mają być chowane, aby pamiątka pilności i wiary urzędników została — toż samo dzieć się ma przy nastawianiu nowych urzędników. Rzeczy kradzione, czego Boże uchowaj, jeśliby się trafiło, żeby w téj komorze przez kogo niewiadomie zastawione były, komora na tém tracić nie może, bo nie dla swego pożytku, ale dla poratowania potrzebnych pieniędzy pożyczca. Podobnie gdyby przez gwałt, wojnę, ogień, złodzieja, szkoda w fantach stała się; jeśliby dwaj urzędnicy z bractwa przysięgli, że nie z jego przyczyny szkoda się stała, wolną ma być komora od płacenia onych fantów. Gdyby téż Bóg powietrze na to miasto przepuścił, urzędnicy złożą fanty w skrzynie warowne, w miejsce bezpieczne; co jednak namowa spólna uprzędzić ma.

„Jeśliby za odmianą czasów, w téj komorze potrzebnych czyli *banku pobożnym*, czego poprawić albo odmienić trzeba było, bractwo miłosierdzia wszystko z pilnością, dobrą wiarą, dla zasługi u Boga czynić wolność sobie zostawuje.“



## O skrzynce św. Mikołaja.

„Jest jeszcze przy tém bractwie *skrzynka Ś. Mikołaja* dla tego tak nazwana, że on uczynkiem wielce miłosierdnym się zajmował. Było zawsze i jest wiele panienek, które będąc uczciwie wychowane, z ubóstwa i niedostatku posagów przychodzą w niebezpieczeństwo utracenia cnoty; na ratowanie i wyposażenie takowych, św. Mikołaj nie żałował złota; my za jego idąc przykładem, chcemy także mieć miłosierdzie nad takowemi, bo one wszelakiego politowania są godne. Zwiedzaj jedno domy różne a najdziesz taki, w którym zostaje wdowa z kilką urodzinych córek, nie ma je czém odziać, nie ma je czém karmić. Cóż myśli ta matka? Łacno do grzechu namówić, gdzie już nędza namówiła... Cóż więc czynić? Zabiegać złemu pieniędzmi, opatrzeniem, jałmużną; za który uczynek wielka będzie odpłata, większa niżli żebraki karmić. Z téj téż przyczyny bractwo chciało zabiedz takiemu nieszczęściu; wzbudził téż Bóg niektórych serca; JW. Mikołaj Zebrzydowski Wda krakowski, pierwszy zakład skrzynki Ś. Mikołaja założył; przyłożyli się i inni szczodrobliwością swą, i jest w pogotowiu skrzynka, z którój opatrzone panienki, mogą mężów dostać, w uczciwém małżeństwie mieszkąć, albo téż do klasztorów iść z tą wyprawą. Ta skrzynka jest w mocy urzędników bractwa; dwóch ma szczególnych opiekunów, którzy, dowiedziawszy się o panienkach ubogich w niebezpieczeństwie będących, braciom na schadzce opowiedzą; ci powinni złemu zabiegać, jednak dary z ostrożnością szafować; a jeśliby potrzeba wymagała, panienkom uczciwe miejsce obmyśleć mają, póki do postanowienia nie przyjdą. Pobierane czynsze i jałmużny, rozdawane pieniądze pilnie

zapisywane być mają; klucz skrzynki jeden u Starszego, drugi u jednego z Radców; co rok w dzień Ś. Mikołaja na ogólnej schadzce rewizya skrzynki i rachunków uczynioną być ma.“

Otóż całe, w ważniejszych przynajmniej swych punktach, *Bractwą miłosierdzia* urządzenie, czy może być prostsze, piękniejsze? Teraz czytaj, Anielko, jego historią aż do dnia dzisiejszego. Po założeniu bractwa i ogłoszeniu ustaw w dniu 28 Października 1584 roku, obrany został *Starszym* ksiądz Michał Taranowski, Jezuita, *Ojcem duchownym* sam Skarga; a chociaż, jak wszystko dobre na świecie, i ten zakład tak piękny poruszył złe języki, różnych doznał przeciwności i przeszkód, przecież zaraz w pierwszych leciech pomnażała się znacznie liczba siostr i braci. Napotkać można w ich spisie znakomite Zebrzydowskich, Myszkowskich, Firlejów, Tarnowskich, Lubomirskich imiona; a każdy obowiązywał się na płacenie tygodniowej jałmużny, czasem kilkadziesiąt złotych dzisiejszej monety wynoszącej. Staraniem Skargi, w roku 1688, uzyskało bractwo na ręce Aldebrandego legata, zatwierdzenie ustaw swoich przez papieża Sykstusa V i na wyższym stanęło stopniu. Lecz w tym samym czasie, od niedawno panującego Zygmunta III, szanowny *Ojciec duchowny* bractwa, wezwanym został na kaznodzieję nadwornego, i jechać do Warszawy musiał. Chociaż to powołanie otwierało szerokie pole wymowie jego i gorliwości, przecież z żalem rozstawał się z braćmi. Pożegnanie, jakie wtedy dla nich napisał, chowane troskliwie dotąd, przypomniało mi zupełnie owe listy Pawła Ś., które on nowym Chrześcianom w Efezie, w Koryncie zostawiał lub przysyłał; i nie mogę się oprzeć chęci wypisania go w skróceniu.

## Bractwu miłosierdzia obojęd płci w Krakowie.

KSIĄDZ PIOTR SKARGA,

*łaski Bożej i pokoju w Panu Jezusie Chrystusie życzy.*

„Maluczkiój a powinnej pomocy mojej około dusz ludzkich w tém stołeczném mieście, z daru Bożego odnosząc z bracią moją prześladowanie, odniosłem téż i wielką pociechę, na którą, bym sto lat każąc i nauczając robił, dosyćbym miał nagrody z tego, iż Pan Bóg takie to wasze bractwo w tém mieście wzbudzić raczył, w którym się miłosierdzie, matka uczynków dobrych, pomoc pierwsza ku dostąpieniu żywota, ucieczka ubogich, nędzy ludzkiej gospoda, domowym szpitalom skarbnica, potrzebom w pożyczaniu komora, miasta tego duchowna obrona i okrasa wszczepiła. W którym, iż już czwarty rok statecznie trwacie, na tém mojem odjechaniu zostawić mi wam przystało to pisanie, które łaskom waszym z uprzejmej miłości ku wam oddaję, dla większego utwierdzenia serc dobrych, pociągnięcia innych do towarzystwa miłosiernych uczynków waszych, aby innym świeciły ku naśladowaniu, i wszyscy na nie patrząc chwalili Boga, który w was tę robotę zbudował, i który posila ręce i błogosławi sprawom waszym. Dziękuję Panu Bogu, iżście nie dbali, z początku zwłaszcza, na języki, śmiechy ludzi nieroztropnych, w posądzaniu skwapliwych i zawistnych, którzy sprawy nietylko wątpliwe, ale i dobre ganić umieją, a swoich poprawować nie chcą. Wiedzieliście, iż dobrego serca świadectwo na ludzi nie patrzy, a to co się z Boga i dla Boga poczyna, do swego skutku dochodzi. Ja żegnając was, bo nie wiem jeśli się już zobaczymy, mówię z Apostołem: „Bracia moi najdrożsi, kochanie i ser-

ce moje, wesele moje, korona moja, tak stóćcie w Panu, najmilsi...\*\*

„Jakoż się nie macie z tego w Bogu kochać i Jemu dziękować, iż wy mało mając, więcej czynicie dla ubogich, niżli inni po kilkadziesiąt tysięcy dochodów w ręku piastując. Ukażcie mi taki skarb tu w Polsce, takiego pana, u którego by zawdy na ratowanie nędzy ludzkiej należć mógł gotową jałmużnę, aby co tydzień rozdał czasem 50 złotych\*), jako wy czynicie, w pilném składaniu, i w ostrożném szafowaniu jałmużny waszych. Wielkać to łaska Boża, na którą dziwuję się, iż ludzie oczu nie chcą otworzyć. W tych czterech leciech rozproszyliście na ubogie około pięć tysięcy złotych, a nikt z was szkody nie ma, i każdemu to Bóg poczyta, jakoby sam jeden rozdał, chociaż drudzy z was szeląg tylko na tydzień kładą. Taka jest moc miłości i uczestnictwa braterskiego. Jako się z tego cieszyć nie macie, iż z pilności i miłosierdzia waszego, Chrystus, Bóg wasz, karmi, odziewa, z więzień i długów wybawia, w chorobie opatrzenie i żywność bierze; iż domy, o których nędzy nikt nie wie, ani się pyta, wołają z radością, i łzy z chorych oczu tocząc mówią: Błogosław ci Pan Bóg, domie miłosierdzia, naśladowco Boży, który czynisz dzieło dobroci i Opatrzności Jego około nas... Jam się też bardzo ukochał w was, i z Apostołem zowie was najdroższymi mojemu, boście mię posłuszeństwem i ochotą do dobrego nad inne ucieszyli. Zowie was kochaniem i sercem mojem, bom u was skarb mój niebieskiej nadziei zakopał i zostawił. Zowie was weselem mojem, bo wszystkie zasmucenia, które z prześladowania i niewdzięczności drugich rosły, wyście gasili i oddalali. Zowie was wieńcem i koroną moją, bo dla was mam nadzieję, iż wezmę odpuszczenie grzechów moich u Pana...

---

\*) Dzisiejszych 413 zł. gr. 10, bo według Czackiego złoty ówczesny wartal dzisiejszych zł. 8 gr. 8.



„Pokornie was, jako dzieci moje najmilsze w Bogu, upominam i proszę, stójcie a trwajcie statecznie w tém, coście przedsięwzięli w tém bractwie. Nie bądźcie onym słupem u Daniela proroka, który tylko głowę miał złotą; złotemeście poczęli, złotem kończcie. Chuć wasza do miłosierdzia niech kwitnie, a nie tanieje, ani schodzi, aby się w glinę i w ziemię nie obróciła... Choć was pokus wiele zbijać z drogi, i do rzeczy milszych u świata odwodzić będzie, nie dbajcie; zwyciężajcie w Bogu przeciwne skłonności. Ten ciężar święty, któryście na się włożyli, aż do drzwi gospodarza, który wam zapłaci, to jest aż do śmierci donieście, bo jeśli na ulicy porzucicie, utracicie zapłatę. Nie na datku zależy tak wiele bractwa tego trwałość, ale na pilności i chęci do dobrego. Włóż kwartnik \*) na dzień, nie poczujesz ciężkości; zamieszkał na pięć niedziel albo dziesięć, dopiero ciężkość poznasz, i zwątpiwszy przestaniesz; i nie odpłoszy cię od dobrego skąpstwo, ale lenistwo i zaniechanie. Uczęszczajcie na schadzki niedzielne; przyjdziem na nią zbudujesz brata twego; słuchając o nędzy ludzkiej, i o swojej, która na cię przyjść może, pomyślisz i pokory się nauczysz. Święto uczęsz, jako Tobiasz, dobrze drugiemu czyniąc; próżnych rozmów i złego towarzystwa ujdziesz.

„Jeśli którzy (czego uchowaj Boże) odpadać od bractwa będą, tém się nie gorszcie; sami tylko o wytrwanie proście, bo wielu ich bieży, mówi Apostoł, ale nie wszyscy do kresu dobieżą. By was w bractwie siedm tylko, jako się od siedmiu poczęło, zostać miało, serca nie traćcie... Jeśli zaś w tém św. przedsięwzięciu mocno trwać i gorąco je prowadzić będziecie, da wam Bóg błogosławieństwo; będziecie jako drzewo nad wodą szczepione, które się suchości

---

\*) Kwartnik wzięty tu za ćwierć grosza, za szeląg, może nawet za denar, których szło 18 na grosz.

nie boi, liście i owoc zawsze ma. Będziecie nietylko miastu temu, ale i Koronie wszystkiój na przykład błogosławieństwa, i z was wyjdą inne bractwa, jakoż już poczynają. Nakoniec, na tém żegnaniu dajcie mi swoją prawicę, i uczyśmy, rozchodząc się apostolską umowę: ja grzesznik wielki, w moich koło Ś. Ewangielii pracach i modlitwach nigdy was nie zapomnę; a wy o ubogich nie przypominajcie. Łaska Boża z wami, najmilsi bracia i siostry.“

W Krakowie, 19 Września 1588 r.

Takie zostawiwszy napomnienie odjechał Skarga, innego ojca duchownego na swojém zostawując miejscu; ale nigdy bractwa nie spuścił z troskliwego oka: rady, jałmużny przesyłać mu nie przestawał. Wzrastało codziennie, przybywało sióstr, braci ze wszelkich stanów, a z niemi funduszów. Skarga wiedząc dobrze, iż przykład od wyższych najskuteczniejszy, nakłonił króla, aby się wpisał do bractwa miłosierdzia i dodał mu blasku czynem okazałym; uczynił to Zygmunt, a w roku 1595, w wielki tydzień z całym dworem swoim, urzędnikami koronnemi, senatem, duchowieństwem, odprawił procesyą uroczystą do siedmiu kościołów, wszędzie zbierając jałmużnę \*); od Stycznia 1604 roku obowiązał się płacić miesięcznie do skrzyni bractwa na ręce kaznodziei swego zł. 20 (zł. 162 gr. 4); a 29 Gru-

---

\*) Opis tej procesyi jako i autentyki przywilejów zgromadzeń bractwa, ordynacyę, protokół niektórych schadzek od 1584 roku, wykaz sióstr i braci i inne zabytki w oryginale posiada bractwo. Z tych część wydrukowana w książce wydanej w Krakowie w r. 1819, pod tytułem: Bractwa miłosierdzia w Krakowie ordynacye, z tém pięknem godłem z kazań Skargi wyjętém: Bądźcie miłosierni, bo ludźmi jesteście.

dnia 1611 r. nietylko to zgromadzenie potwierdził, ale nawet sprawy brackie z pod władzy sądowniczej wyłączył, nadając im prawo rozpoznania i sądzenia interesów swoich, i kamienicę ich od wszelkich podatków uwolnił. Jan Kazimierz w r. 1649, król Michał w 1669, Sobieski w 1673, te przywileje potwierdzili.

Bractwo i jego fundusze zapisami panów, biskupów \*), składkami braci wzrastało do stopnia, iż sam bank pobożny wzniósł się do summy zł. 204,114 gr 22<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; ani powietrze grasujące po kilka razy w Krakowie w pierwiastkach jego, ani późniejsze o wybór królów wojny, ani nawet Szwedzi nie zniszczyli tego zgromadzenia; nie było wprawdzie zawsze równie czynne, ale jednak trwałe, i raz tylko od najeźdźników doznało gwałtu: w r. 1656 kilkunastu Szwedów z rozkazu naczelnego wodza zwiedzało sklep bracki, chcąc się przekonać, czy tam nie ma armat lub broni ukrytej? i dowódzca ich porwał woreczek jeden z pieniędzmi; widzieli to bracia obecni, lecz mówić nie śmieli, bo uciemieniony często na małą krzywdę milczy, z bojaźni by większej nie ściągnąć. Ale od początku XVIII wieku bractwo i dochody jego znacznie upadać zaczęły; duch gorliwości ostygł: schadzki były rzadkie, wreszcie zmiany rządu, pieniądze papierowe, może téż kierunek ku innym zamysłom, a potem zniechęcenie i pewna oziębłość, taki wpływ miały, iż w r. 1811 bank nie liczył nawet 26,000 zł. wartości, i zdawało się, że ten zakład tak dawny, pobożny i użyteczny rozpręże się i zniknie. Wtedy Bóg, wdów i sierot opiekun, natchnął jednego z braci, i dzieło miłosierdzia nowe życie przybrało. Tym bratem był dzisiejszy Starszy, szanowny Franciszek

---

\*) Dobroczynny Zadzik biskup krakowski, w r. 1694, 60,000 zł. na Skrobaczowie zapewnił, przed nim X. Łukomski kanonik, także znaczny fundusz zapisał.

Piekarski, Vice-prezes Tryb. Apel. Krakowa; on temu zakładowi ciąglą pracą nowy byt nadał, przywrócił znikły porządek, obudził uspioną gorliwość, zebrał rozsypane ustawy, odnowił je, zastósował do obecnej chwili, do ducha dzisiejszego wieku; podał tę nową ordynacyę bractwa Senatowi rządzącemu, a ten roku 1817 zatwierdził ją jednomyślnie.

Odtąd tchnie znowu to zgromadzenie pierwotnym miłosierdzia, porządku, gorliwości duchem; corocznie według ustaw założyciela, delegacya jest wyznaczona do sprawdzenia rachunków, do okazania bilansu przychodu i rozchodu całego funduszu bractwa: zdanie jęj sprawy drukiem ogłaszane bywa. Nie wrócił jeszcze zapewne ten zakład do dawniej świetności swojej, bo fundusze bardzo się zmniejszyły, jednak w zeszłym roku było zł. 25,811 gr. 18 dochodu; z tego 50 osób pobierało jałmużnę miesięczną, wypłacono 28 posagów, pięciu podrzutkom sposób do życia zapewnionym został; ogółem wydano zł. 24,111 gr. 25; a w komorze potrzebnych czyli w banku pobożnym, zastała delegacya w zastawach sukiennych 5,037 zł., w zastawach klejnotowych 49,110 zł.; pożyczono na fanty przez ciąg roku, przeszło siedmuset osobom różne kwoty pieniężne; a z samego obiegu już zbawienne skutki dla ogółu wypłynęły. Lecz nierównie więcej nad wszelkie rozumowania i na piśmie dowody, przekonać mogą o gorliwości, porządku, dzisiejszém zagospodarowaniu, jedne tego pięknego zakładu odwiedziny. Starszy jego zdaje się być drugim założycielem, drugim Skargą; i nie wiem czy mogło wszystko iść lepiej w tém bractwie w pierwszych leciech jego istnienia.

Wyznaję, że przejęta i ździwiona byłam tym ładem, tym porządkiem; wyznać trzeba z żalem: mało gdzie w naszym kraju przedstawia się podobny widok... *Komora potrzebnych*, tyle szczegółów w sobie zawierająca, tak jest ułożona, rejestra tak po prostu a tak akuratnie utrzymane, że odrazu do każdej rzeczy trafić można, dowiedzieć się kiedy, przez ko-



go oddaną była, jak oszacowana, wiele na nią wzięto z banku pieniędzy? W zastawach sukiennych najwięcej widziałam prostych zimowych ubiorów; i powiadano mi, że wraz z wiosną takich znoszą najwięcej, pilnie je wykupując na zimę: często nawet ten sam kożuch lub futro przez lat kilkanaście do komory wracają. Ta sposobność dobroczynny ma wpływ na ludzi prostego stanu; w czasie ciężkiego zwykle przednówka doznają pomocy; przez wiosnę i lato snadnie pieniądze pożyczone zarobią; pamięć tego długu i chęć odzyskania cieplej odzieży na przykrą porę, jest im nawet bodźcem do pracy; wreszcie tym sposobem odzież ta dłużej im trwa; w zimie ochraniają jęj, żeby wyżej oszacowaną była; a przez czas zastawy, chowana starannie, często wietrzona, nie tak się szarza jak w ich ciasnych i nieporządnym mieszkaniach.

W *zastawach klejnotowych* widziałam drogie i piękne rzeczy, różne srebrne naczynia, porządki; im fant kosztowniejszy, tém nazwisko staranniej ukryte, przy prostych odzieżach wypisane dokładnie; to delikatne i trafne odróżnienie ujęło mnie bardzo, bo wieśniak i wyrobnik nie wstydy się ubóstwa, w którym się urodził, które odgania ile może pracą; wstydlivi ubodzy i najnieszczęśliwi są ci, którzy kryć swój niedostatek muszą. Zapewne do wielu tych zastaw marnotrawstwo, nierząd, niedbałość powodem były, ale jednak nie mogłam bez rozczulenia na ten zbiór patrzeć; ile on przykrych ofiar, ile łez kosztował.. Zajęły mnie także niezmiernie korale, których tam za kilkanaście widziałam tysięcy; może nie jeden bicz do młodej i urodziwej należał dziewczycy, która w tym stroju największe miała upodobanie, i zastawiła go dla poratowania matki chorėj lub ojca staroego.. Każdy z tych fantów podałby niezawodnie treść do moralnej i nauczającej powieści, gdyby można wiedzieć dokładnie każdego historyą.. Opis takiego miejsca, sam widok jego, więcej o życiu i ludziach uczy od wielu rozpraw głębokich.

Z prawdziwą przyjemnością byłam także w sali schadzek brackich, w tój samój, gdzie Skarga, jako założyciel i ojciec duchowny, pierwsze zasiadał miejsce; gdzie wymownemi słowy, wymowniejszym jeszcze przykładem do miłosierdzia zachęcał; przeglądałam pilnie protokoły pierwszych schadzek, pisma już blisko trzy wieki mające; czytałam wykaz w bractwo zapisanych siostr i braci: pierwszych znaczna jest liczba, poczet ich ciągnie się tóż (lubo wprawdzie z niejaką przerwą) od 1584 do 1817 r.; przebiegając go zrobiłam tę uwagę, która niech nie rozgniewa nikogo; póki proste były imiona, jako to: Dorota, Kachna, Marta, Małgorzata, Agnieszka, póty do nich dołączano tygodniowe, miesięczne, czasem po kilkadziesiąt złotych jałmużny; eleganckie i romansowe imiona, Julia, Elise, Wanda, i t. p., same są bez żadnego dodatku. Nie miałam ochoty wyjść z tój starożytnej komnaty, zdobią ją wizerunki dobroczyńców bractwa, a na ich czele Piotr Skarga. Między nowoczesnemi widziałam obraz Stanisława Mieroszewskiego Ordynata, niedawno zmarłego, którego dobroczynności dowody są tu w każdym zakładzie użytecznym ludzkości, zasłużone pochwały we wszystkich ustach. Każdemu obrazowi dodawały życia, objaśnienia uprzejmie nam czynione przez szacownego Starszego; a mowa jego, sam ubiór polski, miłą barwą wszystko zdobiły.

Chciałabym zachęcić ciebie Anielko, i wszystkich którzy to czytać będą, żeby, goszcząc w Krakowie, nie omieszkali zwiedzić tego zakładu; jest to wprawdzie jedno z tych miejsc, w których osoby nie zbyt hojnie od fortuny obdarzane czują to boleśnie,—ale tóż majątnych jaka słodka radość tam czeka,—jak mogą dogodzić szlachetnym chęciom, i być pewnymi, że nie zmarnieją ich dary. O! gdyby tu jakim korytem zwrócić można ową słoną wodę, która się w Wieliczce marnuje! a kiedy to być nie może, aby tu wpływać mogła choć część drobna wydawanych na zbytki pieniędzy, które podobnie jak ta woda marnieją!

Kończąc ten długi opis Bractwa miłosierdzia, jeszcze te słowa umieścić muszę: miło, przyjemnie widzieć teraz w kraju naszym troskliwość o chwałę narodową, i o ulepszenie powszechnego bytu; przybywają nam nowe zakłady i dawne wznawiamy. Niech wdzięczność narodu otacza tych, którzy się trudnią tak chlubnymi dziełami, niech dzieci uczą się zawczasu ich imion i wielbią je, aby ta pamięć i to uczucie do podobnych zachęciły je czynów. Kto zliczyć jest w stanie dobre skutki, jakie z gorliwości i miłosierdzia jednego Piekarskiego i jemu podobnych wyniknąć mogą? I gdzie jest źródło, w którémby tak obficie pociechę czerpać można, jak w tém przekonaniu: „Jesteśmy braciom użyteczni“ \*).

Wracając z bractwa miłosierdzia, w przyjemném towarzystwie, obeszlśmy *plantacje* \*\*) Krakowa; jeszcze niedawno to miasto opasane było wysokim murem z basztami, pięć bram go zamykało: ale to opasanie, lubo piękne, szacowne i starożytne, lubo prawdziwego grodu postać dawało stolicy, w wielu miejscach zniszczone, upadkiem grożące już nie od nieprzyjaciół, tylko od świeżego powietrza Kraków zasłaniało. Musiano więc je zrzucić; została na pamiątkę *Floryańska brama* i kawał muru z *basztami*; na ich widok, mimo przekonania o słusznych do zrzucenia reszty przyczynach, nie można przecież uchronić się od pewnego żalu, nad tém, co na zawsze znikło. Na rozwalinach tych dawnych

---

\*) Miło mi tu wspomnieć o Towarzystwie, które zawiązało się niedawno w Warszawie, staraniem kilku gorliwych obywateli; *Towarzystwo Oszczędności*, już potwierdzone od rządu; skutki jego będą bez wątpienia najpomyślniejsze, i nie można dosyć zachęcać rodziców, aby do niego przystępowali. Wykaz jego już jest drukiem ogłoszony.

\*\*) Szkoda że nie dano tym miejscom przechadzki polskiego nazwiska; lud prosty przekształcić gotowy to wszystko czego nie rozumie, *Plantami* je zowie.

murów, w miejscach błotnistych, nieczystych, niezdrowych, porobione zostały kosztem rządu, staraniem kilku znakomitych osób, zwłaszcza wspomnianego już hrabi Straszewskiego, przechadzki bardzo przyjemne *plantacyami* zwane, które teraz Kraków jakby ogrodem opasują; tam codzień, osobliwie w święta zgromadza się cała ludność Krakowa, wszystkim stanom używać tu wolno świeżego powietrza, i jest to prawdziwie Rzeczypospolitej przechadzka.

Już kilka razy byłam na plantacyach, zawsze z równem upodobaniem bawi mnie ta różnaitość; przytém dzieci tutejszych dosyć napatrzeć się nie mogę; zdają mi się piękniejsze jak gdzieindziej; nadzwyczaj czerstwe, znać że powietrze zdrowe być musi; a ubiór ich schludny i nie wyszukany, taki prawdziwie jak temu wiekowi przystoi, mile wpada w oko. Kto plantacye obejdzie, cały prawie Kraków okrąży; dostrzegłam więc jeszcze wielu nieznanym mi budowli; między innemi *Teatr*, który w tój chwili jest próżny i nieczynny, bo rozjechali się aktorowie; i zawsze pełny, zawsze w ruchu *dom rzezi* bydła i przedaży mięsa, niedawno i porządnie wystawiony, z napisem: *Senat i lud Rzeczypospolitej Krakowskiéj*. Wystawienie tego domu jest prawdziwém dobrodziejstwem, bo przedtém jatki były w samym środku miasta i zarażały powietrze. Sposób sadzenia drzew na plantacyach bardzo mi się podobał; są przeplatane kasztany z akacyami; pamiętano więc i o dzisiejszém i o następnych pokoleniach; ol jak mało jest prac ludzkich, w którychby tę pamięć połączyć umiano.

Dnia 4 Czerwca, w Poniedziałek, w wieczór.

Jutro już wyjeżdżamy; prawdziwie więc na gwałt zwiadałyśmy dziś przez całe rano kościoły Krakowa; żeby przynajmniej być w znaczniejszych: pierwszym był *kościół*



*św. Piotra i Pawła*, który znawcy bardzo chwalą. Istotnie śliczny jest, i wielka szkoda że nie stoi w wydatniejszém miejscu. Budowa zupełnie rzymska, facyata z ciosowego kamienia, upiękniona posagami, kopuła wyniosła i śmiała; wnijsie samo już nie pospolite: na podstawach kamiennych, żelazną kratą przedzielonych, stoi dwunastu Apostołów kolosalnej wielkości, z kamienia wyrobionych; co dało powód do znanego zagadnienia: w którym kościele krakowskim święci pomieścić się nie mogli? Wewnątrz także jest okazały; ma 9 kaplic, wielki ołtarz wspaniały z marmuru; zdoła go obraz Czechowicza roboty: *Chrystus oddający klucze św. Piotrowi*; zdawał mi się szacowny, choć znacznie uszkodzony: jest to spełnienie owęj myśli rzuconej, którą w gabinecie rysunków niedawno widziałam. Ale po zwiedzeniu wczorajszém *bractwa miłosierdzia*, myśl moja zajęta pamięcią Skargi, może nad wszystkie piękności sztuki tego kościoła wyżej ceniła garstkę popiołów, ukrytą w grobach jego, i kazalnicę, z której niegdyś czysta wymowa płynęła. Bo ten kościół, założony przez Zygmunta III w r. 1597, zbudowany z takim smakiem i nakładem, oddany został Jezuitom, i tu ciało księdza Piotra Skargi spoczywa; z tej samej kazalnicy, która trwa dotąd nienaruszona, przemawiał do Króla i do Polaków; szkoda, że nie wszystkie kazania jego w taki skutek obfitowały jak kazanie *o miłosierdziu!* Myśl ta ściagała mnie w tym pięknym gmachu — równie jak i ta druga, która nieco blask jego przyćmiła: że właśnie, kiedy z takim kosztem go stawiano w mieście, gdzie już tyle miał lud pobożny świątyń, wojsko nie było płatne, i nie mogło bronić od najazdu i łupieztwa jedynych może w miastach pogranicznych przybytków.

Ztamtąd udałyśmy się spiesźnie do *kościola św. Wojciecha* na rynku, tam w niedzielę i święta jedna tylko Msza o godzinie siódmj bywa, a chciałam koniecznie Mszy wysłuchać w tym kościółku, który, jak mówią, jest zbudowany

na miejscu dawnego ofiar pogańskich zgliczyska, w dowód czego pokazują jeszcze dobyte z pod wielkiego ołtarza szczątki popiołów. Tu, według podania, miał także św. Wojciech w r. 997, przemawiać do otaczających go Słowian; jednych nawracać, drugich utwierdzać w wierze, i ten kościółek na tę pamiątkę postawiony został. Trafiłyśmy w czas na Mszę; wkrótce tak wiele zebrało się towarzyszków, że część na dworze zostać musiała; kościółek mały nie koniecznie piękny, ale trwały; dają mu już lat blisko tysiąc: odnowionym zaś był w r. 1511. Po skończonej Mszy ciekawość nas wodziła po różnych stronach miasta; wchodziłyśmy, nie pamiętam doprawdy jaką koleją, do wszystkich spostrzeżonych kościołów; byłyśmy u *Missyjonarzy*: ładny, schludny mają kościół; cały zupełnie białego koloru, bez żadnej pstrocizny; a ołtarze, ozdoby wszystkie i posadzka z czarnego w nim marmuru: ta sprzeczność bardzo jest przyjemna; są tam obrazy pędzla Konicza; św. Wincenty, po lewej ręce od wchodu, najwięcej nam się podobał. Byłyśmy u *św. Idziego*: mały to kościółek tuż pod zamkiem, ale jest jednym z najdawniejszych w Krakowie. Władysław Herman go założył, w r. 1087, z wdzięczności za nowo narodzonego syna. Nosi cechę swój dawności; jest mały, niekształtny, nastroszony obrazami nie pięknymi, pełny zbytecznych ozdób; przecina go, jak w wielu dawnych kościołach, obłok przez środek, a na nim Zbawiciel świata, Matka Jęgo i Jan święty. Przy wielkim ołtarzu ławki i ozdoby mnie zajęły; są bardzo starożytne z marmuru wyrzynanego — figurki alabastrowe w dawnych ubiorach, ale żaden napis nie oznajmuje co znaczą.

U *Reformatów* mniej nas zajął prosty kościół jak dawny cmentarz, na którym są znowu dowody liczne pracowitości Stachowicza; całą mękę Zbawiciela wystawił w obrazach, i gdyby jeszcze były napisy, te stacye z wielkimby mogły być odbywane pożytkiem dla dzieci i prostego ludu.

Byłyśmy i u *Pijarów*, gdzie uderzyła nasze oczy trafna i szczególna oprawa obrazu Przemienienia Pańskiego, w wielkim ołtarzu. Wpuszczony jest w głęboką framugę, którą oświetlają z dwóch stron okna z żółtego szkła; dzień był jasny, światłość była taka, że mi się zdawało iż wraz z uczniami Zbawiciela świata jestem pod górą Tabor. Podobno piękna tu ma być pod kościołem kaplica, ale nie można było znaleźć nikogo, ktoby ją otworzył, i tylko widzieliśmy ją z ulicy.

Byłyśmy jeszcze w kilku kościołach, ale pomieszały mi się w pamięci; trzy tylko dobrze utkwily, i o tych jeszcze wspomnę. Pierwszym jest *kościół św. Marka*, którego wyobrażenie na długo przytomném mi będzie. Kościół ten jest z liczby tych, w którym tylko w święta jedna Msza bywa; drzwi wielkie już więc były zamknięte, ale boczne uchyliły się przed nami, i weszliśmy uradowane jakby z jakiego zwycięstwa; lecz ta radość krótko trwała — ledwieśmy wyszły z zakrystyi, i kościołowi wewnątrz przypatrywać się zaczęły, szłyszmy odgłos przerażający zamykania drzwi na klucz; biegniemy — już zapóźno, drzwi zawarte, słyhać tylko ciężki krok oddalającego się zakrystyana, i dla niego śmieszne ale dla nas okropne słowa: „Siedź;“ ptaszku „siedź!“

Wołamy, krzyczymy, na próżno: ustał odgłos i ciężkiego kroku i słów żartobliwych i zupełne nastąpiło milczenie. Co tu począć? czekać cierpliwie; taki był owoc długich narad; kiedy zakrystyan wie, że tu zamknął kogoś, nie zechce przecież trzymać go dzień cały; jednak godzin kilka więzienia obawiać się było można. O! jakże ten kościółek małym się zrobił nagle w oczach naszych, jak skazówka szła pomału na otwieranym co chwila zegarku; nie miałyśmy nawet ochoty przypatrywać się ołtarzom i ozdobom, mówiąc z przyciskiem: aż nadto będzie czasu. Pragnąc przecież użyć jako téj chwili i skrócić ją, chciałam zebrać

i napisać uwagi moje nad kościołami widzianemi od rana; żadnej myśli uchwycić nie mogłam; nareszcie przyszła mi jakaś, chcę ją napisać, — ołówek się łamie. — Na to nieszczęście nie było ratunku: zaczęłyśmy więc obchodzić kościół, ale nic w nim ciekawego nie ma; wreszcie nieustanne bieganie do drzwi, dla posłuchania czy nielitościwy zakrystyan nie wraca? przerywały nasze uwagi; nareszcie po upływie godzinie, która wiekiem się zdawała, słyszymy z daleka jego krok ciężki. Jakże był miłym ten odgłos! wołamy, zbliża się z większym pośpiechem, i zadziwiony otwiera; myślał, że zamknął chłopca figlarza, który w tym kościele do Mszy służąc, często psoty mu wyrządza, a to my niewinne pokutować za szkodnika musiały! Zaczął nas pokornie przepraszać, — nie było potrzeby; znikł gniew i żal, skorośmy drzwi otwarte ujrzały; owszem każda dała mu co tylko miała pieniędzy przy sobie, i ani słuchając, ani czyniąc wymówek, pędem wyskoczyła: nie pamiętam ażebym kiedy tak lekko, tak szybko, korytarz, ulicę przebiegła, żeby mi kiedy tak było wesoło.

Człowiek nie umie cenić darów, których używa, w miarę ich wartości; wszystkie cudzych cierpień opisy, przy najczulszém sercu, z jedném osobistém doświadczeniem równać się nie mogą, i bezwątpienia bylibyśmy nierównie tkliwsi na braci nędzę i nieszczęścia, gdybyśmy sami przechodzili przez wszystkie ich stopnie, i droższemiby nam były dary, których nieraz bez wdzięczności używamy. Nacieszyć się nie mogłyśmy wolnością naszą, i nie wiem czy z chęci jej użycia, czy też z mimowolnej zakrystyana bojaźni, kroki nasze tak były szybkie, jakby nas kto gonił; w jednej chwili ujrzał nas Kleparz i *kościół św. Floryana*: już tu weszłyśmy wielkimi drzwiami, boczne na złe nam wyszły; skończyło się nabożeństwo, już prawie nikogo nie było, nikt się więc ciekawości naszej nie dziwił, i obejrzałyśmy kościół dokładnie. Jest on wielki ale nie z najwspanialszych



zakończony był przez Kazimierza Sprawiedliwego dla uczczenia zwłok św. Floryana, rycerza i męczennika; zubożony przez Jagiellę i Batorego. Ten wielki król przyłączył do kościoła tego probostwo, i pierwszym proboszczem mianował uczonego Stanisława Sokolowskiego, teologa i kaznodzieję swego. Tu Jan III-ci, wracając z Wiednia, modły składał, tu zwłoki Kościuszki spoczywały przez dni kilka, — tu są piękne i kosztowne malowania i płaskorzeźby w drzewie, wystawiające życie Jana Chrzciciela; w środku kościoła wisi chorągiew z wyobrażeniem Jana Kantego: malowana w Rzymie, mówią, iż tysiąc dukatów kosztowała; przeznaczeniem pierwotnym jej było zdobić kościół św. Anny, okazała się zbyt wielką; jest tu obraz Kadłubka już w Cystersów sukni: podobala mi się myśl nosobienia wszystkich błogosławieństw z Ewangelii, które filary kościoła tego zdobią; niektóre zwłaszcza bardzo trafnie wyrażone.

Idąc ztamtąd do *kościola Panny Maryi w rynku*, na którym pielgrzymka nasza zakończyć się miała — spotkałyśmy wesele wiejskie: widać było, że od ołtarza wstąpili do karczemki, bo wesolo i huczno postępowali. Jedna z kobiet sędziwych, zapewne swacha czyli starościna, idąc naprzód ale nie zupełnie prosto, śpiewała:

Jeszcem trzeźwa, nie ospała,  
 Jeszcem sobie nie dołała;  
 Ale mam w Bogu nadzieję,  
 Ze se w Pocieszce doleje.

Winszując jej tak szlachetnych nadziei, ubolewając nad tem, że lud nasz jeszcze na inny sposób weselić się nie umie, zaszliśmy do *kościola Panny Maryi*; już kilka razy w nim byłam, ale nigdy nie użyła ogólnego widoku, i nie przypatrzyła mu się dobrze. Jest ogromny i wspaniały, i wchodząc wielkimi drzwiami uderza i przejmuje ta wspaniałość jego. Niech kto co chce mówi, lepiej się modlić

w wielkim, w pięknym kościele; przemawia dzielnie o majestacie tego Boga, któremu jest poświęcony. Mało zapewne w Polsce kościołów równych w tym względzie tej świątyni; założył ją w roku 1226 Iwo Odrowąż z Końskich, biskup krakowski, wsparty składkami ludzi pobożnych, i przeniósł do niej farę. Wielki ołtarz, cały roboty snycerskiej, zamknięty jest w kształcie ogromnej szafy, i wystawia wewnątrz uśpienie Matki Zbawiciela pośród Apostołów; okna z szkła kolorowego z malowaniami dobrze odpowiadają tej różnobarbnej rzeźbie. W całym kościele jest 10 kaplic, niektóre bardzo piękne; są i malowania wysoko szacowane, i nagrobków bez liku, tak dawnych jak późniejszych; możnaby tu parę godzin spędzić użytecznie, a nam ledwie kwadrans zostawał czasu, nie mogliśmy więc obejrzeć wszystkiego.

Śpieszno nam było na obiad; jedliśmy go w miłym towarzystwie, w miejscu zwanem *pod Wandą*, które od przeszłego roku modnym jest w Krakowie. Po obiedzie wielką miałam przyjemność; poznałam jednego z dobroczyńców ludzkości, sławnego i godnego tej sławy lekarza; nauka i imie jego tak głośne, że Malfatti, ów znany Eskulap Wiedeński, kiedy kto z Krakowa radzi się go przyjeżdża, dziwi się i mówi: „Czyż nie macie Brodowicza?“ Oprowadzał nas z upodobaniem po urządzającym się pod jego okiem gmachu dla chorych, *Kliniką* zwanym—będzie bardzo wygodny, w zdrowym, w otwartym zbudowany miejscu, i ogrzany kanałami; za pomocą jednego pieca po kilkunastu izbach na górze i nadole rozchodzić się będzie ciepło jednostajnie bez swędu, dymu i czadu, i łazienkę opatrywać ciągle gorącą wodą. Wyznaję, że przyjemnie mi było widzieć przemysł takowy, w tylu miejscach dla roślin użyty, tu zwrócony dla cierpiących ludzi.

Kilka łaskawych i przyjaznych osób, chcąc nam warszawiankom wynagrodzić dzisiejsze Bielany, bardzo miłą do Bielakrakovskich ułożyły przejażdżkę; ruszyliśmy w li-

czném towarzystwie, miał być podwieczorek na dworze, mieliśmy wracać Wisłą na zamówionym już statku, miał nam i księżyc przyświecać—ale deszcz tym zamiarom przeszkodził; skończyło się tu na przedziwnym podwieczorku w reftertarzu dla podróżnych przeznaczonym, na powrocie w powozach, na ciemnej nocy, a oraz na nie wygasłej w sercu mojem pamięci tylu dowodów uprzejmej gościnności. O! jak mi żal serdecznie, że już jutro z Krakowa wyjeżdżać muszę. Jak dobrze, że to lube miasto nie bardzo od Warszawy odległe, że mogę mieć nadzieję wrócenia tu jeszcze kiedy, zobaczenia znowu tylu miłych osób. Nieznośną byłaby myśl żegnania się na zawsze.

Dnia 6 Czerwca, we Środę, w Koszkwii.

Już opuściłam pamiętny na zawsze mi Kraków, z wielkim żalem serca; tém bardziej, że codzień więcej mi się podobał, codzień miłszym, ciekawszym, weselszym mi się wydawał. Lecz co robić? wracać trzeba gdzie obowiązki wołają.—Jak po rozstaniu się z osobą, którą po długim niewidzeniu ujrzelśmy nareszcie ale na czas krótki, wymawiamy sobie, żeśmy się jej nie napatrzyli, nie mówili z nią dosyćtak i ja sobie teraz wymawiam, że połowy tego nie widziałam, co było do widzenia w Krakowie i okolicach jego; że nie wyraziła uprzejmym mieszkańcom ani części tój wdzięczności, którą w sercu mojem wzbudzili. Jest to już żal po czasie—jak to zwykle bywa.

Nie chcąc przynajmniej dobrowolnie ominąć różnych o tém mieście szczegółów, kiedy ich tyle mimowolnie opuściłam, wspomnę ci jeszcze, kochana Anielko, o *dwóch kościołach*, i o *grobach królów*, które odwiedziłam przed samym wyjazdem. Kościołami byli *Franciszkański* i *Dominikański*, oba prawdziwie godne widzenia. Pierwszy, gmach wielki

i wspaniały, założony był przez Bolesława Wstydliwego w roku 1237, na prośbę żony Św. Kunegundy; ciało jego ma być dotąd w grobie obok wielkiego ołtarza, a zawsze wstydlivy, kryje się ten pomnik przed oczyma ciekawych. Zwłoki Św. Salomei, przewiezione ze Skały, tu spoczywają także w kaplicy przy wchodzie będącej; zgoła bogatym jest ten piękny kościół w pamiątki i nagrobki. Tu leży Piotr Kochanowski, sławny tłumacz Jeruzolimy; tu Sebastian Pełtrycy, naśladowca dzieł starożytnych, spoczywa; tu znawcy uspokoić się nie mogą nad kosztownymi ławkami przy wielkim ołtarzu: rzeźba starożytna, bogate wysadzanie perłową macią w hebanie, piękne malowania olejne na blasze, wszystko wielką wartość im nadaje. Krużganki są niemniej wspaniałe i zasłużenie słyną. Są w nich pomniki 28-u biskupów krakowskich i ich wyobrażenia. Niektóre, zwłaszcza późniejsze pięknego pędzla—dawniejsze zaś zasługują na uwagę, i nad wizerunkiem Gamrata trudno nie zatrzymać się chwili.

Kościół Dominikański czyli Św. Trójcy, jest także ogromny i bardzo dawny; niegdyś była przy nim Fara, ale Iwo Odrowąż, kościoła P. Maryi założyciel, oddał go Dominikanom, na których czele był synowiec jego Jacek, zmarły roku 1257, później za świętego uznany; ciało jego spoczywa tu w bardzo pięknej kaplicy, staraniem Zygmunta III wystawionej. W niej Sobieski, jadąc na odsiecz Wiedniowi, błogosławieństwo otrzymał.

Jest w tym kościele bardzo wiele grobowych pomników, między innymi, przed samym wielkim ołtarzem w środku chóru, grób marmurowy Iwona Odrowąża biskupa, a przy wielkim ołtarzu pomnik Leszka Czarnego; jest wiele kaplic kosztownych i pięknych, ale mnie jedna, może najmniej tych zalet mająca, najwięcej wabiła; a to dla skromnego w niej będącego nagrobku prostej wyrobnicy. Była w Krakowie jedna biedna kobieta, *Piotrową* zwali ją sąsied-



dzi; ta owdowiawszy, bez żadnego sposobu do życia została, a córka jedyna i złotych parę całym były jej majątkiem. Pobożna i pracowita, ręk nie opuściła, i uszła nędzy. Z tą parą złotych umyśliła wziąć się do handlu; w dniu, gdy go rozpocząć miała, weszła do kościoła Dominikanów, a padłszy na kolana, błagała o pomoc Boga wdów i sierot, i ślubowała, że jeśli za łaską Jego i pracą swoją, dojdzie do chleba i do majątku, dzielić się nim będzie z potrzebniejszymi od siebie, i zniszczoną w tym kościele Matki Zbawiciela kaplicę do szczytu odbuduje. Zdawna

Najmilszą Bogu się zdała,  
Pracującą ręki chwala!

wysłuchał więc modlitw, pobłogosławił zabiegom czynnej niewiasty. Piotrowa ranném wstawaniem, niezmęczoną pracą, nieposzlakowaną uczciwością, w przeciągu lat kilkudziesięciu dorobiła się majątku; wyposażyła córkę, odnowiła kaplicę, żyła uczciwie, i jeszcze jej się zostawała częśćka dla potrzebnych, jeszcze ta ręka odpędziwszy nędzę od siebie, i drugim oczy ocierać umiała. Już od lat kilku ta pocziwa kobieta nie żyje, w kaplicy przez nią odnowionej jest prosty jej nagrobek, w wielu sercach została jej pamięć.

I Dominikański kościół ma obszerne krużganki; w nich mnóstwo obrazów, napisów i grobów; jako najpiękniejszy uważają grobowiec brązowy Filipa Callimacha *Buonacorsi*, nauczyciela synów Kazimierza Jagiellończyka, który mu wdzięczny uczeń Jan Albrycht wystawił; są tu i wielu uczonych Polaków nagrobki, między innymi Szymona Zimorowicza, pięknych sielanek autora; wielu innych księży, którzy ten zakon wślawili—część znaczna jest uszkodzona, bo te krużganki za obcego rządu na magazyny były obrócone; jednak wiernym opisem tego co zostaje, byłoby czém książkę napelnić: i doprawdy, korzystną byłoby rzeczą, gdyby kto zadał sobie pracę zebrania wszystkich napisów, jakimi mury kościołów Krakowa, posadzki ich nawet okryte. W zakry-

sty Dominikanów, są dwa małe, ale śliczne obrazy na blaszce: Zbawiciel świata i Matka Jego, przez *Manciniego* w Rzymie malowane. Zbawiciela głowa, zwłaszcza w cierniowej koronie, tak jest wymowna i piękna, że zdaje się, iż istotnie żyje i cierpi.

Ale czekały nas już otwarte *groby królów*, do nich trzeba było spieszyć; chciałam koniecznie widzieć z bliska te zwłoki, dotknąć się ciasnego mieszkania tych, którym może nieraz obszerne ich państwo małym się zdawało; bo każdy wie i pojmuje, że w kościele katedralnym są tylko napisy grobowe królów, a w piwnicach podziemnych ich zwłoki. Wstąpiłam więc do tych grobów. Widziałam czaszkę zczerniałą słynnej niegdyś wdziękami Maryi Kazimiery, i kilka kości z pięknej ciała budowy; widziałam rozsypane szczątki owego mocarza siły, Augusta II; jak on kruszył żelazo, tak czas kości jego pokruszył; a korona, na tej próchniejącej głowie, szklanne oczy w tej zbutwiałej twarzy, zdawały się być urąganiem. Osobny grób, w którym piękna trumna Sobieskiego stoi, w najlepszym jest stanie; obok niej stoją skrzynie z zwłokami księcia Poniatowskiego i Kościuszki; a tak można razem trzem bohaterom cześć oddać. Na grobach skończyły się nasze odwiedziny Krakowa i słusznie—to ostatnia i najpewniejsza każdego z nas gospoda—to cel nieochybny ziemskiej pielgrzymki.

Nie będę ci mówiła, Anielko, o przykrych pożegnaniach, o żalu moim, ale kiedy mam chwilę wolną, kiedy jestem znowu w nadobnej *Koszkwi*, w owym pokoiku miłym i cichym, gdzie z taką łatwością o dolinie Prądnika się pisało, byłaby właśnie pora do nakreślenia ogólnego obrazu Krakowa, towarzystw jego, rządu, pomyślności, handlu, stopnia przemysłu, charakteru mieszkańców, i t. p.; ale ja nie jestem ani panią Staël, ani panną Wrigth: takich rzeczy zgłębiać ani mogę, ani umiem. Widziałam wszystko po wierzchu, tak jak można było widzieć, i to kreśliłam w pro-

stocie, wcale nie w zamiarze dania obrazu Krakowa, w chęci napisania dziennika. Wreszcie gmachy publiczne, kościoły, zakłady, ogrody, może opisać, każdego czasu, ktokolwiek na oczy i kto raz je obejrzy; ale tamte, nierównie ważniejsze przedmioty nie zawsze, nie dla każdego są dostępne, i dłuższéj od dni dziesięciu wymagają pory. Wybaczysz więc, Anielko, wybaczą późniejsi czytelnicy, że lubo wiem jak wiele temu pisemku niedostaje, tu je zakończę; jutro raniuteńko wyjeżdżamy do Warszawy—już o niczém myśleć nie wypada, tylko żeby najrychlej w niej stanąć. Przywilejem wędrowników nabierałam wspomnień i pamiątek dosyć, z tych część na papier wylałam, drugie w sercu zostały; ale jak te, tak tamte nigdy nie wygasną, na zawsze słodkie mi będą: oby tak być mogło z pamięcią, którą tu zostawiam; oby czytający ten dziennik, mogli użyć choć cienia téj przyjemności, którój ja pisząc go doznałam.

---

## OPIS PIĄTY.

### PRZEJAZDŹKA DO NIEBOROWA I ARKADYI.

w Maja 1828 roku.

I znowu przejażdżka, i znowu jój opis; czy nie jesteś znudzona Anielko? ale nic nie pomoże; skorom ja gdzie jeździła, ty czytać musisz, i ten mus jeszcze raz w tym roku cię spotka; lecz dziś nie długo cię zajmę.—nie daleką i krótką była ta podróż moja.

Od dawnego już czasu wraz z kilkoma osobami wybierałam się na małą do Nieborowa, Arkadyi i Łowicza podróż, w zamiarze opisanja tych miejsc. Po wielu odkładaniach i przeszkodach, wybraliśmy się nareszcie w ostatnich dniach Maja bieżącego roku. Droga nas wiodła na Wolskie rogatki, a pierwszym przedmiotem godnym uwagi, było *Kolo*, owo miejsce gdzie dawno i nie tak bardzo dawno, wśród wrzawy, hałasu, los Polski rozstrzyganym bywał; żal mi, żem choć jednę elekcyi obecną nie była. Ileż to miejsce dziś głucho, intryg, szeptów, nanów, złorzeczeń słyszało! Gdyśmy *Wolę* minęli, zwróciły myśl naszą *Odolany*; ta wioska tak blizka Warszawy, jest bardzo stosowną do urządzenia w niej kilkunastu domków letnich dla mieszkańców stolicy, chcących użyć miłej pory; aleby trzeba przed wszystkim drzew wiele zasadzić, ogródki założyć, gdyż bez tej ozdoby, żadne wiejskie mieszkanie przyjemnem być nie może. Osoby, które zagranicą były, mówią, że przy każdym większem mieście takich osad i domków jest bez liczby; i prawie każdy zamożniejszy mieszkaniec oddycha przez kilka tygodni co rok, czystem wsi powietrzem. Czemużby tego zwyczaju nie wprowadzić i do nas? Dla dzieci, dla osób słabowitych, takowa sposobność ochroniłaby nieraz trudną, kosztowną i długiej kuracyi, i nie jednę do wód zagranicznych przejażdżki.

Droga z Warszawy do Błonia nie zdaje się podawać równie pędzlowi jak pióru, wiele do kreślenia przedmiotów; jednak ktoby wiedział nazwiska i historją wszystkich wiosek rozłożonych na tej ogromnej płaszczyźnie, zapewneby zdołał kilka napelnąć arkuszy. Pewnem bowiem jest to postrzeżenie, iż najmniejsza wioska w Polsce mogłaby wiele przygodami swemi powiedzieć, nauczyć; a historia jej przemiennych posiadaczy byłaby nieraz jedną z najwierniejszych stronnic dziejów krajowych. Autor *Pana Starosty* powinienby



zbogacić nas tego rodzaju dziełkiem, znalazłoby czytelników i wielceby użytecznym być mogło.

Chociażbym zrachować nie potrafiła, ile razy przebyłam drogę z Warszawy do Błonia, przecież ledwiebym kilka widzianych z niej wiosek nazwać umiała, a żadnej powieścić historyi. Uważam tylko zawsze *Rokitno*, po lewej stronie gościńca leżące; kościół jego jest jednym z najdawniejszych w Mazowszu, i ma w ścianach swoich obraz Matki Zbawiciela, słynący jako cudowny. W *Ollarzewie* spotkaliśmy wiejską kobietę; ta dla zasłonięcia się od słońca położyła sobie na głowie duży liść łopianu; Francuz podróżujący byłby już niezawodnie ten zwyczaj ogólnym nazwał i podobne słowa w swoich notatkach umieścić: „Dans les environs de Varsovie, les villageois au lieu de porter de chapeaux se couvrent la tête et le visage de grosses feuilles qu'on appelle lopian; cette coiffure a l'air tout-à-fait sauvage...”

Dojeżdżając do Błonia, każdy uważa *Utratę*, piękną gospodę, most porządny, ale za który dosyć się płaci, a dalej okopy szwedzkie; te dotychczas są widoczne, i przy nich dziś jeszcze szczątków bitnych rycerzy i zabójczej zbroi, dobywa spokojny oracz użytecznym lemieszem... *Błonie* przed kilkunastą laty brudna i nikczemna miejscina, dziś lubo małe, wcale jest porządne; dom zajezdny wygodny. Zjadłszy smaczno obiad w będącym koło niego ogródku *Bagatela* zwanym, ruszyliśmy w prawo do Sochaczewa. Powóz prędko się toczący po bitej i wyborniej drodze nie dozwalał wielu uwag czynienia; zważaliśmy jednak *Lisice*, bardzo ładną wioskę, i wspaniałą austeryą pod lasem, gotyckiej architektury, gminnego nazwiska *Kożuszki*.

*Sochaczew* dziś mało co większy od Błonia, dawniej miasto ludne, 22 cechów rzemieślniczych liczące, głośne spalaniem dziewczyny na rynku w r. 1559, jest dosyć porządny

i ładnie położony \*). Zjeżdżając z mostu na Bzurze będącego, piękny przedstawia się widok; są i rozwaliny starożytnego zamku, ale mało znaczące. Minąwszy *Kozłów Szlachecki*, wieś w miłym położeniu, zjechaliśmy z gościńca chcąc zdążyć do Nieborowa; podobno zbłądził nieświadomy woźnica i nadłożył drogi, ale śliczny wieczór i miła rozmowa czas i drogę skróciły.

W *Nieborowie* gospoda wielka, izby gościnne ogromne, lecz mało czego dostać można. Na wzór bohaterów Homera sporządziliśmy sobie sami wieczerzę; chociaż więcej zachodów i pracy kosztowała jak obiad Błoński, smakowała jeszcze lepiej. Tak to zwyczajnie bywa: im rzecz jaka trudniej przyjdzie, im w niej większy własnej pracy udział, tém lepszą się zdaje, tém jest miłszą.

Cały następny poranek zbiegł nam na zwiedzaniu Nieborowa. Miejsce to, dawne gniazdo rodziny Nieborowskich, od lat kilkudziesiąt, dziedzictwo kk. Radziwiłłów, ma swoje ciekawości. Pałac sam nie jest osobliwej architektury, ale wiele skarbów zamyka. Między niemi pierwsze miejsce trzyma biblioteka; jak nam mówiono, czterdzieści ośm tysięcy książek ułożonych jest w pięknych szafach mahoniowych z bronzami; robił te szafy, na wzór angielski miejscowy stolarz: dowiedziawszy się o tym szczególe, jeszcze nam się piękniejszemi wydały. Są stoły mozaikowe, inne sprzęty bardzo kosztowne, obrazów dosyć znaczna liczba; trzy z nich w pierwszej sali górnej zyskały znawcy pochwały:

---

\*) Lipoman nuncyusz, w pośród sporów religijnych dokazał swym wpływem, iż dziewczynę jakoby o wydanie Hostyi świętej dla żydów przekonaną, na rynku miasta tego spalono; o postępek ten, jak świadczy Lubieniecki, Zygmunt August król gniewał się, i z powodu tego i innych, za naleganiem Tarnowskiego hetmana i wielkiej liczby posłów, zaledwo biskupi z senatu wyrzuceni nie zostali.

młoda osoba czytająca, matka z dziećmiem i taniec hiszpański, jak się zdaje *Dietricha*. Jeżeli się godzi powiedziéć, panowie nasi, którzy pozwalają ciekawym zwiedzać szacowne zbiory swoje, powinni by także użyć im dokładnego tych bogactw opisu; tym sposobem każde takowe odwiedziny byłyby uczące, zwłaszcza dla dzieci i młodych; bo z przeproszeniem naszych *Cicerone*, powtarzają oni zwykle jak papugi wiadomości o pokazywanych rzeczach i najczęściej mylnie; ich mowa nietylko że nie nauczy, ale nawet pobałamucić może: jakby więc przyjemnie i użytecznie było dla ciekawych, mieć w ręku biegłego i niemylnego przewodnika.

Ogród Nieborowski jest w staroświeckim guście i tak utrzymywany; ulice proste, szpalery obcinane pod linię, drzewa w sztucznych kształtach za pomocą ogromnych nożyc. Dla tego samego, że podobne ogrody nie piękne, a był przecież czas kiedy powszechnemi były, wdzięczność mieć należy tym, którzy je przechowują; z nich o dawniejszym smaku wyobrażenia nabyć można, przy nich dzisiejsze lepiej się wydają: tak w galerii malowań, dobrze, kiedy obok obrazu dziewicy w naturalnych uplotach, stoi portret damy w wysokiej pudrem zasypanej fryzurze; tamten jeszcze miléj wpada w oko.

Ale najwięcej zastanawia odwiedzających Nieborów, pomarańczarnia; podobnej nie ma nasza Polska, o piękniejszą i w Niemczech trudno: jest przeszło dwieście sztuk drzew pomarańczowych i cytrynowych, niektóre mają po lat 350, i są grubości dorodnego mężczyzny: sto jest tych grubszych, drugie tyle cieńszych, wszystkie razem przed 34 laty zakupione za ogromne pieniądze w Dreźnie; dziś jak nam mówił ogrodnik, są prawie bez ceny: wydają corocznie po kilkadziesiąt kóp cytryn i pomarańcz słodkich, więcej jeszcze gorzkich. Wszystkie te drzewa dla zimnej w tym roku wiosny, stały w budynku sobie przeznaczonym; mówią, że tak jeszcze wspaniałej się wydają: wierzyć temu łatwo, ten ro-

dzaj drzew już ma kształt sztuczny; lubo piękny, bogaty, nie ma wdzięku, w większej zaś jest harmonii z sklepieniem ręką ludzką sporządzoném jak z sklepieniem niebios.

Wieś Nieborów jest bardzo rozległa i porządna; lud przystojny i dobrze odziany; zgorzyć się tylko potrzeba kościołem: mały, zaniedbany, brudny, w rozsypkę idzie; bezwątpienia muszą myśleć o nowym: szkoda, że ta myśl jeszcze się w skutek nie zmienia. Z mieszkańców Nieborowa poznaliśmy jednego, który nas bardzo zajął; jest to inwalida nazwiskiem Kowalski; pod Gdańskiem w r. 1807, stracił obie ręce od kuli armatniej; taki przemyślny, a raczej potrzeba taki mu przemysł nadała, że łokciami ję, a nawet i pisze; rodem jest z Niemierowa, pobiera płacę od rządu, a dziedzic tutejszy wyznaczył mu ordynaryę. Pomimo kalectwa, ten człowiek jest bardzo zdrow, wesół i wielce poważany.

Z Nieborowa udaliśmy się piękną drogą do *Arkadyi*, może o pół mili od niego położonej. Jest to miejsce, które niegdyś było nędzną wioską na płaszczyźnie rozrzuconą, bez drzew, wody i widoków. Helena z Przeddzieckich Radziwiłłowa, uwzięła się koniecznie, ażeby z tak opuszczonego od natury zakąta, zrobić ułomek owej greckiej krainy, tak opiewanej przez poetów dla piękności, położenia, żyzności pastwisk i szczęścia mieszkańców. Nie można powiedzieć, aby ten śmiały zamiar udał się zupełnie, chociaż nie brakowało ani dowcipu, ani gustu, ani też pieniędzy, bo niedostateczne jeszcze te środki na zwalczenie natury lub jej wyrównanie.

O Arkadyi różne były i są zdania; rozmaite ona myśli nasuwa: jedna z dowcipnych Polek nazwała ją *pieśnią Aniola w obrazie*, inna w opisie pełnym wdzięku mianowała ją *wrózek i uroku krainę*; ktoś wyrzekł, że to *ogrodowe muzeum*: ja nie poważę się szukać nowego dla miejsca tego przydomku, ale powiem czego odwiedzając go doświad-



czam: oto zdaje mi się, że w śnie jestem, w śnie, w którym tak łatwo największe sprzeczności się łączą, największe dziwactwa uchodzą; gdzie nędzna chatka wspaniałego gmachu dotyka, czas przeszły z teraźniejszym się kojarzy, gdzie rzadkie, zadziwiające ukazują się piękności, gdzie słowem jest wszystko co zajmuje, prócz harmonii i użytku. Ale czas przystąpić do opisu: nie będzie on wcale dokładnym, wiele do życzenia zostawi; bo w Arkadyi takie jest mnóstwo szczegółów, że nie sposób w krótkim czasie obejrzeć i spamiętać wszystkie; całości zaś objąć niepodobna.

Najwięcej uczęszczany przyjazd jest drogą, która już sen rozpoczynać się zdaje: po jednej stronie widzisz nędzne, walące się chaty, i w nich ludzi, a po drugiej, piękny ale pusty ogród, utrzymany starownie *domek wiejski* bez mieszkańców, lecz ozdobny tém wszystkiém, co gust i zbytek Greków, Rzymian i wschodnich narodów mógł wynaleźć. Domek ten zupełnie zdumiewa, zachwyca, niemal w obłęd wprowadza; gdyż jest w nim niepojęta mieszanina prostoty i wspaniałości, wiejskości i przepychu, pamiątek wieku dzisiejszego i zeszyłych: ubogi kmiotek znalazłby tu nie jedno do swojej chaty narzędzie, Lukullus nie wzgardziłby wielą sprzętami; wykwintna Paryżanka upatrzyłaby z łatwością mnóstwo do swego *boudoiru* drobiazgów. Bo słuchaj, jaki jest ten domek. Zupełnie wiejskiej powierzchowności, przedstawia ci zaraz na wstępie parę izdebek gospodarskich, jak najskromniej przybranych. Widzisz w nich proste pułki i szafy, miski, garnki, drewniane statki, kuchenkę, plecione stołki, rogoziem przykryte podłogi i ściany; w przyległym pokoju już z zadziwieniem postrzegasz eleganckie łóżko, gotowalnię starożytną z kości słoniowej: lecz twoje zadumienie jest zupełne, gdy opuszczając ten pokój, wchodzisz do salonu szczególnego kształtu, dziwnie, osobliwie, ale czarującym sposobem przybranego. Szyby szkła

czystego, na pięć łokci długie, na trzy szerokie, w kosztownych ramach, z dwóch boków za ściany służą. Jedna z tych szyb, okno środkowe stanowiąca, jest wklęsła i kończy się pięknym maskaronem z brązu, dzieło Wilhelma *della Porta*; z pyska jego, zdaje się, że wytryskuje woda i spływa na dno kryształowe, takiéjże wielkości i takiego kształtu, które dźwiga na swój głowie mały jenuusz, starożytnością szacowny. Po bokach téj idealnéj fontanny, na około całego salonu rozstawione jest mnóstwo posągów, urn, naczyń najszacowniejszych i najpiękniejsze kwiaty; rośliny wijące, czepiają się wszędzie, wieńczą popiersia i posągi, rozweselają grobowe urny, łączą się z lekkimi zasłonami muslinu, którym długie łyzy kryształowe za brzeg służą; te poruszając się za najmniejszym popędem powietrza, dźwięczny brzęk wydają, a promienie słońca łamiąc się o nie, zmieniają je w bezcenne topazy, szmaragdy, rubiny.

Środek tego uroczystego salonu jest wyniesiony, wstąpić trzeba na kilka marmurowych stopni: na nich stoi ogromny stół czworoboczny z szkła jednego, w stal opasany, zastawiony jest kryształowemi sprzęty, otaczają go sofki gobelinem przykryte. Po dwóch bokach naprzeciwko siebie wiszą dwa czarnoksiężkie zwierciadła: w ich czarnej powierzchni widzisz odbijające się te szkła, te marmury, te kwiaty, ale niewyraźnie, niepewno, w podobnym sposobie, jak ten domek cały w umyśle twoim się odbija. Jak niektórzy mówią, myślą założycielki było wystawić w téj szczególnej budowie, chwilę kiedy chata Filemona i Baucisy w nagrodę ich gościnności dla Jowisza i Merkurego, w świątynię się zmienia; już jéj połowa jaśnieje blaskiem przepychu, a druga jeszcze zachowała ubogą i wieśniaczą postać. Jeśli tak było w istocie, przyznać należy prawdziwą iskrę poezyi myśli takowéj, pokrewieństwo z Owidyuszem dowcipowi, który ją spłodził, śmiałość wielką w podobném przedsięwzięciu. Ale czemuż żadna część tego domu nie ma pozoru

świątyni, czemu czoło jego na kilku kolumnach nie wsparte; czemu na szybach czytamy imię *Armidy*, i francuzki wyraz *Jouvence*: czemu nareszcie przewodnik daje temu domkowi *Szwajcarskiego* przydomek? co wszystko tak daleko od Filemona i Baucisy umysł porywa, że chyba w śnie połączyłby te sprzeczności można. Ale równie jak ze snu miłego nie radzi się budzimy, tak i z dziwacznej tej budowy z trudnością wyjść przychodzi: zatrzymuje urok jakiś, a może i chęć odgadnienia, wytlómaczenia myśli założycielki; lecz któż odgadnie i wytlómaczy bujnej i bogatej wyobraźni pomysły?

Ztamtąd kwiecistym idąc gajem i krętymi ścieżkami, trafiliśmy na *świątynię*, pięknej architektury, z sześcioma kolumnami jonickiego porządku. Dwa ma czoła: na jedném napis *Mihi me reddentis aggelo*, z Horacego, oddany po włosku w tych słowach: *M'involo altrui per rirovar me stessa* \*), na drugiem: *D'ove pace trovai dopo ogni guerra* \*\*). Po tych napisach sądziłby można, że ta świątynia samotności i milczeniu poświęcona; nie tak jest jednak, nosi bowiem naprzemiany przydomek *Dyanny* lub *przyjaźni*. Jest bardzo piękną, pełna smaku, rzeczy ciekawych i rzadkich, podobać się musi; chociażby do niej innego jeszcze klucza potrzeba, jak ten, którym nie bardzo biegły *Cicerone* piękne drzwi mahoniowe otwiera.

Dzieła ludzkie tak piśmienne jako inne, często aby się dobrze wydały, potrzebują przypisów i objaśnienia zwłaszcza kiedy tak jak Arkadya w guście są mistyczno-romantycznym. W niej też nierównie więcej jak w Nieborowie daje się czuć niedostatek dokładnego katalogu; i miejsce to, w miarę wartości swojej i zakładu, nigdy ocenione

---

\*) Odbiegam drugich, żeby znaleźć samą siebie.

\*\*) Tu pokój, po wielu walkach znalazłam.

nie będzie, póki kto biegły i świadomy takowego nie sporządzi. Wtedy szczególnie dla młodych artystów, nadobnym sztukom się poświęcającym, stałoby się rodzajem szkoły; tamby mogli czerpać wzory starożytnego i dobrego smaku, poznawać piękność, proporcye, obeznawać się z tworamami mistrzów; wtedy i Arkadya miałyby swój cel użyteczny, a tego od wszystkich dzieł ludzkich zwykliśmy wymagać... Nim to nastąpi, poważam się radzić poczynającym zwolennikom sztuki Rafaela i Kanowy, aby uczęszczali do tego Muzeum i brali tamecznych skarbów rysunki; teraz zaś wróćmy do świątyni.

Wchodzi się najprzód do okrągłego przysionka; miłość w framudze będąca ma go oświecać swoją Pochodnią; w środku, na pięknej z alabastru wschodniego podstawie, stoi umywalnia z kamienia *vert de Corse* zwanego. Dalej jest jakby naukowy gabinet, albo małe muzeum, bo na ścianach jego zbiór malowany pomników starożytności w etruskach, lampach, zajmuje ciekawca. W tym pokoiku znajdziesz to wszystko co umysł mile zająć i rozweselić w samotności może: dobrana biblioteka, bióro ogromne, organy, kominek, na którym cudnej piękności Kleopatra z alabastru białego. Obok jest śliczne schronienie, jakby łaźnia maleńka; tam czytasz napis następujący:

Które Tracki Mars wyuł z ojczystej posady,  
Błądne w dom swój Helena przyjęła Arkady.

Masz wielką ochotę pytać się o wytłómaczenie tego coś widziała? co czytasz? ale Bożek milczenia bardzo trafnie tam postawiony, paluszkami na ustach wszelkie zapytania ucina; wchodzisz więc do samej świątyni. Jest to raczej salon wysoki, czworoboczny, mozaikowany biało, ozdobny kolumnami złotymi rzędu korynckiego, naśladowanymi tak zwany *giallo antico*. Na sklepionym suficie piękny pędzel Norblina wystawił jutrzenkę prowadzącą wóz słońca; konie są



przepyszne, a zwłaszcza jeden; zdaje się że wkrótce się wymknie i zerwie lejce różaną dłonią trzymane. Sprzęty w tym salonie są mahoniowe, na wzór starożytnych; kاناpa tegoż kształtu, okryta jest szalem kosztownym, będącym niegdyś własnością Tippto-Saiba; krzesła jakby senatorów rzymskich, chińską materją obite. Szacowne stoły z mozaiki, malakitu, zastawione pomnikami rzeźbiarskiej sztuki wielkiej wartości; jest między niemi popiersie *Nioby*, które ma być prawdziwem \*); piękność jego, rzetelność temu podaniu nadaje. Przedmioty które przypominają, że ten salon jest świątynią, są posągi Westalek i ołtarz; szkoda iż nie z marmuru ciosane: przy takich pięknościach gips nie dobrze się wydaje. Ołtarz jest kształtny, poświęcony przyjaźni; stoi przed pyszném zwierciadłem; zbliżywszy się, postrzegasz w niém miłość, jakby zaczajoną na tych, którzy hołdować spokojniejszej bogini chęć mieli; zaspokoić ich jednak może ten napis:

L'amitié sous sa garde a pris ici l'amour.

*Tu pod straż swoją przyjaźń wzięła miłość.*

I w rzeczy samój, kiedy tak złączona, zastraszać nie może. Miłość w zwierciadle widziana, jest śliczna, pędzła pani Lebrun; wysoko czytasz napis, zapewne stosowny do przeglądających się tu piękności:

Wdzięczność sztuce, hołd naturze.

Na ołtarzu i stopniach jego leżą liczne ofiary; między niemi wieniec nieśmiertelników ręką pięknej królowej Pruskiej złożony; choć na tronie życie wiodła, przecież ją kwia-

---

\*) Wiadomo znawcom starożytności że posąg *Nioby* znalezionym był bez głowy. Miał ją odkryć później pewny amator i sprzedał wraz z całym gabinetem swoim Imperatorowej Katarzynie II; po jej śmierci księżna Radziwiłłowa nabyła ten drogi zabytek.

tek przeżył!... Obok świątyni jest pokój sypialny okrągły; na ścianach gazą zieloną z lekka przykrytych, wystawione są widoki Powązek, ulubionego niegdyś domu wiejskiego księżnej Izabeli Czartoryskiej: dobrze dla Arkadyi że to nie Puław widoki. Przed wyjściem z świątyni podają ciekawym książkę dla zapisania nazwiska; już jedna napełniona: zdybać w niej można i znakomite imiona, i śmieszne podpisy. Potem otwieraniem bywają drugie podwoje świątyni wprost ołtarza będące; piękny widok się przedstawia, a ten widok powtórzonym jest w zwierciadle. Składa go drzew mnóstwo i staw rozległy, przez który rzeczka przebiega, a spadając z rozwalin dawnych i kształtnych arkad, pianistemi bałwany ślady przejścia swego zostawia. Za tą wodą na pięknej łące porozrzucane piękniejsze jeszcze drzewa; między niemi błąka się tuczne bydło, i ten widok dopiero prawdziwie arkadyjski. W pośród stawu wznosi się wyspa zupełnie osadzona drzewami, tak że się ciemnym gajem być zdaje; zowie się *wyspą uczuć* i to jej przeznaczenie oznaczone w napisie na brzegu umieszczonym.

Idź na spokojną kępę między drzew tych cienie,  
Znajdziesz tam miłość, przyjaźń, nadzieję, wspomnienie;  
Znajdziesz i rzadką wdzięczność, a jeżeliś tkliwy,  
Ciesz się w tych troskach, albo ciesz się żeś szczęśliwy.

Nie mieliśmy téj pociechy, bo nie było właśnie wtedy sposobu dostania się na wyspę; dawniej był bacik zawsze gotów, ale teraz go nie ma, a to skutkiem następującego zdarzenia. Kilka osób chcących razem oglądać wyspę wsiadło do baciku, przeładowany na samym środku stawu przechybął się: podróżujący wpadli w wodę i w wielkiem byli niebezpieczeństwie. Opowiadają o téj smutnej przygodzie szczegół, który jednym dziwny, drugim naturalnym się wydaje. W liczbie ciekawych była para złączona słodkim węzłem miłości — kochanek w nurtach wody szukał kochanki;

były i inne kobiety: porywa jedną, wypływa z nią na wierzch, spogląda, woła: „To nie ona!“ i rzuca tę zdobycz, ażeby droższą wybawić istotę. Niedaleko wyspy uczuć, niedaleko świątyni, bo w Arkadyi różne i niespodziane piękności są blisko siebie; spotykasz *rozwaliny* jakiejś *greckiej budowli*: jest to miejsce poświęcone jak gdyby Panowi, chociaż głowa posągu w niem będącego, zdaje się Eskulapa albo Jowisza Serapisa wystawiać. Tam skarby dla artystów. Popiersia, wazy, kolumny, nagrobki, płaskorzeźby najpiękniejsze, całe i w ułamkach. Jest tam niedaleko jakby cmentarz dawny: w ścianach jego tkwią pogrzebne naczynia; jest sad otoczony murem z starożytnych szczątków; były niegdyś schronienia dla kóz i owiec, i wtedy zdawać się mogło, że pasterze Arkadyjsey zburzyli szacowną i świętą budowę, chcąc z niej sielski użytek zrobić; jakoż w tém miejscu leżą na ziemi wśród roślin wijących się i trawy, urny kunsztowne, marmurowe wanny, jak gdyby za naczynia do bydłał pojenia służyć miały. Ztamtąd trafiliśmy na *jaskinię* z ogromnych kamieni ułożoną; widząc je przedstawiła się wyobraźni mojej ciężka praca tych co je niegdyś dźwigali; widziałam także jak kiedyś runą i życia może kogo pozbawią; nie był mi więc miły wchód do niej. Weszliśmy jednak; obok schodów trudnego przystępu są te dwa wiersze:

Oh! let me seek out some desolate schade  
And there meep my sad bosom empty \*)

Na powierzchni góry do której te schody prowadzą jest ołtarz, w nim w płaskorzeźbie z marmuru białego *święta rodzina*; dotyka ona rozwalin gotyckiej budowy bardzo pięknej, której część jedna jest w całości; jęj oglądziny zbudzić

---

\*) O! pozwól mi wyszukać jakie odludne zacisze,  
I tam opłakiwać smutną czczość mojego serca.

mogą uczucie zaspokojenia, rzadkie w Arkadyi; a to dla tego, że miejsce to rzeczywiście miało przeznaczenie, żyjącego zamykało mieszkańca, prawdziwą przechowuje pamiętkę; a któżby nie powtórzył z Boalem:

Rien de beau que le vrai, le vrai seul est aimable.

Sporządziła to mieszkanie gotyckie, w roku 1812, kochająca matka dla syna, którymby każda Polka chlubić się mogła; tam wracającego z wojny czekała miła kwatery; wszystko téż w tém schronieniu jest rycerskie i zajmujące; łoże, księgi, sprzęt cały i ten napis na ścianie: „Jeżeli ta pamiętka najpóźniejszej potomności przeszle cnoty twoje, synu ukochany, zaświadczać razem będzie, że matka twoja chowa twój obraz głęboko na sercu wyryty.“ Piękne Arkady, do których przyczepiona ta milsza od wspaniałych budowli *księcia Michała Radziwiłła kwatery*, doprowadziły nas do romantycznego *mieszkania dozorczy* całej Arkadyi, do śmiałego łuku szczęśliwej miary w stylu greckim, który tak dobrze jest sporządzony, że ani wieki, których zdaje się nosić ślady, ani rośliny pasożytne, któremi w części okryty, zniszczyć go nie mogą. Ten łuk służy oraz za ramy pięknemu obrazowi; za nim widać świątynię, wodę, drzewa; u stóp jego leży kamień z tym napisem:

O da me piu d'ogni altra amata e cara  
Piu d'ogn'altra gentil terra d'Arcadia  
Che col pie tocco e con la mente inchino \*).

Możeby pod tym łukiem należało się wchodzić do tego ogrodu: zdaje mi się że wydałby się lepiej w ten sposób.

---

\*) O milsza nad inne Arkadyjska ziemio,  
Nad inne droższa i ukochana,  
Którą dotykam stopą i myślą witam.



Prócz tu opisanych miejsc i pomników jest jeszcze w Arkadyi szczegółów wiele, a może zanadto; bo w niej wędrownik nie ma czasu, ani szukać, ani żądać, ani spodziewać się czego, wszystko jedno po drugiem wpada samo w oczy; bawi je wprawdzie, ale kłopot zadaje pamięci. O czterech jednak szczegółach wspomnieć jeszcze należy, a temi są: cyrk, amfiteatr z winnicą, kaplica i grobowiec założycielki. Założenie *cyrku* w Polsce było prawdziwie myślą olbrzymią; jak wiele kosztować musiało sprowadzenie tych kolumn, słupów, podstaw, zwierząt, i tego środkowego obelisku, któryby stać mógł i na włoskiej ziemi. Cyrk ten jest bardzo piękny i na niczém mu nie zbywa, tylko na igrzyskach i Rzymianach; mówią nawet że miara doskonale według dawnych podań i wzorów zachowana. Amfiteatr niemniej znawców zdumiewa; tym którzy byli we Włoszech przypomina zupełnie Pompeje; jakoż stawiany na wzór istniejącego dotąd w Wicencyi, jak najdokładniej wykonany, zrobiony jest jeszcze z rodzaju rudy żelaznej w okolicach Łowicza kopanej, która doskonale ma naśladować kamień używany przez dawnych do budowli; miejsce sceny; kulisy składają *winnicę*; ładna to myśl, ale nie zdaje mi się być trafną, jest zbyt czarna sprzeczność między tym wiekiustym, wspaniałym amfiteatrem, a tą co rok ginącą, lekką sceną: nie zgadza się bynajmniej ta trwałość sztuki z tém odnawianiem natury.

*Kaplica* więcej ma harmonii; trudno tylko pojąć dlaczego będąc w kształcie grobu i smutnym przeznaczona wspomnieniom, stoi w wesołym i otwartym miejscu. Kaplicę tę kamienną wystawiła księżna Rdziwiłłowa dla pamięci córek zmarłych w kwiecie wieku. Już drzwi jęj, to przeznaczenie zwiastują; jest na nich płaskorzeźba z bronzu: wyobraża geniusza, który gasi pochodnię życia i pogląda na ulatującego motyla, na to godło duszy. Schody jęj wewnątrz będące z cyprysowego drzewa, pokryte są wiekiem kamiennym,

w kształcie wieka grobowego i całej kaplicy. Ten pomnik dawnego rzeźbiarstwa z Grecyi był sprowadzony. Piękne obrazy go zdobia; są to kopje z galeryi Drezdeńskiej sepią robione, pędzla Seidelmana. Matka Zbawiciela z Rafaela; Spoczynek świętej rodziny w Egipcie z Boola; Ofiara Emanuela z Rembrandta, Magdalena z Battoniego, a w suficie geniusz chwały z Annibala *Carrache*. Nad czterema z tych obrazów były napisy, dziś wytarte, ale bardzo piękne, w ten sposób: Nad ofiarą Emanuela: *ofiarujmy*, nad Matką Zbawiciela *Bogu*, nad spoczynkiem w Egipcie *troшки życia*, nad Magdaleną *aż do ostatniego westchnienia*. Po bokach wielkiego ołtarza stoją dwa naczynia alabastrowe: w jednym krzak róży, w drugim lilji białej; mają to być wizerunki dwóch zmarłych córek, z których jedna Róży, druga Anieli imie nosiła. Żadne są napisy pod krzakiem Róży:

## 1.

Transplantée dans un sol plus heureux.

## 2.

Rose, elle a vécu ce que vivent les roses.

## 3.

Était ma joie, était ma gloire  
Et mon plaisir et mon bonheur;  
Ne périra dans ma mémoire,  
Sa racine tient à mon coeur.

## 4.

Bien que me fis, mal que me causes,  
En ton penser s'offrent à moi  
Après de toi ne vis que roses,  
Ne sent qu'épines loin de toi.

Szkoda, że te kwiaty lubo sztuczne, dawno już nie były odnawiane; kwiat prawdziwy, kosą ścięty i zwiędły ma wdzięk swój, wystawia śmierć i zniszczenie, przemawia

do duszy; lecz kwiat sztuczny ze świeżości wyszły, kurzem okryty, oddała wyższe wrażenia i bynajmniej nie rozrzewnia. Jest to jakby źle udawane łkanie rozpacz obok ły prawdziwej. — Te kwiaty wiele krzywdy czynią téj Kaplicy, która jest może najdelikatniejszą budowlą w Arkadyi. Po Kaplicy widzieć jeszcze należy na wysepce topolami osadzonej *grobowiec* z marmuru czarnego; leży na nim postać niewieścia biała, wierna kopja posągu Ś. Cecylii Bernina; głowa jój obrazem jest założycielki Arkadyi; u spodu kazała wyryć te słowa:

J'ai fait l'Arcadie, et j'y repose.

Ogród ten tyle szczególny, zwabia wielu ciekawych a nawet i cudzoziemców; nie minie go żaden z przejeżdżających przez Polskę; znany im jest sławny Delille: w swoim poemacie o *ogrodach* wzmiankę o nim uczynił \*).

---

\*) Kiedy wyszło to dzieło Delilla, z całej Europy zsyłano mu opisy ogrodów, ażeby je unieśmiertnił w drugiem wydaniu. Księżna Radziwiłłowa posłała mu także opis Arkadyi, odpisał jój, a list jego w tłumaczeniu tu mieszczę:

„Spóźniłem dla W. X. Mości drugie wydanie mego poematu, sądziłbym go nie zupełnym, gdyby piękności jój ogrodu nie zajmowały w nim przyzwoitego miejsca. — Zwykliśmy wystawiać sobie naprzód postać wielkich ludzi, których po raz pierwszy widzieć mamy; ja to uczyniłem marząc o Arkadyi ogrodach. Narysowałem w wyobraźni mojej obraz najpowabniejszy. a opis który odbieram jest mi dowodem, że zgadł jój piękności. Zdało mi się, że widział te gaje, groty i skały; sposobu czarującego jakim opisane, przewidzieć nie mogłem. Wybór napisów nie najmniej szczęśliwy w tém zachwycającem ustroniu. Sam Wirgili wierszy swoich lepiejby zastosować nie mógł; byłby jednak zdziwionym widząc że ich użyto ku pochwalę tego tłumacza, który go tak często krzywdził. Opis Arkadyi już jest sam przez siebie słicznym poematem; lecz na nieszczęście w moim bardzo mało pozostaje miejsca, będąc musiał poskracać innych ogrodów, opisy a żeby temu należnój użyć rozległości. Tak Wirgili zapraszał *Skorpiona* do skulenia się dla ustąpienia miejsca gwiazdzie Cezara.

Z Arkadyi gościnność zacnego generała dywizyi, mieszkającego ciągle w Łowiczu, zwabiła nas do tego miasta i spędziliśmy tam blisko dwa dni jak najmiliej. *Łowicz* głośny jarmarkami, dawnym jest miastem; nadał go Konrad książę mazowiecki arcybiskupom gnieźnieńskim i stolicą Księstwa Łowickiego uczynił; niegdyś znakomite, mające kilka pięknych kościołów, później zniszczone, dziś podnosić się zaczyna; winno najwięcej opiece Rządu i dobroczynnym staraniom wspomnionego generała; uczyniwszy wiele dla wygody mieszkańców, ozdobiwszy miasto *pięknym ogrodem*, który nadzwyczaj prędko odpowiedział pieczołowitym jego zachodom, założył w gmachu gotyckim, przez siebie wystawionym bibliotekę publiczną, najwięcej dla korzyści

Tibi bracchia contrahit ardens

Scorpius, et coeli justa plus parte relinquit.

Przyczenia łacińskie, w opisie Arkadyi umieszczone upoważniły mnie do przypomnienia tych wierszy. — Jeden mi teraz żal pozostaje, a ten jest: iż myślą tylko przebiegać mogę miejsca pełne W. X. Mości i Wirgilego. Chciałbym przenieść się do nich, pomnik poetom przeznaczony w ołtarz zmienić i składać na nim Tobie, Pani, wiersze i kwiaty. Tymczasem zmuszony jestem do wybrania z opisu Arkadyi tego co najświetniejszém osądzę; reszta ozdobi przypisy, i ze szkodą dla mnie wdzięk tój prozy wyda słabość moich wierszy. Nie mogę odgadnąć, dla czego tak spóźnioném zostało przysłanie mi tego opisu — malować te ogrody na miejscu byłoby mojem gorącym życzeniem; chciałbym mózdz powiedzieć:

*Et ego in Arcadia.*

Po tych wszystkich pięknych słowach, Delil w tych sześciu wierszach wspomniął o Arkadyi;

Sous un ciel moins heureux, le Sarmate à son tour,

Présente aux yeux ravis plus d'un riant séjour;

Tel brille en superbe et riche paysage

Qui fut de Radziwil l'ingénieur ouvrage;

Là, tout plait à nos yeux, le côteau, le vallon,

Et la belle Arcadie a méritée son nom.



i zabawy kwaterujących ciągle w Łowiczu wojskowych, i z bogaca ją ciągle. Teraz zaś jako doświadczony żołnierz stawia małą *warownię*, która będzie wizerunkiem najlepszej fortecy i praktyczną poda naukę naszym inżynierom. Już jedna jej *wieża* gotowa; tak pięknie urządzone, tyle rzeczy zajmujących w sobie zamyka, że jeśli jej reszta odpowie, będzie to znakomita pamiątka, a *warownia* Klickiego, wraz z męstwem jego, nauką, dobroczynnością, temu imieniu wieczną zapewni pamięć. O! jak miły oku i sercu obraz życia skierowanego nawet w zabawach swoich ku pożytkowi współbraci, jak przyjemnie widzieć człowieka, który *przechodzi dobrze czyniąc*, którego praca i zachody, trwałe i użyteczne drugim zostawiają ślady.

---

## OPIS SZÓSTY.

### PRZEJAŻDŻKA W SANDOMIERSKIE.

(W roku 1828.)

Otóż jeszcze jedna przejażdżka i jeden jeszcze opis: przepraszam zawczasu, jeżeli nowa praca moja twojemu i innych oczekiwaniu nie odpowie. Ja nie jeżdżę po naszym kraju, jak niektórzy zbyt łaskawie sądzą, jak podróżujący z profesji jeździć powinni; jeżdżę jak wszyscy do krewnych, do przyjaciół; bawię zwykle czas bardzo krótki; jako lubiąca dzieci, powieściom najchętniejsze daję ucho; widzę tylko celniejsze miejsca i poznaję krainę, jak to mówią z gościńca: nie mogę zatem żadnym sposobem udzielać opisów do-

Dzięła Hofmanowój. Tom V.

17

kładnych, obszernych, statystycznych, i wtedybym dopięro miała wiele do umieszczenia, gdyby mi wolno było wyliczać dowody życzliwości, dobroci, jakie wszędzie odbieram: te dowody im mniej zasłużone, tém droższe są sercu memu. Ci wszyscy, którzy mnie niemi w Województwie Sandomierskiem obsypywać raczyli, niech tu przyjmą najszczerze dzięki: niech będą pewni, że lubo ich nazwisk wyrazić nie śmiem, zapisane są na zawsze w pamięci mojej. A teraz wraz z tobą, Anielko, niech czytają z pobłażaniem te *wyjātki* z zwykłego *dziennika* mego, opisujące niektóre miejsca ich pięknej krainy; bo Sandomierskie co do położenia zaraz po Krakowskiem iść może.

Radom, 8 Maja, 1826 r.

*Radom*, stolica Województwa Sandomierskiego, o mil dwanaście od Warszawy, nad rzeką Mleczną, jest jednym z dawniejszych miast polskich; już w roku 1505, za czasów Króla Prawodawcy Alexandra, odbył się tu sejm, na którym szlachta powiększenie swych swobód otrzymała; Starowolski pisarz za panowania Zygmunta III, *w opisaniu Królestwa Polskiego*, wspomina o Radomiu, i chwali w nim dziwnie piękny kościół KK. Franciszkanów. Krwawa bitwa między Polakami i Szwedami, zaszła tu w r. 1656, i inne nieszczęścia zniszczyły to miasto prawie zupełnie; dziś znacznie się podnosi, i nie długo wcale pięknem miastem będzie: tym zaś, którzy go przed kilkunastą laty błotnistem, nędznem i brudnem widzieli, już i dziś upięknionem wydawać się może. Jakoż jest prawie całe brukowane, kanały bite w około utrzymują go w czystości; ma wiele domów nowych i porządných, ogród publiczny w promieniu sadzony, bardzo przyjemny, plac na przegład wojska, i gmach wspaniały rządowy, już na ukończeniu, który wy-

stawiony w części miasta dotąd nie zamieszkałej, dopomoże do powiększania go, bo tam zapewne Radomianie stawiać nowe domy zaczną. Osoby mieszkające w Radomiu, chwalą bardzo miłe i towarzyskie w nim pożycie; prócz kilku domów przyjemnych, są jeszcze miejsca gdzie się cała publiczność zgromadza, gdzie się ze znajomymi zejść można: takiem jest *ogród* o którym wspomniałam, dom *resursowy* z wielką salą, gdzie i na sto osób obiad dać można, i gospoda za miastem, przy drodze Warszawskiej będąca, *Firlejem* zwana, cel przejazdki Radomian, ich *Kawa wiejska*. Przy wchodzie do tej gospody, jest szumny napis, który się podobnie zaczyna:

*Przechodniu! stój, i pytaj czego ci potrzeba?  
Kawy, ponczu, wina, bułeczek lub chleba i t. d.*

Zgoła Radom przyjemne zostawił mi wrażenie; nie widziałam w nim żebraków i ożywionym mi się wydawał. Tę zaletę przypisać może należy licznemu w ten dzień zjazdowi obywateli.

Zwoleń; 9 Maja.

Starożytny kościół parafialny pod opieką Ś-tój Katarzyny będący, w którym są groby *Kochanowskiego*, jest całą *Zwoleń* ozdobą. Te groby są po lewej ręce od wchodu, pod kaplicą Ś-go Franciszka zwaną, z ołtarzem Opatrzności; napisy zaś na marmurach w ścianę wprawianych. *Jana Kochanowskiego* nagrobek najwspanialszy, z marmuru czerwonego, zdobi go napis i popiersie. Wpatrywałam się uważnie w tę twarz znaczącą, która tak piękną pokrywała duszę. Już blisko od dwóch lat, mając zamiar pisać o *Janie Kochanowskim*, zbierając gorliwie wszystko co o nim uchwycić mogę, rozmyślając nad nim, uwielbiam go najwyżej.

Obaczywszy twarz jego, zdało mi się, że twarz przyjaciela widzę; byłabym rada, żeby i on powiedział mi co o sobie, a nadewszystko, żeby mnie zapewnił, czy nie zbyt śmiały mój zamiar, czy potrafię wystawić go jakby należało?... W grobach tój kaplicy są prochy jego zmięszane już teraz z prochami rodziców, i owój nadobnej Urszulki, której pamięć łzami ojcowskiemi uwiecznił; tam leży także poczciwy brat jego Mikołaj, żona Katarzyna z Jasiénca, i dwaj ich synowie Piotr i Adam... Będąc w tém miejscu, gdzie Kochanowski tak często bywał, siedząc w tój ławce gdzie i on siadywał, nadzwyczajnego doznałam wzruszenia. Ileż onto razy modlił się tu gorliwie, w uniesieniu swojém Psalmy Króla Proroka przetwarzał; z uczuciem radości na żonę i córki go otaczające, z wdzięcznością i żalem na nagrobek ukochanych rodziców spoglądał.. A teraz te uniesienia, to szczęście, to serce, znikły; żyje tylko duch u Boga, żyje imię w pamięci Polaków... Oto napis nagrobku wielce już uszkodzonego:

Joannes Kochanowski Tribunus Sandomir.

Hic quiescit.

Ne insalutata praeteriret, hospes eruditus

O sa tanti viri,

Hoc Marmor indicio esto.

Obiit anno sal. 1584 die. 22 Aug. aetatis LIV.

Przeczytawszy i przepisawszy go, tyle wiedziałam co i pierwój; przeto postarałam się o następujące przetłómaczenie:

Jan Kochanowski, Wojski Sandomirski

Tu spoczywa.

Uczony Przechodniu! ażebyś nie pominął bez pozdrowienia

Kości takiego Męża,

Ten marmur niech ci skazówką będzie.

Umarł roku zbawienia 1584 dnia 22 Sierpnia, wieku swojego 54-go.



Zdaje się, że nie żony, ani braci lub synowców, ten pomnik jest dziełem. Jest raczej uwielbienia i szacunku, niżli tkliwości dowodem. Nie mogłam się dowiedzieć kto go stawiał—może który z szacujących Kochanowskiego? może Jan Zamoyski albo Myszkowski, a bardzobym rada wiedzieć to z pewnością... Napis nagrobku rodziców przez syna położony, jest następujący:

M. D. \*)

Petro Kochanovio terrae Sandomiriensi judici, et Annae de  
Białaczów ejus conjugii.

Cum exinctis beneficii auctoribus, tenuis admodum referende gratiae  
supersit ratio

**Joannes Kochanovius**

Parentibus indulgentissimis hunc lapidem jugibus rigatum lachri-  
mis posuit.

Obierunt alter anno XLVIII. supra M. D. aetatis suae LXII. Altera  
decennio post quinquagenaria VI filiis et filiabus IV superstitibus.

(Tenże po polsku).

P. P.

Piotrowi Kochanowskiemu Sędziemu Sandomirskiemu i Annie z Bia-  
łaczowa jego Małżonce.

Gdy po zgaśnięciu Dobroczyńców, tak mało pozostaje sposobów do  
okazania wdzięczności

**Jan Kochanowski**

Najlepszym Rodzicom ten kamień skropiony łzami położył.

Umarł Ojciec 47 lat nad 1500 rok, wieku swego 62-go.

Matka w dziesięć lat po pięćdziesięciu, 6 synów i 4 córki zostawiwszy.

Naprzeciwko kaplicy Kochanowskich, a raczej Ś. Franciszka, jest druga Ś. Stanisława. Płaskorzeźba kolorowa w ołtarzu będąca, musi być zabytkiem bardzo dawnych cza-

---

\*) Litery M. D. powszechnie na nagrobkach widziane, znaczą *Monumentum Decatum*, Pomnik poświęcony.

sów; starożytnością swoją szanowna, ale z innych względów nie powinny być w kościele, bo rozsmiesza. Żadnej zasady miary, odległości, sztuki. Święty Stanisław podnosi Hostyę na cal grubą, i zdaje się, że sam dobrowolnie kark swój okrutnemu Bolesławowi nadstawia. Dwaj rycerze za królem stojący, prawdziwe poczwary. Ten pomnik zepsutego albo niedojrzałego smaku, już *Kochanowskiego* obruszać musiał...

Jasieniec, 18 Maja.

*Jasieniec* jest to wieś piękna, porządnie zabudowana, w obwodzie Radomskim, którą ojciec teraźniejszego dziedzica, były minister skarbu Tadeusz Matuszewicz, wyborny tłumacz poematu o *Imaginacyi Delila i Naśladowania Chrystusa*, zmarły w Bononii r. 1819. jako miejsce kilkoletniego mieszkania swego, kształtnym pałacem, ładnym i użytecznym ogrodem, śliczną kaplicą i tkliwym pomnikiem ozdobił. W pałacu nie zamieszkałym, ale dobrze utrzymywanym, są piękne widoki olejno malowane, wizerunki osób z którymi Matuszewicz żył w przyjaźni, zbiór ksiąg szacowny. Kaplica nie daleko pałacu stojąca, mile wpada w oko nadobną i prostą budową. Napis nad drzwiami: *Bogu na cześć*. Wewnętrzny jej skład odpowiada zewnętrznemu. Obraz piękny i wielki wystawia Zbawiciela modlącego się w Ogrójcu; prawdziwy anioł w ludzką postać odziany, nie mógłby mieć miększych włosów, łagodniejszej twarzy, od tego co z nieba, ku niemu zstępuje. Obraz ten sprowadzony z Drezna kilkaset dukatów miał kosztować. Ołtarz, ławki, ganki, wszystkie ozdoby téj kaplicy są mahoniowe z bronzami i prawdziwie smakowne. Szkoda, że dotąd poświęcona nie jest: stoi pusta i głucha. Opodal, w środku ogrodu, na wzgórku otoczonym świerkami i innemi drzewami, stoi po-

mnik grobowy; jest on z czarnego marmuru, czworoboczny; kto go stawiał? kiedy? dla kogo? napisy poetyczne i obszernie objaśnia:

## I.

Maryannie z Przependowskich  
 Matuszewicowej  
 Najlepszej żonie  
 Tadeusz Matuszewic  
 Mąż strapiony  
 Czci, wdzięczności i żalu  
 Pamiątkę położył.  
 R. 1809 Sierpnia dnia 15.

## II.

Ur. się R. MDCCLXV.  
 Stycznia d. XXV. Była długo  
 czekaniem i jedynem Rodziców swoich dziecięciem;  
 w d. VIII. Listopada R. MDCCXC. Anioł cnoty i słodczy,  
 stał się życia i losu mojego spółnikiem,  
 VII godzina z poranku d. 18 Września, R. MDCCYIX,  
 Jój życiu, i szczęściu mojemu położyła koniec.

## III.

Jój czulemu przywiązaniu, łagodnej cnotcie,  
 niezmiennej słodczy, winienem żem skosztował  
 rozkoszy najczystszych, które ścisły tylko zgodnych  
 serc związek daje uczuć. Jój winienem, że  
 o szczęściu jakie się znaleźć może na ziemi,  
 z doświadczenia sądzić mogę—i lubo w ciągu  
 życia mojego, nie jedną drogą stratę opłakać, nie  
 jedno srogie nieszczęście wytrzymać mi przyszło,  
 jój dopiero utrata dała poznać duszy mojej, całą  
 ostrość boleści, całą gorycz smutku, i całą trudność  
 znoszenia podobnego ciosu z cierpliwością i męztwem.

## IV.

Zdrój czysty i cichy, co chłodem rzeźwi  
 powietrze, co nie rwie brzegów, ale ich zieloność żywi,—  
 co go mróz nie skrzepi, upał nie wysuszy, wichur nie  
 łatwo wzburzy, co szumem nie ostrzega o sobie, ale

przy którym przechodzień zastanowi się z ochotą  
i chwil upływających liczyć zapomni, zdrój taki być  
może niejakim jęj charakteru obrazem.

Obok tego pomnika jest ławeczka kamienna; koło nięj  
kamień z temi wierszami, z żalów Orfeusza naśladowanemi:

Kojąc rzewną tęsknotę słodkiem lutni brzmieniem,  
Sam w tęp ustroni tkliwęp zajęty wspomnieniem;  
Czy mrok uspił naturę, czy ją świat ocucił,  
Ciebie, kochana żono, ciebiem zawsze nucił.

I ja usiadłam na tęp ławeczce; tkliwe, smutne, a ra-  
zem i słodkie zajęły mnie myśli... Ten, co stawiał ten po-  
mnik nie żyje... umarł w obcęp i dalekięp ziemi; pośpieszy-  
ła za nim córka jedyna \*), pośpieszyło dzieatek nadobnych  
dwoje... O! nie pojmuję jakby można lękać się śmierci; tylu  
już do jęp krain poszło... gdy i nam oczy zamknie, tylu u nięj  
lubych sobie i znajomych zastaniemy; wszyscy dobrzy tam  
się śpieszą: tam dobrze być musi...

O dobrą ćwierć mili od Jasięcna jest wioska *Baryczę*  
zwana, i do niego należąca; łączą się piękną ulicą z drzew  
rozmaitych; ta wioska była niegdys dziedzictwem i mieszka-  
niem rodzonego stryja *Jana Kochanowskiego*, Stanisława:  
jest o nięj wspomnienie w wierszykach, które podobno pier-  
wsze z pod pióra ojca naszych poetów się wymknęły; napi-  
sał je w imieniu rodzica, chcącego zwabić brata do Sycyny,  
gdzie na ten czas z rodziną mieszkał. Te wierszyki, jak  
mi mówiono drukowane nie są, i dla tego je tu kładę:

Stanisławie!  
Na Baryczy  
Ryb nie zliczy,

---

\*) Zofia z Matuszewiców Kicka, zgasa w kwiecie wieku w War-  
szawie, dnia 4 Listopada 1822 r.



A Sycyna  
 Nie bez wina.  
 Złącz oboje,  
 Ryby twoje,  
 Z dobrą naszą  
 Wina flaszą.

Widok *Baryczy* przywiódł mi na pamięć i te wierszyki, i *Kochanowskiego*; ztąd wspomniałam na widziane niedawno w Zwoleniu nagrobki i na pomnik Jasieniecki. Z tak drobnój napozór rzeczy, powstało w umyśle moim porównanie wieku XVI z XVIII; tych myśli nie śmiem tu wyluszczać, zwłaszcza iżby może w niektórych względach nie były z zupełną współczesnych korzyścią...

Iłża, dnia 30 Lipca, we Środę.

Jadąc za Radom krajem już mi znanym i niekoniecznie ciekawym, pierwszym miejscem, które mnie uderzyło była *Iłża*. Z daleka zajął mnie widok rozwalin jęj zamku, wieża wznosząca się do góry jak komin ogromny i gotyckie kościoła farnego dzwonnice. Każda budowa zniszczona lub dawna, ma prawo zająć wędrownika; otwiera nowym dumaniom pole: a kiedyż chętniej dumamy jak w drodze? Czytać lub pisać nie sposób ciągle, zwłaszcza kiedy zła droga; wreszcie, czytając i pisząc nie widzimy okolic; najlepiej więc dumać: nieczynność ciała zajęciem myśli zastąpić, za jęj pomocą, wracać wstecz w przeszłość, dążyć naprzód w przyszłość, a tym sposobem skracać i umilać nieraz długą i tęskną chwilę obecną. Zamek Iłżeński na górze stojący, obronny, był zbudowany niegdyś przez Jana Grotta biskupa, należał jak cała Iłża do biskupów krakowskich; mieszkał tu jeszcze niezbyt dawno, jeden z nich, Sołtyk; bo lat temu trzydzieści ten gmach był całym; lecz ówczasowi krainy téj posiadacze, wymyśliwszy jakieś dowody, iż w fundamentach

jego skarby są ukryte, rozwalili go do szczytu: dziś ptak powietrzny, za ledwie w nim schronienie przed burzą znaleźć potrafi. Szkoda, bo widok z miejsca, na którym był postawiony bardzo piękny; cóż dopiero być musiało z wież wysokich? Widać u dołu czystą i obfitą rzekę Białą, kamienicę w rynku gotyckiej budowy, kościół farny starożytny, obszerną, górzystą, drzewem ozdobną okolicę. Na ten piękny też widok zapatrzeć się miał z najwyższej wieży, jeden młody książę polski mieszkający przed laty w tym zamku— i zapatrzył się tak dobrze, że spadł i życie utracił. Matka jego tyle nad tym zgonem łez wylała, iż to miejsce *Jéj łzą* nazwali; dopiero przez długie używanie i zepsucie w *Ilżę* się zmieniło. Takie jest przynajmniej miejscowe podanie; a chociaż zimni etymologowie od ilastego gruntu to nazwisko wywodzą, poetyczniej widzieć źródło jego w oczach tkliwej matki.

Dziś Ilżę ożywiają rękodzielnie: są sukiennicy, tkacze, a co największa jest fabryka fajansu; już za Starowolskiego „Ilża miasto murowane, sławne było dla garncarskiego rzemiosła po całej Polsce.“ Dotąd w okolicy sposobnej gliny nie brakło, obficie jéj jest wszędzie, ale musiało zabraknąć w kraju rąk sposobnych. Anglik na czele jest fabryki i najwięcej w niéj widziałam żydów i Niemców pracujących. Tego rodzaju upadek więcej mnie jeszcze dotyka od zamków i grodów upadku; z mniejszą boleścią widzimy ubytek mieszkania jednego, jak ubytek tylu rąk sposobnych do pracy nieco już wyższej, a przeto zmniejszenie oświaty i dobrego mienia w najliczniejszej klasie ludzi. Pierwszy raz widziałam z bliska i we wszystkich jéj szczegółach garncarską robotę, i chociaż nieraz opis jéj czytałam, dopiero widząc pojęłam jak ta noga to koło obraca, jak ta glina ręki garncarza słucha, jak prostemi sposobami tworzą się różnych kształtów naczynia. W wielu wiadomościach, w wychowaniu kobiet zwłaszcza, nadto książki, za mało świat rzeczywisty

brany jest w pomoc, a przecież jedna godzina praktyki wię-  
cój nauczy od długiej teorii. Pan Sohndegand, naczelnik  
fabryki Iłżeńskiej przyjmuje różne obstalunki; można z na-  
pisami kazać robić całe garnitury, wcale porządne. Zwiedzi-  
łam także dokładnie kościół farny, nie bardzo zajmujący,  
choć dawny; w zakrystyi widziałam spis przewodzących  
temu kościołowi, a na ich czele Stanisława z Wojczyc, zmar-  
łego w roku 1481. Na cmentarzu czytać można na wmu-  
rowanych w ściany kościoła kamieniach napisy po łacinie  
następującej treści:

## 1.

Tu jest dom Pański,  
Królowa najpiękniejsza  
Którą burza miotła,  
Słońce spaliło:

Przybywszy od barbarzyńskiego Wschodu Tatarzyn  
Pod dowództwem Batta  
złupił ołtarze  
Pogan zgraja je splugawiła.

Kościół ten na nowo poświęcony został,  
Lecz potem chmura północna Szwedów  
Łupiła majątności obywateli  
I miasto r. 1655 w perzynę obróciła;  
Nie żałował go także żołnierz ojczysty,  
Toż samo uczyniwszy r. 1656.

Od Południa (zaś) Rakoczy Książę Siedmiogrodzki  
Zwany Surowym, nawet grobów nie szczędził  
Plemie jaszczurcze,

Które za rozdzieranie wnętrzości Królestwa i Kościoła  
Zasłużoną potem karę odniosło.  
Czytelniku!

Jesteś synem — bądź przyjacielem  
Obluźńca i Oblubienicy.

## 2.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Stój wędrowcze, z blizka i z daleka,  
 Jeżeliś czytał jak Troja  
 Ogniem i pożogą w perzynę obróconą była,  
 Tu czytaj, że Róża od domu świętego  
 Płomieniem w r. 1744 spaloną została.  
 W święto Marka Ewangelisty  
 Wszczął się ogień wśród dnia,  
 Od którego miasto z ratuszem  
 I świątynia Pana zgorzała,  
 Dzwonnica spaliła się,  
 Trzy dzwony ogień stopił,  
 I w przeciągu trzech godzin  
 Dzieło wieków zniszczył.  
 Uczcie się obywatele,  
 I z pogorzelska światła,  
 Ażeby was ciemność nie ogarnęła:  
 Czytelniku, sprzyjaj i bądź zdrów.

---

Kunów, tegoż dnia.

Jest to błotniste, brudne i prawie całe drewniane miasteczko; zgadnąćby po niém trudno, jakie skarby ukrywa pobliska góra, gdyby nie rozrzucone po ulicach ogromne sztuki kamienia i kilka nowych domków z takimiż odrzwiami. *Kunów* zapominając tak o sobie, dostarcza najwięcej kamienia ciosowego Warszawie; dawniej były tu marmury różnego rodzaju i koloru, ale teraz już ich nie kopią. Jak mi powiadano, bogaci tu są mieszkańcy; prawie wszyscy kamieniarze, gdyż sami na siebie pracują. Płacą tylko z gruntu rządowi, a każdy co znajdzie w kawałku sobie wydzierżawionym, to jego: własność wraz z potrzebą matką jest



przemysłu. Miło mi było patrzeć na ich pracę lubo dosyć ciężką; mógł śmiało się cieszyć każdy z nich, kiedy się mu udało wielką sztukę wyciosać kamienia, bo wiedział dla kogo ztąd korzyść? Piękną jest góra, która te skarby w swém łonie kryje; udatna, kształtna, drzewami ozdobna i wewnątrz i zewnątrz obfita: widok takowy przyjemny jest oczom; przedstawia on obraz tych ludzi, którzy pod piękną powierzchownością piękniejszą jeszcze duszę kryją. Pod Kunowem płynie rzeka *Kamionka*, i druga woda *rzeką rządową* przez lud tameczny zwana. Jest to kanał ogromny, z wielkim nakładem robiony, który ma spław do Wisły ułatwić.

Święty Krzyż, dnia 4 Sierpnia.

Już od czasu przybycia mego w Sandomierskie, gdziekolwiek się obróciłam, widziałam *Kościół Święto-Krzyżski*. Na tak wysokości stojąc górze, bo wznosi się na 1920 stóp nad powierzchnią morza Bałtyckiego, panuje nad całą okolicą. Już nieraz w dnie słotne, w które to lato tak obfitowało, widziałam chmury przesuwające się u stóp tego kościoła, a wysokie wieże jego i krzyż jaśniejący, często jakby owinięte się okazywały tą powietrzną zasłoną. Widok ten zajmował mnie nowością: cieszyłam się, że tam wstąpiwszy, będę widziała obłoki pod nogami memi; cieszyłam się, że będę na tém miejscu tyle sławioném z pięknego wejrzenia i tak powszechnie głośném. Boć nie ma pewno prostego kmiotka w całej Słowiańszczyźnie, któryby o *Lyséj górze* nie słyszał. Tam, prawdziwie od niepamiętnych czasów, (gdyż nikt nie pamięta tego czego nie było) czarownice miały zjazdy swoje, tam przybywały na miotłach i łopatach; bo nasz lud nie wybredny i mało dla siebie potrzeb mający, nie poszedł przykładem innych narodów, i tym prostym ekwi-

pażem wyprawił wróżki swoje. Tam w migających ogniach czczono Kastora i Polluxa *Lelum Polelum* bożyszczą słowiańskie; tam Mieczysław i Dąbrowka kościół prawemu Bogu z modrzewia wystawili; tam nareszcie Bolesław Chrobry wznosił udatniejszą świątynię, i uczonych Benedyktynów osadził. O założeniu téj świątyni takie jest podanie.

W początkach 1006 roku, Emeryk, królewicz węgierski, syn Stefana, goszcząc u wuja swojego Bolesława, który natenczas mieszkał w Kielcach, udał się w te strony na polowanie; wpędziwszy się za zwierzem w głąb lasów, daleko od służby, wyjeżdżał z trudnością konno na ogromną górę, lasem obrosłą; była to góra Łysa: królewicz wiedział o tém, ale jechał śmiało. Lecz kiedy już był bliskim szczytu i widział modrzewi kościółek, koń jego stawa i nie chce iść dalej; królewicz zsiada by go prowadzić: koń się zżyma i nie postępuje; gdy jeździec bić zaczyna uparte zwierzę, daje się słyszeć głos uroczysty: „Ani koń postąpi, ani ty ztąd wyjdiesz, dopóki nie uczynisz ślubu oddania miejscu temu, tego co masz najdroższego.“ Pobożny Emeryk skarb swój nosił przy sobie; był to szczątek drzewa krzyża Zbawiciela, który dostał był od ojca: ślubował natychmiast że go złoży w ręce Króla polskiego. Skoro wyrzekł, koń ruszył z miejsca i bez szwanku do Kielc go zaniósł. Tam Chrobremu opowiedział swoją przygodę i w jego ręce drogi dar złożył, a Bolesław na uczczenie go, piękny kościół obok kościółka ojca wystawił, i straż jego sprowadzonym z zagranicy Benedyktynom powierzył. Od téj chwili góra zmieniła zwolna przydomek Łyséj w Święto-Krzyską, i stała się celem odwiedzin pobożnych i ciekawych.

Należąc dó jednych i do drugich liczby, wyglądałam niecierpliwie dnia który i mnie tam miał ujrzeć; nadszedł, i wybraliśmy się w liczném i przyjemném towarzystwie. Droga do téj góry od strony Piórkowa i Łagowa niekoniecznie dobra, jak wcałem prawie Sandomierskiém, ale bardzo

piękna; położenia i widoki rozmaite: wioski z sadami, góry obrosłe i nagie różnego kształtu, lasy jodłowe, łąki, pola, parowy, wąwozy, strumyki, wszystkie te bogactwa i odmiany pięknej krainy, coraz inaczéj bawią i zajmują. Już dojeżdżając ujrzałam w wysokości dwa ptaki krążące z nadzwyczajną szybkością, i dziwnie śmiałym lotem wzbijające się w niebo; były to orły: patrzyłam za nimi z upodobaniem, dopóki w obłokach nie znikły. Lubię patrzeć na górny lot ptaków, lubię je ścigać oczyma: to ich wzbijanie się gdzieś wyżej, miłe sprawia uczucie. Lubimy wszystko co wysoko dąży, co daleko sięga, co śmiało się wzbija: podobny widok nas samych unosi. Przed górą jest miéscina *Stupią* nazwana; tam wysiedliłmy: można lekkim parokonnym powozem podjechać pod sam kościół, ale prawie całe nasze towarzystwo postanowiło tę pielgrzymkę odprawić pieszo, i poszliłmy. Droga nie jest bardzo przykra, lubo skalista i śliska, gdyż góra tylko w kilku miejscach spadzista; a i tam widać troskliwie sypaną drogę. Jodły, graby i inne drzewa dodając cieniu, milszą podróż czynią; można nawet ochładzać się, to wodą z wybornego źródła, to malinami i poziomkami, które obficie tam rosną.

Pierwszą osobliwością widzianą wstępując na tę górę, jest posąg kamienny bez napisu, wyobrażający osobę kłęczącą. Jeśli o jego dawności sądzić zechcemy po nieforemnym kształcie, po dzieciństwie kunsztu jakie objawia, odnieść go bez wahania należy do pierwszego wieku Chrześcijaństwa w Polsce. Jak jedni mówią jest to figura pokutnika, jak więcéj głosów twierdzi, pokutnicy, która zgrzeszywszy ciężko, ślubowała pójść na kłęczkach do Ś-to Krzyskiego kościoła; ale nie porachowała się pierwéj ani z górą ani z kolanami, i nie mogła zająć daléj jak na to miejsce. Wtedy wszedłszy w układy sama z sobą, zaspokoila sumienie wystawieniem tego posagu, który jéj własną osobę miał wystawiać. Ta ofiara próżności niewieściéj na tyle wieków

uczyniona, mogła bardzo być uważaną za okup. Dalej idąc zdybuje się małe kapliczki: były to jak widać stacye pobożne, niezbyt dawno urządzone; ale zniszczały i nawet spocząć w nich trudno. Po trzech kwadransach niekiedy przyrywanego pochodu, stanęliśmy nareszcie na szczycie góry: jest płaski i dosyć obszerny; są tam różne zabudowania prócz kościoła i klasztoru, ogrody i łąki. Trochę poniżej jest miejsce oparkanione; tam stał ów kościółek modrzewiowy Mieczysława; mówią że szczątki jego trwały aż do naszych czasów i że przy ostatecznym odbudowaniu dzisiejszego kościoła, zdrowych jeszcze drzewa kawałków użyto na organy i *stalle*. Sam zaś kościół piękny i wspaniały zewnątrz, cały obłożony ciosowym kamieniem, wewnątrz jest takim jakby życzyć należało, aby wszystkie były: wielki, jasny, poważny schludny; jakaś w nim jest czystość powietrza, widoku, która i na myśli działa; a ozdoby złożone z tego tylko co istotnie w domu Bożym jest potrzebne, zdaje się że i prósbom jakieś umiarkowanie nadają. Krzyż złoty, lichtarze smakowne, ławki, organy, *stalle*, siedm ołtarzy, w każdym piękny obraz pędzla Smuglewicza: oto wszystkie tego kościoła szczegóły.

Obrazom przypatrywałam się pilnie, gdyż są rzadko widzianej w naszych świątyniach piękności. *Pierwszy* od wschodu wyobraża królowica Emeryka, zabląkanego w lesie tej góry; zsiadł z białego rumaka, zdziwiony że ten isć nie chce: po wyrazie twarzy zgadnąć można, iż właśnie odzywa się do niego głos uroczysty. *Drugi* wystawia także cudowne zdarzenie. Ś. Benedykt założyciel zakonu, którego wyznawcy dotąd tu mieszkają, miał siostrę zakonnice Ś. Scholastykę; razu jednego odwiedził ją w jej klasztorze; po niejakić chwili zapragnął odjechać, a ona puścić go nie chciała; gdy się koniecznie wybierał, modłami swemi ściągnęła grzmoty i pioruny: te spóźniły odjazd brata, ona zaś potrzebowała jego pomocy, bo tegoż wieczora umarła. Malarz wybrał tę chwilę, kiedy wybierającemu się w drogę,



siostra przez okno celi zagniewane ukazuje niebo. *W trzecim* obrazie wydana jest śmierć Ś. Józefa; piękna jest twarz łagodna, choć smutna Chrystusa siedzącego spokojnie u stóp łóżka; piękna zboląła twarz klęczącej i strwożonej Maryi, a myśl malarza w odróżnieniu tych dwóch smutków jeszcze piękniejsza. *Czwarty* obraz w wielkim ołtarzu będący, Trójcę Ś. wystawia. *Piąty* na cześć Matki Zbawiciela oddany; *Szósty* śmierć Ś. Benedykta wyobraża. *Siódmy* cesarzową Helenę, tę która prawdziwy Krzyż Zbawiciela odkryła. Nie ma ochoty wyjść z tego kościoła; jedno w nim tylko przykre uczucie dotyka: nie wiem jakim sposobem woda zacieka i psuje piękne Smuglewicza obrazy; już wiele szkody poczyniła, i jeśli prędko temu troskliwa nie zaradzi ręka, zniszczą wkrótce te szanowne pędzla rodaka pamiątki.

Obok zakrystyi, w której niegdyś wielkie miały być skarby, jest *kaplica* założona przez Mikołaja i Zofią Oleśnickich. W niej chowany jest dotąd z czią należną szczątek Krzyża świętego, przez Emeryka miejscu temu darowany. Kształt tej kaplicy jest dosyć piękny, ale malowania ściennie nie bardzo szczęśliwego pędzla, wyobrażają całą historią Krzyża Zbawiciela, od chwili znalezienia jego przez Helenę, aż do oddania części tegoż świętego drzewa Benedyktynom. Ciało obojga Oleśnickich tu spoczywają i rzeźba na ich grobach będąca jest wcale piękna. Zofii twarz i ręce są z alabastru białego, reszta z ciemnego marmuru: ta różnica i ta białość śmiertelna robi wielkie wrażenie. Napisów na tych nagrobkach w języku łacińskim będących, treść następująca:

## I.

Tu leży JW. pani Zofia Oleśnicka, JW. Pana z Oleszny Oleśnickiego W-dy Lubelskiego małżonka, córka JW. Pana Sebastyana z Lubowierza, kasztelana Wojnickiego, Hrabiego na Wiśniczu, Wojskiego Sandomirskiego, z linii męzkiej od Zbigniewa i Joanny pochodząca, przez 10 lat z mężem chwalebnie żyjąc, zmarła roku zbawienia 1612 i tu złożona

jest. W tym jednym grobie pochowane razem zostały skromność, wiara, pobożność, których los pozazdrościł światu ale napróżno — żyjesz z lepszej strony, sławą na ziemi, błogosławieństwem w Niebie i tę ci pamiątkę najukochańsza małżonko, położył Kazimierz Mikołaj, z Oleśnicy Oleśnicki, twój mąż ukochany.

## II.

JW. Pan Mikołaj z Oleśnicy Oleśnicki, W-da Sandomierski, w tém miejscu śmiertelne zwłoki złożył, żyjąc duchem w niebie a sławą na ziemi; po zrzeczeniu się herezyi, po osiągnięciu za ważne przysługi Poselstwa do Moskwy i najwyższych honorów, ten grób i pomnik dla siebie i dla swego domu wystawił, i uposażywszy wielą zasługami dla Kościoła i RP. wsławiony, pełen czci i sławy z grona śmiertelnych zniknął d. 11 Sierpnia r. 1628 wieku życia swego 71. Pomnik ten z rozkazu JW. P. Jana z tychże Oleśnickich, Podkomorzego wystawiony został.

Na jednym z korytarzy kościoła tego jest na marmurze *napis* objaśniający przygody tej świątyni, także po łacinie. Ponieważ grzeczni towarzysze mojej pielgrzymki, nie tylko go przepisali lecz i przełożyli, chętnie go tu zamieszczę; dokończy najlepiej historii tej budowli. Jest tej osnowy:

### D. O. M.

„Kościół na Łyszej górze położony w wieku wiary w Królestwie niegdys Polskiem, r. 995 od Mieczysława i Dąbrówki małżonków, pierwszych polskich chrześcijańskich książąt w miejscu najohydniejszemu bałwochwalstwu przeznaczoném, w którym potrójnemu bożyszczu Świst, Poświst, Pogoda, przekleństwa czyniono, nateraz Bogu jednemu w Trójcy Świętej Ojcu, Synowi i Duchowi jest poświęcony. Naprzód, 6-ciu z Czech z wspomnianą Dąbrówką przybyłym Benedyktynom, dom ten r. 1006 od Bolesława Chrobrego, syna wspomnianych książąt, a pierwszego Polaków Króla przeznaczony został; a po zamęczeniu tych, innym 12-stu Benedyktynom z *Cassino* sprowadzonym, Kościół ten Krzyża od Ś-go Emeryka i Ś-go Stefana Króla Węgierskiego staraniu poruczony, wielu zaś cudami wsławiony, od znakomitych zgromadzeń ludzi odwiedzany, od Ś. Stolicy apostołskiej odpustami i przywilejami uzacnionym został. Ucierpiawszy

wiele od bałwochwalców wiarołomnych Tatarów r. 1260 pod rządem S. Stanisława opata 82-go, cokolwiek od Litwinów, i po 3 razy od Szwedów, nienawiść religijna pomściła się na niewinnych męczennikach. Za czasów zaś Stanisława II, opata, Mikołaja przeora i Jakóba przełożonego, klasztor ten po ile razy ogniem był zniszczony, albo zburzony, tylekroć od pobożnych królów odnowiony został. Nakoniec w r. 1780 od pożaru zupełnie zniszczony, łaskawością przełożonych, nakładem zgromadzenia na nowo odbudowany, ołtarzami, organami i stallami od Jana Nepomucena Niegolewskiego opata ozdobiony, innemi także potrzebami zapomożony, staraniem Wincentego Szczytyńskiego przeora a od JW. Gawrońskiego biskupa krakowskiego, w asystencji duchowieństwa świeckiego i zakonnego i w obecności 24,000 zebranego ludu, r. 1806 był poświęcony.

Ale kto już wstąpił na tę wysoką górę, nie powinien odmawiać sobie wielkiej przyjemności i wejść chociaż po 112-stu niewygodnych schodach, na *wieżę Święto-Krzyską*. Ztamtąd dopiero tego widoku czarującego i tyle głoszonego użyć można. Kiedy pogoda, oko buja w rozległości kilkunastu mil w około, i niezliczone mnóstwo wsi i miasteczek spostrzega. Widziałam *Opatów*, miasto obwodowe i wieże wspaniałej jego kollegiaty; *Baszowice*, wioskę, która nazwisko ma swoje od Baszy wziętego w niewolę w jakiejś dawniej wojnie i tam osiadłego; widziałam *Osiek* nad Wisłą, znane przysłowiem do jakiego dało początek: *sprawa jak na Osieku* \*); widziałam *Raków*, dawniej tak sławny i zamo-

---

\*) To miasteczko miało niegdys prawo miecza, i razu jednego, miejscowy ślusarz taką popełnił zbrodnię, że na śmierć skazanym został. Gdy jednak przyszło do wykonania wyroku, gdy rada miejska zważyła, że jeden tylko był ślusarz w mieście, a ktoś napomknął o dwóch kowalach; jednego z kowali nie wiele myśląc stracono, a ślusarz ocalał. Głos ludu, ów ziemski mściciel niesprawiedliwości, przechował pamięć ohydneho czynu w prostém przysłowiu, i dotąd kiedy sprawa jaka źle osądzona, mówią: jak na Osieku.

żny, aryanów siedlisko, dziś zaledwie dostrzeżony; widziałam na prostoległej górze, podobno równie z Święto-Krzyżką wysokiej, kościół i klasztor Ś. Katarzyny; widziałam i Sandomierz i wiele miejsc innych, ale niezupełnie wyraźnie. Prawda, że dzień obrany na tę pielgrzymkę jaśniał pogodą, ale była to tylko jednodniowa pogoda; koło nas było aż nadto pięknie i czysto, bo ani jedna nie powstała u stóp kościoła chmurka, a dalsze okolice kryła mgła, smutna następnym dni słotnych wróżba. Nie dobry czas taki, już lepszy dzień pochmurny, ale który na jutro pogodę rokuje; nie śmiemy cieszyć się dobrem, rychłą nam utratą grożącym. Zakrystyan tameczny, już w wieku będący, nie na mgłę, ale na złe obecne czasy składał niedostrzeżenie miejsc dalszych. „Dawnemi laty, mówił, poznać było można osoby przechadzające się po rynku Krakowskim.“

Czas wiele odmian przyniósł, ale jednak takięj nie mógł sprawić; owszem zdaje mi się, że nasz wzrok dalej sięga niż naddziadów naszych. Przechadzając się z bezpieczeństwem po ganku tej wieży, mocną kratą żelazną obwarowanym, myślałam sobie ile niegdyś ta góra wzbudzała postrachu; błogosławiłam światłu Wiary, które oświeciło tę ciemnotę; jednak zszedłszy z niej, miałam ochotę uwierzyć, że wiek czarów nie minął zupełnie.

W mieszkaniu jednego z pięciu zakonników tamecznych, zastaliśmy niespodzianie wyborną wieszczkę: tę, których staraniem tajemnie przyrządzoną została, można było wzięść bezpiecznie za dwie dobroczynne wróżki; bo przechadzka i czyste powietrze, potrzebnym i miłym posiłek uczyniły; i radzę każdemu idącemu na tę górę, aby w pieczyste i wino się opatrzył, jeśli chce zjeść i wypić z prawdziwym smakiem i zejść z góry bez wielkiego zmęczenia. To zejście niektórym przykrzejsze się zdaje od wejścia, i takie powinnyby powszechne być zdanie; bo któż nie woli iść w górę jak na dół? mnie jednak mniej męczyło schodzić. Scho-



dząc rozmawialiśmy o sposobie większego użytku z tego kościoła i zabudowań koło niego będących; bo tylko kilka razy do roku w czasie odpustów zaludnioną bywa ta góra. Dawny i doświadczony wojskowy z nami będący, mienił to miejsce wyborném na twierdzę; inni sądzili go dogodnym na założenie instytutu dla obłąkanych, na wzór tyle chwalonego *Sonnenstein* w Dreznie; bo co na szkołę jaką lub fabrykę, przystęp jest zbyt trudny. Gdyśmy już zeszli, gdy mierzyłam okiem tę górę, przyszły mi na pamięć następujące wiersze bezimiennego poety, i niemi ten opis zakończę.

Ta, co w chmurnych obłokach harde czoło chowa,  
 Tak jak w przepaści wieków osada Lechowa;  
 Ta czczona od Sarmatów i Germanów skała,  
 Co na pierwiastki, świetność, i zgon nasz patrzała;  
 Co jak potęgę Rzymian, tak naszą przeżyła,  
 Jakby znikłych narodów żałobna mogiła,  
 Stoi, godłem zbawienia, krzyżem uwieńczona,  
 W nim też cała nadzieja, pociecha, obrona.

Tam się od wieków wznosi do połowy góry,  
 Gaj światłu nieprzystępny, głuchy i ponury;  
 Tajemnym sam wierzchołek obrzędowi oddany,  
 W migających płomieniach zwiedzały niebiany.  
 Tu *Lelum* i *Polelum* miewały świątnice,  
 Zabobon swe siedlisko, gody czarownice,  
 Póki ich nie zniszczyła ręka Bolesława,  
 Na gruzach bałwochwalstwa święte wznosząc prawa:  
 Tak téj ręce, oświaty winniśmy nasiona,  
 Jakie się dobyć mogły z barbarzyństwa łona...

Ujazd, d. 5 Sierpnia we Wtorek.

Zamek ten o cztery mile od Sandomierza, niedaleko miasteczko Iwanisk położony, należący do Ludwika i Konstancyi z Sołtyków Łempickich, niegdyś obronny i *Krysztoporem* nazwany, dziś jest prawie zupełnie zniszczony i wcale

nie mieszkalny. Stawiał go przez lat 30 z ogromnym nakładem, (gdyż przeszło 3 miliony złp. miał kosztować) Krysztof Ossoliński, brat pełnego sławy Jerzego \*); nazwał od imienia i herbu swego, ukończył r. 1644, za panowania Władysława IV. — Nie chciałabym krzywdy czynić ani żywym ani umarłym, jednak zdaje mi się, że ten Krysztof lubo nie bez cnót i przymiotów obywatelskich, przecież

\*) *Ossoliński Jerzy*, kanclerz W. Kor. Był on synem najmłodszym z Firlejównęj Zbigniewa. Piękne, z przyrodzenia wzięte przymioty rozumu i serca, starownem wychowaniem wykształcił. Uspсобiony naukami w kraju i za granicą, w młodym wieku już czynnym obywatelem być zaczął. W wyprawie Moskiewskiej dzielił z Władysławem królewicem trudy wojenne. Na sejmie dał się poznać Dworowi i Ziemianom i z pięknego sposobu myślenia i z dzielnej wymowy. Roku 1629 potrzeba kraju wymagała pomnożenia dochodów skarbu Rpltej. Stany nie cierpiały wszelkich poborów, wzdrygały się na samą myśl o nowych. Ossoliński swą wymową dokazał, iż pobór podymnego wniesiony pierwszy raz, zgodnie przyjęty został: chwala zwycięstwa nad umysłami wyższa jest nad wszystkie inne. Dwakroć sterem obrad krajowych w kole rycerskiem wadał: roku 1631 i 1635. Gdy Porta ogromną zbierała potęgę na zgnęb Państwa naszego, Zygmunt III i siły do odporu wewnątrz sposobił, i zewnątrz pomocy u Dworów obcych szukał. Wtedy padł wybór króla na Ossolińskiego Jerzego, którego posłem do Jakóba króla Angielskiego przeznaczył. I to jedno tylko z wyprawionych wówczas poselstw skuteczne było, w otrzymanej obietnicy posilków. Obeszła się bez nich wojna Chocimska, ale jeszcze nękała kraj nasz wojna Szwedzka. Jerzy stał się rycerzem i wodzem chorągwi swojej, którą przez trzy lata kwoli potrzeby ojczyzny swym nakładem podejmował, swém zdrowiem dowodził. Przyszło do rokowania o pokój z Gustawem królem Szwedzkim. Ossoliński jako jeden z pełnomocników króla i Rpltej do zawarcia umowy należał. Był osobistym przyjacielem jego Władysław królewic, i plotki zawistnych Kazanowskich zmienić go ku niemu nie zdołały. Po śmierci ojca starając się o koronę, chciał Władysław na zjeździe obierczym Ossolińskiego mieć swym do umów pełnomocnikiem, a po otrzymaniu korony, swym do Rzymu, a później i do Rzeszy niemieckiej posłem, zalecając do korony cesarskiej Ferdynanda syna cesarskiego, a który był bratem ciotecznym Władysławowi IV.

w wysokim stopniu dumą odznaczać się musiał. Nie widziałam pomnika, któryby tyle był razem pychy pomnikiem; i owe tak prędkie zniszczenie tego nadętego dzieła, że nawet nazwisko zmieniło, nie mało naucza i do myślenia podaje... Zamek ten subtelnym założyciela conceptem, miał być ósmym cudem świata; pięknej jak się zdaje architektury włoskiej, w czworobok stawiany, z czterema wieżami, tyle miał okien co dni w roku, tyle pokoi co tygodni, tyle sal co miesięcy, tyle dziedzińców co kwartałów. Woda otaczała go w około, most zwodzony prowadził do głównej bramy; przy niej widać dotąd po jednej stronie *Topór* herb Ossolińskich, a po drugiej krzyż z kamienia; nad niemi było niegdyś jakby wezwanie do Toporczyków wtych słowach

Krzyż obrona, krzyż podpora,  
Dziatki, naszego Topora.

Z urzędu podskarbiego kor. przeniósł się do Senatu, jako wojewoda sandomierski, lecz z tego ustąpił, gdy go wola królewska najprzód podkanclerzem, a potem kanclerzem w kor. mianowała. Majątek, czas i siły swoje dobru publicznemu poświęcił, znaczenia i władzy swęj ani na ucisk ziomków ani na szkodę kraju nigdy nie użył. Pociski więc niechętnych i zazdrosnych dotknąć go nie zdołały. Im kwoli i zaszczytu książęcego, który mu dwór Rzymski i Wiedeński nadał i układu orderu Niepokalanego Poczęcia P. M., którego już potwierdzenie z Rzymu wyjednał, sam odstąpił. Umarł r. 1650. Piękne mowy jego drukiem ozdobnym u Forstera w Gdańsku r. 1647 wydane, pisane w języku łacińskim są: Do Jakóba Króla Angiel.; — Do Urbana VII pap.; Do Cesarza Ferdynanda II i Książąt Rzeszy.; — Do królowej pol. Ludwiki.; — Do Rpltej Weneckiej, i na zjeździe Toruńskim miane. Wydanie ich kardynałowi Mazaryniemu przypisał. Pierwsza jego mowa miana, gdy był na naukach w Lowanium, *de optima stata respublicae* 1614, tamże na świat wyszła Mowa miana do króla Angiel. tak się w Londynie powszechnie podobała, iż gdy wyszła z druku, kilkanaście tysięcy jej egzemplarzy w dniu jednym sprzedano; tłómaczoną też zaraz była na język francuzki, angielski, hiszpański i niemiecki. Dziennik życia swego sam Ossoliński w rękopismie zostawił, a Bohomolec Franciszek r. 1777 w druk podał.

W główném podwórzu są ślady dosyć jeszcze wyraźne, iż właściciel, nie zaspokojony jak zwykle panowie, tém żeby antenatów wizerunki mieć na ścianach pokoi, na murach pałacu swego ich wspomnienie umieścić; w tym zapewne celu ażeby każdy przychodzeń, ten nawet co do komnat wejść nie mógł, wiedział o wysokości jego parenteli. Są więc od góry do dołu na tych murach napisy. Mieszcząc w nie tylko nazwiska osób i stopień pokrewieństwa, wyszukany autor tyle dokazał, że je szumnemi i niezrozumiałemi uczynił. Oto na przodzie będący i podobno najlepszy:

Ojczyźnie mój Polskiej, Województwu Sandomierskiemu, braci mój miłej, w honor domowych i pamięci, Krzysztof z Tenczyna Ossoliński, Wojewoda Sandomierski ukończył 1644.

---

Oto niektóre z kilkudziesiąt niegdyś tam czytanych.

Krystynie Padniewskiej, Hetmana Szczęsnego Małżonce, Siostrzenicy Mathiasza, Króla Węgierskiego, Nadbabe syna mego 1480 w honor domu Jój.

---

Aleksandrowi Radziwiłłowi, Marszałkowi Lit. Szwagrowi ze krwi Gosławskich i Cieszcowskich, syna mego 1664, w honor domu mego i pamięci.

---

Michałowi Działyńskiemu, Ojcu Cieszcowskiej, Podkomorzemu Krakowskiemu, Baby syna mego 1560 w honor domu mego i pamięci.

---

Stanisławowi Cieszcowskiemu Podkomorzemu Krakowskiemu, Ojcu Matki Syna mego 1617 w honor domu mego i pamięci.

---

Annie z Morawicy Tęczyńskiej, żonie Derśława Rytwińskiego, Wojewody Sieradzkiego, Starosty Krakowskiego, Nadbabe mojej, 1450 w honor domu mego i pamięci.

---



Krysztofowi na Międzygorzu Jakubowskiemu, Starościcowi Lezajskiemu, ojcu Ligęziny podskarbiniej koronnej, pradziadowi synowej mej najmilszej 1550.

---

Mikołajowi na Komarnie Ostrorogowi, podczaszemu koron., bratu ze krwi Szydłowców memu, kawalerowi doskonałemu, 1644

---

Konstantemu księciu Wiśniowieckiemu, w-dzie Ruskiemu, szwagrowi ze krwi Tarłów i Mnisków, synowej mej najmilszej, 1635.

---

Hezmusalowi na Międzyrzecu Ligęzie, podskarbiemu koronnemu, ojcu matki synowej mej najmilszej, 1631, w honor domu jego i pamięci i t. d.

---

W sali bawialnej nad wielkim kominem był znowu napis, którego prostota dziwnie musiała się wydawać obok szumu tamtych:

Miły w tym domu pokój przemieszkuje,  
Gdzie mąż przygrywa, żona przyśpiewuje.

---

- O zbytku i przepychu tego zamku, Puffendorf wódz i pisarz Szwedzki i inni wypowiedzieć się nie mogą; żłoby w stajniach były marmurowe, a na jednej wieży gdzie na piętrze najwyższem, piękny się znajdował okrągły pokój z oknami na wszystkie strony, był dach szklany płaski, z szeroką miedzianą obwódką; tam ze źródła będącego w obwodzie zamku, rurami sprowadzono wodę, a w niej złote pływały rybki. I tak co pospolicie ludzie u nóg swoich widzieli i widzą, ryby w wodzie, to dumny wojewoda widział nad głową swoją. Ale miłsza pamiątka wiąże się do tego zamku: w jednem skrzydle jego, w czasie kiedy już w większej części zniszczony, należał do Paców, mieszkała w nim

Marya Swidzińska, później Lanckorońska, kasztelanowa Połaniecka; gdyż jak wiele dzieł pychy tak i *Krysztopor* nie trwał długo w całości, a nawet czas bardzo krótki był w rękach i w imieniu Ossolińskich. Ów syn, *wnuk ojca matki swojej*, tytu *nadbab* i *pradziadów* prawnuk, mąż *synowej najmilszej*, Teresy Tarłownej \*), słowem, Baldwin Krysztof Ossoliński, ukochany jedynak, umarł bezdzietnie w młodym wieku. *Krysztopor* wraz z całym majątkiem dumnego wojewody przeszedł do trzech córek Jerzego; najmłodsza z nich Urszula wydana za Kalinowskiego oboźnego koronnego, wzięła w działo ten zamek, a tak przechodząc po kądzieli, dostał się nareszcie Pacom, a potem Sołtykom. Przechadzając się po tych rozwalinach, rozważając napisy, dowiadując się tych szczegółów o potomkach i następcach Ossolińskiego, żałować mi przyszło, że historykiem romantycznym nie jestem. Jakby tu snadnie było umieścić obraz zajmującej powieści. Charaktery główne Krysztofa i Jerzego już są: pycha mogłaby sprężyną być wszystkiego, jęj upokorzenie rozwiązaniem. Najmłodsza córka Jerzego, Urszula, słodka, pokorna, nadobna, niechby się chowała przy nie mającej córki stryjence, cnotliwej i skromnej Zofii z Cieszowskich Ossolińskiej; pod zasłoną braterskiej miłości, zgodnie z tajemną wolą matki, niechby się wkradło nieznacznie mocniejsze w Baldwina i jęj serce uczucie; nie wielkie Urszuli wiano (bo Jerzy miał syna Franciszka, który potem umarł młodo), a nadewszystko związek z osobą, któraby już nie ozdobiła murów Krysztoporu nową parentelą, jęj ułożenie

\*) Niesiecki, Tom III, k. 495, mówiąc o żonie Baldwina Ossolińskiego waha się między Teresą Tarłówną i Anną Zebrzydowską; ale zdaje się, że trudno lepszego dowodu genealogicznego od napisu dotąd będącego na murach Ujazdu: „Janowi Karolowi na Janowcu kasztelanowi Wiślickiemu ojcu synowej mój najmilszej, 1640, w honor domu jego i pamięci.“

pokorne, niechby prawdziwym były powodem wojewodzie do bronienia surowo tego małżeństwa; osłaniaćby się mógł przed bratem i innemi, blizkiem pokrewieństwem. Przemógłby więc żonę i syna, zmusił jednaka do pojęcia za małżonkę wysoko skoligaconej Tarłówniej. Urszula opuściłaby we łzach drogiego kochanka i zamek, który on już nieraz jęj własnością nazywał... Aliści w lat kilkanaście możnaby ją znowu wystawić jako panią dziedziczną tego pysznego zamku, ale smutną, bo została nią śmiercią bezdzietną lubego niegdyś przedmiotu, zgonem zawczesnym kochanego brata, zupełnem runięciem wszystkich dumnych Krysztofa widoków. Prawdziwie, każda starożytna budowla jest gotową kroniką, o każdej ludzie i księgi tyle powiedziéć umieją, że łatwo każdemu ułożyć plan powieści—ale do oddania jęj jak przystoi, do odcieniowania charakterów i schwycenia barwy wieku, trzeba mieć znajomość ludzi i dziejów Walter Skotta, albo Bronikowskiego.

Zamek Ujezdzki wiele ucierpiał od Szwedów za Karola Gustawa; w czasie konfederacyi Barskiej zupełnie został zniszczony i już odtąd mieszkalnym być przestał: dziś niepodobną byłoby rzeczą przywrócić go do dawnego bytu. W całym jego ogromie mieści się teraz przy bramie jedna uboga kobiéta z krowami; kontenta jest ze swego przytułku bo jak mówi: nikt tam nie szkodzi i nic nie przeszkadza. Może w czasach najświetniejszych tego zamku, Ossoliński nie mógłby być tych słów powiedziéć, bo on zapewne nieraz na swęj dumie szkodował, ona nieraz sen jego zatruwała. Nie daleko Ujazdu piękne są ulice lipowe, a widać, że dawniej takież były wkoło; zasadził je Pac: skuteczny jest sposób, jakiego użył do zasłonięcia drzew tych od napaści chłopów. Trzymał dzielnego hajduka, którego obowiązkiem jedynym było: jeździć z nahajem po tych ulicach i strzedz drzew całości; gdy zastał kogo w szkodzie, miał prawo wy-

ciąć plag dziesięć. Tém urządzeniem, ściśle wypełnianém utrzymały się drzewa.

Konary, dnia 6 Sierpnia, we Środę.

Równie pięknego miejsca trudno widzieć w Polsce: położenie, widoki, wszystko nietylko przypomina, ale wystawia Krakowa okolice. Wśród łąk, gór, dolin, parowów, na dosyć wysokiéj i nie łatwego przystępu górze, między starymi drzewami, sterczą szczątki dawnego grodu i dziwnie zdobią tę już nadobną okolicę. Nie wiem jak w czyich, ale w moich oczach rozwaliny prawie zarówno z ludźmi widok kraju ożywiają, bądź w rysunku, bądź w istocie: bo cóż silniej przypominać może ludzi i ich losy?

O zamku *Konar skim* takie jest miejscowe podanie, w niektórych szczegółach słowami Kromera stwierdzone: Jeszcze za Piastów było dwóch braci Słupeckich, bardzo zaможnych, do których należały Konary, Płaczkowice, Czorsztyn, inne wsie i miasteczka pobliskie; jeden z nich w czasach panowania niedbałego o nas Ludwika, na sejmiku w Sandomierzu zabił Ossolińskiego; już to była można rodzina, zabójca zatém na śmierć skazanym został. Nie wiele myśląc zamknął się wraz z bratem i z licznym poczem ludzi zbrojnych w zamku swoim w Konarach, a chcąc już korzystać z swojej niesławy, wycieczki z niego czynił w okolice: napadał, rozbijał sąsiadów w ich domach i po drodze. Oni łączyli się po kilka razy, oblegali go w tym zamku, ale dobyć nie mogli, i przyszło do tego, że sam król Jagiełło w pierwszych leciech panowania, na czele wojska podstąpił pod ten gród szlachecki, szturmem wzięść go kazał, a całą osadę w pień wyciąć. Słupeccy jednak uszli téj śmierci. Zabójca Ossolińskiego rzucił się z wieży i kark skreślił, dru-



gi jak mówią, zapisawszy duszę czartowi, podziemną drogą (dla niego w tej chwili mocą dyabelską sporządzoną), uciekł do Węgier z niezmiernemi skarbami. Nie wiadomo jak się tam obrócił, ale dotąd, zdaniem wszystkich włóścian z okolic, istnieje ta podziemna droga; gdyż idąc ku Węgierskiej stronie dudni pod nogami. Dawnemi zaś laty (ale już nie żyją ci co to widzieli i nie żyli nigdy), przeszkadzała w rozwalinach tego zamku, w bogatym pasie i w żółtych butach, dusza niejakiego Rogalińskiego; był on niecnym przyjacielem Słupeckich, a dla dogodzenia własnej chciwości podlegał ich do łupieztw i napaści. Kiedy wszystkich w pień wycięli z rozkazu Jagiełły, jego dobić nie mogli, i dla tego przeszkadza.

Może tą bajeczką gmin, często głęboki w prostocie swojej, chciał niepokonaną chciwość wystawić? Bądź co bądź, czyżby i z tej przygody, powieści utworzyć nie można? Niechby tylko Ossoliński miał piękną córkę, niechby ona kłótni była pierwszym powodem, a potem uwięziona, w lochu zamkowym zamknięta, bo wołała kajdany od ręki zabójcy ojca: niechby przez jakiego rycerza z orszaku Jagiełły, Dumina albo Zawiszę kochającego ją dawniej, uwolnioną była.

Włostów, tegoż dnia.

Na drodze z Ujazdu do Sandomierza jest wieś *Włostowem* zwana, którą zdoła wcale ładny angielski ogród, w tym szczególnie, że zupełnie jak zaczarowany się zdaje. Właściciel bowiem kazał go założyć z znacznym nakładem, ale nigdy tu sam nie mieszkał, ani domu nie miał, ani też w dzierżawę nie puszczał. Miejsce to wstawione jest więc jako należące niegdyś do rodziny Kadłubków, herbu Róża; Wincenty Kadłubek, dziejopis i biskup, chrzczony był w tym kościele, czego jest dowód w aktach. Niedaleko

Włostowa, widziałam kościół i wioskę *Gostice*. Pamiętna ta okolica porażką na głowę nieprzyjaciół, w której 8000 ich trupem padło, a 2000 w niewolę pojmano, w początkach panowania Leszka Czarnego.

Sandomierz, dnia 8 Sierpnia.

Dwa dni spędziłam mile w tém mieście tyle sławném, a dzięki uprzejmym moim przewodnikom, sądzę żem widziała wszystko co do widzenia było. Przed laty, dokładne zwiedzenie Sandomierza byłoby zapewne więcej dni zajęło; był czas kiedy to miasto niemal pierwsze po Krakowie trzymało miejsce, o wiele przewyższało Warszawę—dziś rzeczy inaczej stoją: czas zmiennik przeistoczył je zupełnie. Wioski teraz blisko o milę od Sandomierza odległe, Złota, Szewce i inne, dawniej były przedmieściami, gdzie rzemieślnicy tych cechów mieszkali—ale bo też mało które miasto w Polsce, tyle odmian losu doznało. Okaze się to najlepiej z krótkiego rysu historii, zaszłych w niem zdarzeń, kreślonego z dobrych źródeł.

Piękna, wesoła, urodzajna, wzgórzysta okolica Sandomierza, w najdawniejszych wiekach od rozmaitych hord zamieszkaną była; dowodem tego liczne po pagórkach rozsiane starożytne mogiły, w których dotąd (osobliwie w wiosce Święcicy), wykopują wiele monet rzymskich cesarzów, w zdobywszy przez nie w te siedliska unoszonych. Że zaś miasto samo jeszcze Słowiańskich ludów było osadą, okazuje nazwisko jego pierwotne *Sadmir*, *sąd pokoju*, które nieco przekształcone dotąd nosi. Świeższe bowiem badania więcej do tego początkowego zdają się skłaniać wywodu, niżeli *domierzanie Sanu*, który o dwie mile niżej pod Zawichostem w Wisłę wpada. Jakkolwiekby, niezawodną jest rzeczą, iż za czasów Mieczysława i Chrobrego, już istniało

to miasto i do celniejszych w polskiej należało krainie. W podziale między synów przez niebaczego Krzywoustego w roku 1136 uczynionym, Sandomierz i ziemia jego dostały się Henrykowi, który na wojnę krzyżową do Palestyny się wyprawił; po zgonie, odziedziczył tę dzielnicę Kazimierz, słusznie *Sprawiedliwym* zwany, i on najwięcej pomyślności i ozdób grodu tego, podstawę założył. Tu po nim zamieszkała wdowa jego Helena, matka Leszka Białego; tu zaszedł ów spór szlchetny, w którym przyjaźń i wdzięczność powab korony przemogły. Ztąd o mil parę pod Zawichostem, dnia 19 Czerwca 1204 r., owe pamiętne w dziejach ojczystych odniesione zwycięstwo nad Romanem ks. halickim, który życiem wiarołomstwo swoje i śmiałość przypłacił. Tu odbył się wspaniały jego pogrzeb i ciało w kolegiacie chowane było, dopóki poddani za tysiąc grzywien i wolność jeńców polskich go nie wykupili. Tu pobożna Adelajda siostra Leszka Białego mieszkała i tu spoczywa. Tu pod Bolesławem Wstydlwym zaczęło się snuć dla miasta tego pasmo klęsk srogich. W roku 1241, Tatarzy pod wodzem Pętą albo inaczej Bogdanem zwanym, po zniszczeniu krainy ruskiej do Polski wpadli; za pomocą srogięj zimy, która im po wszystkich rzekach mosty stawiała, przeszli Wisłę, wzięli Sandomierz i naznaczyli mieczem i ogniem ślady swego zwycięstwa.

Ledwie to nieszczęsne miasto dobywać się zaczęło z gruzów i popiołów, aliści drugi napad jeszcze go więcej pogrążył. Pod dowództwem Telebuga i Nahaja wpadli znowu Tatarzy do Polski w końcu r. 1259, złączeni z trzema książętami pogranicznymi. W pierwszych dniach Lutego 1260 r., otoczyli Sandomierz; ale opierał im się czas jakiś. Dowodził w nim dzielnie Piotr Krempa, starosta miejscowy. Nie mogąc pokonać go mocą, umyślili podejść zdradą. Trzej książęta sprzymierzeńcy Tatarów, wezwali go przez trębacza, aby się poddał, obiecując całość oblężonym. Krem-

pa długim oporem zmęczony i łatwowierny, udał się do ich obozu z bratem Zbigniewem i kilku z rycerstwa, dla ułożenia ugody. Ledwie się zbliżył, kiedy wpadli na niego i towarzyszy, a zbiwszy ich srodze, oddali w ręce wodzów Tatarskich, którzy im wszystkim ucieli głowy. Korzystając potem z trwogi i żalu, w jakie ta wieść okropna zamek i miasto pograżyła, napadli na nie, wzięli, najsroźszych dopuszczając się morderstw. Wtenczasto poległo tylu niewinnych, a między innemi 49-iu zakonników Ś. Dominika, modlących się w swoim kościele; wtenczasto krwi miało być tyle rozlanéj, że płynęła potokiem po zmarzłych jeszcze nurtach Wisły. Ta klęska stała się powodem, iż miasto z miejsca, gdzie dotąd wznoszą się kościoły Ś. Pawła i Jakóba, przeniesiono na pagórki warowniejsze nad brzeg Wisły. Leszek Czarny, Bolesława Wstydliwego następcą, tę jakby nową osadę obdarzył *przywilejem lokacyjnym*. W niej brat jego Władysław Łokietek z żoną Jadwigą nieraz przemieszkiwał. Dla niej Kazimierz Wielki, ów miast polskich i całego kraju dobroczyńca, wiele uczynił: wzniesione za poprzedników budowy przekopem, warownym murem i wieżami opasał. Do tego schronienia, ręką przezornego króla i ojca zgotowanego, cisnęli się nieraz strwożeni okolic mieszkańcy; wiadomo bowiem, jak długo pustoszyły ojczyznę przez dzicz tatarską szeroko zapuszczane zagony; w jednym z tych srogich napadów, twierdzę Sandomierz uratowała niewiasta. Elżbieta z Tarnowa, wychowanica siostry Kazimierza Wielkiego, Elżbiety królowej węgierskiej, zmuszona uciekać z pobliskiej włości swojej, *Wielowśi* zwanéj, schroniła się do téj warowni; już znękani mieszkańcy długo wytrzymańem oblężeniem, bramy najezdnikom otworzyć mieli, kiedy ona dała im meztwa i zupełnie odparli nieprzyjaciela.

Następcy Kazimierza zniewaleni szczęśliwem, sprzyjającym handlowi położeniem miasta i przywiązaniem jego mieszkańców, szczerze obdarzali go swobodami; dali mu



prawo bicia monety; porównali w przywilejach z Krakowem, Poznaniem i Lwowem; uwolnili od opłaty od win węgierskich; pewny udział hojności w rozdawnictwie soli wielickiej i bochnieńskiej przeznaczyli; zbogacili składem towarów a nareszcie wraz z kilkoma innymi miastami przypuścili do wyboru obierania królów. Zygmunt I, dawny zamek odnowił i powiększył; Zygmunt August z ojcowską troskliwością w najdrobniejsze sprawy cenionych od siebie Sandomierzan wchodził; w ostatnich latach jego panowania, zawarty tu został *konsens* między wyznaniem Augsburgskim, Szwajcarskim i braci Czeskich, który służył za podstawę konfederacyi, w czasie bezkrólewia na sejmie podpisaną.

Pod szczęsnym panowaniem Jagiełłów, jak cała Polska tak i temu miastu dobrze się działo: zamożne i bogate, pożyczając królom dział ze swojej zbrojowni; z tego stanu kwitnącego straciła go wojna, ta ludów i kraju zabójcza kosa: w r. 1655 za panowania Jana Kazimierza, opanowali Szwedzi zamek i miasto, a uznawszy tę warownią za jedną z najważniejszych, sprowadzili do niej wszystkie działa z wziętych dotąd zamków polskich i tam główne założyli stanowisko. Król ich Karol Gustaw obozował z drugiej strony Wisły. Ale Polska choć w smutnym wówczas położeniu, miała jak zawsze dzielnych obrońców i prawych synów swoich. Lubomirski i Czarniecki z wojskiem jakie zebrać mogli, podszli pod Sandomierz i nacierali mocno. Król szwedzki odcięty od swoich, sam w trudnym był położeniu, i ratunku przynieść im nie mógł; chciał most na Wiśle postawić, ale wezbrana woda zniszczyła ten jego zamiar. Jednak radzić sobie umiejący, wysłał do dowódcy warowni, wydał tajemne rozkazy, a w noc ciemną podślawszy statki, tyle sprawił, że osada cała przewiozła się przez Wisłę; oblegający Polacy dopiero z brzaskiem jutrzeńki obaczyli otwarte bramy zamkowe i ucieczkę nieprzyjaciela. Uradowani i zgłodniałi (bo natenczas wielki był niedostatek żywności w spustoszonej

kraju) rzucili się hurmem do zamku; lecz za ledwie niektórzy z nich zaczęli głód swój zaspakajać, kiedy wybuchnęła okropna zdrada. Nieprzyjaciel uchodząc podłożył prochy: prawie cały zamek zagrzebał się w rozwalinach; przeszło 2,000 ludzi życie straciło i bardzo wiele domów miejskich od tego ognia spłonęło, albo uszkodzonych zostało.

Od téj pory już nigdy ani zamek, ani Sandomierz do dawnéj świetności nie wrócił. Jakkolwiek odbudowany, ucierpiał wiele w czasie konfederacyi Barskiej, kiedy kolejną przez obie strony był posiadany. Ostateczny zaś cios, ale może najchlubniejszy zadany mu został, już za pamięci naszéj w roku 1809, w którym dwakroć orężem w ręku był zdobyty i utracony. Wypadki historyczne, jak ich zowią *wczorajsze*, najmnień nam są wiadome; znamy nie źle obecne, a najlepiej dawne: żadnych więc szczegółów o tém oblężeniu Sandomierza nie wiemy, badałam kogo mogłam, i oto jest com zebrać zdołała. Arcy książę Ferdynand, którego imię na zawsze godłem szlachetnego przeciwnika się stało, z Sandomierza miejsce główne składu broni i obrony uczynił, załoga była liczna, armat przeszło 80. Książę Poniatowski wysłał generała Sokolnickiego na czele dywizyi do oblężenia miasta, sam główną kwaterę założył we wsi Trześni za Wisłą. W dywizyi Sokolnickiego był pułk 6-ty jazdy Dziewanowskiego, pułk 6-ty piechoty Sierakowskiego, pułk 12-ty Wejsenhoffa. Jako ochotnik przyłączył się Włodzimierz Potocki, podpułkownik artyleryi i stanął na czele woltyżerów. Sokolnicki postępując od strony gdzie San z Wisłą się łączy, pułkowi Wejsenhoffa kazał uderzyć na bramę *Opatowską* zwaną; ten punkt był najsilnie broniony. Wejsenhoff wysłał oddział, a na czele jego księcia Marcellego Lubomirskiego.

Był to młodzieniec pełen nadziei: pałał chęcią być użytecznym ojczyźnie i wsławić się; z powołania obrał stan wojskowy; w chwilach wolnych czytywał księgi do rzemiosła

swego służące, rozmawiał z doświadczonymi, w chwilach walki zawsze był pierwszy do boju. I w tym niebezpiecznym razie nie wymawiał się, owszem wystąpił skwapliwie i z zapalem. Lecz przywitany został wraz ze swemi gradem kul i kartaczów; od jednej z nich ugodzony, przy samej bramie Opatowskiej padł i na miejscu skonał. Cofnąć się musiał oddział cały, a Sokolnicki tak przemówił do 6-go pułku: „Dwunastemu się nie powiodło, może wam się uda.“ Jakoż zgadł: dowódzca 12-go pułku wyszedł miejsce warowni najmniej strzeżone, opanował bramę Opatowską, uwiadomił Sokolnickiego; szturm zewsząd przypuszczono i téj samej nocy Sandomierz opanowanym przez Polaków został; osada nieprzyjacielska wyszła, lecz nie bez znacznego ubytku.

W téj pamiętnej nocy wstąpiło się imion wiele; niech mi wolno będzie wymienić kilku z tych, którzy już nie żyją: Dziewanowski, Bogusławski, a przed wszystkimi Włodzimierz Potocki; młodzieniec ten niepospolity, serce anioła, męstwo i hojność Polaka mający, zupełnie szedł w ślady Józefa Poniatowskiego; szacowany od oficerów, uwielbiany od żołnierzy, do boju występował z takim pośpiechem, jak drudzy na ucztę; postanowił sobie być jednym z pierwszych na wałach Sandomierza i obiecał po 15 czer. zł. nagrody, tym wszystkim wołytyżerom, którzy z nim pójdą. Gdy się już zabierano do ataku, namówiony od jednego z przybocznych swoich, ubrał się w płaszcz żołnierski, ażeby mniej być od nieprzyjaciół uważanym; to przebranie się ledwie o śmierć go nie przyprawiło: bo już wstąpiło wielu Polaków na okopy, wstąpił i Potocki, kiedy jeden z naszych przybiegłszy, wziął go za Austryaka przy migającym się świetle dawanego ognia, i uderzył kolbą w piersi. Potocki padł, ale natychmiast podniósł się; płaczącego nad nim żołnierza pocieszał temi słowami: „że nic mu nie jest, ani będzie,“ a chociaż cierpiał wiele, jak drugi Czarniecki nie czuł bólu z radości, że już twierdza zdobyta. Wkrótce potem kiedy ofi-

cerowie wyżsi zebrani u Sokolnickiego, wesołej byli myśli, trzech generałów wysłanych od dowódcy nieprzyjacielskiego, przybyło do bram żądając pomówienia. Sokolnicki wpuścić ich kazał; oni oświadczyli: „iż wysłani są z ofiarowaniem kapitulacyi, gdyż inaczej arcy-książe szturm przypuścić każe, a jest niepodobieństwem, aby Polacy Wisłą odcięci od głównego korpusu obronić się mogli; zatem niech weześnieję broń złożą.“ Na te słowa jeden z obecnych pułkowników powiedział: „Polacy nie przywykli broni składać; ja pierwszy pokażę, iż nie jesteśmy odcięci od głównego korpusu, bo przerznię się przez nieprzyjaciół i złączę z moim wozdem.“ To powiedziawszy wyszedł, kazał zatrąbić i wystąpić do marszu pułkowi swemu; inni poszli za jego przykładem, a dowodzący generał taką dał odpowiedź: „Jeśli arcy-książe chce odebrać Sandomierz, niech się o niego z bronią w rękę dobija.“

Odjechali wysłańce, a wkrótce przyjechali dwaj inni z odpowiedzią przeciwnika, że przyjmuje wyzwanie i o północy na miasto uderzy. Wzięto się więc do przygotowań, do naprawy naprędcy popsutych okopów; miejsca słabe najsilniej opatrzone zostały; męztwo zagrzewało wszystkich: każdy tam stojąc gdzie mu należało, wyglądał niecierpliwie i niespokojnie umówionej godziny. Dopiero wybić miała, kiedy nieprzyjaciel taki razem dał ogień, że się zdawało, iż świat płonie; sądząc po ogromnym huku, książe Poniatowski (jak mówił potem) pewnym był, że cały Sandomierz wysadzony w powietrze został. Zewsząd nacierali Austriacy, zewsząd Polacy ich odparli; żadnego nie odebrano im stanowiska. Już kościółek Ś. Pawła opanować nieprzyjaciele mieli, ale jeden z broniących go, armatę postawił w przejściu wąwozu i dojsć już tą drogą nie mogli; w tymto kościółku i na cmentarzu jego kilkudziesiąt Polaków kilkoma armatami, a więcej jeszcze męztwem i przytomnością broniących, opierało się do świtu nieprzyjacielowi: o tój po-



rze zewsząd odstąpił, i Sandomierz uszkodzony wprawdzie, w wielu miejscach trupami zasłany, został w ręku Polaków.

Od téj pamiętnej nocy 17 Czerwca, wiele domów, kościołów, ogniem spłonionych, odbudowanemi już nie zostało; utracił [nawet] Sandomierz nazwisko warowni, a sterczące, smutne szczyty wież, szczątki opuszczonych murów, do których ubodzy mieszkańcy nędzne przyczepiają domostwa, brama Opatowska, świadczą jedynie czém był niegdyś. Dziś jednak owocem kilkunastu lat pokoju, troskliwém rządu staraniem, nieco się podnosi. Powstają nowe budowle, odnawiają dawne, ulice brukują, i przy ciągłej takowej opiece, jest nadzieja że Sandomierz stanie znowu w rzędzie miast znaczniejszych Polski.

Ciekawszych gmachów jego, widzianych w nich szczegółów, a nawet myśli marzonych, oto spis kolejny:

*Kościół Katedralny.* Był to niegdyś kościół Panny Maryi, założony niewiadomo przez kogo. Kazimierz Sprawiedliwy odnowił go, ozdobił i na stopień kollegiaty wyniósł, jak to świadczył napis nad drzwiami umieszczony. Mało gdzie w Polsce widzieć można piękniejszą, zwłaszcza wewnątrz budowę. Architektura jest gotycka, świątynia sama opiera się na ośmiu filarach grubszych u dołu, cienkich u góry, uderzającego kształtu i lekkości. Szkoda wielka, że ta piękność przyćmiona jest niezliczonym mnóstwem ozdób i obrazów, wcale nie odpowiadającej zalety. Malowania niżej będące okropne, wystawiają wszelkie rodzaje męczeństw; ośmiu wyżej wiszących, treść z Ewangelii wyjęta, i pędzel lepszy; jest wskrzeszenie Łazarza; niewidomemu z urodzenia wzrok wrócony i t. d. Jeden z tych obrazów ukrywa szczególnie wiele nauczający. Po jedném z zaburzeń jakim ulegał Sandomierz, podobno po ustąpieniu Szwedów, zniszczoną katedrę *Biskup i Kapituła* własnym kosztem odnowić umyślili; lubo nakład był wielki, gorliwość ich wydołała wszystkiemu; a składka ochotnie i szczerze przez tych zacnych kapłanów

składana, znaczną się okazała. Jeden tylko niegodny sługa ołtarza się znalazł; lubo majątny, nic dać nie chciał, gdyż złoto nadewszystko cenił. Dano mu pokój, bo któż nie wie, że Bóg ochotne tylko dary mile przyjmuje — lecz pomścił się nad nim malarz: malując ośm obrazów o których mowa była, w jednym z nich, gdzie wystawiony Zbawiciel uzdrawiający chorych pełnych wiary i nadziei, umieścił w kąciku na wóze czku jednego, który trzyma w ręku miseczkę pełną złota i pewny że za nie zdrowie kupi; ale Zbawiciel nie patrzy ani na niego ani na złoto. Rysy chorego, który takie zaufanie w pieniądzech położył, żywcem miały być zdjęte z twarzy podobnego jemu sposobem myślenia.

W wielkim ołtarzu jest obraz Narodzenia Matki Zbawiciela; są piękne marmurowe schody i ganki, i z tego miejsca bardzo piękny na kościół widok. Wystawiałam tu sobie córkę Bolesława księcia Pomorskiego, skrycie za Łokietka się modlącą; myślałam, wyznaję, i o królowej Jadwidze, kiedy z chaty Reginy pieszo tu przyszedłszy, gorące prośby składała; myślałam także jak wiele razy w zaburzeniach, których przez tyle wieków doświadczał Sandomierz, łzy wdów i sierot te stopnie skrapiały: ile tu modłów złożono, ile serc pociechy doznało? Katedra Sandomierska świeżo jest odnowiona, opasana murem z kratą żelazną, nakładem bardzo znacznym szanownego dzisiejszego Biskupa, który wszystkie dochody swoje na podobny cel obraca.

*Zamek.* Szczątki gmachu tego, który tyle doznał przemian i ciosów, który mało zachował śladu dawniej swęj wielkości, dziś przerobione zostały na *więzienia publiczne*, bardzo porządne i niezmiernie obszerne. Niesposób i uchowaj Boże, aby je zappełnić mogli mieszkańcy województwa Sandomierskiego; zebrani z kilku pomieściliby się tu łatwo i wygodnie. Pierwsze w życiu mojem zwiedzając więzienie, nie mogłam uczynić tego bez wstrętu; występki i kajdany są w oczach moich najwyższym szczytem upodlenia i niedoli

ludzkiej: za niemi już nic okropniejszego nie ma. Z radością, może niechrześcijańską ale niewieścią, dowiedziałam się że na 107 więźniach, siedm tylko było kobiet. Wyszędłszy ztamtąd miałam ochotę wrócić do pobliskiej Katedry, modlić się za tych nieszczęśliwych, upokorzyć się przed Bogiem. Kiedy kto sam szczęśliwy a przypatrzy się z bliska nędzy bliźniego, zamiast radości i dumy, czuje w sobie jakieś upokorzenie i wdzięczność, trudne do wyrażenia.

*Kościół i szpital Ś-go Ducha.* Kościół ten świeżo odnawiany nic w sobie szczególnego nie zawiera, prócz starożytnego wizerunku Zbawiciela przeniesionego z zamku, przed którym jak twierdzą, Ś. Kunegunda się modliła, ale za to, zwiedzanie szpitala prawdziwie i słodko mnie zajęło. Szpital ten założony jeszcze w r. 1222, przez Żegotę wojewodę sandomierskiego i Kanonikom Laterańskim pod dozór oddany, niszczał prawie zupełnie; dziś skutkiem opieki szanownego biskupa, staraniem i gorliwością hrabi Leona Jelskiego komisarza obwodu i małżonki jego, dobroczynnością obywateli Sandomierza i okolic, znowu jest przytułkiem chorych i sierot schronieniem, a sprowadzone Siostry Miłosierdzia mają coraz większe pole do zadosyć uczynienia cnotliwemu powołaniu swemu. Miło mi było tam być: widok mieszkań i osób poświęconych uldze cierpieniom ludzkości, jest prawdziwym dla serca balsamem. I takowy widok pokorę wzbudza; patrząc na to co drudzy dla braci czynią, poznajemy najlepší jak mało jeszcze uczyniliśmy sami.

*Kościół OO. Reformatów.* Ten kościół założony przez Marcina Dębickiego podkomorzego krakowskiego roku 1668, w roku 1809 zupełnie zniszczony, dziś hojnością pobożnych odbudowany został, i jak wszystkie świątynie zakonnikom tej reguły oddane, jest prosty ale schludny. Nie wiem jakim sposobem mieści się tu nagrobek Zaklika z Czyżewa, kapłana Połanieckiego, z r. 1454. W tym kościele najwięcej wabią ciekawych groby. Skutkiem czystego i suchego

powietrza, ciała przechowują się w nich bardzo długo bez zepsucia; widziałam leżące na piasku od lat blisko 20 trupy kilku zakonników, których rysy, ręce, nogi i ubiór, w zupełnej całości będące, jednakową jakby kamienną barwę przybrawszy, zachowały nawet wyraz twarzy za życia sobie właściwy. Nie każdy znieść może widok trupa, tego byłego mieszkania odbiegłej już duszy; nie powinienby on przecież być nieznośnym, ale jest bolesny: nie przez zwrot na siebie, boć w mocy jest naszej umrzeć dobrze, żyjąc dobrze, ale przez pamięć tych co się utraciło, których utracić można... W tych grobach pokazują także ciało Izabeli Morsztyn, córki Stanisława i Konstancyi z Oborskich Morsztynów. Zachwycającej urody, znakomitego rodu, znacznege wiana, wabiąc ku sobie oczy i serca wszystkich, wzgardziła wszystkim i ślubowała wejść do ostrego klasztoru. Śmierć przeszkodziła wypełnieniu tego ślubu; umarła świętobliwie mając lat 18, roku 1698.

*Kościół i klasztor PP. Benedyktynek.* Wielki ten gmach założony został roku 1616, przez Elżbietę z Gostomskich Sieniawską, dla córki Zofii, która tu pierwszą była ksienią. Wizerunki obudwóch są dotąd. Zakonnice teraz w liczbie 9-ju będące, trudnią się uczeniem dziewcząt. W kościele są w bocznym ołtarzu, trzy piękne twarze trzech świętych tegoż zakonu: Ś. Scholastyki, Gertrudy i Matyldy, a w izdebce, gdzie przyjmują gości, tkwi w ścianie kula, w r. 1809 przez Polaków rzucona. Zakonnice z wielkiem staraniem obmurować i wygładzić kazały to miejsce. Szczególném mi się zdawało to narzędzie wojny i zemsty w tém mieszkaniu pokoju i modlitwy—kula, śmierć i postrach nosząca, pielęgnowana przez lekkliwe niewiasty.

*Ratusz.* Gmach ten starożytny zawiera w sobie wiele rzeczy ciekawych, zwłaszcza w aktach; przejrzałam wszystkie, tém ciekawiej, że na niektórych są własnoręczne królów polskich podpisy. Spisu ich i niektórych kopii, udzielił



mi uprzejmy i świadomy prezydent miasta Sandomierza. Najdawniejszym aktem był ów *Przywilej lokacyjny* Leszka IV, ale nie ma go od niedawnego czasu. Z udzielonych sobie, dwa wypisać tu muszę: jeden dowodzi ojcowskiej i szczegółowej troskliwości Zygmunta Augusta, drugi zamożność Sandomierzan.

## I.

Zygmunt August, z Bożej łaski król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki i t. d. Urodzonemu Andrzejowi Firlejowi z Dombrowice, staroście naszemu sandomierskiemu, wiernie nam miłemu. Przyjechali sam do nas niektórzy z mieszczan sandomierskich imieniem rady i pospólstwa wszystkiego miasta onego, na was się obciążliwie skarżąc o krzywdy i dolegliwości, które się od was mienia cierpieć. A jako wielkie bezprawia się dzieją im nad prawa i wolność ich, jako te krzywdy przed nami napisane ukazywały, a zwłaszcza w tém, że im bronicie lasów ku potrzebie miastu i mieszczanom nad prawa i wolność ich, nie dbając nic na żadne mandaty nasze, które w téj mierze były do was wydane. Także też skarżyli się, że nie zwykle Targowe wybieracie, dla czego targi niszczeją. Także też z nich miarę we młyniech większą nad starodawny zwyczaj biorą, nad postanowienie lustratorów. A gdy przez niedostatek młynów sandomierskich gdzieindziej wedle starodawnego zwyczaju jeżdżą, tedy im zboża zabierają. A iż też z nich podymne bieriecie, które przedtym nie bywało. Że też sól Bocheńską imo skład sandomierski spuszczają na dół, dopuszczając też sługom swym nad prawa i wolność ich. Skarżyli się także, iż im oświadczenia żadnego w grodzie zamkowym przyjmować zakazujecie, dla czego oni wielkie krzywdy i nakłady cierpią i podejmują jeżdżąc gdzieindziej. *Item*, że im gwałtem biorą na zamek drwa na brzegu wiślanym, które na Wiśle kupują. *Item*, że woźnego ziemskiego Mieszelskiego z domu od burmistrza gwałtem na zamek bijąc i mordując prowadzono. *Item*, że jednemu rajcy z nich zajęto z pastewnika czworo cieląt, których dotychczas nie wrócono. Temuż rajcy gwałtem wzięto kilkadziesiąt korcy mąki gdy ją z młyna innego wieziono, dla niedostatku wody sandomierskich młynów. *Item*, iż jednego mieszczanina, Jana Czapnika, burgrabia zbił, że się chciał świadczyć, iż od niego nad postanowienie lustratorów naszych większą miarę we młynie brano. Także też skarżyli się, że nie chcecie nic dbać na glejthy nasze, grożąc i rozkazując sługom swym, aby tym to mieszczanom naszym lekkości i przegróžki czynili, dla czego oni nie są bezpieczni około zdrowia swego. Także też, iż teraz niedawnego czasu, mieszczan

nina jednego dobrze osiadłego, zwaśniwszy się nań, gwałtem z domu jego wzięto, bito i do więzienia wsadzono; którego do tego czasu niewypuszczono, grożąc mu jeszcze karać go na gardle, co my wszystko nie radzi słyszemy że takie skargi tu do nas na was tak często przychodzą. A tak was napominamy, rozkazując wam, żebyście tym poddanym naszym takowych gwałtów i bezprawia czynić nie dopuszczali, ale one owszem według praw i wolności ich we wszystkiem wedle starodawnego zwyczaju zachowali — a to coby im gwałtem i niesłusznie pobrano, żeby im zasię powrócono, żeby też byli wolni i bezpieczni od takowych przegrózek około zdrowia swojego. Gdyż nietylko od was samego mają być w pokoju zachowani, ale też i od inszych macie je bronić i o nie mówić gdzieby się do was uciekli, ponieważ jesteście sami Starostą ich. Co się też tyce żeście tego jednego mieszczanina do więzienia wsadzić kazali, nie żądając pierwój z niego od Rządu sprawiedliwości, jako osiadłego wedle praw im nadanych — tak wam rozkazujemy, abyście tedyż skoro ten List ujrzawszy, onego z więzienia wypuścić kazali; a gdziebyście temu rozkazaniu naszemu dosyć uczynić nie chcieli, tedy wam składamy czas i rok pewny przed nami na poniedziałek po Trzech Królach, ku usprawiedliwieniu tym to poddanym naszym abyście o tym wszystkim sami przez się nam sprawę dali. A jednak nie czekając tej sprawy, abyście tedyż zaraz tego mieszczanina z więzienia wypuścić kazali — a inaczej pod łaską naszą żebyście nie czynili.

*Dan w Warszawie d. 15 Grudnia 1571 r.*

## II.

Zygmunt III z łaski Bożej Król Polski i t. d. Sławni Wierni nam mili. Potrzebując natenczas armaty, a nie mając bliższego miejsca skądbyśmy jej sposobniej dosiąć, jako od Wiernych was żądamy pilnie abyście te działy, które w Cekaucie swym miejskim macie, tak sporządzili i do nich kul, prochów i kół pod nie usposobili, jakoby natenczas gdy po nie do W. W. pošlemy w dobrym porządku były zastane i nam tam gdzie oznajmiemy odesłane. A my tę uczynność W. W. łaską naszą pamiętać chcemy, którym życzymy dobrego od Pana Boga zdrowia.

*Dan z obozu naszego pod Przytykiem d. 3 Lipca r. 1607.*

W ratuszu widziałam z upodobaniem nieco broni dawnej, a z odrazą dwa miecze, którym złoczyńcom głowę

ścinano. Dlaczegoż to widok broni rycerskiej nie obudza w nas wstrętu, a narzędzie katowskie tak przykre? wszak oboje do zadania śmierci przeznaczone? Bo i nie żyjące rzeczy mają mowę i że tak powiem moralność swoją. Broń rycerska przemawia o waleczności, męztwie, nagrodach; miecz katowski o występku, zbrodni i karze: nic więc dziwnego, że odmienne wzbudzają uczucia.

*Gmachy pojezuickie.* Niegdyś obszerne i wspaniałe, mieściły kolegium szczerą ręką Batorych, zamożną biblioteką, obdarzone, a wzniesione najwięcej hojnością domu Gostomskich. Dziś po większej części rozwalone i strawione od płomieni, zawierają szkoły, i na mieszkanie Biskupa i Seminaryum dyecezaalne są przeznaczone.

*Kościół i Klasztor XX. Dominikanów.* O rok założenia tego kościoła, o nazwisko i godność założyciela są spory; niektórzy mieszczą ten zakład w r. 1200, i przypisując go Adelajdzie córce Kazimierza Sprawiedliwego; inni nadając mu początek w r. 1226, Iwona Odrowąża biskupa krakowskiego, założycielem być mieniają. To pewna, że tu spoczywają zwłoki Adelajdy; grobowiec jej z napisem jest piękny, trumna dębowa na czterech lwach oparta, a na niej wizerunek Księżniczki. Pokazują tu mieszkanie Ś. Jacka, który nim osiadł w Krakowie, w Sandomierzu przebywał, i miejsce gdzie w czasie napadu Tatarów w r. 1260, zginęło od ich miecza 49-ciu Dominikanów. Świadomi tego co w mieście się działo, widzieli że ich zgon czeka, ale bronić się większej sile nie mogąc, poddali się męczeńskiej śmierci. Właśnie pod przewodztwem przeora Sadoka śpiewali pobożnie jutrznią, kiedy wpadli barbarzyńcy i mieczem przerwali ich pienia. Kościół uczcił ich pamięć, i dzień ich śmierci dotąd tu świętem obchodzą.

*Kościół ś. Pawła.* Kościół ten wewnątrz żadnej nie ma osobliwości, ale zewnątrz bardzo zajmuje; może w tysiącu miejsc podziurawiony jest kulami, rzucanemi przez

Austryaków w r. 1809. Kiedyśmy się przypatrywali tym śladom wojny, przyszedł dziadek miejscowy, a widząc zdziwienie nasze powiedział: „Oj! gorąco tu było, gorąco! kule jak grad się sypały.“ — „Jakże to wiesz, staruszk? spytałyśmy się.“ „Ba! jak nie mam wiedzieć, przecieżem tutejszy. Kiedy w owęj straszliwój nocy, Austriacy szturm ze wsząd przypuścili, 44ch Polaków broniło tego stanowiska, bo tu i okopy były; i mimo całej ich odwagi byliby wyparci, gdyż już szedł nieprzyjaciel drogą, gdyby nie przytomność oficera Bielińskiego, który w wąwozie armatę postawił. Zginęli tu prawie wszyscy niebożątka, ale tak od tego stanowiska jak od wszystkich, Austriacy odstąpić musieli.“ Miło mi było z ust prostego człowieka słyszeć to potwierdzenie męstwa Polaków. Takie świadectwa są często najpewniejsze.

Oglądziny Sandomierza zakończyłam przypatrywaniem się *bramie Opatowskiej* i okolicom. Brama jest piękna i starożytna, zajęła mnie jednak najwięcej świeżą pamiątką śmierci Marcellego Lubomirskiego: szukałam napróżno pomnika, któryby ją każdemu przypomniał \*). Pięknego i obszernego widoku na okolice z wielu miejsc użyć można, zwłaszcza z pod urządzonych tarasów pod zamkiem; widziałam ztamtąd nadobny *Trześń*, księcia Poniatowskiego główną kwaterę — *Wielowieś*, gniazdo domu Tarnowskich, mieszkanie męźnej Elżbiety, gdzie dotąd ślady wzniesionych okopów dla dworu królewskiego, świadczą pobyt kilkunasto tygodniowy Zygmunta u miłego sobie Spytka z Tarnowa, owego Pieniążka przeciwnika. Widziałam (za pomocą perspektywy, z wielkim żalem że tak z daleka) *Dzików*, głośny czarującym położeniem, dawnym zamkiem, zbiorem

---

\*) Dowiaduję się, że Xże Józef Lubomirski uczcił pamięć brata, wystawując kościół w dobrach swoich na jego pamiątkę.



ksiąg, zabytków ojczystych i sztuk pięknych; rzadkich roślin dobozem, przyjemnym ogrodem; pamiętny w dziejach podniesioną w nim konfederacją w sprawie Stanisława Leszczyńskiego. Wskazywano mi jeszcze dalej, ale już dostrzedz nie mogłam, rozwaliny zamku królewskiego w *Przyszowie*; w którym dla łowów przebywali Piastowie. Z drugiej strony pokazywano z północy zatoczone wzgórze, zwane *pieprzową górą*; na nich niegdyś liczne śpichlerze ożywiały widok, a handel wymienny z zamorcami prowadzony, za sławną pszenicę Sandomierską, wschodnie korzenie wprowadzał. Na prawo, dostrzegać się dają szczyty wież miasteczka i klasztoru *Koprzywnicy*, niegdyś XX. Cystersów, wzniesionego przez Kazimierza Sprawiedliwego; w nim to przebywał Kazimierz Wielki, ze szwanku z konia na łowach tknięty chorobą. Nieco w bok zwaliska zamku Jerzego *Ossolińskiego*. Te wszystkie miejsca widziałam tylko z daleka, ale zwiedziłam jeszcze bliskie Górki i Klimontów, dalsze, Kurozweki i Staszów.

*W Górkach*, ładnej wsi należącej do hrabi Józefa Ledóchowskiego, zająć może wesołe i udatne położenie kształtnego pałacu i piękny angielski ogród; w *Klimontowie* kościół wspaniały fundacji Jerzego Ossolińskiego. Spoczywa w nim ciało jego, a obraz dobrego pędzla, wiszący na ścianie, świadczy że wielką duszę pod dorodną krył powłoką. Malowania w ołtarzach, staraniem hrabi Ledóchowskiego z Drezna sprowadzone są bardzo piękne. W grobach tego kościoła prawie jeszcze lepiej jak u Reformatów w Sandomierzu przechowują się ciała; kilkanaście tych trupów, obok siebie ustawionych, tworzy dziwne grono, godne pióra Bajrona. Kilku z nich, z których jeden jak znać po ubiorze był księdzem, drugi żołnierzem, stoją o ścianę sparci z dwóch boków; siedzi po jednej stronie stara kobieta ze schyloną głową, jeszcze ma czepek siatkowy i włosy czarne, a po drugiej, napół leży pastuszek kaleka; na twarzy jego do-

tąd się maluje boleść i cierpienie. Ta jakby żyjąca tych trupów postawa, odejmuje im nieco okropności i mniej zrobiły mi wrażenia jak pierwsze. Być może dla tego, że nie pierwszymi były — bo człowieka dziwne jest usposobienie: z najokropniejszymi przedmiotami oswajać się umie; osoby niepomne na tę prawdę często są niesprawiedliwe, gdyż biorą za nieczułość, to co tylko jest oswojeniem. W Klimontowie jest jeszcze kościół i klasztor XX. Dominikanów.

*Kurozwęki*, miejsce należące od wieków do znakomitęj i dawnęj rodziny Sołtyków, zaleca się bardzo pięknym ogrodem, w którym spół-pracowały natura i sztuka, oraz zamkiem dawnym. Postać jednak ma nowoczesną, jest zamieszkały, i tak starownie utrzymany, że mi Pieskową skałę przypomniał. Wiele na tém szkodowałam, zmuszoną będąc zwiedzać to piękne miejsce z pośpiechem i pod niebytność właścicieli.

*Staszów*, miasteczko należące do hrabi Artura Potockiego, głośnie jest z fabryk i handlu swego; położenie nie ciekawe. Może ma osobliwości jakie, ale widzieć ich nie mogłam, przyjechawszy jedynie na teatr, który pierwsi z tamecznych mieszkańców na dochód Szpitala Ś. Ducha w Sandomierzu złożyli. Taki rodzaj i cel zabawy prawdziwie jest godzien pochwały i naśladowania. Tu kończyć mi wypada *wyjątki z mego dziennika*; jeśli cię znudziły, Anielko, pocieszaj się myślą, że już zapewne nie tak prędko coś podobnego odemnie mieć będziesz.

## OPIS PODRÓŻY.

DO JEDNEJ CZĘŚCI PRUS, NIEGDYŚ POLSKICH. \*)

... O! jakaż to słodycz po długiej niebytności odwiedzać kraj rodzinny, witać kolebkę dziecinną! jakżem wdzięczny sobie, żem téj chwili nie odkładał dłużéj. Jakżem odmłodził od czasu, gdym w te okolice wstąpił! Na ich widok znikło mi z pamięci lat siedm, jak znika śnieg z téj łączki przed dogrzewającym już słońcem. Od roku pragnąłem tego szczęścia, lubom nie wystawiał sobie, aby tak żywém być miało; raz to pierwszy w mojem życiu przyjemność spełniona, przeszła w wdzięku nadziei obrazy. Chcąc w zwiedzaniu rodzinnego kraju, bez narażenia się komu, bez zadziwienia kogo, napawać się słodyczą przypomnień i uczuć, pocztę, którą biegłem z Warszawy, opuściłem w *Służewie*, ostatniej stacyi naszej.

Wysławszy rzeczy moje dyliżansem do Królewca, puściłem się sam i piechotą przez las do *Torunia*; bo już to w całej téj części Prus lasy niemal szóstą część kraju zajmują. W tym lesie płynie kręto mała rzeczka, która Królestwo Polskie od Pruskiego przedziela, i granicę między obiema Państwami stanowi. Dwa słupy, jeden na jednym, drugi na drugim jój brzegu, na nich Orły, znaki herbowe Królestw, ostrzegają o tém podróżnego; pamiętam, kiedy w lecie 1812 roku, przejeżdżałem ostatni raz tamtędy, rzeczka nie stała jak teraz, tylko płynęła, a słupów nie było

\*) Miejscowe szczegóły tego opisu, wyjęte są z Listów pana K. L. S. w r. 1819 pisanych.

wcale... W lecie, czy piechotą czy powozem, droga do *Torunia* nie pośpiesza, bo cały jój ciąg idzie lasem i piaskami; samo to miasto w piaszczystej jest okolicy; zawsze mi się téż bajką zdawało owo podanie Gwagnina, \*) że Krzyżacy, (założyciele wszystkich niemal miast i grodów w tej części Prus) zbudowali *Toruń* na miejscu wielkiego Dębu, jakich dawniejsi tameczni mieszkańce dla niezmiernej grubości do obrony, a czasem za świątynie bogów używali, gdyż dęby na takich piaskach nie rosną; ale ja nieprzyjemności drogi piaszczystej nie doznawałem wcale; pokonał ją mróz ośmiostopniowy, a ożywiony tém umiarkowanym zimnem, krzepki, wesoly, ochoczy, biegłem prawie gościncem, z którego wiatr nocny zmiótł był śnieg niemal zupełnie: w pozostałych gdzieniegdzie szczątkach, odbijały się promienie niedawno zeszłego słońca, i świeciła się droga jakby drogiemi kamieniami zasiana.

Tak idąc i myśląc tyle, że aż żadnej z tych myśli, teraz pamięcią uchwycić nie mogę, ujrzałem *Toruń*; kolebkę owego pierwszego tłumacza prawdziwych biegów niebieskich, owego pierwszego założyciela dzisiejszej astronomii, słowem *Kopernika*. Od dzieciństwa przejęty uwielbieniem dla tego twórczego geniuszu, uwielbieniem, które każdy rok wzmaga, nie mogłem bez uczucia patrzeć na rodzinne miasto jego. Miałem całą rozegłość *Torunia* przed sobą: po prawej ręce ogromne okopy, a za nimi z dala bielejący się gmach *Podgórze*: jest to Klasztor *KK*. Reformatów i zamek potężny; Polacy nazywali go *Dybbów* albo *Dębową*;

---

\*) Alexander Gwagnini Włoch w służbie Polskiej zostający; wydał w łacińskim języku Sarmacyi Europejskiej opisanie, wraz z kroniką związłą Książąt i Królów Polskich do 1574 dochodzącą. Paszkowski to dzieło wytłumaczył, ojczyste rzeczy do 1588, oba wypadki do 1610 dociągnął.



w nim mieszkał starosta: był to pierwszy gród zbudowany przez Krzyżaków w Pruskiej ziemi; zwano go także *Vogelsang*. Myśląc sobie ileto razy każdy kraj, każde miasto w przeciągu kilku wieków, nazwiska i pana odmienią, wszedłem na most Toruński: jest on wsparty na palach i znacznej długości, bo Wisła w tém miejscu bardzo szeroka; przyglądałem się z przyjemnością owęj wspaniałej rzece naszej, której mało podobnych widziałem za granicą; która poniekąd obraz dawnych mieszkańców swych brzegów przedstawia: wspaniała, potężna, w kluby ją wziąć trudno, zda się być do swobody stworzoną... W tém miejscu nadzwyczaj szeroka i jeszcze stojąca, zdawała się jak ogromne zwierciadło położone u stóp miasta; nie ma jednak Toruń wielkiego do przeglądania się powodu, bo nie bardzo piękny: kształt budynków wązki a wyniosły, zakończony dachem śpiczastym; kolor ich brudno-rdzawy, ulice ciasne i ciemne, szczątki muru którym niegdyś był opasany, sama ta brama z dosyć mocną wieżą gdzie się wjeżdża z mostu, cały ten widok zdumiewał mnie dawniej nadzwyczajnością: teraz kiedym więcej i widział i poznał rzeczy, zasnuć mnie tylko, bo odsunął myśl moję o kilka wieków wstecz, w czasy ponurego gotyzmu...

Pamiętałem dobrze, iż w Toruniu, między budowlami, które podróznego uwagę zająć powinny, trzy najgłówniejsze są: *Ratusz*, *Kościół Ew-Jezuicki s. Jana*, a nadewszystko *Dom*, gdzie nieśmiertelny *Kopernik* się urodził; ale przyciśniony głodem po tak znacznej przechadzce, a do niczego nie zdalny, zły nawet kiedy głodny, poszedłem najpierw tam gdzie posilić się było można, a dopiero potem obejrzałem ciekawości tak dobrze dawniej mi znane. — *Ratusz* stoi w środku miasta, na rynku dość obszernym i czworograniastym; sam tegoż jest kształtu: ile z architektury miarkować można, nie jest bardzo starożytny; sięga jednak czasów, w których piękność budowli trwałości poświęcano

Po korytarzach widać pozawieszane herby szlachty pruskiej; nad drzwiami sal, rozmaite, to z Pisma Świętego, to z dziejów krajowych malowidła; między wizerunkami znacznij-szych urzędników Torunia, dwa utkwily były w pamięci mojej: znalazłem je też odrazu, bo ani czas, ani żadne in-ne przedmioty, wrażeń w dzieciennym wieku powziętych za-trzeć nie zdołają.

Pamiętam też dotąd chwilę, kiedy pokazywał mi te dwa obrazy szanowny kapłan, który wychowaniem mojem się trudnił; słyszę jeszcze słowa, które wtedy mówił do mnie: „O! jakże młodzi, popędliwością, nieuwagą swoją, za-pałem zbytecznym ku temu co dobrem być mienią, wielu złego przyczyną się stają!.. W początkach zeszłego wieku, za panowania Augusta II, był w Toruniu cnota, stałością i odwagą znakomity, burmistrz *Rösner*; był powszechnie kochany i szacowany wice-burmistrz *Zernicke*, i cała miej-ska rada z zacnych obywateli, z ojców licznych rodzin zło-żona: żyli wszyscy i starsi i podwładni w szczęściu i w zgodzie. Wtém student jeden ze szkół Jezuickich, pewny że bohatera imie pozyska, zbyteczną uniesiony gorliwością (zwłaszcza w mieście prawie zupełnie luterskiem) w czasie procesyi na Boże Ciało, kilku synów mieszczan luter-skiego wyznania, do zdjęcia kapeluszy i do ukłęknięcia chciał przymusić. Ci się oparli, przyszło do bitwy; studenci bronili towarzysza, pospólstwo synów mieszczan: nastąpił krwi rozlew i zrabowanie Jezuickiego klasztoru. Wytoczyła się ta sprawa przed Sejm, i *Rösnera*, *Zernicke* i dziewięciu innych obywateli na śmierć skazano. Ponieśli ją wszyscy w dziedzińcu tego Ratusza, jednemu tylko *Zernickowi* sami katolicy uprosili życie!“ Ze smutkiem, ale z pewną wdzię-cznością patrzyłem teraz na te obrazy; może wrażeńi ja-kie ich pierwszy widok na mnie uczynił, winienem, że po-mimo żywości sobie wrodzonej, żadna płochosć moja nie pociągnęła niczyjego nieszczęścia za sobą!...

W izbie radnej widziałem ciąg nieprzerwany królów Polskich, od Wacława zacząwszy, aż do ostatnich czasów. Wieża ratusza prócz widoku na Wisłę, na miasto i rozległe jego okolice, nie ma nic osobliwego. Ciekawsza jest *kolumnata*, czyli skarbiec na dole. Drzwi żelazne, mocne zamki i zapory warują to miejsce. W nim jest kassa miejska, kosztowne sprzęty, nadania różne dla miasta od królów Polskich i od Krzyżaków: niektóre z nich są ciekawe, i dla historyi ważne. Dochowano tam jeszcze kilka pamiątek w orężach i w zbrojach dawnych; zdało mi się, że przed laty było ich więcej: gdym się spytał gdzieby się podziały? odpowiedziano mi, że Francuzi wiele zabrali; ale co zostawili, to listy jak mówią Cycerona, na tabliczkach woskowych czarnemi literami ryte: takich dawniej do pisania używano. Rzuciwszy okiem na te starożytności, pobiegłem do domu *Kopernika*: nieraz pamięć tego wielkiego człowieka i za granicą obecną mi była: on jest jednym ze sławnych ludzi naszych, którego obcy prawie najlepiej znają. Ale jakby los zawistny i tę chciał nam odjąć chwałę: nie wiedzieć dla czego, nie wszyscy Polakiem go zowią; z téj przyczyny kilka żwawych odbyłem sprzeczek, nie w Anglii gdzie go powszechnie *Mędrceem Polskim* mianują, ale we Francyi, gdzie często bez przekonania o rzeczach sądzą, i w Niemczech, któreby go sobie przywłaszczyć rade. Może i z tego powodu, wyżej niżli dawniej go ceniłem, bo zwyczajnie dobro zaprzeczane i wydzierane, wartości nabiera...

Zastałem dom jak i dawniej szczupły, a choć o dwóch piętrach, na dolném tylko zamieszkały; musiał on zawsze do miernych budowli Torunia należeć, jakby na dowód, że wielcy ludzie nie zawsze w pałacach się rodzą. Po małych schodkach, dobrze mi pamiętnych, wszedłem do sieni; ten sam co dawniej właściciel, bodaj czy nie w téj samej sukni, jeszcze od domu uboższy, wyszedł naprzeciwko mnie. „Ja tylko dawną chcę odnowić znajomość, powiedziałem, i zaj-

rzęć na chwilę do pokoju, w którym się urodził nieśmiertelny Kopernik.“ Otworzył mi drzwi uprzejmie, obaczyłem na ścianie ten sam com dawniej był widział wizerunek; ale malowanie nie tak mi się podobało. Powiedział mi właściciel, że jest bardzo starożytny, znaczne summy mu za niego ofiarowano; lecz on odstąpić go nie chciał. Co więcej, dzisiejszy król Pruski powziął był myśl założenia na miejscu tego domku, szkołę matematycznych nauk; chciano w korzyśne dla właściciela wejść układy: on pyszny tą własnością, pomimo ubóstwa swego odrzucił wszystko; uporem tym przeszkodził pięknemu zamiarowi, ale przecież mimowolnie uściskałem go serdecznie, gdy mi to w prostocie swojej opowiadał. Tyłu już bogatych, dla powiększenia jeszcze majątku, honoru, cnoty, się pozbywa, a on, tak ubogi, jedynie dla przechowania rodzinie swojej chlubnej pamiątki, darami możnych pogardził.. I nie miałem go uściskać?

Nie wyszedłem z domu, pókim się nie przypatrzył rzeźbie w drzewie, znajdującej się w sieni wysoko pod sufitem, a która ma być pracą rąk własnych *Kopernika*; nie wiem, czy czas zatarł ślady? czyli téż wyobraźnia moja już nie tak obfita? ale dawniej nierównie więcej widziałem w téj rzeźbie i figur i rzeczy: teraz nie mogłem prawie w niej upatrzeć żadnego pewnego przedmiotu. Jużem chciał odejść, kiedy właściciel mnie prosił, żebym się wrócił i spojrział na szereg wszystkich jego poprzedników; w rzeczy samej, każdy właściciel tego domu zacząwszy od *Mikołaja*, ojca *Kopernika*, do ostatniego przed dzisiejszym posiadaczem, kazał się malować, i widziałem że i tego gorącym było życzeniem, zostawić na płótnie, twarz swoją i imie potomności. O! jakieżto blask wielkich ludzi otacza, kiedy przy nich i mali uświetnić się mogą!

Ztamtań ruszyłem do kościoła św. Jana, który jest najdawniejszy w całym Toruniu; założył go *Herman Balk*, pierwszy mistrz Krzyżacki w Prusiech: wizerunek jego wisi



nad zakrystyą. W tym kościele jest chrzcielnica z napisem gockim, którego dotąd nikt nie przeczytał; pytałem się zakrystyana, czy w czasie niebytności mojej nie zdarzył się ktoś tak uczony? powiedział że nie; nie bawiąc nad nim na próżno, wołałem się przypatrzeć darowi czułości księcia Józefa Jabłonowskiego wojewody nowogrodzkiego. Jest to pomnik z marmuru śniadobiałego, przy jednym filarze *Kopernikowi* wystawiony: szczupły wprawdzie, ale zawsze uwielbienia godny; żałowałem w tej chwili, że nie bogaty, wyniosłbym *Kopernikowi* pomnik wspaniały w Toruniu, tam właśnie gdzie za Księstwa Warszawskiego już założono fundament. Teraz na tym miejscu na nowozrównanym, i brukiem założonym, przekupki jarzyny sprzedają, i ani wiedzą jaki to geniusz, półczwarta wieku temu powstał w ich mieście. Jednak i one słyszeć o nim mogły, bo przed domem gdzie się rodził, stoi na cześć jego kolumna z kamienia; z niej wychodzi u wierzchu ręka trzymająca kulę ziemską na około której wyrażony bieg godzin, rzymską liczbą w złocie.

W Toruniu jest gimnazjum z biblioteką i drukarnią, znany mi był dawniej pan *Brohm* rektor tej szkoły; odwiedziłem go: uwielbia Polaków, wspominał mi z wdzięcznością, że rząd Księstwa Warszawskiego uczcił go obywatelstwem polskim; czytałem był dzieło jego we dwóch tomach o *Początku Polaków i Litwinów*, teraz myśli napisać *Historję Torunia*; posiada piękną bibliotekę, ma zbiory rękopismów dawnych po wielkich mistrzach Krzyżackich: podobne zabytki posiada także *Wachszlager*, jedyny obywatel tego miasta, który od Krzyżaków pochodzi. Tak mi prędko czas zbiegł w Toruniu, słońce bez najmniejszego względu na kolebkę tego, który je zatrzymał, tak prędko zaszło, że musiał tam zanocować; siedząc samotnie wieczór w domu zajezdnym, o czémże myśleć miałem, jeśli nie o *Koperniku*? Miałem z sobą dzieła Jana Śniadeckiego,

który tak godnie o tym wielkim mężu przemówił, tak prawdziwie go zgłębił: odczytałem jego pismo rozwiązujące zadanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a treścią onegoż poważam się ten mój dziennik ozdobić.

„W dwudziestym szóstym roku panowania Kazimierza Jagiellończyka, r. 1473, dnia 19 Lutego, urodził się *Kopernik* w Toruniu, z ojca Mikołaja Krakowczyka, i z matki Barbary Watzelrod, siostry biskupa warmińskiego; odesłany na nauki do akademii Krakowskiej, i w rejestr jój uczniów r. 1492 zapisany, czerpał w téj jedynéj podówczas polskiej szkole, przez lat pięć wiadomości literatury greckiej, łacińskiej i nauk matematycznych. Tym trojakim rodzajem nauk słynęła podówczas w Europie szkoła Krakowska. Jakób z Kobyлина, Mikołaj Szadek, Marcin z Olkusza, sławni potem matematyki professorowie, byli współuczniami *Kopernika*; wszyscy zaś w matematyce i astronomii, uczniami Wojciecha Brudzewskiego. Ten mąż godny wiecznej wdzięczności i sławy, pierwszy oświecił, zapalił duszę *Kopernika*, a rozwijając w nim przyrodzenia dary, otworzył mu drogę do nieśmiertelności; uchronił go także od owych wieków zarazy, której jako powszechnéj umysłu ludzkiego choroby, snadnie mógł podpaść *Kopernik*, i przyćmić nią swój geniusz: uchronił go od astrologii; Brudzewski bowiem (czego dowodzą przez niego ułożone i wypracowane Efemerydy \*), naukę gwiazd w jój nieskazitelnej czystości opowiadał, żadnych do niej nie dodając wieszczbiarstw, i taką *Kopernikowi* przekazał. Kiedy za naleganiem kardynała Fryderyka Jagiellończyka, Brudzewski wyjechał do Litwy na urząd sekretarza przy księciu litewskim Aleksandrze, *Kopernik* w roku 1497

---

\*) Efemerydy znaczą wypisanie biegi i położenia planet na każdy dzień roku następującego, które każdy professor astronomii w akademii Krakowskiej, winien był wyrachować i złożyć zgromadzeniu przy końcu każdego roku.

przeniósł się do Bononii i tam wraz z astronomem Dominikiem z Ferrary, nie jako uczeń jego, ale jako świadek i pomocnik, gwiazdy pod szczęśliwem Włoch niebem uważał.

„Wyjechał więc z ojczyzny *Kopernik* już opatrzony w wiadomości astronomii i matematyki i ród i naukę powziął w Polsce. Roku 1500 wezwany został na publicznego profesora matematyki do Rzymu; tam z wielką sławą nauczał, i liczne bardzo zgromadzenie uczniów na swoje lekcye przyciągał, a że czegokolwiek chwycił się ten wielki człowiek, we wszystkiem prawie zostawił piętno swego twórczego rozumu, musiał zapewne w tej nauce zrobić wiele rzeczy nowych i ważnych, które albo zaginęły, albo gdzie w rękopismach leżą ukryte; równaż biegłość w sztuce lekarskiej posiadał: gdy w roku 1504 wracał z Włoch do Polski, w Padwie stopień *Doktora Medycyny* otrzymał; w kraju zaś Eskulapiuszem go zwano.

„Przyjechawszy do Krakowa, powziął zamiar przy akademii tamecznej pozostać, ażeby swobodnie oddać się mógł naukom i z uczonymi obcować; lecz wuj jego biskup warmiński namówił go do duchownego stanu i ofiarował mu kanonią przy sobie. Wtedy osiadł *Kopernik* w *Frauenburgu*; w tém mieście i w dobrach których był administratorem w Allenstein, lat blisko czterdzieści mieszkał. Tam przypatrując się słońcu, planetom, gwiazdom, równą tym Boskim dziełom trwałość, uwagom i odkryciom swoim zabezpieczał. Jednak lubo pilna była jego koło astronomii praca, nie uchylał on się bynajmniej od usług publicznych dla ojczyzny, i od sprawowania ważnych interesów warmińskiej kapituły; na sejmach polskich wielokrotnym był jój obrońcą przeciw przywłaszczaniom zakonu krzyżackiego. Na sejmie zaś Poznańskim, gdy z przyczyny zepsutej przez mistrzów krzyżackich monety polskiej, zawiła i trudna do zaradzenia temu złemu wszczęła się materya, *Kopernik* matematycznym prawdziwie rozsądkiem wytlómaczył ogólne prawidło, i jak

najdokładniej objaśnił zasady do ustanowienia biegu słusznego wszelkiej monety w krajach Polskich, Litewskich i Pruskich służące.

„Godna zastanowienia jest czynność jego, rozmaitość wiadomości. Frauenburg, sztuczną i dobroczynną machiną pomysłu i pracy jego się szczyci; akademja Krakowska ma wizerunek jego ojca, ręką tak sławnego syna malowany; Królewiec rzeźby jego; wiele instrumentów do astronomii potrzebnych sam sobie wymyślał i robił, gdyż często się zdarza, że dla ludzi uczonych dzień zdaje się mieć więcej niż dla innych godzin, a to dla tego, że zawczasu w najpotrzebniejszej ćwiczą się nauce: w nauce korzystania z czasu.

„Ale nieśmiertelne dzieło Kopernika o *Obrotach Niebieskich* \*), owoc pół wieku uwag, nie byłoby może nigdy znane, nie mogłyby się szczycić nauki i Polska pięknem jego imieniem, gdyby nie natarczywe nalegania kardynała *Schonberga*, *Tydmana* biskupa chełmińskiego, i *Retyka* ukochanego mu ucznia: takie było przywiązanie tego wielkiego męża do spokojnego życia, skromność jego tak niezmierna, że z prac jego, czego wprzód sława po Europie nie rozniosła, czego znakomici ludzie powagą nie wymogli, przyjaciele, uczni nie wyprosilili, tegoby świat nie był nigdy poznał. Już w późnej starości umierał \*\*) kiedy wyszła książka jego. Oto w krótkich słowach wiadomość o tém co zawiera i wzmianka, jak wiele winny Kopernikowi nauki, a zwłaszcza astronomia.

„Jeszcze przed erą chrześcijańską, *Hypparch* Bityńczyk wyjawiał był głębokie i pierwotne myśli o uwadze nieba, i pierwszy stworzył gruntowne jeografi początki;

---

\*) *De revolutionibus orbium coelestium*. Ksiąg sześć w Norymbergu 1543 r. Pawłowi III papieżowi przypisane.

\*\*) Kopernik umarł 1 Czerwca 1543 r., miał lat 70.



w dwieście-kilkadziesiąt lat po nim, *Ptolomeusz* złożył te pierwiastki w jedno ciało, z bogacił je własnymi pracami, i rzucił w dzieło swoim, pierwszy rys porządnie ułożonej nauki. Nie zważając na myśli dawnych Egipcyan o porządku świata, sam się odważył przez własny swój układ, rozmaite biegi ciał niebieskich tłómaczyć, a wystawiwszy sobie, że niebo jest kulą, na której sklepieniu osadzone są gwiazdy; że doskonałość dzieł natury zależy na biegu jednostajnym, i na figurze koła tym biegiem opisanego, osądził, że ziemia jest środkiem tych wszystkich biegów, około której całe niebo gwiazdziste, kręci się w przeciagu dwudziestu czterech godzin, od wschodu na zachód; oprócz tego słońce i wszystkie planety krążą koło ziemi w biegach swoich peryodycznych, ona tylko żadnego biegu nie ma.

„Nigdy złudzenie nie zaślepiło silniej uwagi i rozsądku człowieka; Ptolomeusz zbudował świat na wywróceniu początków prawdziwej fizyki, a zwiławszy wszystko w swoim nietrafnym tłómaczeniu, zrobił dzieło obrazy i ledwo nie bluźnierstwa, przeciwko prostocie i prawdziwemu szykowi dzieł przyrodzenia. Gdy potem w tysiąc sto lat, tłómaczono ten jego układ światu Alfonsowi X, królowi Kastylii, obruszony tak grubym mechanizmem, powiedział: „Gdybym był przy stworzeniu świata wezwany do rady, byłoby wszystko prościej i porządniej urządzone.“ Lecz to jedyne zdanie odezwało się przeciw Ptolomeuszowi, i przez czternaście blisko wieków wszystkie usiłowania uczonych Arabów i Europejczyków, wyteżone były na tłómaczenie, szerzenie i objaśnienie nauki jego. Kiedy tak zatamowany był prawdziwy wzrost astronomii, kiedy człowiek chodząc po siłach złudzenia i pozoru, nie mógł żadnego zrobić znacznego kroku do prawdy, wyszedł z łona narodu Polskiego *Mikołaj Kopernik*, stargał zasłone błędu, naprowadził rozum ludzki na drogę prawdy, wytłómaczył rzetelny układ świata i rzucił pierwsze zarody tych wielkich wynalazków, które dziś postawiły astro-

nomią w rzędzie najdoskonalszej z nauk fizycznych umiejętności.

„Co tylko osiadł w Frauenburgu, pilne uważanie biegów niebieskich, doskonalenie istotnych do tego pomocy, a najbardziej ściśle roztrząsanie wykładu i wszystkich astronomii początków, cały jego umysł zajęły. Ujrzawszy iż układ Ptolemeusza okazywał w dziełach natury więcej dziwactw i zamieszania, niż szyku i porządku, osądził, że fundament, na którym osiadł ten gmach chwiejący się pod ciężarem zarzutów i trudności, musi być słaby i fałszywy; a wyniosłszy się pierwszy nad czternastu wieków powagę, nad uporczywe i powszechnie uprzedzenia uczonych, wreszcie nad pozorne zmysłów świadectwo, obdarzony trafnością w myśleniu i w stosowaniu, wyćwiczony przez nauki matematyczne w sztuce gruntownego, czystego i porządnego myślenia, odkrył niewzruszone i wieczne w fizyce Niebieskiej prawdy, w swém nieśmiertelném dziele nowe zdanie objawił, w nowy sposób prawdziwy układ świata wytłómaczył, i rzekł: „Słońce jest gwiazdą nieruchomą, otoczoną szeregiem planet około niego krążących, których jest i środkiem biegu i pochodnią oświecającą; oprócz planet głównych są planety drugiego rzędu czyli księżyce, najprzód około swych planet, a potem wraz z niemi około słońca bieżące. Ziemia jest planetą głównym, bieg trojaki mającym; wszystkie widowiska biegu dziennego i rocznego, wszystkie pory roku, z nich wypadające odmiany w świetle i powietrzu, są rzetelnemi skutkami biegu ziemi wirowego około swój osi, i peryodycznego około słońca; wszystkie biegi gwiazd stałych są tylko złudzeniem oka naszego, a prawdziwym wypadkiem biegu ziemi; nakoniec w biegu wszystkich planet tak pierwszego jak drugiego rzędu, zachodzą dwojakie skutki: jedne które pochodzą od biegu ziemi, drugie które wypadają z ich własnego około słońca obrotu.

„W tém rzetelném oddzieleniu światła od ciemności,

nikt *Kopernikowi* nie pomógł; to wytłómaczenie prawdziwego układu świata, nie jest nauką ze szczątków starożytności dobytą, jak sądzą niektórzy, ale jest zupełnie stworzeniem i dziełem jego. Marzyło się wprawdzie dawnym o biegu dziennym i rocznym ziemi, ale to ich mniemanie nawiasem rzuczone, obłąkane w swoim znaczeniu, i bez żadnego dowodu i wyluszczenia, zbił sam Ptolomeusz; wreszcie chociażby ta myśl i powszechną u nich była, cóż z tego, kiedy z niej żaden układu świata i porządku jego nie wyciągnął? owszem mieli ją wszyscy za dziwaczne przywidzenie; *Kopernik* zaś, pierwszy upatrzył w niej dzieło mądrości, i z tej nici wyprowadził pasmo prawd dotąd nieznanomych. Nie dosyć na tém, uszykował jeszcze ciała niebieskie, w tym porządku jaki im przyrodzenie naznaczyło, a uznając odległość gwiazd stałych niezmierną, w której porównaniu cała przestrzeń między ziemią i słońcem staje się punktem, skazując roje niezliczone słońce i światów, nauczył nawet potomność gdzie i jak ma umieszczać, te, które kiedyś oko ludzkie narzędziami rozciągnięte i wsparte wynaleźć może; bo geniusz jako sam granic nie zna, tak ich też ani ludzkim wynalazkom, ani tém bardziej dziełom Boga naznaczać nie umie, i *Kopernikowi* winna matematyka pierwszą myśl *ilości nieskończonej*, która potem stała się źródłem największych w tej umiejętności wynalazków. To zaś porządku ciał niebieskich odkrycie, nie było wcale wskrzeszeniem dawnych Egipcyan nauki, jak źle twierdzi kilku; została się wprawdzie po nich wmianka o dwóch planetach najbliższych słońca, ale ta jest tylko małą cząstką rozległej *Kopernika* myśli; tak i w jeometryi, nauka tak potrzebna i ważna o *trójkątach kulistych*, zaczęta najprzód od Hypparcha, doskonalona od Arabów, w najzawilszych swoich zagadnieniach przez niego dokończoną była.

„Ale gdzie *Kopernik* niemal całą masę wiadomości ludzkich w astronomii zamknął, wszystkie jej najdelikatniejsze wynalazki, to w przebieganiu i zgłębianiu drogi, którą

ziemia około słońca w przeciągu roku odbywa; w téj drodze nadając położenie ciągle równoległe osi ziemskiej, trzeci bieg ziemi stanowi *biegunowym* nazwany, i odmiany pór roku, gruntownie, trafnie i dowcipnie tłómaczy. Myśl tego trzeciego biegu całkiem mu jest właściwa, nigdy nikomu przez głowę nie przeszła, żadnej wzmianki o niej w pismach starożytnych nie masz, i dla téjto niewiadomości tak się gmatwali i gubili jego poprzednicy, w tłómaczeniu odmian i powrotu pór roku.

„Lecz jeśli twórczy geniusz *Kopernika*, i nieporównany dowcip zadziwia, skromność jego także zastanowienia jest godna. Książka jego o *Obrotach niebieskich* jest świadectwem i dowodem, że on objął cały skład wiadomości astronomicznych od Hipparcha aż do czasów swoich, że zgłębił błędy dawnéj nauki, własnym domysłem zdjął z prawdy grubą zasłonę, i otworzył pole do coraz dokładniejszego jój odkrycia, a kiedy przyszło tak znakomite dzieło światu objawiać, nie śmiał powiedzieć wręcz ludziom, że przez tyle wieków błędzili; nie śmiał przypisać sobie tyle mądrości, nie chciał wynalazku swego głosić jako ważne i własne odkrycie; nie chciał razić nikogo nagłym odsłonieniem tak wielkiego światła: owszem pozbierał i poprzytaczał z dawnych pisarzów co tylko do wynalazku jego było stosowne, i co mogło zasłonić nowość pozorem dawnéj nauki. Do takowego postępowania, zapewne prócz wrodzonej skromności, wieku swego znajomość, przewodnikiem mu była. Są czasy, w których człowiek własnego światła lękać się musi, i zamiast udzielać go całkowicie drugim, osłania go i przyciemnia, żeby nie raziło; bo rodzaj ludzki mając wieki ciemnoty, ma i przejrzenia chwilę: wtedy w powtórna ślepotę nagłe światło pogrążyłoby go mogło. W takim to poniekąd wieku żył *Kopernik*, a wybieg delikatności jego dowodzi, że nietylko na niebie czytać umiał, nietylko gwiazd, lecz i ludzi miał znajomość.... Nieśmiertelne dzieło swoje wypracował i wydał



wtedy, kiedy Zygmunt I władał szczęśliwie berłem polskim. O! czemuż zatrzymując w niem słońce, nie zatrzymał oraz cudem jakim owęj pomyslnęj gwiazdy, która wtedy nad ojczyzną naszą jaśniała!“

Odczytując tę treść, widzę w niej wiele dosłownych *Śniadeckiego* wyrażen, wcisnęły się mimowolnie; ale bo *Śniadecki* tak pisze, że wyrazy jego jak nadobna harmonia w pamięci zostają.... Szczęśliwy wiek nasz, że takiego ma pisarza. Szczęśliwy *Kopernik*, że takiego znalazł myśli swoich tłómacza; on i u nas i u obcych w prawdziwem postawił go świetle; on nowy blask imieniowi jego nadał, i pomimo odległości wieków, takie między temi chlubnymi imionami zaszło pokrewieństwo, że trudnoby je rozłączyć, i już zapewne tak razem do nieśmiertelności dojdą.

Mając zwyczaj chwywania skwapliwie wszystkich pamiątek ojczystych, zdarzyło mi się dostać z biblioteki Porycko-puławskiej kopii trzech listów *Kopernika*, w łacińskim języku jak wszystkie jego pisma, i w oryginale tam znajdujących się; przetłómaczone do tego dziennika wpisuję, bo nie wiem jak kto, ale ja mam słabość niezmierną do listów: przeczytawszy list wielkiego człowieka, zdaje mi się, żem z nim rozmawiał, żem z nim obcował, żem charakter jego poznał: a któżby wielkich ludzi zblizka znać nie chciał? któżby ich nie rad zblizyć do siebie?

**List Kopernika do Jana (Dantiska) \*)**  
**Biskupa Chełmińskiego.**

Przewielebny w Chrystusie Ojcze i Pani! Odebrałem list Przewielebności Waszój, z którego życzliwość, względ

---

\*) Znany z nauk, z podróży i z wierszy swoich łacińskich, biskup ten był przyjacielem i zwierzchnikiem *Kopernika*; urodził się roku 1485, umarł roku 1548 biskupem warmińskim: młodszym był od *Kopernika* lat 13.

i łaskę dla mnie Waszój Przewielebności wyrozumiewam; którą nie dosyć, że u niego pozyskałem, jeszcze mi ją u innych dobrych mężów zaskarbić upewniasz. Nie moim to zasługom, lecz znanój dobroci twój przypisać winienem. Obym był w stanie rzeczywiście na to zasługiwać! Więcej aniżeli wypowiedzieć mogę, czuję ztąd radość, że takiego łaskawcę dla siebie znalazł. Żądasz Przewielebność Wasza, ażebym się do niego 20-go tego miesiąca udał; uczyniłbym to najchętniej, pragnąc usilnie tak szanownego przyjaciela i opiekuna odwiedzić; lecz właśnie jak na nieszczęście wypada, że w tej chwili Feliks i ja mamy zatrudnienia pewne i sprawy konieczne, które nam z domu wychylić się nie dadzą. Nie poczytuj więc za złe, że teraz nie mogę się stawić. Jestem gotów być u Waszój Przewielebności, życzenia bowiem jego spełniać powinienem, chciój mi tylko w innej porze rozkazać. Nie prośby wypełniać, lecz wszelkie zlecenia Waszój Przewielebności wykonywać, poczytuję sobie za powinność.

Z Frauenburga w przewodnią Niedzielę 1523 r.

Przewielebności Waszój

powolny sługa

*Mikołaj Kopernik.*

### Liść drugi do tegoż.

Przewielebny w Chrystusie Ojcie i Panie, Panie najłaskawszy i najszanowniejszy! Ojcowskie, a nawet więcej jak ojcowskie napomnienie Przewielebności Waszój przyznaję, i w głębią serca swojego przyjmuję. Co do pierwszego, o co Przewielebność Wasza piszesz, nie łącno jest rodzinę potrzebną, uczciwą zupełnie znaleźć; zakładałem sobie jednak koło Wielkiej Nocy to przywieść do skutku. Ażebyś Przewie-

lebność Wasza nie sądził, że zwłoki tylko szukam, ograniczyłem do jednego miesiąca ten zakres, to jest do świąt Bożego Narodzenia; ani krótszy czas mógł być zakreślony, jak Wasza Przewielebność sam to uznasz. Pragnę albowiem ile w mój mocy, ażebym dobrym ludziom, a témbardziej Przewielebności Waszój nie był obrazą; jako temu, który zasługuje bym go szanował, czcił i kochał. Ze wszystkimi zdolnościami dla ciebie się poświęcam. Z Ginopolu 2 Grudnia 1538 r.

Przewielebności Waszój

najpostuszniejszy

*Mikołaj Kopernik.*

### List trzeci do tegoż.

Przewielebny w Chrystusie Ojcie i Panie najlaskawszy! Dziś za zezwoleniem na to Przewielebności Waszój, od Kapituły otrzymałem posiadanie kanonii i prebendy wakującej przez zejście z tego świata Feliksa, na rzecz Rafała z Konopatu, za co Przewielebności Waszój składam dzięki. Ani wątpię, że Rafał sam uzna tę dobrotliwość Waszój Przewielebności wraz z wojewodą pomorskim, Ojcem swoim, jak przynależy. Pragnę i ja polecić się Przewielebności Waszój, któremu służby me ofiaruję. Z Frauenburga 11 Marca 1539 r.

Przewielebności Waszój

najpostuszniejszy

*Mikołaj Kopernik.*

## Adres listów.

Przewielebnemu w Chrystusie Ojcu, Panu i Panu Janowi, z Bożej łaski Chełmińskiemu Biskupowi, Panu mnie wielce miłościwemu. (*Pieczeń na massie czerwonej—na pieczęci Apollin z lirą*).

---

Wyliczenie wynalazków Kopernika, odkrywa geniusz, ale te kilka listów, chociaż się nie wie szczegółów, czyż nie malują serca jego i sposobu myślenia? Jaka skromność! co za uległość dla zwierzchnika lubo młodszego wiekiem, jaka powolność i pokora w przyjmowaniu napominania, w uznaniu winy! jaka wdzięczność za uczynioną drugiemu przysługę: tak dziękuje jakby za siebie. O! bardzom szczęśliwy, że mam te listy; tak sławnym jak Kopernik być nie mogę; już nie rozkażę słońcu żeby stanęło, już nowego biegu ziemi nie odkryję, nie uszykuję ciał niebieskich w lepszym porządku: ale tak skromnym, tak uległym, tak przyjacielskim jak on być mogę, i w tém przedziwniejsza cnota od geniuszu, że przystęp do niej wszystkim dozwolony.

Przenocowawszy w Toruniu, marząc noc całą o *Koperniku*, z pierwszym brzaskiem jutrzeńki, ruszyłem w dalszą drogę; wiodła mnie do Graczyż; najkrótsza jest na Chełmżyce, rezydencją biskupów, ale powiewaź wtedy gdym wyjeżdżał z mojej rodzinnej krainy, na Chełmno jechałem, tak puściłem się i teraz. W pół drogi postrzegłem *Nawrę*; piękny jój pałac wystawiony wśród rozległych równin, wspinał się w oko; przypomniałem sobie miłe chwile spędzane niegdyś u jego właścicieli, państwa Kruszyńskich; ale



nie było czasu je wznawiać; patrzyłem na kościół Nawerski: w nim jest chowany wizerunek Bernarda Kruszyńskiego, który meztwem i zasługami umiał zyskać względy u narodu i u króla Zygmunta III. Ten wynagradzając jego gorliwość, przeznaczył mu różne darowizny; niektóre w samym Smoleńsku. Nadania te przechowane starannie od jego potomków, widziałem w ich bibliotece, jako i inne do téjże rodziny należące; chwalebny zwyczaj! Gdyby wszystkim rodzinom szlacheckim był wspólny, ileżbyśmy mieli zabytków do sprostowania i uzupełnienia dziejów krajowych.

Przypatrywałem się także całej okolicy: widać było w różnem oddaleniu kościołów kilka, wszystkie starożytnej budowli, snąc od Krzyżaków stawiane, albo na wzór krzyżackich, bo w tych okolicach ten zakon pierwsze miał siedlisko swoje; tu zatem najpierw Prusacy wiarę Chrystusa przyjęli. Widziałem jeszcze koło siebie pogańskich czasów zabytki, moc niezmierną pagórków cokolwiek tylko wyniosłych; w nich na dwie lub trzy stopy pod wierzchnią ziemią, znajdują się także tak zwane *popielnice* czyli *żale*, naczynia gliniane, w które popioły spalonych ciał zmarłych sypano; bywa ich czasem po kilkanaście w jednym wzgórlu, małych i wielkich; ztąd wnoszą, że musiały to być groby rodzinne, może zamieszkałych tam wieśniaków: trudno jednak dobyć je w całości; przez tyle wieków zostając w ziemi, wilgocią przejęte, rozsypują się łatwo. Pamiętam, że wykopując je dawniej sam, znajdowałem w niektórych prócz popiołu, nożyce, łańcuszki i inne żelaztwa. O te drobnostki więcej dbałem wtedy niż o tę garstkę popiołu, niepomny, że w tej garstce szczątki były człowieka.... O! już teraz więcejbym popiół cenił, może dla tego, żem już nieco bliższy chwili, w której sam w proch się obrócę, że już wielu z moich w proch się rozsypało!..

O zachodzie słońca stałem w *Chełmie*, dosyć strudzony. To miasto weselsze od Torunia: wybudowane na gó-

rze, widoki ma piękne, ulice nie posępne bo nie ciasne, rynek obszerny; ale ja Toruń wolę: najprzód Kopernik w nim się urodził, powtóre w pamiątki historyczne, w pomniki starożytne bogatszy, a te dla mnie ze wszystkich najmilsze: lubom młody i rozległą przyszłość widzę przed sobą, lubię zatapiać się w przeszłości. We wszystkich podróżach, zawsze najbardziej lubiłem te miejsca, gdzie mogłem otrząsać z pyłu pergaminy wiekiem zbutwiałe, i wpatrywać się w wizerunki ludzi oddawna w proch rozsypanych; miło mi było kiedy odgłos stopy mojej rozlegał się po opustoszałych gmachach; rad pytałem grobów, kto w nich pochowany? rad siadałem gdzie rozwaliny mchem porosły; rad byłem odetchnąć na wierzchołkach owych gór wslawionych, które wyobraźnia ludzka rojami widmów otoczyła. Podobna skłonność zdaje się być niektórym chorobą duszy, ja w niej zaś widzę przyrodzoną natury ludzkiej dążność.

Nie samój rzeczywistości człowiek przeznaczony, życia jego nie ogranicza tak krótka obecność; żyje on milęd i dalej, w przyszłości nadzieją, w przeszłości wspomnieniem. Wszak same Muzy córkami są Mnemozyny czyli Pamięci? Na wspomnieniach, które pamięć podała, osnował Homer Iliadę i Odyseję; wspomnieniami nastrajał Ossyan arfę swoją do dumania: jeśli dawne ludy rozmarzały się pamięcią szczęścia wieku złotego, jeśli starzec młodnieje wspomniawszy na wiosnę dni swoich, cóż nam przyzwoicięd jak siadać na ruinach?... tam umysł karmić, duszę roztkliwiać, kiedy obok nich, jako obłoki koło gór wierzchołków, przesuwiają się cienie ojców i ich sława.

Byłoby jednak ubliżeniem dla *Chelmn*a chcięd utrzymywać, że w nięd nie ma wcale starożytnych zabytków; najprzód samo miasto jest najdawniejszéd w Prusiech, jeszcze przed Krzyżakami założone; powtóre, wszystkie jego kościoły bardzo są dawne, jeden nawet tak zapadły, że nie odprawia się w nim nabożeństwo. Kościół kolegiaty odnoszą

do jednego wieku z kościołem Ś-go Jana w Toruniu, i do tegoż samego założyciela. Na facyacie jego jest oznaczona żelaznemi gwoździami miara Chełmińska: jaki był pręt, jaki łokieć? przydomek *Chełmiński* dotąd włókom naszym służy; a prawem podobnież zwaném *Jus Culmense*, całe Prusy i wiele miast w Mazowszu się rządziło. Pamiętam, że w gmachach kolegiaty widziałem był dawniej wizerunki biskupów chełmińskich; oprócz ostatnich, wszyscy byli Polacy; został mi w pamięci obraz Dantyska, owego przyjaciela Kopernika i sławnego Hozyusza \*); tego wizerunek był najpiękniejszy, mówiono, że to pędzla włoskiego dzieło i nie dziw, bo tak długo we Włoszech przebywał.

Czas miły choć mroźny sprzyjał mi ciągle; nazajutrz rano w śnie i śniadaniu smaczném nabrawszy sił nowych, ruszyłem gościńcem ku *Grudziądzowi*, po nad Wisłą; na przeciwnym jej brzegu, przy ujściu rzeki Czarnéj, pokazał mi się zamek i miasto *Swiét* na górze; było kiedyś warowne: założone przez Świętopelka księcia pomorskiego, około roku 1242, kolejno w ręku Krzyżaków i Polaków zostające, wzięli go i spalili Szwedzi w r. 1656. Dziś jest w niém klasztor ks. Bernardynów, fabryka pończoch i obrusów, i mieszkańców dwa tysiące. Kiedy wiosna ubierze te góry, doliny, zarośle, w swój strój świeży i nadobny, okolica to czarująca; w zimowéj odzieży nie tyle ma wdzięków. Grudziądz jest opasany rowem, oprowadzony murem, z odmianą taktyki wojennéj przestał być warowném; Krzyżacy go wystawili w roku 1299, na miejscu zameczka Gródkiem zwa-

\*) Stanisław Hozyusz kardynał i biskup warmiński, umarł 1579 roku. Był penitencyaryuszem papieżkim i prezydentem Soboru trydenskiego. Wiele jest pism jego religijnych, a księgi te po łacinie zwykle pisane, na francuzki, angielski, niemiecki i polski język były tłómaczone. Puławy posiadają mnóstwo jego oryginalnych listów do króla polskiego Zygmunta Augusta.

nego; było to miasto miejscem zjazdu Stanów Prus Królewskich, i z położenia swego handlowne. Rzeczka, która wody do oblania go dostarcza, jest chlubna dla nas *Ossa*. Nigdy nie zapomnę, jak przed laty umyślniem z kilku towarzyszami z Królewca do Grudziądza się wybrał, a stanąwszy nad tą rzeczką, czytałem na głos poważnie, te z kroniki Kromera tłómaczonéj przez Błażowskiego słowa: „Bolesław Chrobry zamki krom wszelkiéj trudności bierze, pali wsie i miasteczka. Miast albowiem nie wiele, i to przyrodzoną miejsca obroną mają Prusowie. Przetoż w lasy i bagniska błotne na pierwszy wstęp wojska nieprzyjacielskiego pokryli się, z których wyglądając gdy pustoszenie kraju zobaczyli, miłosiernie od króla pokoju żądają i otrzymują; podatki wszelakie składają, i co rok składać onego czasu obiecują. Wraca Bolesław i bije słupy w Ossie.“ I teraz obaczywszy tę rzeczkę stanęły mi w pamięci te słowa, powtórzyłem je z dumą, i znowu błogosławiłem wspomnieniom...

O ćwierć mili za miastem, ze strony północnej na spadzistych górach, leży forteca Grudziądz, olbrzymie dzieło Fryderyka Wielkiego. Tam ani dawniej, ani teraz nie byłem, bo wstęp do niej trudny i nie każdemu wolny; trzeba tuż pod nią podejść, ażeby ją widzieć. Miasto *Grudziądz* ma postać starożytną, ulice widne, kamienice wysokie; wspinały jest gmach kolegium jezuickiego, teraz obrócony na szkołę; w tém mieście urodziła się kobiéta auterka, Elżbieta Bohr, żona ławnika: na początku zeszłego wieku pisała pieśni kościelne polskim językiem i wydała je w Gdańsku. Już zmrokiem zaszedłem do *Kwidzyna*; nie było jeszcze widno gdym wyszedł z niego; zatém ani mi nic nie przypominał, ani przedstawił co nowego. Mówił mi tylko gospodarz domu gdzieś nocował, że tu jest teraz mieszkanie rencyi okręgowéj i sądu apelacyjnego.

O dziesiątej godzinie stanąłem w *Sztumie*; małe to miasteczko ma dawny zamek dokoła od jezior oblany; je-



zior w tej części Prus jest bardzo wiele: w całych liczą ich do pięciuset. Wypocząwszy nieco, puściłem się do *Malborga*; nadzwyczaj rażny i ochoczy: biegnąc prawie z wzgórzka na wzgórek przebywałem te okolice. Właśnie zachodziło słońce, kiedym ujrzał wieże Malborgskie połyskujące się od ostatnich promieni jego, i wnet stanąłem w bramach. Rów głęboki, mur gruby, i z jednej strony jezioro, czyniły tę stolicę Krzyżaków warowną; nie miałem tam z nikim odnawiać znajomości, nowych zabierać mi się nie chciało; już było zbyt późno żeby zwiedzać sławny i ogromny zamek, udałem się więc prosto do zajezdnego domu: tam, nie mając znowu co robić, a chcąc skrócić wieczór tak długi dla samotnego próżniactwa, posiliwszy się nieco, padłem na myśl wystawienia w krótkości dziejów zakonu, którego pamięć, cała ta część Prus, a zwłaszcza *Malborg* jako stolica jego, nieustannie umysłowi przedstawiają; wreszcie Krzyżacy tak wielki wpływ mieli na Polskę, że obchodzić muszą Polaka. Po odebraniu z rąk Saracenów Ziemi Świętej, przez Baldwina króla Jerozolimskiego, chrześcijanie postanowili w niej kilka bractw i zgromadzeń pobożnych, których powinnością było przychodzić do Grobu Pańskiego, a osobliwie chorym i rannym usługiwać; w potrzebie zaś dawać odpór nieprzyjacielowi Palestynę najeżdżającemu.

Takiemi były bractwa miłosierne i zbrojne (zarazem Kawalerów Kościelnych *Templaryuszami* zwanych, i Kawalerów Śgo Jana Jerozolimskiego, później Maltańskich. Na ten wzór zapatrując się Niemcy, którzy pod cesarzem Fryderykiem *Rudobrodym* do Ziemi Świętej zaszli byli, dla wygody rodaków, w Akrze czyli Ptolemaidzie szpital i kościół założywszy, ustanowili r. 1190, Bractwo kawalerów Szpitalnych pod obroną i zaszczytem Matki Zbawiciela. Henryk VI cesarz i papież Celestyn III, nie omieszkali tak pobożnego związku pochwalić; nadali mu też same co

dawniejszym przywileje, nadto gospodę w Jerozolimie, na górze Syonu, a za ubiór *habit* biały z czarnym krzyżem, od którego *Krzyżakami* ich nazwano. Pierwszym ich mistrzem był Henryk *Walpot* z Gassenheimu, za czwartego Hermanem *Salc* zwanego; gdy niewierni opanowali na powrót Ziemię Świętą, całe Bractwo przeniosło się naprzód do Wenecyi, potem do Hessyi, gdzie w mieście Marburgu stolicę założywszy, od wielu monarchów i książąt znacznymi włościami i nadaniami obdarzeni zostali. Wkrótce ten zakon tak wzrósł w liczbie i w sile, tak się do niego najpierwsza młodzież niemiecka cisnęła, że w r. 1222, za panowania Leszka Białego, Konrad książę mazowiecki, nie mogąc się oprzeć ustawicznemu od dzikich i pogańskich Prusaków najazdom, wezwał ich na pomoc. Niebaczny! nie przewidywał przyszłości! Przybyło najprzód czterdziestu, później przeszło tysiąc braci, pod dowództwem Hermana *Balke*, od głównego ich mistrza, mistrzem prowincjonalnym mianowanego. Konrad osadził ich na pograniczu Prus, nadając im ziemię Chełmińską; oni zaś takimi zobowiązali się obietnicami: mieli orężem granice Polski od napadu Prusaków osłaniać, podbijać nawet ich kraje, i z Polakami na połowę dzielić zdobycia; mieli także jako kapłani i zwoleńnicy Boga prawdziwego, uczyć Wiary Świętej balwochwalczych jeszcze Prusaków.

Taką była umowa, lecz jakże jój dotrzywali! Z obrońców Polski zostają jój nieprzyjaciołmi; Prusaków nawracają mieczem, wytepiają całe pokolenia. Ich władza, ich okrucieństwo i niewiara coraz się powiększa; roku 1237 łączą się w jedno z Kawalerami Mieczowemi z Inflant; roku zaś 1309, cały Zakon przenosi się z Niemiec do Prus, i tam już główne i jedyne ma siedlisko; w Malborgu czyli w Maryenburgu stolicę swoją zakłada; mistrz prowincjonalny (ostatnim był Henryk *de Plotzke*) za przybyciem wielkiego mistrza Sygifryda *de Feuchtwangen*, pisze się komandorem

wielkim; a tak wszystkie ogniwa sił i potęgi swojej w jeden i zbliżony łańcuch skupiwszy, przywłaszczają sobie Pomorze, ziemię Michałowską i Dobrzyńską; pomimo nakazów papieża nie zwracają tych zaborów Polsce; waleczyć muszą Polacy z tymi, którzy ich bronić mieli; i zwycięstwo Łokietka pod Płowcami nie wydziera im nawet ich zdobyczy.

Przezorny ten król, upatrując wielkie niebezpieczeństwo dla Polski z wzrostu tego zakonu, szuka związku z pogańską jeszcze lecz odważną Litwą, żeby mu stawić zapórę; pokój lubiący syn jego, woli drogą sojuszów odzyskać Dobrzyńską ziemię, zrzec się innych, byle krwi przelewu uniknąć. Ale zuchwałość tego zakonu przechodzi miarę za Władysława Jagiełły: wielki mistrz Ulrych *Jungingen* zwywany na obrządek chrztu małżonka Jadwigi, nietylko przybyć nie chciał, ale nadto z całych Niemiec ogromne siły, 150,000 ludzi wynoszące, na zawojowanie Polski zebrał. Jagiełło wezwawszy na swą pomoc walecznego Witolda, odważną Litwę, Ruś, i śmiałych nawet Tatarów, osiadłych już w Litwie lub z nią sprzymierzonych, potężne ze swojej strony wystawił wojsko; zdawało się że Zachód z Wschodem idzie w zapasy. Spotkały się te hufce niezmierne dnia 15 Lipca 1410 r. na polach między Grunwaldem i Tannenbergiem \*). Niemcy, uzbrojeni w pancerze, z szyderstwem przystępowali do boju z lekką jazdą w strzały i włócznie najwięcej opatrzoną; przysłali nawet naprzód jak wszystkim wiadomo, dwa miecze, dla Jagiełły jeden, dla Witolda drugi, aby się mieli czém bronić; ale to ich naigrzanie ukarane zostało: pobici zupełnie, 50,000 legło trupem na pobojowisku, 40,000 dostało się w niewolę, 300

---

\*) Nazwiska te oznaczają las zielony i górę jodłami pokrytą; i dziś jeszcze blisko pola bitwy jest las i jodły.

osób celniejszych znamion wojskowych i sam wielki mistrz Krzyżacki, 51 komandorów zginęło.

Tak wielka przegrana ukłóciła nieco dumę tego zakonu, pokonać go jednak, wygasić chciwość, przerwać skryte i zdradzieckie zabiegi nie potrafiła. Przez lat dziewiętnaście ciągnęli jeszcze prawie nieustanną walkę; zabrał im wprawdzie Jagiełło część znaczną Prus i Pomorze, ale trzymali się Krzyżacy w swoim Malborgu i w innych zamkach i upokorzeni lecz niezwyknięci, rozejm z nim zawarli. Ale mieli Krzyżacy potężniejszego od zbrojnych nieprzyjaciół wroga: nim był każdy Prus mieszkaniec. Równie bowiem źli panowie jak sąsiedzi, dręczyli, uciemieźali nieszczęśliwych poddanych; nazywał ich lud *Krzyżownikami Krzyżującemi*; a nareszcie znieść nie mogąc dłużej ich rozpusty i ucisków, Stany Pruskie zjechawszy się do Torunia, d. 14 Lutego 1454 r., wypowiedziały posłuszeństwo wielkiemu mistrzowi Konradowi *Erlichshausen*, i wysłały poselstwo do króla Polskiego Kazimierza Jagiellończyka, poddając mu się pod pewnemi warunkami, które on wszystkie przyjął. Na tę wieść Krzyżacy wzięli się do oręża; popłynęły krwią rzeki pruskie, okryły się pola stosami rozwalin i trupów; w przeciągu jednego miesiąca pięćdziesiąt sześć zamków zakon postradał; chwycił się wtedy nieraz już używaną przez siebie broni, a chcąc dzielnie odeprzeć opiekę używaną Prusakom, podskarbiego z 50,000 sztuk złota do Krakowa posłał. Nie dał się pokonać senat staropolski; dobro ojczyzny nad blask kruszcu przenosząc, nowe posiłki Prusakom posłać umyślił. Król, zacna jego małżonka Elżbieta, trzech królów naszych, Jana Alberta, Alexandra i Wielkiego Zygmunta matka, wielu panów tak duchownych jak i świeckich, własne skarby poświęcili, i ciągnęła się wojna z Krzyżakami przez lat kilkanaście odmienną koleją. Padło ofiar niezliczone mnóstwo; ten okropny wojny towarzyszył: zniszczenie tak było wielkie, iż zwłaszcza w ziemi



Chełmińskiej żadna wieś nie pozostała; wołu, konia, owcy, nikt tam nie obaczył; z dwudziestu jeden tysięcy wiosek w Prusach i na Pomorzu będących, trzy tysiące tylko ocalały, a dwa tysiące kościołów częścią spalono, częścią zburzono. Takie to okropne skutki ciągną za sobą niesprawiedliwość i uciemężenia!...

Nakoniec r. 1466 d. 19 Października, za pośrednictwem Rudolfa legata papieżkiego, stanął w Toruniu pokój. Mocą jego dostała się Polsce cała część zachodnia Prus, wschodnią tylko Krzyżacy otrzymali i to lennem prawem. Hołdownikami Polski będąc, pod jej opieką, każdy nowy wielki mistrz w pół roku po wstąpieniu na ten urząd, przysięgę wierności wykonać jej królowi był obowiązany, i ponawiać ją jego następcy. Taką przysięgę wyrzekło z kolei siedmiu wielkich mistrzów; wykonał ją jeszcze ostatni, Albert książę Brandeburski, siostrzeniec Zygmunta I, który zrzuciwszy suknię krzyżacką, przyjął nową religijną reformę, a Prusy Wschodnie pod imieniem Księstwa Pruskiego, lennem prawem od Zygmunta Augusta dla siebie i potomków swoich otrzymał. Dwóch jeszcze po nim książąt pruskich oddawało ten hołd królom naszym, trzeci Fryderyk Wilhelm uwolniony od niego został, a później?... Taka to smutna i odmienna rzecz ludzkich kolój!... ach! coraz więcej błogosławieństw wspomnieniom...

Ale cóż się z Bractwem Krzyżaków stało? jedni idąc za przykładem wielkiego mistrza, jako świeccy, w Prusach zostali; drudzy, nie przyjąwszy religijnej reformy, uszli do Niemiec obrawszy sobie za naczelnika Waltera de *Cronberg*, i tam przytułek znaleźli; w r. 1538 dozwolono ich mistrzowi miejsca po arcybiskupach na sejmach Rzeszy Niemieckiej i trwało to bractwo, dopóki czas, ten powolny wszech rzeczy niszczyciel, nie rozprzął go zwolna; w naszych nieszczęściach zostały się najdzielniejsze jego istnienia ślady... Mając umysł Krzyżakami zajęty, nazajutrz

z wielką ciekawością poszedłem zwiedzać zamek Malborski, w którym przez lat tyle wielcy ich mistrze i cała starszyzna przesiadywali. Jużem go dawniej znał, ale tak jest ogromny, zadziwiający, iż nie zawadzi po kilka razy go widzieć. Równie wielkiego, trudno gdzie zobaczyć; mocno był warownym, mur, Nogat (ramię Wisły), jezioro, rowy, otaczają go i teraz, dawniej bronily; prócz dwóch bram przeciwko sobie ległych, nie ma do niego wejścia. Niegdyś wspaniałym być musiał i dziś bardzo poważny, lubo opustoszał, bo na skład był użyty. Dowiedziałem się jednak, że gorliwe o zachowanie starożytności Pruskich Towarzystwo, wsparte pomocą następcy tronu, zajmuje się przywróceniem tej niepospolitej budowy do dawnego kształtu i piękności \*).

Jakby dobrze było, gdyby i u nas zawiązało się podobne, gdyby ocalało owe szczątki naszej wielkości, rozrzucone po krainach naszych; bo niedługo i chlubnych rozwalin nie stanie!... Ale nie chciałem i na ten raz przestać na powierzchowném obejrzeniu Malborskiego zamku, umyśliłem zwiedzić go wewnątrz. Przeszedłszy most i bramę, wszedłem najprzód do kaplicy zamkowej: jest ona jak mały kościółek, więcej długa niż szeroka, przy ołtarzu najjaśniejsza; im dalej od niego, tém ciemniej; jeśli umyślnie tak stawianą była, w celu by ołtarz równać z Tym któremu poświęcony, to myśl budowniczego była tkliwą i prawdziwą, bo im bliżej Boga, tém jaśniej—im dalej tém ciemniej... Wielcy mistrzowie siadywali dosyć daleko od ołtarza, na chórze, gdzie po kościołach zwyczajnie organy bywają; inni zaś Krzyżacy na dole w siedzeniach przegradzanych z drzewa dębowego. Nie

---

\*) Jak wiadomo, *Listy* z których szczegóły miejscowe tego opisu czerpane, w r. 1819 pisane były; od tego czasu zamek Malborski przywrócony został do pierwiastkowego stanu i świetności. Przeznaczony jest teraz na wielkie zgromadzenia publiczne lub urzędowe. *P. W.*

pamiętając już dobrze jak się dalej obrócić wypadało, udałem się do dozorca Zamku, prosząc by mi dał przewodnika; wyszedł do mnie z latarką w ręku, przypomniałem sobie że słuszną była ta przezorność; zdało mi się że już jestem w tych podziemnych lochach, i tam się trzymam trwożnie mdłego światelka od świecy, jak niegdyś Tezeusz nitki Aryadny. Ale zamiast w dół ciasnemi wschodami, szliśmy coraz wyżej w górę; ukazała nam się nakoniec sala obszerna; słońce biło w okna, przy promieniach jego nikło latarni światło. Był to *Kapitel*, gdzie wielki mistrz, komandory, bracia, na obrady się schodzili. Całe sklepienie na jednym filarze oparte; rzecz dziwna i tém dziwniejsza, że ten filar u dołu bardzo jest cienki; im wyżej się wznosi, tém grubszy. Ileż tu w téj sali uknowanych na Polskę układów!... Zwiedziłem potém łaźnię wielkich mistrzów. „Na próżność się tu obmywał, Henryku *Flawen*, pomyślałem sobie; nie zgładzi woda znamion występku, zostają na zawsze dla innych przykładu!“ \*).

Przechodziłem następnie górą i dołem po prawdziwym labiryncie pokojów; zesliśmy naostatek do sali znacznej wielkości, więcej kształtu podługowatego niż szerokiej; sufit jój na trzech filarach podobnych wzwyż wspomnianemu spoczywa. Była ona salą jadalną Krzyżaków. Nie mieli w niej ani pieca ani komina; ogrzewano ją z dołu: pod posadzką był piec ogromny, w którym się raz na tydzień paliło; ale téż jak wieść niesie, po kilkanaście wozów drzewa razem wkładano. Iluż te ściany uczt, biesiad, niememi świadkami były! Mistrzowie krzyżaccy do niezmiernych bogactw przyszli, i bardzo zbytkowali; jeden z nich *Konrad Wallenrod* tak był możny i hojny, że wczasie wyprawy przeciw Litwie, książętom niemieckim, którzy mu towarzyszyli, tyle puha-

---

\*) Henryk Plawen 24-ty mistrz krzyżacki, złożony z urzędu dla gorszących obyczajów r. 1413.

rów srebrnych i złotych rozdawał, ile oni ich spełnić zdołali; a wiadomo, że nie źle w owych wiekach pijano.

Nad tą salą w górze jest ciasna komórka, niegdyś miejsce kary lekkich tych zakonników przewinień. W nią osadzano przestępców o chlebie i wodzie; ku większemu zaś umartwieniu swemu, winowajca widział biesiadników, musiał nawet patrzeć się, jak bracia jego jedli i pili; zapachy potraw i napojów skupiały się koło niego, a on oczy i węch pasł przysmakami, których jak drugi Tantal pożywać nie mógł. Do malowania byłby dla pasibrzuchów obraz podobny. Z sali jadalnej zeszlśmy na dół do ciemnych lochów. Tu nam latarka się przydała, tu dopiero jaśniała świetnie; bo dla małych świateł ciemności potrzeba. Te lochy nie idą zbyt głęboko w ziemię, zalewałaby je woda; różnie z sobą poplątane, dwie tylko w nich nadybałem pamiątki, obie okrutne. Miejsce kary gdzie występnych z bractwa zamuroywano żywcem, i jamę, w przepaść idącą, w którą wielkich winowajców wrzucali. Gmach ten oprócz mieszkania Krzyżaków i mistrza, obejmował ich zbrojownię i zapasy w licznych piętrach i salach sklepionych.

Prócz zamku, Malborg nie wiele ma ciekawości; ratusz z tego jedynie przyjemny, że w nim są wizerunki królów Polskich; a zresztą całe miasto ma tylko jedną ulicę miasta godną; ale za to jest w niém szkoła dziewcząt. O dziesiątej godzinie puściłem się w dalszą drogę; już też dobrze było ciemno, gdy u celu na ten dzień naznaczonego stanąłem. Wędrowałem przez *Żuławy*, a lubo ta kraina tak żyzna i urodzajna, iść przez nią samemu wcale nie zabawnie. Może też być, że ja już byłm kilkodniową przechadzką strudzony, może nie dobrój myśli, i dla tego *Żuławy* mi się nie podobały; często winujemy miejsca, osoby, że nudne, nieprzyjemne, a te całe nudy i nieprzyjemność w nas samych spoczywają i nosimy je wszędzie z sobą. Tak musiało być ze mną dnia tego, bom jeszcze nigdy nie doznał tak uciążliwej podróży.



Ale bo téż i Żuławy są tak jednostajne; jest to równa płaszczyna od zalewu bliskiego *Fryszhafu* groblą osłonią, rowami porznięta; nie ma na niej pagórka, na którymby oko przyjemnie spocząć mogło; gościńce nie proste, nie ujeżdżone, wielka na nich pustynia i głuchość: wrony tylko krakały po polach śniegiem okrytych, i odbywały sejny swoje. Niekiedy rozerwał mnie *Gbur* wożący nawóz na rolę, a raczej konie jego, bo są tak jak i bydło rosłe, mocne i piękne; układ zaś człowieka fizyczny równie jak moralny w tych stronach jest od przyrodzenia zaniedbany. Człowiek podobny tu do bryły marmuru, której snycerz nadał już obraz ludzki, ale jeszcze tego podobieństwa nie okrzesał i nie wygładził. Dla tego téż napróżnoby tu szukać zgodnej harmonii w członkach, zwinności lekkiej w ruszeniu, rozumu w rysach twarzy, przymilenia w oczach, uśmiechu w uśmiech. Kobiety nie mają nawet nic ujmującego; cała ich postać niezgrabna, twarze szerokie, bez wyrazu, gęby wielkie, wargi grube, lica bardziej ciemno-czerwone niż z blada rumiane. Najulubiejszy kolor kobiet jest czerwony; zaczęm poszło, że wszystko co czerwonym, jest w modzie. Odzież kobieca po większej części tego koloru, i wszystko co się ma podobać i być pięknym, musi być czerwonym. Szły dzieci ze szkoły z jedną wioski do drugiej. Przyłączyłem się do nich, wdałem się w rozmowę; zgadywałem lekcyce które mieli, czego się uczą? czyniłem różne pytania, ale w odpowiedziach nie spostrzegłem najmniejszej iskierki dowcipu, albo przynajmniej prostoty dziecinniej; więcej niż kiedy przekonałem się, jak wielki ma wpływ położenie kraju i powietrze, na ukształcenie ciała i duszy człowieka.

Lecz może te same niekorzyści dla umysłu i kształtu ludzkiego, czynią Żuławy niezmiernie urodzajnymi. Bliskość Gdańska i Elbląga, ułatwia zbywanie zboża, wczasie kiedy najdroższe. Wsie wszystkie murowane. *Gbury* (bo tak Polacy nazywają tamecznych, i w ogólności wszystkich pruskich

chłopów) mają się dobrze, pijają kawę; ale ponieważ nieokrzesani i niegrzeczni, dali powód do tego, iż w Polsce im podobnych nazywają *gburami* czyli *grubianami*. Żniwa są u nich nad wyraz obfite, lecz wielki niedostatek robotnika; z Polski wychodzą do nich ludzie na zarobek. Z mojej wędrówki przez Żuławy, kilka tylko pamiętam rozsądnych słów, chociaż rozmawiałem z każdym co mi się nawinął. Kiedym zbłądził i puścił się inną drogą jak należało, jadący w przeciwną stronę człowiek, z którym mówiłem był pierwój, wiedział dokąd szedłem: wrócił się o parę staj, powiedział mi że nie dobrze idę, nauczył jak iść mam. I między najoświecenijszymi nie często podobna przysługa oddaną bywa; śmieją się gdy kto błądzi, palcem go wytykają, a nie naprowadzą na dobrą drogę.

Dochodząc zaś do wsi jednéj, wpadł mi w oczy dom piękny, na dwa piętra wysokości; z nim stykające się obszerne i porządne zabudowania, ogród dosyć wielki: przed domem czerwono pomalowane sztachety i czerwone okiennice. Napotkawszy kobietę z szaflem śniegu idącą, ptałem się: Jak się zowie ten Pan co tu mieszka?—Pan? tu Pana nie ma.—A do kogóż ten dom należy?—Do Gbura, i w całej téj wsi mieszkają jedni Gburzy.—A wieleż on ma pola?—Włók dwadzieścia cztery, a inni różnie, po cztery, ośm dziesięć. Taka zamożność chłopą, w Polsce teraz dziwną się wydaje; w Prusiech tak jest zwyczajna, że oswoić się z nią można; ale bo téż tu włościanin jest zupełnie od poddaństwa uwolniony, i albo zupełnie właścicielem gruntu, który uprawia, albowi téż wypłaca się z niego.

Jednak i tu widziałem ubogich, bo gdzież ich nie ma? O mil trzy od Malbarga, nie pewny drogi, dochodząc do wsi jednéj usłyszałem głos rozmawiających w stodole; idę do nich, pytam się, odpowiadają mi. Jeden człowiek w nędznej bardzo odzieży zrzucił snopki z sąsięka, pomagała mu kobieta, a mężczyzna porządnie ubrany przechadzał się powa-

źnie z fajką w ustach. „Ale jak widzę, powiedziałem, ludzie tu mają się dobrze, i są bogaci.—Tak, nie źle! odpowiedział mężczyzna palący tytuń; lecz wyrzucający snopki, szepnął: „Nie wszyscy!“ i westchnął tak głęboko, że mi to jego westchnienie długo obecnem było. Ubóstwo nigdy więcej oczu i serca nie razi, jak kiedy je pracującym obok próżnującego i nieczułego dostatku widzimy....

...Stałem nakoniec u kresu pożądanego Żuław, ujrzałem *Elbląga* wieże, za nim wzniosłe wzgórza; podwoiłem kroki, lecz nigdy pośpiech nie był mniej spory: leniwo mijały śnieżne łąki po lewej ręce, i śnieżne niwy po prawej. Płaszczyzna wystawia przedmioty bliżej niż są w istocie.... zniecierpliwiony niespornością drogi, nie podnosiłem oczu, patrzyłem jedynie przed sobą, i rad byłem kiedy mi wiatrak lub inny przedmiot zasłonił *Elbląg*. Chciałem, żeby on znała stanął tuż przedemną, lub żebym niespodzianie ujrzał się w pośród jego murów. Ale napróżno czekałem téj przyjemności; ściemniło się, i nie widząc nic przed sobą, stanąłem dopiero na miejscu. O! jakże to często i w życiu się zdarza: czekamy długo jakiej przyjemności, samém tém oczekiwaniem utracą ona swą wartość, i nareszcie nadchodzi tak późno, że jój już użyć nie możemy ...

*Elbląg* był dawniej warowny, widać to po ostatkach murów, które go opasywały: jest w bardzo przyjemnem położeniu, na kanale *Krafurtskim*, i nad rzeczką *Elblążką*, która z jeziora *Drausen* wypływa, a do *Fryszhafu*, odnogi morza Bałtyckiego o milę odległego, wbiega. Do dzisiejszego dnia bardzo handlowy, był nim oddawna; w wieku XV, już do związku miast *Anzeatyckich* należał, a w roku 1577 *Stefan Batory*, rozgniewany za rozruchy na *Gdańszczan*, o mało co ich miastu pierwszeństwa handlowego, dla *Elbląga* nie odebrał. Już w tym celu posłał *Firleja* kasztelana wileńskiego, do miast *Anzeatyckich*; komisarzy wyznaczył, aby szukali sposobów uczynienia portu *elbląskiego* dogo-

dniejszym; ale Gdańszczanie upokorzyli się, przyjął ich król napowrót do łaski swój, i Gdańsk został przy pierwszeństwie. Pamiątka i dowód odwiecznego handlu Elbląga, jest w licznych i ogromnych śpichlerzach jego; służą one i teraz za składy towarów, bo okręty wcale nie zaniechały tu przyplwać; prawda, że tylko pomniejsze, gdyż wielkie nie mogą przychodzić dla płytkości Fryszhafu: Elbląg ma swoich własnych czterdzieści.

To miasto pięknie bardzo jest zabudowane, jego ulice regularne, zamożnym się wydaje; ma do 20,000 mieszkańców; lecz chociaż nie ustępuje innym pruski miastom w dawności, nie ma bynajmniej starożytnej postaci: co dawnych czasów sięgało, to albo niszczało zaniedbaniem, albowi też na nowy kształt przerobiono. Pozostało przecież kilka dawnych kościołów; *kolegium* po-jezuickie dziś jest *gimnazjum* luterskiem. W jego bibliotece widziałem wiele dzieł polskich pisarzy, szczególnie dziejopisów. W nowsze dzieła nie obfituje: ciekawsze za to ma zbiory monety polskiej i pruskiej, od najdawniejszych czasów porządkiem lat ułożone; widziałem liczne w tym przedmiocie rozprawy jeszcze w rękopismach. Zdaje się, że moneta mocno zajmowała uwagę tamecznych uczonych. Gdyby przeto kto z Polaków podjął się zupełnego wyjaśnienia historii pieniędzy w Polsce, radziłbym żeby nie zaniechał tych źródeł; tamby może jako i u wszystkich Prusaków i Niemców, należało nam Polakom uczyć się, jak ich używać?

Gabinet historii naturalnej nie zaleca się ilością przedmiotów, niektóre jednak rzeczy są rzadkie... Godniejszym widzenia mi się wydał *Dom roboty* czyli szkoła do uczenia i utrzymania ubogich; bo wyznam, iż nierównie więcej zajmują mój umysł najpospolitsi ludzie, jak najrzadsze zwierzęta. Do tego domu, który wart naśladowania, przyjmują sieroty i dzieci ubogie płci obojęd; chłopców posyłają do szkoły, i według skłonności oddają ich potem do handlu



albo do rzemiosła; zdutniejszym ułatwiają wyższych nauk nabycie. Dziewczęta uczą się pisać, czytać, rachować i robót ręcznych kobietom potrzebnych; wydają je nawet ztamtąd za mąż. Jest nad tym prawdziwie dobroczynnym zakładem dwóch przełożonych: jeden ciągle przy nim mieszkający, któremu powierzony zupełny dozór; drugi mający wyższe zwierzchnictwo, a tym jest dziś pan *Kraus* radca miasta, człowiek światły i grzeczny. Oprowadzał mnie po izbach. Wszędzie widać było ochędostwo, porządek, a w ułożeniu i w mowie dzieci przywoitą śmiałość, i prawdziwą swobodę. Ten dom podobno jeszcze w końcu XVI wieku, przez senat elbląski założony, utrzymuje się najwięcej z dobroczynnych ofiar; jeden z mieszczan tamecznych niedawno na jego wsparcie znaczną sumę testamentem przekazał; skarbonka jest przy drzwiach: przejęty użytecznością tego zakładu, wsunąłem w nią com tylko miał pieniędzy przy sobie, i nigdy mi jałmużna milszą się nie wydała; dałem może nad możność moję: przyrzekłem sobie za to, nic nie dawać przez rok cały natrętnym żebrakom ulic stolicy, choćby mnie jak najmocniej ciągnęli za suknie i piszczeli nad uszami...

Drugiego dnia porzuciłem Elbląg, ale już pocztą; lubom zamierzył iść pieszo aż za Królewiec, Żuławy mnie zraziły. Wyjeżdżając z miasta, zastanowiła mnie góra jakby usypana, okrągła, śpiczasta i dosyć wysoka. Pytałem się o jęj przeznaczenie? Powiedziano mi, że na nięj stały szubienice, i złoczyńców wieszano. Spiesznie i z wstrętem odwróciłem oczy od widoku hańbiącego imie człowieka, bo jakże gorzko pomyśleć sobie, że występek uczynił podobne miejsca i kary koniecznie potrzebnemi... Starąłem się oddalić te przykre myśli: wołałem cieszyć się zdobyczą, którą wywoziłem z Elbląga. Byłyto obrazy osób historycznych, olejno malowane, jako to: Zygmunt III, żona jego Konstancya, wjazd uroczysty Władysława IV do Elbląga, Jan

Sobieski, dobrego pędzła robota, Stanisław Leszczyński August II: wszystkie nabyte w celu zbogacenia jeszcze drogiego skarbu starożytności w Puławach. Nabycie obrazu *wjazdu Władysława* z największą przyszło mi trudnością, właściciel po długich namowach oddał go ze łzami; z prawdziwą przykrością rozstawał się z pamiątką rodzinnego miasta. Jest niezawodnie urok jakiś do rzeczy ojczystych przywiązany, i biada twardemu sercu, nad którym on nie ma wpływu!... Tak myśląc, pośpieszyłem przez okolice wdzięczne nawet choć w niewdzięcznej porze, przez wzgórza, doliny, lasy, wsie zamożne, aż w końcu wjechałem na piaski *Frauenburga*. Podobne były koło Torunia, gdzie się wielki Kopernik urodził, między takimiż spoczywają zwłoki jego. Uderzony tém podobieństwem, jak niegdyś *Horacy*, znalazłszy na brzegu matyńskim zwłoki *Archity*, matematyka, z morza wyrzucone, dumął nad niemi; tak i ja toż samo jego marzenie, myśląc o Koperniku, przywiódłem sobie na pamięć; przytaczam je tłómaczone przez Naruszewicza:

Tyżto, coś dawniej dziełem cudnej łaski,  
 Bystry Ocean, (któżby temu wierzył?),  
 I ziemny okrąg i niezliczne piaski,  
 Dowcipny gwiazdarz, Archito, pomierzył?  
 Dziś, nędzny topień, a wiatrom igrzysko,  
 W troszę lichego masz prochu łożysko?  
 Małość pomoże, widzę, gdy umierać,  
 Znikoma dola biędnym ludziom każe,  
 Wartkim się w niebo aż umysłem wdzierać;  
 A jednym biegi, drugim czujne strażę,  
 Gwiazdom rysując, mieć na swe skinienie,  
 Co tak wysoko wzniosło przyrodzenie.

Niezaprzeczonej prawda! bo jakaż nauka, jaka wielkość człowieka od śmierci ochronić potrafi? ci nawet co z zachowania życia i zdrowia wyłączne sobie zatrudnienie uczynili, umierają zarówno z temi, którzy się na tej sztuce bynajmniej nie znają.... Nic nas śmierci wydrzeć nie może; w mo-

cy jest tylko człowieka, cnotą i sławą duchowi i imieniu nieśmiertelność zapewnić: tak uczynił Kopernik, a ja to sobie wspomniawszy, już bez smutku na grobowe jego miasto patrzyłem. Frauenburg ciągnie się nad Fryszhafem, pod górą wysoką, na której stoi kościół; widać go z daleka, z nim stykają się albo raczej opasują go dawne pomieszkania duchowieństwa. Wchodząc w ich obręb, przechodziłem przez bramę, nad którą stała wieża; w niejto Kopernik wyrzekł: *Stój Słońce!* i stanęło. Do téj wieży prowadził z mieszkania tego wielkiego męża, ganek na cztery sążnie długi; lecz już zrzucony. Miejsce to, gdzie Kopernik tyle nocy strawił, i z niebem tak blizkie miał stosunki, bardzo źle utrzymane, i najsmutniejszym sposobem ziemię przypomina; na dole więźnie osadzeni, kajdanami brzęczą: Toruń jakże odmiennie czci pamięć swego współobywatela? więcej znajduje przychylności komu słońce pierwszy raz weszło, niż gdzie mu zachodzi. Szczęśliwy ten, który na łonie rodziny, między swemi głowę położył!... Z téj wieży widok wspaniały, daleki; ziemia i morze jakby na dłoni, niebo nawet podwójne: jedno od góry, drugie odbijające się na dnie spokojnego Fryszhafu. Mógł się go napatrzeć Kopernik, i rzeczywiście, i w powtórzeniu; jak twarzy ukochanej osoby, którą choć żyjącą widzimy, przecież lubimy powtórzyć jój rysy na płótnie lub kości.

W owym kościele, na górze po prawej stronie wielkiego ołtarza, złożone są zwłoki Kopernika, tymże obrządkiem co innych kanoników. Prosty kamień, na płask położony jest mu nagrobkiem, zakryty w części marmurowym gankiem; napis na nim zatarty, nieczytelny. Miał być w ścianie drugi, który Kromer biskup warmiński w roku 1581 położył, ale nie wiadomo co się z nim stało? Dziś, gdyby nie wizerunek Kopernika nad jego grobem na filarze zawieszony, nieby go w tym kościele nie przedstawiało. W r. 1802, Tadeusz Czacki, przedsięwziąwszy drogę dla zebrania pa-

miątek zgasłej ojczyzny, otrzymał pozwolenie zdjęcia kamienia i otwarcia grobu; znalazł w nim nadgniłych kości kawałki, i z tych cząstkę jedną złożył w świątyni Sybilli, a tak przynajmniej garstka popiołów Kopernika zniszczeniu wydarzą została.

Kościół ten jest wspaniały: widziałem w nim wizerunki rycerzy zbrojnych w kamieniu wykutych, widziałem w niektórych ołtarzach piękne obrazy roboty włoskich malarzy; była tam i udatna kaplica, miejsce czyjegoś grobu, ale mój umysł tak się znowu zajął Kopernikiem, żem na nic innego pilnie uważać nie mógł. Jego pamięcią przejęty, wyszedłem z kościoła, rzuciłem jeszcze raz okiem na tę wyborną budowę: wzrok mój zatrzymał się na kompasie; powiedziano mi, że był dziełem Kopernika. Słońce świeciło jasno, pokazywał na godzinę trzecią po południu; nastawiłem podług niego mój zegarek: szedł tak przez dwa tygodnie, nie odmieaniałem chociaż się o kwadrans śpieszył, dopóki wieczór kiedyś go nakręcić zapomniał, nie zniszczył téj mojej pociechy. Jest jeszcze w Frauenburgu owa sławna machina, którą Kopernik wodę na górę ściągnął; pokazywał mi ją, i oprowadzał mnie wszędzie ksiądz kanonik Szujski, potomek znakomitój tegoż nazwiska rodziny. Zaprosił mnie do swego domu i z prawdziwie polską przyjął gościnnością. Widziałem tam piękny obraz sławnego Krasickiego. Ksiądz Szujski chowa go z wdzięczności dla tego wielkiego pisarza, u którego odebrał wychowanie; spełniliśmy parę kielichów wybornego wina na jego i Kopernika pamiątkę.

W Olsztynie czyli *Allenstejn*, gdzie także przemieszkiwał Kopernik, i miał Gwiazduważnią swoją, nie byłem tą razą, nie chcąc już zbaczać z gościńca; wiem jednak, że mieszkanie jego zajął pastor luterski; że jego poprzednik odchodząc z tego miejsca, wziął z sobą na pamiątkę wiersze przyklepione nad kominem, napisane ręką Kopernika; wiem także, iż był tam nadedrzwiemi, tak zwany *Gnomon* astro-



nomiczny, czyli otwór wykuty do wpuszczania promieni słonecznych, do różnych uwag przydatny, który sobie ten wielki mąż sporządził; przez półtrzecia wieku trwała ta pamiątka, ale dwadzieścia kilka lat temu, niebaczna ręka kilkunastu cegłami założyła to miejsce...

O jedną stację od Frauenburga, przy wbiegu Pasarzy do Fryszhafu jest *Braunsberg*; roku 1225 przez Brunona biskupa założone niegdyś, dla handlu i wygodnego portu do miast Anzeatyckich należąca, dziś nie wielkiem jest miastem. Było tu kolegium Jezuitów, które sławny Hozyusz (co pierwszy do Polski ten zakon sprowadził), założył i uposażył, dziś na seminaryum katolickie obrócone; biblioteka znaczna; zostało dotąd wiele dzieł i rękopism treści teologicznej; inne Gustaw Adolf król szwedzki r. 1626 do Sztokholmu zabrał: dokąd tym sposobem wiele się z Polski piśmiennych skarbów przeniosło.

Na pierwszej stacyi od Braunsberga, zjechałem się z dyliżansem gdańskim. Wiedząc, że równie prędko do Królewca zajadę jak pocztą, a lepiej się zabawię, wsiadłem do niego; była już noc, nie mogłem więc rozpoznać towarzyszków moich, trzeba było czekać cierpliwie poranku. Gościńiec szedł na *Świętą Siekierkę* (Heiligenbeil); nie widziałem jej, to więc tylko nadmienię, co mi się dawniej o niej słyszeć zdarzyło. Powiadają, że za czasów pogańskich na miejscu gdzie to miasteczko stoi, wznosił się dąb ogromny. Pod nim dawni Prusacy cześć bogom oddawali, ofiary palili; latem i zimą nie ustawał on odziewać się zielonym liściem; co jeźli nie bajką, pochodziło chyba od ciepła ognia nieustannie pod nim utrzymywanego. Kiedy bałwochwalstwo ustępowało światłu prawdziwej wiary, chciano ściąć dąb czcigodną pogańską skalany. Wysłano ludzi do zrąbania go. Lecz pierwszy, który topór silną ręką do potężnego pnia przyłożył, trafiony wiórem prosto w twarz, mocno za swoją śmiałość został skaleczony. Co się stało z przypadku, gmin

wziął za ukaranie i przestrogę dla siebie. Dąb ten odtąd nietykany, stał dopóki go wieki nie pokonały, a zdarzenie to, miało temu miasteczku nadać nazwisko Świętej Siekierki. Może to być bajką, ale i bajki miłe gdzie prawdę wieki pokryły...

O wschodzie słońca stanęliśmy w *Brandeburgu* o trzy mile od Królewca. Tu dopiero mogłem zaspokoić długo przetrzymaną ciekawość i poznać towarzyszków moich. Było nas w *dyliżansie* czworo. Jakiś porucznik, dwie kobiety z miejskiego stanu, stara wdowa, panna już nie młoda, i ja. Wyszliśmy wszyscy. Nasze panie i pan porucznik kazali sobie zgotować kawy, jam się napił gorącego mleka, bo nie smakuję w kawie niemieckiej. Wszedłem potem na wyniosły brzeg Fryszhafu. Zmierzyłem przestwór wody oczyma. Niebo było wypogodzone, uciszenie wiatrów. Na dole słyszałem fale zwolna uderzające o kawałki lodów na brzegu; w oddaleniu widziałem *Nehring*, długie pasmo piaszczystej ziemi oddzielające Fryszhaf od morza, a gdzie ten z morzem się łączy, jakby w obłoku *Pilawa*, miasto niemieckie, warownia mocna, port dla okrętów wygodny, podróż najdalsza sławnego filozofa *Kanta*, który zamieszkawszy w Królewcu, nigdy z niego wyjeżdżać nie chciał, i nigdy dalej nie był jak w Piławie. Tam i z latarni morskiej przyglądałem się niegdyś morzu, odróżniałem płową wodę Fryszhafu od ciemno-zielonej Bałtyku; przechadzałem się po brzegach, które już Fenicyan po bursztyn czyli *elektron* do siebie zwabiały.

Rzuciwszy okiem w stronę Królewca, widać wieś *Fischhausen*, gdzie za panowania Chrobrego, Prusacy Ś. Wojciecha zabili; gdzie wśród mieszkańców luterskiego wyznania, stoi wybudowana na cześć jego kaplica, i dokąd liczny lud z Warmii i okolicznych miejsc gromadzi się na odpust, i z bogobojną skruchą oplakuje zaślepionych ojców zbrodnię. Nie wyszło pół godziny, zaprzężono konie; wsiedliśmy: pan porucznik siedział obok mnie na przodzie, kobiety naprzeciw nas. Dyliżanse w Prusach nie wygodne, okropnie rzucają

i trzęsą, polskie daleko wygodniejsze. Trzęsienie mdłości sprawiało naszej starzej wdówie, zbywała je winem; czoło miała zawsze zmarszczone: patrzyła z pod brwi. Widać było z całej jej postawy i z wyrazu twarzy, że szczęście ani mogło, ani chciało z nią przemieszkować, a ja równie nie chciałbym z nią pod jednym dachem zostawać, nawet w dyliżansie nie długo. Nasza panna, jak wnoszę nie mogła urodzić się w krainie gdzie są lasy, bo tam trzeba chodzić ostrożnie, ażeby przez gałąź albo pień nie upaść; ani także gdzie są góry, bo trzeba lekkości by po nich biegać; lecz co najpewniejsza musiała być z *Żuław*, z nizin gliniastych, ciężkim parokregiem otoczonych, zkąd mieszkańcy, kiedy chcą przez rów przeskoczyć, można być pewnym, że wśród niego ulgną. Takie były przynajmniej moje domysły, patrząc na jej kibić zsiadłą, ręce i nogi grube, oczy małe, policzki i wargi szerokie; mogłem się omylić, a ona dla tego mogła być bardzo zacną i dobrą; bo ani wzrost mały, ani szpetność twarzy przymiotom serca i duszy nie przeszkadza. Pan porucznik był *ein Pommerkind* (Pomorzanin), krępy, dziobaty na twarzy, bardzo zapewne młody, bo ciągle świstał i wytykał głowę z powozu, żeby widzieć Królewiec. Czwartego podróżnego, zapewne trzej pierwsi uważali, i o nim sądzili jak on o nich; ale ponieważ swego zdania nie wyjawili, a nikt siebie nie zna, zatem ten czwarty podróżny zostanie bez opisu...

Tymczasem dyliżans wjechał na drogę bitą, podobną do cesarskich w Austrii. Towarzysze moi zdawali się być skłonniejsi do milczenia niż do rozmowy. Bardzo z tego rad byłem, bom także milczał chętnie. W akademii królewieckiej lat kilka najszcześniejszego wieku spędziłem; jakże podobne miejsca na zawsze w miłe wspomnienia bogate! Już zdawałem się rozpoznawać przedmioty, które się mojej pamięci, jakby sny z przeszłości nasuwały. Co krok to bliżej byłem Królewca, i tém żywiej natłok przypomnień ci-

snął się do mojej duszy; miałem do niego jedną tylko miłą. Już Fryszhaf zostawał za mną, byłem przy ujściu *Pregla*, gdzie on swoje wody z nim łączy. Wzrok mój spozstrzegał jeszcze płynące w dali jakby też same okręty, których dawniej wiatr żagle rozdymał. Widziałem rzekę *Hollstein*, na której szklistym wtedy jak i dziś lodzie, ścigałem niegdyś tłumy łyżwiarzów; przypominały mi się miejsca wesołych przechadzek z szkolnemi przyjaciółmi; owe łąki, gdzie nas nauczyciele pod proporce stawiali, o któreśmy, jak gdyby szło o losy państw, mężnie walczyli; owe gaje, w których chłodzie, Karpińskiego najlepiej pojmowałem i czułem; owe włości, których dobre mienie, tyle razy wabiło mnie z miasta: widok nędzy nigdy tam serca mego nie ścisnął...

Ale jakże tu wyliczyć wszystkie dawne znajomości, wszystkich przyjaciół, nauczycieli, towarzyszków, którzy po długiém niewidzeniu cisną się tak żywo do myśli mojej; że jakby w istocie zdaje mi się, iż ich witam, całuję i ściskam?... Widziałem i was wały Królewca! Jak dawniej było, tak i teraz miasto wami opasane... Na waszój zielonej wówczas murawie, siedząc niegdyś z przyjacielem, to gubiąc w dali nasz wzrok, wynurzaliśmy wzajemnie swoje widoki, życzenia; to spozierając w Niebo, chcieliśmy wyczytać z niego, czy też będą spełnione? On był synem księdza ewangelickiego, i tego pragnął jedynie, aby mógł być kiedyś następcą ojca, i siadać w cieniu trzech lip rozłożystych, gdzie dziad i ojciec jego siadywał. Ja przeciwnie, pragnąłem świata. Nie wiem czy to było przeczuciem, czyli się też podobało Niebu nas wysłuchać, dosyć, że jak życzyliśmy sobie, tak się też i stało. On osiadł pod ojcowską lipą, ja mam świat przed sobą...

Gdzie teraz *Królewiec*, stało przed wiekami kilka chat rybackich. Założył najprzód zamek na wzgórzu Ottokar, król czeski. Nazwano go *Königsberg*, po polsku Królewiec. Nazwisko zamku przybrało później całe miasto.



które z początku przy nim budowano, a potem rozciągnęło się na wszystkie strony, na oba brzegi *Pregła*, aż w końcu doszło do dzisiejszej obszerności, że do 70,000 mieszkańców ma mieścić w swoim obwodzie. Tylko *Stare Miasto*, *Kneiphof* wyspa Preglem oblana, i *Löbnicht* mają ulice wąskie i zaciemnione, bo są najdawniejszymi częściami miasta, a wiadomo wszystkim, że dawniej, w celu łatwiejszej obrony, ścieśniano ulice, włączano wysokie domy w podobieństwie eisnących się dzieci koło matki, która im jaką straszna opowiada przygodę.... W innych częściach Królewca, jako później zabudowanych, ulice są przestronne; kamienice obszerne, często mniejszemi przeplatane; ogrody, place, stawy i Pregiel, mile je zdobi. We wszystkich budowlach widać mierność; nie ma wspaniałych pałaców jak w Warszawie, bo też nie ma i panów.

Zamek służy na mieszkanie dla króla pruskiego, kiedy do Królewca przyjeżdża. Jest on w czworogran zabudowany; wewnątrz niego jest dziedziniec, gdzie odbywa się zwykle popis wojska przed królem. Z wieży zamkowej można przejrzeć całe miasto z przyległościami jego. Na niej osadzeni są stróże, których obowiązkiem, skoro gdzie pożar wybuchnie, dawać znać o nim natychmiast odgłosem trąby. Ażeby oznaczyć kierunek, w której stronie wszczął się ogień, wywieszają we dnie chorągiew, a w nocy latarnię ze światłem. Taki był zwyczaj i w Warszawie, póki w roku 1818 nie zrzuciono starego Ratusza. Ciż sami stróże trąbią z wieży pieśń nabożną, trzy razy na dzień. Pod nią znajduje się jak i w Malborgu głęboka przepaść, do której Krzyżacy skazanych na śmierć strącali, bo i Królewiec był wielkich mistrzów mieszkaniem; a to od połowy piętnastego wieku, kiedy skutkiem toruńskiego pokoju, wschodnia tylko część Prus została się przy tym zakonie. W tymże zamku była zbrojownia po Krzyżakach, lecz podczas bytności Francuzów roku 1807, wszystko rozebrane poginęło. Przed zam-

kiem stoi z bronzu posąg Fryderyka Pierwszego, króla pruskiego; po rzymsku ubrany, ale w peruce. Naprzeciw niego *odwach*. Często, dawniej, przechodząc tamtędy, przysłuchiwałem się wraz z towarzyszami śpiewom żołnierzy. Zwyczaj ten zaprowadzony w Prusiech, godzien byłby naśladowania. Głos ludzki skuteczniej działa niż brzmienie muzyki, bo wyraz łączy się do dźwięku. Pamiętam w Elblągu spotkałem był huzarów jadących na popis, mieli na czele do dwadziestu dobranych śpiewaków, i głosili pieśń rycerską. Lud cisnął się tłumem za nimi, kobiety, dziewice i dzieci wybiegały z domów: zachwycały wszystkie te śpiewy. Jak skuteczny środek do wpajania miłości ojczyzny, do obudzenia męztwa! Dawni nasi ojcowie ze śpiewem szli do boju...

Co jednak najciekawszą jest rzeczą w zamku królewieckim, to *archiwum* tajne Krzyżaków, z Malborga przeniesione. Znajdują się w niem rękopisma od czasu, w którym ten zakon pierwszy raz wstąpił do Prus. Z nich można wyczytać ich związki i zajęcia z książętami i królami polskimi, ich wojny i ugody z Litwą; ich znoszenie się z cesarzami niemieckimi i z Rzymem; liczne zbiory *bull* Papieżkich, wiele korespondencyj z Mendogiem, z Witoldem układy, i t. p. zgoła, niepodobnaby pisać historii Polski, Prus i Litwy, nie przejrzawszy pierwój tych bogatych zabytków. Do tych skarbów przyłączony jeszcze zbiór ksiąg historycznych dawnych, których poczet coraz się uzupełnia. Tam możnaby wygodnie dzieje kreślić, mając wszystko pod ręką: aż mi się zachciało być dziejopisem. Pomocne zapasy możnaby jeszcze znaleźć w bibliotece *Wallenroda* i w *Uniwersyteckiej*. W ostatniej jest szafa jedna srebrną zwaną, bo składa się z ksiąg w srebro oprawnych: zawiera książki teologicznej treści, własność niegdyś Alberta księcia, i od niego do modlenia się używane. Atoli nie pisma jedne są ważnemi w Królewcu zabytkami dla dziejopisa, prócz

nich znajdują się i inne pomniki. W kościele *kneiphowskim* widać pozawieszane zbroje rycerskie, chorągwie na nieprzyjaciółach przez Krzyżaków zdobyte, a ich nieprzyjaciołmi byli Polacy i Litwini; można więc się napatrzeć tych ojczy-  
stych i starodawnych pamiątek, acz nie bardzo miło pomyśleć, jakim się tam sposobem dostały? Przy ścianach kościoła i na jego podłodze leżą wizerunki wojowników w kamieniu wykute; wiele ich z napisami, które czas codziennie bardziej zaciera. Najdawniejszy kościół królewiecki jest polski, sama budowa jego tę dawność przyświadcza. Według *Kromera*, Polacy mieszkali w Samlandzkiej ziemi; (tak zwano niegdyś tę część Prus, w której jest Królewiec); być także może, iż tam kapłani z narodu polskiego jeszcze przed Krzyżakami wiarę Chrześcijańską zaszczepili: Święty Wojciech pokazał im drogę, jego los mógł zapalić gorliw-  
ców do uszczknienia podobnejże palmy męczeństwa.

*Uniwersytet Królewiecki* r. 1525 od księcia Alberta założony i przez wuja jego Zygmunta I potwierdzony został. Herbem jego jest *popiersie Alberta z Orłem Polskim na księdze otwartój*. Pierwszym rektorem był Rapagelanus Litwin. Środkowym punktem uniwersytetu jest tak zwane *Collegium Albertinum*. W niém jest izba obrad, gdzie się senat akademicki zgromadza; więzienie dla uczniów, sala gdzie się odbywają publiczne posiedzenia, dysputy i wszystkie uroczystości. Ta sala przyozdobiona jest obrazami książąt pruskich, zaczawszy od Alberta aż do ostatniego króla. W środku téj sali stoi popiersie *Kanta*, owego sławnego filozofa i professora filozofii w téj akademii. Był niegdyś i konwikt na sto ubogich uczniów; dla niedostarczających dochodów, zniesiono go, a uczniom płaci się pieniądze. Prócz tego jest jeszcze mnóstwo *stypendyów* czyli zapisów prywatnych, które więcej niż gdzieindziej podają sposobności ubogim, a zdolność mającym młodzieńcom utrzymania się i nabycia światła i nauki, owego umysłowego

majątku, który wyżej powinien być ceniony od złota i srebra, bo prawdziwie równa ludzi. Jest tam także *fundusz Radziwiłłowski* dla uczniów z Litwy, kalwińskiego wyznania. Podobne fundusze książąt Radziwiłłów są w *Marburgu*, w *Lejden*, ale już na schyłku; był nawet i w *Oxfordzie* lecz już od dawna upadł. Dla szczupłości budowy akademickiej, jeden tylko professor w niej mieszka, resztę zajmują uczniowie ubożsi. Inni professorowie i uczniowie mieszkają porozpraszani w mieście, co wielką jest niedogodnością i stratą czasu; jest tam bowiem zwyczaj, iż do professorów na prelekcyę uczniowie chodzą, a mieszkanią ich są czasem o ćwierć mili odległe.

Zatrzymałem się kilka dni w Królewcu, tak mi tam miło było; wznowiłem wiele dawnych znajomości. Chodziłem na prelekcyę, i zdawało mi się żem odzyskał wiek młodzieńczy. Nie mogłem jednak napotkać owęj myśli ciągle swobodnej, która przed siedmią laty tak nieodstępnie mi towarzyszyła; w zamian upatrywałem w sobie podwojoną uwagę i zastanowienie, a może i szczęścia więcej, choć mniej wesołości. Lata dziecinne i młodociane, podobno tylko barwę szczęścia noszą, lecz nie są szczęśliwe; prawda, że wtedy jesteśmy swobodni, weseli, ale żyjemy bez zastanowienia, nie znamy ani siebie ani pomyślnęj doli naszēj, i bodaj czy nie zdobimy je najwięcej w późniejszym wieku, przydając do tych wdzięków, które miały zupełne ich poznanie...

Między professorami uniwersytetu królewieckiego jest wielu światłych i głęboko uczonych. *Vater*, sławny w naukowym świecie filolog, w słowiańskiej literaturze nawet zasłużony, bo napisał polską i rosyjską gramatykę; *Voigt* \*) który prawdziwie zadziwia gruntowną wiadomością historyi,

---

\*) Tenże *Voigt* wydał w roku 1824 *Historję Malbörga*, w której wiele jest ciekawych o Zakonie Krzyżackim szczegółów.



i zajmuje sposobem dawania jój w duchu filozoficznym. *Rheza*, dawny i jeden z najzasłużeńszych professorów, rodem Litwin; poświęca wolne chwile dochodzeniu początków narodu litewskiego, obyczajów jego i religijnych obrządków; pokazywał mi poema litewskie *Donaleglysa*, które na język niemiecki wierszem przełożył. Ma być tak oryginalne, że według niego, ani starożytna ani nowoczesna literatura nic podobnego nie ma. Na prelekcji *Lobeka* profesora literatury greckiej, dziwnie miłego doznałem uczucia; wyliczał poczet mężów, którzy nad jój historją pracowali, rozbierał ich dzieła, ale zawsze miał coś do zarzucenia; nareszcie tak się odezwał: „Lecz dwóch mamy sławnych uczonych, którzy ten przedmiot godnie objaśnili: jeden Grodek professor w Wilnie, drugi...” Tego już nie dosłyszałem z radości; że tak zaszczytnie o Polaku wspomniano; dotknął mnie ów urok nie tylko do rzeczy ale i nazwisk ojczystych przywiązany... Przez czas pobytu mego w Królewcu najwięcej jednak spędziłem chwil przyjemnych z *Herburtem*, professorem filozofii; od siódmj godziny z rana do dziewiętej na prelekcjach jego, a potem na poufałej z nim rozmowie. W całym życiu, nigdy w tak krótkim czasie nie myślał tyle ile u niego. Nie mógł *Kant* godniejszego mieć następcy. Postępkami i słowy prawdziwy filozof, kochany od uczniów, poważany powszechnie. Chwile z nim spędzone policzam między szczęśliwe mego życia, bom czuł w jego przytomności całą godność człowieka, całą wysokość, do której wznieść się umysł może...

W Uniwersytecie Królewieckim jest przeszło dwieście uczniów. Duch ich ten sam co we wszystkich podobnych zakładach niemieckich. Ubiorem różnią się od innych mieszkańców; noszą nibyto starożytną niemiecką odzież, suknią podobną do naszych czerkasek; szyja odsłonięta, kołnierz od koszuli wyłożony, włosy długie na dwie strony rozczesane, i założone za uszy; czapka aksamitna czarna, na niej *Albert*

ze srebra, po nad którym rozchodzą się związane z sobą dwie latorośle dębowe i żołądz. Znamiona te nie każdemu wolno nosić; mają oprócz tego kije sprowadzane z Niemiec, wszystkie z jednego lasu: na nich wyrzynają imiona swoich przyjaciół i inne pamiątki..

Królewiec jest miastem handlowém; rozległością swego handlu może iść z Gdańskiem i Rygą w porównanie. Handel ten jest dwojaki: morski i lądowy. Tamten prowadzony jest z Anglią, Francją, Holandją, Ameryką; ten zaś rozciąga się na Prusy Wschodnie, na Litwę i znaczną część Polski, zkąd kupcy Królewieccy dostają żyta, pszenicę, drzewo, len, siemie lniane, konopie, które tu *pienką* nazywają, co wszystko albo gotowizną płacą, albo téż dają w zamian towary korzenne, żelazne, wina francuzkie. Przewóz do Litwy i Polski ułatwiony jest połączeniem Pregla z Niemnem za pomocą *Kanału Fryderyka*. Rzeka Wilia do Niemna wpadająca, rozszerza ten handel aż za Wilno. Prawdziwie, rzeki wielkiém są dobrodziejstwem; są to jakby ramiona handlowego świata, jedna drugieję rękę podaje, i za tą pomocą najodleglejsze krainy się łączą.. Statki do spławu służące, nazywają tu *wycinami*, albo *strugami*. Najważniejsze przychodzą do Królewca, na parę niedziel przed Zielonemi Świątkami; potem próżne albo naładowane, prowadzą je napowrót pod żaglami. Nie przychodzi to z wielką trudnością gdyż woda w Preglu, Niemnie i Wilii, nie płynie tak bystro jak w Wiśle, i nie jest tak szeroko rozlana. Wielkie okręty nie dochodzą do Królewca dla płytkości Fryszhafu; zostają w porcie Piławskim, gdzie na mniejsze statki przekładają towary, i tak je dowożą.

W Królewcu nie ma mody, nie ma próżniaków, bo nie ma możnych, ani takich coby z pracy cudzej ręki żyli. Każdy z mieszkańców tamecznych jest zatrudniony; jedni rzemiosłem lub przemysłem, drudzy nauką lub jakowym urzędem. Chlób a nie próżna okazałość ogół ludności porusza.

Nikt nie ubiega się za widowiskami, złe tam żniwo dla kuglarzy. Jest piękny teatr ale na nim nie grają; dochody nie były wystarczające, dyrekcyja się zadłużyła, aktorowie się rozeszli. Może nie ma miasta gdzieby czystsze były obyczaje, i mniej sposobów do zepsucia. Szlachty w Wschodnich Prusach jest tak mało, iż możnaby powiedzieć, że nie ma jój wcale; pochodzi to ztąd, iż Krzyżacy podbiwszy Prusy pogańskie, wytępilli możnowładców, przysądżając każdemu, co kto dzierżył jako własność, pod warunkiem tylko robocizny czyli powinności; tych nazywano za królów *gburami* królewskimi, a innych od téj powinności wolnych *kelmarami*. Ci zawsze się mieli lepiej od tamtych, bo płacili tylko podatek, a robocizny nie odbywali. Robocizna ta była mało znacząca, trwała wiosną i latem do zasiewu i zbioru, w zimie ustawała. Jednak stała na przeszkodzie do dobrego mienia włościan; widząc to król terażniejszy, zniósł uciążliwość tych robocizn; z gruntu podwyższył podatek, ale poddani dopóty oddawać go obowiązani, dopóki swoich gruntów za oznaczoną mierną ilość, na wieczne czasy nie okupią; po czém podatek o większą połowę zostanie zmniejszony.

Językiem polskim można być wszędzie w Królewcu zrozumianym. Między kupcami wielu jest Polaków z pruskich prowincyi, a kupcy Niemcy uczą się po polsku dla handlowych związków z Polską, albo przynajmniej mają między czeladnikami kogo, który ten język umie. Dawnemi czasy mowa polska nierównie więcej była używana; książęta pruscy jój się uczyli. Albert I wezwał był do Królewca Marcina *Kwiatkowskiego* \*) na nauczyciela języka polskiego dla syna. Żył tam około tego czasu Jan *Seklucyan*;

---

\*) Ten Kwiatkowski wydał w Królewcu r. 1569 dzieło o *obszer-  
nym pożytku języka polskiego*, wyborne i już bardzo rzadkie.

jego tłumaczenie czterech Ewangelistów (pierwsze tłumaczenie polskie drukowane) wyszło z drukarni Królewieckiego 1551 r. Tu drukowany także pierwszy Kancyonał, z czeskiego języka przełożony, przez księdza *Walentego z Brzozowa*; podobnież pierwszy Słownik polski *Maczyńskiego*, Kronika *Strykowski*, i t. p. Nadspodziewanie moje i teraz kilku w literaturze i języku polskim biegłych znalazłem. Trzech grammatyków; temi są: *Vater*, *Wojda* radca konsystorza, i *Szamborski*, którego *Grammatyka polska dla Niemców*, już była wtedy pod prassą drukarską. Jeden poeta *Olech*, pleban przy kościele polskim luterańskim. Wiersze jego są treści wesołej; dla rozrywki ludu wiejskiego przy żniwie, siano-żęciu, siejbie; pełne prostoty, z muzyką także prostą, dorabianą przez niego. Mogą one prawdziwie posłużyć za wzór, jak trzeba pisać dla ludu, ażeby łatwo być zrozumianym i podobać się. Języka polskiego uczą po szkołach. Jest *Seminaryum polskie*, gdzie się doskonala uczniowie, chcący być księżmi przy kościołach. Wskrzesicielem tej szkoły i dozorcą jest professor *Vater*, *Szamborski* jest nauczycielem języka polskiego w uniwersytecie. Jest także i *Seminaryum litewskie*, którym się opiekuje professor *Rheza*. Wszystko to są rzeczy drobne, wyszczególnienie ich możeby nie jednego znudziło, ale ja tak kocham wszystko co jest narodowem, iż nigdy się nie waham w zapisaniu takowych szczegółów, nie pytając się bynajmniej jak to kto uważać będzie?...

Królewiec od czasu jak w nim byłem, nie odmienił się w niczem; tylko na miejscu gdzie właśnie w roku 1812 śpi-chlerze ogniem spłonęły, zastałem pobudowane domy okazałe; na nich napisy hebrajskie, niemieckie, gdzieniegdzie polskie. Poosiadali tam żydzi, ale jakże różni od naszych!... Reszta miasta zupełnie jak dawniej, z tą jedynie różnicą, że jego ulice, domy, przechadzki, kościoły, wydawały mi się daleko mniejsze. Złudzenie to optyczne przypisywałem zmia-



nie mego oka, albo téż temu, że po okazalszych rzeczach, które przez te lata widziałem, Królewiec tracił. Opowiadałem to komuś, który mi tę zmianę temi prostými wytłómaczył słowy: „Jak byłeś w Królewcu, musiałeś być mniejszy!“ Zawstydzilem się iż tak jasnej przyczyny szukałem tak daleko. Jakże my to zawsze o wszystkiém po sobie sądzimy; sami służymy sobie za miarę wszystkiego: biada więc tym, biada wielka, którzy źle o całym ludzkim rodzaju trzymają... można ich posądzić że z siebie biorą miarę...

Najętemi końmi wyjechałem z Królewca Friedlandską bramą; dzień był prawdziwie marcowy: śnieg, deszcz, zawierucha, słońce i pogoda na przemiany; nie wiem jak kto, ale ja, już wolę te dziwactwa Marca nad stałość styczniową: zwiastują one zbliżanie się młodej córy roku, nadobnej wiosny, której każdy jakby ulubionego przedmiotu wygląda... *Friedland* jest małe miasteczko, prawie na granicy Brandeburskiej, o sześć mil od Królewca; pomimo spokojnego nazwiska, pamiętne bitwami... W archiwum miejskiem znalazłem trzy starożytności, okrutnego ducha dawnych wieków malujące: rusztowanie żelazne, do którego należał jeszcze rożen, a na ten Krzyżacy mieli wtykać wielkich winowajców i piec przy ogniu; kleszcze żelazne z wielkimi hakami do szarpania złoczyńców, i głowę drewnianą od osła, którego wystawiano na rynek, sadzano nań złodzieja, a rzeczy ukradzione zawieszano na uszach: pokazywano mi przytém ogromne kopyto do robienia trzewików dla chłopca wielkoluda, który miał przed wiekami żyć w tych okolicach. I na rożen, i na kleszcze, i na to kopyto, mam wielką ochotę powiedziéć z Krasickim:

. . . . . Wszystko to być może  
Prawda, jednakże ja to między bajki włożę.

O trzy mile od Friedlanda leżą *Gerdawy*, także małe ale przyjemne miasteczko. Jest w nié m zamek starożytny: zresztą nie umiem nic o nié m powiedziéć, bo przyjechałem

o zmroku, wyjechałem o świcie. Od Gerdaw do *Wegoborku* cztery mile; w pół drogi ustają wioski niemieckie, a zaczynają się polskie osadników. Widać zaraz lud ruchawszy, bardziej okrzesany, grzeczniejszy; insze zupełnie rysy twarzy, składniejsza postawa: większa uczynność. Zdaje się, jakby były pewne przymioty, które plemieniom jednym i ludom są właściwe i przyrodzone, a których inne narody mieć nie mogą. Mowa tych osadników jest mazowiecka popsuta; Niemcy téż nazywają ich Mazurami dla rozróżnienia od Polaków. Chociaż od tak dawna zostają pod jednem panowaniem, tleje między nimi skryta nienawiść, i broń Boże, Polaka Niemcem nazwać. Zepsucie ich mowy i mieszanina w nią niemieckich wyrazów, pochodzi po części od miast tamecznych najwięcej przez Niemców zamieszkałych (w czém także narodowość polska się okazuje), po części z przyczyny księży, którzy mniej dbając o gruntowną znajomość języka, mówią kazania i nauki zepsutą polszczyzną; po części téż i od bakałarzy wiejskich, którzy cudzoziemskie wyrazy wtrącają w mowę, i oswajają z niemi dziatwę. Słyszałem dzieci mówiących: Uczymy się *einmalensu* (ein mal eins ist eins), co ci *feluje?* (was fehlt dir?), *sznelka* zamiast sprzączka (schnalle), *dibzak* zamiast kieszeń, i t. p. Jestto zapewne śmiesznie, ale może nie śmieszniej jak naprzykład: Jak mnie to *frapuje!* (frapper), jakie ma piękne *tre!* (traits) zamiast rysy; *konwersacya* zamiast rozmowy, *lektura* w miejscu czytania, i t. p. wyrazy, które w stolicy naszój w najlepszych towarzystwach usłyszeć można... Mają także i swoje odrębne wyrażenia, jako to: ciotucha (febra), kizie (źrebie), skórznie (buty), niezyd (katar), i wiele innych. W téj stronie Prus, wszyscy osadnicy polscy są wyznania ewangelickiego, lud moralny, obyczajny; trudno między nimi znaleźć kogo, coby nie umiał czytać, i nie miał swój Biblii. Każdy czy gospodarz, czy wyrobnik, posyła swoje dzieci do szkółki, gdzie uczą się czytać, pisać, rachować, katechizmu, śpiewania

kościelnego i wyroków z Pisma Świętego: to trwa do lat trzynastu. Wtedy zaczynają chodzić na naukę do księdza, i chodzą przez rok cały; poczem otrzymują poświęcenie w kościele, i pierwszą Komunię. Na ten obrządek uroczysty zgromadzają się rodzice, krewni, powinowaci; w młodocianém życiu nie ma dnia tkliwszego, ani więcej pamiętnego: jedno jego wspomnienie, w dalszych latach od występku uchronić może...

Węgobork (Angerburg) leży nad rzeką Angerap; ma dwa zamki w rozwalinach. Jeden bardzo dawny, już od Kejstuta księcia trockiego zdobywany, niedostępny, między bagnami i trzęsawiskami. O ćwierć mili od miasta jest ślup murowany. Burmistrz węgoborski czytał mi o nim długą i dziwną legendę, którą sam ułożył. Burmistrze w Prusiech chcąc nie chcąc, muszą być dziejopisami; mają zalecenie od rządu spisywania dziejów miasta gdzie urzędują. Zapewne nie zawsze wszystko co napiszą godne pamięci, ale jednak niekiedy ciekawe szczegóły się nawiną. Cudzoziemcy zwykli są zapisywać wszystko, my Polacy dziwimy się temu, bośmy leniwi do pióra; zagranicą każdy niemal pisze co mu się tylko wydarzy, co usłyszy: każdy sławniejszy człowiek znajdzie swego pisarza, i jeszcze nie umrze, a już wychodzą z druku rysy jego życia, anegdoty, trafne i dowcipne słowa, szczegóły czasem i zmyślane, ale które nie są bez wdzięku. Niechby na przykład Niemcy, Francuzi albo Anglicy *Czartoryskiego* mieli, jużby dawno był wyszedł z druku nie jeden spis czynów jego pełnych ludzkości... Ale my dla tego samego, że nie wynurzamy uczuć naszych, żywiéj je w sercach chowamy: bardzo to być może; ja zaś, by nie popaść zarzutowi, iż piszę zanadto, zakończę ten *opis* tak długi. Z Węgoborka porzuciwszy najęte konie, udałem się piechotą do mojej rodzinnej krainy, powitałem kolebkę dziecinną, czułem więcéj niż wyrazić mogę; dowiedziałem się tylu rzeczy.. ale to są już moje własne *wspomnienia*; nie tu ich miejsce: inneby im upatrzeć należało.

# WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY W OBCE KRAJE.

W LISTACH DO HELENKI T.

## LIST PIERWSZY.

Wstęp.— Położenie Drezna.— Historya.— Postać zewnętrzna miasta i mieszkańców.

Dziękuję ci, kochana Helenko, wybawiasz mnie w téj chwili z wielkiego kłopotu. Chcąc zebrać w jedną całość wspomnienia z podróży w obce kraje już przezemnie odbytych i dalszym jakie jeszcze nadarzyć się mogą, wczesnie przyzwoite ramy upatrzeć; nie zaspokojona wcale sposobem, w który dawniej układać je zaczęłam, męczyłam się jaki kształt im nadać? kiedy nagle stanęłaś mi w pamięci. Pisałam dla niéj, pomyślałam sobie, kiedy liter nie znała; kiedy w pomyślniejszych okolicznościach widywałam ją codzień: czemużbym dziś, kiedy ona już w wiek młodociany wstępuje, kiedy mnie od niéj blisko dwieście mil dzieli, czemużbym nie mogła pisać dla niéj i do niéj! *Wiązanie* jéj imieniem oznaczone, tak mile od dzieci i matek przyjęte było, może i listy podobny los spotka?—Tak pomyślałam, i tak postanowiłam uczynić. I odtąd kochana Helenko, o ile człowiekowi w tém życiu na co rachować wolno, o tyle pewną być możesz, że cztery razy do roku obszerne do ciebie listy pisać będę, w których znajdziesz opis tego wszystkiego com dotąd zagranicą widziała i co jeszcze zobaczyć mogę. Oby tylko wiernie rąk twoich dochodziły? Tak daleko od siebie jesteśmy.....



Jużto półtrzecia roku mija od wyjazdu mego z Warszawy. Możeś nie zapomniała czternastego Października? mnie ten smutny Piątek zawsze przytomnym będzie.... Od tego dnia ujechałam mil blisko trzysta; przebiegłam wszere Niemcy, Francją: widziałam morze i brzegi Anglii, i jak ci wiadomo, już rok drugi mieszkam w owym zawołanym Paryżu. Pojmiesz łatwo, że o takiej podróży, o takowem zamieszkanu jest co powiedzieć. Jednak czy uwierzysz? obficie snuły mi się myśli, nasuwały postrzeżenia, więcej nawet przedmiotów wpadało mi w oczy, kiedym przed laty zwiedzała skromne ojczyste okolice: Wtenczas, młodą, swobodną nadzieją, życiem i miłością dobrej matki bogatą, wszystko cieszyło, wszystko uderzało. Żyd spotkany, słup drogowy, dziecko w płachcie, obszerne do uwag otwierały pole; każdy pagórek był górą wspaniałą, każdy kościółek udatną budową. Dziś znikła ta łatwość. Przypisać to należy lat przybytkowi, a może więcej jeszcze doznany stratom. Niedola jest wiekiem duszy: kto wiele doświadczył, ten stary, a do uwielbiania, do podziwiania wszystkiego, tak co do lat, jak co do uczuć, młodemu być potrzeba.

Po takim wytłómaczeniu się, może już ani ciebie, ani drugich nie zdziwi, iż może dzisiejsze opisy, lubo nierównie bogatsze, mniej ożywione od dawnych będą. Przyjętym nałogiemzczędzić ich jednak nie myślę, i wszystkie moje obecne podróże z równą dokładnością jak przeszłe przejażdżki opisywać stały mam zamiar, oznaczając wiernie, którego dnia i roku, gdzie byłam. Przecież te opisy dopięro od Drezna zacnę. Siedmdziesiąt mil, dzielące stolicę Saksonii od naszej, przebyłam jak wiesz dobrze, w takiej porze roku, w takim stanie umysłu, że zewnętrzne przedmioty były dla mnie jakby nie były; jechałam śpiesznie zamknięta w powozie i w sobie, a jeżeli zatrzymałam się w jakim miejscu, żadna mnie nie brała ciekawość obejrzenia go. Dopięro po kilku miesiącach mieszkania w Dreźnie, zaczęłam spoglądać

około siebie, uważać i zapisywać spostrzeżenia moje. Z tych notatek utworzę ci w kilku listach, ogólny, ile możności dokładny obraz. Chcę, żeby miał dwojaką użyteczność: najprzód, żeby ci dał wyobrażenie tego miasta i okolic, obeznał cię nieco z historią i charakterem Sasów; powtóre, żebyś, jeżeli odwiedzisz kiedy te strony, znaleźć mogła w tych listach moich rzetelnego przewodnika.

Na te odwiedziny nie tak trudno się zebrać. Drezno dla taniości, przyjemności swoich, dla łatwości jaką podaje młodym osobom w wydoskonaleniu się w talentach, wreszcie dla sąsiedztwa tylu zimnych wód i cieplic, zwabia ciągle wielu cudzoziemców, a zwłaszcza Polaków, bo prócz ogólnych dla wszystkich powabów, dla nas ma ten szczególny i wielki, iż zupełne powinowactwo zachodzi między nami i Sasami. Trzech monarchów, August drugi i trzeci, Fryderyk August, panowali wspólnie nad niemi. Jak więc między przyrodniem rodzeństwem, tak między niemi i nami jest wiele styczności i stosunków.

Przyjechałam do Drezna 12 Grudnia 1831, chęcią naszą było zamieszkać w niem aż do chwil szczęśliwszych. Drezno w téj porze było przyjemniejsze niż kiedykolwiek; przychylne, gościnne, ożywione, dla każdego z nas stało się prawie jakby drugim krajem. Nie była to matka, bo jedna tylko matka na świecie być może, ale *dobra ciotka*, która osieroconą rodzinę przyjmuje, pociesza.... Podobnie złudzona, żyjąc w pośród tylu rodzin polskich; obchodząc z niemi święta nasze, nic dziwnego, że przez czas jakiś pobytu w Dreźnie, zapominałam chętnie, że jestem zagranicą. Są chwile, kiedy człowiek zastanawiać się nie lubi, kiedy radby żyć z tą niebaczością, z jaką w wieku twoim Helenko się żyje, „bez zachodów na jutro, bez żalu na wczoraj,“ kiedy tak ślizga lekko i prędko, myślą, po tém co go otacza, jak ten co kruchy lód przebywa i jedynie zajęty *aby dalej*. Ale takie życie niebaczne i powierzchowne, długo w największém

nieszczęściu trwać niepowinno, bo ani wartości, ani zasługi nie ma. Zaprzestałam go więc jak tylko mogłam najrychlej, i zachęcałam samą siebie do czynności i uwagi, temi myśłami: „Czyż nigdy dawniej nie powstało w moim umyśle życzenie zwiedzenia obcych krajów? Czyż nie miałam za złe tym z rodaczek moich, które nic użytecznego z zagranicy nie uniosły? Czyż nie ganiłam zawsze tych wszystkich, którzy dobrej strony losu swego upatrzeć nie umieli? Teraz nauki drugim dawane do siebie zastosować należy, i przepisy zawsze łatwe, obrócić w trudniejsze przykłady.“ Tak postanowiwszy w duszy, rozpoczęłam życie istotne i czynne, i umyśliłam zwiedzić i opisać równie dokładnie Drezno i okolice, jak gdybym jedynie z ciekawości przyjechała. Rozpoczęłam jednak te zachody zwolna, jako pracę, do której miałam aż nadto czasu. Aż tu właśnie w pierwszych dniach Maja, w porze do oglądań takowych najprzychylniejszej, powstał nagle wiatr przeciwny, z nim obawa, a wkrótce i pewność, że nas z miłego Drezna oddali i bardzo daleko poniesie. Zmieniły się więc widoki i skończyło się na tém: że ciekawości i okolice Drezna poznałam i opisałam z pośpiechem i w smutki, a i z odmianami przedstawiam, sądzę że już mu na zawsze ta niekorzystna barwa zostanie. Co robić? trudno, aby pismo, ta druga mowa człowieka, to zwierciadło duszy, nie odbijało prawdy?...

Drezno stolica królestwa saskiego, szóstego z rzędu między państwami niemieckiego związku, należy do najpowabniejszych miast tej części Europy. Położenie jego nad Elbą, w żyznej dolinie, wśród gór różnej wielkości i barwy, jest śliczne i godne pochwały tych nawet, którzy większe stolice widzieli. Moim oczom przypomniało Kraków, kiedym go pierwszy raz ujrzała, pamięci Litwinów przywodziło Wilno; bo słabością to i pociechą wędrownika, szukać w obcych miejscach podobieństwa do ojczystych: zdaje się, że tym sposobem przyswajamy je sobie.... Drezno najpiękniej się przed-

stawia wjeżdżając od naszego kraju; zręczny choć zapewne przypadkowy układ sprawia, że tej drogi się pilnując, okazuje się z kolei prawie to wszystko co ta stolica ma najpiękniejszego. Nie widząc jęj jeszcze, już korzystnie mnie uprzedziły kształtne i uprawne góry, lasy starannie utrzymywane, domy letnie z ogrodami, kamienne mosty i ogrodzenia; gdy się ukazała, obraz dotrzymał co ramy obiecały. Drezno nie jest bardzo rozległe, w wieże i starożytne budowle nie bogate, ale masy wysokich domów murowanych, ulica wjezdna szeroka, w sześć rzędów drzewami sadzona, czysta i wspaniała Elba, zawsze zapełniająca żyzne swe brzegi, płynące po niej rozliczne statki z żaglami i chorągiewkami, udatny most kamienny na arkadach z krzyżem Zbawiciela w środku, za nim pyszny kościół katolicki, zamek królów, kopuła z koroną *Zwingeru*, wieże ś. Krzyża i P. Maryi, taras *Brühla* z wspaniałymi schodami, w około góry blizkie i dalekie, które okrążając miasto zdają się trzymać je w opiece: wszystko to ledwie, że nie razem wpadło mi w oczy i musiało się podobać. Siedmio miesięczny pobyt i prawie codzienne przypatrywanie się, nic pierwszego wrażenia nie ostudziły; musi to więc być piękność prawdziwa, ile że w różnych widziałam ją ubiorach. Widziałam wśród ostrój zimy, kiedy góry, doliny, dachy i rzeka sama, grubym płaszczem białym się odziała; widziałam w Maju, w tej chwili wesela natury, kiedy trawka najmniejsza godową szatę przybiera: widziałam przy skwarze lipcowego słońca i przy srebrnych promieniach księżyca. Kto wie, czy zwłaszcza patrząc z tarasu *Brühla*, albo płynąc Elbą, Drezno nie jest najpiękniejsze przy tém świetle. Nam przynajmniej takim się wydawało, i dotąd tak go sobie najlepiej przedstawiać lubię; bo kiedy jest zmartwienie i tęsknota, światło księżyca nierównie miłsze od dziennego, nie tyle razi, nie tak swobodę innych wykrywa.... Ty jeszcze tego nie pojmujesz, Helenko ...



Drezna historia początkowa, jak wszystkich prawie miast nie dzisiejszych, jest niepewna; niemasz żadnej wątpliwości, że nadobna okolica w której rozłożone, od niepamiętnych czasów zamieszkaną była, lubo nie tak są dawne tych mieszkań ślady. Słowiańskie pokolenia ją zaludniały, zanim od szczepu germańskiego, od Saxonów zajęta została; a tak i to jeszcze między nami zachodzi pobratymstwo. Właśnie ta kraina między Elbą i Salą, w północnej części Drezno, długo jeszcze po N. Ch., od Sorabów czyli Serbów ludu Słowiańskiego, była zamieszkaną; a póki religia chrześcijańska prawdą i pięknością swoją umysłów nie przekonała, póty równie na brzegach czystej Elby jak nad szerokiej Wisły nurtami, wzywany był bóg światła *Swantewit*, bóg jutrzeńki *Jutrebóg*, *Bilbóg* biały bóg, początek wszelkiego dobra, *Czernobóg* źródło złego, i inne Słowian bożyszcza; dziś jeszcze niektóre saskie miasta i wioski, a zwłaszcza rzeki, jako to: Ostra, Sala, Biela, słowiańskie zachowały nazwy; co więcej, w jednej części wyższej Luzacyi, w okolicach miasta *Bautzen* mieszka do 34,000 Wendów, potomków owych Serbów, którym język i obyczaje słowiańskie dotąd zostały. A ponieważ w każdym jest jakaś słabość do rodu z którego wiedzie początek, tu nadmienię, że ten szczep słowiański w takiej się utrzymuje czerstwości, iż Dreznu mamek dostarcza; Wendejki bowiem uchodzą za najzdrowsze z całego kraju kobiety. Dla dzieci rodaków naszych, które w czasie tej pielgrzymki w Saxonii się urodziły, także między niemi karmicielkę szukano, i cieszyło rodziców to ich jednakowe pochodzenie...

Kiedy osady Słowian w tej okolicy mieszkających, w jedną większą się złączyły? kiedy i jakiego powodu Dreznem ją nazwano? o tém żaden z uczonych i tyle cierpliwych Niemców nic pewnego nie wyrzekł i nie wynalazł. Są atoli ślady, że w roku 1206, już to miejsce tak zwano, i już miastem, a poniekąd grodem było. Na dwa wieki

pierwój — całą tę krainę Miśnią zwaną i której stolica *Meissen* do dziś dnia istnieje — opanował był, głośny wtedy w całej Słowiańszczyźnie, mężem, mądrością i szczęściem oręża, nasz Bolesław Chrobry; dzierżył ją nawet aż do roku 1018, do pokoju Budziszynskiego, po którym Miśnia do książąt czyli do margrabiów swoich wróciła i ciągle udziałem była państwem. Drezno długo należące do biskupów miśniskich, później świeckim dostało się książętom. Zwabieni pięknośm grodu tego położeniem, drogą publiczną którą handlujący od czasów niepamiętnych obok niego wyjeżdżili, zaczęli tu przemieszkiwać; margrabia Otto, bogatym zwany, pierwszy zamek wystawił, a Henryk od roku 1270 prawie ciągle przesiadywał.

Lecz niedługo Miśnia udziałem państwem była. Od dawna słynął na północy Germanii, rozszerzał i zmieniał swoje dzierżawy, ród Saxonów; dzielność ich jeszcze Rzymianom bywała straszna, a książąt ich na tron cesarów niemieckich powoływano. Jeden z tych, Fryderyk, wojownikiem przewany, w początku XV-tego wieku zagarnął Miśnią i inne okoliczne krainy; a cesarz Zygmunt, (ten sam, który z Władysławem Jagiełłą traktaty zawierał), zawdzięczając Fryderykowi pomoc, jakiej od niego w wojnie religijnej z Hussytami w Czechach doznał, wszystkie te posiadłości wyniósł do godności elektorstwa (Churstaat); książęcia zaś, roku 1426, elektorem czyli kurfirsztzem saskim mianował. Już odtąd te krainy wraz z Dreznem były w saskich książąt rodzinie, ale według zwyczaju tamtych wieków, raz w jednej, drugi raz w kilku rękach; jak nasza Polska od Krzywoustego do Łokietka. — Niedługo jednak to trwało: w roku 1485 nastąpił wielki podział saskich dzierżaw w Lipsku. Podział ten stanął między synami elektora Fryderyka II: Ernestem i Albertem. Ernestowi starszemu przypadła Turyngia, Albertowi Miśnia, Lipsk i Drezno; on ustanowił te kraje niepodzielnymi i dziedzicznymi w star-

szych synach, stał się twórcą tak zwaną młodszą Saxonii, i szczerem dzisiejszych królów saskich, którzy wprost od niego idą. On także przyczynił się najwięcej do wzrostu Drezna, gdyż odtąd to miasto wyniesione zostało na godność stolicy, i na stałe mieszkanie książąt swoich. Grobów jednak do nowej siedziby swojej nie przynieśli; zostały w farnym kościele w Meissen, i tam prawie nieprzerwanie aż do Augusta, (którego zwłoki jako króla polskiego w Krakowie) dorzucano szczątki synów do ojców popiołu; bo jest w każdym chęć niezbędna spocząć obok swoich, i teraz więcej niż kiedy ją pojmuję...

Syn i następca elektora Alberta, Jerzy brodaty, otoczył Drezno wałami obronnymi, i wystawił zamek, który dotąd stoi. Brat Jerzego, Henryk, zajęty reformą religii którą wtedy Marcin Luter szerzył, przyjąwszy ją z narodem swoim, nie miał czasu nic zrobić dla Drezna; ale syn jego Maurycy jeden z najsławniejszych książąt saskich, gdyż był razem walecznym żołnierzem i wodzem zdatnym, wałom i bramom przez stryja postawionym, nadał kształt i postać jakie zachowały do naszych czasów. Brat jego cnotliwy August, który przez lat trzydzieści mądrze Saxonią rządził i nieraz odemnie w tym opisie wspomniany będzie, dla stolicy także nie mało uczynił. Dawne ulice uporządkował, wytknął nowe; arsenał, mennicę, wiele innych gmachów zbudował. Wszystkie prawie naukowe składy Drezdeńskie, które z kolei poznasz, izba sztuków, zbiór starożytności, biblioteka, jemu winne początek; on pierwsze szacowne kosztowności pod zielonem sklepieniem (*Grüne Göwelbe*) zbierać zaczął. — Zachęceni jego przykładem późniejsi elektorowie także zdobili Drezno, dorzucali do zabytków jego; a gdy podczas głośniejszej i tyle krwawej trzydziestoletniej wojny, czas jakiś Saxonii była smutnym jej teatrem, elektor Jan Jerzy II, nową część miasta na prawym brzegu Elby będącą, wzmocnił, a po zawartym West-

falskim pokoju 1648, znacznie całe Drezno rozszerzył i upięknił. Syn jego tegoż samego imienia, przyjacielem był obozów i wojen, mało zatem miał czasu i chęci do spokojnych zatrudnień. Onto na czele 12,000 Sasów roku 1683 pospieszył bronić Wiednia przed Turkami, pod przewodnictwem naszego Sobieskiego, a w ośm lat potem zginął w wojnie przeciw Francyi, jako dowódzca wojsk cesarskich; syn jego drugi, równie jak on wojennego ducha, ale szczęśliwszy, i pięknych sztuk lubownik, najwięcej ze wszystkich elektorów dla Drezna uczynił: on mu pozyskał przydomek Florencyi niemieckiej; był to Fryderyk August I, nam znany pod imieniem Augusta II, od czasu jak w roku 1697, królem polskim obrany został, i religią katolicką dla siebie i potomków przyjął.

Mimo świetnych przymiotów swoich, zamiłowania tego co piękne, nie zrzucił August ani dla Polski ani Saxonii prawdziwego szczęścia, owszem podobno wspólnie pokutujemy dotąd za dumę jego, niebaczną, niebezpieczne związki i przepych nad miarę; ale Drezno jaśnieje jeszcze dziełmi i zakładami jego. W roku 1724 okropny pożar zniszczył prawie wszystkie domy na prawym brzegu Elby będące; staraniem jego powstały daleko piękniejsze; on wysadzić kazał ulice drzewne; nakreślił także plan nowój zupełnie części miasta i od pierwszego swego imienia Fridrichstad ją nazwał. Syn jego i następca, u Sasów Fryderyk August II, elektor, u nas August III król, dokończył wielu zamysłów ojca i piękny kościół katolicki zbudował. Ale rządy tego monarchy w obudwuch jego państwach nieszczęśliwe były i Dreznu dotąd smutno pamiętne. Powstała w Niemczech głośna o Szlązk wojna, siedmioletnią zwana. Szlązk nasz niegdyś, później Austrii, wtedy Fryderyk II-gi, już król pruski, sobie chciał przywłaszczyć, i dokazał swego, mimo długiego oporu. Saxonia była nieraz teatrem wojny, a w roku 1760 Drezno obleżone przez wojska pruskie zostało. Ogień trwał dwa dni;



pięć kościołów, kilka przedmieść w perzynę obrócono, i byłoby może całe miasto zniszczone, gdyby Austriacy nie byli przecież na odsiecz przyszli: pamięć tego oblężenia jeszcze nie wygasła, i na wielu domach później odbudowanych, z kul wtedy w murach utkwionych, właściciele ułożyć kazali datę jego. Podobał mi się ten pomnik prosty ale wymowny.

Drezno mogłoby jeszcze rok 1813 na swych murach zapisać. Panował w niém wtedy i w Saxonii całej, równie drogi sercom saskim Fryderyk August III, przemianą losu król saski a książę warszawski. Potężna prawica Napoleona te oba tytuły mu nadała, a on je odwdzięczał prawdziwą przyjaźnią. Ta przyjaźń sprowadziła na Drezno klęski niezmierne; bo kiedy już wszyscy byli przeciw upadającemu cesarzowi Francuzów, Fryderyk August opuścić go nie chciał, i stolica jego stała się czynnym świadkiem tój krwawej europejskiej wojny... Dziś, już ani znać spustoszenia, któremu wtedy uległa. Zdaniem nawet powszechném, dzisiejsze Drezno korzysta ze szkód dawniejszego. Wały i mury w około będące, zamienione na miejsca przechadzki, zrzucone bramy otworzyły widoki; przybyło wiele ślicznych letnich mieszkań, niezliczone mnóstwo drzew i ogródków a co najlepsza, czystego powietrza, a zatem zdrowia mieszkańcom. Z tego względu to miasto ma wielką zaletę, położenie jego między dwoma pasmami gór, nad szeroką Elbą, jakby gościńcem wiatrów je czynią; prawda, że przez to jest nieco zimne, dla osób słabych piersi nie dobre, na reumatyzmy i ból zębów narażające, ale złe większe tą mocą odmiatane bywa; i tak cholera grasująca w około, w Dreźnie ani powstała, i nie czytałam nigdzie, ani też słyszałam, aby kiedykolwiek było tam zabójcze powietrze.

Drezno ma przeszło 60,000 mieszkańców \*), do sta

---

\*) Podług ostatniego obliczenia w roku 1853, ma teraz Drezno 104,500 mieszkańców. P. W.

ulic, blisko dwadzieścia kościołów, sześć bóżnic, prawie trzy tysiące domów. Dzieli się na trzy główne części; *Altstadt*, stare miasto z trzema przedmieściami, najdawniejsze i najznakomitsze, na lewym brzegu Elby; *Neustadt*, nowe miasto na prawym brzegu leżące, dopiero od Augusta II dosyć zamożne; i *Friedrichstadt*, Fryderyka miasto, oddzielone od starego rzeczką Wizricą, nie wspaniałe, wylewem wód ulegające, i najwięcej od uboższych zamieszkałe.

*Stare miasto* właściwie stolicę stanowi, i każdy przybywający tam zwyczajnie stawa; tu bowiem zamek, najpiękniejsze kościoły, teatr, sklepy, składy, zbiory, resursa, poczta, bióra, książęce i pańskie pałace, wyższych urzędników, posłów zagranicznych mieszkania, i najlepsze domy zajezdne, jako to: *Goldener Engel*, *Hôtel de Saxe*, *Hôtel de Pologne* i *Stadt Berlin*, dla mnie pamiętny, bo w nim 3 pierwsze dni pobytu w Dreźnie spędziłam \*). — Przestrzeń, gdzie wszystko się zamyka — lubo w niej dwa piękne i duże rynki *Neumarkt* i *Altmarkt* i śliczne przechadzki — tak jest szczupła, że nawet po naszój Warszawie, która w porównaniu innych miast zbyt wielką nie jest, dziwiłam się długo, iż tak do wszystkiego i do wszystkich blisko; i ta bliskość stanowi wielką przyjemność pobytu w tém mieście w złej porze. Dopiero jak wiosna nadejdzie i każdy szuka mieszkania wśród drzew, nie uważając już w której części miasta, Dreźnie okazuje się większe, lecz za to mniej towarzyskie. Stare miasto, a jakby je także nazwać można, zimowe, będąc niezbyt dawno fortecą, ma domostwa bardzo ścieśnione i wysokie, ulice wąskie i nie długie. Nie widać tam przerw żadnych, domy o sześciu i o siedmiu piętach

---

\*) Nowo urządzone hotele: *Hôtel de France*, *British Hôtel*, *Hôtel de l'Europe*, *Victoria Hotel* i *Hotel Bellevue* są teraz szczególnie; przez przejeżdżających zajmowane. — P. W.

stawiane jeden obok drugiego jak na rynkach krakowskich i warszawskich; mieszkać na trzeciém piętrze, jest rzeczą bardzo przyjętą nawet od majątnych osób. Ulica najznakomitsza *Schlossgasse* (Zamkowa) nie szersza od końca naszój Senatorskiej, a wszystkie inne prócz *Moritzstrasse* nie wiele okazalsze od ś. Jańskiej i Piwnój: niektóre daleko węższe i więcej podobne do długich korytarzy, niżeli do ulic. Dzięki jednak ochędostwu Sasów, wszędzie, w najciaśniejszym zakątku, zawsze jest czysto i zawsze sucho. Do tój korzyści przyczyniają się nie mało, prawie ciągłe wiatry, położenie miasta, i dobre od początku urządzenia. Z pobliskich gór wychodzą rzeki, z których wody zbierane w trzy wielkie składy i prowadzone rurami, każdy prawie dom opatrują; tém nieocenioném dobrodziejstwem, ułatwiona czystość. Prócz tego, tak zwanych u nas *rynsztoków* wcale niema; porobione ścieki między chodnikami z gładkiego kamienia, jedynie prędsze osuszenie na celu mają; kanały są podziemne, idą pod całym miastem środkiem ulic. W zimie śnieg jak najstaranniej bywa zmiatany, a troskliwość o wygodę mieszkańców taka, że w czasie ślizgawicy wysypują ścieżki piaskiem lub trocinami. Wszyscy téż prawie chodzą piechotą i w całym mieście niezmierna spokojność panuje.

Pamiętam, że przyjechawszy, najwięcej mnie zastanowiły te trzy rzeczy: ochędostwo, cichość i jakaś równość, której dotąd nigdy nie widziałam. Siedząc często w oknie a mając widok obszerny i śliczny na cały nowy rynek, na kościół Panny Maryi, pytać się często miałam ochotę, gdzież tu pospółstwo? gdzie panowie i próźniacy? Nie zobaczysz bowiem w Dreźnie nędzarza w łachmanach, brudnego żyda, rozczochranych dziewcząt, obszarpanych kobiet, dzieci boso i obdartych; wszyscy porządnie, chędogo, niemal jednostajnie ubrani: wszyscy obuci. Nie razi oczu i serca przyjaciela ludzkości, widok tych żyjących śmieci, tój obrzydliwój nędzy, która nasze miasta tak kazi, taki wstręt wzbudza,

i tak o nierówności stanów i doli boleśnie przemawia. Na całą ludność Drezdeńską jest tylko ośmuset żydów, a tych jeszcze rozpoznać trudno, bo zupełnie tak ubrani jak chrześciance. Skutkiem pracowitości i porządku, wielu zakładów dobroczynnych, i tej trudności jaka jest w każdym Niemcu do wydania choćby szeląga—żebraków z rzemiosła zdaje się że wcale niema; po wszystkich kościołach, nawet katolickich są skarbonki dla ubogich, ale drzwi domu Bożego nie otoczone nigdzie tą zgrają brudną, piszczącą i chciwą, która prędzej od jałmużny odstręczy jak zachęci do niej. Tu choć się zdarzy że kto żebrze, to mimo tego ochędoźnie ubrany, kalectwa i ran swoich nie wystawia jakby na sprzedaż, a jednak czynniejsza niż gdziekolwiek musi być dobroczynność, skoro tak mało jest nędzy.

Równie jak mało nędzy tak i zbytku nie wiele. Prócz dworskich karet, powozów zagranicznych posłów, i krajowych ministrów, ekwipażów nie widać prawie wcale. Nie ma połowy tego ruchu, krzyku i hałasu, co na główniejszych ulicach Warszawy. Sasi nie piją, nie kłócą się, nie mówią głośno; przez czas mego pobytu w Dreźnie, daleko częściej na ulicach, w ogrodach, polską mowę niżli niemiecką słyszałam, zwłaszcza idąc wieczorem; bo porządni i pracownicy mieszkańcy już o dziesiątej spoczywają u siebie; o tej godzinie wszystkie domy pozamykane, wszędzie milczenie; zegary tylko słycać, i stróża nocnego, jak odzywa się co godzina na trąbie, głosem do ryku krowy podobnym, oznajmia porę i zachęca do spoczynku. Przekupnie nie wydają żadnych krzyków po ulicach, prócz tych co roznoszą obwarzanki w zapusty i rzodkiewki na wiosnę; robocze i piwo-warskie wozy zastąpione niemal zupełnie taczkami, albo wózkami małemi, które cichuteńko nie konie ale psy, a bardzo często ludzie ciągną, bu tu żadnej pracy nikt się nie wstydzi.

Dorożek do najęcia, takich jak u nas właściwie niema.



W kilku miejscach stoją porządne koczki; na godzinę wziąć je trzeba, płacić od każdej osoby, co dosyć drogo wynosi; używane więc najwięcej do dalszych przejażdżek za miasto \*). W złą porę, albo na wieczorne zabawy, damy każą się nosić w lektykach; widziałas może Helenko, te karetki na drążkach, u nas dla chorych używane, które dwóch ludzi niesie. Wielu bardzo powstaje na ten zwyczaj, uważając go upadlającym i niedorzecznym; ale ponieważ nikt tych lektykarzy nie przymusza, i oni bynajmniej tego sposobu zarobku nie mianują ani krzywdą ani hańbą, ja w nim widzę tylko niezmierną dla kobiet wygodę i wielką ochronę zdrowia. W czas słotny albo wietrzny zaproszą cię na obiad albo na wieczór, ubierzesz się lekko, strojno; piechotą iść niepodobna, w każdym powozie zgnieść suknię i zaziębić się możesz: tu przyjdą po ciebie, jeżeli chcesz do pokoju, i prosto z gotowalni wsiądziesz do téj karetki; zamkną cię, zaniosą za trzy srebrne grosze gdzie każesz i wsiądziesz znowu pod dachem, świeża i nie zziębnięta jakby z pudełeczka. Lecz ten zwyczaj lektyk, który Dreźnie szczególną cechę nadaje i długo cudzoziemca rozśmiesza, najlepiej dowodzi jak to miasto jest spokojne i jak Niemcy są uważni. Lektykarze żółto albo niebiesko ubrani, w długich pończochach, które sami sobie w chwilach wolnych robią, idą ze swoją karetką, i zamkniętą w niej jak w klatce damą, środkiem rynków i najznakomitszych ulic, a nie było przykładu żadnego przypadku. Prawda, że z powodu kanałów podziemnych, zakazanem jest jeździć prędko, ale téż zdaje się, że tu i zwierzęta rozsądne; zbiegania się koni, wywrotu powozu, roztrącenia idącego pieszo, nie wiem czy Sasy mają wyobrażenie; raz przy mnie przez Pyrnejską ulicę

\*) Tak było do roku 1838, lecz teraz posiada już Dreźnie oprócz tych powozów przeszło 100 wygodnych dorożek, których kurs 4 ngr., a na godzinę 12 ngr. kosztuje.

przejechał pędem żołnierz na koniu, — natychmiast mnóstwo głów ciekawych pokazało się w okienkach; chłopcy biedz za nim zaczęli, przechodzący stawali na chodnikach, patrzyli za nim, i już dawno przejechał, a oni jeszcze dziwili się nad tém zjawiskiem, i ganili taką poryweczość.

Domy w całym Starém mieście, tak na rynku jak na znakomitszych i najciaśniejszych ulicach, są murowane i wysokie. Niema zwyczaju bielienia ich częstego ani malowania, co daje miastu całemu poważną postać. Starożytniej barwy jednak niema. Wszystkie prawie domy są w kształcie kamienic, wszystkie kościoły nowoczesne, żadnej gotyckiej budowli. Drezno zdaje się być jednego wieku z Warszawą, a nierównie młodsze od Krakowa. Są jednak, zwłaszcza na Zamkowej ulicy, domy, których napisy i rzeźby świadczą, że od XV-tego wieku stoją. Te dawne domy i wiele innych późniejszych odznaczają się rodzajem wystawek, u nas wcale nieznanym, które tu zowią *Erker*; jest to jakby ganek umieszczony w środku domu, lub na rogu, wypukły, okrągły, czasem tak duży jak pokoiik, i użyteczny w każdej porze roku, bo ma dach swój i okna; nie można powiedzieć, żeby te wystawki kształtne były, ale mają oryginalność jakąś, i wiem z doświadczenia że bardzo wygodne i miłe. Była taka w mojem mieszkaniu, i w niej siedzieć a nawet pracować niezmiernie lubiłam. Uważałam ten gust i w innych; prawie zawsze w każdym *Erkerze* widzieć można kogoś siedzącego; tam także rozstawiają kwiaty, a kupcy rozkładają towary, i te wystawki choć nie piękne, rozweselają posępne często ulice. W ogóle daleko tu więcej dbają o publiczność jak u nas, i kupcy nie żałują wystawiać tego co mają najpiękniejszego. Na starym rynku, na kilku ulicach, mianowicie na Zamkowej, trudno przejść i nie stanąć dla przypatrzenia się gustownym i modnym kobiecym ubiorom i ozdobom, kosztownościom srebrnym i złotym, rycinom i malowidłom; — a w całym mie-

ście, w każdym prawie oknie, zastanawia i ujmuje mnóstwo najpiękniejszych kwiatów, które zdają się być tam więcej jeszcze dla obcych niżli dla domowych. Drezdeńscy bardzo dbają aby ich miasto dobrze się wydało, i schludną miało postać; i tak na przykład, godną jest wspomnienia troskliwość z jaką rynki swoje przynajmniej na dnię świąteczne oczyszczają. W Sobotę w wieczór są jeszcze zastawione budami, kramami, straganami, tak że przejść trudno,—budzisz się w Niedzielę, i widzisz je tak puste i czyste jak dłoń; pierwszego razu zdaje ci się że to czary, ale gdy ten widok odnawia się co Niedziela, przekonywasz się, że jest dziełem niezmeconej cierpliwości i głębokiego zamiłowania porządku, które także cudów dokazać mogą.

Słowem, postać zewnętrzna Drezna, jest wcale ujmująca; nie zadziwia, nie wprowadza w żaden odmęt, nie rozrywa tak aby do pracy czasu nie zostawiała, ale podoba się i zaspokaja; równie na pierwszy rzut oka jak po długim pobycie wzbudza przekonanie, że to jest miasto dla uczciwej, skromnej, prostej i pracowitej mierności; tanie, wszystkie wszystkim; w niem i potrzeby życia i przyjemności jakie zawiera, łatwe są do zaspokojenia, i że tak powiem dla każdego dostępne. Bogaczom, chciwym wielkich zabaw i uciech, znaczenia, tu mieszkać nie warto; ale dla osób szczupłego majątku, albo dla tych którzy wiele użyli lub wycierpieli, miejscem jest miłego pobytu i wytechnienia. W moim przynajmniej umyśle, takie Drezna wyobrażenie zostało.

Lecz dosyć tego na dziś, Helenko. Lubo wiem że teraz więcej czytujesz niż dawniej, zawsze chcę żebyś to miała w pamięci: że nie warto pożerać książki, i że u panienki dobrze wychowanej, z której ma być kiedyś przykładna kobieta, zawsze czytanie, ręcznej robocie, staraniom gospodarskim, ustąpić powinno. Idź więc teraz, Helenko, i pomóż w czem dobrej matce twojej; jutro drugi mój list przeczytasz.

## LIST DRUGI.

Kościół Drezdeński.—Nabożeństwo.—Pogrzeby i cmentarze.

List mój dzisiejszy zaczynam od poważnego przedmiotu: od kościołów i nabożeństwa. Ale jak w człowieku najwyższe i najpiękniejsze pomysły i uczucia, są skutkiem znajomości Boga, tak w mieście każdym, budowy czci Jego poświęcone, pierwsze miejsce trzymają, i nadają stolicom wyraz ich właściwy. Zdaleka spostrzega podróżny świątyn wieże i szczyty, a z ich kształtu domyślić się nawet może na jaki sposób w tym kraju cześć Stwórcy jest oddawana; bo nie trzeba ci tego mówić, Helenko, że nie wszędzie ten sposób jest jednakowy, i że daleko jeszcze do tych błogich czasów, kiedy według słów Chrystusa, na całej ziemi jeden będzie pasterz i jedna owczarnia.

Lubo Saksonią uważać należy za kolebkę reformy i wszyscy jej mieszkańcy prócz rodziny królewskiej i małej liczby prywatnych, idą ciągle za wyznaniem Lutera, przecież niepodobna odmówić narodowi temu wysokiego stopnia religijności. Pracowitość, dobry byt, uczciwość, wstrzeźliwość jego, już najlepszym tój prawdy dowodem, ale jeszcze i w mniejszych pokazuje się rzeczach. Niedzielę, na przykład, przeczuwasz w Dreźnie, nim zajaśnieje. Już w Sobotę zwiastują dzień Pana, porządki na ulicy i po domach, śpieszne robót kończenie, głoszą go poważne dzwony; a mnie która mieszkałam naprzeciw Panny Maryi (Frauenkirche) oznajmiał go zawsze przed wschodem słońca, odgłos organów i pieśni. Dotąd czuję jak mile ten dźwięk pełny i wspaniały mnie budził, jak brzmienie jego długie i uroczyste, dusza słyszała: na cały dzień mi zostawało jakieś błogie wrażenie, wzmagane tём wszystkiём co mnie otaczało. W Dre-



nie, w Niedzielę, wszelkie prace zawieszono, powozów na wet mniej jeszcze widać jak zwykle; wszyscy od rana jak tylko mogą najlepiej ubrani: wszędzie powaga, staranie podwojone. Każdy w milczeniu dąży do kościoła, wszyscy w kościele być muszą; mają na to wprawdzie dzień cały, gdyż od rana do szóstej w wieczór, co jedno nabożeństwo się kończy, i rozejdą się obecni, drugie się rozpoczyna. Nigdy też Drezno nie zdawało mi się tak ludne i ożywione, i takim siedliskiem prawdziwej równości, jak w Niedzielę; i nigdy napatrzeć się nie mogłam widoku, jaki w te dni miałam z moich okien. Bo wystaw sobie Helenko, wspaniały kościół stojący na obszernym rynku, z czterema wnijściami po szerokich schodach, a po każdym skończonem nabożeństwie, za otwarciem podwojów tych czworga drzwi, sypiący się z nich lud, a raczej wylewający się w podobieństwie do wody z zatrzymanych spadów; i ten lud cały, jakby rodzina sióstr i braci, która u wspólnego ojca była! gdyż trudno by gdzie widzieć doskonalszy obraz równości: tu każdy zdawał mi się oświecony i w dobrym bycie, każdy miał książkę w rękę i ubiór porządny; a nie uwierzysz jak miły widok podobny, zwłaszcza dla oczów nie nawykłych do niego; jak przyjemny sercu ten dowód oczywisty sprawiedliwości, z jaką Bóg dzieci swoje obdziela—sprawiedliwości, której gdzieindziej w głębi dusz dochodzić trzeba.

W protestanckich miastach, zwykle mniej bywa kościołów niżli w katolickich; w Dreźnie wydatnych jest tylko pięć: Panny Maryi (Frauenkirche), Ś. Krzyża (Kreutzkirche), Zofii (Sophienkirche), Ś. Anny (Annenkirche) i Fara na nowém mieście (Pfarrkirche). Pomniejszych, jako i kaplic dziewięć. Z pięciu pierwszych, najpiękniejszy wspomniany *Frauenkirche*. W miejscu gdzie się wznosi, stał od bardzo dawnych czasów, kościół pod opieką Panny Maryi, a nawet w końcu XI wieku, obraz Jój był tu czczony. Po zaprowadzeniu reformy, równie jak i w innych tak i w tym domu

Bożym zniesiono katolickie obrzędy, ale dawna nazwa mu została, i zachował ją także wspaniały dzisiejszy kościół, zbudowany w początkach zeszłego wieku na miejscu starego. Budowniczy jego, Jerzy *Bahr*, chciał dokazać sztuki i cały gmach postawić jedynie z kamienia, nie używając do składu zewnętrznego, ani kawałka drzewa lub cegły. Udał mu się ten pomysł szczęśliwie, szkoda tylko, że śmierć nagle nie dozwoliła uwieńczyć tak znakomitego dzieła; przez ośm lat nad nim pracując, nie zdążył ukończyć wierzchu kopuły: nikt inny nie umiał ułożyć jej z kamienia i zrobiono daszek z blachy, co szpeci całą budowę, ile że pomalowany zielono, jakby poduszczecka. Mimo téj lekkiej skazy prześlicznym jest ten kościół; kształt jego, wielki czworobok zaokrąglony, na rogach którego wznoszą się wieżyczki, a środek stanowi ogromny i okrągły dach w kształcie kopuły, którą kończy wysoka i udatna wieża, górująca nad wszystkimi budowami Drezna. Chociaż podobna massa z ciosowego kamienia powinna być ciężka, przecież szczęśliwą miarą, i prawdziwą budowniczego sztuką, jest tylko poważną, i wzbudza to miłe uczucie, jakie widok trwałych i długi byt wróżących dzieł ludzkich, zwykł sprawiać. Bo nie wiem czyś to już uważała, Helenko, że chociaż człowieka krótki pobyt na téj ziemi, onby rad, żeby to wszystko nad czem pracuje, to co mu się podoba, dłużej niżli on zostało; przeczuwa, że dla niego będzie inna nieśmiertelność, której sprawy rąk jego dostąpić nie mogą. Kościół Panny Maryi wystawił już dowód swojej trwałej budowy. W pamiętnym roku oblężenia 1760, wytrzymał bez żadnej szkody pociski kul i bomb; a kiedy w około niego domy padały i paliły się, on stał niewzruszony. Z wieży na którą po dosyć wygodnych schodach się idzie, widok na całe miasto i okolice uroczy; ta pielgrzymka należy do tych, które podróźni prawie z obowiązku odbyć muszą.

Drugi kościół w rzędzie, jest *Kreutzkirche*, także w Sta-

rém mieście na ulicy tegoż imienia; lubo dosyć wspaniały nie wydaje się tak dobrze jak Panny Maryi, bo w ciśniejszym miejscu stoi; jednak pięknym obyczajem w nowoczesnych kościołach przyjętym, obejść go można w około, i sześć ma drzwi wchodowych. Kościół ten także był dawniej katolickim, i od ułamku krzyża Zbawiciela w nim przechowywanego, tak nazwany; nieszczęśliwie położony czy zbudowany, dwa razy (w roku 1461 i 1669) stał się pastwą płomieni: w roku 1760 zupełnie był zniszczony. W cztery lata potem założono węgielny kamień dzisiejszego, według planu *Schmidta*, ale dopiero w roku 1792 doczekał się poświęcenia. Kształt jego jest podłużny czworobok, dach miedziany prawie płaski, ma na 305 stóp wysoką wieżę z zegarem.

*Kościół Zofii* (inaczej Hofkirche) tak jest nazwany od wdowy elektora Krystyna II, która mu dzisiejszą postać nadała, i której cnoty chciano uczcić tą świętą pamiątką. Zofia księżniczka Brandeburska słynęła szczególnie jako dobra matka. Mąż jej odumarł ją wtedy, kiedy syn jego jedyny i przyszły następca, Jan Jerzy I miał dopiero lat sześć. Poświęciła się zupełnie jego wychowaniu, upatrzyła mu rozsądnego opiekuna, dobrała zacnego i światłego mistrza Leonharda, i pilnowała żeby syn jej szanował go i słuchał jak ojca. Wspominają historycy o tym szacunku młodego księcia dla nauczyciela; nie było dla niego większej kary, jak kiedy *czarną książką* mu zagroził; w nią bowiem rozsądny Leonhard zapisywał wszystkie błędy ucznia, a Jerzy bał jej się jak drugiego sumienia. Po elektorowej Zofii zmarłej roku 1619, są do dziś dnia bardzo cenione od Sasów dukaty, z napisem: „Szczęśliwy ten, który pociechy z dziełek dożyje!“ Spodziewam się, że ojciec i matka twoja, Helenko, należeć do liczby tych szczęśliwych będą.

Kościół Zofii jest jednym z najdawniejszych w Dreźnie; niedaleko zamku, najprzód był klasztorem, potem od Henryka, reformowanym dworskim kościołem; gdy August II-gi

wyrzekł się nauki Lutra dla polskiej korony, tu katolicki obrzęd był zaprowadzony, a za Augusta III-go, znowu dawnemu wyznaniu go oddano. Nosi cechę tych przemian i starożytności swojej, ale jest mały, niewydatny i oszpeczony poprzyczepianemi domostwami. Wchodowe drzwi kunsztownej i dawniej roboty, są jedyną prawie w Dreźnie gotyckiego stylu pamiątką. Wewnątrz jest ołtarz wyrobiony ze sztuki marmuru, którą elektor Albert przywiózł z Ziemi Świętej jeszcze w roku 1476, jako szczątek jerozolimskiego kościoła. W tym ołtarzu utkwiony wizerunek Zbawiciela znacznej wielkości: prócz ramion, cały jest z jednej kości słoniowej. Wokoło tego kościołka było dawniej nadgrobków wiele, wszystkie ze zbytniego porządku zniszczono; w środku są jeszcze grobowe pomniki, a między innymi, pierwszej żony walecznego Maurycego, Zofii Jadwigi: jest klęcząca z dwojgiem dzieci przed krzyżem. Pokazują tu biblią niemiecką najlepszego z elektorów, Augusta, którą roku 1581 złożył na pamiątkę. I my na dwadzieścia lat pierwiej, bo w roku 1561 mieliśmy bardzo dobre drukowane tłumaczenie biblii, Janowi Leopolicie przypisane.

*Kościół Anny*, na przedmieściu *Wilsdorfskim*, otoczony kanałem w otwartem miejscu; dosyć jest wydatny, ale zniszczony zupełnie w czasie siedmioletniej wojny, jeszcze nosi ślady tej klęski. Równie jak poprzedni winien swoje nazwanie zacnej kobiecie, Annie, królownie duńskiej, godnej małżonce dobrego Augusta; na jej pamiątkę postawiony został roku 1584. Piękny to i właściwy sposób uczczenia zacnej i pobożnej niewiasty, stawiać w jej imieniu Bogu świątynie. Anna godną była ze wszech miar tego pomnika: dobra żona, matka troskliwa, staranna gospodyni, w swoim zakresie tak była pracowitą, rządzą, użyteczną jak mąż jej. Nieraz chodziła na rynek, żeby się przekonać o cenie mięsa i innych potrzeb do życia. W folwarku *Ostra* przez nią założonym, i który trwa dotąd, trzymała najpiękniejsze kro-



wy i często sama koło nabiąłu chodziła. Wiedziała o potrzebach poddanych swoich i zaradzała im macierzyńskim sercem; a jak mąż jej nie był znany od ludu pod innem imieniem, tylko *Ojciec August*, tak ją, *Matką Anną* powszechnie zwano. Do niewieścich cnot łączyla wiele męztwa, bo podobalo się Bogu ranić jej serce najśroźszym dla niewiasty ciosem: piętnaścioro dzieci urodziła, a tylko czworo ją przeżyło. Aż dreszcz przechodzi pomyśleć ile boleści w tych krótkich słowach...

Kościół Farny na Nowém mieście, założony został przez Augusta II, obszerny i jasny, niedosyć na świątynią wspinały. W tém miejscu, bardzo dawny kościół zgorzał 1685 roku.

Te wszystkie kościoły znając długó z powierzchowności, na wyjeźdne z Drezna zwiedziłam wewnątrz, jednéj Niedzieli. Wszystkie są bardzo proste i wyjąwszy kościół Zofii, bez żadnych prawie pamiątek i ozdób. Nabożeństwo odbywa się poważnie; śpiewanie psalmów i kazania całą jego treść stanowią; najczęściej organy są nad ołtarzem, lub siedzący w ławkach, i w lożach kościelnych śpiewa, a głos organu mu odpowiada: jest w tym układzie piękny pomysł; wystawia jakby rozmowę między ludźmi i wyższą Istotą. Wszędzie jeden jest tylko ołtarz, bardzo ubogi, z wizerunkiem Zbawiciela na krzyżu; widziałam jednak obrazy rozmaite, bądź malowane, bądź w płaskorzeźbie. Tak w *Frauenkirche* i u Fary na Nowém mieście, jest z kamienia, w pierwszym Chrystus w Ogrójcu, w drugim mądre i nieroztropne dziewice z Ewangielii. W *Kreuzkirche*, jest Zbawiciel na krzyżu, a obok Matka Jego i Jan Apostoł; w Anny kościele, przeniesienie Chrystusa. Wszędzie po prawej stronie ołtarza, wiszą portrety Lutra i przyjaciela jego Melanchtona, a po lewej, tablice z liczbami oznaczającymi jaki psalm na dzień obecny śpiewać przypada.

W tych kościołach, jakkolwiek uczęszczający zdawali

mi się równi światłem i ubiorem, nie ma tyle pod innym względem równości co w naszych; jest w każdym bardzo wiele łoż i ławek rodzinnych, których już nikomu innemu zajmować nie wolno, i które w nieobecności właścicieli, zamknięte są i próżne, choćby największy był natłok. Nie podobały mi się te wyjątki i różnice w domu wspólnego wszystkich ludzi Ojca. Z kaznodziei wyznań reformowanych, słyszałam z największą pochwałą o księdzu *Amonie*, który oraz wysokie miejsce w hierarchii duchowieństwa saskiego zajmuje; jest jednak i innych wielu zdatnych i wymownych, bo o to jak najusilniej się starają.

Lecz chociaż religia panująca w Dreźnie i całej Saksonii jest reformowana, nasza katolicka nie przy niej w używaniu swoim nie traci, zwłaszcza od roku 1806, kiedy Napoleon w zupełności ją oswobodził. Wiele osób naszego wyznania jeszcze z rozczuleniem wspomina chwilę, w której za jego rozkazem, zagrzmiały pierwszy raz dzwony katolickiego kościoła głuche dotąd. Od tej pory, obchód wszystkich uroczystości naszych jest poważny i dokładny, duchowieństwo liczne i szanowane, i to jest także jedna z przyczyn, dla której nam Polakom pobyt w tym mieście przyjemny. Nieraz będąc w kościele katolickim, słysząc też same co u nas, w tymże języku śpiewy, widząc takie same kapłanów ubiory i zwyczaje, łudziłam się, że jestem w ojczyźnie. Nie było tam nawet zupełne złudzenie, bo po błogiem wrażeniu, czułam żem w domu tego Ojca, dla którego nieszczęśliwi, ubodzy i prześladowani, najdroższymi są dziećmi, który później czy prędzej każdemu sprawiedliwość wymierzy; który wszystkim czyniącym, a przynajmniej chcącym dobrze, wspólną i wiecznie trwałą ojczyznę przeznaczają....

W całym kraju naszym nie mamy piękniejszego w nowym stylu kościoła, od tego, którym król nasz August III Drezno ozdobił. Stoi nad Elbą przy wstępie na most,

w miejscu okazałem, otwartem, tak że wkoło obejść go można. Budowany w kształcie podłużnego czworoboku, cały z kamienia ciosowego, z wysoką wieżą na przodzie, może zbyt dużą liczbę ozdób zarzucić mu można; ale tak jest przytęm lekki, iż zdaje się jakby z kości słoniowej był wyrebotiony; gzyms jego ostawiony w około, 64 posągami różnych świętych, które wszystkie z rysunków *Torellego*, rzeźbiarz *Matielli* pięknie i w właściwej miarze wyrobił. Cztery jest wejść bocznych, piąte główne od mostu, na którym w górze, herby polskie i napis w tych słowach: *D. O. M. hanc sacram aedem Augustus III condidit MDCCLIV* \*). Budowniczym był Kajetan *Chiaveri*, budowa trwała lat kilkanaście i kosztowała do dwóch milionów talarów; wojna siedmioletnia, klęski jakie sprawiła, nie dozwoliły pobożnemu Augustowi ozdobić go wewnątrz jak miał zamiar; jakoż prostota kościoła tego w środku, nie odpowiada zewnętrznemu bogactwu. Atoli piękny jest wszędzie i samą wielkością wspaniały. Stanowi właściwie jakby trzy kościoły. W środkowym na chórze są organy roboty sławnego w Niemczech mistrza *Silbermana*; kazalnica przeciążona ozdobami snycerskimi z drzewa, pracy *Permoza*, i trzy obrazy wybornego pędzla *Rafaela Mengsa* \*\*). Pierwszy w wielkim ołtarzu

---

\*) Bogu najlepszemu, największemu, ten święty przybytek August III wystawił r. 1754.

\*\*\*) Antoni Rafael Mengs z Drezna, którego ze sławnym Rafaelem Włoskim, Sanzio z Urbino, mieszać nie należy, urodził się w Dreźnie r. 1728. Ojciec jego Izmael, Duńczyk rodem, dobrym był malarzem porcelany. Umarł w Dreźnie 1757 r. i miał do końca pensją od dworu saskiego. Młody Mengs okazywał z dzieciństwa zdatność wielką do rysunku, uczył się od ojca malować porcelanę i pastelami, i pojechał z nim do Włoch r. 1740. Za powrotem do Saksonii, lubo bardzo jeszcze młody, przedstawił próby tak wielkiego talentu, że August III mianował go malarzem swoim, i Włochy na miejsce pobytu przeznaczył. W r. 1754 papież zrobił go jednym z dyrektorów akademii malarstwa w Kapitolium.

wystawia *Wniebowstąpienie Zbawiciela*. Postać Chrystusa coraz światlejsza, im bliżej jest otwartych niebios, grono apostołów i uczniów zdziwionych, Marya z tęsknotą i z radością za synem patrząca: wszystko to razem nader piękną całość stanowi. Jeżeli jednak wolno ganić tak wielkiego mistrza, pomimo całej piękności aniołów, nie podobała mi się górna część obrazu; wystawić w niej chciał malarz Boga w nieskończonym majestacie: nigdy nie pojmem jak może pędzel targnąć się na takie dzieło. Dzieci mogą sobie stworzyć obraz Najwyższej Istoty w nieświadomym umyśle swoim, ale im starszą będziesz, Helenko, tém zwiększać się będzie w tobie to tajemnicze wyobrażenie, i skończysz na tém, że będziesz Boga czuć sercem, ale ani rozumem pojdziesz, ani tém bardziej oczom nie zechcesz wystawić. Drugie dwa obrazy w pobocznych ołtarzach będące, wystawiają *Sen św. Józefa*, gdy mu anioł oznajmia przyszłe narodzenie Chrystusa, i *Maryą* trzymającą kilkoletnie dziecko Jezus, które z natężeniem nadludzkiem zabija i depcze smoka. Twarz Maryi dziwnie nadobna. Z obudwóch stron wielkiego ołtarza, są łoże aksamitem ponsowym wybite, w których rodzina królewska się modli, dalej ganki gdzie dwór i pierwsi urzędnicy wyznania katolickiego się mieszczą.

Z dwóch pobocznych kaplic, jedna ś. Ksawerego, dru-

W r. 1757 Mengs ukończył pierwsze dzieło ścienne (al fresco) w kościele św. Euzebiego w Rzymie. W r. 1767 król hiszpański powołał go do Madrytu, aby był pierwszym jego malarzem. Mengs doczekał się znacznego majątku i sławy, używał przytém szczęścia domowego, obok żony, którą kochał namiętnie. Ale w r. 1777 umarła mu, żal jego tak był gwałtowny, że słabiec zaczął i we dwa lata po niej wstąpił do grobu. Umarł w Rzymie 29 Czerwca 1779 r. Zostawił dwóch synów i trzy córki. Pisał wiele o sztuce swojej i uznawany jest powszechnie za pierwszego malarza XVIII-go wieku. W Dreźnie i w Madrycie najwięcej robót jego.



ga s. Benona nazwę nosi. Wyobrażenie pierwszego opiekuna jest pędzla *Notarego*; wystawia świętego w indyjskich krainach, kiedy kona wśród dwojga dzikich ludzi, nauczonych przez niego boskich przepisów chrześcijaństwa. Zdumienie i żal tej pary dobrze wyrażone; nie zdawał mi się naturalny pies, który śpi kiedy pan kona. Zwierzęta tego poczciwego rodzaju, zwykle mają więcej czułości. Ten sam *Notari* malował obraz przeciwległy, ś. Ignacego Lojoli. *Torrelli* ozdobił kaplice ś. Benona; nad ołtarzem wystawił niesienie jego do grobu, a na ścianach różne zdarzenia świętobliwego życia. W naprzeciw będącej drugiej kaplicy, jest obraz każącego ś. Jana Niepomucena, przez *Palco* zrobiony; piękne grono słuchających go, osobliwie dwie kobiety bogato ubrane. Są jeszcze w małych kaplicach za wielkim ołtarzem dwa obrazy: jeden pędzla *Sylwestra*, wystawia wieczrę Pańską; drugi *Hutina*, Zbawiciela na krzyżu. Z dzieł rzeźbiarskich, dwa tylko posągi z marmuru, dłuta *Berniniego*, ten kościół zawiera, Jana Chrzciciela i Maryą Magdalenę, i wielką chrzcielnicę; znawcy je chwala, są zupełnie starożytnego smaku.

Kościół katolicki w Dreźnie ma właściwe sobie zwyczaje; niewolno mężczyznom i kobietom siadać w jednych ławkach; strona po prawej ręce jest dla nich, po lewej dla nas; przez cały ciąg nabożeństwa chodzi po kościele kilku tak zwanych *Szwajcarów*, to jest odźwiernych, wysokiego wzrostu, w barwie królewskiej, z wielkimi laskami, którzy porządku pilnują. Mówią, że te oba zwyczaje wprowadziła pobożna Marya Józefa, żona Augusta III, która była niezmiernie gorliwą o dobre obyczaje i przyzwoitość.

Obrzędy religijne w katolickim kościele w Dreźnie, miały dla mnie tém większy urok, że towarzyszy im muzyka jakiej trudno gdzie usłyszeć. Prawda, że nie jest ona właściwie święta i nabożna, nie stanowią jej same organy i głosy, ma wiele teatralnego w sobie; ale jest jednak dzi-

wnie piękna, a zwłaszcza ta którą odgrywają w większe święta i uroczystości, unosi i zadziwia. Obok najlepiej osadzonej orkiestry, zawsze jest kilku śpiewaków znakomitych; przy nas był *Zesi*, *Pessadori*, *Sassarolli*; ten ostatni blisko przez pół wieku zadziwiał Drezno swym głosem, teraz dla słabości zdrowia musiał wrócić do cieplejszej ojczyzny: sły-  
szałam kiedy śpiewał na pożegnanie. Już ma przeszło lat 70, a gdy się odezwał z chóru, zdawało mi się, że całą, świątynię bogatym i donośnym głosem napełni; a kiedy ciągnął więcej niż minutę i sądzić było można że przerwie, zadziwiał nas jeszcze rzesistą ruladą. Prócz śpiewaków nadwornych, zwykle Włochów, jest zawsze ze dwunastu młodych chłopców dobrze wyuczonych, których co parę lat odmieniają; i wcale dziwić się nie można, że muzyka kościoła katolickiego w Dreźnie, w całych Niemczech głośna, i że na nią z takim upodobaniem krajowcy i cudzoziemcy uczęszczają. Wszakże ten hołd powszechny psuje cokolwiek nabożeństwo. W wielkie uroczystości zwłaszcza, większa połowa przychodzi jedynie przez ciekawość; prawda, że wtedy można się zabawić. Na Wielkanoc, na Boże Ciało, król, cała jego rodzina, dwór, występuje wspaniale: jaśnieją drogie kamienie, paziowie niosą długie książęcych sukien ogony i przypominają się zupełnie opisy staroświeckich obyczajów, albo téż teatralne sceny. Takie widowiska wabią lud, nawykły w swoich obrzędach do zawsze jednostajnej prostoty.

Ale które nabożeństwa podobały mi się w Drezdeńskim kościele, to żałobne; zdarzyło mi się być na kilku nawet znakomitych, bo na obchodzie dorocznym śmierci Fryderyka Augusta, i na pogrzebie żony Mit-regenta Karoliny; świec, ozdób nastawiano bardzo mało: cała pompa żałobna była w rozpostartym wszędzie czarnym kirze i w cudownej muzyce. Nigdzie muzyka na właściwszém nie jest miejscu, jak w nabożeństwie za umarłych; to prawdziwa duchów mowa, mowa górna, ulotna, głęboka, która zdaje się, że

niebo przebije, ziemię przeniknie... Już to wyznać należy, iż od Niemców wielebyśmy się nauczyć mogli, zwłaszcza co do zrozumienia rzetelnych potrzeb życia, i do zaspokojenia ich bez wielkich wydatków. Tu naprzykład, tak w katolickich jak w reformowanych kościołach, nie ma targów, układów z księżmi o pogrzeby. Na całe miasto jest jeden przedsiębiorca świecki, i są stopniowania do spełnienia tego smutnego obrzędu, przepisami odwiecznymi oznaczone. Kto nie szczęściem zmuszony do oddania komu ostatniej posługi znosi się tylko z przedsiębiorcą, oświadcza jaką ją mieć żąda, daje pieniądze i już o nie się nie turbuje. Na umówioną godzinę, zajedzie wóz śmiertelny, ta ostatnia i najpewniejsza dla wszystkich podwoda, i wszystko przywoicie według umowy się spełni. Odmiennym jak u nas zwyczajem, trumien tu wcale nie widać w przewozie ciała przez miasto; dla tego też zwykle są mocnej ale prostej roboty; okrywa je wraz z całym wozem, wielki całun czarny, którego ozdoby według okoliczności się różnią, i czem był zmarły, zwiastują. Tak mężczyznom stosownie do ich powołania: broń, pióro, wawrzyny, lub rzemiosł oznaki kładą; płci naszej, kądziel, wieńce; a jeżeli młodą dziewicę przed czasem do zimnej wiozą gospody, wtedy żałobna zasłona zasuta całą świeżemi kwiaty, otoczona bogatą róż równianką: i jest w tym złączeniu śmierci i życia, smutku i wesela, dziwny urok, który bardzo do serca przemawia.

Pogrzeby odbywają się w Dreźnie zupełnie cicho, bez światła i śpiewu; kapłan zwykle jedzie w karecie przed żałobnym wozem, przed nim jeszcze postępuje przedsiębiorca, i kobieta, której rzemiosłem umywać i ubierać zmarłych; oboje czysto ubrani w stroju żałobnym, trzymają cytryny w ręku. Idący około wozu słudzy pogrzebowi, także w cytryny opatrzeni, zapewne dla miłej woni tego owocu. Nie jest wcale przyjetem, ażeby trumny wraz z ciałem stawiane były w kościołach, i nikomu prócz członkom rodziny kró-

lewskiej niewolno chowanym być w mieście; każdego prosto z domu na cmentarz odwożą, a exekwie odbywają się na-  
zajutrz. Mało kto także odprowadza umarłych. Zastanowi-  
ło to więc bardzo Drezdeńczyków, kiedy my Polacy, oby-  
czajem naszym, szliśmy przez całe miasto za zwłokami zga-  
słych tu rodaków naszych. Tkliwy był widok pochodu piel-  
grzymów, za temi, którzy już pielgrzymkę swoją skończyli;  
ja byłam świadkiem kilku takowych.... Przybyło katolickie-  
mu cmentarzowi w Dreźnie w tych czasach, nie mało pol-  
skich pomników, a już były niektóre dawniejsze. Miałam  
sobie za obowiązek odwiedzić spoczywających rodaków w tej  
cichój gospodzie, i spotkałam niektóre znane mi imiona;  
między innemi imie anioła cnót i piękności, zgasłej z tęskno-  
ty za ukochanym mężem, Dezyderyi z Gurowskich Komo-  
rowskiej; znałam ją dzieckiem nadobnym, widziałam jaśnie-  
jącą urodą i szczęściem, i nie myślałam wtedy, że kiedyś  
na obcej ziemi grób jej zwiedzać będę....

Cmentarz katolicki w Dreźnie, na Friedrichstadt położony, jest obszerny i porządny; piękniejsze są jednak pro-  
testantów, mianowicie cmentarz do Fary nowomiejskiej na-  
leżący, zwany także *Scheunenhof*. Ogólnie mówiąc mają oni  
więcej od nas poszanowania dla zmarłych, i zupełne upodo-  
banie w zwiedzaniu i zdobieniu grobów. Każdy też cmen-  
tarz jest jakby ogrodem, takie w nim mnóstwo drzew, krze-  
wów i kwiatów. To staranie rozjaśnia mieszkanie śmierci,  
przystęp daje nadziei. Każdy odznacza mogiłę tego, które-  
go utracił, jeżeli nie może kamieniem, to przynajmniej mu-  
rawą, kwiatkiem, wieńcem z nieśmiertelek. Cmentarze po-  
dzielone są na numerowane kwadraty; u zawiadującego jest  
plan i księga; na planie znaczą kwadraty już zajęte albo  
zakupione, a w księdze zapisują imiona i nazwiska pocho-  
wanych: łatwo obrać sobie grób, łatwo trafić do tych, któ-  
rych się szuka. Kwadraty wokoło muru będące, nabywane  
są najpierw na groby rodzinne, i każdy ma ogrodzenie.



Napis na czele zwiastuje jakiéjto rodziny miejsce spoczynku, i nieraz się trafi, że ta, dla którój w mieście lub w kraju pałaców, obszernych włości nie dosyć, tu kilkoma stopami ziemi zaspokojona.... Te zagrody uważane są zupełnie jako domy zmarłych; stoją w nich ławki dla żyjących, którzy tam przychodzą często, świeże wieńce przynoszą, sadzone kwiaty i krzewy hodują. W liczbie tych zagród grobowych i rodzinnych, które w ozdobach bardzo od siebie różne, zajęła mnie myśl jednój: grób wielki, obmurowany wewnątrz, a wiekiem jego ogromna księga roztwarta, z kamienia; na jój stronicach zapisują z kolei przybywających imiona i nazwiska, z datą urodzenia i śmierci. Już jedna stronica zapisana.

W liczbie grobów pojedynczych, na Nowomiejskim cmentarzu, jest kilka pięknych, a między temi pomnik, który rodzice jednój córce, Zuzannie *Mohlerts* wystawili. Dorodna kobiéta klęczy i płacze, nad nią jest dziecię nadobne; jedną ręką pokazuje czas obok stojący, a drugą niebo. Zdaje się jakby mówiło: „Nie płacz matko, on przeminie, a tam będziemy z sobą na zawsze.“ Jest także kilka grobowców w następującym kształcie: obmurowanie kamienne w podłużny kwadrat, zapełnione dobrą ziemią; na niój położony kamień z prostym napisem, mniejszy od obmurowania, tak, że w około zostaje jakby zagonek: ten zasiany różnemi kwiatkami, rezedą, niezapominajkami, bratkami, barwinkiem, tworzy wieniec żywy i niezwiędły. Takowy grobowiec nie kosztowny, a bardzo przyzwoity i miły; zdaje się, że tak cicho i dobrze pod tym kamieniem, a te kwiatki, to oznaki życia i szczęścia.... Cmentarz *Scheunenhof* zaleca się pomnikiem w dawnym niemieckim stylu, znany jest pod nazwiskiem *der Todtentantz*. Jestto płaskorzeźba nie bardzo piękna, z 27 osób złożona, które wystawiają taniec śmierci: papieża, cesarza, królów, książąt, ubogich, kalekę, kobiety, starca, mło-

dziana i dziecię; wszystkich kościotrup zapędza, mówiąc: „*Ihr seid hier alle gleich.*“ Wszyscy tu jesteście równi.

Ale nietylko w poważne, w smutne wdałam się opisy; przerwać je lepiej, a jutro wziąć się do weselszych.

---

### LIST TRZECI.

Zamek Drezdeński.—Riesensaal.—Pokoje Augusta II.—Pokoje Fryderyka Augusta.—Grüne Gewölbe.—Rüstkammer.—Dom Blokady.

Opiszę ci dziś, kochana Helenko, *zamek Drezdeński*: w całym mieście jest to najciekawsza budowa, nie dla powierzchownych zalet, których prawie żadnych nie ma, ale dla skarbów, które wewnątrz ukrywa.

Zamek ten postawił jak wspomniałam, roku 1534 Jerzy Brodaty; następcy powiększali go i zdobili; położony jest dobrze, bo nad Elbą wprost mostu; ale architektura popolita, i postać cała raczej stara niżli starożytna. Przeszkadza mu także bardzo kościół katolicki, gdyż tak go zastawił, że trudno kształt jego objąć, i z żadnej strony dobrze i całkowicie się nie wydaje. Najlepiej wygląda wewnątrz murów, i oba dziedzińce gładkim kamieniem wyłożone, z wieżyczkami na rogach, z gankami kamiennymi w słupy, mają przecież jakiś wyraz.

Pokojów i sal zawiera mnóstwo; obchodząc je, dziwiłam się jakim sposobem tak nie wielki na oko, tyle mieścić może. Zaprowadzę cię najprzód, Helenko, do tak zwanéj *Riesensaal*, olbrzymiej sali, a słuszniej jeszcze *Gewehrgalerie*, galerii broni. Jestto jedyna część mieszkalnego zamku, która zachowała starożytny i pierwotny krój swój, i gdzie można spędzić parę godzin bez nudów. Wystaw sobie salę

niezmiernie długą i wąską, z oknami po obudwóch stronach; ściany jej zakryte wizerunkami, zastawione szafami, w których zbiór szacowny rozmaitej broni. Wizerunki te lubo prawie wszystkie okropnie malowane, są przecież zajmujące, gdyż wystawiają wszystkich książąt, królów, elektorów saskich, jacy byli lub być mieli od pierwiastek saksońskiego narodu aż do Augusta II; pod każdym jest napis, który chociaż często zbyt szumny, zawsze jest uczący, tak że odczytanie wszystkiego może służyć niejako za treść historii saskiej. Są tam obrazy wodzów bitnych Saksonów, którzy za panowania cesarza Dyoklecjana z Rzymianami wojnę toczyli; są wizerunki *Hengista* i *Horsy*, co przywołani w początkach V wieku przez Skotów, wylądowali na wyspę, dziś Wielką Bretonią zwaną i zawojowali całą; jest *Witykind*, ów sławny król saksoński, który około roku 1000, najprzód bił się z Karolem Wielkim, potem pokój z nim zawarł, i za jego namową religię przyjął chrześcijańską. Jest *Fryderyk* wojownik, pierwszy elektor saski i posiadacz tych niemieckich krain, co teraz Saksonią się zowią; jest *Albert*, głowa dziś panującego domu, który w roku 1471 ubiegał się o koronę czeską, z Władysławem synem Kazimierza Jagiellończyka, ale Czechowie przełożyli polskiego królewicza; jest *Henryk*, który pierwszego roku panowania swego odstąpił od Rzymu wraz z narodem: jest następca jego i syn wojownik *Maurycy*.

Pod tym wizerunkiem zatrzymałam się czas jakiś. Maurycy nie był z pospolitych ludzi. Skoro został elektorem, natychmiast na czele pięciu tysięcy ludzi poszedł do Węgier, Turków uskromić. Pod miastem Peszt, zastał obóz chrześcijański bardzo od muzułmanów ściśniony. Nie tracąc chwili, napadł na nieprzyjaciół i tak się zapędził, że jednego tylko giermka mając obok siebie, ujrzał się otoczony. Już powinien był od Turków być wzięty, ale dzięki własnej i wiernego sługi dzielności, zdołał opierać im się do-

póty, dopóki oddział Sasów nie przyszedł mu na odsiecz. Waleczny i wierny giermek nazywał się Sebastyan *Rebisch*; napróżno wdzięczny elektor obiecywał lekarzom tyle złota ile on zaważy: nie mogli wyleczyć chlubnych ale śmiertelnych ran, które w obronie pana odebrał. Nie zrażony, ani niebezpieczeństwem wojny, ani wiernego sługi utratą, Maurycy bojował ciągle. W roku 1552 upokorzył najdumniejszego z cesarzów niemieckich, Karola V: uciekać musiał potężny monarcha, chcąc ujść niewoli. Równie biegły polityk, jak wódz zdatny i waleczny, jak mówią dziejopisowie, należał do książąt owego wieku: „którzy wiedzieli czego chcą, i rozumieli czego po nich duch czasu wymaga.“ Szkoda, że zbyt krótkie panowanie jego: w 12-ym roku rządów swoich, w 33-im życia, kulą ugodzony w bitwie pod Luneburg, lubo zwycięzca, umarł dnia 11 Lipca 1554 roku. Był on społeczesny naszego Zygmunta I, i wtedy szczęśliwa Europa kilku wielkich monarchów liczyła. Obok wizerunku Maurycego, jest drugi, brata jego i następcy; w ten wpatrywałam się pilniej jeszcze, bo przedstawiał mi rysy cnotliwego Augusta, o którym już ci zapowiedziałam, Helenko, że nieraz wspominać będę.

Dzisiejszych pisarzy jest obyczajem mówić obszernie i żywo o występku i zbrodniach, o cnocie tylko nawiasem; ja tego gustu ani podzielić, ani naśladować nie mogę, i lubo narażam przeto pisma moje, aby blade, zimne i cklive były, nie odmienię mego sposobu i wbrew modzie: jak najwięcej o dobrych, jak najmniej o złych mówić nie przestanę. Posłuchaj więc, jaki był elektor August. Nie tak dzielny wojownik, polityk nie tyle biegły co Maurycy, przeszedł go daleko w sztuce rządzenia w pokoju, w ojcowskiej mądrości. On też dotąd jest uważany jako założyciel przykładowego urzędzenia Saksonii, upowszechnionj oświaty, dobrego bytu ogółu mieszkańców. On wszystko w państwie swoim jakby stworzył, administracyą zaprowadził, sądownictwo



poprawił, rolnictwo podniósł, handel ożywił, nauki, kunszt, rzemiosła zachęcił. Owocem starań jego zajaśniał najwięcej stan średni, ta prawdziwa dusza narodu, zakwitł lud cały. Jego też zwali spólcześni: okiem, sercem, ramieniem Niemiec, a późniejsi dziejopisowie dziwią się, czemu przydomek *wielkiego* nadanym mu nie został. Jakoż, któremu monarsze słuszniej się należy, jak temu, który w znacznych, jak w drobnych rzeczach, zawsze pomyślność ogółu, szczęście każdego miał na celu. On wygotował księgę ustaw p. t. *Neues Gesetzbuch*; on urządził poczty, porobił drogi; dzielnice lasów wymierzył; on sprowadził rękodzielników sukna z Holandyi, i wnet sukna saskie się wślawiły; on polepszył stan bydła i trzód, zakładał w pustych miejscach folwarki; piwowarską sztukę na wysokim postawił stopniu, hodowanie drzew owocowych, winnice zaprowadził, a wiedząc, że w każdej rzeczy przykład najlepszą nauką, sam czynnym był ogrodnikiem: nóż, łopatką, piłką, zawsze około niego były, zręcznie użyć ich umiał; nigdy, ani na przechadzkę, ani na objazd krain swoich się nie wybrał, bez zapasu ziarn i nasion: rozdawał je wieśniakom, sam pomagał do ich użycia, a prawdziwy obraz Opatrzności na ziemi, ptaszętom nawet udzielił opieki. Tak w roku 1575 zakazał wyrokiem swoim ubijania wszelkich ptaków śpiewających, a pierwój jeszcze chwytania ich w porze wiosennej, kiedy młode wysiadują; postanowił także, aby para małżonków, w pierwszym roku pożycia swego, choć dwa zasadziła drzewa owocowe; zalecając plebanom, aby coroczną zdawali sprawę wyższej władzy o liczbie drzew przybyłych w ich parafii. Jak godny naśladowania zwyczaj! Wystaw sobie, Helenko, jakby się ozdobiły nagie chaty naszego Mazowsza, gdyby choć przez lat dziesięć podobnie u nas czyniono....

We wszystkiém przezorny i rządny, August miał skarb zamożny; siedemnaście milionów talarów oszczędzonej gotowizny zostawił. Ale pieniądze, nie były w ręku jego mar-

twym kapitałem; obracał je na stawianie użytecznych gmachów, przez co i kraj upiękniał i ubóstwo zatrudniał: no kilka zamków w Saxonii wystawił, sławną warownią *Königstein* założył; zbrojownią, mennicę i inne publiczne budowy Drezna ukończył. Wszystkie prawie tutejsze naukowe składy, izba kunsztów, zbiór starożytności, biblioteka, o których wspomnę z kolei, jemu winny swój początek: on pierwszy kosztowności dziś będące w *Grüne Gewölbe* zbierać zaczął. On także pożyczając znaczne summy poddany, za opłatą umarzającego się procentu, utworzył fundusz *Amtskapital* zwany, który w początkach XIX-go wieku, 800,000 złn. rocznego dochodu skarbowi przynosił. Za jego panowania wielu było uczonych, wielu artystów, zaszczycał ich swoją opieką; podniósł znacznie trzy już sławne w całych Niemczech uniwersyteta czyli główne szkoły: w Lipsku, w Wirtembergu, w Jena; w wielu miejscach pomniejsze założył, znając, że oświata wtedy dopiero źródłem szczęścia narodu, kiedy powszechna. Trzydzieści lat, spokojnie, szczęśliwie i przykładowie panował. Żonę miał godną siebie, dobrą Annę, o której już była mowa. Umarł 11 Lut. 1586, prawie w tej samej porze, kiedy nasz Stefan Batory kończył także chwalebne życie w Grodnie.

Napatrzywszy się wizerunku Augusta, i życząc ludzkości monarchów jemu podobnych, nie zatrzymałam się aż przed obrazem Jana Jerzego III. Był to towarzysz Jana Sobieskiego w czasie wyprawy pod Wiedeń; znany nam z listów tego króla do żony. „Saski poczciwy człowiek — pisze — w którego sercu nie masz zdrady... dał mi słowo i na kraj świata iść ze mną.“ — Po jego portrecie zaraz drugi i ostatni jest naszego Augusta II-go; już późniejszych elektorów niema; i ta sala w której niegdyś odbywały się wielkie i wspaniałe uczyty, strzelania do tarczy, wyścigi piesze, dziś jest tylko celem ciekawości dla obcych, i miejscem przechadzki dla rodziny panującej, zwłaszcza

w dnie słotne. Tu Napoleon, gość kilkakrotny w zamku Drezdeńskim, i to w różnych przygodnego życia kolejach, przechadzał się nieraz, to sam, to z królem Fryderykiem Augustem, z którym bardzo rozmawiać lubił. Zajmujące byłyby te rozmowy między dwoma monarchami tak odmiennego wychowania i charakteru, gdyby nam je kto dosłownie mógł oddać; musiał być jednak w ich sercach punkt, w którym się zgadzali, kiedy ich przyjaźń świętym węzłem złączyła.

Po *salii olbrzymiej*, z zamkowych pokoiów najgodniejsze widzenia *pokoje Augusta II-go*, zachowane tak jak były za jego czasów: dosyć wspaniałe, ale brudne. Dwie pierwsze sale wcale piękne, ściennie malowania, pędzla *Sylwestra*, wystawiają przedmioty treści mitologicznej; wzorów piękności, z rozkazu monarchy szukał malarz w żyjących osobach, i boginie mają mieć zupełne podobieństwo do głośnych urodą kobiet, które wtedy słynny świetnością dwór zalotnego Elektora zdobyły. Tak w naszym zamku Warszawskim, w obrazach *Bacciarellego* roboty, twarze pięknych ówczesnych Polek uwiecznione zostały. Sypialnia jego zajęła mnie także. Na tój wielkiej kanapie zielonej siedział niegdyś Karol XII, król szwedzki; na tём łóżu wspaniałém przepędził nocy kilka Napoleon, i nie pierwsza to była między temi dwoma wielkimi ludźmi styczność.

*Pokoje Fryderyka Augusta* także od śmierci jego w niczem nie zmienione i nie zamieszkane. Król dzisiejszy, Antoni I, najstarszy wiekiem z królów i książąt europejskich, mieszka w tak zwanym książąt pałacu (*Princepalais*) obok zamku; używa tylko sal kilku na większe zgromadzenia i obchody dworskie. Te pokoje lubo dla obojętnych żadnego wdzięku mieć nie mogą, dla nas mają swój powab: mieszkał w nich człowiek cnotliwy i nasz prawy monarcha. Pozwól że ci cokolwiek o jego życiu opowiem. Fryderyk August III, syn najstarszy elektora Fryderyka Krystyna,

wnuk naszego Augusta III-go, urodził się 1750 r. Dopiero miał lat 13, kiedy umarł mu ojciec; stosownie więc do ustaw albertyńskiego domu, objął regencyą państwa stryj jego, książę Xawery, człowiek cnót wielkich; przez pięć lat rządów wiele przygotował dobrego; a nim jeszcze Fryderyk August doszedł do lat 18-stu, oddał mu najwyższą władzę, d. 16 Września 1765 roku, gdyż widział z młodzieńczych przymiotów jego, z wielkiej stałości charakteru, że będzie ojcem i dobroczyńcą narodu, że powtórzy mądre rządy wielkiego naddziada. Jakoż Fryderyk August od pierwszej młodości objawiał te wysokie a razem proste cnoty, które później w czasach głębokiej i przewrotnej polityki, miały mu pozyskać przydomek *sprawiedliwego*. Prawdziwie pobożny i moralny, na cnotach domowych założył podstawę cnót publicznych i monarszych. Stryja i opiekuna, Xawerego, do śmierci kochał, szanował jak ojca, i zawsze powtarzał że jemu wszystko był winien. Dnia 17 Maja 1769 pojął za żonę księżniczkę Dwu-mostów Maryą Amelią, z którą żył więcej niż pół wieku, w niczem niezachwianej miłości i zgodzie; 21 Czerwca 1782 powiła mu córkę Maryą Augustę: więcej dzieci nie mieli, ale cały naród saski był dla nich ukochanym dziecięciem. Otoczeni zacnymi stryjami, braćmi, kosztując słodczy pięknej natury i niewinnych jej uciech, dwór, a raczej rodzina Fryderyka Augusta była obrazem prostych cnót domowych i pospolitego szczęścia, które rzadko kiedy skromnym swym kwiatem trony zdobić zwykły. Przykład ten, zbawienny miał wpływ na obyczaje i moralność Sasów; każdy w domu swoim starał się zgodą, porządkiem, oszczędnością, przymiotami dobrego syna, męża, ojca, brata, zamiłowaniem natury, skromnością zabaw, dopełnieniem obowiązków, monarchę naśladować; wpływ ten trwa dotąd, i zapewne równo z wpływem niegdyś Augusta, przyczynił się do ukształcenia Sasów na jeden z najmoralniejszych ludów na ziemi.



Długie lata pokoju wiele dopomogły do rozkrzewienia tego drogiego ziarna. Przechylny Fryderyk August i naród jego, jak drugi Józef w Egipcie, korzystał z pory pokoju i obfitości, na zbieranie zasobów na czas wojny i niedoli, którego zbliżenie łatwo przewidzieć można było, patrząc na to co w końcu zeszłego wieku działo się w Europie. Zarzucają mu niektórzy, iż to zamiłowanie oszczędności, tę chęć zgromadzenia skarbów, posunął za daleko, nawet aż do skąpstwa; że prostój starownego ojca rodziny trzymając się drogi, nie użył ich w sposób, jaki rozkrzewiona nowa nauka gospodarowania narodowego wskazywała; że nareszcie przekonany w sumieniu, iż dobrze i uczciwie rządzi, obojętnym był na instytucje, których wymagały: duch czasu, wzrost oświaty i nowe ludu jego potrzeby. Atoli gospodarność jego, stałość charakteru, sprawiedliwość rządów, tak głośnemi się stały, że w końcu zeszłego wieku, naród polski jednogłośnie mianował go przyszłym następcą Stanisława Poniatowskiego, a i tronu dziedzictwo zapewnił jego potomstwu. Tak, o co dzielny pradziad, a później dziad zbrojną dobijał się ręką, Fryderyk August otrzymał bez żadnych ze swojej strony zabiegów. Jednak Fryderyk August, zważając na trudne położenie Polski, pamiętny na spokojność Saxonii, odmówił tego zaszczytu; zachował wszakże dla Polaków przywiązanie i wdzięczność, których później w kolei zdarzeń i odmian, mógł im dać niezaprzeczone dowody.

Wielkie wypadki na Zachodzie, mało miały na panowanie Fryderyka Augusta wpływu, aż do pierwszych lat obecnego wieku; ale kiedy Napoleon już rok czwarty cesarzem Francuzów, ogłosił się protektorem związku reńskiego, a dawne przymierza Saxonii z królem pruskim ją łączyły, Fryderyk August, w wojnie Prus z Francją, posłał pierwszym 22,000 posiłkowego wojska. D. 14 Paźdz. 1806 zaszło pamiętne pod Jena, zwycięstwo Napoleona nad sprzymierzeńcami. Pełen szacunku dla cnót elektora, cesarz

Francuzów zapragnął pozyskać jego przyjaźń; zaraz nazajutrz po bitwie, 6,000 Sasów w niewolę wziętych, odesłał wolno do ich domów, a przez szwagra swego Murata, neutralność państw saskich ogłosił. Traktat między Francją i Saxonją w Poznaniu d. 11 Grudnia 1806 zawarty, nie był czezy jak wiele innych, związał prawdziwie serca obudwóch monarchów. Tenże traktat obzajmił nienaruszoność i samoistność Saxonii, przystąpienie jęj do związku reńskiego pod protekcyą Napoleona, zmianę tytułu elektorów na królewski, a przez wzgląd na wyznanie panującego domu i na prawdziwą tolerancyą, porównanie w swobodach religii katolickiej z reformowaną. — Lecz nie tu jeszcze skończyły się dowody szacunku Napoleona dla Fryderyka Augusta: kiedy po traktacie Tylżyckim, w Lipcu w r. 1807 zawartym, księstwo Warszawskie utworzone zostało, cesarz Francuzów, dogadzając w tém przynajmniej życzeniom Polaków, i własnemu przekonaniu, króla saskiego na księcia powołał. Przyjął wtedy to wezwanie, i odprawił wjazd swój do Warszawy d. 11 Listopada 1807. Ten wjazd pamiętam jak najdokładniej, patrzyłam na niego z okien Krakowskiego Przedmieścia; zielony powóz otwarty, w którym siedział król z żoną, na przodzie córka księżniczka, Augusta, owa „deklarowana niegdys infantka polska“, obok niej na dzielnym koniu, piękny jeszcze wtedy ks. Józef Poniatowski; a co mój dziecinny umysł może najwięcej uderzyło, przed powozem dwóch laufrów żółto ubranych, którzy z laseczkami w ręku, z piórami u czapeczek, naprzód biegli, i rozganiali z grzeźnością, cisnący się zewsząd lud radośny....

Fryderyk August przez zbyt krótkie lata panowania swego nad garstką Polaków, usprawiedliwił dawny narodu, i obecny Napoleona wybór. Lecz nadbiegł szybko rok 1812. Wojsko Napoleona, najliczniejsze, jakie Europa od czasu wędrówki ludów widziała, wśród ludów Północy zmarniało. Fryderyk August znalazł się wtedy w najtrudniejszym na

prostomyślnego monarchę położeniu; ale nie zdolny do czynienia sobie igraszki z świętości traktatów i serca związków, wolał utracić wolność, niżeli być wiarołomcą, niżeli opuścić w nieszczęściu tego, któremu w pomyślności przyjaźni ślubował. Jednak gdy po krwawej bitwie pod Lipskiem (w której śmierć znalazł ks. Józef Poniatowski) cesarz Francuzów przysyłał po dwa razy do niego, ażeby ujeżdżał, i przy nim pewności i wolności osobistej szukał; cnotliwy monarcha uznał, że jest kres, po za którym osobiste uczucia monarchy, silniejszym względem ustąpić powinny, i odpowiedział: że chce dzielić smutne losy ludu swego. Jakoż uważany za wojennego jeńca, zawiezionym został wraz z nieodstępniemi sobie żoną i córką do Berlina i nie wrócił z tej niewoli, aż we 20 miesięcy d. 7 Czerwca 1815, właśnie kiedy Napoleon stódniove panowanie kończył.... Na głośnym kongresie wiedeńskim, gdzie ważyła się Saxonii sprawa, — wstawieniu się Anglii, a najwięcej mimowolnemu szacunkowi, jaki wzbudzał we wszystkich niezłomny charakter Fryderyka Augusta, przypisują powszechnie, to co państwu temu zachowano. O większą połowę uszczuplonemu w granicach, została przeciw samoistność, tytuł królestwa; a ojcowskie starania prawego monarchy, zagoiły zwolna okrutne rany, jakie w tej krwawej wojnie Saxonii poniosła. Wycierpiane razem niedole, sam najpiękniejszych dziedzin ubytek, ścieśniły jeszcze węzeł wzajemnej króla i narodu miłości. Tak, w cnotliwej rodzinie, kiedy śmierć wydrze jedno dziecko, rodzice całe przywiązanie swoje na pozostałe zlewają; to dziecko zaś wzajemnie stara się postępkami i czułością wynagrodzić im tę ujnę pociech i nadziei. — Przywiązania do cnotliwego monarchy, cała Saxonii a nawet odcięte krainy dały dowód 16 Września 1818 r., kiedy podobno bezprzykładnym w dziejach zdarzeniem, przyszło obchodzić 50-tą rocznicę sprawiedliwych rządów Fryderyka Augusta. Dotąd trwa pamięć, trwają tkliwe po-

mniki tego obchodu. W dniu tym, cały naród wystawiał obraz wdzięcznych i kochających dzieci, które się cieszą szczęśliwą ojca sędziwością. Bez nakazu każdy go obchodził jak mógł najuroczyściej, od bogatych do najuboższych.

Fryderyk August żył jeszcze potem lat dziewięć, d. 5 Maja 1827 r., w sam dzień szóstej rocznicy śmierci Napoleona, umarł spokojnie po krótkiej słabości; lubo blizki lat 80, do końca zachował czerstwość ciała i stałość umysłu. Zasłabł w Pilnitz, mieszkaniu letniem królewskiem, ale oddał ducha w Dreźnie, w pokoju sypialnym swoim, który nietknięty od dnia tego. Z religijném uszanowaniem przypatrywałam się temu pokojowi. Sprzęty w nim niewyszukane, ale wszystkie przemawiają o zatrudnieniach i gustach tego, który tak długo w nim mieszkał. Klęcznik, nabożne obrazy, książki, rodzinne i przyjaciół wizerunki, roboty żony i córki, i dwa klawikordy; bo Fryderyk August nie tylko lubił muzykę, ale bardzo w niej był biegły i grywał do końca życia. Śpiewy do mszy jego układu, dotychczas są wykonywane \*). — Obok pokoju sypialnego jest gabinet, w którym pracował, i drugi z całym warsztatem tokarskim: król bardzo był, biegły w tém rzemiośle.

Nie wiem dla jakiej przyczyny, czy skutkiem tego powabu, który sprzeczności zwykły mieć dla ludzi, ale od dawna wielu monarchów poświęcało podobnym pracom wolne chwile swoje; tak u nas Zygmunt Stary był złotnikiem, a Zygmunt III-ci zegarmistrzem... W wieku ostatnim

---

\*) W środku Zwingeru postawiony został Fryderykowi Augustowi pomnik, którego koszta, częścią uchwałą Stanów, częścią ze składek dobrowolnych zastąpione zostały. Pomnik ten jest ze spiżu; postać króla jest dziełem profesora *Rietszla*, postument profes. *Semper*, cztery na rogach tegoż znajdujące się figury i przedstawiające: *Sprawiedliwość*, *Mądrość*, *Łagodność* i *Pobożność*, są dziełem pana *Fischer* w Berlinie. Pomnik ten inaugurowany d. 7 Czerwca 1843 r. — P. W.



sławny J. J. Russo radził rodzicom, żeby synów rzemiosł uczyli; i bardzo byłoby dobrze, gdyby dziś poszli wszyscy bez wyjątku za tą zbawienną radą. W przemianach bytu jakim życie nasze ulega, śmielój, bezpieczniej ten postępuje, który chleb ma w ręku, bo takiemu nigdy bięda bardzo nie dokuczy. Namawiaj braci twoich, Helenko, żeby się nauczyli jakiego rzemiosła, stolarki naprzykład. Takowa umiejętność z najwyższemi naukami zgodzić się może, bo na wszystko czas znajdzie, kto nim dobrze rozporządzić umie.

Ale zboczyliśmy bardzo od zamku Drezdeńskiego: czas do niego wrócić. Pokazują w nim jeszcze *pokoje Maryi Amelii* żony Fryderyka Augusta, także od jęj śmierci niezamieszkanie. Są paradniejsze od królewskich i jeden zwłaszcza jest bardzo miły; lubiła go tęż najwięcej i przesiadywała w nim po dniach całych. — Jak w króla pokoju, tak i tu, wszystko właścicielki uczucia, zatrudnienia i gusta przedstawia; obrazy nabożne, portrety męża i córki, krosna, stoliczek do roboty, a nawet różga na pieski. W tēm schronieniu najmiłsze dla nięj miejsce było przy oknie, gdzie dotąd krzesło wygodne i taboret stoi; ztamtąd patrzyła na most Drezdeński, Elbę, Nowe miasto, góry, na widok, nad który w jęj oczach nic piękniejszego cała ziemia nie miała, a razem słuchała rozlicznych powieści, siedząc na taborecie ulubionęj sobie damy dworskiej, która codzięń z obowiązku, nowinki z całego miasta znosić jęj musiała. Gdyby w tym pokoju były książki, rysunki, fortepian, pewnieby taboretu nie było. I wiesz, Helenko, dlaczego to najwięcej młodą będąc uczyć się trzeba? Oto żeby w późniejszym wieku nie mieć czasu na plotki. Kobieta, która czytać, pisać lubi, i ma jakie talenta, tak zajmie przyjemnie chwile wolne od zatrudnień gospodarskich i robótek, że jęj nie przyjdzie na myśl wypytywać się co drudzy robią i mówią? I z tęj przyczyny, osoba dobrze wychowana wstydzic się powinna gustu do plotek, bo o takięj która go ma, wszy-

scy sądzą, że nie umie. A to wstyd wielki, zwłaszcza dla tego, który od dzieciństwa się uczył.

Lecz skarby wewnętrzne zamku Drezdeńskiego jeszcze by się nie okazały zbyt wielkie, gdybym ich opis tu zakończyła; zostają nam téż trzy bardzo szacowne, w jego murach zawarte: *Grüne Gewölbe* (sklep zielony), *Rüstammer* (zbrojownia), i ze wszystkich najszacowniejszy *Galerya obrazów*.

*Grüne Gewölbe* jest to skład rozmaitych kosztowności, ozdobnej broni, naczyń srebrnych i złotych, muszel, kamieni drogich, klejnotów, sztucznych wyrobów, arcydzieł sprzętów z brązu, z kości słoniowej, z bursztynu, figurek, mozaik, i t. p. rzeczy: słowem, jest to wielki sklep rzadkich i szacownych zabawek dla dużych dzieci. Zaczął zbierać ten skład, gospodarny i dobry elektor August; co tylko droższego po ojcach odziedziczył, co przez cały ciąg życia od dzieciniego wieku do końca, dostał od kogo lub nabył, to wszystko starannie chował i w przeznaczoném na to miejscu porządnie ustawiał. Żona jego Anna toż samo czyniła. Naśladowali ich sumiennie następcy, i urosł nieznacznie bez nagłych wysileń, ten zbiór szacowny. Bo uważ tylko Helenko, gdyby każdy z nas chował troskliwie co od dzieciństwa miał szacownego, każdy na starość posiadałby swoje małe *Grüne Gewölbe*; cóż dopiero gdyby nasze prababki tak były zaczęły zbierać? Ale do takiego zbioru trzeba porządku, akuratności i oszczędności niemieckiej; z naszym polskim ułożeniem udać się nie może: my zepsujemy jedno, drugie darujemy, trzecie nam wezmą, i nic nie mamy...

*Grüne Gewölbe* Drezdeńskie, tak nazwane, bo zielono było malowane sklepienie izby, gdzie te kosztowności niegdyś się mieściły; August II, który wszystko na wielką stopę mierzył, wyznaczył im ośm dolnych pokoi w zamku, i rozgatunkować kazał przedmioty; tak, że dziś każdy pokój, osobny przedmiot zawiera i stosowne do niego nazwisko

nosi; wszystkie są dosyć ozdobne, marmurem, zwierciadłami wykładane, ale trochę przyćmione, gdyż od czasów Augusta nie tknięte. Bardzo przyjemnie mi zeszło parę godzin w tém miejscu; każdy pokój zdaje się jakby umyślnie był budowany do tego co zawiera: na każdą rzecz jest miejsce właściwe, osobna pułeczka, a prawie wszystko godne podziwienia. W podobnych składach zawsze mnie zastanawia najwięcej cierpliwość dawnych rękodzielników, dziwne pomysły ich robotek, i niepojęta staranność z jaką je wykonywali. Dziś przemysłu nierównie więcej, rąk pracujących, głów umiejętnych bez liku a przecież nic podobnego nie widać. Nie sądz jednak, Helenko, aby ta odmiana była z ujmą naszego wieku; owszem pochodzi ona ze znacznego ulepszenia. Dawniej, sami tylko monarchowie, ludzie bardzo majątni, pozwalali sobie nabywać coś nad konieczne potrzeby; dziś wszyscy niemal radzi mieć wszystko co do wygod życia służy; rzemieślnicy zatem pracują dla wszystkich, nie mogą wyrabiać rzeczy kosztownych ale użyteczne. Nie wieleby zarobił stolarz, gdyby lat kilka siedział nad jaką misterną i filigranową skrzyneczką, na którąby może i kupca nie znalazł; woli narobić kilkaset prostych i sprzedać tanio. A dla przyjaciół ludzkości jakże miło pomyśleć sobie, że w miejscu jednego, który niegdyś używał nadto, dziś kilkuset używa w miarę.

Ani podobna żebym wyliczyć mogła wszystkie osobliwości w *Grüne Gewölbe* będące; wiem przecież że w tém mnóstwie zadziwiających a mało użytecznych robót, zastanowiły mnie najbardziej wykończeniem swoim, prace złotnika i jubilera Dinglinger. Było tego imienia kilku w Dreźnie, ale najwięcej słynął Jan Melchior, a płacił mu dobrze August II. Między mnóstwem cacek jego roboty, jest jakby teatryk ze srebra, złota, drogich kamieni, wystawiający *dwór wielkiego Mogola* w dzień jego urodzin. Warto przypatrzeć się temu arcydziełu cierpliwości: 132 jest osóbek,

połowa ich niesie dary siedzącemu na tronie wśród dworzan monarsze, a wszystkie wyrobione tak dokładnie jak w naturze. Podobnych temu bawidełek jest bardzo wiele, ale więcej jeszcze szacowności, które mają cel swój, a tym celem, wino. Pucharów, kubków, pokalów, kielichów, rostruchanów, kufla, bez liku; różnego są kształtu, ze słoni, z ptaków,—z rycerzy, z pańien, a jedne większe i kosztowniejsze od drugich. Tych pijackich zabytków po Augustcie II najwięcej; bo jak wiadomo, dzielny ten król bił się dobrze, a pił jeszcze lepiej. Obok bogatych i ogromnych z jego czasów kielichów, dziwnie się wydaje gładki kubeczek z prostego srebra; a przecież ten kubeczek w moich oczach więcej ma ceny od tamtych. Jest to podarek, który miasto *Görlitz* odpadłe od królestwa saskiego w r. 1814, ofiarowało dawnemu królowi swemu w 50-siąt letnią rocznicę jego panowania. Napis na nim téj treści: „Wieczne jest panowanie cnoty, ty więc wiecznie królem naszym będziesz.“ Mówiono mi, że Fryderyk August rozplakał się nad tym upominkiem, używał go często, a przed śmiercią kazał złożyć w *Grüne Gewölbe* na trwałą pamiątkę.

Zostały mi jeszcze w pamięci, piękne mozajki i emalie, zwłaszcza z tych ostatnich; duża *Madona*, robota Mengsa; błękit sukni zachwycający. Klejnotom cały jeden pokój jest oddany, i prawdziwie, tam wszedłszy wydawać się może, iż to bajka z *Tysiąca nocy* sprawdzona. Kilkanaście szaf pełnych dyamentów różnego koloru, szmaragdów, turkusów, safirów, i t. p. Jest dyament biały, blisko 50 karatów ważący; drugi zielony 160 granów; pereł mnóstwo, tak morskich jak poławianych w rzece Elster; jest onyx, któremu dotąd nigdzie równego w wielkości nie znają, oszacowany 40,000 talarów; zrobione z niego i z trzech innych mniejszych, jakieś cacko nakszałt zwierciadełka z koroną; jednostajność obrączek białych na dnie ciemném, mile wpada w oko.

Skarby w *Grüne Gewölbe* zamknięte, szacują niektórzy



do kilkudziesiąt milionów złotych, i mówią że to kapitał martwy, któryby lepiej spieniężyć: drudzy utrzymują i podobno słusznie, iż szkoda by pozbawić Saksonią i historią kunsztów, tylu starodawnych pomników; ile że niktby ich nie zapłacił jak warte, jak kosztowały. Wreszcie i ten skład ma użyteczność swoją dla kraju; w nagłym razie zastawionym być może: już parę razy Holendrzy na trzy szafki tych kosztowności, dwanaście milionów pożyczali. Utrzymanie zaś jego narodowi nie jest ciężarem; król dzisiejszy nic nie nabywa, a wniście do tego *Sezamu* dwa talary kosztuje. Za te dwa talary sześć osób wejść może, ale choćby jedna poszła, tyle zapłacić musi. Do roku zaś od czterech do pięciu tysięcy ciekawych się przesunie; jest zatem na utrzymanie dozorców fundusz dostateczny.

Drugi zbiór zajmujący w zamku jest *Rüstammer*, rachuje także byt swój od Augusta I; jest większego, ogólniejszego zajęcia jak tamten. Zawiera w sobie przeszło 20,000 sztuk rozmaitej broni różnych czasów i narodów, ryszunki, rzędy, sprzęty, stroje dawne i dalekie, figury rycerzy zbrojnych, koni ubranych, i wiele rzeczy z naszą historią związek mających. Te jako z największą skrupulatnością i ciekawością badałam, tak i tobie najpierw opiszę.

Jest, naprzód, króla Batorego pałasz, zapewne po ojcu, bo z datą 1505 r. i z herbem książąt siedmiogrodzkich; napis na nim *Pro Deo, fide et patria*. (Za Boga, wiarę i ojczyznę).

Jest Sobieskiego cała postać zbrojna, pancerz szmelcowany błękitny w łuskę, z krzyżem złotym na piersiach, ze znakiem maltańskim na szyi; siodło bogate, i różne zdobycze z wiedeńskiej wyprawy, jako to: chorągwie tureckie, szable, makaty, rzędy sute i t. p.; te po części były upominkiem króla Jana, ofiarowanym Janowi Jerzemu \*).

---

\*) Oto wyjątek z listu Jana III do żony o tych upominkach: „Książę saski powrócił już z swym wojskiem nazad, pokazawszy znacznie swój

Jest wypchany koń Leszczyńskiego, w sutym rzędzie, ten sam na którym odprawiał wjazd swój do Warszawy, kiedy tam w r. 1705 koronowany został. Zieliński arcybiskup lwowski wkładał mu wówczas koronę.

Nie było to zbyt delikatnie ze strony Augusta II, mieścić w zbiorze swoim taki dowód upokorzenia spółzawodnika; ile że sam postawić się tu kazał w tryumfie. Jest bowiem figura jego z natury zrobiona w stroju koronacyjnym, jaki miał w Krakowie, d. 15 Września 1697 r., kiedy go Dąbski biskup kujawski, koroną uwieńczył; jest i koń jego szpakowaty, tak samo jak w ten dzień ubrany; jest pancerz i hełm w którym dobijał się polskiej korony, tak ciężkie, że je podnieść trudno; jest jeszcze łosiowa suknia złotem szyta, w której mierząc się mężnie z Karolem XII, bronił osobiście téj korony pod Kliszowem r. 1702: jedną poję téj sukni kula urwała, druga w kilku miejscach przestrzelona. Prócz dopiero wspomnionych, są jeszcze po Augustie jako królu polskim, inne pamiątki: w trzech pierwszych salach stoją rzędem wielkie halabardy z herbami naszymi, które służyły gwardyi jego, z młodzi polskiej złożonej; jest piękna chorągiew téj gwardyi. Jest druga z orłem polskim a herbem saskim w środku, która niegdys w uroczystościach drezdeńskich Polskę wystawiała. Jest bardzo wiele tarcz z godłami, zabytki turniejów, które zalotny i silny król, tak w Dreźnie jak w Warszawie wyprawiać lubił, sam w nich ubiegając się i walcząc. Oto niektóre tych tarcz pomysły: choć pospolite, mają zaletę swoją, bo prawdziwe i wiek malują.

---

dyskurs i resentyment; któremu wczora posłałem dwa konie bogato ubrane, dwie chorągwie tureckie, dwie śliczne farfury i bogatą zastonę dla żony; szablę we złoto, jego jenerałowi Gulczowi, oprawną, zdobyczną: z niewymowną to przyjął wdzięcznością, ale jeszcze z większym podziwieniem, że ich ten upominkuje, którego samego tu upominkować było potrzeba.“

Kwiatek, słońce zasute, i napis: *Privo di te mi mori.*—  
Bez ciebie umieram.

Wieniec na snopku i zdanie: *Point d'honneur sans travail.*—Niema zaszczytu bez pracy.

Księżyc w odmianie i porównanie: *La fortune comme la lune.*—Los jak księżyc.

Świeca paląca się i te słowa: *En servant les autres je me consume.*—Służąc drugim, sama ginę.

Słońce zaćmione i wyrok pociechy: *Nascolti apariscce.*—Zakryte ukażą się.

Z dawnych saskich zabytków, najwięcej mnie zajęły zbroje, szable i pistolety po walecznym elektorze Maurycym, weselne jego i dobrego Augusta szaty; miecz katowski ogromny, którym kanclerz Krell, długo samowładny ulubieniec elektora Jerzego I, głowę miał ściętą na rynku drezdeńskim 9 Października 1601 r.; rzęd na konia wyhaftowany cierpliwie przez Zofię Brandeburską; wiele pamiątek po synie Augusta III-go, Maurycym *de Saxe* marszałku francuzkim, i cały skład ubiorów męzkich i kobiecych od kilku wieków. Prawda że w tym składzie są rzeczy nikczemne, brudne, nie wiele warte, bo zdaje się, że każdą śpilkę Elektorowych, każdy guzik Elektorów, skrzętnie chowano; ale dla Sasów, dla badaczy staroświeckich strojów, dla historyi sztuki, szczegóły nieocenione.

Z zabytków różnych krajów i narodów, uważałam krzesła rzymskie kamienne, lubo te nie bardzo tam na właściwem są miejscu; pierwszy pistolet z r. 1330, roboty Schwartza, wynalazcy prochu; dwa kredensa osobliwe staroświeckie, w kształcie skał; gdzieniegdzie są miejsca na stawianie naczyń różnych, a za łatwem poruszeniem roztwiera się opoka i wyjeżdża rycerz na koniu, wielki puhar trzymający w rękę. Podobne kredensa stawiano w izbach jadalnych; na końcu uczyty za danym znakiem ukazywał się rycerz, a zdrowie jakie wtedy wnosił gospodarz, trzeba było spełnić

koniecznie. Mnóstwo broni bogatej tureckiej, gładkiej angielskiej, ciężkiej niemieckiej, ani można spamiętać. Są tam i dalszych narodów zabójcze narzędzia: chińskie, perskie, strzały zatrute Indyan, Laponów; jakiś bęben, na którym rozciągnięta skóra ma być skórą ludzką. Zgoła, aż zasmuca jak wszędzie i zawsze człowiek na człowieka nastawał, jeden ciemny, drugi bronić się musiał, i wymyślali coraz okrutniejsze sposoby zniszczenia i przecięcia tego życia ludzkiego, które i tak prędko upływa, i takby miłe być mogło, gdyby dobrzy raz wzięli górę nad złemi.... Wart tu jeszcze wspomnienia *Dom Blokady (Blockhaus)*, zwany także domem Komendanta albo Rządowym, w Nowém Mieście, przy moście, podług planu generała v. Boll, w r. 1732 wybudowany; w nim mieści się główny odwach nowomiejski, biuro ministerstwa wojny i kancelarye rządowe.

Lecz mam jeszcze opisać ci Helenko, najszacowniejszy skarb, w obrębie zamkowych budowli będący, *galeryę obrazów*, i ta będzie mego następującego listu przedmiotem....

---

#### LIST CZWARTY.

Rys historii malarstwa. — Wspomnienie o rozmaitych szkołach i zaważniejszych mistrzach. — Opis galeryi drezdeńskiej.

List cały poświęcić zamierzam galeryi drezdeńskiej, i ten list długim będzie, lubo małą tylko częśćką będących w niej obrazów wymienię. Ale mając zawsze na celu naukę obok rozrywki, chciałabym zebrać dla ciebie, Helenko, w tym liście, i dla rówieńnic twoich, co go czytać będą, lekki zapas wiadomości o *malarstwie i malarzach*, koniecznie



potrzebnych do obejrzenia jakiegobądź galeryi z przyjemnością i pożytkiem.

*Malarstwo* (a obejmuję tym wyrazem rysunek, rytowniczą i kolorowania sztukę), jest jedném z najpiękniejszych wynalazków człowieka; przedmiotem jego i treścią, naśladować naturę, dążnością, przejść ją i wyścignąć. Zapewne ten kunszt niezbędnym nie jest, potrzeb nieodzownych życia zaspokoić nie zdoła; ale ma przecież niezmierne zalety: zmysły bawiąc przemawia do duszy, a gromadząc pod ręką człowieka cuda świata całego, pomniki zeszlých wieków, rozszerza dzielnie zakres wyobrażeń, znajomości i uciech naszych. Bo uważ sama, Helenko, jaką pomoc do nabycia wiadomości, jakie źródło zajęcia miłego i zabawy, podaje nam kunszt który na kawałku papieru, płótna, drzewa, kamienia, stali przedstawić nam może wszystko co Bóg stworzył, czego ludzie dokonali, często w zupełném podobieństwie a czasem piękniejsze. Jeszcze dobrze to pamiętać musisz, jak prawie pierwszą sposobność do zastanowienia się, porównania i uwagi, podały ci obrazki; dziś, bez wątpienia, oglądanie ich bawi cię i oświeca najmiléj, a im więcéj uczyć się i widziéć będziesz, tém mocniéj się przekonasz, jak małą byłaby miarka pewnych wiadomości naszych, gdybyśmy to tylko znali i wystawić sobie mogli, co w naturze widzimy lub widzieliśmy. Kraje dalekie z ich dziwami, zabytki z czasów przeszłych już nie istniejące, piękność doskonała człowieka, znaneby nam nie były; wreszcie ileżby przyjemności nietylko umysłowi ale sercu ubyło, gdyby sztuka malarska nie istniała wcale? Małażto pociecha wpatrywać się jeszcze w rysy drogich osób, które nam śmierć wydarła, albo które odalenie, to pół śmierci, usunęło z przed oczów naszych....

Ten kunszt wczesnie téż wynalezionym został; i co dowodzi jego zalety, nie ma ludu, któryby od niepamiętnych czasów nie miał jego wyobrażenia: można śmiało zapewnić, że poprzedził wynalazek pisma, i długo miejsce jego zastę-

pując, przechowywał pamięć upłynionych czasów \*). Według dawnego podania pierwszy pomysł malarskiej sztuki winniśmy niewieściej tkliwości. *Dibutada* egipcyanka czy greczynka, żyjąca w wiekach bardzo odległych, kochała: uczucie dawne jak świat w sercu kobiety! Przyjaciel jęj odjechać ją miał na czas długi; w poranek jego odjazdu zeszła go kiedy leżąc przy murze spał jeszcze. Słońce wschodzące rzucało jasne promienie na twarz młodzieńca, a cień jęj dokładnie padał na białą ścianę. Postrzegła to *Dibutada*; sercem natchniona, kawałkiem węgla zakreśliła znikomy lecz wierny wizerunek przyjaciela. Gdy odjechał, szukała pociechy wpatrując się w schwycony cień jego, i popisowała się przed znajomemi wynalazkiem swoim. Naśladować, stosować, rozszerzać go zaczęto; i zwolna z tak drobnych początków wywinąć się miał kunszt tyle zadziwiający i tak rozgąęziony. Pojąć łatwo, że wiele czasu upłynęło, zanim doszedł do niejakięj doskonałości; lecz i do tych postępów przyczyniły się kobiety, robótkami swemi. W najodleglejszych wiekach, majątniejsze niewiasty trudniły się haftem, a haft jest także gałęzią malarstwa. Owa sławna Helena, imiennica twoja, która w dawnęj Grecyi do wojny dziesięcioletnięj stała się powodem, wyhaftowała jedwabiem bitwy dla jęj pięknych oczów stoczone; *Andromacha*, kiedy jęj znać dano o śmierci męża, *Hektora*, właśnie wyszywała w krosnach kwiaty różnobarwne. Widać zatem, iż przed wojną Trojańską, to jest na dwanaście wieków przed narodzeniem Chrystusa, malarstwo doszło do pewnego stopnia wykształcenia.

Pisarze greccy nie znacząc dat kiedy żyli ci mistrze,

---

\*) Rodzaj tego malowniczego pisma, które nie z liter ale z rzeczy złożone, zowie się *hyeroglify*; najwięcej było w używaniu w Egipcie, i dziś jeszcze okryte niem, starodawne kraju tego pomniki.

*Filoklesa* z Egiptu, *Kleanta* z Koryntu, liczą do tych co pierwsi dokładnie rysować zaczęli; później *Ardices* i *Telefan*, płaskim dotąd jak cień rysunkom, wypukłość nadali, używając sztuki cieniowania, której także natura wzór im podała; bo weź naprzykład, Helenko, różę stolistną i trzymaj ją w świetle: obaczysz jak jedna strona ciemną ci się ukaże, lubo cała jednakowej jest barwy; oddaj ją tak na papierze, a wyda się wypukłą. Kolorowania rysunków pierwszy miał się domyślić Kleofant z Koryntu, który do czarnej farby dodał czerwoną dla lepszego wydania ciała ludzkiego. Bo starożytni najwięcej i prawie wyłącznie naśladowaniu człowieka się oddali; uważając go za najdoskonalsze w całym przyrodzeniu dzieło, jego obrali za wzór i przedmiot sztuki. Wcześniej zaś mistrzowie greccy u nich poszli drogą szlachetną i szczytną, i tak w malarstwie jak w snycerstwie środek wywyższenia natury ludzkiej uznali. Wiedzieli oni, że doskonałość nie jest udziałem naszym, ale że mamy jej wyobrażenie. Wyobrażeniem doskonałości w sztukach jest *piękność*. Uczucie jej pochodzi z wyższego usposobienia człowieka, i jest jakby przecuciem Bóstwa i lepszego żywota. Kiedy oczy nasze postrzegą co prawdziwie piękne, doznajemy miłego, błogiego uczucia; zdaje się, że jest coś w duszy naszej co odpowiada tej piękności, żeśmy ją przeczuwali i wystawiali sobie. Jakoż bardzo wiele rzeczy piękności zawołanej, znajdujemy mniej pięknymi niżeli wyobrażaliśmy je sobie, piękniejszymi nigdy; i to samo dowodzić nam powinno wrodzonego w nas samych wyobrażenia piękności. To wyobrażenie jest większe i dokładniejsze od rzeczy istniejących; dla tego też piękność doskonała w sztukach, pięknością idealną, *ideałem* się zowie; bo takiej w rzeczywistości nie ma, tylko jest w *idei*, w wyobrażeniu człowieka.

Chociaż dziś wielu mistrzów i lubowników sztuk wszel-

kich, zwłaszcza we Francyi, inaczej myśli i ubiega się wyłącznie za okropnym, przecież powszechniejsze i większej wagi jest zdanie tych, którzy piękność cenią, którzy naśladowają naturę nie w jej odrażających i niedokładnych twórcach, lecz w najdoskonalszych, a i w tych nawet chcą ją przewyższyć! Albowiem bez tej chęci, żaden mistrz sztuki nie potrafi utworzyć prawdziwej piękności; nie nada on obrazowi ani życia, ani mowy, ani różnorodności; musi więc uchwycić swój wzór w chwili najkorzystniejszej, musi starać się przewyższyć samą naturę w doskonałości kształtu, postawy i rysów. I tak, trudnoby znaleźć żyjącą kobietę, któraby miała rysy twarzy zupełnie regularne, niewinność na gładkiem czole, uczucie i skromność w oczach, słodycz i dowcip w ustach, lilie i róże na licach; a przytém wzrost wysoki, postawę nadobną, cały krój ciała udatny, wdzięk w każdym poruszeniu: kobietę słowem jednym, któraby oczom i sercu każdego się podobała, którejby nic nie brakowało ku doskonałej piękności. A przecież malarz i snycerz, te wszystkie powaby i innych tysiące, nadać może ideałowi swemu, i greccy mistrze tak czynili; ztąd też poszło, że oni dotąd są wzorami sztuk wszelkich, i że dziś jeszcze kto chce badać prawdziwą piękność, wpatrywać się powinien w pozostałe po nich dzieła. Ich piękność tém jest doskonalszą, że oni przedmiotów swoich nie tyle na ziemi, ile w niebie szukali, oni bowiem niezaspokojeni pięknością ludzką, wzniesli umysł do Bóstwa; nadając bogom swoim kształt człowieka, darzyli ich obrazy doskonałością, która nie ubliżała prawdopodobieństwu, gdyż bogów nie ludzi wystawić chcieli.

Nie prędko jednak greccy malarze doszli do tych wysokich pomysłów, długo chodzili po ziemi, zanim wyżej się wzbili. Mało nawet jest wiadomości o mistrzach owych czasów i ich dziełach, aż do *Polignota*, żyjącego na cztery wieki przed Nar. Chr. Naśladował on wiernie naturę, a prze-



dmiotem ulubionym jego pędzla były bitwy; wiele dawał wyrazu osobom swoim: mówią też o nim (czemu trudno dać wiarę), że z umysłu ranił i zabijał niewolników, ażeby wierne boleść i konanie wystawić. Wraz z nim i nieco później wielu się wślawiło; każdy w nowym jakim szczególe, doskonalił malarską sztukę: *Apolodor* w prawdzie kolorytu, *Purazyus* w miękkości i zaokrągleniu pociągów, *Aristid* w oddaniu uczuć serca i męczarń duszy. Tak wspominają w jego obrazie: *dobycia miasta*, dziecię czołgające się ku matce, która w pierś raniona konała; zostawało jęj jednak tyle uczucia, a malarz tyle miał talentu, że widać było na twarzy tej nieszczęśliwej trwogę, ażeby jęj dziecię krwi nie wysssało w miejscu mléka.... Ale tych wszystkich malarzy i wielu innych przeszedł *Apelles*: on prawie pierwszy począł w umyśle i oddał pędzlami idealną piękność, on też za najświetniejszego w kunszcie swoim jest uważany.

Urodzony w Efezie, uczył się malarstwa w Macedonii u Pamfila. Ten malarz uczony, który pism wiele o przedmiocie swoim zostawił, miał wtedy zwołaną szkołę. *Apelles* do niego oddany przeszedł wnet mistrza, i mało który artysta tak długo i tak szczerze nad udoskonaleniem swoim pracował. Nie zaspokojony dziesięcioma laty nauki u Pamfila, pojechał jeszcze do Sycyony, która tém była dla dawnych malarzy, czém dziś Rzym dla tegoczesnych. Tam się douczywszy, prace swoje wystawiał na widok publiczny, a ukryty słuchał zdania patrzących. Zganiony raz przez szewca, że zapomniał rzemyka w obuwiu, poprawił się i dorobił go; ale kiedy rzemieślnik dumny powodzeniem, zaczął nazajutrz nogę ganić, *Apelles* wyszedł z ukrycia i powiedział mu te słowa, które w przysłowie weszły: „Szewcze, patrz obuwia.“ *Apelles* szlachetny miał charakter: *Proto-gen* także malarz, i biegły, mimo całej pracy swojej był ubogi, bo nie kupowano obrazów jego; *Apelles* zapłacił za

dwa dawne 50 talentów \*), i za każdy nowy tyleż dać obiecał. Tym czynem niezmierną wziętość Protogenowi uzyskał. Apelles bardzo wiele robót zostawił, lubo je starannie wykończył; bo wtenczas delikatność pędzla była jedną z celniejszych zalet obrazu; najwięcej chwalone są *Dyana* na koniu i *Wenus* z wód wychodząca. Wsławił się także malowaniem kilkakrotném Aleksandra Wielkiego, który cenil go jak przyjaciela. Mówią, że malując portret kochanki tego króla, Kampaspy, sam w niej się zakochał; widząc to Aleksander pokonał miłość swoją dla przyjaciela, i dał malarzowi kochankę za żonę. Na kilka czasów przed śmiercią, Apelles zaczął obraz Wenery, która piękniejszą być miała od wszystkich piękności przez niego wystawionych; umarł, pracy téj nie skończywszy, i nikt się nie poważył odgadnąć szczytnéj myśli, która ten ideał poczęła.

Byli jednak jeszcze prócz Apellesa sławni malarze owocześni, a między niemi *Zeuxis* i *Parrhasius*. Ci dwaj mistrze wyzwalali się jednego razu, który z nich co podobniejszego do natury wymaluje? *Zeuxis* przyniósł na wystawę winogrona: ptaszki biorąc je za prawdziwe, dziobać przyleciały; na obrazie drugiego wisiała zasłona: niecierpliwy *Zeuxis* chce ją rozsunąć i z wstydem poznaje, że malowana. Ale choć w tym razie *Parrhasius* zwyciężył, we wszystkich innych musiał spółzawodnikowi ustąpić, i *Zeuxis* w sławie, zaraz jest drugim po Apellesie. Prawie równie jak on, piękność wyobrazać i oddawać umiał, zwłaszcza niewieścią. W majątku przewyższył wszystkich malarzy, pierwsze jego dzieła tak mu drogo zapłacono, że już na całe życie bogaty, późniejszych nie przedawał, ale dary z nich czynił kró-

---

\*) Talent znaczył u starożytnych znakomitą kwotę pieniędzy. Najmniejszy srebrny wart był do 10 złp.

lom i miastom. W obyczajach okazywał wiele dumy i przepych książęcy. W czasie igrzysk olimpijskich odziany kosztownym płaszczem, na którym złotemi literami imie jego było wyszyte, zasiadał pierwsze miejsce. Z dzieł jego malarzkich najwięcej uzyskały sławy: *Penelope* i *Helena*. Tę chcąc wystawić tak cudną jak być musiała, kiedy jój uroda tyle zamieszania sprawiła, a przecież niechcąc bogini z nią utworzyć, szukał do jój obrazu wzorów w naturze; wybrał zatem pięć kobiet najurodziwszych, jakie mógł znaleźć w mieście Krotonie gdzie mieszkał, i z ich wdzięków połączonych, jedną zadziwiającą całość uczynił. Z prac Parrhaziusa, wspominają szczególnie o dwóch żołnierzach: jeden ciężko zbrojny, biegł do bitwy z takim zapałem, że zdawało się, iż widać skry sypiące mu się z oczów; drugi po skończonym już boju, zrzucił z siebie zbroje, i była ochota w patrzących, zetrzeć pot i kurz z jego twarzy. Godzien jeszcze pamięci *Timant*, o którego obrazie *ofiary Ifigenii*, częstą napotykać można wzmiankę; w nim, czy stosując się do greckich zwyczajów, które nie dozwalały rozczulenia mężczyznom, czy téż wątpiąc, aby pędzel mógł wydać godnie boleść, a razem odwagę ojca prowadzącego córkę dobrowolnie na śmierć—okrył twarz nieszczęsnego Agamemnona nieprzejrzaną zasłoną.

Wielu malarzami w różnych rodzajach i z różnemi zaletami, szczyli się jeszcze sztuka u Greków, lecz nie chcę ich nazwiskami obciążać twojej pamięci, Helenko; wspomnę tylko, że między niemi były i kobiety: mianowicie *Timareta*, *Irena*, *Aristareta*, *Olimpia*. Zdaje się, że jeżeli jaki kunszt, to malarski, dostępny jest dla płci naszój; cichy, do zamilowania natury i samotności wiodący, choćby do wysokiego stopnia doprowadzony, nie naraża podobnie jak śpiew, taniec, aktorstwo, na zboczenie z skromnej ścieszki niewieściego przeznaczenia. Malarka może obrazy swoje kreślić i kończyć w zaciszu domowém, wśród rodziny, a jój prace nie po-

trzebują jęj osoby, żeby pochwały i wziętość zyskały: znacznie mogą być sądzone.

Malarstwo u Greków bardzo wysoko były cenione; tembardziej że towarzyszyć musiało biegłości w niem, wiele głębokich i obszernych nauk. Należące do sztuk wyzwolonych, zabronione zostało niewolnikom. Dzikie to prawo umniejszyło zapewne znacznie liczbę starożytnych mistrzów; bo Bóg nie zna różnicy w ludziach, i we wszystkich stanach jednakowo ich tworzy i obdarza; tak więc pan jak niewolnik mógł mieć do malarstwa zdatność. — Obrazy wstawionych malarzy niezmiernie drogo były płacone; widzieliśmy, że Zeuxis z przedaży kilku, majątek zrobił; monarchowie też i możni posiadali je sami; często całe miasta składały się dla nabycia jednego: obraz takowy, jeżeli wielkiego mistrza był dziełem, stawał się narodowym skarbem i zaszczytem. Nieco później weszło w zwyczaj używać najbogiejszych malarzy do zdobienia ścian pałaców i świątyń takiego to rodzaju malowania, *al fresco* zwane, dochowały się, po starożytnych aż do naszych czasów, w dawnych budowach Rzymu, i w rozrzuconych szczątkach Pompei i Herculanium; wyżej wspomniane wszystkie zaginęły, zuane są jedynie z opisu. Wyobrażenia o doskonałości, do jakiej sztuki doszły u starożytnych, wysokiego uczucia piękności, i dobrego smaku, jakimi się odznaczyli, najwięcej nam udzielają rzeźbiarskie pomniki; te jako mniej zniszczeniu uległe, dotrwały w znacznej liczbie, a uwielbienie w znawcach wzbudzając, pomnażają żal utraty malarskich bogactw; gdyż zdaniem uczonych, malarska sztuka jeżeli nie wyżej, to w równym stopniu z rzeźbiarską stała.

Z Grecyi jak wiadomo, wszelka wielkość do Rzymu się przeniosła, — jednak piękne sztuki nigdy tak pomyślnie w Rzymie jak w Grecyi nie kwitły; Rzymianom, podobnie jak naszym dawnym Polakom, pędzel i dłuto mało potrzebnemi się zdawały, dla ludzi, mogących szablą i piórem



władać \*). Przesąd mylny, który nas wiele sławy pozba-  
wił, wiele wrodzonych talentów zniechęcił, i którego dziś  
wstydzicie nam się za ojców naszych wypada i wynagradzać  
ile możności.

Pierwszym, prawdziwie sławnym malarzem rzymskim  
był *Arellius*, żyjący nieco przed N. C. Malował boginie  
z najpiękniejszych kobiet Rzymu, i obrazy ich były wielbio-  
ne po świątyniach. Cesarz August sprzyjał wszystkim nau-  
kom i kunsztom, jednak szczególniejszym był lubownikiem  
malarstwa; miał kilka obrazów greckiego pędzla, które  
w sypialni jego zawsze były. *Amulius*, *Tupilius*, także  
w tych czasach się wślawili. Za panowania Nerona, pierw-  
szy raz zaczęto malować na płótnie, dotychczasowe obrazy  
były wszystkie na drzewie albo na miedzi; lecz cesarz ten  
zażądał mieć swój wizerunek na 120 stóp wysoki; chcąc  
dogodzić jego życzeniu, malarz wpadł na myśl użycia płó-  
tna, a tak choć raz kaprys despoty stał się użyteczny. —  
Atoli to odkrycie nie dopomogło z razu sztuce malarskiej,  
i wraz z innemi od panowania Nerona znacznie upadać za-  
częła. Ciągnął się ten upadek zwolna, aż nareszcie (jak  
już dobrze wiedzieć musisz, Helenko, z historyi powszech-  
nej) jak Greków tak i Rzymian potęga podobnie runęła.  
Barbarzyńskie ludy zalały te błogie i ucywilizowane krainy;  
zwykły swój orszak prowadząc za sobą: upodlenie i niedołę;  
taka to była smutna oddawna najzacniejszych narodów ko-

---

\*) Poświadcza to zdanie Łukasz Górnicki w przedmowie do Dwor-  
zanina: „Nie naznaczyłem — pisze — Dworzaninowi aby malować umiał,  
bo mi się to widzi rzecz mało potrzebna; a też naszym Polakom... nie szło-  
by to w smak... Ktemu ważniejszy w tej mierze Cycero u mnie, który *perfe-  
cto oratori* (mówcy doskonałemu) malowania nie naznaczył“. Jakby nie  
wiedział że kunsztu trzymają się za ręce z naukami, i że znać się na nich,  
ubić je, prawdziwą z nich uciechę ten tylko mieć może, kto je choć cokol-  
wiek umie.

lej!... Wtedy nastąpiły owe wieki grubej ciemnoty, długich i krwawych wojen, któreby uspieniem ziemi, turbowanem snami okrutnemi, nazwać należało; wtedy wszystko co było piękne i chwalebne znikło, nauki i kunszt w głęboką poszły niepamięć; a jeśli w Grecyi uciemżonej, malarstwo choć liche zachowało schronienie, pobożności dziękować za to należy.

W owych czasach żarzewie światła wszelkiego przechowywali Chrześcianie, w odludnej samotności albo w zaciszu klasztornej żyjący. Religia chrześcijańska zawsze sprzyjała temu wszystkiemu co umysł człowieka rozszerza i wznosi, jednem więc z upodobanych zatrudnień wielu duchownych i świeckich chrześcian, stało się malowanie: już oni w hierarchii świętych mieli patrona. Łukasz ewangelista był malarzem, on jak podanie zaświadcza, uwiecznił na drzewie prawdziwe rysy Matki Zbawiciela, a tyle nam drogi obraz Maryi Częstochowskiej uchodzi nawet za wierny przerys tej pracy jego. Za jego przykładem, świętym przedmiotom oddali się greccy malarze, mianowicie wizerunkom Boskiej Dziewicy i Jej Dzieciątka, a ś. Łukasza uważaćby można niejako za naczelnika, tak zwaną dotąd *Byzanckiej* szkoły. — Bo trzeba ci wiedzieć, Helenko, iż nowożytnych malarzy i ich prace dzielą uczeni na *szkoły* czyli na rodzaje: nazwiska tych szkół pochodzą od miast i krajów. I tak jest grecka nowożytna czyli *byzancka* od miasta Bizantium \*); jest *włoska*, a ta na pięć się dzieli: na florencką, rzymską, wenecką, neapolitańską, lombardzką; jest *niemiecka*, *flamadzka* i *holenderska*, a nareszcie *francuzka*. Zbierając tu z najlepszych źródeł krótki rys historii malarstwa, napomknę o każdej z tych szkół; obszerniej mówić będę o włoskiej, bo ta jest najcelniejsza, i tej zabytków najwięcej w galeryi drezdeńskiej.

---

\*) Dzisiejszy Stambuł, inaczéj Konstantynopol, Carogród.

Kilku więc chrześcian greckich, naśladowców ś. Łukasza, częścią z upodobania, częścią z pobożności lub dla zarobku, malowało rzeczy święte. Ale malarze ci zasad starożytnych mistrzów wcale nie znali, i żadnego nie mieli uczucia piękności, gdyż jak wspominałam, wszystkie dawne wzory malarskie zaginęły. Twarze ich były bez wyrazu, figury niezgrabne bez ruchu i wdzięku; cała ozdoba i wartość obrazów zasadzała się w jaskrawych farbach, w złocie, a czasem w drogich kamieniach, któremi stroili roboty swoje. Przecież kilku bieglejszych z téj byzanckiej szkoły, powołano w XI-stym wieku do Włoch, które podzielone wówczas na drobne państwa, otrząsać się zaczynały z pyłu barbarzyństwa i ciemnoty, i odradzać dla nauk i kunsztów. Pierwszém, możliwych duchownych i świeckich było staraniem stawiać Bogu świątynie. Bo taka była zawsze serca ludzkiego potrzeba, święcić pierwiastki wszelkiego światła i udoskonalenia Temu, który sam źródłem światła i doskonałości... Do zdobienia więc zewnątrz i wewnątrz wznoszących się kościołów powołano owych greckich malarzy i za danym od nich popędem, sztuka malarska jakby po raz drugi, rodzić się, mieć wiek dziecienny, młodociany, zaczęła, zanim doszła równej dojrzałości jaką nigdyś w dawnéj Grecyi jaśniała. Smutno pomyśleć! rodzaj ludzki w kunsztach, w naukach, w sztuce szczęścia nawet, jest ciągle jak ów potępiony w pogańskim piekle, co dźwignie i zatoczy z potem czoła ciężkie brzemie na szczyt góry — to znowu ciężar upada, i on pracę swoją rozpoczynać musil...

Ci powtórnie pierwiastkowi malarze, nie umieli nic prawie, tylko znaczyć grube rysy ludzkich postaci i wypełniać je farbami; znali *mozajki* trochę, ów rodzaj malowania albo haftu kamiennego. Ale przynajmniej nie grzeszyli za rozumieniem; pewni że widzowie ne odgadną ich myśli, podpisywali treść i imiona wystawianych przez siebie zdarzeń i osób; a ku lepszemu jeszcze wyrozumieniu, na dłu-

gich wstęgach białych z ust wychodzących, pisali słowa które ich osoby mówić miały. Zgoła, kochana Helenko, byli to raczej rzemieślnicy a nie artyści; i rodzaj ich nazwano słusznie dziwnym, pociesznym, (*grotesque*). Lecz niestety! dotąd mają naśladowców. Wszystkie okropności w naszych mniejszych kościołach, obrazy i obrazki jaskrawe, ozdoby naszych jarmarków i odpustów, *bohrazy* cerkiewne, noszą cechę niezaprzeczoną tego potwornego dzieciństwa malarskiej sztuki, i rodzaju pociesznego; i bardzoby należało pomyśleć o zastąpieniu ich czém lepszym. Jakby pięknie było na przykład, gdyby dziedziczki wiosek polskich albo ich córki, które z kosztem w kraju i zagranicą rysować i malować się uczą, własną pracą, dokładnemi kopiami dobrych wzorów, kościoły swoje zdobiły. Jakaby miłą i trwałą po sobie zostawiały pamiątkę! Modlitwa dzieciąt i chłopków byłaby pewno gorliwszą, gdyby składając ją, patrzyli na piękny obraz, matki ich i pani roboty. Wreszcie szerzyłby się gust lepszy, a ten do ulepszenia obyczajów znacznie się przyczynia.

Ale wracając do historii malarstwa, nie długo kunszt ten piękny na klassycznej ziemi włoskiej zostawał w dzieciństwie; same po Rzymianach pomniki, sama piękność natury, dopomódz musiały do jego wzrostu. Już téż jaśnieć zaczął w końcu XIII-go wieku i pierwsza malarska szkoła we Włoszech utworzyła się w Florencyi... Ta szkoła zwana także toskańską, mało podaje wzorów idealnej piękności, jój zwolennicy raczej zadziwiać niż podobać się chcieli; odznacza téż ich dzieła, śmiałość, ruch, surowość czasem ponura, wyraz mocy często wdziękowi przeciwny, i piętno olbrzymiej niekiedy wielkości. Jednak tak z powodu że ta szkoła matką była innych szkół włoskich, jako i dla tego że wystawiła kilku, mianowicie dwóch zawołanych mistrzów, godna wdzięczności i uwielbienia lubowników sztuki.



Wodzem florenckiej szkoły był *Cimabue*. Urodzony w r. 1240, zaraz w pierwszych leciech życia, wielką do wszystkiego okazywał zdatność. Rodzice przeznaczali go do wysokich nauk i nad temi siedzieć mu kazali; ale mały Cimabue zamiast słów, figurki na zeszytach kreślił, a skoro miał wolną chwilę, biegł do nowego kościoła Bogarodzicy, przypatrywać się jak greccy malarze zdobili ściany jego, obrazami męki Zbawiciela. Widząc ten gust syna, rozsądni rodzice pozwolili mu iść za nim; oddali go greckim malarzom dla nauki: przeszedł mistrzów i wnet całą Florencyą utworami pędzła swego zadziwił. Kiedy ukończył pierwszy swój obraz Matki Boskiej, lud przyszedł tłumnie do jego pracowni i zaniósł to dzieło w tryumfie do kościoła przy śpiewach i muzyce; a malarz do śmierci nie tylko od ziomeków, ale od obcych odbierał wielkie dowody szacunku. — Dzieła Cimabuego dalekie były od doskonałości, używał jeszcze wstęg ze słowami i podpisów, ale już zaczął cokolwiek mieć gustu; niektóre jego twarze były piękne; a uwielbienie jakie prace jego wzbudziły, nie małą do malarstwa stało się zachętą. Sztukom żeby zakwitły, potrzeba oklasków i pochwał: to kwiat który do zupełnego rozwicia blasku potrzebuje... Cimabue zostawił uczniów bieglejszych od siebie; najślawniejszy z nich był *Giotta*. Urodzony r. 1276 w okolicach Florencyi, syn ubożego wieśniaka, pasł trzody ojca, a przytem gdzie mógł rysował je. Cimabue obaczył przypadkiem te rysunki, a uznawszy w nich wielką zdatność, wziął go do siebie i co tylko umiał nauczył. Giotta malował święte obrazy, krajowidoki, zwierzęta, portrety; w niektórych tyle się poważył, że używania podpisów zaniechał: wkrótce po całych Włoszech się wsławił, i tę sławę najwięcej mu jednało O. Takie było zdarzenie. Papież Benedykt IX, ozdobił kościół ś. Piotra w Rzymie; posłał zatem do Florencyi, do gniazda sztuk nadobnych, po malarza; a chcąc wybrać najzdatniej-

szego, żądał ażeby wszyscy dali mu próbki swojej umiejętności. Inni sadzili się na obrazy, Giotto narysował pędzlem od ręki wielkie O; to O tak było regularne i subtelne, że Papież autorowi jego dał pierwszeństwo. — Jeszcze jest w przysionku kościoła ś. Piotra, Chrystus idący po morzu, Giotta roboty; są i inne po nim zabytki, a najsławniejszy wizerunek Danta, głośnego po dziś dzień poety włoskiego, który był przytęm i biegłym malarzem.

Zwolennicy tój sztuki coraz liczniejsi, i silną opieką Medyceuszów wsparci, zawiązali w r. 1350 we Florencyi, bractwo malarskie pod nazwą ś. Łukasza, które dotąd jako akademja sztuk pięknych istnieje. Niedługo potęm, malarstwo ważnęm odkryciem zubożacone zostało. Już bowiem nie tylko we Włoszech, w innych krajach nięm się zajmowano, a w końcu XIV-go wieku, Jan *wan Eyck* pospolicie zwany Jan z Brugii, urodzony 1370 r., syn i brat malarza, przytęm chemik biegły, wynalazł sposób malowania olejno i pokost. Dotąd wodę, klej, białko od jajka, męszano jedynie do farb; jemu pierwszemu przyjść miała myśl użycia oleju lnianego lub z orzechów, gdyż ten schnie najłatwiej. Wnet obrazy jego tym sposobem malowane, pełne blasku i życia, rozślawiły się bardzo; jeden z nich zakupiony dla Alfonsa króla neapolitańskiego, wzbudził podziwienie ówczesnych malarzy włoskich. Antoni z Messyny nie przestając na czczęm uwielbieniu, pojechał do Brugii, zaprzyjaźnił się z Wanejkiem, i nauczył się od niego tój nader ważnęj tajemnicy. Wróciwszy do Włoch, udzielił jej uczniowi swemu Dominikowi. Temu na złę wyszła nowa umiejętność. W Florenckiej szkole słynął wtedy Jędrzj *Castagna*; był to wielki lubownik swego kunsztu, ale człowiek zazdrosny, gwałtowny, chytry. Dominik pojechał do Florencyi i na nieszczęście swoje zapoznał się z nim. Castagna tak go ująć potrafił, iż wyłudził od niego sekret, a nauczywszy się go umyślił pozbyć się niebez-

piecznego rywala. Jednego wieczora zaczął się na niego w ciemnej ulicy i pchnął puginałem. Biedny Dominik nie poznał swego zabójcy, owszem gdy go zbroszonego we krwi ludzie litościwi znaleźli, kazał się zanieść do mieszkania Castagna, i oddał ducha na jego rękę, myśląc do końca że jest w objęciach wiernego przyjaciela. — Castagna choć pełen sławy, nie był szczęśliwy; zgryzotami sumienia dręczony, umarł: przed skonaniem wyznał zbrodnię swoją, a sekretu tak drogo okupionego wszystkim uczniom udzielił.

Najsławniejsi między niemi byli *Ghirlandaio* i *Verocchio*: pierwszy w utwory swoje wprowadził dowcip układu jeszcze nie znany; drugi, malarz i rzeźbiarz, wynalazł sposób nadawania wizerunkom nieomylnego podobieństwa, wytłaczając twarze tak żywych jak umarłych na gipsie: ale oba najwięcej są głośni uczniami: Ghirlandaio był mistrzem Michała Anioła (*Michel Ange*), Verocchio wystawił Leonarda *Vinci*; ci dwaj zawołani mężowie są chlubą florenckiej szkoły.

Leonard Vinci urodzony 1445 r. był człowiekiem nie pospolitym; wszystkimi darami natury obdarzony hojnie. Piękny, dorodny, silny, zręczny, tyle miał do najwyższych nauk i kunsztów zdatności, że rodzice lękali się tylko, aby ta niepojęta łatwość nie stała się niebezpieczną i nie sprawiała półumiejtności wszystkiego: bogactwo, które zbyt kowem mianować należy, gdyż ani użytku ani do sławy nie zaprowadzi. Ale młody Leonard umiał w naukach wybór stały uczynić, i chociaż był poetą, muzykiem, przecież sztuce malarskiej poświęcił się wyłącznie; objął ją z wysokiego stanowiska, wszystkie niemal nauki wciskając do jej dokładnej znajomości. Matematyka, anatomia, perspektywa, mechanika, budownictwo, weszły w zakres jego; kiedy też pierwszy swój obraz ukończył, mistrz jego *Verocchio*, uznając się pokonanym, rzucił pędzle i odtąd snycerstwu oddał

się jedynie; lecz nie zazdrościł uczniowi, owszem cieszył się z jego postępów i sławy.

Leonard wkrótce za pierwszego malarza włoskiego uznanym został, a lubo przeszli go późniejsi, wyznać trzeba że bardzo wiele dla sztuki zasług położył, i że dziś jeszcze godzien znakomitego miejsca, a to najwięcej, dla układu zręcznego figur i dla ich prawdy. Tęj prawdy szukał w naturze, ona wzorem mu była. Raz chcąc wymalować wiernie wesołą biesiadę, wyprawił ucztę, zaprosił ochoczych przyjaciół, wina i żartów dodawał, a sam trzeźwy chodził około stołu i wpatrywał się w biesiadujących. Skoro się rozeszli, zamknięty w pracowni powtórzył i uwiecznił na płótnie widziany dopiero obraz żyjący. Nigdy z domu nie wyszedł bez tabliczek i ołówka; idąc, rozmawiając, wpatrywał się w znajomych i w nieznajomych, czasem do natrętności; szedł za prowadzonymi na śmierć i wszystko co go mocniej uderzyło, co mu się podobało, rysował natychmiast, chwytając że tak powiem, prawdę na uczynku. Talenta jego znakomite wzbudziły zazdrość w współczesnych mistrzach; *Vinci* łagodny i tkliwy nie mógł znieść tych niesnasków, choć już stary opuścił ojczyznę i pojechał do Francji, gdzie go wzywał oddawna sprzyjający namukom Franciszek I; na rękach tego króla, umarł w Fontainebleau 1520 r. — Leonard Vinci dosyć dzieł zostawił; najslawniejsze: *Wieczerza Pańska*, której oryginał w Medyolanie, kopie wszędzie; *portret Jokondy*, żony szlachcica florenckiego. Równiej wziętości używają *kartony* \*) jego, które kreślił

---

\*) Kartonami zowią wzory czysto rysowane i cieniowane na tekturze, wycięte albo pokłute, które służą do założenia pierworysów malowania ściennego. Ponieważby nikt tak dokładnie i tak prędko jak potrzeba na ścianie zaprawionej, pierworysów nie nakreślił, ten sposób przenaszania jest od wszystkich malarzy ściennych używany, a takowe wzory po wielkich mistrzach pozostałe, wielce są szacowane, wystawiają myśl ich całą i są doskonałą szkołą rysunku.



spólnie z Michałem Aniołem do sali obrad w papieżkim pałacu.

Michał Anioł jeżeli nie doszedł Leonarda w części przyjemnej malarskiej sztuki, jeśli mniej jeszcze od niego za pięknnością gonił, przeszedł go daleko w wielkości pomysłów i utworów i w obszerności talentów. Michał Anioł był to geniusz. Urodzony w 1474 r., z znakomitą i dawną rodziną *Buonarottich*, długo doznawał przeszkód od ojca w poświęceniu się zupełnym pięknym sztukom. Przesąd odwrotny przesądowi starożytnych ale równie dziwny, wzbraniał majątniejszej szlachcie podobnych zatrudnień, zostawiając je gminowi i ubóstwu. Lecz Michał Anioł wyższy był nad przesady i czego chciał dokonać, w tym wytrwać umiał; nabywał zatem wysokich nauk, jak życzyli sobie rodzice, wielkie w nich czynił postępy, zawołanym był poetą; a obok tego, snu i zabawom godzin ujmował, i poświęcał je rysowaniu i lepieniu figurek. Odkrył to ojciec, nie chciał opierać się dłużej powołaniu syna i oddał go do *Ghirlandajo*, najslawniejszego w owym czasie mistrza we Florencyi. Młody Michał objawił wnet ten olbrzymi talent, który dziś jeszcze zadziwia. Zdawało się, że wszystkie gałęzie rozległej sztuki ogarnie, doprowadzając każdą z nich do wysokiego doskonałości stopnia. I tak był wielkim malarzem, budowniczym, inżynierem, snycerzem; geniusz jego począł i dokonał obraz Sądu ostatecznego, bazylikę ś. Piotra w Rzymie, most *Rialto* w Wenecyi, warownie florenckie i posąg Mojżesza; a dzieła te tak są doskonałe, że każde z osobna nieśmiertelniczy mogło autora swego. W każdym jest cecha wielkości, cecha duszy Michała: ich wady nawet były jego wadami. Michał Anioł był dumny, gwałtowny, namiętny, niezłomny; sposób też jego malowania tak jest śmiały, przerażający, tak był szybki, że Włochy *furyą* go przezwali; i on, jak sam mówił, nie chciał nigdy rozrzewnić, ująć, tylko zdziwić i przerazić. Dla tego też

więcej się starał wydać siłę, jak piękność ciała ludzkiego, chętniej wystawiał namiętność, jak uczucie, wolał malować ogromne kościołów i pałaców ściany, jak krępować twórczą i bujną imaginację na kawałku płótna: olejne malowanie zwał rodzajem podrzędnym, kobietom, starcom i nieudolnym właściwem. Wielu mistrzów przeszło go w niektórych szczegółach sztuki, wielu uniknęło wad jego; nikt tyle umiejętności nie połączył, i żaden malarz nie był bieglej- szym w rysunku, żaden snycerz śmielszym w pomysłach. Michał Anioł Buonarotti umarł 1564 r. mając lat 90. Szczegóły jego życia mało są znane; wiadomém tylko, że był zazdrośny, trudny do zgody i prawie zawsze samotny.

Lubo szkoła florencka liczy jeszcze mistrzów znakomitych, mianowicie Andrzeja *del Sarto*, *Carlo Dolce*, już niema takich, którzyby obok Leonarda i Michała stanąć mogli; przeto do drugiey szkoły włoskiej, do *rzymskiej* przejdziemy.

*Rzymska* szkoła zrodzona i wydoskonalona w stolicy niegdyś świata, zamożnej dotąd w pamiątki kunsztów po Grekach i własne, nosi cechę wzorów swoich. Wszyscy przyznają jęj mistrzom, że najwięcej do starożytnych się zbliżyli. Zapatrując się na pozostałe, zwłaszcza rzeźbiarskie dzieła, przejęli się uczuciem piękności, nabyli umiejętności rysunku, oddali doskonałość składu ciała i rysów twarzy, szlachetność stylu, prawdę wyrazu, o tyle, o ile wdzięków nie niszczy, i posiadli sztukę rzucania odzieży na figury swoje, czyli *drapowania*; lecz zaniedbali kolorytu, i ten jest prawie jedyny zarzut, jaki im znawcy czynią.

Naczelnikiem szkoły rzymskiej był Piotr *Vanucci*, zwany częściej *Perugino*; urodził się w Rzymie 1446 r. i brał nauki od różnych mistrzów. Trzy przedmioty kochał namiętnie: żonę, pieniądze i malarstwo; żona martwiła go rozrzutnością, pieniądze go zgubiły, gdyż kradzież znaczna, jakiej doświadczył, przyczyną mu była do śmierci: malar-

stwo jedno osłodziło mu życie i wieczną zjednało sławę, już to dla kilku obrazów, w których jest prostota, wdzięk miły i wykończenie nadobne, już to więcéj dla tego, że był mistrzem Rafaela.

*Rafael*, ten książę malarstwa, o którym zapewne już słyszeć musiałaś, Helenko, jest zaszczytem nietylko rzymskiej szkoły i sztuki swojej, ale nawet ludzkości, bo cieszy i unosi każdego możność przekonania się, do jak wysokiego stopnia doskonałości człowiek w czémbądź dojść może; zachęca widok obszernéj i trwałej chwały, jaką sama jedynie zasługa nadać jest zdolna. Rafael Sanzio urodził się w Urbino r. 1483, synem ubogiego i miernego malarza; żył tylko lat 34, a w tym krótkim przeciągu czasu doszedł do najwyższej sławy i wziętości. Imie jego po całej Europie się rozniosło a prace były przepłacane. Pierwszy budowniczy papieża Leona X i przyjaciel jego, w końcu życia miał do wyboru kapelusze kardynalski i rękę bogatéj synowicy kardynała Bibiena; żył jak pan udzielny, chodził i jeździł otoczony licznymi uczniami, którzy cześć mu nieśli, a ziomkowie jego uwielbiając w nim prócz talentów to staranie, z jakim stolicę ich zdobił, uważali go jak anioła kunsztów, zesłanego z nieba, dla przywrócenia Rzymowi dawnéj jego świetności. Kiedy téż umarł niespodzianie i tak zawczasie, rozpacz była powszechna, żałoba długa, a cześć oddawana zwłokom jego równa się oddawanym najznakomitszym mężom. Usprawiedliwia! Rafael to uwielbienie, osobą, charakterem i nieporównanym talentem. Rzadka uroda, ułożenie ujmujące, ubiór nawet zawsze smakowny i przyzwoity, za pierwszym wejrzeniem nęciły do niego; rozum wyniosły, głęboki i światły, dusza wielka i szlachetna, do uniesień sposobna, serce tkliwe, uczynne, dobre, zbyt żywo czujące, tę ponęte w przywiązanie zmieniały; talent zaś jak nie miał wzoru, tak dotąd nie znalazł równego, Rafael bowiem lubo uczeń najprzód ojca swego Jana, potém Perugina, lubo

wielbiciel Leonarda i Michała, lubo nareszcie badacz pracowity starożytnych pomników, przecież najwięcej winien samemu sobie: talent jego był niejako wpływem jego duszy, wyższość dzieł swoich z niej wyczerpnął.

Rafael zapalony lubownik wszelkiej piękności, zachował ją w utworach swoich; rysunek jego zawsze poprawny, kompozycja szlachetna, przyzwoita, wielka; obfitość i dowcip pomysłów zadziwiające, umiejętność zarzucania odzieży doskonała, bo okrywał nie zasłaniając; a przecież wszystkie te wielkie zalety ustąpić muszą przed jedną wyższą nad nie, przed *wyrazem*, zdaniem znawców. *Wyraz* jest główną przyczyną piękności i wartości dzieł Rafaela, przymiotem nieocenionym, którego w nim śledzić i uczyć się potrzeba. *Wyraz* na tém zawisł, ażeby oddać na twarzy i w całej postaci, to co wewnątrz człowieka się dzieje: to jest część sztuki najtrudniejsza i najznakomitsza, część że tak powiedzieć trzeba, duszna. Nigdy żaden mistrz jej nie dopełni, jeśli sam wyniosłej duszy nie ma i czytać w niej nie umie. *Wyraz* jest czemsiś więcej jeszcze od natury i prawdy, bo jest jakby zchwyceniem i odkryciem jej tajników i tajemnic. Dla tego też Rafael kiedy mu przyszedł pomysł obrazu, nie szukał oczyma tak jak Leonard, wzorów żyjących, nie gonił za niemi; przeciwnie, zamknięty sam w sobie, wzrok zasłoniwszy, patrzył w duszę swoją. Tam znalazł uczucia i namiętności osób, które chciał wystawić; stosownie do tych wrażeń, umysłowo je stwarzał, i dopiero tak przejęty i zbogacony malował, a posłuszny pędzel wydawał na jaw, co dusza skrycie przedstawiła. Zajęty ciągle *wyrazem*, już wszystko w reszcie obrazu, do tego przedmiotu stosował, wydaniu jego poświęcał wszystko; na koloryt, na harmonią światła i cieniów, na ozdoby, mniej dbały. I z tych to przyczyn, Rafael tak wielbiony i wysławiony od artystów i znawców, że pierwsze miejsce między malarzami mu dają, nie każdemu nad wszystkich się podoba, a mało kogo za-



chwyci odrazu; zalety jego raczej są dla duszy, aniżeli dla oczów, a obrazy jego więcej myśli i uczuć podają, niżli wykrzykników. Rafael, nie odrazu był tyle doskonały; bękotał pierwój, zanim wyraźnie, później wymownie, myśl swoją wydać potrafił: dlatego uważają w nim trzy *manier* czyli sposoby malowania, a ostatni najdoskonalszy.

Choć był biegłym i bardzo czynnym budowniczym (o czém świadczy kościół ś. Piotra, nad którym wraz z Michałem Aniołem pracował, i wiele pysznych gmachów w Rzymie), przecież trudno by zliczyć wszystkie płody pędzla i ołówka jego. Niema sławniejszej galerii, gdzieby obrazu jego roboty nie było; ściany, Watykanu w Rzymie, ś. Piotra, pałaców kilku, wielu kościołów włoskich, ozdobione temi utworami; kartonów, tak do malowań ściennych, jako do gobelinów, zostawił ilość niepojętą; i zapewne pędzel jego acz pośpieszny i pracowity, nie byłby zdołał tego wszystkiego wykonać, co myśl poczęła, gdyby nie pomoc biegłych uczniów, mianowicie: *Giulia Romano, Polidora Caravaggio, braci Penni, Garofollo, Gimignani, Buonacorsi*, i kilku innych. Ci lubo sami znakomici malarze, tak byli przejści wywyższością Rafaela i tak go kochali, że najmiliej im było pod imieniem i przewodnictwem jego pracować. Z malowań ściennych Rafaela, pierwsze miejsce trzymają *łóże Watykanu*; z portretów, *portret Leona X*, przed którym gdy go postawiono w pokojach papieżkich, kardynał *Pesio* ukląkł i bułkę do podpisu podał; z *kartonów*, wzory kolorowane do gobelinów, dziś w Anglii; z obrazów olejnych, ostatni i największy, *Przemienienie Pańskie*, umieszczony w Watykanie, którego dla nagłej śmierci nie wykończył.

Atoli najwięcej imie jego rozślawiły obrazy Matki Zbawiciela; dzielą je na trzy rodzaje: *Madony*, to jest Marya z boskiem Dzieciątkiem; *święte rodziny*, gdzie przy Maryi i Jezusie, ś. Józef, Anna, Elżbieta i Jan umieszczeni; i trzecie które wystawiają jakby *zjawienie*, cud; w nich Boska

dziewica z Synem na ręku, zstępuje z nieba, i ukazuje się różnym osobom na ziemi. Od wznowienia malarskiej sztuki, Marya z Dzieciątkiem i z świętym małżonkiem, była najczęstszym pędzla przedmiotem; bo możeż być jaki piękniejszy? obraz tak złożony, czyż nie wystawia jakby treści rodzaju ludzkiego, wizerunku trzech wieków człowieka, a oraz tego, co najtkliwszém w kobiecie, najpowabniejszém w dziecięciu? Te proste a razem szczytne utwory, doskonaliły się z postępem sztuki, ale Rafael pierwszy doprowadził je do stopnia, nad który już podobno nikt je nie wzniesie. Przejęty od dzieciństwa niewymowną czcią ku Matce Zbawiciela, z takim uczuciem i polubieniem wystawiał i powtarzał Jój obrazy, że sam zbiór Dziewic malowanych lub rysowanych przez niego, opis zmian w tych pracach, złożyłby skróconą historją jego talentu. Czy Ją wystawia jako skromną i tklivą niewiastę, czy jako królowę aniołów, zawsze jedyny, i zdaje się że wyczerpał wyraz niewinności, czystości dziewiczój, miłości macierzyńskiej, świętości, wdzięku, powagi, które podobny przedmiot mógł komukolwiek podać.

Rafael i uczniowie jego stanowią właściwie szkołę rzymską. Jako ostatni z jój zwolenników uważany jest Karol *Maratti*. Lubo niezmiernie biegły w malarstwie i niesłychanie pracowity, za mało ufał sobie, zbyt wiele drugich naśladował; przecież roboty jego były i są bardzo miłe i cenione: odświeżył i naprawił godnie, psujące się już w lożach Watykanu, Rafaela roboty. Umarł w r. 1713.

*Szkołę lombardzką* czyli północno-włoską, zaczął i wślawił Antoni *Correggio*; odznacza się ta szkoła od innych, niepospolitym wdziękiem, rysunkiem przyjemnym, lubo czasem niepoprawnym, pędzlem gładkim i miękkim, harmonią, wielką umiejętnością cieniowania i stapiania kolorów. *Correggio* w miernym stanie urodzony, jedenaście lat później od Rafaela, zmarł w 40-m roku życia, niewiadomo gdzie się uczył i na kogo się zapatrywał; podobno natura i serce

jedynemi mistrzami mu były. Umysł jego łagodny, smak delikatny, tkliwość prawie niewieścia, sprawiły, że obrał sobie *wdzięk* za główny przedmiot prac swoich. *Wdzięk* stanowi też piękność i zaletę dzieł jego, tak jak *wyraz*, Rafaela; *wdzięku* od niego malarze uczyć się powinni, i weszło w przysłowie: gdzie Correggio, tam *wdzięki*. Tego miłego przymiotu doszedł: rysunkiem gładkim i okrągłym, słodyczą i nadobnością twarzy i postaw, szczęśliwym doborem barwy ubiorów i draperyi, pędzlem miękkim i wykończonym, wyborném łączeniem kolorów, i doskonałym rozkładem światła i cieniu. On tak się starał, żeby obrazy jego mile w oko wpadały, nadobne i wdzięczne były, iż nawet najdrobniejszych nie zaniedbywał szczegółów, ze zbytkiem, od ówczesnych malarzy nieznanym (lubo nigdy bogatym nie był) używał najdroższych farb; dobierał najgładszego drzewa, najcieńszego płótna, często nawet na miedzi malował.

Jednak mimo tych wszystkich starań i zabiegów, nie byłby zapewne tak doskonale dopiął swego celu, gdyby usposobienie moralne nie przychodziło mu w pomoc; lecz on zdaje się że nie z głowy ale z serca pracował, że dla niego malować, było to kochać; uczucie, tkliwość jest tłem prawie wszystkich jego obrazów, wszystkie niemal osoby które wystawił albo kochały, albo kochają, albo celem są kochania. Przedmioty obierał miłe, spokojne—zrodzony dla *wdzięków*, unikał wszystkiego coby ująć ich mogło. Dobitnej mocy, sprzeczności bijących w oczy, miotań namiętności, szukać w nim nie trzeba; on chętniej malował świętych, kobiety, aniołów, jak bohaterów i zbrodniarzy, a nikt z większą jak on doskonałością, obrazu Boskiego Dzieciątka nie wydał.

Są po Correggio, i ścienne roboty w Parmie, wielce szacowane. Pobożne treści, igraszki aniołów i dzieci, niewinnéj miłości pieszczoty, zajmowały na przemiany słodki pędzel jego; szczegóły krótkiego życia mało głośnie, ale znane są powszechnie słowa, które wyrzekł, obaczywszy raz

pierwszy dzieło Rafaela; długo osłupiały nad doskonałością tego mistrza, zawołał nareszcie z radośną dumą „*Anch'io son pittore!* „ I ja jestem malarzem!“ Dowiódł prawdy tych słów, bo jeśli Rafaela nikt dotąd nie przeszedł w wyrazie, *Correggio* nikt nie wyrównał wdzięku i harmonii. Jednym z malarzy którzy najszcześliwiej go naśladowali, był Pompejo *Battoni*, ur. r. 1709, zmarły 1786.

Ale wydawszy tylu wielkich mistrzów, w końcu XV-go i w początku XVI wieku (w okresie, który w historii sztuk pięknych znany jest pod godłem *wieku Leona A*), Włochy spoczęły, i malarstwo zwłaszcza, przyćmiło na czas jakiś blask swój. Wtedy zjawili się trzej bracia: Ludwik, Augustyn i Annibal *Carrache*; oni znowu malarskiej sztuce dawną świetność wrócili i rozpoczęli jakby nową szkołę lombardzką, przez niektórych *bonońską* zwaną od ich gniazda. Trzej bracia *Carrache* urodzeni w Bononii między 1555 i 1569 rokiem synami ubogiego krawca, piękny zostawili przykład rodzinnej miłości. Przez czas długi mieszkając razem i w największej zgodzie, nieraz wszyscy trzej przy jednym pracowali obrazie, tak że nie jeden ich obraz, nie jest robotą żadnego, tylko wszystkich. Później dla wydoskonalenia rozdzielić się musieli; wszyscy trzej pracowali niezmiernie i pozyskali sławę, ale najwięcej Annibal, dokładnością rysunku, oddaniem męskiej piękności, żywością i mocą wyrazu. Pałac *Farnese* w Rzymie, jego pędzlem ozdobiony, dotąd jest uwielbiany, a w Bononii długo trwała akademia malarska przez nich założona. Ze szkoły *Carrachów* czyli nowo-lombardzkiej, wielu bardzo wyszło znakomitych uczniów i naśladowców, między nimi trudno pominąć: *Dominikina*, *Guido Reniego* i *Albana*.

*Dominik Zampieri* ur. 1581, zwykle zwany *Dominikinem*, był jednym z najlepszych malarzy po Rafaelu; przecież żadnemu za życia tak mało spawiedliwości nie oddano: owszem prześladowany, mówią, że umarł otruty roku



1641. W liczbie jego obrazów najślawniejsze: kommunia św. Heronima i św. Cecylia. Sposób miał wielki, śmiały; a przecież wykończony i miły; przejmował się mocno przedmiotami swémi; płakał, śmiał się, gniewał, według tego co czynić miały wystawione przez niego osoby. W rysunku doskonały, wzorem jest dotąd uczących się. *Guido-Reni* urodzony 1575, słynie bardzo z nadobności pędzla. Lubownik piękności idealnej, wszystko ile możności piękném wystawiał; dumny z powołania swego i talentu, doszedł do wielkiego znaczenia i majątku; najpierwsi panowie włoscy i cudzoziemscy uczęszczali do pracowni jego, przyjmował ich z powagą, nie przerywając roboty; malował zwykle okryty bogatym płaszczem, uczniowie mu usługiwali, miał ich przeszło dwóchset. Szkoda, że wyuzdana gry namiętność, pozbawiła go zwolna majątku, sławy, a nareszcie i życia: w ostatnich latach z potrzeby malował, jako tako, byle co zarobić, a przegrawszy znaczną sumę, której zapłacić nie był w stanie, umarł z rozpaczry r. 1642. Najślawniejszy jego obraz jest św. Piotr płaczący nad grzechem swoim i przez drugiego apostoła pocieszany. Może malując go myślał o sobie. Podobny *Gwido-Reniemu*, słodyczą robót, ale zupełnie odmienny charakterem był *Alban*, także do rzędu wielkich mistrzów liczony; ten zaszczyt winien najwięcej doskonałości z jaką malował dzieci. Żaden malarz, wdzięków, pieszczot, spoczynku, igraszek tego wieku, wierniej od Albana nie oddał. Ale jakże mogło być inaczej? Piękna i ukochana żona zbierała wokoło niego własne ich dzieci; a tak, uczucie, natura i niewinność układały mu przed oczyma wdzięczne i lube wzory, które on z rozkoszą powtarzał i uwieczniał pędzlem. Nie brakło mu ich, bo dwanaścioro miał dzieci.

*Szkoła wenecka*, którą prawda kolorytu, świetność ubiorów, najwięcej zaleca, mało co później od florenckiej istnieć zaczęła, ale nie uzyskała wziętości aż w samym końcu XV wieku: wtedy zjawił się *Tycyan* i *Giorgione*. Oba jeden ro-

dzaj obrali, ale Giorgione żył krótko: Tycyan wieku doliczył; przy nim więc sława, pierwszeństwo i zaszczyt istotnego naczelnika weneckiej szkoły zostały. Tycyan jak tylko malować zaczął, obrał za cel swój, *prawdę*; założył sobie, żeby wydać koniecznie pędzlem, farbami, rzecz każdą tak, jak była w naturze. Nie tyle wzniosły i tkliwy co Rafael i Correggio, upodobał sobie najlepiej część materialną, cielesną malarskiej sztuki, bo ją widział i pojmował najlepiej; ale téż wyznać należy, iż w tej części przeszedł wszystkich malarzy i jak Rafael słynie *wyrazem*, Correggio *wdziękiem*, tak Tycyan *prawdą*; a wszyscy trzej są prawdziwymi mistrzami malarstwa. Tycyan uchwycił *prawdę*, malując bardzo wiele, a zawsze z natury, i zgłębiając własność farb. Pierwszym jest dotąd kolorystą; jego ciała zdają się być złożone z tłuściości, z żył, z mięśni, jednem słowem żywe; zarzucają mu jednak, że zbyt mało cieniował, rysunku nie znał dokładnie, i że nie miał jak Rafael i Correggio w samym sobie zapasu piękności i szlachetności; prace jego wtedy piękne, kiedy wzór ich żyjący był piękny: to oddawał wiernie co widział, sam nic nie stworzył.

Tycyan obok talentu swego, wesóły, przyjemny, znaczny zebrał majątek i wielką uzyskał wziętość; wzywany na królewskie dwory, wszystkich prawie ówczesnych monarchów portrety zostawił; szkoda, że do Polski nie zajechał; mielibyśmy Zygmunta naszego jego pędzla: był im współczesny. Robiąc portret Karola V, upuścił pędzel; monarcha choć znany z dumy, porwał się i podniósł mu go, a gdy malarz korzył się i przeproszał, Karol powiedział: „Tycyanowi może cesarz służyć!“ Tycyan malował także krajobrazy, z największym jednak upodobaniem kobiety. Żył lat 99, i do końca przyjemność charakteru zachował; wzrok i talent znacznie w nim osłabł, a lubił niezmiernie przerabiać dawne prace. Kiedy tym sposobem kilka szacownych popsuł, uczniowie jego użyli podstępu, mieszali do farb jego prostą oli-

wy, która ma tę własność, że nie schnie; a kiedy starzec przerobił czyli popsuł jaki obraz do woli, oni potajemnie zcierali te poprawki. Tycyan umarł w Rzymie r. 1576, z morowego powietrza; mimo tego, cześć publiczną i wspaniałą mu oddano.

Szkołę wenecką uświetnili jeszcze: *Tintoretto*, uczeń Tycyana, niepojęty co do bujnej imaginacyi i szybkości robót swoich, i *Paweł Cagliari* częściej zwany *Veronese*. Jedyny i oddzielny w swoim rodzaju, bogaty w kompozycyach, dokładny i wierny w rysunku i kolorycie, byłto człowiek niepospolitego talentu ale bez geniuszu. Szczęśliwy w oddaniu ruchu i życia osób swoich, wyrazu duszy mało chwycił. Najdokładniej malował głowy i ręce. Mało uczony, jako malarz historyczny jest nawet ganionym; u niego nie ma ani czasu, ani miejsca: wszędzie i zawsze okolice, ubiory i twarze weneckie. Brakowało także często, składu i szlachetności pracom jego; w sławnym jego obrazie *Zbawiciel w Emaus*, obok Chrystusa i uczniów on sam stoi; dalej żona z dziecięciem u piersi, dwaj synowie, dwie córeczki, służące i pieski. Wielki przyjaciel uczt, cztery z jego najlepszych dzieł *uczty* wystawiają: *Wesele w Kanie* po dwa razy, *obiad u Szymona* publikana i *Chrystusa z apostołami* w domu Lewiego. Paweł *Veronese* lubo majątnym był, tanieniami farbami malował, z tej przyczyny, nieba, jego zwłaszcza bardzo zczerniały.

Ostatnia ze szkół włoskich jest *neapolitańska*; dwóch mistrzów najwięcej ją wslawiło: *Salvator Rosa* i *Luco Giordano*. Pierwszy urodzony 1615 r., zmarły 1673 r., aktor i poeta, malował najpiękniej krajobrazy, ale gniewał się kiedy ten rodzaj w nim chwalono, bo sięgał do wyższego zaszczytu: historycznego malarza. Dumny i zarozumiały nad miarę, nie chciał nawet obcych brać wzorów; lecz wszystko widział w samym sobie: i tak, malując obraz jaki, stawał przed wielkiem zwierciadłem, układał się w jakiej mu było

trzeba postawie, i z samego siebie rycerzy i bogów malował. Lubo téż wiele miał talentu, dziwaczne są często jego roboty, zadziwia, ale i odstręcza dziką surowością. *Luca Giordano* skromniejszy, choć może jeszcze większego talentu, przezwany został *Fa presto* „prędko-rób,“ a to od słów ojca, który całe mając utrzymanie z prac syna, nieustannie mu to zlecenie powtarzał. *Giordano* tak się wprawił, że choć później do znacznego przyszedł majątku, ten sposób pośpieszny zachował, i żadnego malarza, nawet *Tintoreta*, nie można w wielości z nim porównać. Z tego pośpiechu musiały wyniknąć liczne błędy, jednak prawie nigdy nie ma ich w rysunku. Umarł 1705 r.

Tak, masz, kochana Helenko, zebraną w krótkości wiadomość o historii malarstwa i o szkołach włoskich; można by ją daleko obszerniejszą uczynić, ale i tak boję się czy nie zbyt długa, ile, że jeszcze według obietnicy mojej, napomknąć choć muszę o innych szkołach. Pominę tylko zupełnie *francuzką*, najprzód, że w opisie Paryża, który ci wcześniej zapowiadam, obszernie mówić o niej będę....

Mam więc jeszcze wspomnieć o niemieckiej, flamandzkiej i holenderskiej szkole. *Niemiecka* równa jest włoskiej w dawności, ale nie bogata; weszło bowiem w zwyczaj rachować do niej tylko malarzy XIV i XV wieku; późniejsi, jako: *Dietrich*, *Mengs*, *Graff*, *Aniela Kaufmann* i inni, lubo Niemcy rodem, dla sposobu malowania do włoskiej albo do flamandzkiej szkoły liczeni bywają. *Niemieckiej* szkoły, która z bizancką wiele ma styczności, zarzucają twardość, gust staroświecki czyli gotycki; jednak trzech malarzy, *Albert Dürer*, *Lukasz Kranach* i *Jan Holbein* potrafili za pomocą talentów swoich, choć na zły drodze, wiele utworzyć piękności. Obrazy pobożne i świeckie, portrety po tych trzech mistrzach zostały, mają w sobie prostotę, która się podoba. Układ osób, ani wyszukany, ani sztuczny, zwyczajnie stoją rzędem, klęczą na obu kolanach, przecież nie bez wdzięku;



twarze w pospolitych położeniach i wyrazach, często zbyt rzetelne, mają coś w sobie, czego dosyć napatrzeć się nie można. Temi zaletami najwięcej celuje *Dürer*, on też uwielbiany dotąd od Niemców, za ojca ich dawniej szkoły jest uważany; urodzony w Norymberdze r. 1470, zmarły r. 1527, współczesny Rafaela, uzyskał jego pochwały, i nie tylko jest sławny jako malarz ale i jako rytownik. Kranach, Holbein, najkorzystniej znani z portretów. Do tych trzech malarzy dołączyć jeszcze można Łukasza *de Lejde*, który żyjący w tym samym czasie, lubo Holender rodem, w takim samym rodzaju malował i bardzo się wstawił. Było wielu innych dawnych niemieckich malarzy, ale wymienieni są najgłośniejsi:

*Szkola flamandzka*, w końcu XIV-go wieku, zasłużyła się, jak wyżej wspominanem było, wynalazkiem olejnego malowania przez Jana Wandyka; długo obfitsza w rzemieślników jak w artystów, w końcu XVI wieku wielkich mistrzów wydawać zaczęła. Między temi najslawniejsi *Rubens* i *Wandyk* (van Dyck), którzy jęj zupełnie odmienny od włoskiej, właściwy, narodowy charakter nadali. Piotr Paweł *Rubens* urodzony 1517 r. w Kolonii, z rodziców nie majątnych, ale którzy staranne wychowanie mu dali, był niepospolitym człowiekiem. Piękny, układny, rozumny, uczony, cnotliwy, i utalentowany—dostojęństw, majątku, szczęścia domowego, przyjaciół i sławy, przez ciąg długiego życia używał. Powołany jako dyplomata do różnych poselstw i trudnych rokowań, przez arcyksięcia Alberta i infantkę Izabellę, którzy wtedy Flandryą rządzą, traktował i z naszym Władysławem IV, a przecież te wszystkie dostatki i honory nie przeszkodziły mu do zostania znakomitym malarzem, i wygotowania znacznej liczby olejnych i ściennych robót. Zasłużył szczególnie na sławę, wielkością, prędkością, różnaitością utworów swoich; wszystko malować umiał: historyczne obrazy, portrety, krajobrazy, zwierzęta, kwiaty, owoce; taki miał

nawał pomysłów i taką łatwość w ich oddaniu, że jeden przedmiot, gotów był kilka razy zupełnie odmiennie wystawić. Zarzucają mu jednak, iż się nie wznosił do idealnej piękności, że nie był dosyć szlachetny, przyzwoity; w wielu jego obrazach jest niedokładność, zamieszanie panuje; że podobnie jak Paweł *Veronese* był zbyt miejscowy; jego *Madonny*, boginie, różnych narodów kobiety, zawsze są dorodne *Flamandki*; wymagają zaś od mistrzów, żeby ich dzieła powszechnymi były: tak posągi starożytne, głowy *Rafaela*, nie mają ojczyzny właściwej—chyba niebo. Najślawniejszy obraz *Rubensa*, *zdjęcie z krzyża*, jest w *Antwerpii*.

*Wandyk* uczniem był ulubionym *Rubensa*; pozyskał ten zaszczyt od czasu następującego zdarzenia, które choć pospieszać nam wypada, opowiedzieć ci muszę. Razu jednego liczni uczniowie *Rubensa*, do których liczby należał *Wandyk*, korzystając z nieobecności mistrza, bawić się i gonić w jego pracowni zaczęli i zrzucili ze stalugi rozpoczęty obraz *Świętej rodziny*. Podnoszą, aż tu pół twarzy *Matki Zbawiciela* i całe ramie *św. Magdaleny* zupełnie zmasane! *Przestrach* wielki i smutek. Wtedy *Wandyk* podejmuje się naprawić szkodę, bierze się do dzieła i tak szczęśliwie, że *Rubens* przyszedłszy nazajutrz obaczyć pracę swoją zawołał: „Wcale dobre com zrobił wczoraj!“ jednak przypatrzwszy się bliżej poznał cudzą rękę i surowo uczniów wypytywać się zaczął. *Wandyk* wyznał prawdę, a *Rubens* odtąd i charakter i talent jego wysoko cenić zaczął. *Wandyk* wiele pracował i wielkiej nabył sławy; piękne są jego historyczne obrazy, piękniejsze portrety; dla łatwiejszego zysku chwycił się tego rodzaju i stał się w nim wzorowy, pierwszy po *Tycykanie*. Układ ich zupełnie naturalny, osoby u niego żyją, twarze mówią, ubranie przyzwoite i zadziwiającej prawdy. Bardzo wiele robót zostawił, ale pomagali mu uczniowie. Urodzony w *Antwerpii*, umarł w *Londynie* r. 1641, mając tylko lat 42.

*Szkoła holenderska* czyli niderlandzka nierównie jest liczniejsza od flamandzkiej i często z nią mieszana. Odznacza się pospolicym, nieraz gminnym wyborem wzorów swoich; trudno jednak odmówić jej zalet wielkich, a najcenniejsze są: prawda i cierpliwość. Dzieła malarzy holenderskich, choć rzadko kiedy szlachetne i wielkie, są zawsze wiernym naśladowaniem natury; wykończone, porządne, czyste, dobrze kolorowane, wzorowe są także co do użycia światła i jego efektu. Oni także są pierwszymi w oddaniu doskonałym krajobrazów, zwierząt, owoców i kwiatów; ale wielkości szczytniej, idealnej piękności, próżno u nich szukać: bawią, zajmują, rozśmieszają, lecz ani wzniosą, ani rozrzewnią. Są to komicy malarskiej sztuki, włoskich, a zwłaszcza florenckich i rzymskich mistrzów, możnaby jej tragikami nazwać. Holenderska szkoła liczy znaczny poczet zwolenników: za jej wodza do portretów i obrazów, uważany *Rembrandt*, do zrobionych malowań *Polemburg*, do krajobrazów *Ruisdael*, do gminnych i wesołych przedmiotów *Teniers*, do zwierząt *Berghen*, do kwiatów i owoców *Wanhuyzen*. O tych i o ich naśladowcach, którzy najwięcej się wsławili, wspomnę przedstawiając ci ich dzieła w galeryi drezdeńskiej.

Może przebiegając tu myślą przeczytany rys historii malarstwa i wspomnienie o rozmaitych szkołach (bo spodziewam się, Helenko, że masz zwyczaj zastanawiania się nad tém co czytasz), może, zapytasz się: „A Hiszpania, Anglia, Polska, inne kraje, czyż nie miały malarzów, że o nich tu ani wzmianki?“ Miały i mają, bo mniej więcej, w każdym narodzie są zwolennicy sztuk pięknych; tak Hiszpania miała swego Velasquez, Ribera, Murillo i wielu innych; Anglia Reynoldsa, Kopleya, Browna, Lawrensa i niezmierną liczbę doskonałych rytowników; Polska Leksyckiego, Kończę, Kópeckiego, Czechowicza, Stachowicza, Smuglewicza, Brodowskiego i t. p.; ale w każdym kraju prócz wyżej wymienionych, malarze nie odznaczyli się prawdziwie oddzielnym,

osobliwym, sobie właściwym sposobem, a ten jedynie *szkołę* stanowi. Byli to naśladowcy, tłumacze, często wyborni, lecz nie oryginalni autorowie; przeto nie zjednali ojczyznom swoim téj szczególnej sławy. Teraz kiedyś już tę różnicę dobrze rozumiała, przystąpimy nareszcie do opisu galeryi dreздеńskiej; powinien zająć cię więcej, gdyż będziesz jak wśród znajomych, a przedmioty wspaniałych obrazów najczęściej pobożnej treści, także oswojoną cię znajdują.

Ale pierwój wiedzieć ci trzeba, Helenko, jaki był początek wszelkich galeryi, a właściwiej mówiąc, wszystkich *muzeów*. Skoro ożywiły się we Włoszech piękne sztuki, natychmiast zjawili się zamożni opiekunowie i lubownicy, którzy zarówno z artystami dopomogli do ich wzrostu. Jak niegdyś starożytni, tak i oni, względami, przyjaźnią darzyli zdatniejszych mistrzów, a ponieważ, złoto niestety! należy do najsilniejszych bodźców człowieka, płacili suto ich dawne roboty, nakazywali nowe kosztowniejsze; przyszło do tego, że każdy monarcha, każdy pan bogaty musiał mieć swoje muzeum czyli galeryą sztuk pięknych i powstała między możnemi szlachetna chęć wyścigu, kto więcej podobnych skarbów zgromadzi? Im dalej ku Północy, tem chęć ta słabszą była, a nasza Polska zajęta osłanianiem Europy od nowych napaści barbarzyńców, dopiero w XVIII wieku podobne zbiory mieć zaczęła. Saksonia nie wiele ją w tém wyprzedziła, gdyż lubo elektor Jerzy żyjąc w przyjaźni z Łukaszem *Kranach*, owym mistrzem staréj niemieckiej szkoły, z jego namowy zaczął zbierać obrazy, dopiero August II zakupami we Francyi i w Holandyi zbogacił nieco ten zbiór, a August III za pomocą sławnego Mengsa, nabyciem obrazów po książętach Modeny i Dziewicy Rafaela, doprowadził go do godności *galeryi* i wzniósł do znakomitego stopnia, na którym dziś stoi. Galerya Dreздеńska bowiem, zawierająca przeszło dwa tysiące obrazów, należy jeżeli nie do najliczniejszych to do najświetniejszych



w Europie, a to najwięcej dla pięknych i kompletnych szkoły włoskiej i holenderskiej zabytków, jakie w sobie mieści. Szkoda tylko, że skarby te nie są korzystnie ułożone. Galeria Drezdeńska acz w gmachu dosyć okazałym napozór, źle wewnątrz jest oświetlona i urządzona; sale różnego kształtu i wielkości, nieogrzewane; ramy choć miłe dla nas, bo z herbami polskimi, brudne i niesmakowne; a co dziwnego, nawet spisu dokładnego niema; kilka razy być trzeba, zanim ładu dojść można; obrazy nie zawsze dzielone na szkoły; rzadko kiedy nawet na autorów, najczęściej rozrzucone po kilku salach \*). Ja w tym opisie inny zaprowadzę porządek, będę taką kolejną ci przedstawiać roboty mistrzów, jaką wspomniałam o nich; wystawisz sobie łatwo, Helenko, że jak tamto wspomnienie dotknęło tylko garstki istniejących niegdyś malarzy, tak i ten opis, małą częśćką obrazów będących w galerji Drezdeńskiej obejmie. Dokładność w tych obudwóch przedmiotach kilku tomówby potrzebowała.

Nie od najbogatszej szkoły włoskiej zacząć mi wypada, od florenckiej; téj pomników tu nie wiele, bo téż i wszędzie są zrzadszych. Jest jednak obraz jeden pastuszka Giotto; rok na nim 1333, już mu więc 500 lat minęło; far-

---

\*) Za uchwaleniem Stanów, ażeby niedogodności te poprawić wystawione zostało muzeum, które skarby galeryi ma na przyszłość w sobie mieścić. Wspaniały ten gmach rozpoczęto w r. 1847, ukończono roku 1853, zajmuje on przestrzeń 10,300 łokci kwadratowych i stanowi całą ścianę Zwingeru, jest 224 łokci i 6 cali długi, a szerokość jego największa jest 50 łokci i 6 cali; wysokość bez kopuły 41 łokci. Pokryty blachą miedzianą ze wszelkimi przeciw ogniu bezpieczeństwami. Plan jest profesora Semper; na koszta budowy przeznaczyły Stany tal. 420,000. Środkowy punkt tego muzeum z swoim wysokim portykiem i kopułą stanowi najświetniejszy punkt téj monumentalnej budowy, która swą imponującą proporcją, ale w połączeniu z godnością, śmiało staje naprzeciw przeładowanym architekturom Zwingeru. P. W.

bami klejowemi wystawia *Narodzenie Zbawiciela*; Dziecię Jezus leży na ziemi w chacie, Matka przed nim klęczy, Józef siedzi, dwóch aniołów buja w powietrzu nad świętą rodziną, w dali na dworze pastuszkowie tańczą. Ten obraz daleki od doskonałości, jest przecież wysoko ceniony; pierwiastkowych mistrzów dzieła, są jak dzieci dowcipne słówka: chwylimy je często nad wartość, bo mamy wzgląd na wiek, bo pobłażamy. Pędzla Leonarda da Vinci jest tylko jeden portret *ks. Mediolańskiego Sforza*, w czarnej sukni futrem podbitéj; było naddziad naszej królowej Bony i opiekun malarza; zdziwiła mnie ta robota delikatnością i wykończeniem; ale prawie mocniej zajęta zostałam *Córką Herodiady* z głową świętą Jana Chrzciciela na złotej misie—to kopia z Leonarda przez Guido-Reniego. Na pięknej twarzy królewny przebija się więcej wstępu niż radości, ona téż jedynie z rozkazu okrutnej matki, śmierci proroka żądała. Michała Anioła Buonarotti, owego geniuszu, nic własnego nie ma. Pamiętasz, Helenko, że on pogardzał olejnym malowaniem; są tylko wyjątki kopiowane z robót jego, *Święta rodzina*, *Leda z łabędziem*, i ułamek przypominający charakter i rodzaj tego mistrza. Młodzieniec przykuty do pnia ma być spalony; już są głównie pod jego nogami: widokraj rozwaliny przedstawia. Andrzeja del Sarto, najślawniejszego z dokładności rysunku są cztery prace: *Dawid* i *Betsabea*, dosyć dziwne; bo na jednym obrazie scen kilka; *Ś. Katarzyna* ślubująca małemu Chrystusowi, *Święta rodzina*, i *Ofiara Abrahama*, za arcydzieło uznana. Już stos drew nałożony, Izaak związany klęczy z posłuszeństwem, ojciec porwał miecz i wyciągnął rękę, żeby zabić syna; ale anioł woła na niego i pokazuje uwikłanego w cierniu baranka, którego Bóg w ofierze przyjąć gotów. Trwoga, zdumienie i radość, walczą na twarzy starca. Nietyle chwalony, nietyle sławny co poprzedni, Carlo Dolce, mnie wydał się jednym z najmilszych malarzy. Jest tu jego pędzla znowu *Córką Herodiady*,

*Chrystus błogostawiający i ś. Cecylia*; prawda że te obrazy są raczej portretami, układ ich nie był trudny; ależ jakie wykończenie! jaka łagodność, gładkość, delikatność! zarazbym tak malować chciała! i wiele jest osób mego gustu, bo obrazy Carlo Dolce, ciągle są kopiowane w galerii, a najwięcej przez kobiety.

Lecz niech wszystko i wszyscy ustąpią *szkole rzymskiej* i jój ksiązęciu. Żałuję że trzymając się raz wziętej kolei, muszę prawie na wstępie mówić o prawdziwym klejnocie zbioru Dreźnieńskiego, o sławnej *Madonie Rafaela*; należałoby na koniec ją schować, ile że jest z liczby tych niepospolitych piękności, w które wpatrywać się trzeba, widywać często i napatrzeć się innych, ażeby ocenić wszystkie jój wdzięki. Wyznam nawet, że od pierwszego spojrzenia nie odpowiedziała memu oczekiwaniu; ale nawykła od dzieciństwa słyszeć o Rafaelu, jako o największym mistrzu, wstydziałam się wyjawić mego zdania i wymawiałam go sama sobie. Dopiero, za częstszemi odwiedzinami, zaczęłam podzielać uwielbienie powszechnie, i przyszło do tego, iż przejęta cudownym prawdziwie *wyrazem* tój Świętej Dziewicy przywiązałam się do niój, jakby do żyjącego przedmiotu; kiedy nadeszła chwila wyjazdu z Drezna, poszłam do Niój z pożegnaniem: trudno mi było wyjść z pokoju gdzie umieszczona; a w tój chwili kiedy to piszę, choć już rok drugi dochodzi, jak Ją po ostatni raz widziałam, tak mi dokładnie Jój twarz, Jój wejrzenie, i cała osoba przed oczyma stoi, jakby twoja Helenko, albo matki twojej. Żadne inne malowanie podobnie w pamięci mojej nie zostało, i uważam to wrażenie jako nowy dowód doskonałości malarza. Obraz *Madony Dreźnieńskiej* należy do tych, co wystawiają cud i zjawienie; wymalował go Rafael około r. 1516, dla kościoła ś. Syxta w Piacencyi, do wielkiego ołtarza; August III nabył go od zakonników za 40,000 tal. n. i doskonałą kopją w r. 1774. Wśród nieba zasutego światłą ćmą aniołów,

Święta Dziewica z Boskiem Dzieciątkiem na ręku, ciemno błękitną draperyą okryta, ukazuje się stojąca lekko na obłokach, ś. Syxcie papieżowi i ś. Barbarze, którzy w pobożnym zachwyceniu klęczą na ziemi. Dwa aniołki, cuda piękności, wyrazu i życia, są u dołu i patrzą w górę; zdaje się że wyglądają z płótna, tyle im pędzel dał okrągłości.

Taki jest prosty układ tego sławnego obrazu, który do celniejszych robót Rafaela znawcy rachują; wielkość figur jest naturalna; miara, dziewięć stóp wysoki, siedm szeroki. Obraz podobny łatwo opisać, ale wyraz tój Boskiej Dziewicy, myśl malarza kiedy go stwarzał, jak oddać piórem? Pożyczę tu lepiej słów kilka od autorki, która często tak pisała jak Rafael malował; pani Staël w dziele swoim o Niemczech to mówi: „Madona Drezdeńska sama już jest skarbem dla sztuki; jest w tój figurze wzniosłość, czystość, które są ideałem religii i mocy wewnętrznej duszy. Doskonałość rysów w tym obrazie jest tylko znakiem tajemniczym; odzież długa, wstydlivości godło, zwraca zajęcie całe ku twarzy, a wyraz tój twarzy nierównie od rysów cudniejszy jest, jak piękność duszna, która pod cielesną pięknnością przebija. Chrystus ma najwięcej lat dwa; lecz malarz zadziwiającym sposobem zdołał wyrazić moc wszechwładną Boskiej istoty, w twarzy zaledwie rozwitj. Wejrzenie aniołów na dole będących nieporównane; niewinność tego wieku, sama jedna, wdzięk podać mogła obok dziewiczej nadobności: ich zdziwienie na widok jaśniejącej Matki Zbawiciela, odmienne od zdziwienia jakiegoby ludzie doznali: patrzą na Nią z zaufaniem, bo poznają w Nięj mieszkankę tego nieba, które dopiero co rzucili.“

Pokazują jeszcze w galeryi Drezdeńskiej obraz mały: *Pokłon trzech królów*, jako oryginalny Rafaela; na to się nie zgadzam; prawda, że rok na nim 1504, malarz mógł szukać dopiero późniejszej doskonałości... Jakkolwiekbądź, wołałam przypatrywać się pięknym kopjom trzech jego sławnych



borazów: *Madony della Sedia* zwanéj, gdyż na stołku siedzi; *Madony la bella giardiniera*, bo w ogrodzie wśród kwiatów, i *ś. Cecylii*. Ta kopja najwięcej ma zalet; jest pędzla jednego z bieglejszych uczniów Rafaela, Juliusza Pipi, przezwanego Romano (Jules Romain), gdyż po śmierci mistrza wodzem szkoły rzymskiej został. Tego Juliusza są trzy własne obrazy: *bożek Pan*, *Samson* z paszczką lwią w ręku, i najpiękniejszy, *Święta Rodzina* znana pod nazwiskiem *Madony myjącej*. Marya jest przed stołem na którym w wielkiej miednicy stoi dziecko Jezus, i zabiera się do mycia świętego ciała; mały Jan polewa je wodą, Elżbieta trzyma chustę do ocierania, Józef i Joachim są po drugiej stronie: przedmiot napozór pospolity, oddany jest z wielkim wdziękiem. Wypadałoby kopję tego obrazu wieszac w pokojach dzieci, które zwykle tak niechętnie ulegają zachodom ochłodstwa; a przecież te zachody koniecznie być muszą, kiedy nawet dziecko Jezus posłuszne im było...

Szukałam skwapliwie robót innych uczniów Rafaela; uczniowie wielkiego miasta są jakby dziećmi jego talentu. musi być w nich koniecznie jakiś ślad i odbłask ojcowej doskonałości. Przypatrywałam się zatem uważnie *Ś. Jerzemu i Archaniołowi Michałowi*, pędzla Franciszka Penni; pięciu obrazom Benvenuto Garofollo: *Świętej rodzinie*, *Mudonie klęczącej* przed uśpioném Dzieciątkiem, *ś. Cecylii*, *Pochodowi Bachusa* i *Marsowi* uzbrojonemu; ale najwięcej mi przypominał wielkiego mistrza, Gimignani; w maleńkim obrazie wystawił *Maryą z Dzieciątkiem* na ręku, całującym stojącego obok *ś. Jana*; to pocałowanie tak jest naturalne, że prawie słyhać miły odgłos jego: tak święte i serdeczne, że już w niém mieścić się zdaje cała miłość Zbawiciela dla rodu ludzkiego, za który śmierć ponieść przyszedł. Karola Maratti są *dwie piękne Madony* i obraz *młodej osoby* wśród owoców. Madona z Dzieciątkiem śpiącym, godna naśladowcy Rafaela i ostatniego malarza z czystej szkoły rzymskiej.

Teraz, kochana Helenko, następują także wielkie skarby, szkoły *lombardzkiej*, szkoły wdzięków zabytki; pięć obrazów pędzla Correggia, wszystkie pobożnej treści, wszystkie pełne powabu. Trzy w jednym są rodzaju: jeden *ś. Franciszka*, drugi *ś. Jerzego*, trzeci *ś. Sebastjana* nazwę nosi, i ten jako najpiękniejszy jest uważany. We wszystkich, Madonę z Dzieciątkiem siedzącą jakby na tronie, otaczają święci różni. Te obrazy czysto kościelne, prawie bez akcji, których wiele po najsławniejszych mistrzach zostało, nigdy nie były dobrowolnym ich utworem, tylko nakazanym. Pan bogaty i pobożny, sam o kilku imionach, albo też ojciec licznej rodziny, chciał mieć obraz, któryby uczcił odrazu Matkę Zbawiciela i wszystkich jego patronów, kazał więc mieścić ich około niej, ani się pytając czy spólcześnie żyli; wtedy sztuka malarza była już nie w oddaniu całości, ale w nadaniu każdej figurze z osobna właściwego jej charakteru. Correggio z wdziękiem sobie właściwym, umiał wywiązywać się z tych zadań jednostajnych; wszędzie Madona śliczna, Dzieciątko jeszcze śliczniejsze; święci i święte o ile być mogą najpiękniejsi, a co aniołki, te ulubione pędzla jego przedmioty, to tak ładne, jakby dopiero wyjrzały z nieba.

Lecz pomimo wielkich zalet tych trzech obrazów, serce malarza odznacza się lepij w dwóch innych, które z własnego ułożył natchnienia: jednym jest *Magdalena*, drugim sławna *Noc*. Pierwszy nie wiedząc, zgadnąć trzeba że Correggia; mały, na miedzi; delikatnie i wykończenie malowany, wystawia godnie tę, „której odpuszczono wiele bo wiele kochała.“ Magdalena w kwiecie urody, nieco od postów i modlitw pobladła, błękitną draperyą napół odziana, leży na skale wsparta na ręce i czyta, przy niej stoi urna; balsamem tej urny namaściła niegdyś nogi Zbawiciela, myjąc je łzami, ocierając złotemi włosy. Żal, tkliwość, smętność naderobna, wszystko się maluje na tej pięknej twarzy. Drugim

obrazem jest Noc w Betleem. Ten przedmiot święty, od czasu odrodzenia się malarstwa, bardzo często był wystawiany, ale Correggio potrafił nowym sposobem go oddać; malując cud, sam cudu dokazał. Wśród ciemnej nocy, na słomie, w żłobie, dziecię Jezus leży; Matka trzyma Go i patrzy z całą macierzyńską miłością, Józef stoi opodal; pastuszkowie którym bujający w powietrzu aniołowie wciele nie objawili, wchodzą do stajenki oddać pokłon nowo-narodzonemu.

Nie wiem czy pędzel mógł dokonać co doskonalszego nad dziecię Jezus: tak delikatne, miękkie, naturalne, że strach dotknąć się téj jakby z bawełny główki; a razem jest niepojęta ochota ucałować to drobne ciało, te skupione rączki; bo to dziecię przywodzi na pamięć wszystkie dzieci jakie kiedykolwiek znało się i kochało, i patrzeć na nie bez rozrzewnienia nie można.. Rozkład światła w téj *Nocy* jest także podziwienia godny; nie ma innego, tylko to którém Boskie dziecię jaśnieje; stopniowanie jego razem do serca i do oczów przemawia; najdoskonalej rozdzielone, jest razem jakby godłem oświaty, jaką objawienie rodzajowi ludzkiemu przyniosło; ci którzy daleko są od Dzieciątka, w zupełnej są ciemności, niektórych zbliżających się razi jeszcze ta jasność, a Matka Zbawiciela usposobiona wiarą i miłością, znosi je zupełnie... Jest jeszcze kopia z Correggia, *Miłość łuk strużąca*; śliczna, potwierdza co dawniej powiedziano: że miłość, to dziecię Wenery i Correggia. Wspominałam wyżej, jako z naśladowców tego wielkiego malarza, Battoni był najszcześliwszy; on dobre wzory sobie obrał, bo i na Rafaela się zapatrywał, przeto do szkoły rzymskiej czasem liczony bywa. Jest tu jego *ś. Jan, Trzy figury* allegoryczne, i *Magdaleną*. Ta ostatnia godna mieć miejsce obok tyle sławnej pokutnicy Correggia. Jest naturalnej wielkości i dziwnie piękna.

Po tworach nowej szkoły lombardzkiej czyli *bonońskiej*;

Carrachach, jest tu dosyć pamiątek, osobliwie po najślawniejszym Anibalu, *Geniusz chwały*, *Madona*, *Wniebowzięcie*, *ś. Roch*, *ś. Mateusz*, i parę innych: z tych najwięcej mnie zajęła *Głowa Chrystusa*: przebija w niej boskość, ów wyraz, który tak trudnym do oddania być musi; oczy cudownej piękności patrzą w duszę, usta gotowe do wyrzeczenia tych „słów, jakimi nigdy jeszcze człowiek nie przemawiał.“ — Antoniego Carrache jeden jest *Portret*, podobno jego samego kiedy miał lat 9; Ludwika piękny *Spożyczek Ś. rodziny*, i *Zbawiciel* którego anioł posila. — Dominikina widziałam tylko kopią, *Lot z córkami*; nie ceniono robót jego póki żył, teraz są bardzo rzadkie i drogie. — Nadobnego pędzla, Guido-Reniego, jest obrazów ośm różnej treści; najgłówniejsze *Ninus i Semiramida*, i *Chrystus w koronie cierniowej*, z berłem trzciny w ręku, w chwili kiedy Piłat przedstawia go ludowi, mówiąc *Ecce homo!* Oto człowiek! Patrząc na tę twarz tak piękną i tak zboląłą, na te łyzy boskie, jest jakaś ulga; mimowolnie myśl przychodzi: „Mogę ja cierpieć kiedy Ten cierpiał.“ — Ale rozerwać się trzeba widokiem wesołych dzieł Albana; jest ich tu aż jedenaście, cztery nabożnej treści, reszta mitologicznej, wszędzie dzieci, to pod aniołków, to pod amorków postacią; najpiękniejsze, *Zwycięstwo miłości*, *Święta rodzina*. Może nie ma bóstwa w tém Dzieciątku, ani świętości w twarzy Matki ale jest niewinność, tkliwość i natura.

W zabytki szkoły *weneckiej*, galerya Drezdeńska dosyć zamożna; po Giorgione, który żył tak krótko są dwa: *Jakób i Rachel*, i *Cześć pasterzy*; a po Tycyanie owym mistrzu prawdy, aż dwanaście. Między temi uważałam kilka zupełnie żywych *Portretów*, w ich liczbie jeden śliczny, *Lawinii*, córki malarza; z obrazów najgłośniejsze: *Wenus* i tak zwany *Cristo della moneta*. W pierwszym dosyć nieskromnym, można się przekonać o biegłości Tycyana w oddaniu prawdy ciała i kolorytu. Wenus a raczej Wene-



cyanka jakaś, bo niepodobna do bogini, leży na białém posłaniu bez żadnego odzienia; spojrzawszy na nią jest mimowolna ochota zakryć to ciało pełne życia, i przed oczyma patrzących, i przed zimnem jakie w tych nieogrzanych salach najczęściej panuje. Drugi obraz nie potrzebuje zakrycia, tylko uwielbienia. Faryzeusz pokazuje Chrystusow grosz cesarski, pytając czy się godzi płacić dań cesarzowi? Niepodobna było oddać z większą prawdą chytrości obłudnika, i gromiącego spojrzenia Zbawiciela. — Z sześciu dzieł Tintoreta, w których nie bardzo znać szybkość z jaką je malował, najlepiej mi został w pamięci obraz *występnéj niewiasty* z Ewangelii; może być dla tego, że nie znam piękniejszych słów i któreby częściej nam wszystkim przypominać trzeba, nad te co wyrzekł Zbawiciel, kiedy Mu tę kobietę przed sąd przywiedziono: „Kto z was bez winy jest niech na nią pierwszy rzuci kamień.“ O! jakże, często, ostre nasze sądy o ludziach złagodzoneby były, gdybyśmy na ten wyrok pamiętali.

Pawła Veronese do czternastu jest obrazów; w téj liczbie jedna ze sławnych uczt jego, *Wesele w Kanie*. Obraz ten jest ogromny; osób bez liku i weneckich strojów dosyć. Na pięknej twarzy Chrystusa widać święte rozrządzenie i wyższość nad zabawy ludzkie; przez dobroć jest im obecny, ale myśl gdzieś wyżéj; obok siedząca Matka więcéj trudami życia zajęta, dopiero co wyrzekła te słowa do syna: „Wina nie mają“ i czeka pełna ufności, rychło On temu niedostatkowi zaradzi. — W dziełach Pawła Veronese, równie jak w Tycyana, uważałam prawie zawsze te same twarze niewieście; mówią że to kochanki czy żony obraz, który tak powtarzać lubili. Niektórych ta jednostajność nudzi; mnie się wydaje bardzo szanowna. Cóż może być piękniejszego nad stałość?

Mistrza szkoły neapolitańskiej, Salvatora Rosa, jest to co on cenił najwięcéj, *własny portret*; przyznać trzeba że

piękny jest, także kopia jednego z krajobrazów jego. — Luca Giordano pełno jest robót; nie napróżno ojciec o pośpiech na niego wołał; są niektóre piękne, jest i innych włoskich i hiszpańskich mistrzów robot wiele, mianowicie: *Bassano, Dosso, Dossi, Palma, Vechio, Orbetto, Ribeira, Murillo* i t. p., ale nie sposób wymieniać wszystkich. — I o niemieckiej szkole mało ci powiem, Helenko; widzieć tu można prac kilka, Alberta Durerera, Holbeina, Kranacha; pierwszego *Chrystus upadający pod krzyżem*, dwóch drugich *portrety* mają wiele zalet; jednak żeby ocenić je prawdziwie, trzeba im się przypatrywać przed cudami szkoły włoskiej; temi się napoiwszy, tamte odrażają cokolwiek sztywnością swoją i zbyt dużą rzetelnością: milój wtedy patrzeć na późniejszych niemieckich malarzy płody, na Mengsa *Magdalę, portrety olejne i pastelami, na Miłość* jego ostrzącą strzałę, prawdziwie godną Correggia; na Graffa piękne *portrety* i na *obrazy Dietricha*. Jeden z nich ujął mnie szczególnie zapasem nadziei, cierpienia i pociechy jaki wystawia; osnowany jest z zupełną dokładnością na tych słowach Ewangelii „Wszyscy którzykolwiek mieli chorujące rozlicznymi niemocami, przywodzili je do Chrystusa a On na każdego z nich kładąc ręce uzdrawiał.“

Lecz czas już przejść do flamandzkiej i holenderskiej szkoły. Wan Dyka, któremu nie wszyscy chcą przyznać wynalazek olejnego malowania, jest bardzo piękny i szacowny dawnością *obraz S. rodziny*; a co Rubensa, tego malarza, dyplomaty i bogacza, to przeszło trzydzieści we wszystkich rodzajach. Widziałam oryginały *Ogrodu miłości, portret Dwóch synów jego, Polowanie na lwa* bardzo piękne, rozmaite świeckie i święte przedmioty. Między temi celuje myśl pierwsza pysznego obrazu *Sądu ostatecznego*. Lubo nie wykończona, ze wszystkich robót Rubensa najwięcej mnie zajęła, gdyż wyznaję że tamte nie bardzo w moim guście. Ci zwłaszcza którzy na prawicy są Zbawiciela, go-

dni uwielbienia; jest tam jeden powstający z grobu, dziwnie piękny; jeszcze bladeść śmiertelna na jego licach, a już miło patrzeć na nie: widać że człowiek ten był sprawiedliwy, nie ciężą na nim łzy i przekleństwa, powstaje lekko.

Wandyka *portretów* najwięcej, w tych też jak wiemy, celował; patrząc na nie przysiadz trzeba, że musiały być podobne, bo jest w nich ruch, życie i prawdziwie brak tylko mowy. Zajął mnie szczególnie *portrety trojga dzieci Karola I* króla angielskiego; koniecznie mi się zdawało że takie dzieci żyjące widziała. Jest także pędzla tego sławnego malarza *Danae* i *s. Hieronim*; dzielny, mocny miał sposób, zupełnie sobie właściwy: mojem zdaniem przeszedł mistrza.

Ze szkoły holenderskiej czyli niderlandzkiej, ani podobieństwo wymienił jednej cząstki tu będących skarbów. Samego Rembrandta jest ośmnaście robót: to także malarz szczególny; przyjaciel ciemności, często zaledwie szóstą część obrazów swoich oświecał, i to zawsze jakby świecą, lampą albo ukradzionym promieniem słonecznym. Nie można jednak zaprzeczyć jego pracom wiele efektu; a twarzom lubo nie idealnej piękności, wiele wyrazu. W liczbie portretów jest *Wizerunek córki malarza z goździkiem w ręku*, dziwnie, nadobny, i obraz *Starej kobiety ważącej złoto*, pełny życia; widać jej uciechę że dobre ma dukaty, a oraz trwogę, żeby kto nie nadszedł. Z większych robót tego malarza, *Uczę Estery*, *Ofiarę rodziców Samsona*, *Pogrzeb Chrystusa* warto uważać.

Po Rembrandcie zaczyna się dopiero szereg wielkich mistrzów holenderskich, chociaż prawie wszyscy niezmiernie zdrobniałe malowali przedmioty. *Polemburg* był z pierwszych, co wzór ten podali w swoich *krajobrazach*; są one dziwnego wykończenia: jest ich tu dwanaście. Dalej *Gerard Dow*, *Van der Ner*, *Netscher*, *Mieris*, *Bol*, *Knupfer*, *Van der Werf* i inni; *Teniers* ojciec i syn znani z gmin-

ności, ale oraz z prawdy malowań swoich; nie wychodzili z karczem, kiermaszów, lecz trudno bez rozweselenia myśli patrzeć na ich prace — powinnyby wisieć w stołowych pokojach.

Żebyś miała Helenko wyobrażenie sposobu wspomnianych mistrzów, delikatności, wykończenia, staranności ich pędzla; to ci opowiem jak jeden z nich *Gerard Dow* malował. Lubo wszystkie jego obrazy (równie jak większej połowy mistrzów holenderskich), ledwie stopę wysokości mają, tak wypracowane że czasem tydzień nad jedną ręką siedział; wyrobienie najprostszego sprzętu domowego, dzbanka, miotły trzy dni czasu go kosztowało; \*sam rozcierał sobie farby, pędzle robił, gdyż nikt mu ich subtelności dogodzić nie mógł. Chciał robić portrety, lecz nie było takiego co by dosiedzieć mu zdołał; matka jego rodzona miała przecież tyle cierpliwości, ale musiał jej pozwolić prząść w czasie posiedzeń: sławny jest ten jej obraz, pod nazwiskiem *Przędki*. W liczbie jego robot w galeryi Drezdeńskiej będących, które prawie wszystkie wnętrza mieszkań, potoczne życie przedstawiają, celuje *Dentysta* pokazujący ząb dzielnie wyrwany biednemu chłopcu, który go jeszcze szuka palcem w skrwawionych ustach; *Młoda kobieta*, do twarzy której mężczyzna świecę zapaloną przysuwa, i *Pustelnik* modlący się w jaskini: we wszystkich, szczegół najdrobniejszy z największą prawdą i wykończeniem oddany.

*Mierisa* ucznia Gerarda Dow, śliczne są także rzeczy, nawet piękniejsze, bo przymioty ich więcej mają szlachetności. Podobnego im obudwom *Wanderwerfa* dwanaście obrazów, aż za szkło włożono, tak jest wielka ich delikatność i cena. Już za życia jego drogie były; brał za jeden po 5,000 złp. Wiele z nich jest pobożnej treści i wyższej od poprzednich kompozycyi; pamiętam jeden pełen wdzięku: *Abraham* wypędza Agarę z Izmaelem; stopy chłopczyny zdają się przykute do ziemi, tak trudno matce oderwać je od progów ojczystych.



Te obrazki i t. p., należałoby mieć zawsze pod ręką, przypatrywać im się przez szkło powiększające; widziane prędko nie robią wrażenia, i obchodząc galeryą, wołałam patrzeć na *krajobrazy* holenderskich malarzy, ile że to jest rodzaj bardzo dla mnie powabny. Prawie wszystkie piękne. *Wouwermana* celują końmi, *Berghena* bydłem, bogactwem i wesołością widoków, *Pawła Pottera* delikatnością, a *Jakób Ruysdael* im wszystkim przewodzi. Cenią znawcy koloryt jego ciepły i złocisty, delikatność pędzla, śmiałość cieniów i myśl w kompozycjach. Między kilku innymi jest tu sławne jego *Polowanie*, obraz wielki i drugi mniejszy ale równie piękny *Cmentarz*; rozwaliny na wzgórzu, niebo czarnymi chmurami zasute, suche drzewo, ów trup roślinny, wszystko o zniszczeniu, o smutku przemawia; ale trochę zieloności obok grobowych kamieni, promyk słońca przedzierający chmury, przypomina nadzieję.

Lecz nim skończę ten opis, muszę jeszcze wspomnieć ci Helenko, o jednym malarzu, który za pierwszą moją bytnością w Drezdeńskiej galeryi, zaraz po Rafaelu, Corregiu i Tycyanie mnie zajął, a o którym jak widzę, ledwie teraz nie zapomniałam zupełnie. Tak to nie zawsze, co od razu bardzo się podoba, trwałą pamięć zostawia. Malarz ten pracowity zowie się *Baltasar Denner*, rodził się w Hamburgu 1685 r., umarł 1746; robił same portrety i tu jest *kilku starców* jego pędzla. Kto nie widział, to sobie nie wystawi takiej doskonałości—ledwie że nie wierniej jak w zwierciadle oddany każdy włos z osobna, każdy por otwarty, każdy zmarszczek, każda pici plamka. Nie mogę pojąć takiego gustu i takiej cierpliwości. Trudno byłoby także wspomnieć ci, Helenko, o pracach malarskich pici twojej szczególnie właściwych, o kwiatach, owocach, ptaszkach; w tych liczbie Van Huysem, Segners, Snyders i Heem, celują; uważałam zwłaszcza bukiet ostatniego roboty. Dwieście lat mu minęło a tak świeży jakby dziś zerw any—nie wiem czemu, ale mnie

więcej jeszcze zajął trwałosc tych kwiatow malowanych, jak innych przedmiotow.

*Co kobiet malarek*, to niewiele imion w galeryi Drezdeńskiej; pięć ich tylko naliczyłam: Rosalba Carriera, Aniela Kaufmann, Teresa Mengs, Lazine Fontana i Panna Verelst; malowały kwiaty, owoce, portrety, albo też obrazy z jednej lub dwóch osób złożone, które Francuzi *tableaux de genre* zowią; dwie pierwsze do znacznej doszły sławy. Rosalba urodzona 1672 w Wenecyi, zmarła 1757 r.; ślicznie malowała portrety olejno i pastelami, i wielką miała wziętość szczególniej między pcią swoją, bo robiła podobne a piękne twarze. Jest tu wiele jęj prac. Aniela Kaufmann Szwajcarka rodem, zmarła w Rzymie 1808 r., także głośną się stała. Pokazywano mi trzy jęj roboty, ale nie z najlepszych. *Ariadna* płacząca nad odjazdem Tezeusza, i dwa portrety, jeden w postaci *Sybilli*, drugi *Westalki*. Ale już też tych malarzy i obrazów dosyć; zmęczyłyśmy się bardzo; i choćby jaki zawołany znawca i lubownik mógł mi zarzucić żem pominęła wiele, przez wzgląd na ciebie, na siebie, ja na tém przestaję. Bądź zdrowa, Helenko, za parę miesięcy dokończenie opisu Drezna mieć będziesz.

## LIST PIĄTY.

Zwinger i będące w nim składy. — Teatr Drezdeński. — Słów kilka o muzyce. — Most. — Japoński pałac. — Skład porcelany. — Zbiór starożytności. — Biblioteka.

Lubo nie wiem z pewnością, czy doszły cię moje listy poprzednie, kochana Helenko, piszę znowu i ciągnę dalej zaczęty opis Drezna. Już ozdoba jego największa, galerya, skreślona; ale jeszcze zostają niektóre. Zaczynam dziś od

tój, co w pierwszych dniach pobytu w tém mieście oczy moje zastanowiła: od budowy niedaleko zamku będącej, zwanój *Zwinger*. Jest to niedokończone, ale śmiało nakreślone dzieło Augusta II. Wszystko mierząc na wielką stopę, nie mógł być zaspokojony skromném monarchów saskich mieszkaniem, chciał więc założyć im i sobie wspanialsze. Lecz w podobieństwie jak to u nas się zdarza, skoro chęci i zamiary możność przejdą, nakreślił dziedziniec obszerny, postawił skrzydła, przysionki, połączył je gankami, wznosił kopułę z koroną, a pałacu nie dokonał. *Zwinger* przeto nie sprawia miłego wrażenia, bo nosi piętno nieładu i zawodu: widać że miał wysokie przeznaczenie, którego nie doszedł; przypomina pamięć owych ludzi znakomitych, co zejdą z właściwej sobie drogi i miną się z chwałą... Architektura w guście francuzkim z czasów Ludwika XIV \*), przeciążona jest ozdobami; dziedziniec wcale udatny; z środka czterech jednakowych trawników wytryskują cztery fontanny \*\*); a wokoło w ciepłej porze stoją w kubłach, pomarańczowe i cytrynowe drzewa. Te drzewa lubo dosyć grube, nie są przecież tak pię-

---

\*) *Zwingeru* budowa rozpoczętą została na rozkaz Augusta II przez *Pöpelmana* w r. 1711, a w latach 1787—1794, po znaczném uszkodzeniu. w czasie siedmioletniej wojny, z wielkim kosztem, bo przeszło 80,000 tal. wynoszącym, restaurowaną przez p. *Dorsch*. Długość budowy tej od jęj północno-zachodniego do północno-wschodniego skrzydła, wynosi 380 łokci, a cała wewnętrzna obudowana przestrzeń, obejmuje 62,500 łokci kwadratowych. Obok północno-zachodniego pawilonu na wzgórzu zwanym *Zwingerwall*, zajmującym prawie całą wewnętrzną północną część *Zwingeru*, znajdują się wspaniałe reszty owych sztucznych wytrysków i wodospadów z ich grotami, które do dziś dnia Łazienką-Nimf się zowią, i szczególnie w siedmioletniej wojnie przez Prusaków poniższone zostały. Statuy: *Apolla*, *Pallas* i *Wenus*, są dziełem sławnego rzeźbiarza *Permoser*.  
P. W.

\*\*) Przy jednym z tych trawników, stoi wyżej wspomniany pomnik króla *Fryderyka Augusta*.  
P. W.

kne jak widzieć można u nas w Łazienkach, w Nieborowie: korony mają bardzo ubogie. Następującą przyczynę nadają ich ubóstwu. Ścięte na rodzinnéj ziemi w północnéj Afryce, sprowadzone zostały w klocach r. 1730 do Drezna, na wykładanie sprzętów Augusta II; tymczasem w ciągu długiego przewozu puściły listki, i przy wielkiém staraniu ogrodników, napowrót w drzewa przeistoczone zostały. Ale za-trzeć nie mogła sztuka śladów téj chwilowéj śmierci i w obcy grunt gwałtownego przesadzenia. Mają i drzewa czucie!

Niektóre sale Zwingeru są użyte na składy i zbiory naukowe. Jest gabinet historyi naturalnéj, zbiór fizycznych i matematycznych narzędzi, izba przemysłu, izba wzorów, izba starozakonnych pamiątek, gabinet rycin; wszystkie widziałam: pierwszy nie wydał mi się bardzo zamożny, w uniwersytecie Warszawskim oglądałam piękniejszy; o drugich wspomnę ci pokrótce.

*Zbiór fizycznych i matematycznych narzędzi*, nawet dla nieposiadających tych wysokich nauk, wiele przedstawia zajmujących rzeczy. Przezorny August pierwsze jego zabytki zgromadził, August II dopełnił. Rozłożony w wspaniałéj marmurowéj sali, którój pułap pięknie malowany, Olimp wystawia, do pięciu tysięcy przedmiotów zawiera. Wśród mniejszych i większych, kuli ziemskiéj i niebieskiéj, wyobrażeń, zegarów słonecznych i morskich, teleskopów, drobnowidzów, ciepło i czaso-mierzów, zwierciadeł i szkieł palnych, elektrycznych machin i t. p. sprzętów, zastanowił mnie piękny i wielki zegar astronomiczny, z rozkazu dobrego Augusta 1568 r. ukończony, z napisem jego; *sztuciec* matematyczny, którego ten monarcha od najmłodszych lat używał; wielkie *szkło palne*, większe jeszcze *zwierciadło*, które drzewo zapalić jest zdolne; a nadewszystko Arabów, owych ojców astronomii dzieło *kula niebieska* z mosiędzu, na którój napisy w arabskim języku, i gwiazdy srebrem subtelnie nabijane, linije złotem. Ta kula sporządzoną była w r. 1289,



przez Mahomeda syna *Muiada al Ardhi*, jednego z najsławniejszych astronomów w Damaszku. Gładkość, smak dobry, a jak mówią znawcy, dokładność téj roboty, godne uwielbienia; zwłaszcza, wspomniawszy na jak niskim stopniu były w owym czasie nauki i kunsztu w całej Europie. Polska, która we dwa wieki później wydać miała Kopernika, już wtedy dzielnie żelazem mierzyła ziemię, ale jeszcze tajemnic nieba i subtelności drogich kruszców nie bardzo znała. Takowe stosowania zwykły przywozić mi smutną uwagę: że jakby skutkiem kary jakiej, tak fizycznego jak umysłowego światła tylko pewna miara ludziom dozwolona; podobnie jak obrót ziemi podaje stopniami jój kraje światła słońca, tak obieg wieków nadstawia kolejno jój ludy oświacie rozumu; zdaje się, że wszędzie jasno spólcześnie być nie może, a przynajmniej dotąd nie było... pociecha przynajmniej dla tych co teraz w ciemności.

*Izba przemysłu* (Kunstkammer) także od dobrego Augusta początek swój bierze; złożona jest jakby z okruchów innych składów. Są w niej bowiem roboty misterne, tokarskie, złotnicze; są pamiątki po elektorach saskich, narzędzia ogrodnicze Augusta, żony jego Anny stół gotowalnia, podkowy łamane przez Augusta silnego, Lutra szafa, i kubek srebrny, malowania rzadkie, pomniki zwyciężkie, zegary sztuczne, azyatyckich i dzikich ludów roboty; zgoła po trochu wszystkiego. Gdyby do mnie porządek zbiorów Drezdeńskich należał, dołączyłabym te próbki do poprzednich składów, a dla każdój z nich właściwe miejsce dałoby się upatrzeć. Ale niech lepiej tak zostanie jak jest.

*Izba wzorów* (Modelkammer) jest wcale innego od poprzedniej rodzaju; tę znowu należałoby powiększać i zbogać ile możności: pomysł jój jest więcej niż piękny, bo użyteczny. Są to wzory dla rękodzielników, wynalazków technicznych, budowli, machin, warsztatów, oczywiście zdobniane. Wystawiam sobie jakby twoich braci, Helenko, za-

jęły mocno te maleńkie a dokładne domy, kościoły, fortece, mosty, młyny wszelkiego rodzaju, maszyny różnego użytku. Ten zbiór nie jest zupełny, ubogi nawet, ale zawsze bardzo szacowny. Wreszcie większójby na to stolicy od Dreżna potrzeba, i większego gmachu od téj izby, chcąc zgromadzić na jedném miejscu, dokładne wzory tworów przemysłu ludzkiego, ich odmian i postępu; choćby kto jeden tylko obrał przedmiot, naprzykład przedziwo, ileżby wzorów zebrał, ile izb napełnił, nimby doszedł stopniami od runa wełny okręconego koło prostój gałązki przez pierwszą prządkę, aż do cudownego warsztatu *Mull-Jenny* \*), na którym siła pary, stonitną bawełnę odrazu wysuwa, skręca i zwija, bez żadnej prawie ludzkiej pomocy. O! prawda, przemysł człowieka mianowicie od pół wieku jest obfity i zadziwiający! Gdyby jeszcze mógł wynaleźć jaki sekret do moralnego uszczęśliwienia ludzi... ten byłby nad wszystkie pożądany.

W jednój z dolnych sal Zwingeru jest zebranie starozakonných pamiątek, które dla obeznanych z Pismem Świętem, nie są bez ciekawości. Jest to wzór z drzewa, *kościola Salomona* ze wszelkimi szczegółami, bardzo pracowicie wyrobiony; *skrzynia przymierza* w której zawarte wszystkie szczegóły nabożeństwa u Izraelitów, i figury ubrane kapłanów i lewitów. Prócz świętości, takie pamiątki mają swój szacunek, są razem pomnikami sztuki.

Ale gdzie zawarte prawdziwe skarby dla rysowników

---

\*) *Mull-Jenny* — *Jeannete* — Tak zowią warsztat niezbyt dawno wydoskonalony w Anglii, na którym odrazu przędzie się bawełna z 480 wrzecion, a z każdego wrzeciona, trzy nitki się wysuwa i kręci. Wyra-  
chowanem jest, że siła pary dziesięciu koni, za dozorem jednego człowieka obraca 8,000 takowych wrzecion—wraz ze wszystkimi maszynami przygotowawczemi. *Hargeaves* i *Argwright* prości rzemieślnicy angielscy, najwięcej się przyczynili w tych czasach do tego wydoskonalenia.

i malarzy, a choćby tylko dla lubowników sztuk pięknych, to w *gabinecie rycin*, w jedném skrzydle Zwingeru będącym. Tam, nie godzin ale tygodni kilka, mile i użytecznieby zeszło na oglądaniu prac ołówka i rylca biegłych i wielkich mistrzów. Jest to w całych Niemczech zbiór najszacowniejszy, który zdaniem wielu, acz mniej okazały, równa się co do wartości z galerją obrazów. Uprzedza naprzód mile pozor jego i porządek; na ścianach porozwieszane portrety sławnych malarzy i inne szacowne malowania, rysunki, gobeliny; u spodu jakby ich karta dokładna z nazwiskiem mistrza i innemi szczegółami; a w około szafy pełne rysunków i rycin, których są spisy jak najzupełniejsze, tak, że prawie samemu można dojść wszystkiego i nauczyć się wiele. Przytem, uprzejmość i uczoność dyrektora Frenzla \*), który dla Polaków szczególnie jest grzeczny, także nie mało wdzięku temu zbiorowi dodaje. Zwiedzając go z pośpiechem, nie mogłam przypatrzeć się wszystkim jego skarbowi, widziałam jednak własnoręczne rysunki Leonarda di Vinci, Michała Anioła, Rafacla, Guido-Reniego, Carraciów i innych włochów; Alberta Dürera, Kranacha, Rubensa, Rembrandta całe książeczki; i te rysunki równo a może poniekąd i więcej od malowań tych samych mistrzów mnie zajęły. Jest w rysunkach sławnego malarza, w tych pierwszych i często niedbałych rzutach myśli jego, jakiś wdzięk ukryty; to pozorne zbliżenie się do pospolitszych talentów cieszy; i mojem zdaniem taka jest różnica między rysunkiem a obrazem, jaka między listem a dziełem. Dzieło drukowane znakomitego pisarza czytamy z uwagą i uwielbieniem, ale jeżeli list jego nie wydany napotkać nam się zdarzy, chwytamy

\*) Jest to ten sam p. Frenzel, którego roboty, ryciny w *Śpiewach historycznych Niemcewicza*; rzeczy polskich posiada rzadką na cudzoziemca wiadomość.

się go jeszcze skwapliwiej; zdaje nam się bliższym, wierniejszym jego samego wyrazem. Lecz wracając się do gabinetu rycin, zalecać go można śmiało zwiedzającym Drezno; płodów wszystkich szkół malarskich, są tu dokładne przerysy, i bogatszy jest od galeryi w tegoczesne dzieła; pięknych rycin angielskich, litografii francuzkich, kryje zapas nie mały.

Jedno jeszcze skrzydło Zwingeru bywa czasami użyte; nosi nazwisko wielkiego domu opery (das grosse Opernhaus.) Jest to ogromna sala z lożami w około, przedzielona na dwie, mnogimi kolumnami. Zamiarem było Augusta II umieścić w niej teatr dworski, ale za wielki był zakrój, a budowa zbyt słaba: byłby pułap się zapadł. Wsparto go więc słupami, i co rok dają tu w post, wielkie koncerty *Oratorium* zwane; powszechnie jednak mówią że lada dzień cały gmach runie\*). Szkoda, mógłby tu być piękniejszy teatr od tego, gdzie dotąd grywają, i który choć wewnątrz dosyć kształtny i schludny, zwierzchu nie jest bynajmniej wydatny.

Kiedy tak nieznacznie *Teatr Drezdeński* podsunął mi się pod pióro, muszę powiedzieć ci o nim słów kilka. Już to pominąwszy operę włoską, która właśnie przy mnie z końcem zimy 1832, zupełnie ustała, a która od panowania Augusta III, wielkim była Drezna powąbem, teatr tameczny w wielu względach na niższym jest stopniu od Warszawskiego.\*\*)

Byłam naprzykład kiedy dawano Precyozę, ory-

---

\*) Budynek ten wraz z częścią bramy wschodniej spalony został w czasie rozruchów w r. 1840. — *P. W.*

\*\*) Dziś teatr Drezdeński jest jeden z najpiękniejszych tego rodzaju budynków w Europie. Do r. 1841, zmuszona była publiczność Drezdeńska poprzestawać na teatrze, który zbudowany w r. 1764., tymczasowo, ani potrzebom ani zamiłowaniu sztuki, mieszkańców Drezna nie odpowiadał. Aż nakoniec, gdy Stany znaczną na to sumę uchwa-



ginalną niemiecką sztukę Wolfa z muzyką Webera, u nas choć w tłumaczeniu, wydaje się lepiej i role z większą starannością obsadzone. Panna *Herold* w roli Precyozy lubo młoda i ładna, niema ani połowy uroku naszój Kurpińskiej. Wiarda jest po prostu baba, nietylko straszna ale obrzydliwa; Pedro nawet lubo przez dobrego aktora, przez *Pauli* oddany, nie wydał mi się przecie tak wyborny, jak nasz Zdanowicz. A co w dekoracyach, w ubiorach, to prawdziwie niedozwolone zaniedbanie\*): Walencyą wyobrażają brzozy, białodrzewa i domy z wysokimi dachami o kilku kominach; cyganie wszyscy w czarnych wysokich czapkach, jakby dopiero co rozbili oddział północnego wojska. Pewna zaś jestem, że już tobie, Helenko, wiadomo: iż w téj części Hiszpanii gdzie Walencya, same rosna pomarańcze, granaty i tym podobne sfer ciepłych płody, domy przykryte płaskimi gankami, a cyganie nigdzie jednostajnych ubiorów nie noszą. — Balet Drezdeński zupełnie niezgrabny; jednego skoku, jednéj nóżki nie widziałam, któreby mi przypominały Palczewską. Orkiestrze tylko i chórom należy przysądzić wyższość — jest wyraz, rzęsiłość, zgoda. Ale bo téż Niemcy w ogólności nierównie muzykalniejsi są od nas; u nich większa połowa ludzi umie muzykę, lub zna się na niej, a wszyscy bez wyjątku ją lubią. Nie ma narodu, któryby w instrumentalnej muzyce więcéj wydał geniuszów i głę-

---

liły, w r. 1838, budowa terazniejszego teatru, podług planu prof. *Semper* rozpoczęta, w r. 1841 ukończoną została. Długość jego wynosi 120, szerokość 115 łokci, wysokość z dachem 58 łokci. Mieścić może 1700—1800 widzów. Statuy i rzeźby znakomitych artystów ozdabiają zewnątrz cały budynek, wewnątrz zaś, upiększenie jest godnie do wspaniałości całej budowy zastosowane. — *P. W.*

\*) Tak było w r. 1832, lecz dziś należy teatr Drezdeński do najpierwszych i najlepszych w Niemczech, i tylko co do baletu zatrzymał swą dawną ociężałość. — *P. W.*

boko uczonych talentów: Mozart, Haydn, Steibelt, Beethoven, Weber, Hertz, Moszeles, Meyerber i tylu innych, wszystko Niemcy; a jedyny czyniony im zarzut jest ten, że zbyt wiele rozumu w twory swoje mieścili i mieszcza; nutami się tłumacząc, nadto myślą. Zdaje się jednak, że ci, którym ich dzieła przeznaczone, spółziomkowie, rozumieją te trudności. W Niemczech Mozart i Weber są popularnemi, i łatwo to pojąć, gdyż tam z dzieciństwa ucho jest oswajane z piękną muzyką, i staje się ona nieodzowną i nieodstępną każdego towarzyszką. Niema szkółki bez nauki śpiewu, niema nabożeństwa, pracy, zabawy bez muzyki. Uczniowie szkół wyższych nawet, chodzą bardzo często po ulicach miejskich, śpiewają zgodnie i uczenie świeckie i nabożne pieśni, zatrzymując się przed domami tych, których uczcić pragną; rzemieślnicy przy warsztatach tworzą chóry wyborne; w zimie każde zgromadzenie, w lecie każdy ogródek ma swoją orkiestrę; w większych ogrodach codziennie z kolei bywają odgrywane dokładne koncerty, niektóre o szóstej z rana, a przecież słuchaczy znajdują. Muzyka w Niemczech należy zupełnie do potrzeb życia, i to muzyka dobra, prawdziwa; nudnych pozytywek, grajków i śpiewaków fałszywych, których inne miasta i kraje muzykalne pełne, ani zobaczysz w Dreźnie. — W domach, gdzie są dzieci, tam zwykle o papugi i pieski nie dbają; gdzie rzeczywistość, tam ku niej zwraca się gust i uczucie.

Ale wracając do teatru Drezdeńskiego, ma on kilku dobrych aktorów: *Pauli* w tragedyi doskonały; państwo *Devrient* wyborni we wszystkiém, mianowicie w komedyi; ona sama choć Niemka rodem, w grze ma dowcip i lekkość francuzką. Urządzenie zaś w tém przyjemne, że kobiety bez obrażenia przyzwoitości na wszystkie prawie miejsca chodzą, i że do łóż, jednego biletu, dwóch, dostać można według potrzeby i upodobania.

Wszystkie budowy i składy, o których dotąd ci wspo-

minałam, Helenko, są po lewej stronie Elby, w Starém mieście; teraz przejdziemy na drugą stronę, do Nowego; i tam są szacowne zbiory. Lecz przechodząc, warto zastanowić się nad *mostem*; nie łatwo zobaczysz piękniejszy, ile że Elba jest jedną z szerokich rzek Europy; stanowi on téż jedną z celniejszych ozdób powierzchniowych Drezna: budowa jego kształtna i gruntowna, przejście łatwe, gdyż żadnej nie wymagają opłaty, raczej najludniejszą ulicą miasta niżeli mostem go czynią. Od niepamiętnych czasów w tém miejscu Elba ujarzmioną została; ale według podania, pierwsze te mosty były drewniane, kosztem margrabiów *Dohna* stawiane i utrzymywane, którzy téż od przechodzących pobierali myto. W późniejszych czasach musiały nastąpić między nimi i panującymi jakieś układy, bo już w roku 1288 z rozkazu Henryka elektora wystawiono most kamienny, który jednak szkody od kry doznawał. W następnych wiekach po kilka razy był przerabiany, aż nareszcie budowniczy *Föpelmann* za panowania Augusta II, dał mu kształt dzisiejszy. Spoczywa na siedemnastu wielkich arkadach z kamienia wiązanego żelazem; ile arkad, tyleż ma po obudwu stronach jakby zaokrąglonych ganków, które obstawione są ławkami dla wygody przechodzących. Dwa powozy minąć się łatwo mogą na brukowanej drodze, chodniki ułożone z dużych płaskich kamieni, most cały opasany żelazną kratą, oświecony latarniami z gazem. Na piątą arkadzie od Starego miasta, jako w miejscu gdzie most najwyższy, w udaną skałę utkwiony jest ulany ze spiżu wielki krzyż, na którym wizerunek Zbawiciela pozłacany. U spodu wyryty następujący napis: *Joan. Geor. II. Elect. aere fudit. August. Rex ornavit et lapide substruxit* \*). Ten krzyż wspaniały, malowniczą i uj-

---

\*) Jan Jerzy elektor, ulął ze spiżu; Fryderyk August król, ozdobił i kamieniem podparł.

nującą postać całej téj okolicy nadaje; zdaje się, jakby wraz z nim myśl jakaś luba, tęskna, wysoka, utkwioną w to miejsce została; mnie przynajmniej jego widok zawsze do miłego dumania pobudził... \*). Naprzeciwko krzyża są wyrobione z kamienia herby złączone Saksonii i Polski. W roku 1713 piękny ten most poniósł wielką szkodę. Marszałek *Davoust* w widokach obrony, kazał czwartą arkadę od Nowego miasta, prochem w powietrze wysadzić; mówią, że ówczesna królowa Amelia przechorowała tę szkodę, i narzekaniami swemi do gniewu pobudziła Napoleona. Przez rok cały ta przerwa pokładem drewnianym była zapełniona; później jednak most do dawnego stanu przywróconym został, i dziś ta arkada niczém od innych się nie różni. Na moście drezdeńskim jest zwyczaj gdzieindziej przez pieszych nie uważany; idący jednej strony, wracający drugiej trzymać się muszą; żołnierze a nawet sami mieszkańcy przestrzegają tego porządku, który chociaż trochę nudny, jest wygodny.

Budową na Nowém mieście, szacowne zbiory obejmującą, jest *Japoński pałac*, gmach najpiękniejszy w całym Dreźnie. Założył go August II, przeznaczając na letnie mieszkanie, w wesołym i otwartém miejscu nad samą Elbą. Budowniczymi byli Pöpelmann, Knöfel i Bodt. Składa on doskonały czworobok, jest o dwóch piętach, przysionek ma wspaniałe. Przydomek Japońskiego dla tego nosi, że August nadzwyczajny lubowik porcelany, a po staropolsku /ar-

---

\*) Krzyż ten postawiony z rozkazu Jana Jerzego elektora, w roku 1670, sporządzony ze spiżu i samo połączenie kosztowało 14,000 tal. Jako podstawę, miał sztuczną skałę 8 łokci wysoką, na téj zaś umieszczoną była marmurowa tablica z powyższym napisem. W czasie nadzwyczajnego wezbrania Elby w d. 30 i 31 Marca 1854 r., tylna część filaru na której stał krzyż oderwaną została, i krzyż ten w wezbranych falach zniknął, tak, że pomimo starannych poszukiwań, dotąd nie jest znaleziony.



fur, temi kosztownemi skorupami cały ozdobił. Dziś ustąpiły miejsca użyteczniejszym zbiorom, a same zajmują tylko dolne czyli podziemne sale. Zebrania tak obfitego rozmaitej porcelany, mianowicie wschodniej, podobno nigdzie nie ma, i z tego względu dla lubowników i znawców ciekawości do zwiedzenia. Od wieków słyną farfury chińskie i japońskie, i wyprzedzili Azyanie w tej sztuce jak w wielu innych Europejczyków; tu ich wyrobów jest nieprzeliczone mnóstwo, a razem przypatrzeć się można ich naśladowaniom mniej lub więcej pomyślnym. Sasi jedni z najpierwszych wzięli się do tego; już bardzo dawno głośna ich porcelana, a to najwięcej z przyczyny, iż nigdzie dotąd nie odkryto glinki tak zbliżającej się do gliny wschodniej, jak jest saska w okolicach Misni (Meissen). W tém mieście też założoną została od lat wielu fabryka, i lubo inne, zwłaszcza francuzkie, przeszły ją w guście wyrobów swoich, żadna nie doszła w trwałości. August II mając taką fabrykę na rozkazy, dziwne w niej kazał wyrabiać i wypalać rzeczy; do Chin, do Japonii nakazy swoje posyłał, i gdzie mógł drogie skorupy skupował. Dziś te wszystkie koncepta i zasoby jego i następców, zebrane są i ustawione jakby na sprzedaż; samych filiżanek jest parę tysięcy, talerzy rozmaitych tyleż, a innych naczyń, mis, imbryków, czar, garnuszków, bez liku. Są także dziwotwory, zwierzęta, ptaki, płazy, ryby, dziwaczne figury, wszystko z umysłu do japońskiego pałacu robione. Na wielu misach i talerzach są herby polskie, widziałam je nawet na wazonach w Japonii toczonych, i dziecinną prawdziwie uczułam dumę, że i tam znane, drogie nam znaki Orła i Pogoni. Między tém mnóstwem porcelany, którą dwanaście sal zastawiono, wyznać należy, iż najmiliej w oko wpada dar Napoleona, Fryderykowi Augustowi uczyniony, z fabryki rządowej w *Sèvres* pod Paryżem będącej: gustem, świeżością, kształtem tak przechodzi wszystkie, jak Paryżanka inne kobiety ubiorem. Jest sześć dużych wazonów

z pięknymi malowaniami, jeden mniejszy z portretem cesarza, parę tuzinów filiżanek i talerzy, i kilkanaście figurek z najwyborniejszój glinki, *en biscuit* zwane. Takich figurek jest wiele i z innych fabryk, i niektóre śliczne, bo wystawiają zdrobnione posągi najslawniejsze. Zajął mnie także w tych salach wzór pomnika, który miał być wystawiony Augustowi III; monarcha ten siedzi na koniu, koń depce za wisć, na podstawie są mnogie napisy, a wkoło gromady figur: między niemi jest dwóch starców, jeden z nich wystawia Elbę, a drugi Wisłę. Wisłe dziecię podaje róg obfitości z sypiącą się pszenicą.

W pokojach dolnych japońskiego pałacu, jest *Zbiór monet* dosyć szacowny, osobliwie dla Sasów; gdyż całkowity dobór saskich monet od najdawniejszych czasów zawiera, i szacowniejszy jeszcze *Zbiór starożytności*. Liczba ich niezbyt wielka, zaledwie czterysta przechodzi; wiele jest posągów uszkodzonych, bez rąk, bez nóg, czasem bez głowy, ale są oryginalne, rzetelne pomniki egipskie, greckie, rzymskie, i niektóre, jak, *Lwy* z nad Nilu, *Matrona* i dwie *Młode kobiety* w rozwalinach Herkulanum wykopane, posąg kolosalny *Minerwy*, popiersia *Cesrzów rzymskich*, bardzo piękne. Jużto ogólnie biorąc, zwolennicy sztuk pięknych, mogą nabyć w drezdeńskich zbiorach, dokładnego wyobrażenia ich płodów; najszacowniejszych są próbki; żałować tylko wypada, że korzystanie z tych zbiorów jest utrudnione; nie zawsze sale otwarte, w zimie nie ogrzane, i prawie we wszystkich płacić za wnijsćie trzeba, a to dosyć suto. W tój mierze, Drezno więćej na posiadłość zamożnego pana, niżeli na stolicę wygląda; zdają się to być prywatne, nie publiczne zbiory: daleko tóż więćej są zwiedzane od cudzoziemców, niżli od krajowców, a pospólstwo zaledwie wié, że istnieją.

Zbiorem, do którego przystęp najmnień utrudniony i nie przecieź nie kosztuje, a z którego korzyść najwięćej szacowna i ogólna, jest *Biblioteka*, zajmująca wszystkie górne po-

koje japońskiego pałacu. Przyznać należy, iż trudno było obrać dogodniejsze na księżnicę miejsce; i Drezdeńczycy winni wieczną wdzięczność Fryderykowi Augustowi, który pierwszy odważył się znieść do izb podziemnych drogie, ale nieużyteczne skorupy, a te wysokie, piękne, jasne sale i pokoje, oddał księgom. Mało jest bibliotek w największych miastach tak szczęśliwie położonych; widok z okien czarujący; częste jój odwiedziny, utwierdziły mnie jeszcze w dawno powziętém zdaniu, że niema pożądanśzej posady jak bibliotekarza; jest bez żadnego nakładu, a nawet z dochodem, panem tylu tysięcy ksiąg, i jeszcze drugim używać ich może. Ale niestety! nie wszędzie ten urząd piastować przyjemnie! a pojmuję, że utrata powierzonych sobie i tak cenionych skarbów, musi być srogą boleścią.

Nie mam potrzeby opisywać ci, Helenko, co to *Biblioteka*. Wiesz dobrze, iż od czasu jak ludzie pisać zaczęli, a to już dosyć dawno, (bo sama czytujesz dzieło przed trzema tysiącami lat zaczęte), każdy człowiek nieco oświecony starał się mieć książki, i na łonie tych nieżyjących ale wiernych przyjaciół, szukał nauki i zabawy. Im kto był uczeńszy i bogatszy, tém miał ich więcej; jednak nigdy liczbę bibliotek i ksiąg upowszechnienie, u dawnych, równać nie można z dzisiejszemi; wiadomo ci bowiem, iż sztuka drukarska dopiero XV-go wieku jest wynalazkiem, a od daty pierwszej książki drukowanej, jeszcze nie ma lat czterechset. Do tój pory Biblia i wszystkie prace świeckich autorów były przepisywane na większą lub mniejszą liczbę rąk, według wartości dzieła, i łatwo sobie wystawić takich ksiąg rzadkość i cenę. Bo jakież to mozół, drobno, czytelnie, bez myłek, kilka tomowy, cudzy utwór przepisać? i prawdziwie tylko w zaciszu i samotności murów klasztornych, podobne przysiedzenie i cierpliwość znaleźć miejsce mogły. Atoli zarobek słodził mozół, i jak się zjawiła drukarska sztuka, nie wszyscy jój byli radzi; wielu, dotychczasowych zysków po-

zbawiła; ta była nawet przyczyna, że jój wynalazcy, Gutenberg, Faust i Schöfer prześladowania doznali i o czarnoksiężstwo posądzeni byli. Tak, dziś jeszcze mimo czterowiekowego postępu oświaty, nie jeden powstaje przeciw machinom, których celem: oszczędzanie pracy człowieka, i ułatwienie wszystkim nabycia rzeczy tak długo zbytkowych. Ufajmy, iż w krótkim lat przeciągu, to powstawanie równie śmieszny się wyda, jak teraz się wydają zarzuty czarnoksiężstwa wynalazcom druku czynione.

Jakkolwiek, przed upowszechnieniem tój dobroczynnej sztuki, trudno było o księgi, przecież tak w dawnych jak w średnich wiekach, monarchowie, miasta znaczniejsze, panowie zamożni, zakłady naukowe, klasztory, mieli znakomite biblioteki. Wiesz zapewne z dziejów powszechnych o sławnej księżnicy Aleksandryjskiej, która z rozkazu Omara spalona, kilkanaście tysięcy dzieł zawierać miała. Po zaprowadzeniu chrześcijaństwa, nie było znaczniejszego opactwa i klasztoru, któreby swego księgozbioru nie zawierały. U nas, Benedyktyni w Tyńcu, w Sieciechowie, pierwsze założyli biblioteki; krakowska i wileńska także znakomitą dawnością się szczycą: drezdeńska dziś od obudwuch liczniejsza, później, bo dopiero od połowy XVI-go wieku, był swój rachuje. Związkiem jój był zbiór ksiąg, rękopismów, rycin, staraniem dobrego Augusta uczyniony, a umieszczony porządnie w 1586 r. w salach zamkowych; zwiększana ciągle przez następnie panujących elektorów, zubożoną została w bardzo szacowne rękopisma, w czasie wyprawy wiedeńskiej. Elektor Jan Jerzy, większy przyjaciel naukowych osobliwości od króla Jana, jakie tylko mógł nabyć wtedy od Turków piśmienne zabytki, starannie pozbierał. Nie bez tego, aby i do Polski nie wpłynęły w tój porze podobnie zdobyte skarby. August II, a więcj może jeszcze August III, bibliotekę drezdeńską znacznemi zakupami powiększył; Fryderyk August jednak dopiero na dzisiejszej postawił ją sto-



pie, a za staraniem bibliotekarza *Falkenstein* \*) ułożona została w ujmującym i godnym naśladowania porządku. Księgi podzielone są krajami i przedmiotami, układane w wielkich szafach; nad każdą szafą jest napis. Bardzo łatwo trafić do wszystkiego. Sal wielkich, z których jedna słupami wsparta, popiersiem króla ozdobiona, prawdziwie wspaniała i piękna, jest trzy, mniejszych 22. Zbiór cały zawiera 220,000 tomów drukowanych, 2,700 rękopismów, przeszło 150,000 rozpraw i poszytów, i zapas kart geograficznych do 20,000 dochodzący. W dzieła historyczne wszelkich narodów najobfitszy, jako i w rozliczne wydania klasyków łacińskich. Samemu Cyceronowi, którego pisma już nieraz w jednym wielkim tomie zawarte były, trzy szafy ogromne poświęcone, bo jest kilkaset wydań tego wielkiego mówcy, i tłumaczeń na różne języki. Druków rzadkich i pierwszych, *inkunabułami* zwanych, jest znaczna liczba; pomników *ksylograficznych* \*\*) kilka. Z tych widziałam dwa: *Ars memorandi* (sztuka pamiętania) i *Ars moriendi* (sztuka umiarnia). Pierwszy choć szacowniejszy z powodu pierwszeństwa, nie tyle mnie zajął co drugi; najprzód trochę piękniejszy co do wykonania, powtóre, dzieło samo jest pracą Polaka. Mateusz z Krakowa urodzony r. 1345, w ojczyźnie nauki odebrawszy, był rektorem akademii Pragskiej, później Paryz-

\*) *Falkenstein*, Szwajcar rodem, jest tym samym, który napisał i wydał *Życie Kościuski*. Bardzo jest uczony, w rzeczach polskich biegły, i z prawdziwem polubieniem i znajomością, błogi swój urząd sprawuje.

\*\*) Tak zowią pierwiastki druku; bo najpierw wyrzynano na tablicach drewnianych wypukłymi literami po kilkanaście wierszy, po całych stronicach pisma, i tak odbijano całkowicie—w podobieństwie jak dzisiejsze *stereotypy*; złupana taka tablica dała myśl liter osobnych czyli czcionek, a gdy drewniane okazały się zbyt kruche, a żelazne zbyt twarde, zaczęto mięsząc kruszce, i trafione nareszcie na masę dotąd używaną w giserniach.

kiej, gdzie przez czas długi licznym słuchaczom teologią wykładał. Zostawił prac piśmiennych kilka, między niemi wspomniane *Ars moriendi*, którego kopie tak były szacowane i wzięte, że skoro nowy kunszt się zjawił, pospieszono użyć go do upowszechnienia tego dzieła. Już Mateusz dawno był umarł, kiedy jego *Sztuka umierania* wydana została w Harlemie, r. 1440. A tak, praca Polaka należy nietylko do pierwszych dzieł drukowanych, do inkunabułów, ale nawet do jeszcze rzadszych pomników ksylograficznych. Przyjemnie mi było przerzucać stronnice téj szacownej książki; lecz nie po raz pierwszy ubolewałam nad tém, że nie umiejac po łacinie, nie mogłam uchwycić myśli uczonego rodaka. A miło byłoby po spłynionych blisko trzech wiekach, w obcém miejscu, rozmówić się z ziomkiem, i tobie, Helenko, odwiecznych jego zdań udzielić. Zawsze mnie bardzo dziwi, kiedy młodzi w szkołach nie chcą się uczyć starożytnych języków, i pytają się, do czego to? Prócz innych korzyści jakie ta umiejętność przynosi, nie małą jest i ta, że za jój pomocą naszych dawnych pisarzy czytać i rozumieć można.

Z inkunabułów, najszacowniejszy w bibliotece drezdeńskiej jest ułamek Biblii Gutenberga, pierwszej, która drukowaną była. Nie ma daty. Na pierwszych drukach nie kładziono jój, może dla tego, że w początkach, dzieł zwłaszcza z większych, trudno było w jednym roku ukończyć. Pierwsza książka drukowana z wyrażeniem daty, dotąd znana, jest jak utrzymują uczeni, Psalterz Dawida po łacinie z r. 1457. Takich egzemplarzy wiadomych jest tylko siedm, a zatém są wielką rzadkością. Posiada jeden z nich biblioteka drezdeńska i bardzo się nim szczyci. Drukowany na pergaminie w Moguncyi, u Fausta i Schöfera. W liczbie innych druków rzadkich, z radością postrzegłam dzieło w Paryżu wydane około r. 1485, pod tytułem *L'homme pécheur* (człowiek grzeszny); wcale ładne mieści miniatury, ale mnie

to więcej ucieszyło, żem rozumiała co zawiera. W mnóstwie obcych ksiązek spotkać w języku sobie znanym, takie niemal sprawia wrażenie, jak w tłumie obcych znajomego zdybać. Pokazywano nam także pierwsze wydanie Herodota z r. 1474, Homera r. 1488, Biblią dobrego Augusta z roku 1576; zowią ją doręczną: jeżeli ją trzymał w ręku czytając, to równie musiał być silny jak August II, księga bowiem ogromna; zdobią ją dwa portrety elektora, pędzla Kranacha. Napatrzywszy się tych wszystkich skarbów ksylograficznych, inkunabułów i rzadkich druków, wyznaję, że z wielką przyjemnością oglądałam podarek *Tauchnitz*a, sławnego gisera w Lipsku, Fryderykowi Augustowi uczyniony, za powrotem jego z pruskiej niewoli. Rzecz sama z siebie mało znacząca: wiersz radosny; ale litery i ozdoby stereotypowe bardzo piękne mi się wydały, zwłaszcza po dopiero widzianych próbach i pierwiastkach druku; nic mnie zaś więcej cieszyć nie może, jak kiedy doskonalenie się w czém bądź widzę: nic tak nie martwi jak cofanie się. Człowiek do postępu stworzony został; *naprzód!* jest wyrokiem dobroczynnego Stwórcy; *wstecz* ukazem złego ducha. Z arcydzieł drukarskich zajęła mnie jeszcze *Modlitwa Pańska* we stu pięćdziesięciu językach, w Monachium wydana; tam przecie znalazłam ojczyzną mowę i z rozrzewnieniem czytałam te tkliwe słowa: Ojczy nasz! Ale nie skończyły się na tém polskie zabytki; tu jest dosyć naszych dzieł, zwłaszcza historycznych; kronikarze, heraldycy są prawie wszyscy; jest i nowszych pisarzy kilku: ostatni król dzienniki nawet polskie miewał. Między dawniejszemi płodami literatury ojczyźnej, trafiłam na dzieło, które rzadkie być musi, bo nie przypominam sobie, abym o niem w Historji Bentkowskiego czytała: *Lencharda Lonchiusa księgi o wychowaniu i o ćwiczeniu każdego przełożonego, nietylko panującemu i poddanemu każdemu ku czytaniu bardzo pożyteczne*, 1558. Parę stronnic, które przebiegłam zdały mi się czystą polszczyzną, z czystym rozsądkiem pisane,

i bardzom żałowała, że czas krótki nie pozwolił wyjątków z niego poczynić. W rękopismach znaczne bogactwa posiada biblioteka drezdeńska. Widziałam przeszło 500 lat mający Stary zakon; tak nazwane *perłą biblioteki* listy Pawła św.; Lutra i Melanchtona korespondencye, innych pism Lutra bardzo wiele, Alberta Dürera cała księga własnoręcznych pism i rysunków; rzadkie i piękne dzieło Renata Andegawskiego (René d'Anjou) o turniejach z malowaniami, listy różnych ludzi znakomitych, poezye własną ręką sławnego poety niemieckiego *Hans Sachs* pisane i t. p. Są nawet w zbiorze rękopismów tak zwane *Palimpsesty* \*), które Anglicy zwłaszcza, mają w wielkiej cenie. Wiadomo było zdawna uczonym, że gdy ginąć zaczęła sztuka wyprawiania dobrze pergaminu, a papier jeszcze znany nie był, mnichy skrobali bez litości najszacowniejsze pisma dawne, a nowe które wziętość miały, najczęściej teologiczne rozprawy, na tych tak ogołoconych kartach kreślili. Uczony Maï Włoch natrafił na takie podwójne dzieło; zgładziwszy nieznaczące i nieprawe wierzchnie pismo chemicznym sposobem, dobył dawne, rzetelne i bardzo szacowne. Od tego czasu bibliografii szukać podobnych skarbów zaczęli, i nie w jednej bibliotece odkryły się dzieła starożytne, o których nawet wyobrażenia nie miano że istnieją. P. Falkenstein znalazł takowych dwa, i ciągle poszukiwania czyni. Bodaj mu się powiodło! bodaj wszelkie przywłaszczenia taki koniec wzięły. Wiedząc jakie było źródło szacownego zbioru wschodnich rękopismów, jaki posiada biblioteka, przypatrywałam się im pilnie, i godne są uwagi. Jest koranów kilka bardzo pięknych, dwa mianowicie: jeden z r. 1512, który był własnością Bajazeta; drugi, maleńki, ośmiokątny, w kształcie ta-

---

\*) Grecy to nazwisko dawali kartkom, z których wymazać było można napisane słowa.



bakierki: jest on w rodzaju tych, które Turcy zawieszają na sznurku, noszą na sobie w podobieństwie jak u nas szkaple-rze, i zowią je *amulety*. Może spadł z szyi wielkiego We-zyra Mustafy, kiedy tenże zagrożony przez naszego króla Jana, w dniu 13 Września 1683, „tak uciekł od wszystkie-go, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni.“ Zapewne także w namiotach jego, gdzie jak mówi jeszcze Sobieski: „wypisać niepodobna jakie miał delycia“ znalezione dzieło tureckie bogato ozdobione, nauka wierszem o trunku *benk* zwanym; jak go przyprawiać, jak się nim upajać, bo Tur-kom koran wina pić zabrania, oni więc szukają sposobu za-stąpienia go innemi upajającemi sokami. Obok tureckich rękopismów są i inne wschodnie: perskie, indyjskie, hebraj-skie, chińskie; wszystkie nietylko zupełnie innemi literami jak nasze kreślone, ale jeszcze inny porządek nakazują w czytaniu. My, czytamy od góry, z lewój na prawą postę-pując; wschodni, czytają z prawej na lewą, a Chińczycy to jeszcze inaczej, bo zacząwszy od lewój strony z góry na dół idą. Dziwna pomyślcć, że jak my, tak oni, przekonany ka-żdy u siebie, że jego sposób najlepszy. Co to mogą pierw-sze wrażenia! Zastanowił mnie także nie mało rękopism meksykański; charaktery jego nie podobne do żadnych po-przednich, a tém mniej do naszych; raczej nuty muzyczne przypominają, bo najwięcej z kresek i kropek złożone. Był on z małej liczby tych, które Ferdynand Korteż zdobywca Meksyku przywiózł w całości do Europy; wiadomo bowiem, że prócz złota i drogich kamieni nie wiele pomników sztuki uszło wtedy barbarzyńskiej ręki Hiszpanów. Pisma te-go nikt jeszcze się nie doczytał; kreślone jest czarną farbą na tkaninie zrobionj z liści aloesowych (*agave americana*) podobnej do naszego papieru ale grubszej. Jak to prawie każdy lud ziemski dochodził drogą sobie właściwą tajemnic pisma; to samo dowodzi jego potrzeby: pismo jest zupełnie chlebem umysłowym. Obok tego, mądrości nowego świata

zabytku, który zapewne nie jedną myśl nową w sobie kryje, widziałam jeszcze książki mieszkańców wyspy Borneo; są to krajki liści palmowych zebrane z jednego końca na sznurek, zapisane jakimiś dziwnymi literami, składają się i rozkładają jak nasze wachlarze. W liczbie dzieł z malowaniami i rycinami, pokazywano nam wiele szacownych; trzy najlepiej zostało mi w pamięci: 56 portretów sławnych uczonych w XV i XVI wieku; wszyscy monarchowie Sascy jacy byli i nie byli, gdyż zaczyna się ich poczet od króla Herdericha r. ś. 3383, kończy na Augustie II; a nareszcie *Atlas* królewskim zwany, którego tom ostatni zawiera 70 nadzwyczaj pięknych portretów kolorowanych, najslawniejszych ludzi i najgłośniejszych kobiet w Anglii, od Jakóba I, do Anny królowej. Mówią, że tylko trzy są egzemplarze tego zbioru: jeden w Londynie, drugi w Hadze, trzeci tu; August II bowiem zrobiwszy wielkim nakładem tę grzeczność królowej Annie, chciał ją jeszcze szacowniejszą uczynić i rozkazał poniszczyć blachy.

W wyliczanie wszystkich znakomitych zabytków biblioteki drezdeńskiej, wybaczysz mi Helenko, iż wchodzić nie będę; powtórzę tylko, że mi się bardzo podobał jej układ: drobne zeszyty, pisma peryodyczne, podarte dzieła, które w najmniejszej bibliotece zawadzają, tu nic symetrii i porządku nie psują; chowane są w stosowne futerały; każdy z nich ma na grzbiecie tytuł i wygląda jak pięknie oprawna książka: tym prostym sposobem, wszelki pozór nieładu usunięty. Dodam jeszcze, iż ta biblioteka żywo w pamięci mojej została; była to pierwsza, do której w niedostatku książek w domu, odważyłam się chodzić na pracę. Pożyczają wprawdzie niektórych, lecz dla cudzoziemców wiele jest trudności i obostrzeń, i boleśniej mi było im ulegać, jak zadać sobie nieco dobrowolnej fatygi. Ale już list ten dość długi, czas go zakończyć.

## LIST SZÓSTY.

Ogrody i przechadzki Drezdeńskie.

Nie zadziwi cię zapewne, kochana Helenko, list cały temu przedmiotowi poświęcony; tobie, która tyle jesteś szczęśliwą, że mieszkasz na wsi, w świeżem powietrzu, wśród drzew, trawników i kwiatów; która biegać możesz wszędzie, swobodnie, łatwo pojąć jaką jest konieczną potrzebą dla zamkniętych w murach, szukanie wolniejszego oddechu i lubiej zieloności widoku. W każdej też stolicy, ogrody i przechadzki, znaczną część gruntu zabierają, i tak być powinno. To sposób jedyny wynagrodzenia choć cokolwiek całej szkody, jaką zdrowiu ciała i duszy człowieka przynosi ten nie dobry, ale już niewytępiony zwyczaj: zamykania się w dobrowolnym więzieniu, tłoczenia się na jedno miejsce, mieszkania ciasno jedni nad drugimi, jak gdyby nam Bóg żałował wolności, ziemi i powietrza.

Drezno z tego względu lepiej uposażone od wielu miast znaczniejszych; nie wiem, czy jest drugie, gdzieby więcej ogrodów, pięknych widoków, miejsc do przechadzek było. Położenie nadobne miasta, a nadewszystko gust mieszkańców, do tej korzyści się przyczynia. Niemcom zamiłowanie natury jest wrodzone; przechadzka, świeże powietrze równie im potrzebne do życia jak jadło, napój, tytuń i muzyka: ogrody i drzewami sadzone ulice, można śmiało drugimi ich domostwami nazwać. Pewno nie ma nikogo w Dreźnie w wyższym i najniższym stanie, któryby w pięknej porze, w dni powszednie choć godziny przechadzki nie użył, a połowy każdego święta na wolnym powietrzu nie spędził. Kto tylko może, rzuca na lato środek miasta i szuka mieszkania z ogrodem. Skoro czas jest znośny, sądzićby można,

że dzieci pod gołém niebem życie pędzą, tyle ich widać wszędzie od kilku-tygodniowych do kilku-letnich. Skutkiem tego powszechnego zamiłowania, patrząc z góry na stolicę Saksonii, wydaje się jak w ogrodzie, i prócz kilku dawnych ulic, obudwóch rynków i blizkich okolic zamku, wszędzie drzew pełno. A i w tych miejscach zieloności pozbawionych, umieją mieszkańcy stwarzać sobie przenośne ogródki: w oknach, wystawach na gankach, poddaszach, wszędziebyś ujrzała mnóstwo doniczek z kwiatami; im ulica węższa, tém ich więcej, jak gdyby nagradzać sobie chcieli to pozbawienie widoku dobroczynnej natury.

Każdy właściciel domu, skoro ma kawałek gruntu, woli obchodzić się bez podwórza, a mieć ogródek; ten ogródek hoduje i pieści jakby dziecię: najczęściej sam go uprawia, zasadza i czyści. We wszystkiém oszczędny, w tém jedném już mniej na wydatek baczy, i zwykle co tylko zmieścić się da w téj posiadłości, w to wszystko ją zdobi. Widzieć można w Dreźnie ogródki nie więcej jak sto kwadratowych łokci mające, w których znajdziesz: drzewa owocowe, altany, winnice, wodotryski, trawniki, ścieżki zwirem wysypane, krzewy i kwiaty rzadkie. Ja sama taki miałam przed oknami letniego mieszkania na *Wallstrasse*, i codzień się dziwiałam, jak mógł właściciel w tak małym miejscu tyle nagromadzić rzeczy, a sąsiedzkie ogródki jeszcze były ładniejsze, zwłaszcza w krzewy i kwiaty bogatsze. Co do tych dwóch najcenniejszych ozdób ogrodowych, zupełna jest chęć wyścigu między mieszkańcami Drezna. Zaczawszy téż od pierwszych dni Marca, od wczesnych krokusów i prymawer, można już ciągle napatrzeć się z kolei wszystkich kwiatów, nie wychodząc z miasta. Z wielu roślin, jako to: z lewkonii zimowych, z laków, z róż miesięcznych, zaraz na wiosnę klomby sadzą, a tym sposobem, po okwitnieniu cebulkowych kwiatów, mają w tém samym miejscu innych rozwitych dostatkem. Zdaje się, że tu każdy posiada w pewnym sto-



pnia wiadomości ogrodnicze i wie jak hodować zagraniczne rośliny. Przeto, rzeczy jeszcze u nas rzadkie, tylko w narodowych ogrodach, albo u zawołanych lubowników widywane: akacje różowe i baldaszkowe, cytyzy, katalpy, tulipanowe drzewa, róże wysoko puszczone z odmianami, i t. p. tu wszędziebyś zobaczyć mogła, i za tanie kupiła pieniądze. Nie pochodzi to jednak z cieplejszego klimatu; bardzo mała z powietrzem Polski różnica; ale owoc starań, pracy i tego ogólnego natury zamięłowania, który niestety! u nas upowszechnionym nie jest.

Nie kończą się jednak te zachody czczeniem zaspokojeniem oczów, przynoszą one i zyski wielkie; ogrodnicy drezdeńscy wielki handel drzew, roślin i nasion prowadzą, i nie mało ściągają z różnych krajów pieniędzy. Zdarzyło mi się być u jednego, który same *kamelie* hodował i na wszystkie rozsyłał strony. Miał ich kilkanaście tysięcy doniczek różnej wielkości, i tyleż złotych dochodu. Owoców także mnóstwo; przez całą zimę do Maja, można dostać jabłek w najlepszych gatunkach, nie drogo; od pierwszego Czerwca jest obfitość poziomek, tak pięknych, dużych i wybornych, jak nigdy nie jadłam: są to leśne ale przesadzone do ogrodów i winnic. Od połowy Czerwca zaczynają się wiśnie w różnych gatunkach, a więcej jeszcze czereśnie; niezmiernie tanie: wszyscy je jedzą, a przejeść nie mogą. To samo się dzieje z kolei z innymi owocami, zwłaszcza z winogrodem, który tu żadną nie jest osobliwością. Góry na prawym brzegu Elby okryte są winnicami, nietylko jagody jedzą wszyscy, ale i wino z nich wytłaczają; wielu mieszkańców Drezna ma w okolicach winnice: przynoszą one niektórym po parę tysięcy talarów rocznie, a skarbowi do sta tysięcy. To wino, które jest białe i czerwone, wcale smaczne, do *petit Bordeaux* podobne, zowią je *Landwein*: za granicę nie wywożą, bo chować go długo nie można; zawsze jednak umniejsza wywóz pieniędzy z kraju, a powiększa

liczbę pijących wino. Kwarta kosztuje sześć sr. groszy; może więc i wyrobnik zmęczywszy się, spełnić szklankę zdrowego trunku. Mój Boże! i my kiedyś nasze winnice mieli; z wzgórków pod Czerskiem bywało wina dosyć; lecz jak piszą nasi dawni badacze: „dzisiejsi młodych szczepów sadzić zaniechali“ a wszystko co ojcowie najlepszego zrobią, łatwo zaginie, skoro dzieci prowadzić dalej nie będą ich pracy. Lecz miałam ci opisać, Helenko, ogrody i przechadzki Drezdeńskie, wymienię z kolei prawie wszystkie.

*Taras Brühla.* Hrabia Brühl minister ulubiony i pełnomocny Augusta III, który ani w Polsce, ani w Saksonii przyjaciół nie liczył, wystawił w Dreźnie na Augusta ulicy, piękny pałac z tarasem. Pałac jest dziś mieszkaniem brata królewskiego, Maksymiliana\*); w dolnych pokojach jest skład wyrobów nowszych, fabryki porcelany z Meissen, z tarasu zaś i przyległości urządzonej została jak najpiękniejsza miejska przechadzka: na bardzo wysokim, kamieniem wyłożonym wale, opasanym żelazną kratą, nad samym brzegiem Elby, są poważne drzewa, zacienione ulice, chodniki wygodne, ławki kamienne i widok prawdziwie czarujący; ulubiona też to jest Drezdeńczyków przechadzka: cała

---

\*) Zwrócić należy uwagę czytelników na stan dzisiejszy rodziny panującej w Saksonii. Po śmierci Antoniego króla Saskiego, w Czerwcu 1836 r. Mit-regent od r. 1830, a syn brata królewskiego księcia Maksymiliana, objął tron Saski, i zostaje, tak z pierwszą żoną Karoliną arcy ks. austryacką, jako i z dziś żyjącą powtórnią żoną Maryą księżniczką Bawarską, bezdzietny. Brat młodszy króla, książe Jan, właściwy tron następcą, mający w małżeństwie księżnę Bawarską Amelią, siostrę królowej i bratowej, posiada potomstwo dość liczne. Syn jego starszy, książe Fryderyk August *Albert*, urodzony d. 23 Kwietnia 1828 r., w skutek woli dostojnego ojca swego, przeznaczony następcą tronu, pojął w d. 18 Czerwca 1853 r. w małżeństwo księżnę Karola Waza, ostatni szczep pozostały z panującej długo rodziny Wazów Szwedzkich.

elegancya tu się schodzi, ze strojami popisuje, tu najpierw przybywającego cudzoziemca prowadzą. I ja lubiłam niezmiernie, w wieczór ciepły i pogodny, wejść na ten taras mniejszemi schodami, od alei *Maurycyego*; wtedy przy promieniach zachodzącego słońca przedstawiał się obraz przepyszny. Nadobna Elba, mnóstwo płynących po jej złocistych wodach statków handlowych z rozpuszczonemi żaglami, gondol rozmaicie barwionych, za nią budowle Nowego miasta, ładne letnie pałacyki, wprost kościół katolicki, most napełniony ludźmi i powozami, ten krzyż jego ciemny, tak dobrze przy zieloności gór, przy jasności nieba odbijający, wszystko to tworzyło jak najpiękniejszą panoramę. A jeszcze kiedy trafić było na wieczór koncertowy, zwiększała się przyjemność. W takim razie zajmował mnie widok u nas nieznanym. Na około muzykantów siedziało przy stoliczkach zastawionych kawą i ciastami, paręset kobiet, ładnie ubranych, które wszystkie jakby najęte, pończochę robiły\*). Ten widok z początku mnie rozśmieszał, ale wkrótce przekonałam się, że to zwyczaj przedziwny; przy najmniejszym zatrudnieniu, czas dwa razy miliej schodzi: najprzód, każda robota nudy odgania; powtóre rodzi w sercu słodkie zaspokojenie. Wyrachowały to dobrze rozsądne Niemki, i dla tego tak młode jak stare, nigdzie się nie ruszą bez pończochy w rękę.

*Promenady.* W około Starego miasta, w miejscu gdzie były warowne wały, porobione są teraz ulice czyli *aleje*

---

\*) W czasie gdy te listy pisane były, miejsce to bardzo ubogo wyglądało: dziś wznosi się przepyszny budynek, nazwany *Belweder*. Zbudowany r. 1842, obejmuje dwie wielkie sale, z których w górnej traktiernia, szczególniej w lecie odwiedzana jest przez przejeżdżających. Naprzeciw *Belwederu*, uderza oko zupełnie w orientalnym rodzaju wystawiona budowa: jest to synagoga żydowska, która w 1890 r. podług planu prof. *Sempera*, zbudowaną została. — *P. W.*

drzewami w kilka rzędów sadzone, z trawnikami i ławkami; zdobią je często po obudwóch stronach domy z ogródkami, a zwykle napełnione są ludźmi różnego stanu i dziećmi. Nieraz widzieć można, jak przyjdzie matka lub piastunka z całą ich gromadką; jedno, jeżeli nie dwoje, w wózku przywiezie, zabawek im naznosi, sama siądzie na ławce, książkę czyta lub pończoszkę robi, i czasami spogląda na dziatki, które lepiej niż w domu się bawią. Te ulice *promenadami*, *boulevardami* i *Anlagen* zwane, ożywiają bardzo Drezno i są miłym miejscem przechadzki, tém bardziej, że powozom jeździć tam nie wolno. Oprócz osób, które w niem się spotyka, zajmują jeszcze więcej, siedzące w ogrodach. Zwyczajem jest tutejszym, że właściciel i lokatorowie, gości w tych zielonych salonach przyjmują; tworzy to więc jakiś obraz otwartego życia, przypominający opisy miast włoskich, gdzie każdy na ulicy prace swoje odbywa. *Aleje* te jako nowo utworzone, noszą nazwiska dziś żyjących książąt: Antoniego, Maksymiliana, Fryderyka, Jana; dwie dawniejsze, mają swe imie od Maurycego wojownika i dobrego Augusta. Obok téj ostatniej jest *botaniczny ogród*, mały i nie wydatny, — a na końcu *pomnik* Maurycego, który nie bardzo dowodzi dobry gust XVI-go wieku, przecież się podoba, dla osób jakie przedstawia.

Wzniósł go dobry August wśród wałów dawnéj fortecy, na bastyonie Marsa zwanym. Przy odmianach, jakim cały ogród ulegał, uszkodzonym i poruszonym był nieraz; aż nareszcie przy zupełném fortyfikacyi zniesieniu, Fryderyk August, w pięćdziesiątą rocznicę wstąpienia swego na tron, przenieść go kazał w miejsce gdzie dziś stoi, i opatrzył stosownemi napisami. Pomnik ten z kamienia, powinienby nosić obudwóch zacnych braci, Maurycego i Augusta imiona. Na przedzie wystawiony wojownik Maurycy w zbroi, gdy wraz z mieczem elektorskim, następstwo w ręce Augusta składa. Za nim widać śmierć z klepsydrą, dla przypo-



mnienia losu tego księżęcia, który jak wiadomo zginął w młodym wieku pod Lünebergiem, r. 1554. Obok Maurycego stoi druga jego małżonka, Agnieszka Heska, w żalobnym owych czasów ubiorze, twarz do połowy zasłaniającym; obok Augusta, ukochana jego żona, dobra Anna. Te wszystkie figury osłania baldachin z kamienia, na czterech słupach oparty z wyobrażeniem Trójcy św. Robota całego pomnika gruba, postawy osób bez wdzięku, ale przecież zdobi i ożywia tę część *promenad*; bo jak słusznie mówi jeden z dzisiejszych pisarzy francuzkich: *les monumens sont des amis*. Drewno nader ubogie w ten rodzaj przyjaciół. Oprócz pomnika Maurycego jest tylko na Nowém mieście *posąg Augusta II* ze spiżu ulany i mocno złocony; nie zaleca się i ten doskonałą pięknnością, lecz wydatny i kosztowny. Król (jak mówią zadziwiającego podobieństwa) ubrany po rzymsku, z buławą w ręku, a mimo tego w peruce, siedzi na podskakującym rumaku. August III wystawił ten pomnik ojcu r. 1736; dziełem jest Ludwika Widemana.

*Gross-Garten*. Wielki ogród. Już wprawdzie za rogatkami, ale tak uczęszczany, jak gdyby leżał wśród miasta, jest ogród królewski, słusznie wielkim nazwany, gdyż nielę niemiecką ma obwodu. Jest to *park* bardzo piękny i starannie utrzymywany, gdzie są drzewa odwieczne i coroczne krzewy i kwiaty; ulice proste i kręte ścieżki; zboża, łąki i sztuczne trawniki; stawy, strumienie i wodotryski, lasy i posągi, pałac wspaniały i domki małe: słowem jest to miejsce gdzie można według upodobania słyszeć koncert uczony, albo dzikich ptasząt śpiewy; znaleźć się w tłumie ludzi, widzieć, być widzialnym, lub dumać samotnie w głębokiej ciszy. Może dla téj samėj rozmaitości *Gross-Garten* jest przechadzką tak uczęszczaną, gustom każdego dogodzić mogącą.

Pierwszém przeznaczeniem tego ogrodu była bażan-

tarnia, założona w r. 1678. i od téj pory część wspaniałych drzew jego istnieje. W r. 1720 August II-gi znacznie go rozszerzył, murem wkoło opasał, pałac w guście francuzkim wystawił i półtora tysiącem posągów z alabastru ozdobił. — W czasie siedmioletniej wojny ten ogród ucierpiał wiele, a choć gwar bitew ustał, szkody jego nie ustały; zwycięzca, prawie wszystkie posągi które uszły całe, zabrał, i wywiózł częścią do Potzdamu, częścią do *Sanssouci*. Kilka tylko kamiennych widać dziś, w miejscu dawniej tak bogatém; jeden, Piotra *Balestro* dzieło, wcale jest piękny; wystawia odwieczną prawdę: *Czas unoszący młodość*; winien był jednak artysta na pociechę „nadchodzącą zasługę“ wystawić, bo według starego przysłowia: „czas traci, czas bogaci“ i jeżeli jedną ręką zabiera, drugą wynagradzać umie. Nie bój się więc wieku, Helenko, lubo dziś zapewne najstraszniejszym wrogiem ci się wydaje; mają i lata korzyści swoje; a między innemi tę wielką: że wyprobawwszy przywiązanie osób ukochanych, już nam o niém wątpić nie pozwalają... W 1818 r. *Gross-Garten* przedstawił powtórnie obraz zniszczenia; zwłaszcza w d. 25 Sierpnia, kiedy obwarowani w nim Prusacy, opór Francuzom stawiali. Dziś, dzięki staraniom dobroczynnego rządu, dobroczynniejszój jeszcze natury, bynajmniej tych szkód nie znać.

W salach pałacu odbywają się corocznie dwie *wystawy*, kwiatów na wiosnę, owoców i jarzyn w jesieni. Towarzystwo przyjaciół ogrodnictwa, przedmiotów dostarcza; każdy jest opatrzony napisem, czyjém staraniem wyhodowany. Zakład ten godzien naśladowania; wzbudza chęć wyścigu w ogrodnikach z powołania i z gustu, zwiększa jeszcze zamiłowanie i znajomość kwiatów, bo wystawa zwłaszcza wiosenna, której loterya na rośliny towarzyszy, wabi mnóstwo ciekawych; a każdy zatrzymuje w pamięci nazwisko nowego kwiatu, który go zajął kształtem, pięknnością

lub wonią. Wreszcie, jakże pożądane są w każdym większym mieście, szlachetne, niekosztowne rozrywki, które zajmując mile czas wytchnieniu i zabawie przeznaczony, spełnienia wielu złego oszczędzić mogą. Kiedy dzieci mają użyteczne zabawki, o psotach nie myślą. — Wszak prawda?

*Antons-Garten.* Ogród ten od imienia panującego króla tak nazwany, dawniejsze jego mieszkanie, na Długiej ulicy w Starém mieście będący, z dość pięknym pałacem, na którego chorągiewce rok 1779 jaśnieje, zaleca się wielością drzew i cieniu; w chwilę największego skwaru, tu chłód pewny. Jest obszerny, dzieli się na trzy części, z których prawa dziczyźnie oddana, lewa owocowym drzewom, a środkowa zupełnie regularna w swoim układzie, dla publiczności do przechadzki zawsze otwarta. Mało kto jednak z tego pozwolenia korzysta.

Największą ozdobą ogrodu, jest opasujący go rów kamienny, i widok wesoły na *Gross-Garten*. Lubo darowany ks. Maksymilianowi, zdaje się jakoby właściciela nie miał: trawniki zaniedbane, pałac pusty. Jakby łatwo jednak było panu jego o mieszkańców, byle pozwolił: iluż jest dziś takich co nie mają dachu i schronienia...

*Ostra Allée.* Długa, prosta, pewno stuletnia ulica z kasztanów, których gałęzie podkrzesywane jakby sklepienie liściowe składają, stanowi jedną z pięknych Drezna przechadzek; prowadzi od ulicy *Wilsdruffer* \*) obok Zwingeru

---

\*) Wychodząc z miasta przez ulicę *Wilsdruffer*, wchodzi się na dość obszerny plac zwany *Wilsdruffer Platz*, na którym na lewo stoi okazały budynek, poczta, a w środku prawie placu wznosi się kolumna z wodotryskami; zwana *studnia Gutschmida*, przez wielu powszechniej zwana *kolumna cholery*, gdyż założyciel jej p. baron Gutschmidt chciał tym pomnikiem dać ciągłe przypomnienie potomności, iż przy pierwszym wybuchu cholery w Europie, Drezno od tej plagi oszczędzone zostało. Rysunki do niej dostarczył Prof. Semper, a podług tych, pomnik ten cały z twardego

i nowych zasadzeń poczynionych koło niego aż do saméj Elby; zdobią je także domy letnie z ogródkami, nie tyle jednak ładne jak na promenadach.

*Orangen-Garten*, — na Ostra-Allée będący, wabi przechodnia mnóstwem i doborem kwiatów zagranicznych; nie duży, miły jest w swoim układzie, bo go oblewa kanał świeżej wody, a cienia wierzby płaczące, z wyspy Ś. Heleny przywiezione. Godne w nim widzenia figowe drzewa, już przeszło trzy wieki mające. Był tu bowiem niegdyś klasztor Szarych braci, i jeden z nich przywiózł te drzewa z Palestyny r. 1539. Hodowane są starannie, co jesień stawiają dla ich osłonięcia wielką szope, którą rozbierają na wiosnę, ażeby słońca i powietrza użyły i przypomniały sobie ciepłą ojczyznę. Te drzewa wzbudzają poszanowanie, ale bardzo niekształtne kiedy obnażone z liścia, przywodzą pamięci postać nosorożców i słoni \*).

*Ogród Księcia Maksymiliana*. Na téj saméj ulicy położony, nic nie ma powabnego, chyba cień, samotność, widok na łąki, Elbę, i Japoński pałac. Otwarty dla publiczności; — co Niedziela w pięknej porze, pałac jego przyjmuje księcia właściciela z synami, z których starszy Fryderyk, Saxonią dziś rządzi pod tytułem *Mit-Regenta* \*\*).

piaskowca, wykonał przesłicznie rzeźbiarz p. Selig. Wysokość téj kolumny, oprócz basenu, jest 28 łokci.

Na prawo placu i naprzeciw poczty, zaczyna się Ostra-Allée.  
P. W.

\*) Ogród ten dawniej z ulicy prawie niewidziany, murem i parkanem obwiedziony, z szopą drewnianą, od roku 1841, otrzymał pyszny budynek, oranżeryą, na owe drzewa figowe i pomarańczowe, które na zimę z Zwingeru tu przenoszone są—jako téż od strony *Ostra-Allée*, odgraniczony został przesłicznymi sztachetami, bardzo stucznie z żelaza odlanemi. Oranżerya ma 200 łokci długości a 32 głębokości.—P. W.

\*\*\*) Dzisiejszy król, Fryderyk August.—P. W.



Dla nich miłym jest zapewne, w nim spędzali chwile pierwszego wieku, tak zawsze swobodne, i tu jeszcze pokazują ich dziecinne ogródki. Słodką pamięć zostawia na zawsze, kawałek ziemi oddany pierwiastkom pracy i doświadczeń naszych. Żadne najkosztowniejsze przysmaki tak wyborne nie wydają się później, jak rzodkiewka, groch, ogórek, za naszym staraniem wyrosłe. Zdaje mi się że jeszcze smak czuję tych, które niegdyś uprawiałam sama; nigdy teraz tak dobrych nie jadam — prawda że ziemia w której wzrastały była ojczysta \*).

*Milch-Garten.* W tych samych stronach, wśród pięknych łąk nad Elbą, poważnemi lipami cienionych, jest folwark królewski *Ostra*, niegdyś przez skrzętną Annę elektorową założony. Od jej czasów hodują tu ciągle piękne krowy; obfitość ich mleka, powodem się stała do założenia obok ogrodu, który wabi wiele osób, zwłaszcza niższej klasy. Ogród sam nie wielki, młody jeszcze, ale mleko wyborne i nie drogie: za dużą szklanicę nie zbieranego, płaci się grosz srebrny. Podobne zakłady są także bardzo pożądane w większych miastach; nie jeden, który tu przyszedłszy niewinnie się zabawi i niekosztownie ochłodzi, potrzebowałby gdzieindziej upić się i kilka złotych wydać. Takich ogrodów i mniejszych, liczba wielka — gdzie muzyka gra, gdzie strzelaniem do tarczy, kręglami i t. p. się bawią, mleko, kawę, piwo piją — chroni lud tutejszy od bałamuctw, hulanek i wydatków, i utrzymuje go w dostatkach

---

\*). Przy końcu Ostra-alei widzieć się daje wspaniały wiadukt, ciągnący się od nowego mostu kolei żelaznej do Czech wiodącej a ciągnącej się od prawego brzegu Elby na Nowém mieście aż do dworca kolei żelaznej Sasko-czeskiej, za miastem, z drugiej strony Drezna będącego. Jeden z łuków tego wiaduktu, tworzy jakby bramę do Friederichstadt prowadzącą, i pod tymże łukiem przechodzi 103 łokcie długi most, zbudowany na rzece *Weisseritz*.

i obyczajności. Przez siedm miesięcy pobytu w Dreźnie, raz tylko zdarzyło mi się widzieć pijanego. Gorzałki zapewne nie wiele w Saksonii wychodzi, ale czyż można w tak niemoralném źródle szukać zarobku? Tu zwraca się smutnie myśl moja ku Słowiańskim krainom; widzę chłopków naszych topiących rozum, zarobek cały, w zabójczym trunku... O! nie dojdzie nigdy lud do stopnia oświaty niemieckich ludów, póki dziedzice i dzierżawcy ziemscy na gorzałce dochody swoje największe zakładać będą. Jak będziesz kiedy wiejską gospodynią, Helenko, niech u ciebie dzieje się inaczej.

*Ogród Markoliniego.* Odległy od najcelniejszej części miasta, prawie na końcu *Friedrichstadt*, smutny jest i mało uczęszczany; godne w nim jednak widzenia jedno z najpiękniejszych dzieł snycerskich, jakiemi Drezno się szczyci. Jest to Neptun z Amfitrytą i wodnym orszakiem swoim, grupa bogata, pięknie ułożona, przeznaczona do ozdoby obfitych wodotrysków. Cały ten ogród był dziełem i własnością hr. Markolini, długo ulubionego ministra Fr. Augusta. Pałac opuszczony sławnym będzie na zawsze: tu Napoleon kilka niespokojnych nocy przepędził, bo tu była jego główna kwatery w r. 1813, kiedy liczne wojska francuzkie obozowały na tak cichych teraz łąkach i błoniach.

Błonia i łąki nad brzegiem Elby, bywają i teraz corocznie bardzo ożywione. Tu się odbywa w Lipcu obchód świetny i starożytny, znany po wszystkich miastach niemieckich pod nazwiskiem *Vogelschüssen*. Był on niegdyś w używaniu i w Krakowie; zwano go *Świętem Kurka* \*), ale w końcu zeszłego wieku zwyczaj ten u nas zaginął. Nie byłem świadkiem tego obchodu w Dreźnie, dla tego nie

---

\*) Obacz opis Krakowa w tomie VI, na karcie 88, wydania wrocławskiego, Wyboru pism Autorki Rozrywek.

opisuję ci go tu, Helenko. Nic na tém jednak nie stracisz, bo widziałam tę uroczystość gdzieindziej, i w miejscu swojem wspomnę o niej.

*Lipowa ulica na Nowém mieście.* Równie jak Ostra-allée i promenady w Starém mieście, tak uczęszczaną jest w Nowém, piękna, szeroka, potrójna, Lipowa ulica, której środek zostawiony piechotnym, a boki jezdnym. Nie ma ona powabu tamtych przechadzek, bo ogródków niema, ale w zamian, ruch ludzi większy, gdyż tą stroną główny wjazd do Drezna i Lipska brama. Zająć może bardzo widok ogromnych bryk naładowanych, raczej do domostw niżli do wozów podobnych, a które przecież bardzo często para tylko koni ciągnie; albo widok inny, jeszcze dla mnie zupełnie nowy, małych wózków lub taczek, psami zaprzężonych. Mimowolna litość brała mnie zawsze nad temi poczciwemi zwierzętami, które, kiedy im już bardzo ciężko było, oglądały się miłosiernie na pana, a pogłaskane od niego, lub łagodném nazwane imieniem, z podwojoną usilnością szły dalej. Innego rodzaju uczucie wzbudzał we mnie widok ludzi zaprzężonych; bo i tego, jak już wspomniałam, napatrzeć się tu można; a nawet tak jest ten zwyczaj upowszechniony, że bogatszych krajowców ani dziwi, ani zasmuca, pracujących nie poniża. Koni tu nie tyle co u nas, utrzymanie drożej kosztuje; bardzo więc naturalnie oszczędnym mieszkańcom się wydaje, zastąpić ich siłę, siłą innych zwierząt lub własną. Mimo całej logiki tego rozumowania, wyznaję, że zwłaszcza na widok zaprzężonych kobiet, oburzało mi się serce; a nieraz widziałam w parze psa i niewiastę, i słyszałam Sasów z zimną krwią i z pewnym przekąsem mówiących, że pies mocniejszy.

Lipowa ulica, raz do roku, wszystkich mieszkańców miasta i okolicznych, wabi; odbywa się w niej jeden z pięciu dorocznych jarmarków Drezna. Napatrzeć się wtedy można pracowitości i uczciwości Sasów. Choć tylko parę dni

trwa jarmark, oni o kilkanaście mil jadą, będą starannie wystawią, tysiąc rzeczy rozpakują, i choć najczęściej mało co przedadzą, spokojnie wszystko napowrót złożą i zabrają. Uczciwość zaś jest taka, że towary rozłożone, zdaje się, jakby wcale pilnowanemi nie były; kupcowe nawet rzeczy do jedzenia, pierników, jabłek i t. p. przykrywały tylko na noc kramiki i odchodziły spokojnie do gospód. Jest coś rozrzewniającego w takiej rzetelności! Kradzież tu tak jest rzadką i ohydłą rzeczą, iż gdy właśnie przy mnie w czasie jednego z jarmarków, żołnierz ukradł ze sklepu parę szelek malowanych; wypatrzony, wzięty zaraz przez policją został, a pospólstwo takimi obelgami go obsypywało, że nieszczęśliwy ze wstydu i rozpaczy gdy go przez most prowadzono, wymknął się straży i rzucił w Elbę. Mimo ratunku spieszego, już tylko trupa wyciągnięto z rzeki \*).

*Palais - Garten.* Tak zowią ogród otaczający z trzech stron Japoński pałac; śliczny jest lubo nie wielki i zasługiwałby na botanicznego nazwę, takie w nim mnóstwo kwiatów, roślin i drzew rzadkich, zwłaszcza iglastych. Niedawno rozszerzony, w śliczném położeniu nad Elbą, godzien być przynajmniej raz w tydzień odwiedzany w czasie pięknej pory, przez mieszkających w Dreźnie. Można śmiało zaręczyć, że nie doznają zawodu: za każdymi odwiedzinami zobaczą coś nowego i pięknego w kwiatach i krzewach; w Maju zaś kiedy bzy kwitną, a w Czerwcu kiedy róże rozwite, warto i częściej przychodzić.

*Linkisches Bad.* To miejsce na Nowém mieście nad Elbą będące, nad zasługę jest uczęszczane i lubione; jest to

---

\*) Szanowna Autorka podczas krótkiego swego pobytu w Saksonii, widać że tylko z najlepszej strony Sasów poznała; gdyby była dłużej pozostała, inneby może przekonanie zabrała ze sobą; bo i tu tak kradzieże jak i morderstwa równie jak gdzieindziej wydarzają się. P. II.



rodzaj Warszawskiej Wiejskiej kawy, gdzie w pewnych dniach zwłaszcza, w szczupłym obrebie, tłumy osób się cisną. Prawda, że tam w lecie nie tylko koncerty bywają, ale i teatr się przenosi. Jednym także z powabów *Linkische Bad* jest sposobność dostania się przyjemnie i tanio, wodą. Pod tarasem Brühla, koło mostu, stoi zawsze kilkanaście statków czyli gondol do najęcia, w które do dwunastu osób wejść może; za przewiezienie na drugi brzeg, grosz srebrny od każdego przewoźnik brać powinien, do *Linkische Bad* drugie tyle. Ten sposób przewożenia się z miejsca na miejsce, tani, wygodny, towarzyski, bardzo ułatwia i uprzyjemnia spacery Drezdeńskie, tém bardziej, że okolica piękna na obudwóch brzegach Elby, miłe widoki przedstawia \*).

Jest jeszcze, w Nowém mieście równie jak w Starém, kilka nie tyle wielkich ile szacownych ogrodów, które dalekim krajom dostarczają drzew, krzewów i nasion; między amatorskimi celuje ogród Kreisiga, z rzadkiego doboru roślin: cudzoziemcy zwiedzają go jako ciekawość, a wielu Polaków wabi do niego znajomość właściciela. Był on nadwornym lekarzem Fryderyka Augusta, i jeździł z nim zawsze do Polski, o której miłą zachował pamięć. Można także policzyć do miejsc przechadzki *Ogród Struvego*, gdzie od 1821 r. jest zakład wód sztucznych, przez niego pierwszego założony, a dziś naśladowany w wielu stolicach. Lubo Drezno otoczone jest zimnemi wodami i cieplicami, przecież ten zakład każdego roku lubowników znajduje. Przyjemnością jego największą są kwiaty i brama, którą

\*) Zaraz za *Linkische Bad*, po drugiej stronie drogi do Budziszyna, zbudowany został w r. 1838, ogromny browar piwa bawarskiego, i budynek ten nazwano *Waldschlösschen* (leśny zameczek). Jest to dziś ulubiony spacer Drezdeńczyków, zkąd prześliczny mają widok na Drezno. W parku, do tego browaru należącym, znajdują się reszty szanica założonej przez Napoleona w r. 1813.

wyjsć można w pole, i tam dopiero użyć czystego powietrza i przechadzki bez przymusu. Ogród Struvego, który więcej jest zakładem użytecznym aniżeli miejscem przechadzki, nasuwa tu pamięci mojej inne jeszcze użyteczniejsze zakłady, które w Dreźnie oglądałam, i o tych ci wspomnę w następującym liście.

### LIST SIÓDMY.

Niektóre zakłady wychowania — i książki elementarne.

Zakłady o których mam ci wspomnieć, Helenko, chociaż wcale nie głośne i w zwykłych opisach Dreznia miejsca nie mające, ważniejsze są rzeczywiście od wszystkich galeryi, gabinetów i zbiorów. Są to *zakłady wychowania*, te domy, gdzie kilku dojrzałych ludzi, mnóstwu niewiadomych dzieci światła udziela, i nowe pokolenie dla ojczyzny kształci, pokolenie od którego los téj ojczyzny wkrótce zależeć będzie. Takowych zakładów w Dreźnie jest dosyć; dla wyższej jednak klasy nie tyle co w innych miastach niemieckich. Dreźnie nie ma uniwersytetu; w Lipskim młodzi Sasowie się kształcą; tu więc mało jest szkół wyższych, i dobrych pensyi płci męskiej; i pomieszkawszy w niem czas jakiś osądziłam, że chcąc dać dokładną instrukcyą wyższego wychowania młodzieńcowi, trudno byłoby znaleźć w tém mieście pomoc dostateczną. Nie zaręczam tego jednak, gdyż nie czyniłam usilnych poszukiwań w tym względzie; trzymałam się mojej sfery, dziewcząt, a więcej jeszcze prostaczków.

Trudno by mi było wyrazić ci w krótkich słowach, ile, i z jak wielu powodów mnie zajmuje, wszystko to, co ku oświacie ubogich dąży. Kosztowny instytut, dzieło głęboko i uczenie napisane, choćby doskonałe były, nigdy tyle mnie nie ucieszą, jak prostej szkółki, dobrego elementarza widok. Dzieci bogatych każdy nauczy, ale ubogie któż oświeci? Atoli im dłużej na świecie żyję, im więcej widzę, tém

mocniej się przekonuję, że do moralności i dobrego bytu ogółu ludzi, jedynym źródłem oświata. Przepisem Boskiej nauki, najlepsze świeckie ustawy, wolność, własność, jakieżże dobrem być mogą dla człowieka, który ich nie rozumie, nie pojmuje, i użyć nie zdoła? Oświata sama jedna zdiera z ludzi tę grubą zwierzęcą zasłonę, pod którą iskra Bóstwa ukryta. Pracowitość, trzeźwość, ochędostwo, uczciwość zabaw, dobry byt powszechny, rzadkie kradzieże, mała liczba żebraków, słowem, ta luba swoboda i równość, które w ludzkie saskim tak miłe przyjaciela ludzkości zajmują, z kądże pochodzą? jedynie z moralności ogólnej. Ta moralność na jakiej podstawie tak pomyślnie się wzbila? na religijnej i praktycznej oświacie. Tę oświatę jakim sposobem uczyniono ogólną? mnóstwem dobrych szkółek i użytecznych zakładów, do których uczęszczają wszystkie dzieci bez wyjątku; gdzie nietylko czytać i pisać, ale *znać Boga i pracować*, uczą, tych dwóch wielkich nauk, które same jedne, człowieka do godności jemu przyzwoitej wnoszą, potrzebom naszym duchowym i cielesnym zadosyć czynią. O! mieli starzy słuszość, w tych dwóch słowach: *Ora et labora!* Módl się i pracuj! które na drzwiach i ścianach pisali, cała doskonałość człowieka zawarta, cała użyteczność jego na ziemi i nieśmiertelność po zgonie. Niemcy, a w szczególności Sasi przyjęli te słowa w serca swoje, i oświatę ogólną na nich oparli. Wszystkie ich szkółki i zakłady dla ludu, ten cel mają: kształcić religijne i pracowite istoty. W Dreźnie jest ich bardzo wiele, czasem kilka na jednej ulicy; bo powtarzam, że wszystkie dzieci bez wyjątku posyłane są do szkoły; za bogatsze rodzice płacą, ubogie darmo uczą, a dla sierot są zakłady, w których zupełne ich utrzymanie zabezpieczone. Tych użytecznych instytucyj już było tu wiele od czasów dobrego Augusta; ale więcej jeszcze ich powstało za staraniem ostatniego króla: wielu nawet obywateli, wiedząc jak go uczcić najlepiej, w dzień owego jubileu-

szu, kiedy 50-tą rocznicę jego panowania obchodzono, założyło kilka podobnie dobroczynnych pomników, i te zapewne lepszym będą w pamięci jego uczczeniem od wszystkich posągów.

Te szkółki i zakłady, a w ogólności *dzieci*, były w Dreznie, jak wszędzie, szczególnym przedmiotem mojej uwagi. Do znajomości ludzi, ani zdolność, ani położenie, ani nawet skłonność nigdy mnie nie wiodła; doświadczeni i ciekawsi mówią, że to trudna a nie wiele pociechy przynosząca nauka, patrzeć zaś i uważać na wiek dziecienny, tak słodkiem jest zatrudnieniem! Zdało mi się, jakoby w Dreznie więcej było dzieci wszelkiego stanu jak u nas, a zwiastując wcześniej, czém będą kiedyś, najmłodsze, odznaczają się już porządkiem, akuratnością, rozsądkiem. Nie zdarzyło mi się widzieć między najuboższymi, roztarganych, brudnych, obdartych, rozpiętych: wszystko, na każdym, od najwyższych do najniższych stanów, gładko, czysto, cało. Bez wątpienia pierwsza w tém zasługa należy się matkom i piastunkom; ale ja znam dzieci, które z rana starannie umyjają, uczeszą, ubiorą, a na których po obiedzie a czasem i wcześniej ani znać tych starań. Nieraz także widywałam dziewczątka od lat ośmiu, przechadzające się po ulicach i ogrodach z pończoszką w rękę, a żadna druta nie szukała ani kłębka za sobą nie wlekła. Nie dostrzegłam także nigdy, aby biegały po zakazanych trawnikach, albo rwały sadzone kwiaty, owoce w publicznych ogrodach, a najczęściej chodzą same, bo tu wcale nie jest w zwyczaju, żeby dzieci miały zawsze nad sobą stróża; nieraz takie, za którym u nas jeszcze piastunka chodzi, idzie samo jedno do szkoły z teczką pod ramieniem, albo z woreczkiem w rękę. Gdzie liczna rodzina, matka najstarszemu oddaje całą w opiekę; nie zapomnę nigdy *jednej* takiej *wczesnej* opiekunki. Kiedy mieszkałam obok *Frauenkirche*, w sąsiedztwie kilku szkółek, widywałam codziennie dziewczynkę, może dziesięcioletnią, która bardzo troskliwie przewodziła dwom młodszym siostrom



i malutkiemu braciszкови. Zajmowała mnie szczególnie, kiedy deszcz padał, z jakim staraniem trzymała nad niemi oponę, żeby nie zmokły, jak pilnie suchszemi ścieszkami przeprowadzała. Zawszem sobie myślała, patrząc na nią: jaka to użyteczna kobieta i dobra matka z niej będzie! Raz pamiętam, mały chłopczyzna upadł, twarz i teczkę zwał; co to było starannego mycia, wycierania i razem pośpiechu, żeby godziny nie chybić; a już ósma biła. Bo akuratność, która jak mówią jest zdawna w charakterze niemieckim, wnetby jednak w zapomnienie poszła, gdyby ją w dzieci nie wpajano. Panuje ona tak w domach jak w szkołach, i nie daremnie jest mnóstwo bijących zegarów po niemieckich miastach; wszystko w nich jak w zegarze idzie, i każdy od młodu téj mowy czasu, słucha.

Z zakładów które zwiedziłam opiszę ci *Dom sierot*, *Szkolę dla biednych dzieci*, *Instytut ślepych*, *Zakład królowej Józefy* i inne jeszcze; zakończę ten opis rzutem oka na książki elementarne, powszechnie używane, gdyż książki są głównym filarem wszelkiej edukacji.

*Dom sierot* (Waisenhaus,) któremu podobnych jest kilka w Dreznie, dowodzi równie jak wszystkie zakłady jakie zwiedziłam, że Niemcy są narodem rzetelnym, oszczędnym. Żadnej w nim wystawy, żadnej przesady, żadnych szumnych napisów, ani cienia zbytku: ściany białe, podłogi myte, służących wcale. Jedna dozorczyńni do dziewcząt i druga kobieta która jęj w rządzie domu pomaga; jeden dozorca do chłopców, jeden nauczyciel przychodni i ksiądz, cały skład urzędników stanowią. Jest zawsze jednak do sta sierot: połowa chłopców, połowa dziewcząt. Przyjmowane są w 6-tym roku, zostają do lat 15-stu lub 16-stu. Dziewczęta wychodzą na kucharki, pokojówki, piastunki, praczki; chłopcy także do służby albo na rzemieślników, i do tego pracowitego przeznaczenia ciągle są wprawiani. Całą służbę domową załatwiają sieroty, po części dziewczyny. Ko-

leją dwie z starszych jest codzien w kuchni, cztery w pralni; koleją zamiatają i czyszczą izby, korytarze, dziedzińce; kopią, sadzą, pielą, zbierają w ogrodzie: do téj roboty pomagają im chłopcy. W porze i godzinach do tego przyzwoitych, dziewczęta pończochy robią, szyją, a wszyscy razem przędą. To zupełne obchodzenie się bez służących, niezmiernie mi się podobało; zapewnia pokój domowy i zdrowie dzieci, oszczędza wydatków, i układa te sieroty do istotnego i użytecznego życia. Wprawiane do wszystkich robót gospodarskich i domowych, dziewczęta rosną swobodnie, wyglądają czerstwo, i później bardzo łatwo służbę albo męża znajdują. Daleko to lepiej, niżli tam, gdzie siedzą od rana do nocy jak przykute nad haftem lub szyciem; a po kilkunastu leciech kiedy przyjdzie iść w świat jeżeli zdrowia albo wzroku nie utraciły, nieчем inném być nie mogą, tylko haftarką lub szwaczką; służby, kuchni, prania, gospodarstwa ani wyobrażenia nie mają. A jakże to mało dziś domów, gdzieby osobne haftarki lub szwaczki trzymano? i co przyjdzie wyrobnikowi z takiéj żony, która nic nie zna i nie umie prócz atłasków, stębnówek i kratek. Przejorni, rzetelni i godni naśladowania Niemcy, w każdéj rzeczy istotne nie zaś zbytkowe potrzeby mają na celu; nie rachują na panów których codzien mniej, ale na lud który nigdy nie zaginie.

Te domy dobroczynne utrzymywane są kosztem miasta. każda sierota kosztuje mniej więcej trzysta złotych polskich rocznie, i tyle płaci osoba, która tam chce umieścić dziecię ubogie. Sieroty odziane bardzo porządnie w płócienka w lecie, w sukno w zimie, w czapeczkach gładkich na głowie, zawsze obute: wstają o szóstéj, myją się, czeszą i ubierają. O wpół do siódméj, dziewczęta i chłopcy przychodzą do wielkiej jadalnéj izby, odmawiają razem poranne modlitwy i jedzą śniadanie, *wasserzupkę* albo kaszę rzadką, na przemiany. Po śniadaniu, każde do dziesiątéj spełnia przypadającą na niego domową robotę; małe dzieci

które do niej użyte być nie mogą, pończochę robią albo przędą, O dziesiątej dostają po kawałku chleba, zjadłszy, idą do izby naukowej. Tam do południa uczą się religii, czytać, pisać, rachować, a dwa razy w tydzień śpiewu. Po nauce, obiad, poprzedzony wspólną modlitwą; dwie potrawy im dają, jarzyny, kasze, kluski, dwa razy w tydzień mięso; po obiedzie zostawiona im jest godzina wolna; potem do piątej, robota stosowna do pory i potrzeb domowych; o piątej podwieczorek, chleb z masłem albo z owocami; po podwieczorku, przechadzka lub zatrudnienie jakie łatwiejsze w ogrodzie; o ósmej wieczerza, o jednej gotowanej potrawie, rozrywka, modlitwy wieczorne: o dziewiątej w zimie, a dziesiątej w lecie, wszystko śpi.

W zabudowaniu domowym są dwie łazienki: jedna dla dziewcząt, druga dla chłopców. W statkach kuchennych przejrzeć się można, tak czyste. — Ogród mają spory ale nie paradny, tylko użyteczny: kawałek ziemi nie ma próżnego, prócz kilku ścieżek. Kaplica jest przy domu, i ten sam ksiądz który dzieci uczy religii, co niedziela miewa w niej stosowne kazania. Z przedaży różnych robót, najwięcej w wieczorach zimowych spełnianych, wreszcie z darów osób dobroczynnych, tworzy się kassa oszczędności; z téj, wychodzącym sierotom, po 20 tal. dają na zapomogę. A tak dobry uczynek staje się zupełny; i już jedynie własną jest winą wychowanka, jeżeli nie wyjdzie na uczciwego człowieka: rzadko się też to trafia, i słyszałam od osób które miały służących z tych domów, że bardzo dobre wychodzą z nich subjekta.

*Szkola dla biednych dzieci.* Zakład zupełnie podobny do tamtego, z tą różnicą, że dogadzając ogólniejszym potrzebom, przychodnich uczniów ma daleko więcej niżeli mieszkających; a mniej kosztując, większej liczbie dzieci wychowania używa. Kiedym była w téj szkole 2 Lipca 1832 r., było mieszkających dzieci tylko 26, a przychodnich

200. Są to synowie i córki rodziców, którzy płacić za ich naukę nie mogą, ani nawet żywić ich i pilnować, ale którzy przynajmniej na odzież i nocleg się zdobędą. Matka idąca na robotę, tu raniutko odprowadzi dziecię i już jest spokojną o nie do 9-tój w wieczór; dozoru, nauki, jedzenia, darmo mu udziela. Tę szkołę urządził pastor *Kell*, w pierwszej połowie panowania Fryderyka Augusta, pod opieką kanclerza Redlera. Utrzymuje się z procentu od pierwiastkowych zapisów, ze składek, jałmużn i robót. Jest druga podobna ale nierównie większa, założona dopiero w r. 1831, pod nazwą *Armen-Freischule*; ta ma iść bardzo dobrze, i jest w gmachu umyślnie na ten cel zbudowanym.

*Institut ślepych.* Założył go w r. 1818, cnotliwy Fryderyk August, dla dzieci ubogich i ociemniałych. Celem tego zakładu jest przywrócić wzrok tym, którzy jeszcze są do wyleczenia, a nieuleczonym, świat uczynić znośnym, i ich znośnemi dla świata. Uczą ich więc robót rozmaitych: chłopców stolarki, a dziewczęta jakich tylko można robótek. Co do nauk, udzielane im są najwięcej opowiadaniem. Mają oni abecadła, liczby, mapy wypukłe; ale jak słusznie mówił nam dyrektor, te przedmioty uważane raczej być powinny jako środek zabawki dla ślepych, niżeli nauki. „My tu zawsze myślimy — mówił jeszcze — o dalszém życiu tych nieszczęśliwych; gdy do ubogiego domu rodzicielskiego powrócą, zkad wezmą takich książek? Lepiej więc otwierać ich umysł opowiadaniem, wprawiać ich pamięć i wymowę, słowem, postawić ich w stanie, ażeby czytających rozumieli, co usłyszą spamiętali, i myśli własne dobrze tłómaczyli; a przedewszystkiem należy zająć ich, żeby czynnemi i użytecznemi być mogli.“ Byłam świadkiem jednej nauki: tak się odbyła. Nauczyciel i uczniowie zasiedli jak pospolicie bywa około stołu; każdemu dano ręczne zatrudnienie, dziewczynkom pończochę, chłopcom groch do wyłuskiwania; inaczejby nie uważali, nie mogąc patrzeć na



nauczyciela — czém widzące dzieci skupiają swoją uwagę — myśli ich bez rąk zajęcia bujałyby na wszystkie strony. Nauczyciel czytał im zwolna rozdział z książki elementarnej, wykladał co mu się trudniwszém zdawało, a potém rozmawiał z niemi; jeden musiał opowiedzieć treść rozdziału, drugi odgadnąć zadane pytanie, i t. p.; zdawało się że tak dobrze rzecz pojęli, jak gdyby ją sami czytali. Muzyka, ta dobroczynna ślepych ucieczka, i do której zwykle zdatność mają, w instytucie Drezdeńskim stanowi także znaczną część nauki i zajęcia tych upośledzonych dzieci. Wiele z nich gra na różnych instrumentach, niektóre wcale dobrze a prawie wszystkie śpiewają; i wielkie zrobił na mnie wrażenie psalm, który nam czystemi i zgodnemi głosy odśpiewały. Dom gdzie jest ten instytut wcale niepozorny, i nie tak czysto utrzymany jak inne, może dla tego, że do porządku wychowanki przyczyniać się nie mogą. Ogród swój mają. Kiedym tam była, liczono 54-ro dzieci ślepych — kilku tylko obiecywano wyleczenie.

*Zakład królowej Józefy* (Josephinen-Stift). Pamiętasz zapewne Helenko, coś czytała o królowej Maryi Józefie żonie Augusta III, jak była dobrą i miłosierną i jak gorliwą katoliczką. Dowód tych przymiotów jeszcze trwa dotąd. Nad ludem reformowanym panując, chciała małej liczbie tych którzy rzymskiego wyznania byli, podać sposobność wychowywania w niém córek; umyśliła więc uczynić zakład edukacyjny dla samych ubogich katoliczek; zebrała jakie tylko mogła pieniądze, poprzedawała własne klejnoty, a zgromadziwszy 120,000 talarów, zajęła się wystawieniem stosownego domu i zabezpieczeniem mu trwałego bytu. Ukończony i otwarty został ten zakład 1756 roku; tak urządzenie jego jak dozór nad nim, najmilszém były dla Maryi Józefy zatrudnieniem, najśłodszą w jój zmartwieniach pociechą.

Ale właśnie przed jój śmiercią okazało się, że uszczu-

plone na budowę fundusze, nie wystarczały na utrzymanie. Starszemu synowi Fryderykowi poleciła królowa umierając zarządzenie temu niedostatkowi: dopełniając jej woli, zrobił sam wyrachowanie, i z własnego majątku powiększył o tyle zapisową summę, o ile było koniecznie potrzeba. Dzięki tym staraniom, do dziś dnia utrzymuje się ten zakład pomysłnie, w pierwotnym kształcie swoim, piątym procentem od zapisanego kapitału. Główny zarząd i dochody są w ręku biskupa katolickiego; miesięczną kassą i bliższym dozorem trudni się dyrektor zakładu, który w domu jego mieszka i jest oraz gospodarzem. W zakładzie tym przyjmowane są jedynie katoliczki; 60 jest w nim dziewcząt miejskiego stanu, które od ośmiu do szesnastu lat, najpotrzebniejszą naukę i utrzymanie w nim dostają. Uczą je religii, czytać, pisać, rachować i robót różnych. Z kolei tygodniami cztery jest w kuchni, cztery w pralni, cztery zajętych porządkiem izb i korytarzy, ale do grubszych robót są służące. Cały zakład wydał mi się na znacznie wyższej stopie niżli poprzednie; budowy z umysłu stawiane i wcale okazałe, ogród piękniejszy, jadlo lepsze; wyjąwszy dni postne, codzień dostają mięso: łóżka wszystkie żelazne i bardzo czyste. Cztery jest kobiet do doglądania i nauki dziewcząt i dwóch nauczycieli, z których jeden ksiądz. Kościółek mają ładny i obrazów wybór bardzo stosowny dla dzieci. W wielkim ołtarzu jest dwunastoletni Chrystus, pędzla Dietricha, kiedy dziwi doktorów prawa nauką swoją; w dwóch bocznych: ś. Anna ucząca czytać córkę Maryą i Dziecię Jezus na rękach Matki.

Do tego zakładu królowej Maryi Józefy, w r. 1766 przyłączony został dodatkowy, nakładem i staraniem baronowej *Burkersrode* dla szlachecianek. W tym są udzielane wyższe cokolwiek nauki i wygody jeszcze większe, dwunastu ubogim paniom katolickiego wyznania i szlacheckiego rodu. Między temi, w chwili kiedy ten dom zwiedzała,

były trzy polskiego nazwiska: Smolińska, Kochtycka i Czarnowska; lecz żadna z nich ani słowa nie umie po polsku; a gdym jedną rodaczką moją nazwała, wyrzekła z zadziwieniem: *O nein! ich bin keine Polin!*—Bardzo mi były przykre te wyrazy, chociaż zastanowiwszy się, trudno mieć je za złe tym biédnym dziewczętom. Są to prawnuczki, może i dalsze krewne dworskich Polaków, których Augustowie z sobą do Drezna przywieźli, którzy osiedli tu, poženili się z Niemkami, a ich potomkowie zupełnie w krajowców się przeistoczyli, choć im polskie imie zostało. — Oba te zakłady są pod opieką panującej rodziny: król mianuje sam członków dozoru i obsadza miejsca; lecz księżne i księżniczki dzisiejsze, dalekie od przykładu Maryi Józefy, nie zajmują się niemi bynajmniej: raz tylko do roku, w Wielki Piątek, na pamiątkę dawnego zwyczaju, przyjeżdża tu w wielkiej paradzie dwór cały, i odbywają się ceremonialne domu odwiedziny i przedstawienie wychowanek. Może boją się większą troskliwością pobudzić i tak już niechętnych temu instytutowi Drezdeńczyków; bo w ogólności, reformowane wyznania nie mają dla katolików téj tolerancyi, której żądają dla siebie, i rodzina panująca Saska ma z tego względu nie jedną przykreść do zniesienia.

Nie wiem dobrze na jakiej podstawie, ale zwiedzając *Josephinenstift*, ciągle byłam pewną że znajdę w której sali portret Franciszki z Krasieńskich królewiczowej, i dopytywałam się o niego; tymczasem nie ma go, i zdaje się jakby wcale tu o niej nie słyszano. Już to prawdę mówiąc, w całym Dreźnie dopatrzeć nie mogłam żadnej po niej pamiątki, żadnego śladu jej kilkonastoletniego w Saxonii mieszkania. Pokazywano mi tylko dom wcale nie wspaniały, gdzie z mężem czasami przebywała i gdzie umarła. Grób jej jest w Elsterwerdzie, o kilka mil od Drezna, bo jak za życia, tak po śmierci, etykieta rodziny saskiej nie dozwoliła przypuszczenia szlachcianki polskiej do

swego książęcego grona. Króléwicz Karol, równie jak dawniejsze poniżenia, tak i to ostatnie starał się wynagrodzić żonie, szczerém choć późném przywiązaniem. Wkrótce po niéj umierając, kazał złożyć zwłoki swoje obok jéj trumny, gardząc raz jeszcze dla miłości, dumnymi przesądami. A tak w miejscu marzonych długo wielkości, szczęście i względy jakich doznała Franciszka Krasińska, winną była jedynie domowym, dostępnym dla wszystkich stanów uczuciom. O! nie ma poco kobiécie sięgać po zaszczyty i dostatki; zimna to i zawodna płaca, która cięży na niewieściém sercu, napełnić i zaspokoić go nie zdoła. Trzymaj się drogi twojéj, Helenko; nie patrz zbyt wysoko; jeżeli chcesz być szczęśliwą...

Do tego utrzymania młodéj panienki na właściwéj jéj drodze, a przeto do zabezpieczenia jéj szczęścia na całe życie, najwięcej dopomaga zamiłowanie robót ręcznych i zachodów gospodarskich, i wprawa do nich od lat najmłodszych. Tych prawdziwych skarbów kobiety, jak nabywać, od Niemców uczyć się trzeba; i należałoby raz wprowadzić ogólnie i na dobre ich metodę do edukacyi dziewcząt u nas. Wiém, kochana Helenko, że lubo jednéj z najlepszych Polek córka, chowana jesteś od dzieciństwa na sposób niemiecki; wspominam jednak o tém pisząc do ciebie, choćby dla tego, abyś umiała być wdzięczną matce twojéj. Wierzaj memu doświadczeniu: nie dosyć mieć przekonanie, że to rzecz wyborna trudnić się gospodarstwem i lubić robotę, trzeba jeszcze koniecznie umieć z gruntu gotować, pracć, myć, zamiatać, szyć, krajać i t. p., a tego wszystkiego nigdy w późniejszym wieku dobrze się nie nauczymy, jeżeliśmy tego nie robiły rzeczywiście z dzieciństwa. Niemki wszystkie są tak chowane, jak ty nią byłaś i zapewne jesteś; od najmłodszego wieku prawdziwie pracują około porządku domowego, gospodarstwa i kuchni; ich zatrudnienia nie kończą się na pończoszce, szyciu i hafcie, ale ścierają, myją, zamiatają,



piorą, prasują, pieką, gotują, na targ chodzą. Ponieważ w domu trudnoby dokładnie sztuki kucharskiej nabyć, są po miastach zupełnie *Szkoły gotowania*, i uczęszczać do nich tak należy do edukacji starownej, jak u nas umieć grać na fortepianie. W Dreźnie, naprzykład, jeden z najlepszych restauratorów ma takowy zakład. Bogatych domów córki, baronówny, hrabianki, przychodzą tam parę razy w tydzień na kilka godzin, a świadome już od matek pierwszych zasad gotowania, tam za parę talarów na miesiąc, uczą się lepszych, wyszukanych, modnych przypraw i zastaw, a nadewszystko sztuki znania się na tém, co dobre w mięsiwie, drobiu, zwierzynie, rybach, jarzynach, owocach. Nieraz nakazany przez wielkiego pana obiad, zakupiony, przyrządzony i wydany bywa przez te amatorki-kucharki.

Jedna z rodaczek naszych, dobrze mi znajoma, którą majetni rodzice na dokończenie edukacji do Dreznia przywieźli, uczęszczała do téj szkoły i mówiła mi, że to jedna z jej najmilszych lekcyj. Bo uważ, Helenko, iż do każdego obiadu jest kilka uczennic: w prostym ubiorze, przy białych fartuszkach, pod dozorem biegłego kuchmistrza, krzątają się na wyścigi, przyrządzają przysmaczki, których i kosztować trzeba; nie obchodzi się więc nigdy bez wesołości, śmiechów i uciechy; ale mówiła mi także, iż wróciwszy do siebie z takiej lekcji, prawie jak po balu zmęczoną się czuje; gdyż u Niemców nic się nie robi dla fanfaronady i napół: te panienki więc nie żartem pracować muszą, zupełnie jak kucharki. Jestto jedyny sposób umienia prawdziwie. Kuchni, jak cnoty, trudno nauczyć się z opowiadania, z patrzenia, z książek: trzeba praktyki.

Ale jeszcze mam ci wspomnieć o książkach elementarnych, powszechnie używanych w Dreźnie. Powtarzam, com już powiedziała: książki są głównym filarem wszelkiej edukacji; lecz większego jeszcze nabywają znaczenia w edukacji ubogich, i niezmiernie troskliwym być należy w ich

układzie i doborze. Dla bogatych znajdziesz ich tysiącami, w różnych językach: ubogi zaledwie kilka mieć i przeczytać może. Jakże przeto ważną jest rzeczą, aby dobre tylko, użyteczne i stosowne do rąk dawane mu były. Sasi o tych prawdach przekonani, według nich postępują; książki ich elementarne są wzorowe i w małej liczbie. Najprzód, pierwsze miejsce trzyma *Biblia*, drugie *Katechizm* krótki i prosty; nareszcie idzie parę książek świeckich, które stylem łatwym a logicznym, o rzeczach najpotrzebniejszych dają rzetelne wyobrażenie. Z tych jedna szczególniej jest zupełnie powszechna: każde dziecko w Dreźnie prawie na pamięć ją umie.

Ta książka, która już kilkunastu wydań się doczekała, tę jeszcze ma zaletę, że podobnie jak Biblia znana jest dokładnie rodzicom, i często w pomoc do ich napomnień skutecznie bywa używaną. Ja sama z podobnego zdarzenia pićrwszy raz ją poznałam. Raz synek poczciwego krawca, w którego domu mieszkałam, przez nieposłuszeństwo wyrządził sam sobie znaczną szkodę; weszłam właśnie do izby w chwili, kiedy połajanie od ojca odbierał. „Takżeto korzystasz ze szkoły, mówił, a coto stoi w książce w rozdziale 19-ym w wierszu 5-ym? Powiedz zaraz chłopczel!“ Chłopiec napół z płaczem wyrzekł te słowa: „*Ich bin klug, wenn ich dem Rathe meiner Aeltern und Lehrer folge; aber unbesonnen und dumm, wenn ich ihnen nicht folge; denn ich thue mir damit selbst Schaden.*“ (Jestem rozsądny, kiedy za radą moich rodziców i nauczycieli idę; ale nierozważny i głupi, kiedy za niemi nie idę: bo czynię sobie tém sam szkodę). „Wydałeś własny wyrok, powiedział jeszcze ojciec, poprawże się; gdyż będziemy wszyscy wiedzieli jak cię nazywać mamy.“

Tu chłopiec przeprosił rodziców, obiecał poprawę, i wszystko skończyło się dobrze bez bicia i większego łajania; a ojciec biorąc ze stołu leżącą książkę, rzekł do mnie: „To moja największa dobrodzika; więcćj mi pomaga do pro-

wadzenia dzieci niż najtęższa różga. Niech Bóg błogosławi temu co ją napisał! Na taką pochwałę (której równie mojem zdaniem, żadna akademія nie wydała), z pewną czcią wzięłam rzeczoną książkę i następujący zobaczyłam tytuł: „*Erste Nahrung für den gesunden Menschenverstand, von Karl Thieme*“ \*). Kupiłam ją sobie tego samego dnia, i powiedziano mi, że jest wziętą we wszystkich zakładach dla ludu w Dreźnie. W szczupłym obrębie i przy zupełnej prostocie, zawiera więcej dokładnych technicznych i moralnych wiadomości, niżli czasem kilku-tomowe i głębokie dzieło. Pisana jest różnym sposobem: są rozumowania osobiste, opowiadania, rozmowy, zdania. Ale najlepsze dam ci o niej wyobrażenie, tłómacząc parę wyjątków—może zachęcą którego z braci twoich do przelania jej na język ojczysty z zastosowaniem do naszego ludu. My takich dzieł szczególnie potrzebujemy; u nas choć dziecię ubogie nauczy się czytać, nie wiele z tego korzysta, bo prawie nic do czytania nie ma.

I. *O Bogu*. Niedawno, wszedłem do izby i zastałem w niej ustawiony zegar, któregom pierwój nie widział. Spytałem się zaraz: kto przyniósł i ustawił ten zegar? W pierwszych dniach wiosny, przyszedłem do ogrodu, gdzie przeszłego roku sama trawa rosła. Teraz ujrzałem mnóstwo drzew stojących w rzędy. Pierwsze moje pytanie było: kto zasadził te drzewa? sam zegar nie przyszedł do izby; same z siebie drzewa tak w rzędy nie urosły. Skoro jest co zrobionego, pewno był ktoś, co to zrobił? skutek każdy musiał mieć przyczynę. Przeto pytam śmiało, kto ustawił zegar? kto drzewa zasadził? Podobnie, kiedy widzę słońce i księżyc i gwiazdy i ziemię, i te wszystkie rzeczy co są na ziemi, a których ludzie zrobić nie mogli; pytam się także: kto słoń-

\*) Pierwszy pokarm dla zdrowego umysłu ludzkiego, przez Karola Thieme, tom jeden.

ce, gwiazdy i ziemię, zrobił? Same z siebie stać się nie mogły. Nauczyciel odpowiada mi: „Te wszystkie rzeczy zrobił jeden: zowiemy Go Bóg.“

Człowiek bardzo silny, może więcéj dokazać od tego, który mniej ma siły. Kilku ludzi silnych więcéj dokazą razem, niż jeden. Ale gdyby wszyscy ludzie się zebrali i chcieli zrobić słońce, gwiazdę, albo kulę ziemską: nie potrafiliby. Bóg wiele słońc i wiele gwiazd uczynił; z tego poznaję, że Bóg więcéj może niż wszyscy ludzie; że jest *wszehmocny*.

Ojciec mój pozwala mi w swoim domu mieszkać, daje mi codzién jeść i pić, sprawia mi suknie i wiele innych udziela rzeczy, które mnie cieszą. Ja téż zowią ojca dobrym, i myślę, że on mnie kocha. Ludzie mieszkają na ziemi, która przez Boga się stała. Na téj ziemi rośnie wszystko czego ludzie potrzebują. Mają z niéj jeść i pić, mają takie rzeczy, z których sobie suknie robią, domy budują, sprzęty sposobią. Mogą żyć szczęśliwi, bo codzién Bóg im dostarcza takich rzeczy, które ich cieszą. Z tego wszystkiego poznaję, że Bóg jest dobry, że ludzi kocha, i że wszyscy zwać Go powinniśmy: *Ojciec nasz!*

Kiedym zrobił co takiego, com zrobić nie był powinien, nie jestem kontent z siebie: mam złe sumienie; ale kiedym zrobił com był powinien, wtenczas jestem szczęśliwy: mam dobre sumienie. Że tak ze mną się dzieje, pochodzi to od Boga, który mnie tak stworzył. Wnoszę ztąd, że Bóg chce, a jam powinien wszystko to robić co dobre jest, a co złe jest, tego nie czynić nigdy. Kiedy zaś Bóg dobrego chce, a złego nie lubi, musi być *Święty*.

A ponieważ tego Boga, żaden człowiek nie widział, wierzymy, że Go widziéć nie można, że jest duchem, i zowiemy Go *niewidzialnym*.

II. *O pilności*. 1. Mam wyrość na cnotliwego człowieka, przeto powinienem się starać, ażeby codzién we wszyst-



kiem być lepszym. Kto nie chce być coraz lepszym, ten coraz gorszym się staje.

2. Powiniennem być baczny na wszystko co widzę, co słyszę i czego doznaję, i starać się aby coraz więcej poznać rzeczy, coraz być rozumniejszym.

3. Kiedy czego nie wiem, albo nie rozumiem, powiniennem pytać się rozumniejszych, i czynić według ich objaśnienia.

4. Kiedy nauczę się czego dobrego, powiniennem stosownie czynić, bo tym sposobem naukę prawdziwie w korzyść obracam.

5. Nigdy nie będę się wałęsał albo siedział z założonymi rękami. Kto nic nie robi, zowią go próżniakiem: bezecne imie!

6. Kiedy nie mam roboty, wolę się bawić; ale będę się starał ze wszystkich sił, abym jak najprędzej umiał robić co użytecznego, abym mógł *pracować*.

7. Choć mi robota jaka przykrą się wyda, nie porzucę jej, bo tym jedynie sposobem nauczę się *pracować*.

8. Będę rad się uczył przyczyn wszystkich rzeczy, bo nie chcę być zawsze nieukiem, który nic nie umie i zawsze o wszystko się pyta.

9. Co sam zrobić mogę, do tego innych o pomoc prosić nie będę; dosyć, wzywać drugich do tego, czego sam dopełnić nie zdołam.

10. Koniecznie jest potrzebném, abym wiedział każdego dnia, każdój godziny, com czynić powinien. Kto powinności swoich nie zna, ten ich dopełnić nie może. Będę teraz i zawsze zastanawiał się nad powinnościami memi.

11. Będę się starał przestawać zawsze z takimi, od których czego dobrego nauczyć się mogę; od złego towarzystwa będę uciekał, bo z jakim kto przestaje, takim się sam staje.

12. Daleko lepiej ażebym unikał błędów, jak żebym

się tłumaczył i wymawiał gdy już spełnione: lepiej nic nie zepsuć, jak potem zepsute naprawiać.

Wszak prawda, Helenko, że cała książka w tym sposobie napisana, musi być użyteczna i przyjemna. Widziałam prócz niej kilka innych w szkołach i zakładach drezdeńskich, które także bardzo są dobre, jako to: *Książka do czytania* przez P. Otto, *Przypowieści* Krummachera, *Przyjaciel szkół dla ludu* przez Hempla; i co mię zdziwiło, właśnie w jednym tygodniu zwiedzając kilka zakładów, w każdym zastawałam inne z tych dzieł w rękach dzieci, a przecież wiedziałam, że wszystkie umieć muszą niemal na pamięć. Oświecił mnie w tém, jeden z nauczycieli. Fundusze tych zakładów są szczupłe, żaden mieć nie może wszystkich książek potrzebnych; każdy zatem ma jedno dzieło, ale już tyle egzemplarzy ile uczniów: kiedy dzieci dobrze je zrozumieją i nauczą się z niego co potrzeba, pożyczają wszystkie swoje egzemplarze drugiej szkole, która im w zamian, innego dzieła jakie jest jój własnością, używa: tym sposobem dzieci ubogie poznają bez wielkiego kosztu kilka dzieł użytecznych. Ale pojdziesz łatwo, Helenko, jakiegoto porządku i uwagi ze strony dzieci ten zwyczaj wymaga! Widziałam sama książki, które drugą kolój czterech szkół obchodziły, i jeszcze były całe i czyste.

Pamiętając jak wyglądają zwykle po krótkim czasie, dzieła dzieciom do nauki oddawane, pytałam się jeszcze nauczyciela: jakim cudem się to dzieje? „Uczniowie nie bawią się nigdy książkami, odpowiedział mi z zimną krwią, nie piszą na nich ani rysują, mają zawsze ręce czysto wymyte, a po nauce składają książki do szafy—to cud cały.“ Uznałam sama, że to wszystko działo się bardzo naturalnym i łatwym sposobem, i radabym żeby dzieciom polskim, ten sposób przechowania naukowych książek, równie łatwym i naturalnym się wydał. Wszak nie obrazisz się, Helenko, tém mojem życzeniem: ja nie przymawiam nikomu.

## LIST ÓSMY.

Słów kilka o towarzystwie, zabawach, kobietach, służących, i innych domowych i gospodarskich szczegółach.

W poprzednich listach, wspomniałam ci kochana Helenko, prawie o wszystkiém co w Dreźnie przybywającego cudzoziemca uderzyć i zająć może; winnam jeszcze udzielić ci niektórych szczegółów, że tak powiem wewnętrznych, domowych i gospodarskich, o towarzystwie, o zabawach, o kobietach, o służących, o sposobie życia, wygodach i przyjemnościach, jakich to miasto dostarczyć może. Kilku z tych szczegółów dotknęłam już z lekka, i nie będę dziś w stanie zgłębienia ich dużo więcej. Wiesz dobrze, iż nie przyjechałam bynajmniej z ciekawości do Dreznia; żyłam zatem jedynie w śród swoich, nie zawiązywałam znajomości z krajowcami, nie byłam uczestniczką ich świąt i balów. To wszystko więc co ci powiem w téj mierze, będzie bardzo ogólne i krótkie.

Towarzystwo i zabawy w Dreźnie, o ile dostrzedz mogłam, znacznie się różnią od Warszawy i innych miast naszych. U nas, ledwieby powiedzieć można, że co do tych dwóch przedmiotów, ludność cała na dwie części się dzieli: wysoką i niską: średniej prawie niéma. Co do zabaw np.: u oświeconej, są kosztowne i niemal jednakie; jeden je wprowadzi, reszta naśladuje; druga zaś połowa bawi się trunkami prawie bez różnicy, a stopniowań między salonem i szynkownią nie wieleby upatrzeć się udało. Tu przeciwnie, może w salonach nie ma tyle elegancyi, tak kosztownych strojów, tak dowcipnych rozmów, tak sutych częstowań, tak zgrabnych ukłonów i tańców, co u nas; niéma nawet tyle salonów, bo mało się bawią w prywatnych domach: ależ za to, ile stopniowań nim do szynkowni się dojdzie. Tu w największém są używaniu tak zwane *Gesellschaft*, po naszymu

*resursy*; są to jak wiesz, towarzystwa, których członkowie ulegający pewnym ustawom, dają umówione składki, w celu ułatwienia sobie uczciwych zabaw i opłacenia stosownego miejsca do ich używania i schodzenia się. Takich towarzystw w Dreźnie jest bardzo wiele; nie tylko klasa każda, ale każde rzemiosło ma sobie właściwe; nie tylko jest szlacheckie, kupieckie, artystów, ale krawcy, szewcy, piekarze, rzeźnicy i t. p. mają swoje. We wszystkich, wieczorem członkowie się schodzą, i stosownie do oświaty i gustów swoich, ale zawsze uczciwie i niekosztownie się bawią. W bogatszych, są zwierciadlane sale, kobierce, polerowane posadzki, bufety dobrze opatrzone, stroje modne: w uboższych, izby czyste, podłogi wymyte, ubiór chędogi; wszędzie gazety, muzyka, kawa i piwo: nigdzie gier niebezpiecznych, pijaństwa, kłótni. Poczciwy krawiec o którym ci już wspomniałam, codzień wiernie chodził do *swojej resursy* na gazetę lipską \*), szklanicę piwa, tytuniu parę fajek, i kilka robrów wista; a w tej zabawie z której regularnie o dziesiątej, zupełnie trzeźwy, ze stratą lub zyskiem kilku szelągów powracał, znajdował nagrodę całego dnia pracy.

*Szlachecka* resursa, tak piękne miewa koncerty i bale, że równają się dworskim i największym panów; w Kupieckiej zaś, która piękny przydomek *harmonii* nosi, ciągle przez całą zimę jest bardzo przyjemna zabawa, a raz w tydzień wieczory z muzyką i tańcami, na których kobiety bywają. Takiego wieczoru byłam raz świadkiem w Lutym 1832 r., bo są galerye w głównej sali, z których wszystko widzieć można nie będąc widzianym: ten wieczór ci opiszę.

---

\*) Drezno, co jest rzeczą bardzo dziwną, nie miało swojej gazety, tylko dzienniczek zwany *Anzeiger*, w którym są obwieszczenia, miejskie nowinki, doniesienia, ale nic polityki. Dopiero w r. 1848 zaczęło wychodzić parę gazet, ale mniejszego znaczenia.



Przyszliśmy przed piątą, i już prawie pełną zastaliśmy salę. Więcój, nad piękne karmazynowe obicia i draperye, nad zwierciadlaną ścianę i rześiste oświecenie, zajął mnie nowy jeszcze wtedy dla oczów moich widok. Cała sala znacznej wielkości, zastawiona była w jednakowém oddaleniu okrągłemi stolikami; te stoliki otoczone były siedzącymi kobietami z pończoszką w rękę, rozmawiającymi jakby u siebie. Jakiś czas dochodził nas tylko szmer mowy i odgłos śmiechów; ale wkrótce od każdego stolika wstała najmłodsza panienska, włożyła pończoszkę do woreczka, zawiesiła go na stołku i zaczęła znosić z bufetu, kawę, herbatę, ciastka. Wtedy wszystkie kółka wzięły się do zapijania i jedzenia, do częstowania się wzajemnie; rozmaitego koloru suknie kobiet, kręcenie się niektórych, nam patrzącym z góry, przypomniały klomby z kwiatów i krążące około nich motyle. Przed szóstą godziną, mężczyźni schodzić się zaczęli; stoliki tak ustawione, że dojść można z wygodą do kobiet; jednak mała liczba z téj wolności korzystała: grzeczność dla płci naszój, rzadkim jest przymiotem u Niemców. Panienski tak przy mężczyznach jak i bez nich znosiły same z bufetu różne rzeczy do jedzenia; dopiero jak kilkunastu naszych ziomków weszło do sali, tak zaraz tace i talerze wyrwane z rąk panien zostały, a za stołkami matek ujrzeliśmy także mężczyzn. O szóstój zagrzmiała muzyka, koncert zupełny i wcale ładny; trwał dwie godziny: przez cały czas pończoszki były w ruchu; zresztą dokładne milczenie. Jako w zapusty, zabrano się potém do tańca; jak najwolniej i najporządniej stoliki wyniesiono, salę zamieciono, i zaczął się długi walc; później przyszło do kontradansów: tańczowano niekoniecznie zgrabnie, zwłaszcza mężczyźni. O jedenastój, już prawie nikogo nie było. Mówiono mi, że bardzo często zamiast do siebie zaprosić gości na kawę lub herbatę, gospodynie, których mężowie należą do téj resursy, tu przyjmują, i w tém upatrują wielkie ułatwienie, gdyż im ani

nakrycia, ani zastawy, ani usługi, ani światła nie trzeba; schodzą się bowiem kobiety na resursa częściej jak co tydzień, i prawie zarówno z mężczyznami te zgromadzenia lubią.

Ten zwyczaj ujmuje może poniekąd niektórym wiele przyjemności; bo jednak niech kto co chce mówi, nie ma zabawy jak w domu, wśród dobranych osób; ale więcej upowszechnia i równa słodczye towarzyskiego życia: ktoś coby u siebie przyjął gości nie mógł, i przeto nieśmiały bywać u drugich, tym sposobem widzi ludzi i nawet częstuje; dla ogółu jest zaś wielka oszczędność czasu i pieniędzy. Już tu nie ma ubiegania się w zbyt kowém częstowaniu, bo zawsze jedna kawa, herbata i ciasta, a kobiety do towarzystwa należące, rzadko się odwiedzają po domach, gdyż pewne, że w wieczory wyznaczone zobaczą się i nagadają. Niezbyt to dawno nawet w obyczaje niemieckie te schadzki kobiet wprowadzone zostały i nie są one jeszcze we wszystkich klasach przyjęte.

Ogólnie rzeczy biorąc, Niemki nie używają tylu względów, nie doznają tylu grzeczności tak w domach jak w towarzystwie, ile my Polki; i nigdy nie żałuj, Helenko, żeś Polką. Ja sądzę, że to wcale nie pochodzi z winy kobiet; bo zapewne jeżeli nas nie dochodzą Niemki w poświęceniu się, w miłości ojczyzny, w naturalności, przewyższają nieśkończenie w porządku, w oszczędności, w gruntownej nauce, w zamiłowaniu narodowego języka, gospodarskich i niewieścich zatrudnień, i godne były przynajmniej równo z nami względów od płci drugiej; ale skutek to jest jakiegoś już wrodzonej rubasznosci Niemców i ich ociężałości. Niemiec nierównie pracowitszy od Polaka, w towarzystwie jednak leniwszym się wydaje: nim się podniesie z krzesła, Polak już pobiegł, sprawił się, wrócił, i ta prędkość w uczynieniu przysługi kobiecie, okazania jej grzeczności, gniewa ich nawet: sądzą ją być ubliżeniem powagi męzkiej. Są zapewne

niektóre wyjątki, ale te rzadko się trafiają, jak naprzykład rządność między nami.

Niemkom téż w ogóle bardzo się podobają cudzoziemcy, a cudzoziemcy nawzajem, jeżeli wysoko szacują pełen zalet charakter niemiecki w mężczyznach, wołą nierównie przestawać z kobietami. Słyszałam to nawet od kilku rodaczek, które długo w Niemczech gościły. Towarzystwo Niemek pełne jest wdzięku; mimo tego, że domem tak szczerze zajęte, posiadają wiele wiadomości i talentów; każda językiem swoim pięknie mówi i pisze, literaturę krajową zna dobrze, biblią niemal na pamięć umie; wiele z nich mówi po francuzku, ale im bynajmniej o to nie chodzi, żeby akcent miały paryzki i każdy je brał za francuzki, tylko żeby z cudzoziemcami rozmówić się mogły i lepsze książki rozumiały. Dzieci uczą się obcych języków, zawsze jednak własnym najchętniej i najlepiej mówią; i nie zdarzyło mi się nigdy na przechadzkach i w innych miejscach, najwykwintniej ubrane, słyszeć mówiące inną mową prócz własnej. Nie przestanę zaś tego powtarzać: jedynie mówieniem, pisanie od dzieciństwa własnym językiem, można go osiąść grutownie i jak należy; nigdy ani umieć, ani lubić nie będą ojczyściej mowy te, które w innej uczą się wszystkiego. Obeznane z korzyściami jej i zwrotami, w własnej, którą tylko nawiasem, piąte przez dziesiąte umieją, sobie i drugim koniecznie mniej umiejętne wydawać się muszą, bo im mniej słów, a zatem i myśli brakuje. Języki do wysłowienia się tak ustnie jak piórem, są jak instrumenta w muzyce: kto na jednym gra od początku i ciągle, ten może przebąkiwać na innych, ale zdatność jego tylko na pierwotnym wyda się prawdziwie.

Odbiegliśmy od Drezdenek, a jeszcze ci słów kilka powiedzieć o ich powierzchowności muszę. Mało brzydkich i niekształtnych między niemi, bo prawie wszystkie pięć i kić mają piękną i sprawdzają przysłowie: *In Sachsen, schön*

*ne Mädchen wachsen.* Młode niemal bez wyjątku są ładne; każda biała, rumiana, gładka, okrągła, wdzięcząca się i kształtna; ale powaby ich twarzy pełzną i mijają jak kwiaty, tracą bardzo prędko świeżość, włosy i zęby; i na ulicy i w miejscach publicznych już prawie trudno spotkać ładnej kobiety w czepeczku: korzyść dobrej figury zostaje im długo, i jeśli nie widziałam świeżej twarzy u średniego wieku mężatki, nie dostrzegłam prawie żadnej szerokiej babuni, bez żadnego już kształtu. Może to ztąd pochodzi, że tu kobiety bardzo staranne w ubiorze; wszystkie od najmłodszej do najstarszej, od dziewczyny do księżniczki, od rana wysznurowane i opięte, i krótko się noszą, chociaż rzadko która piękną ma nogę; czystość obuwia, przyjemnym czyni dla oka ten sposób ubierania się, a zwyczaj zakrywania jak najmniej kształtnych figur, postać podeszłego wieku od kobiet oddala.

Nierównie tu mniej używane jak u nas, wielkie chustki, szale rozwieszane, płaszcze; szerokich szub i tołubów wcale nie znają; w największy mróz nie zobaczysz Drezdenki opakowanej: weźmie kołnierz futrzany, pelerynę i rękawek, a całą figurę wysznurowaną i opiętą widać doskonale; w lecie najwięcej noszą małe chusteczki albo większe zebra-  
ne koło szyi, tak żeby nie okrywały modnych rękawów i wciętego stanu. Suknie ich ogólnie biorąc, bardzo dokładnie zrobione i uszyte; dają je pospolicie krawcom, i chociaż drogo płacą, przecież oszczędność w tém znajdują; bo niezawodna prawda: że suknia dobrze i starannie zrobiona, trwa dwa razy dłużej, od skrojonej i uszytej jako tako. Wszystkie więc inne roboty spełniają się tu w domu, ale suknie nawet dziecinne u krawców; prócz wyrachowanej na tym wydatku oszczędności, muszą téż mieć wzgląd gospodynie na ulżenie sobie.

W Niemczech, nie tak jak u nas, gdzie żona służącego, często służyć ma swoje, a rzemieślnicy i panowie, po kil-



ka i kilkanaście. Tuby z łatwością policzył krajowców, którzy więcej nad jedną sługę trzymają, a takich co wcale żadnej, lubo porządnie żyją i ubierają się, z trudnością zrachowaćby przyszło. Bardzo zatem wiele roboty, we wszelkich stanach, na gospodyni spoczywa, i jużby żadnym sposobem nie potrafiła zrobić prędko i porządnie, często drogiej sukni. Ona sama z córkami jeżeli je ma, obszyć cały dom musi, naprawić wszystko, opatrzeć w pończochy, uprać; wyprasować cieńsze rzeczy, i do wielkiego prania, które cztery razy do roku przypada, dopomódz. Jedyna służąca, mało jęj w tęj pracy ulżyć i może i umieć; bo przy porządku i częstém myciu, jakie po domach jest w używaniu, wreszcie przy grubęj robocie jaka jest wszędzic do spełnienia, chwili wolnej na szycie nie pozostaje; sługi tęż tutejsze pracowite są, nie lenią się do niczego, czytają i piszą, ale szyć, pięknie cerować, lepszych robótek, wykwintniejszėj usługi, prawie wcale nie umieją: pani domu to wszystko załatwić sama powinna. Jednemu z Polaków praczka odnosząc bieliznę oświadczyła, że nie naprawiła jęj wcale, gdyż jęj powiedziano: *dass die gnädige Gräfin gekommen ist*. W samęj rzeczy, żona Polaka przyjechała, i sumienna praczka nie chciała wchodzić w jęj prawa. Przy kim jednak to prawo nadal zostało? nie wiem.

Co jeszcze mnie uderzyło w powierzchowności Drezdenek i Niemek: przesada, a raczėj jakiś zbytek ruchów, uśmiechów, wykrzykników. Polka dobrze ułożona, opowie zdarzenie najciekawsze, bez żadnych prawie min i gestów: Niemka, nie może nic powtórzyć bez wzniesienia kilkakrotnego oczów w niebo, rozkładu ramion i rąk, wdzięczenia twarzy i kiwania głową. Zdaje się, jakby tym sposobem chciały poruszyć zimnych Niemców, bo oni przeciwnie są najczęściej poważni i nieruchomi mówiąc i słuchając.

Przechodząc teraz do służących, o których już napomknęłam, doskonałość ich może cokolwiek nadto okrzyczaną,

jak to sama zmiarkować mogłaś, Helenko, po części paniom przypisywaćby należało. Prawda, że czego u nas nie widać wcale, jedna służka dom utrzymuje w czystości: sienie, schody, podłogi, okna, co tydzień myje, ubiory i obuwie męzkie codzień czyści, wodę i drzewo nosi, w piecach pali, gotuje, do stołu służy, pierze, a jak się wystroi, bardzo porządnie wygląda; ale téż pani, jak wiemy, wszystkiém kieruje: do kuchni pomaga, i całą lżejszą robotę w domu załatwia. Prócz tego ta służka, jé to samo co państwo, kawę pije, ma swój osobny ogrzany pokoiik, codzień dobry dzień i dobranoc panu i pani powieć, całuje ich w ramie i nie wstaje z miejsca gdy oni przechodzą. Zaslóg nie pobiera wielkich: dwa talarzy, czasem mniej na miesiąc, ale podarunki ją spotykają kilka razy do roku, na Boże Narodzenie, na jarmark, w dzień urodzin państwa i t. p. Zresztą przy zaprowadzonym porządku, i tak znanéj niemieckiej akuratności, robota jéj, lubo jéj ma wiele, i od żadnej się nie wymawia, jedna po drugiej nadchodzi i dopełnianą jest w miarę; rozmaite zaś drobne gospodarskie szczegóły zmniejszają jéj ciężar. W każdym prawie domu w Dreźnie, jest woda źródłana i rzeczna; chodzić więc po nią daleko nie ma potrzeby; drzewo także nie jest nigdy w piwnicach, a rzadko kiedy w drwalniach dalekich: są zwykle przy kuchniach komórki na jego schowanie, i wiele osób układa się z włościanami z okolic, którzy regularnie co tydzień tyle przywożą suchego i łupanego drzewa, ile na tydzień potrzeba: można już spuścić się na nich, że ani dnia chybią, ani na towarze nie oszukają. Przy każdym mieszkaniu bądź najmniejszym, skoro jest kuchnia jest i spiżarnia; można więc mieć wszystkiego zapasy, i służąca nie wybiega tak często na miasto.

Nasi budowniczy i gospodarze domów, rzadko kiedy te względy i pamięć mają; wiem z własnego doświadczenia, że na szczęściu mieszkaniach w Warszawie, w jedném tylko była spiżarka. W Niemczech, wszyscy w każdej rzeczy dają

do porządku i do oszczędności, i takim tylko sposobem te dwa wielkie skarby osiągnięte być mogą. My jakoś wiele na wystawności zakładamy, i żeby dla gości pięknie i składnie się wydawało; Niemcy o to się starają, żeby zawsze porządnie i wygodnie było. Ale czego powinnyby się od nas uczyć, to opatrywania domów na zimę; mała bardzo różnica między klimatem Polski i Saksonii, a widząc żadne ich przeciw mrozom zabiegi, zdawaćby się mogła ogromna. Prawie nigdzie nie ma okien podwójnych i dobrych pieców, palić trzeba niemal ciągle, i jeszcze jednostajnego ciepła mieć nie można, bo od okien wieje. Zastłaniają wprawdzie od ulicy, futra okien, wieńcami mchowemi; lecz to mało od wiatru chroni. Nie pamiętam żebym gdzie tyle naziębla co w Dreźnie, zwłaszcza, że w pokojach sypialnych zwykle pieców nie ma.

Co mi się także nie podobało w tém mieście, to zwyczaj wczesnego obiadowania. Najwięcej osób jada o dwunastą, a we wszystkich oberżach, już po drugiej nie jeść nie dostanie. Biorąc z oberży (co dla niezagospodarowanych jest najtaniej), trzeba koniecznie jadać o pierwszej. Wiem, że to staropolski obyczaj, i że na wsi może być użyteczny i przyjemny; ale w mieście bardzo niedogodny, bo poranek, tę najmiłą dnia porę ukróca. Można téj niedogodności zaradzić, mając swoją kuchnię, i ten jest tak tu jak wszędzie sposób życia najmilszy. W Dreźnie nawet dla bawiących choćby czas krótki, ten sposób życia bardzo ułatwiony, nie trzeba bowiem skupować naczyń kuchennych i porządków stołowych: można snadno dobrać mieszkania, gdzie tego wszystkiego gospodarz dostarczy. Wielką ma w tém wyższość Dreźnie nad miastami polskimi: tu nietylko w oberży, przejeżdżający stanąć i wszystko co potrzeba znaleźć może, ale większa część mieszkań jest meblowanych i we wszystko opatrzonych. Możesz je nająć tylko na miesiąc, i na jaką chcesz cenę, od kilku talarów do kilkudziesię-

siąt. Ten obyczaj większym stolicom zagranicznym wspólny, bardzo ułatwia cudzoziemcom pobyt w miastach i wabi nawet krajowców. Nie jednego u nas odstręczy myśl, ile trzeba zażyć mitręgi; niewygodny, kosztu, żeby sobie urządzać na kilka miesięcy mieszkanie w polskiem mieście; woli przeto pojechać kilkadziesiąt mil więcej i w zagranicznem znaleźć to wszystko bez kłopotu. Z trzymaniem powozu, także bardzo tu zachody ułatwione; prócz tego, że nająć dostanie bardzo porządnych na godziny, dni, tygodnie lub miesiące, można jeszcze własne konie oddawać jakby na pensyą. Osobie zwłaszcza, która jednego do wierzchu lub do doróżki trzyma, bardzo z tém wygodnie; już nie potrzebuje ani stajni, ani służącego: kiedy chce jechać, uprzedza na pół godziny, przyprowadzają jęj powóz i konia w najlepszym stanie; żąda tego i zapłaci, to i mastalerz z nią pojedzie, i używa przyjemności przejażdżki bez żadnego zachodu, z mniejszym jak pospolicie wydatkiem. Zwyczaj najmowania tanio wielu rzeczy, które kupić trudnoby przyszło, należy także do przyczyn, które z Drezna miłe siedlisko czynią.

W gabinecie Arnolda, w Starym rynku, za kilka złotych miesięcznie, wszystkie dzienniki krajowe i zagraniczne czytać możesz; w najlepiej opatrzonych księgarniach trzy złote płacisz, a miewasz nawet nowsze dzieła niemieckie i francuzkie: od dobrego fortepianu dwa talary tylko żądają; od gitary, skrzypców, dwa złote; na nuty, na wzory do rysunku, do haftu rozmaitego, także miesięcznie albo na sztuki abonować się możesz. Ta ostatnia łatwość, nieoceniona jest zwłaszcza dla tych, którzy przyjeżdżają z córkami do Drezna dla dokończenia ich edukacyi, a jest takich osób dosyć; bo zwłaszcza nauczyciele muzyki i rysunku są dobrzy, a nie drodzy; powszechne zaś zamiłowanie muzyki, możność kopiowania najlepszych wzorów w galeryi obrazów, także nie mało przyciąga.

Życie w Dreźnie, co do rzeczy najpotrzebniejszych, jako



to: chleba, drobiu, ryb, jarzyn, nabiału, piwa, wina, cukru, kawy, zda mi się trzymać środek między Warszawą a Krakowem. Są niektóre rzeczy droższe niż w obudwóch, jak np. drzewo i mięso, są inne tańsze, jako to: wyborne owoce świeże, suszone, smażone; ciasta wszelkiego rodzaju, których mnóstwo i bardzo dobre; kwiaty, któreby także należać powinny do potrzeb życia nieco wykwintniejszego, i pranie, które tu doskonałe, a nie drogie. Co jeszcze do korzyści życia w Dreźnie policzyć potrzeba, to ten szczegół, iż skutkiem uczciwości mieszkańców, wszystko co do jedzenia sprzedają, jest dobre: mięso piękne, drób tłusty, nabiał czysty, ryby świeże, jarzyny i owoce dorodne, i że za małe pieniądze rzeczy droższych dostaniesz; przedadzą ci trzy ostrygi, pół cytryny, dzwonko dobrego śledzia, pół melona, i t. p.: zdaje się więc, że nie ma przysmaku, którego by i ubogi skosztować nie mógł.

Moneta tutejsza bardzo wygodna i do oszczędności pomocna, najwięcej kursuje pruskiej, rachują na talary, grosze i fenigi. Talar ma naszych sześć złotych czyli 30 groszy, grosz 10 fenigów; są sztuki dziesięcio, pięcio, dwu, jedno groszowe; są półgrosze czyli 5 fenigi, 3 fenigi i nareszcie fenigi. Za feniga, to jest za 50-tą część naszego złotego, dostaniesz wiele rzeczy: bułkę, świeczkę, owoców garstkę, kwiatków pęczek: nie ma potrzeby tłumaczyć ile ta obfitość zdawkowej monety jest dogodną i ochraniającą.

Ale wdałam się w szczegóły wcale nie eleganckie i nie uczone; pochlebiam sobie jednak, Helenko, że cię niemniej zajmą, jak inkunabuły, ksylograficzne pomniki i palimpestry, o których w przedostatnim wspomniałam liście. Jeżeli panience dobrze wychowanej, wolno wiedzieć o księgach, powinnością jej jest znać doskonale, cokolwiek gospodarstwa i domu się tyczy, i podaje mi się tu pod pióro zastosowane do kobiet zdanie starego Fryderyka:

„Być uczoną, ciekawość—być rządzą, potrzeba.“

Dzieła Hofmanowej. Tom V.

33

Byłaby tu właśnie pora udzielenia ci potrzebnych także, a nieco wyższych wiadomości dotyczących się Drezna; powinienabym wspomnieć o rękodzielniach: lecz ja wcale mówić nie umiem o tém, czegom nie widziała, a nieszczęściem w żadnej rękodzielni nie byłam. Wiem, że są wyborne włóczki, sukna, kapelusze słomiane, rękawiczki, farby, pędzle, tu wyrabiane; wiem, że mało gdzie w tak piękną i taną bieliznę opatrzeć się można—ale więcej nic. O handlu, o rzadzie, wartoby także napomknąć, bo to są przedmioty bardzo ważne i każdego dotyczące, przecież i o tych nic ci powiedzieć nie potrafię. Jeżeli jednak według słów Ewangelii: „z owoców drzewo poznać można“ widząc dobry byt i moralność mieszkańców, sądziłabym, że nie źle iść muszą.

### LIST DZIEWIĄTY.

Okolice Drezna. — Plauen. — Tharant. — Winnica Findlatera. — Pilnitz. — Winnica ks. Fryderyka. — Sonnenstein. — Moritzburg. — Szwajcarya Saska. Wesenstein.

Może niezupełnie się domyślasz, kochana Helenko, że już właściwie mówiąc, mój opis Drezna skończony; wiem sama, iż lubo dosyć długi, nie bardzo dokładny, i wieleby mu dodać można; lecz cóż począć, kiedy już nic więcej nad to co napisałam, ani w pamięci, ani w notatkach moich nie znajduję. Może kto inny choć później ten niedostatek dopełni, ja wezmę się teraz do okolic obrazu. Opis żadnej stolicy obejść się bez takowego nie może; tém bardziej opis Drezna, które tak szczęśliwie jest położone; nie będę jednak mogła i tu udzielić ci wiadomości o każdym miejscu godnym widzenia, bo dla pośpiechu, a więcej jeszcze dla gra-

sujacęj na granicy czeskiej cholery, nie mogłam być wszędzie. Wszystko jednak co widziałam, przyjętym zwyczajem obszernie opowiem.

Nie wiem czy jest prócz Drezna drugie miasto stołeczne, gdzieby większa łatwość i przyjemność była w wyjściu za mury; najprzód, nie wielkie; z każdej więc ulicy blisko w pole; powtóre, rogatki przejść i przejechać można nie spostrzegłszy tego bynajmniej, bo nikt ani słowa z ust, ani grósza z kieszeni nie żąda: nareszcie w którąkolwiek stronę się udasz, wszędzie ci się podoba. Nie obaczysz nigdzie zakątka ziemi brzydkiego, nieużytecznego, piasków, kałuży, odłogu; wszystko uprawione, użyte, wszędzie znać hojność natury i pracę człowieka. Jeżeli wyjdiesz przez *Nowe* miasto, masz lasy, góry, sady, winnice, piękne pałacyki; jeżeli przez *Stare*, widzisz pola, łąki, ogrody warzywne, ulice z drzew owocowych; strumyki jak w poezjach, czyste, pełne, mrużące; młyny wodne, wioski dobrze zabudowane. To sąsiedztwo pola, rolniczych prac i uciech, słowem, ta wieś zupełna i tak nadobna u bram stołecznego miasta, ma jakąś prostotę, jakiś urok poetyczny i malarski, który sprawia, że Drezno nawet w lecie i na wiosnę, miłem jest siedliskiem, i że w niem mieszkając nie ściga żadna niespokojność ażeby jak z miast innych lotem ptaka gdzieś daleko wylecieć. Tak łatwo użyć sielskich przechadzek, i miłych dla dzieci rolniczego narodu widoków!...

Wiele też osób mieszkających w Dreźnie, a do tój liczby i ja należałam, wolało iść w pole, niż do publicznych ogrodów. Jeżeli w dzień powszedni wyszliśmy, widziałam z kolei uprawę ziemi, drzew hodowanie, urządzenie winnic, sianozięcie, zbiór wisien i czereśni, nareszcie początki żniwa, a zawsze piękne bydło i trzody. Jeżeli w święto: cieszył mnie odgłos miłej muzyki po wioskach, te nie w zaduszonych karczmach, ale w ładnych ogródkach przystojne zabawy; ubiór porządny rolników, to piętno człowieka na

każdym; nigdzie bowiem ani w niedzielę ani w poniedziałek nie zobaczysz pijanego.

O! z jakąż ciężkością na sercu, nieraz w tych przechadzkach, myśl moja ku naszemu krajowi się zwracała, lubo widziane obrazy mało w czem sioła ojczyste przypominać mogły. Dworu czy pałacu wspaniałego, angielskiego ogrodu, nie zdarzyło mi się widzieć w wiosce żadnej; kościół, plebania, szkoła, cmentarz ogrodzony, miejsce ich zajmują; chaty niskiej drewnianej, pod słomą, także nie obaczysz: wszystkie domy murowane z kamienia, albo w tak zwany mur pruski (który raczej niemieckim zwać należy) o piętrze, z dachem szyfrowym, lub drewnianym nad miarę wysokim, gdyż tam składy zboża; z oknami dużemi o szybach czystych i całych, osadzone winnym szczepem, różami, wśród ogródków. Nie mają wprawdzie te wioski romantycznej i zupełnie sielskiej postaci, więcej do miasteczek podobne; brak im często także regularności budowy, niektóre nasze wsie zalecające: tu zwykle z obu stron krętej i wąskiej drogi, stoją domy różnej miary, rozmaicie obrócone, to blisko siebie, to daleko, bo tu nie z woli i według planu jednego; ani też odrazu te wioski powstały; dom każdy ma osobnego pana \*) i tak stoi i wygląda jak się jemu podobało i podoba.

---

\*) Włościanie saszy nie wszyscy są właścicielami, owszem najwięcej jest czynszowników, niektórzy panów, inni rządu. W wielu miejscach, część tego czynszu oddaje się dziedzicom, w dniach, czyli w pańszczyźnie, istnieje zatem pewien rodzaj poddaństwa; ale oświata rzetelna panów i włościan jest taka, wolność prawdziwa tak dobrze zrozumiana, ustawy tak rozsądne i wiernie z obu stron strzeżone, iż żadna z tego względu niesprawiedliwość się nie dzieje. Rodziny włościańskie z dziadków, pradziadków na jednym mieszkają miejscu, lubo i dziedzic mógłby im wymówić dzierżawę, i oni iść gdzieindziej — uważają się przeto za właścicieli. Wszystko dobre wszędzie za oświatą idzie; jest to owa mądrość Salomonowa, którą gdy masz, wszystko inne przydanem ci będzie. O to dobro więc przedewszystkiem starać się należy.



Ta sama przyczyna polom tutejszym i pracy w polu, zupełnie inną postać jak u nas, nadaje. Tu nigdzie nie ujrysz ładu niedoścignionego okiem, jednym gatunkiem zboża zasianego; nie zobaczysz nigdy do sta ludzi, razem jednym rodzajem roboty zajętych i stojącego nad nimi wólarza: na małym półku dostrzeżesz i żyto i pszenicę, i owies i jęczmień, i inne ziarna i warzywa, każdego ledwie po kilka zagonów; tu jednego, tam dwóch, tu trzech robotników zdobiesz; i to będą w ich liczbie dzieci, a choćby owoce zrywały, nikt ich nie pilnuje. Jaka to jednak starowna robota; nieraz przypatrywałam ję się z polubieniem: trawa koszona niziuteńko, a tak równo jak aksamit; siano do ostatniego źdźbła wybierane; rzepak ścinany o ś. Janie jeszcze prawie zielony, i starannie zgarniany w płachty, żeby ziarno nie wypadło lub uronione nie było; wróble z pszenicy i jęczmienia trzaskaniem bicza, chodzącego chłopka w około zagonów, albo krzykami obiegających dzieci po kilka razy na dzień, wystraszane; owoce zrywane z drzew w porze dojrzałości, bez łamania gałęzi; kartofle nie podbierane wcale, tylko zaprowadzona rozmaitość rychlejszych i późniejszych: zgoła wszędzie widać piętno pracy dobrowolnej, dla siebie, dla swoich, której plon zbierze ta sama ręka, co nad nią się trzodzi, której pomyślnych owoców użyją wnuki, prawnuki. Ta korzyść niezmierna wóścian saskich, prócz innych nieprzeliczonych dobrodziejstw, to jeszcze sprawia, że własność każdego przez wszystkich jest szanowana. Drzewa owocowe cienią drogi publiczne, najpiękniejsze kwiaty rosną bez ogrodzenia; bydło, trzody, stada, drób chodzą wolno, przecież o szkodach nie słyhać! Nie napada nikt w nocy na ogród sąsiada, nie rwie niedojrzałych owoców, nie łamie gałęzi: najprzód że ma sad własny i odwetu obawiać się może; powtóre, wie ile to czasu i pracy trzeba, zaum drzewo urosnie, i jaka pociecha zrywać samemu sadzonych plonek owoce, i spożyć je z rodziną.

Te i tym podobne uwagi zajmowały myśl moją w czasie przechadzek i przejażdżek w okolicy Drezna, i dopiero wtedy pojnowałam dokładnie w czémto zagraniczne kraje nasz przechodzą... Jedną atoli siół polskich przyjemności, która acz drobna w porównaniu wymienionych korzyści, przecież okolicom wiejskim, wiele ponęty dodaje, tu nigdzie nie użyłam: oto widoku licznego ptastwa i dźwięcznych śpiewów. Nie wiem czy bocian sędziwy jedynie strzechom słomianym sprzyja, ale nigdzie ani jednego nie dopatrzyłam przy tych murowanych domostwach; nie wiem także czy słowiki lubią tylko zaniedbane gęstwiny i bory, bo tu w tych wymiecionych jak pokój gaikach i lasach, nie odbiły się przez cały Maj ani jednego trele; i gdyby nie przezorność miejskiego sąsiada, który kilku w klatkach trzymał, nie byłabym wcale słyszała owój wiosny tego lubego jój śpiewaka. Lecz nie tylko bocianów i słowików, wszelkiego rodzaju ptastwa dzikiego, prócz wron i wróbli, mimo tak dawniej troskliwości dobrego Augusta, bardzo mało w całej Saksonii; chociaż mi było tęskno bez téj skrzydlatéj muzyki, przecież cieszyłam się mimowolnie tym przywilejem polskich okolic. I tego nieco ważniejszego przepomnieć nie mogę: mimo całej pracy rolników, zboża tutejsze nie tak piękne i bujne jak nasze, ziemia ani w części tak urodzajna, i bez żadnej już mówiąc przenośni, nigdzie w Niemczech tak białego i smacznego nie jadłam chleba jak u nas. Ma i ojczyzna bogactwa swoje, nie zapomniał o niej dawca Najwyższy; wreszcie choćby zapomniał czego w znikomych darach, jakże sownie w sercach dzieci dołożył...

Ale wróćmy do okolic Drezna; w niektórych, zwłaszcza w bliższych byłam pieszo i po kilka razy; z téj liczby jedno z miejsc najmilszych jest pospolicie zwane *Plauen*, a właściwie *Plaunische grund*, albo *Crassa villa*.

O ćwierć mili od miasta, na zakręcie gościńca do Freyberga, środkiem dwóch pasm gór idącego, nad brzegiem

bystrzej rzeczki jest jakby przyczepiony do skały i drzewami ozdobiony domek: uroczy i niespodziany tworzy widok. W tym domku Polak jest gospodarzem; dostarcza obiadów i podwieczorków dosyć smacznych, i wybornych pstrągów, które nie daleko ztamtąd się poławiają, a w wielkich kadziach z wodą zamykane są żywcem, dopóki wszystkożerczego człowieka pastwą się nie staną.

Ten domek, który zwać się powinien *Crassa Villa* a wszyscy zowią *Plauen*, bardzo jest uczęszczany; nie tylko dla pięknego położenia, lecz i dla tego że dziwnie przyjemnie i łatwo mieszkańcom Drezna iść tam piechotą. Wyszedłszy z miasta ulicą i przedmieściem *Wilsdruf*, obok *Anny kościoła*, idzie się najprzód wesołą równiną wśród drzew owocowych, potem brzegiem ślicznej rzeczki *Wisricy*, która nie na próżno płynie i mruży, bo młyny, tartaki w szybkim przebiegu obraca; nareszcie zielonym parowem między górami. Już dochodząc pokazuje się w miejscu napozór niedostępnem, figura biała; nie mogłam dowiedzieć się z pewnością od nikogo na jaką pamiątkę tam stoi.

Pierwszy raz byłam w *Plauen*, w nielicznej ale miłej drużynie trzeciego Maja, przedstawiło mi się więc to miejsce w całej świeżości wiosny; uprzyjemnił także w tym dniu przechadzką widok malujący tutejsze obyczaje. Siedzieliśmy sobie pod drzewami kończąc skromną biesiadkę, kiedy zajęchał powóz, w nim młody mężczyzna i śliczna panienka. Bo trzeba ci wiedzieć, *Helenko*, że tu kobiety nierównie więcej mają wolności jak u nas; za mężatkami nigdy nie zobaczysz idącego lokaja, młode nawet panny same jeżdżą i chodzą, a kiedy która z nich już obiecana w zamęście, okazuje się wszędzie z narzeczonym, jak z mężem. I to była narzeczonych para. Zasiedli przy stole nas niedaleko; panienka dobytek woreczka, wysypała z tuzin kłębków włóczek różnego koloru, wyjęła kanwę, wzorek, igły, napastrzek, nożyczki, i tak się zabrała do roboty jak w domu. Jakoż mo-

gła wyszyć nie mały kawałek, bo siedzieli z parę godzin, rozmawiając raz głośno drugi raz ciszej, ale zawsze narodowym językiem; później przynieśli im kawy, kawaler cygaro zapalił i zostawiliśmy ich tak jeszcze. Dowiedziałam się później, że to była córka zasłużonego generała saskiego, i właśnie przed moim wyjazdem z Drezna mówiono o jej weselu.

*Tharand.* O dobrą milę od Plauen, jest miasteczko tak nazwane. Droga do niego, owocowemi drzewy sadzona, bardzo przyjemna. Po prawej stronie są skały wysokie różnego kształtu, jedne nietknięte zdaje się od czasu jak stworzone, inne uległe ręce ludzkiej; po lewej, góry, to zbożem to drzewem okryte, a w środku wązka dolina, w pośród której płynie bystra i czynna Wisrica; a jej wody to mruczą po kamykach, to szumią w kołach młyńskich, to pienią się w spadach, to znowu szklnią się, srebrzą i rozkładają po szerokich kamiennych upustach. Przypomniał mi się Prądnik i jego dolina, i zapewne nie ze szkodą ojczystego potoku; ale Wisrica w kraj bogatszy a raczej w szczęśliwszy się dostała. Za czasów Kazimierza Wielkiego, kiedy Saskie krainy jeszcze nie podzielone między synów Fryderyka, Ernesta i Alberta, coraz innych miały panów, zapewne nasz Prądnik więcej od téj rzeki wspaniałych pałaców obmywał, więcej trzód poił, więcej twarzy swobodnych odbijał; i gdyby tak było postępowało ciągle, przez pięć wieków, jakieżby dziś lube powtarzał widoki!

Przybywszy do Tharandu, a raczej do miejsca, gdzie najlepsza gospoda, wędrownik nie zaspokojony, bo mniej widzi jak przez drogę widział; ale kiedy ochłodzonego dobrem mlekiem lub posilonego pstrągami, oprowadzaąc zaczął po przyległych górach, wtedy przyznaje, że jadąc nie widział wszystkiego. Pierwsze miejsce które zwykle wskazują, są rozwaliny zamku, gdzie niegdyś mieszkała Sydonia, córka Jerzego Podziebrackiego, króla Czechów, kiedy ją



mąż odumarł. Tym mężem był Albert elektor; ona zaś była matką rodu całej Albertyńskiej linii i dzisiejszych tu-tejszych książąt. Te rozwaliny nie są zbyt romantyczne, ale widok z nich piękny, a w środku tklive pomniki. Spojrzawszy z ganku, odkrywa się jakby czarowną siłą powstałe miasteczko Tharand, którego bytu nikt się tam nie domyślał przyjeżdżając, bo ukryte za górą. Miasteczko nie wielkie, lecz schludne, z ładnymi ogródkami, z tój wysokości dobrze się wydaje; widoki na inne strony niemniej przyjemne. Pamiątką miłą jest kamień na cześć Fryderyka Augusta przez mieszczan Tarandtu położony; dowodem poczciwego serca Sasów, wielka skarbona, w którą roztkliwione serca widokiem pięknej natury, daninę dla ubóstwa złożyć mogą. W podobnych miejscach, gdzie wzrok używa czarujących przyrodzenia obrazów, trafnie byłoby stawiać skarbo-ny na rzecz ociemniałych; zdaje mi się, że każdy widzący, złożyłby chętnie grosz swój, i jeszczeby zwrócił wdzięczny wzrok ku niebu.

Drugim miejscem odwiedzanem jest płaski szczyt ska-ły dosyć wysokości, opasany drewnianą kratą, z którego widok lubo dziki nie jest bez powabu. Zowią je *die kleine Bastey*, dla niejakiogo podobieństwa z większem tak miano-wanem w Szwajcaryi Saskiej. Trzecim, i mojem zdaniem najpiękniejszym miejscem jest *Königsplatz* z altanką i wy-stawą, z którego patrząc na okoliczne góry i parowy, przed-stawia się obraz prześliczny; zajmuje zwłaszcza rzeka, któ-ra tu wielki kąt naznacza, a płynąc wśród wrzuconych rę-ką czasu w jej łożę kamieni, opiera się i burzy, a przecież bieży jeszcze powabniejsza, niż kiedy spokojna; podobna ży-ciu znakomitego człowieka, płynącemu wśród stawianych rę-ką losu przeciwności. Czwartem miejscem znacznie niżej będącym, jest wolny okrąg wśród gęstego i wpaniałego la-su, gdzie kamień położony został w r. 1802, na pamiątkę odwiedzin królewskiej rodziny. Napis jego uwielbia uroczy-

ste i głębokie cienia téj zaciszy, która szczególnie obok obszernych i ożywionych widoków pierwój widzianych, ma w sobie całą pętlę odmiany i sprzeczności, rzekłabyś, miły i cichy pokój obok wielkiego, pełnego ludzi salonu, albo téż godzina rozpamiętywania samotnego po głośnych rozmowach. Tu samemu będąc modliłby się dobrze, z przyjaciелеm — wyznać mu najskrytsze serca tajemnice.

Są jeszcze inne widoki i miejsca godne obejrzenia w Tharand; ale że do każdego przystęp trudny, bo po górach, przestaliśmy na tych. Całemu, wiele życia dodaje szkoła leśna i agronomiczna tu będąca. Pierwsza jest jedną z najświetniejszych w Niemczech, różnego narodu ma uczniów zazdrościłam im prawdziwie: jakież to przyjemne kursa, co za bogata księżnica! i jaka powabna katedra! Byliśmy w czasie lekcji botaniki. Professor, z pobliskich drzew i skał, narwał gałązek, listków mchu nazbierał, i rozłożył je na wielkim stole w miejscu otwartém z pięknym widokiem; uczniowie zasiedli wkoło na kamieniach, i tak u samego źródła najrozciąglejszój i najpiękniejszój nauki, nią się poili, i zdobywali jój cuda jakby na uczynku. Dla użytku uczniów, założony jest na tych górach ogród botaniczny, drzewa są ze wszystkich krajów; najwięcej mnie zastanowił cedr Libanu, choć jeszcze bardzo maleńki, i jabłoń Japońska z wielkim purpurowym kwiatem. Jeden z profesorów agronomicznój szkoły oprowadzał nas wszędzie bardzo uprzejmie, pokazał nam *Sammhaus*, domek zbudowany jedynie dla nasion; kłosa złotój pszenicy, płowego żyta, wąsatego jęczmienia i lekkiego owsu, najwięcej mnie zajęły; ale napróżno pytałam o sandomierkę: jedno jest tylko żyto z przydomkiem polskiego, i tego nawet u nas nie sieją. Niegdyś, pan polski pielgrzymujący, może Radziwiłł Sierotka \*) przywiózł

---

\*) Szanownym zabytkiem dawnój literatury naszój jest dzieło, pod tytułem: *Peregrynacya do Ziemi ś. albo pielgrzymowanie Miko-*

je z Egiptu; w Polsce wyginęło, a zagranicą zostało: tak często, co śmiały zdobędzie, przezorny zachowa.

*Winnica Findlatera.* Równie uczęszczaną jak Plauen przez mieszkańców Starego miasta, jest winnica Findlatera, przez mieszkańców Nowego, po prawym brzegu Elby będąca. Dostać się do niej można przyjemnie wodą, a praca wnijscia na dosyć wysoką górę, sownicie jest wynagrodzona ślicznym widokiem na całe Drezno i sąsiedzkie góry. Obrał też przed laty to miejsce na letnie mieszkanie Anglik, lord Findlater, który opuściwszy ojczyznę osiadł w Saksonii; wystawił piękny domek z wysoką kopułą, założył ogródek i winnicę, a umierając darował tę majątność wiernemu słudze; ten przewidując, że to piękne miejsce z chęcią uczęszczane będzie, otworzył je publiczności, i nie zawiódł się, bo zimą i latem wiele osób tu bywa \*).

*Pilnitz.* W tej stronie, także nad Elbą, ale o milę od Drezna, jest wieś tak zwana, letnie mieszkanie króla i dworu saskiego, a to od r. 1763, kiedy Fryderyk August upodobał je sobie i kupił z własnej szkatuły. Od tego czasu, już lat 70, rodzina panująca i część dworu przyjeżdża tu regularnie w pierwszy Poniedziałek majowy, wraca do Drezna w pierwszy Poniedziałek Października. Mówiono mi, że ta akuratność nie mało się przyłożyła do śmierci ostatniego

*Łaja Krysztofa Radziwiłła* przezwanego Sierotką, w latach 1582, 3, 4, za panowania Batorego; napisane w czterech listach, zawiera dokładny i wielce zajmujący opis podróży księżęcia, wszystkich jego przygód na lądzie i morzu. Był on we wszystkich miejscach świętych, w Egipcie jakiś czas gościł, zewsząd różne ciekawości przywoził, nawet wiele zwierząt żywych i nasion szacownych,

\*) Przed kilku laty kupioną została ta winnica przez Barona Stockhausen, z polecenia jednego z książąt domu pruskiego, i w miejscu dawnego budynku, z wielkim kosztem wybudowany został wspaniały pałac. — *P. W.*

króla; był słaby, powietrze było zimne, należało mu siedzieć w ciepłym pokoju w Dreźnie; ale przypadł pierwszy Poniedziałek majowy, dworskich przepisów przełamać ani podobna; pojechał więc do Pilnitz, zaziębił się, rozchorował na dobre: odwieziono go nazajutrz do stolicy i w parę dni umarł. *Etykieta* przepisała raz na zawsze, co, jak i kiedy mają czynić; a to w codziennych i najdrobniejszych życia szczegółach, i niektórzy królowie nawet, ci mniemani panowie ziemscy, nie śmieją w niczem jój praw przełamać. Dwór saski słynie z tego wiernego poddaństwa, i dosyć, krótki czas w Dreźnie spędzić, ażeby nauczyć się na pamięć, życia całej królewskiej rodziny. Godziny mszy, obiadu, wieczery, przechadzki, przejażdżki, spoczynku; dnie szczególnego nabożeństwa, uczt, zabaw, żałoby; ubiory nawet: wszystko to przepisane od lat niezliczonych i strzeżone wiernie. Pojmiesz łatwo, Helenko, iż takowa niewola, jakkolwiek mówią, że życia przydłuża i powagę utrzymuje, niezmiernie uciążliwą być musi; słyszałam też od wielu osób, że każda mieszczanka Drezdeńska lepiej nierównie się bawi od księżn swoich, i wyznam ci, iż sam widok tego staroświeckiego i akuratnego dworu, do ziewania mnie pobudzał. Nawet Pilnitz lubo ładnie położone nad rzeką, u stóp gór drzewnych, nie podobało mi się, zapewne skutkiem tego wpływu. Prawda, że to miejsce dla nas zawsze przykrém będzie... ale prócz tego, nie uwierzysz, jak etykieta dworska, akuratność drobiazgowa, symetryczność zabudowań i ogrodu, regularność zatrudnień, razi, obok dowolnego pędu bystrzej rzeki, szumu wiatru między górami i téj całej prostoty i swobody natury.

Pojechałam pierwszy raz do Pilnitz 18-go Maja, w rocznicę urodzin Mit-regenta, w chęci przypatrzenia się dokładnie rodzinie królewskiej. Widywałam ją była dotąd w kościele, w teatrze, przejeżdżającą, ale raz chciałam widzieć bliżej; a w Pilnitz łatwo tę ciekawość zaspokoić, gdyż w sali



jadalnej są ganki dla widzów. Stało się też moim życzeniem zadosyć, widziałam wybornie króla, wszystkich książąt i księżnę, słyszałam ich rozmowy, rachować mogłam kawałki, które do ust kładli. Stół kwadratowy był pięknie zastawiony wetami, i ubrany w kwiaty. Jedzenie po naszymu gorąco z kuchni w miarę przynoszono; zdawało się bardzo smaczne lubo bez wykwintu; było to w Piątek, dawano więc mięsne i maślane potrawy; ale nie częstowano wszystkich każdym półmiskiem; kamerdynery jakby instynktem rozeznawali katolików i protestantów, jednym ryby i maślane przysmaki, drugim tylko mięsne podawali; i dostrzegłam wzrok pożądlivy jednego z szambelanów reformowanych, za jakimiś wybornymi pirożkami, których mu nie dano. Siedziało u stołu osób dwadzieścia siedm, w ubiorach zwyczajnych; jeden tylko mundur wojskowy, oficera będącego na służbie. Był król Antoni, księżniczka Augusta, brat królewski Maksymilian z żoną, córka jego Amelia, dwaj synowie Fryderyk i Jan, i żona tegoż; ministrowie i dwór składali resztę biesiadników. Między temi, miło mi było widzieć damę dworską Polkę, panią Błeszyńską, i szambelana zesłej królowej Polaka, pana Tedwena.

Król zajmował oczywiście pierwsze miejsce; najstarszy z monarchów panujących dziś w Europie, małego wzrostu, nigdy nie musiał być pięknym; szpecą go jeszcze krótko obcięte, najeżone i pełne pudru włosy. Przez cały obiad jadł bardzo mało, rozmawiał najwięcej z laufrem stojącym za jego stołkiem, który zupełnie tak ubrany jak owi, którzy do Warszawy w r. 1807 wbiegli, i wierny powołaniu swemu, uwijał się tu i owdzie na paluszkach z rozkazami pana. Król nieborak bardzo głuchy, ma być niezmiernie dobry, cichy, nabożny, wielki przyjaciel rannego wstawania, przechadzki i wiejskiego gospodarstwa. W zimie, często rano z latarką do ogrodu wychodzi, a już po kilka razy chciał koronę złożyć i osiąść w ulubionej sobie wiosce *Wesenstein*.

Do rządów prawie nic się nie mięsza, zwłaszcza od czasu, kiedy książę Fryderyk synowiec i następca jego, *Mit-Regentem* ogłoszony został, t. j. od d. 9 Października 1830 roku i wraz z nim nadał i zaprzysiągł Sasom żadaną od nich konstytucyą. Obok króla siedziała księżniczka Augusta, owa niedoszła królowa nasza. Choć już nie młoda, rodziła się bowiem 1782 r., bardzo dobrze wygląda. Dostyc wysoka, dobrej figury i tuszy, rumiana, wysznurowana, w starannym ubiorze, mogłaby służyć za godło nadanego Niemcom bóstwa pod nazwiskiem *Brodsinn*, czyli Dobrybyt. Ma też bardzo dbać o siebie, i wyznaje, że takiego apetytu u kobiety jeszcze nie widziała; spożywszy porządnych porcy maślnych kilkanaście, w końcu obiadu zjadła jeszcze dwa duże biszkopty. Najmilszém zatrudnieniem tej księżniczki, która mimo wielu pretendentów i znacznego posagu starą panną została, ma być hodowanie kurcząt. W Pilnitz i w Dreźnie ma swoje kurniki i książęcą ręką kokosze nasadza i pisklęta tuczy. Dobraby z niej gospodyni była.

Przez wzgląd na pamięć zanego ojca, z podziwieniem wszystkich, księżniczka Augusta używa dotąd takich honorów, jakby jeszcze córką panującego króla była; a według przepisów, winnaby mieć przed nią pierwszeństwo księżniczka Amelia, bratanka i córka przysposobiona dzisiejszego króla. Tej księżniczki, blisko ją znające osoby, odchwalić się nie mogą. Jest cnót, przymiotów, światła i talentów pełna. Poezjami tkliwemi zasila niemieckie dzienniki, pisze komedye, układa opery, przytém jest skromna, przystępna i dobroczytna. Już nie młoda i słabowita, mówią, że z przywiązania do rodziny i do ziemi ojczytstój, pogardziła obcym tronem, przeczuwała może dla siebie los podobny siostrom \*).

---

\*) Józefa i Anna, siostry młodsze ks. Amelii, a córki ks. Maksymiliana, umarły obie w młodym wieku, jedna na Hiszpanii, druga na Toskanii tronie.

Twarz jój nie piękna, kibić nie zupełnie kształtna, ujmują przecież, bo tchną dobrocią i naturalnością.

Książę Maxymilian, ojciec jój a brat rodzony króla, prawie jeszcze starszy od niego wygląda; schylony, w okrągłej sukni i krótkim ubiorze ze sprzączkami, przy dwóch zegarkach u których długich łańcuchów wiszą pieczętki i dewizki, w bogatych sygnetach i śpilkach, wydał mi się prawdziwie jak próbka czy resztką spłynionego wieku. Pominąwszy tę powierzchowną i mało znaczącą śmieszność, serce ma mieć jak najlepsze i duszę prawdziwie piękną. Już bardzo dawno, lubo na niego po dzisiejszym bezdzietnym królu korona saska przypada, wyrzekł jój się na rzecz starszego syna, mówiąc: „Nie chcę truć sobie życia widokiem przyszłości, na śmierci brata ugruntowanėj.“ Szkoda, że ten zacny książę nie jest szczęśliwym. Wdowiec oddawna, dorosłe dzieci już mając, w r. 1825 ożenił się z młodą i przystojną księżniczką Lukieską, któraby wnuczką jego być mogła. Trudno, aby tak niedobrane stadło szczęśliwe było; nie jest nią też wcale i młoda księżna, a jak mówią i mąż, i klimat, dwór i wszystko tu jój nie miłe. Maluje się ta niechęć w niej całej; dowcip, żywość czarnych oczów, oryginalność w ułożeniu, w ubiorze, mówią dostatecznie, że nie jest na swoim miejscu. — Żal mi jój bardzo, gdyż wiele pięknych przymiotów liczy; wspaniała, liberalna, oświecona; w innem położeniu mogłaby zacząć i szczęśliwą być kobietą. Wiele czasu poświęca naukom, i w nich najmiłszą rozrywkę znajduje. Znałam Angielkę która ją języka swego uczyła, mówiła mi że się przykłada do poznania go, gorliwością młodej panienci.

Książę Fryderyk, Mit-Regent i pasierb jój, z układu i z ubioru, wielkich książąt rossyjskich mi przypomniął: on u stołu mówił najwięcej i równie jak w kraju zdawało się, że gospodarza gra rolę; brat jego Jan twarz ma niemiecką i bardzo młodą; żona jego Amelia Augusta, siostra

króla bawarskiego, równego z nim wieku, znacznie starszą się wydaje; miała być bardzo piękna: skutkiem częstych cierpień uleciał już ten kwiat przemijający; zostały jednak śliczne czarne oczy, nadobne ułożenie i ujmująca bladeść. Ma dzieci kilkoro i bardzo ich wychowaniem zajęta. — Żony Mit-Regenta, Karoliny, córki cesarza austriackiego nie było u stołu; słabego ciała i umysłu, miotana niekiedy wielką chorobą, mało pokazywać się mogła. Smutne zwykle bywają te związki książęce!... Zmiłował się wkrótce Bóg nad nią i nad jej mężem, w kilka dni po tym obiedzie umarła prawie nagle; kilka uncji wody znaleziono w jej mózgu. Jest jednak między ludźmi równość przymiotów umysłowych: Bóg nie jest hojniejszym dla ubogich jak dla bogatych; a w tych darach cały zaród wyższości człowieka...

Fryderyk August niezmiernie lubił Pilnitz i wielkie nadał mu przywileje. W Dreźnie, każde z książąt ma swój dwór i utrzymuje się z własnych dochodów; toż samo się dzieje z dworzanami i dworskimi, z których każdy jest na swoim stole; w Pilnitz zaś wszyscy są na koszcie króla; książęta i księżne z nim jedzą; dworzanie i dworscy swoich gospodarstw nie mają, nawet apteka darmo dla wszystkich. Utrzymanie też panującego nierównie tu więcej kosztuje jak w Dreźnie, lubo mniej jest wystawności; sarkają na to Sasi, którzy i tak znajdują, że na kraj którego długość nie dochodzi mil dwudziestu ośmiu, a szerokość szesnastu, trochę zbyt liczne i dwór i rodzina królewskie. Ależ dworscy jak opływają! Obchodziliśmy wszystko w Pilnitz, domostwa i stajnie; nawet na koniach znać byt dobry.

Ujęła mnie ta troskliwość wyższych, aby niższym dobrze było; podobał mi się także łatwy przystęp do osoby i mieszkania królewskiego. Podróżni przybywający Elbą przybijają pod samym pałacem, drzwi i okna pootwierane; a ledwie jeden żołnierz na straży. — Pilnitz ma swoje miłe przechadzki, zwłaszcza górzyste, on już poniekąd Szwaj-



caryą Saską zaczyna; wiele osób tu najmuje mieszkania na piękną pórę: można mieć ładny domek z ogrodem umeblowany za 120 talarów. Pobyt ten jest wygodny, bo łatwo o potrzeby życia; dla dworu codziennie poczta wodna płynie do Drezna i wraca, i przywozi wszystko. Najlepiej i najtaniej chcąc zwiedzić Pilnitz, zabrać się na ten pocztowy statek. Nie zawadzi jednak opatrzeć się w robotę albo w książkę, bo podróż trwa dosyć długo.

*Winnica ks. Fryderyka* \*). Jadąc albo wracając z Pilnitz, bądź łądem bądź wodą, należy zatrzymać się i wstąpić do miejsca, które od lat kilku Mit-Regent upodobał sobie i ciągle upiększa. Jest to góra okryta winnym szczytem i ogrodem, dom w klomby z drzew i kwiatów rzadkich; domek wcale kształtny, umeblowany modnie bez zbytku; zajął mnie szczególnie gotowalniany pokój zmarłej księżnej Karoliny namiot wystawiający: ściany i sufit wylepione różowym papierem, a na wierzch muślin biały układany w fałdy od góry do dołu. Piękne jest także okno w gabinecie księcia z szyb kolorowych, które wyobrażają dwa dawne domy: Habsburski i Saski; w środku jest Matka Zbawiciela, jako spólna opiekunka; na dole herby, a naokoło sławniejsi monarchowie tych dwóch rodzin, jako to: Rudolf z Habsburga, Maxymilian I, Karol V, Maxymilian II, Rudolf II, z jednej strony; a z drugiej Albert I, Maurycy, Jerzy II, August II. Nie wiem dla czego zapomniano o moim ulubionym Auguście. Największą jednak tego domu ozdobą są cudne na wszystkie strony widoki. — W pokojach Mit-Regenta uważałam wizerunki całej rodziny dzisiejszego króla Francuzów. Powiadają, że to był zręczny wybieg dla umieszczenia obrazu najstarszej córki Ludwika Filipa, która w jednej podróży księcia do Francyi, bardzo

---

\*) Dzisiejszego króla saskiego. — *P. W.*

zajęła jego serce. Biedni ci panujący! nie mogą prawie nigdy uczuciom swoim dogodzić. Księżniczka Ludwika jest dziś królową Belgów, a owdowiałego księcia Fryderyka, ożeniono z drugą siostrą króla bawarskiego.

*Sonnenstein.* O dwie mile od Drezna, nad miasteczkiem Pirna, jest skalista góra, na której najprzód była forteca, w ciągu siedmioletniej wojny zniszczona, później więzienie stanu; a od r. 1811, za staraniem dobroczynnego Fr. Augusta, wzniesiony został zakład ku przyniesieniu ulgi, jednej z najokropniejszych ludzkich niedoli: zakład dla dwóchset obłąkanych na umyśle. Zdaniem prawie powszechném jest on najlepszy w całej Europie, i najwięcej w nim pomyślnych trafia się uleceń. Przewodniczy mu światły, tkliwy i zacny doktor *Pienitz*, a posady dogodniejszej trudno było upatrzeć; w powietrzu czystém, na znacznej górze, u stóp ładne miasteczko, w około piękne i obszerne widoki. Odosobnienia i niewoli swojej tu chorzy mniej niż gdzieindziej czują, a bogactwo i urok natury musi koniecznie ściągać ich uwagę i myśl podnosić do Boga.

Dwa razy jeździłam do *Sonnenstein*, i ile możności widziałam wszystko dokładnie. Zbliżając się do tego miejsca, chodząc po niém byłam zawsze niezmiernie przejęta. Obłąkani obudzają we mnie silne uczucie; jest w niém litość, jest bojaźń, jest ciekawość, ale zawsze litość przemoże; bo jednak najwięcej ludzi traci rozum w skutek wielkiego nieszczęścia; pominąwszy zatem politowanie jakie rodzi widok człowieka pozbawionego najdroższego daru Stwórcy, rozrzuwnia jeszcze myśl, ile on wycierpiał nim do tego stanu przyszedł: tłoczy więc serce obecna jego nędza i wycierpiana niedola; przedstawiają się także pamięci srogie zmartwienia i niepokoje osób, którym on był i jest drogi, i mimowolnie łyż do oczów się cisną, dreszcz zimny ciało przechodzi. Lubo w *Sonnenstein* nie wszyscy obłąkani mogą być widzeni, bo jest wielu odosobnionych, a wracających

do rozumu odwiedzać nie wolno, przecież widziałam przeszło stu chorych różnego stanu i wieku. Kilkunastu uboższych dopełniało usług domowych, w całym zakładzie bowiem inną służby niema; i gdyby nie coś dziwnego w oczach, aniby zgadnąć można po niektórych, że jeszcze świat dla nich zamknięty; w kuchni nawet gdzie czysto i porządknie, jak zwykle w kuchniach niemieckich, obłåkane gotują; pytaliśmy się ciekawie dozorczy czy nie przytrafiają się czasem jakie dziwne przyprawy? zaręczał że nigdy. Kobiety do tej pracy wybrane, mają zwykle odrębne uwidzenie: jedną zdaje się, że do domu wracać nie może, bo ją zabijają; drugiej że czekać tu musi na kochanka, który dziś, jutro przyjdzie; trzeciej, że wygrała wielką summę na loteryi, ale jej oddać nie chcą, i t. d.: żadnej więc, to wyobrażenie przewrotne stałe ale jedyne, nie przeszkadza do smacznego kucharowania.

Jest też prócz tego nad wszystkiemi baczny i troskliwy dozór; a wreszcie obłåkani którzy zając się i pracować mogą, już są najczęściej na drodze ozdrowienia a przynajmniej od wielkiego szalu bezpieczni. Najgorsi, najnieszczęśliwsi i najdalsi od uleczenia mają być ci, których nic nie zajmuje i nie bawi, którzy stronią od ludzi, chodzą samotni i albo wcale nie mówią, albo też sami z sobą rozmawiają. Widziałam takich kilkunastu, gdyż trafiliśmy właśnie na godziny ich ranną przechadzki, i obchodziliśmy z kolei i jakby od niechcienia ogrody kobiet i męczyzn. Tego rodzaju chorzy najdotkliwiej serce moje ubodli. Gdyby nie oni, którzy w ubocznych ulicach z spuszczoną głową, z założonemi rękami, powolne kroki mierzyli, albo też z gestami gniewu i rozpacz, żwawo chodząc coś rozprawiali, byłoby można sądzić, iż to jest zgromadzenie zwyczajnych ludzi; niektórzy zebrani pod drzewami siedzieli, rozmawiali i śmieli się; inni bawili się w gry różne, w kregle, w pierścień i t. p.; kobiety niektóre pończochę robiły, szyły, czy-

tały. Spostrzegłam nawet jedną, która śliczne dziecię karmiła; to mnie ośmieliło i przemówiłam do téj jednéj. Zaczęłam chwalić dziecinę, pytać o jéj imię, o wiek? na wszystko odpowiedziała kobieta rozsądnie i rzetelnie jak poświadczył dozorca; ale gdyśmy już odchodzili zawołała głośno: „Nie powiadajcie nikomu kto ja jestem. Jam jest sławną Maryą, o którą wielka wojna się toczy.“ I zaczęła długą powieść, którój nikt z nas nie zrozumiał. Jakaśmy już odeszli daleko, powiedział nam dozorca, iż to była mieszcanka z Pirny, nie bardzo przykładnego życia, o którą się pobito, a ona skutkiem téj przygody pomieszania zmysłów dostała.

To dziecię urodziło się w Sonnenstein; przywiązanie matki do niego tak jest mocne, że dzień i noc się z niem nie rozdziela, a kiedy chciano je odebrać, wpadała w wściekłość. Lekarz twierdził, że jéj pokarm na umysł dziecięcia szkodliwego wpływu mieć nie będzie, zwłaszcza kiedy zresztą zupełnie jest zdrowa; mówił nam także iż pospolicie waryatki dobre są i łagodne dla dzieci; i jakby na potwierdzenie słów jego, piastunka wtoczyła wózek z własną jego córeczką w ogród kobiet: kilka z nich natychmiast przybiegło i zaczęło się z nią pieścić i bawić; ojciec zaś patrzył zupełnie spokojny. Rozrzewniły mnie do łez te dowody zapasu najtkliwszego uczucia w kobietach, którego nawet utrata rozumu wyczerpać nie może. Zapomogła Opatrzność w macierzyństwo serce niewiasty, bo jéj poruczyła opiekę nad wiekiem niemocy całego rodzaju ludzkiego.

Obchodziliśmy potém troskliwie wszystkie zabudowania; mieszkania chorych bardzo porządne; wielu z nich osobne pokoiki mają; a umeblowanie ich zastosowane do stopnia wychowania mieszkańca, téj jednéj różnicy między ludźmi. Sal jest kilka gdzie się schodzą w zimie i w dnie niepogodne; w tych salach są różne zabawy: książki, dzienniki, szachy, warcaby, bilard, karty, piłki, wolant, gry rozmaite; są i narzędzia muzyczne: fortepian, skrzypce, basetle.



W złą porę dają sobie wieczorami koncerta; u Niemców jak ci wiadomo, tak upowszechniona muzyka, że wielu z nich gra dobrze. Mówił nam lekarz, że to jest prawie jeden talent, który nie znika z rozumem; rzadki bardzo przykład, ażeby dar malarstwa, pisania, został obłąkanemu; w muzyce nieraz postąpi, co zaś w poezji, to niekiedy wieszczym duchem się odezwie. Widać, że inne dary więcej pamięci i uwagi wymagają, muzyka i poezja więcej czucia i natchnienia. Co także w Sonnenstein ma wiele do uleczenia chorych pomagać, to zachowanie ściśle religijnych obowiązków. Jest kaplica i kapelan miejscowy. W każdą Niedzielę odbywa się nabożeństwo; śpiewy przy odgłosie organów i nauki duchowne. Prawie wszyscy chorzy uczęszczają z upodobaniem do kaplicy, i spokojność ma być przykładna.

Widzieliśmy także łącznie, maszyny do spuszczenia wody na te biedne głowy, po kropli, lub rzęsiściej. Innych machin, a zwłaszcza męczących wcale tu nie używają, obejście ze wszystkimi jak najłagodniejsze; tak zwani furyaci są tylko osobno zamykani i nie ma takiego nad którymby lekarz naczelny, szanowny Pienitz, władzy zupełnej nie miał. Umie on wzbudzić w nich uszanowanie i bojaźń, panować nad umysłem; każdego choć na chwilę przekona, i co zechce z nim zrobi. Godny to prawdziwie człowiek i zasługuje na wdzięczność serc tkliwych; jakież to poświęcenie, całe życie pośród takiej nędzy pędzić. Żona jego zdawała mi się pełna czucia osoba; widać po jej oczach i mowie, że nie jedną łzę litości wylała, nie jedną złagodziła niedolę. Wolno bowiem panu Pienitz brać na koszt i zysk swój, majątniejszych obłąkanym; a ci którzy wracają do zdrowia, jedzą u jego stołu. Ma także pod dozorem swoim takich, którzy już nie w samym zakładzie ale w mieście Pirna w osobnych domkach mieszkają. Zaprowadził nas do jednej takiej chorzej, do której tytuł Polki i dawniej znajo-

měj nas wabił. Jeszcze nie zupełnie zdrowa, rozsądnie jednak z nami rozmawiała, i niepojęte okazywała uszanowanie lekarzowi. Wracając z tych odwiedzin, spotkaliśmy porządnie ubraną i przystojną kobietę, prowadzącą ładną dziewczynkę za rękę; przywitała się z niewymowném uczuciem z panem Pienitz, a on dziewczynkę bardzo głaskał i pieścił. Skoro się oddaliły, tak przemówił: „Państwo, ani zgadnąć nie możecie kto mnie witał; ta kobieta była lat kilka w Sonnenstein i mało miałem nadziei o jej wyleczeniu; stroniła od ludzi, prawie ciągle siedziała samotna, w czarnym pogrążona smutku. Właśnie między mężczyznami był jeden młody i przystojny, podobnież chory. Jednego razu postrzegli się i wzajemnie mocne uczynili na sobie wrażenie; był to pierwszy krok do tkliwego przywiązania, a co większa do odzyskania rozumu: od tego dnia zarówno postępować zaczęło uczucie w ich sercu, poznanie w umyśle. Skończyło się na tém, że przyszedłszy do zupełnego zdrowia pobrali się; kapelan zakładu w naszej kaplicy ślub im dawał; osiedli tu w Pirnie: są na czele dosyć znacznej szkółki, mają dzieci, z których najstarsza ta dziewczynka, i żyją zgodnie i szczęśliwie.“

Ta powieść była jakby balsamem dla zranionych serc naszych; w ciągu drogi do Drezna mówiliśmy, że jaki badacz i znawca ludzi mógłby na tém tle zajmujący usnuć romans. Miłość grałaby w nim odmienną niżli w wielu innych rolę, bo co często odbiera, tuby wracała — rozum.

*Moritzburg.* — O półtorej godziny od Drezna, przyjemną drogą, wśród wiosek, winnic, i ulicami z drzew starych, dojeżdża się do myśliwskiego zamku Moritzburg; założył go wojownik Maurycy, upięknił August II-gi: do staroń koło tego miejsca największą mu była pobudką miłość ku głośniejszemu z wdzięków i rozumu hrabinie *Koenigsmark*, która przez czas jakiś panowała zupełnie nad tém niestającym sercem; lecz odpokutowała życiem całym to krótkie

i nieuświęcone małżeństwem zwycięstwo. Po kilku latach skazana przez kochankę na wygnanie do *Quedlinburg*, umarła tam ksienią kanoniczek, w młodym jeszcze wieku, z żalu i tęsknoty.

Zamek Moritzburg pełen pamiątek 'po tej nieszczęśliwej piękności, przyjemnym jest miejscem: stoi wśród wesołej i otwartej równiny, którą brzeżą w około lasy zielone; architektury nie osobliwej, z czterema narożnymi wieżami, mieści w sobie moc niezliczoną pokoi, i nosi cechę myśliwską. Sienie, schody, sale całe najeżone rogami, ozdobione obrazami psów, koni ulubionych Augusta, zwierzyny przez niego ubitej. Sala jadalna zwłaszcza jest dosyć ciekawa, dwu piętrowa, sterczą na jej ścianach od góry do dołu zwierzące gałęzie, a pod każdymi napis jak stary był jelen, łoś, daniel, kozioł, do którego należały i kiedy ubity. Są tam rogi jeleni mających po lat 64, a niektóre tak urządzone, że wewnątrz jest puchar. August II-gi nie zapomniał bowiem nigdzie o tym pijackim spręcie, i w tej sali stoi dwie szaf kielichami napęcznionych.

W innych pokojach jest prawie w każdym obraz hrabiny Koenigsmark: tu jak Dyana wśród nimf, tam jak Amazonka, to znowu w zwyczajnym stroju, a wszędzie piękna. Augusta jest także nie mniej portretów, jeden w polskim ubiorze. Są w niektórych pokojach łóżka, meble jeszcze z jego czasów; a w jednym przeniesiona niedawno z Japońskiego pałacu osobliwa ozdoba. Obicie ścian, krzesel, baldachin i kotara łóżka, wszystko z piór zrobione; jest to owoc pracy Meksykanów; piórka układane są na płask i wpletane w tkaninę lnianą na podobieństwo naszych strzyżonych kobierców: dobór kolorów przepyszny, i wzorki wcale piękne, tworzą jakby naturalne kwiaty i owoce.

Niedaleko od Moritzburga jest drugi pałacyk *Neuschloss* zwany, wśród zwierzynca; bo dotąd w ogrodzonym lesie jest utrzymywany zwierz dziki, jelenie, daniela, sarny,

dziki; tych ostatnich rachują do kilkuset; i codzień od czasów Augusta II, o jednej godzinie poobiedniej, w tém samym miejscu, stawiają im strawę, groch, kartofle, i t. p. rzeczy. Wabione tym sposobem pokolenia za pokoleniami przychodzą hurmem i jedzą prawie z ręki. Półgodzinna droga do Neuschloss jeszcze krótsza się wydaje, gdyż wysadzana wśród lasu; dochodząc już prawie do zameczku, zastanowiły nas dziwnej struktury szpalery: wysadzone świerkami głośki A, F, A, jako początkowe imion królowej Amelii i Fryderyka Augusta. Sam zameczek bardzo mały, ale dosyć wysoki; jest to schronienie, gdzie elektorowe i królowe czekają na mężów polujących. Widoki z ganku ładne; perspektywy przecinane w lesie, a zwierzyzny tak wiele, żem widziała przebiegające sarny i jelenie. Obok zameczku jest więzienie, pierwsze w życiu które mi się podobało; najprzód, powiedziec należy iż przeznaczone dla ptaszków. Bardzo obszerne są w nim trawniki, drzewa, tryskające fontanny, słowem całe złudzenie lasu prawdziwego i wolności. Jednak chociaż stało otworem, mieszkańców w niem nie było: woła i ptaki rzeczywistość od złudzenia. Fryderyk August wielki lubownik polowania przyjeżdżał często do Neuschloss; Napoleon był tu dwa razy, i za każdym ubił daniela czyli białego jelenia.

### *Szwajcaryja Saska.*

Ktokolwiek przyjeżdża z ciekawości do Drezna, lub też bawi w niem czas niejaki, wielkiej pozbawia się przyjemności, (zwłaszcza jeżeli prawdziwej nie zna Szwajcaryi) kiedy nie poświęci dwóch lub trzech dni, na zwiedzenie romantycznej okolicy, zwanęj *Szwajcaryją Saska*. Jest to krajina miłej, uroczej piękności, są miejsca zachwycające. Ale ponieważ są to jedynie piękności natury, miejsca wymagające raczej obrazów niżeli opisów, w dokładne ich wy-



szczególnością wdawać się nie będę; opowiem ci tylko jak potrafię najkrócej, przejażdżkę moję w tę stronę.

Wyjechałam z Drezna w miłym towarzystwie, dnia 9 Lipca 1832 r.; jechaliśmy długo lewym brzegiem Elby, drogą nie tyle piękną co inne tutejsze, ale dla mnie przyjemną, bo warszawskie mi przypomniała okolice: taka płaszczyna, takie laski, takie łąki. Przebyliśmy w parę minut szeroką rzekę pod Pilnitz na statku na linach suwanym, a w godzinę stanęliśmy w *Lohmen*. Jest to małe miasteczko, lecz więcej sielskie od wielu wsi saskich; zaleca się pięknym kościołem, sławną owczarnią królewską, która i do Polski nie mało dostarczyła merynosów, i starym zamkiem. Ten zamek dziś na budynki gospodarskie przerobiony, od strony przyjazdu nie ma w sobie nic malowniczego. Jużto, ile ja przynajmniej widzieć mogłam, porządek i rządność Niemców mało dopuszczają rozwalin. Traci na tém wędrownik i malarska sztuka, ale mieszkanie i ekonomia polityczna zyskuje.

Jedno miejsce zajmujące w tym zamku jest ganek, z którego widok śliczny, gdyż z urwiska wysokiej skały widać na dole rzeczkę płynącą, drzewa, ogrody, domostwa i most z krzyżem kamiennym. Dawne podanie twierdzi, że z tego ganku spadł wyrobnik na sam dół i nie zabił się; napis na kamieniu szczegółów tego zdarzenia podróżnym udziela. W *Lohmen* wzięliśmy przewodnika, bez którego obejśćby się trudno, a dojechawszy do wioski *Ottowalde*, puściliśmy się piechotą. Tu zaczyna się długi i piękny parów wśród dwóch pasm wysokich skał, którego środkiem płynie skromny strumyk. Schodzi się w ten parów po 114-stu schodach, a wstąpiwszy w to odludne miejsce gdzie powietrze czyste i nieskażone, miłe i szczególne obejmuje uczucie; zdaje się, że to kraina nie tego świata, ulica jakiegoś zaczarowanego miasta; skały rozmaitego kształtu i barwy, to nagie, to obrosłe trawą i drzewami, tworzą zupełnie jak dwie ogrom-

ne połączenie dziwacznych domów: wiele z nich ma nazwy stosowne do podobieństw jakie wystawiają.

Ta dziwna ulica jest bardzo długa, to wązka, to szeroka; w jednym miejscu tak się ścieśnia, że skały schodzą się, łączą i stanowią bramę \*); w drugim rozszerza się znacznie i okrąża jakby rynek dosyć obszerny. Tam w małej chatce drewnianej, osiada co lato kobieta z dziećmi, w chęci zarobienia kilku groszy od wędrowników za piwo i bułki. Lubo i my nie wzgardzili skromną jej gospodą, wyznać muszę że butelki i szklanki nie są wcale w harmonii z tą okolicą i urok pod którym dotąd zostawałam zupełnie przerwały. Nie daleko też ztamtąd zaczyna się iść z wolna w górę i ukazuje się las sosnowy jak wszystkie lasy. Opoдал od gościńca jest pod drzewami stół, a w około ławy kamienne; bywał tu spoczynek Augusta II, kiedy w tych lasach polował.

Ztamtąd już blisko do miejsca, z którego podobno widok najpiękniejszy z całej Szwajcaryi Saskiej, do *Bastěj*. Dojechać można do niego wygodnie i ta przejeżdżka bardzo jest ulubiona od Drezdeńczyków. Dochodząc, zboczyć nam kazał przewodnik do ustronia *Wellstein* zwanego, jest to jakby ganek, a z niego widok na znaczny obszar skał sterzących; wystawił mi podobieństwo olbrzymiego cmentarza wyznawców Mojżesza. *Bastěj* na spłaszczonej i dosyć obszernej szczycie skały będąca, składa się z kilku domostw, altan, zasadzeń; ale najcelniejszą jej ozdobą jest ogromna jakby wystawa, czy wieża z kamienia. Nad samą Elbą o 700 stóp nad poziom, wznosi się i wystaje słup ze skały; powierzchnia jego zupełnie gładka, kształt prawie okrągły,

---

\*) Miejsce to zwane *Felsenthor* (Brama skalna) jest tylko na trzy łokcie szerokie, i trzy spadłe skał odłamy, tak się w wysokości także trzech łokci w strumyku usadowiły, że formują rodzaj tunelu. P. W.

w około mocna żelazna krata. Gdy wstąpiła na ten ganek i ujrzała obszerny i piękny widok, byłam zdumiona, i nie wiem czy to przypisać nowości, ale już nic w całej Szwajcaryi Saskiej tak mnie nie zajęło. To niezmierne wzniesienie się nad okolicą, te niezliczone przedmioty stawiające się oku, skały, góry, wioski, miasteczka, grody, pola, sady, i ta Elba płynąca u spodu jak zwierciadlana i kręcona wstęga, wszystko to mnie zachwyciło; jeszcze na dopełnienie uroku, powstał wiatr dosyć silny; a pędząc obłoki zasłaniał niekiedy przed ziemią świecące jasno południowe słońce; przesuwaly się po czystej Elbie, po dzikich skałach, po pieszczonych polach, ogrodach i domach, wielkie cienie: gdzie dopiero było ciemno następowało światło najżywsze; jakby niebo samo dodać chciało jeszcze więcej życia i wdzięku temu wspaniałemu widowisku, i dać nam naukę, może nadziei...

Bawiliśmy parę godzin w Bastėj i tam jedliśmy obiad; wracałam kilka razy na ganek, i z zupełnym żalem pożegnać się z nim przyszło. Bastėj ma jeszcze kilka miejsc zajmujących; są ślady dawnego zamku; bo tu najprzód zamozni panowie a potóm rozbójnicy się kryli; jest most dosyć śmiały \*); jest, zszedłszy na dół wioska *Rathen* zwana \*\*),

---

\*) Od skały do skały, z zadziwiającą śmiałością wznosi się tu most kamienny. Do dawnych warowni tu byłych, należał jeszcze i most, ten jednak był nieco niżej jak terazniejszy. W r. 1826 zbudowany został drewniany most, 120 łokci długi. Ciągłe reparacye jakich tenże wymagał, wskazały potrzebę wystawienia czegoś trwalszego, i tak stanął na to miejsce most z najlepszych piaskowców zbudowany, który rozpoczęty d. 2 Października 1849, ukończony został d. 11 Października 1851 roku. Wysokość skał na których stoją środkowe mostu filary, 179 stóp wynosi, a powierzchnią mostu wznosi się 367 stóp nad powierzchnią Elby.  
P. W.

\*\*) W Rathen stają teraz statki parowe, które z Drezna zawsze w lecie mnóstwo gości przynoszą. Także na drugiej stronie Elby, za

jest niedaleko parów *Amselgrund*, gdzie ładny wodospad widzieć można. Trzymając się góry dojeżdża się do skały 500 stóp wysokości, którą zowią *Hockstein*, zkąd rozliczne widoki, rozmaite nasuwają myśli i wspomnienia. Tu wioska i dolina *Polentz* z chatami swemi, młynem i strumieniem czystym, którego mruczenie aż na górze słycać, przypomina wiejskie obrazy sielankarzy naszych, Szymonowicza, Karpińskiego, Brodzińskiego; tu znowu starożytny zamek feudalnych baronów, później więzienie stanu, przedstawia pamięci niedole dawnych i obecnych czasów; tu szczątki okopów francuzkich, droga przez skały i lasy pracowicie z rozkazu Napoleona kowana i prowadzona, zwracają myśl ku temu nadzwyczajnemu człowiekowi, i wszystko gaśnie i znika przed wspomnieniem tego króla królów, pana świata, który umarł ich więźniem na dalekiej skale...

Pokazał nam jeszcze w téj okolicy przewodnik, most dla śmiałości swojej djablim przezwany; łączy on przepaść przedzielającą dwie skały, z których jedna małym, druga dużym *Hockstein* się zowie. Niedaleko mostu djablego jest długa i głęboka rozpadlina *Wolfgrube* (loch wilczy), zupełnie jakby korytarz okropny, kręty i zębaty między dwiema skałami; można tym otworem zejść na dół; i mówił nam przewodnik, że tamtędy zemknął zbójca sławny przed ściągającymi go sędziami; lecz my nie mieliśmy ochoty puszczać się w to piekielne przejście, a zszedłszy wygodniejszą dro-

---

trzymując się wozy parowe, na kolei Sasko-czeskiej, tak, że zwiedzający Szwajcaryę saską i koleją i statkiem parowym, tę prześliczną drogę odbywać mogą, i ta łatwość naprowadza dziś massy lubowników pięknej natury. Koleję żelazną trwa droga do Rathen niespełna godzinę, a powrót na statku parowym z biegiem wody do Drezna, także nie wiele więcej czasu zabiera. Temi samemi okazjami można teraz nietylko kilka razy dziennie do Bastej się udawać, lecz i dalej do Konigstein, Schandau i do Pragi.

P. W.



gą, ruszyliśmy już prosto do *Schandau*, gdzie nocleg wypadał. Z daleka tylko przedstawił nam się *Brund*, miejsce godne widzenia i które wielu z Bastją równa; ale za to zdążyliśmy przed samym zachodem słońca do *Schandau*, i mogliśmy używać do końca dnia, widoków ciągle pięknych téj drogi. Zajmował nas szczególnie *Lilienstein*, wielka skała oddzielna, okrążona Elbą, którą zewsząd widać, i która wydaje się jakby opiekunką i matką rodu tych skał wszystkich. Umysliliśmy wstąpić koniecznie na szczyt jój.

*Schandau* ładne miasteczko, ożywia je wspaniała Elba i rzeczka *Kernitsch*, która tu właśnie w nią wpada. Od roku 1730 są tu odkryte wody mineralne, dosyć skuteczne i wiele osób dotąd przyjeżdża z Drezna i okolic na kąpiele. Łatwo pojąć, jak czyste powietrze, śliczne położenie, mnogie przechadzki, do odzyskania zdrowia wiele pomódz mogą, a kąpiele mnie saméj zdały się cudowne, bo wzięwszy jedną, zapomniałam zupełnie całodziennych trudów.

Nazajutrz rano puściliśmy się w dalszą podróż przy najpiękniejszym lipcowém powietrzu, dojechaliśmy do *Lichentheim*, prawdziwie rozkosznej doliny, która mi znowu przypomniała miłe Prądnika okolice; z obu stron skały lub góry, świerkowe odwieczne lasy, a w środku rzeczka czysta i bystra; na jój brzegach łąki, chaty, młyny, stada, trzody. Zajał mnie widok pracy, którą wodom *Kernitschy*, przemysłni mieszkańce zadają; wrzucają w nią kawały sążniste drzewa, a ona wierna posłanka niesie je spiesznie aż do Elby, gdzie czatujący ludzie zbijają te kawały w tratwy i prowadzą je dalej.

W *Lichentheim* gdzieśmy wysiedli, dosyć ładny jest wodospad, ale parę groszy potrzeba ażeby zaszumiął; koło niego stoją wygodne krzesła i kilku ludzi czekających niecierpliwie, ażeby podróżny jaki słabych nóg lub piersi zanieśé im się kazał na pobliskie góry. Nie wiem czy to do brze czy nie, ale ci ludzie nie myślą o żadném poniżeniu,

i widzą jedynie w swoim rzemiośle zamianę sił i pieniędzy. Wraz z uprzejmą towarzyszką podróży korzystałam z dobrych ich chęci i ponieśli nas na przemiany, na górę Kuhstall zwaną. Nie jest to zapewne miłe uczucie, dać się nieść w krześle jak kaleka; lecz przewyciężywszy wstręt pierwszy, bardzo rzecz wygodna bez tchu utraty wejść tak wysoko.

Droga na *Kuhstall* przyjemna; dochodząc do samego miejsca ukazuje się wązka ciemna uliczka, a na jej końcu wisi jakby wielka biała zasłona; przyszedłszy spostrzega wędrownik, że to otwór na wylot ogromnej skalistej jaskini. To olbrzymie sklepienie, ta gotowa dla człowieka gospoda, którą sporządziła ręka wielkiego Budowniczego świata, może jeszcze w chwili potopu, mocne uczyniła na mnie wrażenie; przejęło mnie uczucie podobne temu, którego doznajemy, wchodząc do starożytniej świątyni; czułam bytność Boga w tym miejscu. Widoki w samej jaskini, z wierzchu jej czyli z dachu, piękne choć zupełnie dzikie. Sądzićby można, że skutkiem gniewu Niebios, ogromne miasto tu skamieniało; bo ten natłok sterczących różnego kształtu skał, domy, wieże, kominy przedstawia.

Do zupełnego miejsca tego uroku, równie jak w całej Saskiej Szwajcaryi, brak czystych strumieni, bystrych potoków, szumiących wodospadów; niedostatek wody i ptastwa, zbyt głuchemi czyni te miejsca: jest to scena bez aktorów. Ta jaskinia dla tego nosi nazwę *Kuhstall*, iż tu w czasie siedmioletniej wojny, okoliczni włościanie bydło swoje przed nieprzyjacielem skryli; tu także mieszkał niegdyś rozbójnik *Wilde* ze zgrają łotrów i napadał bogatych baronów zamki.

Z *Kuhstall* mieliśmy ochotę, jak jest zwyczaj, zwiedzić mały i duży *Winterberg* i *Prebischthor*, już w Czechach będący; ztamtąd zszedłszy do wioski pogranicznej *Herniskrettschen*, Elbą wrócić do *Schandau*. Ale nie zawsze to ro-

bić można co chcemy. Dar zabójczy, od Wschodu Europie sprowadzony, cholera, bardzo grasowała w Czechach; kto zbliżył się do jej granic musiał pięć dni pokuty wysiedzieć, zanim do Drezna wrócić mu pozwolono; niepodobna było narażać się na tę nieprzyjemność; z żalem więc wróciliśmy tą samą drogą do Schandau. Po obiedzie obeszlśmy całe miasteczko, a potem wsiadłszy na statek, przy ślicznej pogodzie i równie pięknych na obie strony widokach, dopłynęliśmy pod sam *Lilienstein*. Już do wstąpienia na tę górę, nikt nam przeszkodzić nie mógł, a lubo przewodnik ostrzegał, że wejście przykre i krzesel nie ma, my przecież poszliśmy.

Lilienstein tworzy prawie wyspę, bo Elba tak kręto w tém miejscu płynie, że go niemal okola. W wysokości swojej piramidalnej, dzieli się na dwa wielkie stopnie, jeden z ziemi, drugi kamienny. Pierwszy jest obszerny, uprawny, zamieszkały, i wejście na niego łatwe; ale do drugiego przystęp trudny, a nawet niebezpieczny. Po wąskiej i stromiej ścieżce, w nierówne schodki urobionej, iść długo trzeba; często ta ścieżka wisząca nad przepaścią, jest tylko jak obrębek spadzistego i wysokiego brzegu, schodki tak wąskie, że stopy postawić trudno, a jedno pośliznienie mogłoby złamania karku, a przynajmniej ręki lub nogi być przyczyną... my jednak te wszystkie trudy i niebezpieczeństwa bez przypadku przebyliśmy, a stanawszy u mety, zapomnieliśmy o nich.

Szczyt téj skały jest dosyć obszerny, i okryty gęstym lasem; widać ślady oczywiste dawnego grodu; na czterech rogach są jakby cztery ganki, z których widoki coraz odmienne i coraz piękniejsze. Zdaje się, że ztamtąd widać całą Saksonią, a z jednéj strony niezawodnie Czechy. Trudno dać wyobrażenie rozciągłości, obszerności tych widoków, a nadewszystko błogiego wrażenia jakie to rozpre-

strzelenie świata przed sobą na umyśle sprawia. Nie pojmiesz go nigdy Helenko, dopóki sama nie doznasz. Jest jakieś uczucie wielkości, dumy, obejmując jednym rzutem oka tyle rzeczy razem, widząc wyraźnie, czego drudzy niżej będący nie widzą wcale. Sądzę, że to uczucie musi mieć jakieś podobieństwo z tém, którego niegdyś doznawali widzący czyli prorocy, kiedy Bóg wznosząc wysoko ich duszę, pozwalał sięgać w odległą przyszłość, i przyglądać się wyraźnie temu, czego gmin ani się domyślał.

Z widoków z Lilienstein, dwa najwięcej mnie zajęły: jeden z pod słupa Augusta II, drugi na *Koenigstein*. Słup Augusta wzniesiony tam na pamiątkę, że on pierwszy z monarchów saskich wszedł na tę skałę; widać z pod niego Schandau, Elbę płynącą krętém korytem jakby wąż światłości, i całą Szwajcaryą Saska. Poznawaliśmy wszystkie miejsca zwiedzone; patrzyliśmy jak Mojżesz na Ziemię obiecaną, na tę, gdzie nam być nie pozwolono. Widok na Königstein dłużej nas zajął. Jestto bardzo sławna i jedyna forteca w Saksonii; niedostępna dla ciekawych, chyba że wyraźne od króla pozwolenie mają; ztąd zaś bez naprzykrzania się nikomu, widać ją jak na dłoni, bo wznosi się naprzeciwko na drugim brzegu Elby, i zdają się te obie skały jak dwie siostry, których nieprzyjazny los nie oddalił, a przecież rozdzielił na wieki.

Lilienstein o 36 stóp jest wyższy, mogliśmy więc jak ptaki zaglądać w środek murów fortecy, i dostrzedz drobnych nawet szczegółów; zwłaszcza za pomocą wyborniej perspektywy, którą mieliśmy z sobą. Bawiło mnie to niezmiernie. Königstein stoi na zupełnie podobnej górze jak Lilienstein, i skała wszędzie służy za podstawę jego wałów i gmachów; zdaje się, że wieki przetrwa; jest niedobyt z nikąd, gdyż chyba ze szczytu niedostępnego Lilienstein można by do niego kule i bomby dorzucić. Jego poziom jest na



éwieré mili obszerny; prócz licznych téż zabudowań ma las, winnicę, kawał pola, łąki, ogrody; przypatrywałam się pilnie temu, jak umiano korzystać z zębatach skał, żeby na nich baszty i wieże zakładać; jak je zapełniano kamieniami chcąc równe wały utworzyć, a to ubieganie się wzajemne natury i sztuki, dla utworzenia ludziom schronienia przeciw ludziom, smutne myśli podawało.

Königstein już był grodem w XIII-ym wieku; w XV-ym należał do potężnych margrabiów Dohna, którzy w tych stronach jakby udzielne państwo mieli, dopóki margrabiowie Miśnijscy ich nie pokonali. Fundamenta dziś stojącej fortecy, założył dobry August w środku XVI-go wieku. Odtąd często bywała zagrożana, dobyta nigdy. Tu zawsze w czasie wojen, skarby państwa przewożą, tu *Grüne Göwelbe* już było po kilka razy. Od XVI-go wieku to miejsce służy także za więzienie stanu; tu nie jeden sławny mąż był zamknięty, tu w roku 1826 siedział czas długi, nasz czcigodny Kniaziewicz. Mieszkańców w Königstein jest około trzysta, mają kościół swój i opatrzeni są w wodę, jest bowiem studnia kowana w skale na 586 łokci głęboka, w której nigdy mniej jak na 26 łokci jest wody. Inwalidy wojska saskiego, którzy tu osiadają z żonami i dziećmi, tych mieszkańców, a razem załogę stanowią. Nikt oddalić się z fortecy nie może, bez wyraźnego pozwolenia komendanta; komendantowi ruszyć się nie wolno bez wiedzy króla.

Opowiadał nam te wszystkie szczegóły świadomy przewodnik, i wskazał wązki obręb skały koło wałów fortecy, który dotąd łozem pazia (Pagenbette) zowią. Paź Jana Jerzego II, Henryk Grünau, podchmieliwszy sobie zdrzymał się na wałach tak dobrze, iż lubo spadł na to miejsce, spał ciągle jak gdyby w betach. Doszło to do elektora będącego wówczas w Königstein, kazał założyć mocne liny na śpiącego młodzieńca i nad tak umocowanym bić w kotły

i trąbić. Paź wtedy dopiero się ocknął, i jak łatwo zgadniesz, równe było jego zadziwienie wstydomi. Żart ten monarszy cokolwiek śmiały, według powieści przewodnika nie zaszkodził bynajmniej Henrykowi Grünau, żył zdrowo lat 106. Ale zniżało się słońce, musieliśmy porzucić i widoki i powieści; zejście ze skały prawie równie było przykre jak wnijscie, a skorośmy doszli do stopnia ziemnego, dała się uczuć potrzeba spoczynku. Użyliśmy go przed chatą jednego z tamecznych wieśniaków; i nigdy trawnik tak miękkim, cień drzew tak miłym, mléko tak smaczném mi się nie zdało. Godzina zbiegła jak kwadrans w tém miejscu i właśnie zachodziło słońce, kiedyśmy wsiedli powtórnie na statek, który nas do miasteczka Königstein miał odwieźć. Przepyszny był widok téj całej okolicy, tych dwóch skał bratnich, ozłoconych ukośnemi promieniami złotego słońca, i tego globu jasności odbijającego się w czystéj Elbie jak słup światła. Widzę ten obraz cały przed oczyma i używam go jeszcze pamięcią; czuję nawet miły wietrzyk, który nas strudzonych chłodził i karbował z lekka szeroką rzekę. Wspomnienie dobroczyńcą jest wędrownika, i aniby warto podróżować, gdyby pamiętać nie było wolno; zda mi się nawet, że często rachujemy więcéj na tę przyjemność w przyszłości, niżli na obecną.

Nocowaliśmy w miasteczku Königstein, które służy jakby za podnózek fortecy, a nazajutrz pojechaliśmy do Pirny. Tam najprzód widziałam raz jeszcze Sonnenstein, a potem zakład dla sierot bardzo zajmujący. Jest on zupełnie powtórzeniem drezdeńskiego zakładu, z tą różnicą, że jest więkskim, i że wychowanki nietylko w ogrodzie ale i w polu pracują, i dokładnie rolnictwa się uczą. Założony został 1814 r., szczodrobliwością rządu saskiego i kilku Anglików; 80 było w nim sierot płci obojéj w dniu kiedy tam byłam. Jeszcze czerstwiej wyglądają od drezdeńskich, i gospodyni mówiła nam, że od czasu jego założenia, troje tylko dzieci

umarło, i to w pierwszym roku ich przybycia do zakładu Podobne wznosić instytutu po wioskach i miasteczkach polskich i czuwać nad nimi, jakby pięknym było zatrudnieniem dla bogatszych ziemianek naszych! jakiem lekarstwem przeciw żebractwu i występkom dla nizkiej klasy, przeciw nudom dla wyższej!

Z Pirny do Drezna wracając, zboczyliśmy cokolwiek z gościńca, żeby wstąpić do *Wesenstein*, owiej wioski króla Antoniego, do której ciągle od tronu wzdycha. Jestto zamek bardzo dawny, należący niegdyś do zamożnej rodziny Donau; lubo osobliwy, nie byłby nigdy celem moich wstchnień. Otoczony wiejskimi domostwami, stoi w głębokiej okrągłej dolinie, wkoło opasanej wysokimi górami, tak że wjechawszy tam, reszty świata ani widać; obszernem więzieniem się zdaje, a dla większego jeszcze podobieństwa, wszystkie wody jego dla bliskości rud żelaznych, jak krew czerwone. Budowa zamku zastosowana do skały, na której stoi, i która większą część jego ścian stanowi. Skutkiem tego tworzą się rzeczy dziwaczne: do pokojów królewskich schodzisz na dół dwa piętra, pokoje te są przecież równe z tarasem; do piwnic iść musisz na szóste piętro, bo są w skale kowane; w wielu bardzo miejscach widzisz w ścianach kawałki skał sterczących, wiele schodów wyciosanych w skale; wielki ołtarz w kaplicy oparty o skałę, ambona wydrążona w skale i t. p. rzeczy. Ale te wszystkie osobliwości nie zastąpiłyby, dla mnie przynajmniej, obszernego widoku—i *Wesenstein* może dla sprzeczności swojej z widzianiami dopiero tak otwartemi okolicami, nie podobał mi się wcale. Radam jednak, żem oglądała zamek dawnego pana niemieckiego, z owych feudalnych czasów, których opisy w romansach są zajmujące, ale rzeczywistość bardzo była smutna. Pokazują tam pokoje dawnych margrabiów, wieże, więzienia, sale tortur, zabytki wieków ciemnoty i hańbiącej

sztuki męczenia ludzi, których daj Boże! aby istnienie wydało się kiedyś bajeczne szczęśliwej ludzkości.

Na tém życzeniu kończę ten list mój, i żegnam cię na czas jakiś, Helenko; w następujących, kilkudziesiąt milową podróż odprawić ze mną będziesz musiała.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.



# SPIS RZECZY

W TOMIE PIĄTYM ZAWARTYCH.

	<i>Str.</i>
<b>Opisy niektórych okolic Polski.</b>	
Opis pierwszy. Okolice Warszawy . . . . .	7
Mokotów.—Królikarnia.—Ursynów.—Natolin.— Góra.—Czersk.—Potycz.—Konary.—Ryczywół. Kozienice.—Gniewoszków.—Granica.—Janowiec. Czarnolas.	
— drugi. Przejażdżka w Lubelskie . . . . .	26
Zastów.—Wojciechów.—Lublin.—Pilaszkowice. Gardzienice.—Krasnystaw.—Krupe.—Rybcze- wice.	
— trzeci. Przejażdżka w Podlaskie . . . . .	50
Igań.—Siedlce.—Biała.—Janów.	
— czwarty. Przejażdżka w Krakowskie . . . . .	59
Głuchów.—Nowe Miasto.—Rozwady.—Końskie. Kielce.—Brześć.—Skałbmierz.—Koszkwia.— Kraków.	

	<i>Str.</i>
Opis piąty. Przejazdźka do Nieborowa i Arkadyi. . . . .	239
— szósty. Przejazdźka w Sandomierskie . . . . .	257
Radom.—Zwolen.—Jasieniec.—Rża.—Kunów.— Święty Krzyż.—Ujazd.—Konary.—Włostów.— Sandomierz.	
Opis podróży do jednej części Prus, niegdyś polskich. . . . .	303
Toruń.—Chełmno.—Swieć.—Kwidzyn.—Sztum. Malborg. — Żuławy. — Elbląg. — Frauenburg. Braunsberg. — Brandenburg. — Fischhausen. Królewiec. — Friedland. — Gerdawy — Węgo- bork.	

### Wspomnienia z podróży w obce kraje,

#### *w listach do Helenki T.*

List pierwszy. Wstęp.— Położenie Drezna.— Historia.— Postać zewnątrzną miasta i mieszkańców . . . . .	356
— drugi. Kościoły Drezdeńskie. — Nabożeństwo. — Pogrzeby i cmentarze . . . . .	372
— trzeci. Zamek Drezdeński.— Riesensaal.— Pokoje Augusta II-go. — Pokoje Fryderyka Augusta. — Grüne Göwelbe.—Rüstkammer.— Dom Blokady . . . . .	386
— czwarty. Rys historii malarstwa.—Wspomnienie o rozma- itych szkołach i zawołanych mistrzach.—Opis galeryi Drezdeńskiej . . . . .	404
— piąty. Zwinger i będące w nim składy. — Teatr Drezdeń- ski.— Słów kilka o muzyce.— Most.— Japoński pałac. — Skład porcelany. — Zbiór starożytno- ści.—Biblioteka . . . . .	450
— szósty. Ogrody i przechadzki Drezdeńskie . . . . .	471
— siódmy. Niektóre zakłady wychowania i książki elemen- tarne . . . . .	486

	<i>Str.</i>
List ósmy. Słów kilka o towarzystwie, zabawach, kobietach, służących, i innych domowych i gospodarskich szczegółach . . . . .	503
— dziewiąty. Okolice Drezna. — Plauen. — Tharant.— Winnica Findlatera. — Pilnitz. — Winnica ks. Fryderyka.— Sonnenstein.— Moritzburg.— Szwajcarya Saska.— Wesenstein . . . . .	514

---











F

1085

5